

DAVID WEBER

NAS NIEWIELU



JOHN RINGO

WEBER DAVID RINGO

JOHN

Marsz #4 Nas niewielu

DAVID WEBER JOHN RINGO

IV tom cyklu “Imperium człowieka”

Przekład: Przemysław Bieliński

Tytuł oryginału: „WE FEW”

Copyright (c) 2005, 2006 David Weber i John Ringo

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Warszawa 2006

W cyklu

“Imperium człowieka”

Marsz w głąb lądu

Marsz ku morzu

Marsz ku gwiazdom

Nas niewielu

PROLOG

Najmłodszy z trojga dzieci Alexandry VII – Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, znany jako „Roger Groźny”, „Roger Szalony”, „Tyran”, „Odnowiciel” albo nawet „Bratobójca” – nie rozpoczął kariery jako najbardziej obiecujący członek rodu MacClintocków. Przed przewrotem Adouli syn Alexandry i Lazara Fillipo, szóstego earla Nowego Madrytu, za którego cesarzowa nigdy nie wyszła za mąż, był powszechnie uważany za wymuskanego, zajętego sobą, troszczącego się tylko o ciuszki dandysa. W kręgach dworskich wiadomo było, że jego matka ma poważne zastrzeżenia co do jego poczucia odpowiedzialności i nie kryje rozczarowania jego lenistwem oraz zaniedbywaniem obowiązków Trzeciego Następcy Tronu Ludzkości. Mniej powszechnie wiadomo było, chociaż to również nie było tajemnicą, że cesarzowa powątpiewa w jego lojalność.

Dlatego też kiedy kilka miesięcy przed atakiem na Cesarski Pałac książę-playboy i jego obstawa (kompania Bravo batalionu Brąz Osobistego Pułku Cesarzowej) zniknęli w drodze na rutynową ceremonię, zrzućenie na niego podejrzeń nie było zupełnie bezpodstawne. Po zabójstwie jego starszego brata, księcia Johna, i siostry, księżnej Alexandry, oraz wszystkich dzieci Johna, a także próbie usunięcia Cesarzowej Matki Roger pozostał jedynym następcą Tronu.

Tymczasem osoby faktycznie stojące za przewrotem były przekonane, iż Roger i jego żołnierze nie żyją, ponieważ zamach na niego był pierwszym krokiem planu obalenia cesarzowej Alexandry. Włamując się do osobistego implantu komputerowego młodszej oficer na pokładzie transportującego księcia okrętu, udało im się – przez zaprogramowanego agenta – podłożyć ładunki wybuchowe w najważniejszych punktach maszynowni. Niefortunnie dla ich planów sabotażystkę odkryto, zanim wykonała swoją misję, i okręt, choć poważnie uszkodzony, nie został całkowicie zniszczony.

Zamiast zginąć w kosmosie, książę-playboy został uwięziony na planecie Marduk... co niektórzy mogliby uznać za gorsze od śmierci. Choć zgodnie z prawem układ należał do Imperium – był tam nawet imperialny port kosmiczny – dla dowódcy książęcej obstawy, kapitana Armanda Pahnera, było jasne, że tak naprawdę kontroluje go Imperium Cavazańskie, bezwzględny rywal Imperium Człowieka. Fanatyczne hołdowanie przez Świętych zasadzie, że niszczący środowisko ludzie powinni być usunięci ze wszystkich planet, było porównywalne jedynie z ich żądzą zastąpienia Imperium Człowieka w roli największej w galaktyce politycznej i wojskowej potęgi. Ich zainteresowanie Mardukiem łatwo dało się wyjaśnić strategicznym położeniem układu na nieco płynnej granicy między dwoma rywalizującymi gwiazdnymi państwami, chociaż odpowiedź na pytanie, co konkretnie robiły tam ich pod-światłne krążowniki, była już bardziej problematyczna. Jakakolwiek jednak była przyczyna ich obecności w układzie Marduk, Trzeci

Następca Tronu nie mógł wpaść w ich ręce.

Żeby do tego nie dopuścić, cała załoga transportowca Rogera, HMS Charlesa DeGloppera, poświęciła życie w desperackim starciu, w którym oba przebywające w układzie krążowniki Świętych zostały zniszczone. Dzięki temu udało im się nie zdradzić tożsamości statku ani faktu, że na jego pokładzie był Roger. Tuż przed ostatnią bitwą transportowca księżę i jego marines razem ze służącym i szefową świty, niegdysiejszą nauczycielką Rogera, uciekli nie zauważeni promami desantowymi DeGloppera na powierzchnię Marduka. Tam stanęli przed przerażającym zadaniem przedarcia się przez pół planety – jednej z najbardziej niebezpiecznych planet, jakie były w posiadaniu Imperium – żeby móc zaatakować i zająć port kosmiczny.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że tej misji nie da się wykonać, ale Brązowi Barbarzyńcy nie byli zwykłymi imperialnymi marines. Należeli do Osobistego Pułku Cesarzowej i nigdy nie pytali, czy misja jest możliwa do wykonania, tylko po prostu ją wykonywali.

Przez osiem ciągnących się bez końca miesiące przedzierali się przez świat pełen śmiertelnie groźnych drapieżników, przez upalne dżungle, bagna, góry, morza i armie wściekłych barbarzyńców. Kiedy ich nowoczesna broń nie sprawdziła się w starciu z niszczącym klimatem i przyrodą Marduka, skonstruowali na poczekaniu nową: miecze, oszczepy, karabiny czarnoprochowe i artylerię odprzodkową. Nauczyli się też budować statki. Zniszczyli najstraszniejszą armię nomadów, jaką Marduk kiedykolwiek widział, a potem zrobili to samo z imperium kanibali Krathów. Z początku rogaci, czteroręcy, zimnokrwieści, pokryci śluzem, mierzący po trzy metry mieszkańcy Marduka nie doceniali małych dwunożnych gości. Ludzie bardzo przypominali fizycznie przerośnięte basiki – małe, głupie, podobne do królików stworzenia, na które miejscowe dzieci polowały uzbrojone tylko w kije. Jednak ci Mardukanie, którzy mieli pecha i stanęli na drodze Osobistemu Pułkowi Cesarzowej, szybko się przekonali, że te basiki są o wiele groźniejsze niż wszystkie drapieżniki zrodzone w ich własnym świecie.

W trakcie wędrówki przez kontynenty Marduka księżę-playboy odkrył w sobie krew Mirandy MacClintock, pierwszej Cesarzowej Imperium Człowieka. Na początku marszu stu dziewięćdziesięciu marines kompanii Bravo czuło jedynie pogardę dla żalostnego książątka, którego mieli obowiązek chronić, kiedy jednak marsz dobiegł końca, dwanaścioro żołnierzy ocalałych z kompanii Bravo bez wahania poszłoby za nim w szarży na bagnety do samego piekła. To samo dotyczyło Mardukan zwerbowanych do służby w Osobistym Pułku Basik. Kiedy mimo wszystkich przeciwności zdobyli port kosmiczny i okręt operacji specjalnych Świętych, który zamierzał w nim wylądować, ocalali Brązowi Barbarzyńcy i Osobisty Pułk Basik stanęli przed o wiele większym wyzwaniem. Odkryli bowiem, że przewrót zorganizowany przez Jacksona Adoulę, księcia Kellerman, najwyraźniej się powiódł i

że nikt nie zdaje sobie sprawy, że cesarzowa Alexandra jest pod kontrolą tych samych ludzi, którzy zamordowali jej dzieci i wnuki. Jeszcze gorsze było odkrycie, że nikczemny zdrajca, książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock, jest ścigany przez wszystkie siły imperialnej policji i wojska jako inicjator i główny wykonawca ataku na własną rodzinę.

Pomimo tego...

–Dr Arnold Liu-Hamner,

z Rozdziału 27: Zaczynają się Lata Chaosu,

Dziedzictwo MacClintocków,

tom 17, wydanie siódme, © 3517,

Souchon, Fitzhugh Porter Publishing,

Stara Ziemia.

IMPRIMUS, WYSADZILI PORT

KOSMICZNY

Jednokilotonowy ładunek energii kinetycznej był bryłą żelaza wielkości małego wozu powietrznego. Książę obserwował na monitorach zdobycznego okrętu Świętych, jak pocisk płonie, wchodząc w górne warstwy atmosfery Marduka, a potem eksploduje w rozbłysku światła i plazmy; chmura w kształcie grzyba wzbiła się w górę i opadła tumanem kurzu na pobliskie wioski Krathów.

Port kosmiczny był opustoszały. Wywieziono z niego wszystko, co się dało wywieźć, zostały tylko budynki i zamontowane na stałe instalacje. Zakład produkcyjny klasy pierwszej, zdolny wytwarzać ubrania, narzędzia i ręczną broń, został ukryty w Voitan wraz z ludźmi, którym nie można było zaufać: komandosami z formacji Greenpeace, których wzięto do niewoli razem ze statkiem. Mogli pracować w kopalniach Voitan, pomagać przy odbudowie miasta albo, skoro tak bardzo lubili przyrodę, żyć w mardukańskiej dżungli, pełnej drapieżników, które byłyby z tego powodu bardzo szczęśliwe.

Książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock patrzył na wybuch z kamienną twarzą, a potem odwrócił się do zebranej w sterowni okrętu małej grupy ludzi i kiwnął głową.

–Dobrze, chodźmy.

Książę mierzył blisko dwa metry wzrostu, był szczupły, ale umięśniony; jego budowa ciała kojarzyła się z muskulaturą zawodowych graczy w piłkę zero-G. Długie jasne włosy spięte w kucyk prawie wybielały mu od słońca, a niemal klasycznie piękna europejska twarz była mocno opalona. Ta twarz była również pokryta zmarszczkami i zacięta; książę wyglądał na człowieka, który ma więcej niż dwadzieścia dwa standardowe lata. Od dwóch tygodni nawet się nie uśmiechnął. Jego zwinna ręka drapała kark dwumetrowego czarno-czerwonego jaszczura wysokości kuczka, który stał u jego boku. Spojrzenie zielonych jak nefryt oczu księcia było jeszcze twardsze niż wyraz jego twarzy.

Za tymi zmarszczkami, wczesnym postarzeniem i twardością spojrzenia kryło się wiele powodów. Roger MacClintock – nazywany za plecami panem Rogerem albo po prostu księciem -jeszcze dziewięć miesięcy temu wyglądał zupełnie inaczej. Kiedy razem z szefową jego świty, służącym oraz kompanią marines jako obstawą zostali wyrzuceni z Imperial City, załadowani na poobijany, stary okręt desantowy i wysłani z całkowicie pozbawioną znaczenia polityczną misją, książę uznał to za kolejny przejaw niechęci matki do swojego najmłodszego syna. Roger nie był obdarzony dyplomatycznym talentem, tak jak jego starszy brat, książę John, Pierwszy

Następca, ani nie miał wojskowych zdolności starszej siostry, księżnej admirał Alexandry, Drugiego Następcy. W przeciwieństwie do nich, większość czasu spędzał na grze w piłkę zero-G i polowaniu na grubego zwierza. Zachowywał się jak typowy playboy, więc doszedł do wniosku, że matka po prostu uznała, iż przyszła pora, aby się usatkwować i zacząć robić to, co należy do obowiązków Trzeciego Następcy.

Dopiero wiele miesięcy później dowiedział się, że został wyrzucony z miasta w przeczuciu nadchodzących wydarzeń – Cesarzowa dowiedziała się, że wewnątrzni wrogowie Domu MacClintock zamierzają dokonać przewrotu – ale wciąż nie wiedział, czy matka chciała się go pozbyć, by go chronić... czy po to, by go trzymać z dala od walki, gdyż mu nie ufała.

Spiskowcy długo i starannie przygotowywali się do przewidzianego przez jego matkę zamachu stanu. Sabotaż na pokładzie Charlesa DeGloppera, transportowca wiozącego księcia, był zaledwie pierwszym krokiem, chociaż kiedy do niego doszło, ani sam książę, ani ludzie odpowiedzialni za utrzymanie go przy życiu nie zdawali sobie z tego sprawy.

Książę zdawał sobie za to sprawę z tego, że cała załoga DeGloppera poświęciła życie w beznadziejnej bitwie z podświetlnymi krążownikami Świętych, które zastali w układzie Marduk, kiedy uszkodzony okręt wreszcie się do niego dowłókł. Zaatakowali krążowniki – zamiast choćby rozważyć propozycję poddania się tylko i wyłącznie po to, by osłaniać ucieczkę Rogera na pokładzie promów desantowych. I to im się udało.

Roger zawsze wiedział, że marines przydzieleni do jego ochrony traktowali go z taką samą pogardą, jak cała reszta Dworu. Załoga DeGloppera nie miała żadnego powodu, aby odnosić się do niego inaczej, a mimo to zginęli, by go uratować. Oddali swoje życie w zamian za jego życie, i nie byli ostatnimi, którzy to zrobili. Kiedy mężczyźni i kobiety z kompanii Bravo batalionu Brąz Osobistego Pułku Cesarzowej spotykali w czasie marszu przez planetę przeważające siły wroga i wielu z nich – zbyt wielu – ginęło na oczach księcia, młody dandys nauczył się, w najsurowszej ze wszystkich szkół, bronić nie tylko siebie, ale i swoich żołnierzy. Żołnierzy, którzy stali się kimś więcej niż tylko jego obstawą, więcej niż rodziną, więcej niż braćmi i siostrami.

W ciągu tych ośmiu ciężkich miesięcy przeprowiania się przez planetę, kiedy to zawierali sojusze, toczyli bitwy i w końcu zajęli port kosmiczny i okręt, na którego pokładzie Roger stał w tej chwili, młody dandys stał się mężczyzną. A nawet więcej niż mężczyzną. Stał się twardym zabójcą. Dyplomata wyuczonym w szkole, w której dyplomacja i pistolet śrutowy szły ze sobą w parze. Przywódcą, który potrafił dowodzić z tylnych szeregów albo walczyć w pierwszej linii i nie tracić głowy, kiedy wszystko wokół pogrążało się w chaosie.

Ta przemiana nie odbyła się jednak tanim kosztem. Ceną było życie ponad

dziwięćdziesięciu procent ludzi kompanii z Braw. Życie Kostasa Matsugae, służącego i jedynej osoby, która zawsze miała dla Rogera MacClintocka dobre słowo. Nie dla księcia Rogera, nie dla Trzeciego Następcy Tronu Ludzkości, ale po prostu dla Rogera MacClintocka.

Ta przemiana kosztowała życie dowódcy kompanii Bravo, kapitana Armanda Pahnera.

Pahner traktował swojego nominalnego zwierzchnika najpierw jako bezużyteczny balast, który trzeba ochraniać, potem jako porządnego młodszego oficera, wreszcie zaś jako wojowniczego potomka Domu MacClintock. Jako młodego człowieka godnego być Cesarzem i dowodzić batalionem Brąz. Sam zaś stał się dla niego kimś więcej niż przyjacielem. Stał się ojcem, którego Roger nigdy nie miał, mentorem, niemal bogiem. A na samym końcu Pahner wykonał swoje zadanie i ocalił życie Rogera, oddając własne życie.

Roger MacClintock nie pamiętał nazwisk wszystkich poległych. Na początku byli pozbawionymi twarzy istnieniami. Zbyt wielu z nich poległo przy zdobywaniu i obronie Voitan, od włóczni Kranolta, aby mógł zdążyć poznać ich imiona. Zbyt wielu zginęło w kłach atul – niskich, zwinnych mardukańskich jaszczurów. Zbyt wielu zostało zabitych przez flar-ke – dzikie dinozaury spokrewnione z podobnymi do słoni jucznymi flar-ta; ćmy-wampiry i ich jadowite larwy; wędrownych Bomanów; przez morskie potwory rodem z najczarniejszych koszmarów; zbyt wielu poległo od mieczy i włóczni kanibali, „cywilizowanych” Krathów.

Ale jeśli nie wszystkich pamiętał, pamiętał przynajmniej wielu z nich. Młodą operator karabinu plazmowego, Nassinę Bosum, zabitą w wyniku awarii własnej broni podczas jednego z pierwszych starć. Dokkuma, wesołego Szerpę-górolaza, który zginął w chwili, gdy niemal widać już było mury Ran Tai. Kostasa, jedyne go człowieka, który przed całym tym koszmarem uważał, że Roger jest coś wart. Został zabity przez przeklętego mardukańskiego krokodyla, kiedy nabierał wody z rzeki dla swojego księcia. Gronningena, olbrzymiego kanoniera, który zginął w czasie zajmowania mostka okrętu, na którym teraz się znajdowali. Tylu zabitych, a jeszcze tyle przed nimi... Wygląd okrętu Świętych, o który tak zaciekle walczyli, wskazywał, jak brutalna to była walka. Nikt się nie spodziewał, że niewinnie wyglądający frachtowiec jest zamaskowanym okrętem operacji specjalnych, którego załogę stanowili elitarni komandosi Świętych. Ryzyko nieudanego abordażu wydawało się minimalne, ale na wszelki wypadek – śmierć Rogera oznaczałaby, że cały ten przemarsz i wszystkie ofiary poszły na marne – księcia zostawiono w porcie wraz z na wpół wyszkolonymi mardukańskimi sprzymierzeńcami, podczas gdy ocalali członkowie kompanii Bravo polecili zająć „frachtowiec”.

Trzymetrowi, rogaci, czteroręcy, pokryci śluzem autochtoni z Osobistego Pułku Basik pochodzili z kultur przedprzemysłowych. D 'Nal Cord, asi księcia – czyli w

zasadzie jego niewolnik, ponieważ Roger uratował mu życie, ale każdy, kto potraktowałby starego szamana jak sługę, zginąłby, zanim by zrozumiał ogrom swojej pomyłki – i jego bratanek Denat pochodzili z plemienia X'Intai, żyjącego – dosłownie – jak w epoce kamienia łupanego. Vasinowie dosiadający wojowniczych mięsożernych civan byli dawnymi feudalnymi panami, których miasto-państwo zostało starte z powierzchni ziemi przez rozszalałych barbarzyńców Bomanów; teraz stanowili kawalerię Osobistego Pułku Basik. Rdzeń piechoty pochodził z miasta Diaspra; byli to czciciele Boga Wód, budowniczcy i robotnicy, wyszkoleni najpierw jako zdyscyplinowani pikinierzy, a potem strzelcy.

Osobisty Pułk Basik szedł za Rogerem w ogień bitew, kiedy to zniszczono jakoby niepokonanych Bomanów, a potem poprzez nawiedzane przez demony wody ku zupełnie nieznanym łądom. Pułk niosący chorągiew przedstawiającą basika, który stoi na tylnych łapach i szczyrzy długie kły w groźnym grymasie, pokonał kanibali Krathów, a potem zdobył kosmiczny port. W końcu zaś, kiedy marines nie mogli sobie poradzić z niespodziewaną obecnością komandosów Świętych na pokładzie okrętu, znów rzucono ich w ogień walki.

Uzbrojeni w nowoczesną broń-działka śrutowe i plazmowe, które normalnie były obsługiwane przez kilkuosobową załogę albo montowane na pancerzach wspomaganych – wielcy Mardukanie znaleźli się na pokładzie okrętu w drugiej fali desantu i natychmiast ruszyli do ataku. Yasińscy kawalerzyści przemieszczali się z pozycji na pozycję, zaskakując skołowanych komandosów, którzy nie mogli uwierzyć, że „szumowiniaki” używające broni ciężkiej tak jak karabinów naprawdę biegają po całym ich okręcie, otwierają śluzy wychodzące w próżnię i w ogóle sieją zniszczenia i powodują zamieszanie. A tymczasem diasprańska piechota zdobywała jeden punkt oporu po drugim – wszystkie umocnione i zaciekle bronione – stawiając zaporowe ściany ognia plazmowego muszkieterskimi salwami w szeregach, co było ich specjalnością.

Za swoje zwycięstwo zapłacili wysoką cenę. Frachtowiec ostatecznie zdobyto, ale kosztem wielu zabitych i straszliwie poranionych. Sam okręt także był w wielu miejscach popruty po zaciętych pojedynkach ogniowych. Nowoczesne statki z napędem tunelowym były wyjątkowo odporne na zniszczenia, ale projektanci nie przewidzieli, że miałyby wytrzymać ostrzał prowadzony przez pięciu Mardukan maszerujących od grodzi do grodzi i plujących salwami plazmy.

To, co zostało z okrętu, powinno by trafić do profesjonalnego doku, ale taka ewentualność nie wchodziła w rachubę. Jackson Adoula, książę Kellerman, i pogardzany ojciec Rogera, earl Nowego Madrytu, uniemożliwili powrót księcia i jego ludzi, mordując jego brata i siostrę oraz wszystkie dzieci brata, masakrując Osobisty Pułk Cesarzowej i zdobywając całkowitą kontrolę nad samą Cesarzową. Alexandra MacClintock nigdy nie spoufalala się z Jacksonem Adoulą, którym pogardzała i któremu nie ufała, nie była również skłonna poślubić earla Nowego Madrytu, którego

niecnych zamiarów dowiodła jeszcze przed urodzeniem Rogera. A mimo to według oficjalnych serwisów prasowych Adoulą został jej zaufanym ministrem marynarki i najbliższym gabinetowym powiernikiem, a earl wkrótce miał zostać jej mężem. Było to całkowicie zrozumiałe, zauważyli pismacy, ponieważ obaj ci ludzie zapobiegli zamachowi stanu, który był tak bliski powodzenia.

Zamachowi, który – według tych samych oficjalnych serwisów informacyjnych – był dziełem samego księcia Rogera... który w tym czasie walczył o życie z bomańskimi topornikami na słonecznym Marduku.

Delikatnie rzecz ujmując, źle się działo w Imperial City. A to oznaczało, że zamiast po prostu zająć port kosmiczny i wysłać do domu wiadomość: „Mamo, przyjedź po mnie”, wyczerpani wojownicy pod wodzą Rogera stanęli przed zadaniem nie do pozazdroszczenia: odbicia całego Imperium z rąk zdrajców, którzy w jakiś sposób mieli kontrolę nad Cesarzową. Niedobitki kompanii Bravo – cała dwunastka – i pozostałych dwustu dziewięćdziesięciu członków Osobistego Pułku Basik mieli stawić czoła stu dwudziestu układom gwiazdnym o populacji trzech czwartych biliona ludzi oraz niezliczonym żołnierzom i okrętom. A żeby to zadanie nie było za proste, trzeba je było wykonać w jak najkrótszym czasie. Alexandra była bowiem „ciążą” – w macicznym replikatorze umieszczono płód brata Rogera otrzymany z materiału genetycznego jego matki i ojca-a skoro Roger został oskarżony o zdradę, w myśl imperialnego prawa płód ten stawał się w chwili narodzin nowym Pierwszym Następcą.

Doradcy Rogera byli zgodni co do tego, że w momencie otwarcia replikatora życie jego matki będzie warte mniej więcej tyle, ile splunięcie na rozgrzaną blachę.

To właśnie było przyczyną szybko kurczącego się atomowego grzyba. Kiedy Święci w końcu przylecą, aby szukać swojego zaginionego okrętu, albo w układzie pokaże się imperialny nosiciel, żeby sprawdzić, dlaczego Marduk tak długo nie odzywa się do Starej Ziemi, wszystko będzie wskazywać na to, że jakiś piracki okręt złu-pił placówkę, a potem zniknął w otchłani kosmosu. Na pewno nie będzie to wyglądać na pierwszy krok kontrprzewrotu mającego na celu odzyskanie Tronu dla Domu MacClintock.

Roger spojrzął po raz ostatni na monitory na mostku, a potem odwrócił się i poprowadził swoją świtę do mesy oficerskiej. Chociaż sama mesa uniknęła zniszczeń podczas walki, droga do niej była nieco niebezpieczna. Podłoga i grodzie krótkiego korytarza prowadzącego do mostka wyparowały pod ogniem plazmowym obu stron. Zastąpiono je elastyczną kładką z włókna węglowego, po której grupa musiała przejść pojedynczo i bardzo ostrożnie. Dalsza część korytarza nie wyglądała o wiele lepiej. Dużo dziur w podłodze załatano, ale inne obrysowano tylko jaskrawożółtą farbą, grodzie zaś w wielu miejscach nieodparcie kojarzyły się Rogerowi ze staroziemskim szwajcarskim serem.

Wreszcie cała świta pokonała dziury w pokładzie i dotarła do rozsuwanych drzwi mesy. Książę usiadł u szczytu stołu i odchylił się, niby zupełnie swobodnie, na oparcie fotela, a jaszczur zwinął się w kłębek u jego boku. Rzekomy spokój Rogera nikogo jednak nie zwiódł. Książę bardzo się starał tworzyć w każdej sytuacji image zimnokrwistego -naśladował świętej pamięci kapitana Panera – nie miał jednak jego żołnierskiego doświadczenia, dlatego czuło się jego napięcie i gniew.

Patrzył, jak pozostali zajmują swoje miejsca.

D'Nal Cord przycupnął obok jaszczura, milczący jak cień, podpierając się długą włócznią, która służyła mu również za laskę. Wiąż między nim i Rogerem była bardzo interesująca. Chociaż prawa jego ludu czyniły go niewolnikiem księcia, stary szaman szybko uznał za swój obowiązek zadbać o to, żeby ten młody, mocno rozpuszczony arystokrata zmężniał, nie wspominając już o nauce posługiwania się mieczem – bronią, której arkana Cord zgłębiał jako młodzieniec w bardziej cywilizowanych okolicach Marduka.

Jedynym odzieniem szamana była długa spódnica z miejscowej produkcji lendwabiu. Chociaż jego lud XTntai, jak większość Mardukan, nie przywiązywał większej wagi do ubrania, Cord założył tę prostą odzież tylko dlatego, że tak nakazywał zwyczaj w Krathu, i nosił ją dalej, ponieważ ludziom bardzo na tym zależało.

Pedi Karuse, młoda Mardukanka siedząca po jego lewej stronie, była niska jak na mardukańską kobietę. Miała wypolerowane i zabarwione na miodowo-złoty kolor rogi; była ubrana w lekką szatę z błękitnego lendwabiu, a na plecach nosiła skrzyżowane dwa miecze. Była córką wodza Shinów, a jej związek z Cordem był jeszcze bardziej interesujący niż wiąż łącząca szamana z Rogerem.

Jej lud dzielił wiele obyczajów z X'Intai, i kiedy Cord uratował ją z rąk krathiańskich łowców niewolników, została asi szamana, tak samo jak on był asi Rogera. Wkrótce Cord zajął się szkoleniem swojego nowego „niewolnika”... i odkrył wiążące się z tym zupełnie nowe problemy.

Pedi była co najmniej tak samo uparta jak książę i trochę bardziej krnąbrna, jeśli to w ogóle było możliwe. Co gorsza, stary szaman, którego żona i dzieci już dawno nie żyły, odkrył, że jego asi bardzo go pociąga, a przecież żyli w społeczeństwie, w którym stosunki między asi i jego panem były absolutnie zakazane. Tak się pechowo złożyło, że podczas walki z Krathami Cord odniósł niemal śmiertelną ranę, a mniej więcej w tym samym czasie dostał swojej corocznej „rui”. Młoda wojowniczką, której przypadła w udziale opieka nad nim, rozpoznała wszystkie objawy i nie pytając nikogo o zdanie, uznała, że przynajmniej w tym względzie trzeba ulżyć jego udręczonemu ciału.

Cord, wówczas półprzytomny, niczego nie pamiętał. Minęło trochę czasu, zanim zauważył, że jego asi się zmienia, a o tym, że znów ma zostać ojcem, dowiedział się zaledwie przed paroma tygodniami.

Zanim się z tym oswoił, ojciec Pedi stał się jednym z najsilniejszych sojuszników Rogera, i mimo protestów szamana, twierdzącego, że jest za stary i nie nadaje się na męża dla Pedi, zostali małżonkami. Jeśli nawet Shinowie zauważyli, że Pedi jest w ciąży – na plecach wyrastały jej „pęcherze” na dorastające płody – uprzejmie udawali, że tego nie dostrzegają.

Mimo zawarcia małżeństwa honor Pedi jako asi Corda (ciężarnej czy nie) wciąż kazał jej pilnować pleców szamana, tak samo jak on musiał strzec Rogera. Oboje więc niemal bezustannie chodzili za księciem, i chociaż Roger nieraz próbował im uciekać, wcale nie było to łatwe.

Eleanora O'Casey, jedyny ocalały „cywil” spośród pasażerów DeGloppera, zajęła miejsce po prawej ręce księcia. Była szczupłą kobietą o ciemnych włosach i sympatycznej twarzy. Była szefową świty Rogera, chociaż w chwili wylądowania na Marduku nie miała żadnej świty, której mogłaby szefować. Zadanie to przydzieliła jej Cesarzowa, mając nadzieję, że akademickie wykształcenie panny O'Casey – historyka i specjalistki w zakresie teorii politycznej -będzie miało korzystny wpływ na księcia. O'Casey była typowym mieszczuchem z Imperial City, i na samym początku marszu przez planetę wszyscy zastanawiali się, ile wytrzyma. Jak się okazało, pod powierzchownością myszy kryła się jednak stalowa wytrzymałość, a jej znajomość zasad polityki miast-państw w niejednej sytuacji była nie do przecenienia.

Naprzeciw niej usiadła Eva Kosutic, starszy sierżant sztabowy kompanii Bravo i najwyższa kapłanka satanistycznego kościoła Armagh. Miała płaską twarz o grubo ciosanych rysach i ciemne, prawie czarne włosy. Śmiertelnie niebezpieczna w każdym starciu, kompetentna podoficer, teraz dowodziła niedobitkami kompanii Bravo – wielkości mniej więcej drużyny – i pełniła funkcję wojskowego doradcy Rogera.

Plutonowy Adib Julian, jej kochanek i przyjaciel, siedział obok niej. Niedysiejszy zbrojmistrz był typowym żołnierzem-wesołkiem, dowcipnisiem i figlarzem, któremu humor dopisywał nawet w najczarniejszych sytuacjach, ale spojrzenie jego roześmianych czarnych oczu mocno spochmurniało, odkąd stracił swojego najlepszego przyjaciela i ofiarę żartów, Gronningena.

Naprzeciw Juliana siedziała plutonowy Nimashet Despreaux. Była wysoka, miała długie ciemne włosy i była tak piękna, że mogłaby zostać modelką, tym bardziej że większość modelek przechodziła proces rzeźbienia ciała, a figura Despreaux była całkowicie dziełem natury, od wysokiego czoła aż po długie nogi. Potrafiła walczyć tak samo dobrze, jak wszyscy inni siedzący przy tym stole, ale od dawna już się nie

śmiała. Każda śmierć, przyjaciela czy wroga, kładła się ciężarem na jej duszy, była widoczna w jej zachmurzonych pięknych oczach. To samo dotyczyło jej związku z Rogerem. Żadne z nich nie mogło już dłużej udawać – nawet przed samym sobą – że się w sobie nie zakochali, ale Despreaux była dziewczyną ze wsi, z najniższej klasy egalitarnego społeczeństwa Imperium, i odmówiła wyjścia za mąż za przyszłego Cesarza.

Zerknęła na niego, a potem splotła ramiona na piersi i odchyliła się do tyłu, patrząc czujnie spod w półprzymkniętych powiek.

Obok niej, w jednym z wielkich foteli wyprodukowanych z myślą o Mardukanach, siedział kapitan Krindi Fain. Despreaux była wysoka, ale przy nim wyglądała jak karzełek. Były robotnik z kamieniołomów miał na sobie niebieską uprząż diasprańskiego piechura i kilt, który piechota zaczęła nosić w Krathu. On też skrzyżował ramiona – wszystkie cztery – i siedział swobodnie rozparty w fotelu.

Za Fainem stał – tak olbrzymi, że musiał się schylić, żeby nie zaczepiać rogami o sufit – Erkum Pol, osobista ochrona Krindiego, starszy podoficer, pałkarz i jego nieustanny cień. Niezbyt skażony intelektem Erkum wiedział, co zrobić z rękami, dopóki cel pozostawał w zasięgu jego rąk, ale kiedy dostawał karabin, najbezpieczniej było stanąć pomiędzy nim a jego wrogiem.

Naprzeciw Krindiego siedział Rastar Komasa Ta'Norton, niegdysiejszy książę Therdan, odziany w skóry vasińskiej kawalerii. Miał misternie rzeźbione i zdobione klejnotami rogi, jak przystało na księcia Therdan, a w kaburach jego uprząży wisiały cztery mardukańskiej wielkości pistolety śrutowe – również jak przystało na sojusznika Imperium. Rastar walczył kiedyś z Rogerem i przegrał, a potem przystał do niego i stoczył u jego boku wiele bitew. We wszystkich zwyciężał, gdyż pistoletów bynajmniej nie nosił na pokaz. Był prawdopodobnie jedyną osobą na okręcie szybszą od Rogera, mimo że książę miał refleks węża.

Duży fotel obok Rastara zajmował jego kuzyn Honal, który uciekł wraz z nim, torując drogę do bezpiecznego życia kobietom i dzieciom, które przeżyły, kiedy Therdan i reszta księstw pogranicza padły pod naporem Bomanów. To Honal ochrzcił ich mieszany mardukańsko-ludzki oddział mianem Osobistego Pułku Basik. Wybrał taką nazwę jako żartobliwy przytyk do Osobistego Pułku Cesarzowej, do którego należał batalion Brąz, ale żołnierze Rogera uczynili z tej nazwy coś o wiele poważniejszego niż zwykły żart, udowadniając to na wielu polach bitewnych i w niezliczonych drobnych potyczkach. Niski jak na Mardukanina, Honal był świetnym jeźdźcem, doskonałym strzelcem i jeszcze lepszym szermierzem. Był także wystarczająco szalony, by w starciu na pokładzie okrętu wyłączyć miejscowe płyty grawitacyjne i otworzyć pomieszczenie – wraz z obrońcami – na próżnię. Wyjątkowo lubił ludzkie aforyzmy i przysłowia, zwłaszcza starożytną wojskową maksymę głoszącą, że, jeśli „głupi pomysł się sprawdza, to znaczy, że wcale nie jest głupi”. Honal był wariatem,

ale nie głupcem.

Na końcu stołu siedział, przyglądając się świcie Rogera i grupie dowodzenia, agent specjalny Temu Jin z IBI, Imperialnego Biura Śledczego. Jako jeden z wielu agentów wysłanych po to, aby mieć oko na rozproszoną po całej galaktyce imperialną biurokrację, został w wyniku przewrotu odcięty od swoich zwierzchników. W ostatniej wiadomości jego „kontroler” w IBI ostrzegł go, że na Starej Ziemi dzieje się coś złego, i poinformował, że „został na lodzie”. To Temu Jin powiedział Rogerowi, co się stało z jego rodziną, i to on wyświadczył księciu nieocenione przysługi, kiedy przyszła pora zdobyć port i okręt. Teraz mógł się okazać równie przydany przy próbie odzyskania Tronu.

A tego właśnie dotyczyło to zebranie.

–Dobrze, Eleanor, słuchamy – powiedział Roger i opadł na oparcie fotela. Przez ostatni miesiąc był zajęty doprowadzaniem oddziału do porządku i maskowaniem śladów walki w porcie, nie mógł więc poświęcić ani chwili na planowanie, co mają dalej robić. To było zadanie dla jego sztabu, i oto nadeszła pora, aby się przekonać, co ów sztab wymyślił.

–Mamy do czynienia z wieloma problemami – powiedziała Eleanor, włączając swojego pada i przygotowując się do odznaczania kolejnych punktów. – Pierwszy to wywiad, a raczej brak takowego. Jeśli chodzi o wiadomości z Imperial City, dysponujemy jedynie oficjalnymi biuletynami informacyjnymi i dyrektywami, które przyleciały na ostatnim imperialnym statku z zaopatrzeniem. Pochodzą sprzed blisko dwóch miesięcy, więc wszystko, co się wydarzyło od tamtej pory, to dla nas informacyjna próżnia. Nie mamy też żadnych danych na temat stanu marynarki, oprócz podanych do publicznej wiadomości zmian w dowództwie Wielkiej Floty i faktu, że Szósta Flota, zazwyczaj dość skuteczna, ostatnio robiła wrażenie, że nie potrafi sobie poradzić ze zwykłą zmianą miejsca stacjonowania, i wisi beczynn timer w głębokiej przestrzeni. Nie mamy żadnych przesłanek, komu moglibyśmy zaufać, a więc nie możemy nikomu wierzyć, a zwłaszcza dowódcy marynarki, którzy objęli zwierzchnictwo po przewrocie. Drugi problem to kwestia bezpieczeństwa. Wszyscy jesteśmy w Imperium poszukiwani listami gończymi za pomoc udzieloną księciu w rzekomym zamachu stanu. Jeśli ktokolwiek z ocalałych z DeGloppera przejdzie przez imperialne procedury celne albo chociażby zwykły skan w jakimś porcie, dzwonki alarmowe rozzwonią się aż po samo Imperial City. Stronnictwo Adouli musi uwierzyć, że księżę od dawna nie żyje, aby przestali go poszukiwać za coś, czego nie zrobił. Tak czy inaczej, jedno pozostaje pewne: bez kamuflażu nikt z nas nie może postawić stopy na żadnej imperialnej planecie, będziemy też mieli poważne problemy z dostaniem się w jakiegokolwiek miejsce przyjazne Imperium. Trzeci problem to oczywiście samo nasze zadanie. Będziemy musieli obalić obecny rząd oraz odbić pana matkę wraz z replikatorem macicznym, a ponadto nie dopuścić do interwencji marynarki.

–„Kto ma orbitę, ten ma planetę” – zauważył Roger.

–Chiang O'Brien – przytaknęła Eleanora. – Widzę, że pan zapamiętał.

–Mój prapradziadek Lord Dagger, który miał łatwość wysławiania się – Roger zmarszczył brew – mawiał też: „Jedna śmierć to tragedia, milion to statystyka”.

–To akurat zaczerpnął z o wiele starszego źródła, ale uwaga pozostaje słuszna. Jeśli Wielka Flota stanie po stronie Adouli, a przy obecnym dowódcy to pewne, nie wygramy, niezależnie od tego, kogo lub co będziemy mieli po swojej stronie. Musimy też pamiętać o szalonych problemach z uwolnieniem Cesarzowej. Pałac to nie jest zwykły kompleks budynków, to najmocniej ufortyfikowana budowla poza Bazą Księżycową albo Kwaterą Główną Obrony Ziemi. Może wygląda na łatwy do zdobycia, ale tak nie jest. Ponadto możemy być pewni, że Adoula zasilił Osobisty Pułk Cesarzowej własnymi opryszkami.

–Nie będą już tacy dobrzy – zauważył Julian.

–Nie sądzę – odparła ponuro Eleanora. – Cesarzowa może nienawidzić Adouli i nim gardzić, ale jej ojciec traktował go inaczej i nie pierwszy raz Jackson został ministrem marynarki. Umie odróżnić dobrego żołnierza od złego, a przynajmniej powinien, i przy ściąganiu uzupełnień będzie polegał na swym doświadczeniu. Sam fakt, że jego żołnierze pracują dla złego człowieka, niekoniecznie oznacza, że muszą być złymi żołnierzami.

–Będziemy się o to martwić, kiedy przyjdzie pora – powiedział Roger. – Rozumiem, że nie zamierza pani jedynie recytować mi litanii złych wiadomości, które już znam?

–Nie, ale chcę, żeby wszystko było absolutnie jasne. Nie będzie nam łatwo i nie mamy żadnych gwarancji sukcesu, ale mamy pewne atuty. Co więcej, nasi wrogowie też mają poważne problemy. Według wiadomości, jakie posiadamy, w parlamencie już zaczynają padać pytania o przedłużające się odosobnienie Cesarzowej. Premierem jest wciąż David Yang, i chociaż konserwatyści księcia Jacksona wchodzi w skład jego koalicji, on sam i Adoula w żadnym razie nie są przyjaciółmi. Moim zdaniem jednym z ważniejszych powodów, dla których tak desperacko na pana polują, Roger, jest to, że Adoula wykorzystuje „militarne zagrożenie” z pana strony jako pretekst, aby umocnić swoją pozycję ministra marynarki i zrównoważyć wpływ Yanga jako premiera.

–Może i tak – powiedział Roger z wyraźnym gniewem w głosie – ale Yang jest o wiele bliżej Pałacu niż my i musi zdawać sobie sprawę, co się dzieje. Yang może sądzić, że nie żyję, ale cholernie dobrze wie, kto stoi za przewrotem i kto kieruje moją matką, a mimo to niczego w tej sprawie nie zrobił.

–Niczego, o czym byśmy wiedzieli – dodała Eleanora.

Roger spojrział na nią ze złością, ale potem skrzywił się i machnął ręką. Było jasne, że jego gniew nie minął – księżę Roger ostatnio bardzo często się gniewał – ale widać też było, że zgadza się ze swoją szefową świty.

Przynajmniej na razie.

–Z czysto wojskowego punktu widzenia – podjęła po chwili O'Casey – wydaje się oczywiste, że Adoula, mimo stanowiska zwierzchnika imperialnych sił zbrojnych, nie był w stanie wymienić wszystkich oficerów marynarki na swoich ludzi. Założę się, że na przykład kapitan Kjerulf jako szef sztabu Wielkiej Floty nie przytakuje wszystkiemu, co się tam dzieje. To samo dotyczy Szóstej Floty i admirała Helmuta.

–Nie będzie na to wszystko patrzył z założonymi rękami – powiedział z przekonaniem Julian. – Żartowaliśmy kiedyś, że Helmut codziennie rano modli się do wiszącego nad jego łóżkiem obrazka Cesarzowej. Poza tym on jest... no, jasnowidzem. Jeśli coś tam śmierdzi, on na pewno zacznie węszyć, możecie być pewni. A Szósta Flota stanie za nim. Dowodzi nią od lat, to jakby jego osobiste lenno. Nawet jeśli wyślą mu następcę, mogę się założyć, że gdzieś po drodze będzie miał „wypadek”.

–Niektóre z cech admirała Helmuta odnotowano w raportach, które widziałem – wtrącił Temu Jin. – Jako cechy negatywne, dodam. Napisano tam również, że „z bardzo dużą gorliwością” pilnuje, żeby jedynie oficerowie spełniający jego osobiste wymagania, nie tylko w zakresie kompetencji wojskowych, trafiali do jego sztabu, dowodzili jego eskadrami nosicieli i krążowników, a nawet statków flagowych. Jego osobiste lenna są powodem nieustannej troski IBI i Inspektoratu. Jedynie wyraźna lojalność admirała wobec Cesarzowej i Imperium zapobiegła usunięciu go z zajmowanego stanowiska. Osobiście zgadzam się z oceną jego osoby przez plutonowego Juliana.

–Jest jeszcze jedna, ostatnia możliwość. – Eleanora przymknęła oczy, jakby coś w myślach obliczała. – Najbardziej... interesująca ze wszystkich, chociaż w tej chwili niewiele na ten temat wiemy.

Przerwała, a Roger prychnął.

–Nie musisz przybierać pozy „tajemniczego wróża”, żeby zaimponować mi swoją kompetencją, Eleanoro – powiedział sucho. – Może więc zdradzisz nam, jaka to możliwość?

Kobieta zamrugła, a potem posłała mu uśmiech.

–Przepraszam. Chodzi o to, że spora część byłych żołnierzy Osobistego Pułku Cesarzowej przeprowadza się na Starą Ziemię. Oczywiście wielu bierze kredyty kolonizacyjne i wyjeżdża do odległych układów, ale większość pozostaje na planecie.

Po latach służby w Osobistym, jak sądzę, zaścianki wydają im się trochę mniej kuszące niż dla zwykłego emerytowanego marine. A żołnierze Osobistego Pułku Cesarzowej, czy na służbie, czy na emeryturze, zawsze są bezgranicznie lojalni wobec Cesarzowej. Są też... sprytni i mają dobre pojęcie o polityce Imperial City. Będą wyciągać własne wnioski. Nawet jeśli nie wiedzą, że Roger był na Marduku w tym czasie, kiedy rzekomo miał przeprowadzać zamach stanu, będą podejrzliwi.

–Jeśli im się udowodni, że byłem tam, a nie w okolicach Układu Słonecznego... – zaczął Roger.

–Wtedy wybuchną – dokończyła Eleanora, kiwając głową.

–Ilu? – spytał księżę.

–Stowarzyszenie Osobistego Pułku Cesarzowej liczy trzy tysiące pięciuset byłych członków żyjących na Starej Ziemi – odparł Julian. – Archiwa Stowarzyszenia wymieniają ich według wieku, stopnia w chwili odejścia na emeryturę lub ze służby oraz specjalizacji. Podają także ich adresy korespondencyjne i elektroniczne adresy kontaktowe. Część z nich to aktywni członkowie, część nie, ale wszyscy figurują na liście. Wielu jest... sporo za starych na mokrą robotę, ale wielu jeszcze się do tego nadaje.

–Czy ktoś zna któregoś z nich? – spytał Roger.

–Ja znam paru byłych dowódców i sierżantów – odparła Despreaux. – Pułkowym starszym sierżantem sztabowym Stowarzyszenia jest Thomas Catrone. Spotykaliśmy się czasami przy różnych okazjach, ale w naszej sytuacji to się nie liczy. Kapitan Pahner go znał; Tomcat był jednym z instruktorów szkolenia podstawowego.

–Catrone będzie pamiętał Pahnera jako zasmarkanego rekruta, o ile w ogóle będzie go pamiętał. – Roger zastanowił się przez chwilę, potem wzruszył ramionami. – No dobra, pewnie nawet wtedy nie był zasmarkany. Czy mamy jeszcze jakieś atuty?

–Ten – powiedziała Eleanora, zataczając ręką szeroki łuk. – To jest okręt szpiegowski Świętych i ma, szczerze mówiąc, niewiarygodne wyposażenie, między innymi modyfikatory ciała do celów szpiegowskich. Za ich pomocą możemy przeprowadzić modyfikacje, które nam posłużą jako kamuflaż.

–Będę musiał obciąć włosy, prawda? – Roger skrzywił się, co można było uznać za uśmiech.

–Pojawiły się nieco dalej idące sugestie. – Eleanora wydeła usta i zerknęła na Juliana. – Zaproponowano – aby mieć pewność, że nikt pana nie rozpozna i żeby mógł pan zachować długie włosy -żeby pan zmienił płeć.

–Co?! – wykrzyknęli jednocześnie Roger i Despreaux.

–Proponowałem też, żeby Nimashet również zmieniła płęć – wtrącił Julian. – W ten sposób...

Przerwał, kiedy Kosutic wbiła mu łokieć w brzuch. Roger zakaszał, unikając spojrzenia Despreaux, ona zaś tylko popatrzyła wilkiem na Juliana.

–Uznaliśmy jednak wspólnie – podjęła szefowa świty, spoglądając znacząco na plutonowego – że tak daleko idące zmiany nie będą konieczne. Urządzenia mają bardzo duże możliwości, więc wszyscy przejdziemy niemal całkowitą modyfikację DNA. Skóra, płuca, układ trawienny, gruczoły ślinowe – wszystko, co może zostać sprawdzone pobieżnym skanem. Nic nie możemy poradzić na wzrost, ale cała reszta się zmieni. A więc nie ma powodu, żeby nie mógł pan zatrzymać włosów. Będą innego koloru, ale tej samej długości.

–Włosy nie są ważne – powiedział Roger, marszcząc brew. – I tak zamierzałem je ściąć jako... prezent, ale nie było okazji.

Armand Pahner nie znosił włosów Rogera od chwili ich pierwszego spotkania, ale pogrzeb odbył się pośpiesznie, w samym środku zamieszania spowodowanego naprawą okrętu i usuwaniem z powierzchni planety wszelkich śladów bytności Brązowych Barbarzyńców.

–Ale w ten sposób może je pan zatrzymać – powiedziała lekkim tonem Eleanora. – W przeciwnym razie skąd będziemy wiedzieli, że pan to pan? Tak czy inaczej, problem modyfikacji ciała mamy rozwiązany. Okręt ma też inne atuty. Szkoda, że nie możemy nim wlecieć głęboko w przestrzeń Imperium.

–Nie ma takiej możliwości – powiedziała Kosutic, kręcąc stanowczo głową. – Nawet jeśli by się nam udało go połatać, wystarczy, że jakiś średnio kompetentny celnik dobrze mu się przyjrzy, i od razu się zorientuje, że to nie jest zwykły frachtowiec.

–A więc będziemy musieli go porzucić albo sprzedać komuś, kto na pewno zachowa to w tajemnicy.

–Piratom? – Roger skrzywił się i zerknął przelotnie na Despreaux. – Nie chciałbym w żaden sposób wspierać tych mętów. Poza tym nigdy bym im nie zaufał.

–Toteż po przemyśleniu odrzuciliśmy ten pomysł – odparła Eleanora. – Z obu tych powodów, jak również dlatego, że będziemy potrzebowali dużej pomocy, której piraci po prostu nie byłiby w stanie nam udzielić.

–A więc kto?

–Oddaję głos agentowi specjalnemu Jinowi – odpowiedziała szefowa świty.

–Zakończyłem analizowanie informacji, których nie usunięto z komputerów okrętu – powiedział Jin, uruchamiając własny pad. – Nie jesteśmy jedyną grupą, którą interesowali się Świąci.

–Nic dziwnego – prychnął Roger. – To istna plaga.

–Ten okręt – ciągnął Jin – wprowadzał agentów oraz zespoły do działań specjalnych na terytorium Alphan.

–Aha. – Roger zmrużył oczy.

–Na czyje terytorium? – zapytał po mardukańsku Krindi. Ponieważ osobiste implanty komputerowe ludzi potrafiły automatycznie tłumaczyć, językiem zebrania był diasprański dialekt mardukańskiego, znany wszystkim tubylcom. – Przepraszam, ale to jest jakieś nowe ludzkie określenie.

–Alphanie są jedyną nie zdominowaną przez ludzi międzygwiazdną organizacją polityczną, z którą mamy kontakt – powiedziała Eleanora, przybierając ton wykładowcy. – W skład Sojuszu Alphańskiego wchodzi dwanaście planet; ich mieszkańcy to ludzie, Althari i Phaenurowie. Phaenurowie to istoty jaszczuropolobne, które wyglądają trochę jak atul, ale mają tylko dwie nogi i czworo ramion i są pokryte łuskami jak flar-ta. Są też empatami – to znaczy, że umieją odczytywać uczucia – a także telepatami. I bardzo chytrymi negocjatorami, których nie da się okłamać. Althari to rasa wojowników wyglądających trochę jak... No cóż, u was nie ma ich odpowiednika, ale wyglądają jak wielkie niedźwiadki koala. Są bardzo opanowani i honorowi. Wojownikami są głównie kobiety, podczas gdy mężczyźni są raczej inżynierami i robotnikami. Miałam już do czynienia z Alphanami i wiem, że jest to... trudna kombinacja. Trzeba wyklądać karty na stół, bo Phaenurzy natychmiast odkryją, że kłamiesz, a Althari stracą dla ciebie cały szacunek, jeśli takowy mają.

–Z punktu widzenia naszych celów najważniejsze jest to, że posiadamy informacje, których Alphanie potrzebują – podjął wątek Jin. – Chcą znać zarówno stopień spenetrowania ich planet przez Świątych – gdy się dowiedzą, będą raczej zaskoczeni, jak mniemam – jak i prawdę o tym, co się dzieje w Imperium.

–Nawet jeśli chcą to wiedzieć i my im powiemy, to wcale jeszcze nie znaczy, że nam pomogą- zauważył Roger.

–Nie – zgodziła się Eleanora, marszcząc brew – ale są jeszcze inne powody, dla których mogliby to zrobić. Nie powiem, że na pewno nam pomogą, ale to nasza jedyna nadzieja.

–Czy ma pani jakieś propozycje, jak mamy spenetrować Imperium? – spytał Roger.

– To znaczy zakładając, że przekonamy Alphan, aby nam pomogli.

–Tak – powiedziała O’Casey i wzruszyła ramionami. – To nie mój pomysł, ale uważam, że jest dobry. Z początku mi się nie podobał, ale jest bardziej sensowny niż wszystko inne, co wymyśliliśmy. Julian?

Podoficer wyszczerzył w uśmiechu zęby.

–Restauracje – powiedział.

–Co? – Roger zmarszczył brew, niczego nie rozumiejąc.

–Ten pomysł podsunął mi Kostas, niech spoczywa w pokoju.

–Co Kostas ma z tym wspólnego? – zapytał Roger niemal ze złością. Służący był dla niego jak ojciec, a rana po jego śmierci wciąż się jeszcze nie zagoiła.

–Chodzi o te niewiarygodne dania, które wyczarowywał z bagiennej wody i nieświeżych atul – odparł Julian z uśmiechem, tym razem pełnym czułości i smutku. – Rany, cały czas nie mogę uwierzyć w te jego przepisy! Myślałem o nich i nagle przyszło mi do głowy, że Stara Ziemia ciągle szuka „nowości”. Bez przerwy powstają tam restauracje oferujące nowe, nieziemskie – dosłownie -jedzenie. Będzie to wymagało cholernie dużych nakładów, ale cokolwiek wymyślimy, i tak będziemy mieli z tym problem. A więc zrobimy tak: otworzymy w Imperial City sieć nowych, modnych, najbardziej eleganckich lokali podających „autentyczne mardukańskie jedzenie”.

–Zawsze chciałeś coś takiego zrobić – powiedział Roger. – Przyznaj.

–Nie, proszę posłuchać – odparł z zapalem Julian. – Nie przywieziemy tylko samych Mardukan i mardukańskie jedzenie. Ściągniemy wszystko, cały kram. Atul w klatkach, flar-ta, basiki, akwaria z rybami coli. Co tam, przywieziemy Patty! Urządzimy wielkie otwarcie nowej restauracji w Imperial City, takie, że będzie o nim mówić cała planeta. Będzie parada jeźdźców na civan i Diaspranie z tacami atul i basików przybranych jęczmyżem. Rastar będzie siekał mięso w lokalu, tak żeby każdy mógł to zobaczyć. Nie będzie ani jednego człowieka, który by o tym nie słyszał.

–Metoda na „skradziony list” – powiedziała Kosutic. – Nie kryć się, tylko afiszować. Czekają na księcia Rogera, który będzie próbował zakraść się do Imperium? Do diabła, wjedziemy do miasta, dmąc w trąby.

–A wie pan, że restauracja jest świetnym miejscem na spotkania? – spytał Julian. – Kto będzie się przejmował grupą byłych żołnierzy Osobistego Pułku Cesarzowej, którzy urządzają sobie spotkania w najnowszej, najmodniejszej restauracji na

planecie?

–I w ten sposób będziemy mieli cały Osobisty Pułk Basik w samym sercu stolicy – powiedział Roger.

–Właśnie – przytaknął Julian, parszkając śmiechem.

–Ale jest jeden problem – zauważył książę, znów uśmiechając się tylko połową ust.
– To wszystko są marni kucharze.

–To i tak będzie haute cuisine – odparł Julian. – Kto się pozna? Poza tym możemy ściągnąć kucharzy z Marduka. Albo lojalnych wobec nas, albo takich, którzy nie będą wiedzieli, co się dzieje. Tyle tylko, że zostali wynajęci, żeby polecieć na inną planetę i gotować. Pamięta pan ten lokal w Przystani K'Vaerna, nad samą wodą, którego właścicielami są rodzice Tor Flaina? To rodzina doskonałych kucharzy. Takich, którym możemy zaufać, skoro już o tym mowa. A zresztą ilu ludzi mówi po mardukańsku? Na początku udało nam się dogadać tylko dzięki tootsom pana i pani Eleanory. Do tego dochodzi Harvard.

–Harvard?

–Tak, Harvard, o ile pan mu ufa – odparł poważnie Julian.

Roger zastanowił się przez chwilę. Harvarda Mansula, reportera Międzygwiazdowego Towarzystwa Astrograficznego, znaleźli w celi w twierdzy Krathów, którą marines zdobyli. Był wzruszająco wdzięczny za uratowanie go i oddanie mu w stosunkowo dobrym stanie jego ukochanego tri-cama Zuiko. Od tamtej pory nie odstępował Rogera nawet na krok. Nie ze względów bezpieczeństwa, ale dlatego, jak sam szczerze przyznał, że była to jedna z najciekawszych historii wszechczasów. Uwięziony na odludziu książę walczy z barbarzyńcami i ratuje Imperium... zakładając oczywiście, że ktoś z nich przeżyje.

Roger był przekonany, że Mansul nie robi tego wszystkiego tylko dla sławy. On po prostu był lojalny wobec Imperium i wściekły z powodu tego, co się tam działo.

–Chyba mogę mu zaufać – powiedział w końcu. – A czemu?

–Harvard twierdzi, że jeśli wyślemy go przodem, będzie w stanie zamieścić dobry artykuł – może nawet na głównej stronie – w Miesięczniku MTA. Ma ciekawy materiał, a Marduk to jedno z miejsc typu „aż trudno uwierzyć, że takie planety jeszcze istnieją”, które MTA uwielbia. Jeśli przybędziemy zaraz po ukazaniu się jego artykułu, będziemy mieli wspaniałą reklamę. Harvard jest skłonny nam pomóc. Oczywiście wstrzyma się z ujawnieniem najważniejszego, ale już może zacząć przygotowywać dla nas grunt. To będzie nam bardzo potrzebne.

–Dlaczego mam wrażenie, że kapitan Pahner nam się przygląda – powiedział Roger z krzywym uśmiechem – łapie się za głowę i woła: „Wy wszyscy poszaleliście! To nie jest plan, to katastrofa!”?

–Bo to nie jest plan – odparła rzeczowo Kosutic. – To załączek planu, i rzeczywiście jest szalony, gdyż cały ten pomysł jest szalony. Dwanaścioro marines, kilka setek Mardukan i jeden spadkobierca Domu MacClintock mają przejąć władzę w Imperium? Żaden plan, który nie byłby szalony, nie uratuje ani pana matki, ani Imperium.

–Niezupełnie – powiedziała ostrożnie Eleanora. – Jest jeszcze jedno wyjście, które pozwoliłoby nam osiągnąć jedno i drugie: rząd na uchodźstwie.

–Pani Eleanoro, rozmawialiśmy już o tym. – Julian potrząsnął głową. – To się nie uda.

–Może i nie, ale trzeba wyłożyć wszystkie karty na stół – powiedział Roger. – Sztab ma za zadanie przedstawić szefowi wszystkie możliwości, więc chcę i tę usłyszeć.

–Lecimy do Alphan i mówimy im wszystko, co wiemy – podjęła Eleanora, oblizując wargi. – Robimy z tego wielkie przedstawienie. Opowiadamy wszystko każdemu, kto tylko chce słuchać, zwłaszcza przedstawicielom organizacji politycznych. Przy okazji przekazujemy im dane zdobyte na tym okręcie. W parlamencie natychmiast pojawiają się pytania o stan zdrowia pana matki. Po czymś takim byłoby jej o wiele trudniej umrzeć na skutek „wyczerpania spowodowanego żalem i długotrwałą udręką”. Mamy do pomocy Harvarda, znanego przedstawiciela imperialnej prasy, i innych, którzy przyjdą do nas, kiedy coś się zacznie dziać. Mogę zagwarantować, że ta historia przyciągnie wielu ludzi.

–I będziemy mieli wojnę domową – powiedział Julian. – Stronnictwo Adouli zabrnęło za daleko, żeby się teraz wycofać, a nie poddadzą się bez walki. Oni kontrolują dużą część marynarki i korpusu i mają na własność Osobisty Pułk Cesarzowej. Kiedy to zrobimy, Adoula albo zabarykaduje się w Imperial City i ogłosi stan wojenny w Układzie Słonecznym, a wtedy różne floty zaczną swoje wewnętrzne spory, albo, co może być nawet gorsze, ucieknie do swojego sektora z nowo narodzonym dzieckiem, a to po śmierci pana matki będzie oznaczać wojnę domową między dwoma pretendentami do Tronu.

–Część marynarki stanie po jego stronie niezależnie od tego, co zrobimy – dodała Eleanora.

–Nie, jeśli zbijemy króla – odparował Julian.

–To nie szachy – rzuciła z uporem O’Casey.

–Chwila. – Roger podniósł rękę. – Jin?

Agent uniósł brew, a potem wzruszył ramionami.

–Zgadza się – powiedział – że woj na domowa oznacza, iż Święci zajmą tyle układów planetarnych, ile tylko zdołają. Ale dodatkowym plusem planu, o którym żaden z moich przedmówców nie wspomniał, jest to, że bylibyśmy wszyscy stosunkowo bezpieczni. Adoula nie mógłby nas tknąć, gdybyśmy byli pod ochroną Alphan. Jeśli zaoferują nam pomoc, to staną za nami murem, gdyż oni bardzo poważnie traktują takie rzeczy. Mógłby pan żyć pełnią życia, niezależnie od tego, czy Adoulę udałoby się obalić, czy nie.

–Nie wspomnieli o tym, bo to nie wchodzi w grę – powiedział Roger z zaciętą miną. – Oczywiście, to kuszące wyjście, ale pozostawiliśmy za sobą zbyt wielu poległych, żeby myśleć o zaniechaniu naszego obowiązku, bo tak jest „bezpieczniej”. Jedyne pytanie, które się liczy, brzmi: co jest naszym obowiązkiem? A jak pan odpowie na to pytanie?

–Nie ma na niejasnej odpowiedzi – rzekł Jin. – Nie mamy dość informacji, by wiedzieć, czy plan penetracji Imperium i kontrprzewrotu jest choćby w przybliżeniu wykonalny. – Przerwał i wzruszył ramionami. – Jeśli okaże się, że Adouli nie można zaszachować, a my wciąż nie zostaniemy wykryci, będziemy mogli się wycofać, wrócić do Alphan – zakładając, że cały czas mamy ich poparcie – i ruszyć z planem B. Ale jeśli zostaniemy złapani – co jest wysoce prawdopodobne, zważywszy na fakt, że IBI nie jest głupie – Alphanie będą mieli prawo ujawnić całą historię. Nie pomoże to ani nam, ani pana matce, ale najprawdopodobniej bardzo zaszkodzi Adouli.

–Nie – powiedział Roger. – Przyjmiemy ich pomoc pod jednym warunkiem: jeśli nam się nie powiedzie, to będzie koniec.

–Dlaczego? – spytał Julian.

–Odebranie władzy Adouli i uratowanie matki to są ważne rzeczy. Przyznam nawet, że chciałbym przeżyć i jedno, i drugie, ale co jest najważniejszą częścią naszego zadania?

Rozejrzał się po zgromadzonych i pokręcił głową, kiedy wszyscy odpowiedzieli mu mniej lub bardziej zdziwionymi spojrzeniami.

–Zaskoczyliście mnie – powiedział. – Kapitan Pahner odpowiedziałby w sekundę.

–Bezpieczeństwo Imperium – odparł Julian, kiwając głową. – Przepraszam.

–Rozważałem nawet pomysł całkowitego zaniechania prób odzyskania Tronu – kontynuował Roger, przyglądając się im wszystkim z uwagą. – Jedyne powód, dla którego zamierzam spróbować, jest taki, że zgadzam się z matką, iż dalekosiężna polityka Adouli byłaby dla Imperium jeszcze bardziej niebezpieczna niż kolejny

przewrót czy nawet wojna domowa. Jeśli damy mu dość czasu, jest gotów dla osobistej potęgi złamać konstytucję, i temu właśnie musimy zapobiec. Dobro Imperium to zadanie priorytetowe, o wiele, wiele ważniejsze niż dopilnowanie, żeby na Tronie siedział MacClintock. Jeśli nam się nie uda, nie będzie nikogo innego, oprócz Adouli, kto byłby w stanie zapewnić trwanie Imperium. Nie jest to najlepsze rozwiązanie, ale lepsze niż rozpad na kawałki, które byłyby łatwym łupem dla Świętych, Raiden-Winterhowe czy każdego innego, kto wkroczyłby w tę próżnię władzy. Mówimy o trzystu pięćdziesięciu miliardach ludzi. W porównaniu z poważną wojną domową, w której brałoby udział z pół tuzina frakcji, które na pewno zaraz by się pojawiły, Era Daggerów wyglądałaby jak zaszary piknik. Nie. Jeśli nam się nie uda, to trudno, ale nasza śmierć musi przejść bez echa, jak każda inna. To mało bohaterskie, ale dla Imperium najlepsze. I tak się stanie. Czy to jasne?

–Jasne – powiedział Julian, przelękając nerwowo ślinę.

Roger oparł łokieć na poręczu fotela i gwałtownie potarł czoło, zamykając oczy.

–A więc polecimy do Alphan, wymienimy u nich okręt na mniej rzucający się w oczy...

–I na kupę forsy – wtrącił Julian. – Jest tu sporo technologii, której chyba jeszcze nie mają.

–I na kupę forsy – zgodził się Roger, wciąż trąc czoło. – Potem zabierzemy Osobisty Pułk Basik, Patty, kilka atul i basików, i co tam jeszcze...

–Kilka ton jęczmyżu – podpowiedział mu Julian. – I otworzymy sieć restauracji.

–Przynajmniej jedna musi być w Imperial City – zauważył Julian. – Może nad starą rzeką; kiedy odlatywaliśmy, właśnie podnosili standard tamtej okolicy.

–A potem jakoś to wykorzystamy, żeby opanować Pałac, zaszachować Wielką Flotę i nie dopuścić, żeby Adoula zabił moją matkę – dokończył Roger. – Czy taki jest nasz plan?

–Tak – odpowiedziała Eleanora cichym głosem, wbijając wzrok w stół.

Roger spojrzął w sufit, jakby szukał tam natchnienia. Potem wzruszył ramionami, sięgnął do tyłu i zaczął się bawić kucykiem, rozglądając się po pomieszczeniu.

–W porządku – powiedział wreszcie. – Do roboty.

* * *

–Cześć, Beach – rzekł Roger.

–Nie mogę uwierzyć, że zrobiliście coś takiego z moim statkiem! – odparła ze złością była oficer Świętych. Miała całą twarz i ręce w sadzy i właśnie wyczołgiwała się tyłem z dziury w grodzi.

Amanda Beach tak naprawdę nigdy nie wierzyła w Świętych. Ich filozofia, zwłaszcza praktykowana przez obecną władzę, była jej zdaniem gównem warta.

Imperium Cavazańskie było prężnie rozwijającym się organizmem politycznym, dopóki niedługo po Erze Daggerów na jego tron nie wstąpił Pierpaolo Cavaza. Był gorliwym członkiem Kościoła Rybacka, organizacji, której celem było usunięcie ze Wszechświata „humanocentrycznej” zarazy. Wzywała ona wszystkich ludzi do powrotu do Układu Słonecznego i odbudowania – w pierwotnej postaci – wszystkich „zniszczonych” światów.

Pierpaolo zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe, ale wierzył, że można powstrzymać ludzi przed dalszą ekspansją i niszczeniem kolejnych „nieskażonych” planet, dlatego niedługo po objęciu tronu zaczął realizować swój „Nowy Program”. Nakazał ostre ograniczenie zużycia „niepotrzebnych” surowców przez ich bezwzględne racjonowanie, a jednocześnie prowadził agresywną, ekspansjonistyczną politykę zagraniczną, by zapobiec dalszemu niszczeniu przez „nieświętych” światów, które pozostawały w ich władaniu, poprzez odebranie ich i przekazanie w bardziej odpowiednie ręce.

Z nieznanymi przyczynami duża liczba podwładnych Pierpaolo uważała, że tej inicjatywie daleko jest do ideału, co doprowadziło do krótkiej, lecz krwawej wojny domowej. Pierpaolo wygrał wojnę, udowadniając przy okazji, że mimo oblędu potrafi być równie bezwzględny, jak jego przodkowie.

Od tamtej pory Święci, jak nazywała ich cała reszta galaktyki, bezustannie głosili ideę „uniwersalnej harmonii” i „ekologicznego oświecenia”, atakując przy każdej okazji wszystkich swoich sąsiadów.

Awansując o kolejne stopnie w marynarce handlowej Świętych, Beach miała wiele sposobności, by poznać drugą stronę ich filozofii, którą najkrócej oddawało stwierdzenie: „Maluczcy na nic nie zasługują, władcy mogą żyć jak królowie”. Wysoko postawieni członkowie władz wojskowych i cywilnych Świętych żyli w pałacach, podczas gdy ich poddaniom ograniczono wszystkie, nawet najbardziej przyziemne, potrzeby i przyjemności. Kiedy w „świętych centrach” trwały w najlepsze ekstrawaganckie bale, ludziom poza nimi wyłączano prąd o godzinie 21:00; gdy ludzie odżywiali się „minimalnymi racjami”, władze urządzały sobie uczyty. Ludzie mieszkali w jednakowych segmentach z betonu i stali, dzień za dniem na skraju przetrwania, przywódcy zaś mieszkali w posiadłościach i małych przytulnych domkach w najprzyjemniejszych, najbardziej malowniczych zakątkach planety.

Ponadto biurokracja Imperium Cavańskiego rozstrzygała na przykład o tym, czy człowiek, który potrzebuje przeszczepienia serca, zasługuje na to czy nie, czy nowo narodzone dziecko – o jedno za dużo – musi umrzeć, czy ktoś może mieć dom, czy też nie może go mieć.

Beach zbyt długo przebywała wśród innych społeczeństw, żeby nie dostrzegać ciemnej strony filozofii Rybacka. Święci mieli największy przyrost naturalny ze wszystkich ludzkich społeczności Sześciu Państw, mimo że podobno stosowali się do zasad programu ograniczania liczby dzieci, oraz najniższy standard życia i – co nie było zaskoczeniem, ponieważ te dwie rzeczy często się ze sobą łączą- najniższy współczynnik indywidualnej produktywności. Ale jeśli jedynym celem życia jest wychowywanie dwojga dzieci skazanych na niewolniczą harówkę do końca swoich dni, po co się starać? Poza tym cavazańskie miasta miały ogromne problemy z zanieczyszczeniami. Większość z nich funkcjonowała na minimalnym poziomie niezbędnym do przeżycia, głównie przez swoją gównianą produktywność, i nikt się nie przejmował zanieczyszczeniami.

Podczas służby we flocie handlowej Beach odwiedziła Starą Ziemię i była nią zachwycona. Wszyscy wyglądali... kwitnąco. Dobrze odżywieni, weseli, zadowoleni z siebie i życia. Ulice były czyste i nie było na nich widać włóczęgów ani nędzarzy, którzy stracili ręce w wyniku przemysłowych wypadków i zostali wyrzuceni na bruk. Byle wyciek chemikaliów od razu stawał się głośnym wydarzeniem. Nikt się specjalnie nie przepracowywał; wszyscy po prostu robili swoje, porządnie, szybko i sprawnie.

A imperialne statki! Ich efektywność doprowadzono wręcz do obłędu. Kiedy zapytała jednego z imperialnych stoczniovców, dlaczego tak jest, wyjaśnił jej – powoli, prostymi słowami, jakby tłumaczył dziecku albo osobie niedorozwiniętej – że gdyby statki były mniej efektywne niż okręty konkurencji i nie potrafiły przewieźć maksimum ładunku przy minimalnych kosztach (zarówno zużycia energii, jak i załadunku i rozładunku), ich klienci przenieśliby się właśnie do konkurencji.

Grodzie i panele sterowania na imperialnych statkach były ze względów bezpieczeństwa ślicznie zaokrąglone. Systemy kontroli biegły najkrótszymi możliwymi trasami i były maksymalnie funkcjonalne. Silniki zużywały co najmniej dziesięć procent mniej energii niż jakikolwiek statek Świętych i o wiele rzadziej wybuchały po włączeniu napędu tunelowego albo przy maksymalnym obciążeniu kondensatorów. I były tanie. Oczywiście relatywnie, gdyż żaden statek z napędem tunelowym nie był tak naprawdę tani.

Statki Świętych natomiast były budowane w rządowych stoczniach przez robotników spitych tanim bimbrem, jedynym dostępnym wówczas alkoholem, albo naćpanych jakimś narkotykiem. Budowa trwała więc trzy razy dłużej, kontrola jakości była straszna, a skutek nędzny.

Szmaragdowy Świt był imperialnym frachtowcem, przerobionym w małej imperialnej stoczni, która była tak zadowolona z otrzymania zlecenia, że nie zadawała żadnych niepotrzebnych pytań. Gdyby tę pracę wykonała któraś z kiepskich stoczni Świętych, różnica w jakości natychmiast rzuciłaby się w oczy i Mardukanie prawdopodobnie roznieśliby okręt na strzępy całkowicie, a nie tylko w połowie.

Oficjalnie Kościół Rybacka dążył do zapewnienia jak najlepszych warunków środowiskowych, ale Amanda czasem się zastanawiała, czy gdyby rzeczywiście udało mu się osiągnąć poziom „czystości” Imperium, z którym tak zaciekle walczył, czy ludzie postrzegaliby takie „skażenie” jako rzeczywiście duże zagrożenie? Czy robotnicy troszczyliby się o środowisko? Czy Kościół Rybacka mógłby się utrzymać, gdyby środowisko było czyste, a jednocześnie ludzie co wieczór szliby spać głodni?

Jej dowódca na Świcie, Fiorello Giovanucci, był prawdziwie wierzącym człowiekiem. Nie był głupi; dostrzegał obłudę systemu, ale ją ignorował, gdyż nie zaburzała jego wiary w podstawowe zasady Kościoła. Był dowódcą właśnie dlatego, że wierzył; tylko szczerzy wyznawca mógł dowodzić okrętem, zwłaszcza okrętem, który przez tyle czasu wykonywał różne dziwne zadania. A kiedy stało się jasne, że abordaż Osobistego Pułku Basik zakończy się zwycięstwem, Giovanucci uruchomił sekwencję samozniszczenia.

Na jego nieszczęście system miał pewną drobną wadę. Owszem, tylko prawdziwi wyznawcy zostawali dowódcami okrętów, ale nie tylko oni mogli wyłączyć mechanizm autodestrukcji. Kiedy więc Giovanucci został... zdjęty ze stanowiska przez jak zwykle sprawnych imperialnych, Beach nie miała nic przeciw temu, żeby to zrobić.

Sam Giovanucci nie miał już do odegrania żadnej roli w niczyich planach, może z wyjątkiem boskich zamysłów, więc po kapitulacji próbował wraz z najstarszym podoficerem zabić Rogera „jednostrzałówkami” – specjalną ręczną bronią przeciwpancerną. Sierżant zginął, ale tylko ofiara własnego życia złożona przez Armanda Pahnera uratowała księcia przed jednostrzałówką Giovanucciego. Ponieważ rejs Świtu był nielegalny – a nawet był aktem piractwa, gdyż między Imperium a państwem Świętych oficjalnie panował pokój – groziła za to kara śmierci. Według ogólnie przyjętego prawa wojennego próba zamachu na Rogera po kapitulacji również była karana śmiercią, dlatego po skrupulatnie uczciwym procesie przed sądem wojskowym Giovanucci stał się męczennikiem, którym tak bardzo chciał zostać.

Amanda Beach nie miała rodziny w Imperium Cavazańskim. Wychowała się w państwowym sierocińcu i nie знаła nawet swojej matki, nie wspominając już o ojcu. Dlatego kiedy stanęła przed wyborem między śmiercią a spaleniem za sobą wszystkich mostów, spaliła je, i to z wielkim entuzjazmem.

A zaraz potem odkryła, co ci cholerni imperialni i ich szumowiniaki zrobili z jej okrętem.

–Jeszcze tylko sześć centymetrów – powiedziała ze złością, stając przed księciem i pokazując ten odcinek palcem wskazującym i kciukiem – i jeden z tych waszych durnych Mardukan otworzyłby dziurę tunelową. A tak tylko spalił magnesy.

–Ale nie otworzył dziury – zauważył Roger. – A więc kiedy będziemy mieli zasilanie?

–Zasilanie? To robota dla dużej stoczni, niech to szlag! Mamy tylko kilku techników z portu, którzy chcieli się z nami zabrać, kilku waszych żołnierzy i mnie! A ja jestem astrogatorem, a nie inżynierem!

–A więc kiedy będziemy mieli zasilanie? – powtórzył spokojnie ksiązę.

–Za tydzień. – Beach wzruszyła ramionami. – Może za dziesięć dni. Może prędzej, ale wątpię. Będziemy musieli pociągnąć na nowo jakieś osiemdziesiąt procent łącz kontrolnych i wymienić wszystkie uszkodzone magnesy. No, te najbardziej uszkodzone. Mamy za mało zamienników, żeby wszystkie wymienić, więc te, które tylko się przypaliły, będziemy musieli naprawić. Nie jestem z tego zadowolona, delikatnie mówiąc. Rozumie pan, że gdyby to był prawdziwy frachtowiec, nawet to nie byłoby możliwe? Molekularne obwody sterowania są tam montowane w samym szkielecie statku. My na szczęście jesteśmy na tyle zmodyfikowani, że możemy się do nich dostać, żeby naprawić uszkodzenia, ale nawet w najśmielszych snach nie spodziewaliśmy się czegoś takiego.

–Gdyby to był prawdziwy frachtowiec – powiedział Roger już trochę mniej spokojnie – nie dokonalibyśmy takich zniszczeń i nie mielibyśmy tylu zabitych. A więc będziemy mieli zasilanie za tydzień. Czy możemy coś zrobić, żeby to przyspieszyć?

–Nie, chyba że ściągniecie tutaj ekipę ze stoczni Nowego Rotterdamu – powiedziała ze znużeniem Beach. – Każdy, kto ma jakieś przeszkolenie, już pracuje, zresztą nie przeszkoleni też. Niewiele brakowało, a mielibyśmy już kilka paskudnych wypadków. Praca przy tym poziomie mocy to nie zabawa. Elektryczność czuć, słyszeć i widać, ale za każdym razem, kiedy uruchamiamy jakiś obwód, żeby sprawdzić, czy jest cały, jestem pewna, że za chwilę usmażymy jakiegoś biednego durnia, człowieka albo Mardukanina, który nie wie, co to znaczy „nie dotykać”.

–W porządku, tydzień do dziesięciu dni – powiedział Roger. – Odpoczywacie trochę?

–Czy odpoczywamy? – powtórzyła z niedowierzaniem Beach, szykując się do następnej tyrady.

–Rozumiem, że to znaczy „nie”. – Roger znów wykrzywił lekko usta. – Odpoczynek

to ważna rzecz. Macie pracować nie więcej niż dwanaście godzin dziennie; niech pani wymyśli, jak to zrobić. Praca przez ponad dwanaście godzin przez kilka dni z rzędu doprowadza do tego, że ludzie zaczynają robić błędy.

–Będziemy mieli problem z czasem – zauważyła Beach.

–To nic. I tak mamy nowy projekt, który będzie wymagał załadowania dużej ilości... specjalnych materiałów. Dziesięć dni powinno wystarczyć. A jeśli wysadzicie okręt w powietrze, będziemy musieli zaczynać wszystko od początku. Jak pani słusznie zauważyła, jest pani astrogatorem, a nie inżynierem. Nie chcę, żeby zaczęła pani robić błędy z powodu zbyt dużego zmęczenia.

–Pracowałam w maszynowni – powiedziała Beach, wzruszając ramionami. – Nie jestem specem, ale trochę się na tym znam. A Vincenzo jest chyba lepszym mechanikiem niż świętej pamięci szef.

Bardzo lubi robić rzeczy, które nie są zgodne z regulaminem, ale działają. A ponieważ regulamin pisali idioci ze Świata Rybacka, i tak nic nie jest wart. Damy sobie radę.

–Dobrze, ale najpierw odpocznijcie. Proszę ustalić harmonogram prac na jutro, a potem iść spać. Jasne?

–Jasne – odparła Beach i wyszczerzyła w uśmiechu zęby. – Będę słuchać każdego, kto mi każe olać robotę.

–Kazałem ograniczyć ją do dwunastu godzin dziennie, a nie olewać. Ale teraz, dzisiaj, ma pani odpocząć. Może pani nawet napić się piwa. Niech mnie pani nie zmusza, żebym przysłał po panią straż.

–Dobrze, dobrze, rozumiem – odparła była Święta, a potem pokręciła głową. – Sześć cholernych centymetrów...

* * *

Roger szedł dalej korytarzem, rozglądając się dookoła i czasem zamieniając kilka słów z technikami, gdy nagle dobiegł go nieustanny potok przekleństw.

–Kurwa, ten jebany sprzęt jebanych Świętych...

Zobaczył dwie krótkie nogi machające w tę i z powrotem i rękę, która próbowała sięgnąć do skrzynki z narzędziami, będącej poza jej zasięgiem.

–Jak złapię ten jebany klucz, to wtedy, kurwa, zobaczymy, czy nie będziesz działać...

Plutonowy Ramon Poertena, w chwili lądowania na Marduku zbrojmistrz kompanii Bravo, pochodził z Pinopy, na wpół tropikalnej planety archipelagów, z jednym niewielkim kontynentem zasiedlonym głównie przez kolonistów z Południowo-Wschodniej Azji, i był czymś w rodzaju anomalii albo zła koniecznego.

Osobisty Pułk Cesarzowej przyjmował tylko najlepszych żołnierzy, zarówno pod względem ich umiejętności bojowych, jak i ogólnego prowadzenia się, zezwalał jednak na pewne odstępstwa w przypadku personelu pomocniczego, takiego jak zbrojmistrz oddziału, którego można było nie pokazywać podczas różnych publicznych wystąpień. W przypadku Poerteny było to zrządzenie losu, gdyż w przeciwnym razie nigdy nie przyjęto by na służbę człowieka, który nie potrafił wymówić trzech słów bez wtrącenia między nie choćby jednej „kurwy”.

Od chwili wylądowania na Marduku Poertena niezliczoną ilość razy sprawiał cuda za pomocą swojej osławionej „wielkiej, kurwa, torby”, a kiedy nie można było liczyć na cuda, dokonywał znaczących zmian w opornych urządzeniach za pomocą równie sławnego „wielkiego, kurwa, francuza”. Ostatnio jako jeden z niewielu marines z przeszkoleniem technicznym pomagał przy naprawach okrętu... oczywiście w charakterystyczny dla niego, nie do podrobienia, sposób.

Roger nachylił się i lekko pchnął skrzynkę umieszczoną na anty-grawitacyjnej poduszce w stronę macającej na oślep dłoni. Ręka zanurkowała do środka i wyciągnęła stamtąd klucz francuski długości ludzkiego ramienia. Potem – nie bez trudności i przy akompaniamencie przekleństw – wciągnęła go do otworu, skąd po chwili rozległa się seria głośnych szczęknięć.

–Właż, kurwi synu! Będziesz mi tu, kurwa...

Coś głośno zahuczało, strzeliło... i rozległ się wrzask, a potem wzmożony potok przekleństw.

–To tak chcesz się bawić, ty jebany...

Roger pokręcił głową i poszedł dalej.

*** * ***

–Włażże, głupia! – krzyknął książę i wymierzył solidnego kopniaka pod pancerną kryzę.

Patty była flar-ta – sześcionożnym mardukańskim zwierzęciem jucznym rozmiarów słonia, przypominającym trochę triceratopsa. Flar-ta miały na głowach szerokie pancerne tarcze i krótkie rogi, o wiele krótsze niż dzikie flar-ke, od których w oczywisty sposób się wywodziły. Rogi Patty były jednak jakieś dwa razy dłuższe niż normalnie u flar-ta; najwyraźniej dostało się jej więcej „dzikich” genów niż jej

pobratymcom. Poganiacze ledwie sobie z nią radzili, i Brązowi Barbarzyńcy już dawno doszli do wniosku, że Roger jest w stanie na niej jeździć tylko dlatego, że jest tak samo krwiożerczy jak ten wielki wszystkożerca. Patty miała boki pokryte bliznami; części z nich dorobiła się w walkach o pozycję „krowy alfa” w stadzie flar-ta, których marines używali jako zwierząt jucznych, a część zdobyła już z Rogerem na grzbiecie, walcząc z Mardukanami i ich zwierzętami.

Teraz zaryczała niskim, ochrypłym głosem i zaczęła się wycofywać z ciężkiej towarowej rampy promu. Miała już za sobą jeden lot takim pojazdem, i to wszystko, na co była skłonna się zgodzić. Mocna lina przywiązana do uprzęży na jej łbie nie pozwoliła jej wycofać się zbyt daleko, ale potężny prom aż zadrżał i zazgrzytał płozami, kiedy Patty wrzuciła wsteczny bieg na wszystkich sześciu nogach.

–Roger, niech pan nie pozwoli jej zaciągnąć promu z powrotem do Diaspry, dobrze?
– Prośba Juliana była poparta głośnym śmiechem.

–Dobrze, ty potworze! Skoro tak chcesz... – powiedział Roger, ignorując niestosowną wesołość podoficera.

Zsunął się po boku zwierzęcia i zwinnie zeskoczył na ziemię, odbijając się od jego przedniej łapy, po czym obszedł Patty dookoła, ignorując fakt, że w każdej chwili mogła go zgnieść jak robaka. Wszedł na rampę, stanął pod samym przedziałem towarowym i oparł ręce na biodrach.

–Ja lecę tym czymś na statek – oznajmił – a ty możesz sobie zostać.

Flar-ta wydała z siebie cichy, piskliwy jęk jak olbrzymi przerażony kocur i potrząsnęła łbem.

–Jak sobie chcesz.

Roger odwrócił się i skrzyżował ręce na piersi.

Patty przez chwilę patrzyła na jego plecy. Potem jeszcze raz zapiszczała i postawiła olbrzymią łapę na rampie. Nacisnęła parę razy, sprawdzając stabilność podłoża, a potem powoli wspięła się na górę.

Roger wybrał luźną linę, przeciągając ją przez pierścień na przedniej grodzi przedziału, a kiedy Patty była już cała w środku, zabezpieczył ją, przywiązując jak najbliżej środkowej linii. Potem podszedł, żeby poczochrąć wielkiego jaszczura.

–Gdzieś tu mam daktiwi – mruknął, przeszukując kieszenie. Podniósł cierpki owoc do dzioba Patty – ostrożnie, gdyż mogłaby jednym kłapnięciem odgryźć mu rękę – a ona delikatnie zlizwała go z jego dłoni.

–Pojedziemy teraz na małą przejażdżkę – powiedział. – Nie będzie żadnych problemów. To tylko krótka podróż.

Flar-ta można było powiedzieć cokolwiek, one rozpoznawały tylko ton głosu.

Podczas kiedy Roger uspokajał Patty, dookoła zebrali się mardu-kańscy poganiacze, aby przymocować łańcuchy do jej nóg i uprzęży. Flar-ta poruszyła się z irytacją- łańcuchy zadzwoniły o dodatkowe pierścienie zabezpieczające – ale mimo to poddała się temu poniżającemu traktowaniu.

–Wiem, że ostatnio poświęcałem ci mało czasu – mruczał Roger, wciąż ją drapiąc – ale będziemy go mieli dla siebie bardzo dużo w drodze na Althar Cztery.

–Co pan z nią robi na pokładzie statku? – spytał Julian, wchodząc do przedziału przez przedni właz osobowy z wielkim wiklinowym koszem jęczmyżu. Postawił go przed Patty, a ona natychmiast zanurzyła w nim pysk, rozsypując połowę ziarna po pokładzie.

–Wsadzę ją do ładowni numer dwa razem z Winstonem – odparł Roger, sięgając po kij, żeby podrapać zwierzę w kark pod pancerną kryzą. Winston – wykastrowany samiec – był jeszcze większy niż Patty, ale łagodniejszy.

–Miejmy nadzieję, że nie wywali grodzi – mruknął Julian, chociaż mógł się tym nie przejmować. Drzwi ciśnieniowe luków towarowych były bowiem zrobione z chromframu, najmocniejszego i najcięższego stopu znanego człowiekowi... i wszystkim innym gatunkom myślącym. Nawet zapadki i plomby były tak osłonięte, że Patty nie dałaby rady ich zniszczyć.

–Z tym raczej nie będzie problemu – powiedział Roger. – Za to w tej chwili może by problem z nakarmieniem jej.

–Nie tak duży jak z karmieniem civan – mruknął Julian.

*** * ***

–Przestań!

Honal strzelił w pysk civan próbującego odgryźć mu ramię. Nigdy nie należy pozwalać tym agresywnym, złośliwym zwierzętom zapominać, kto jest górą, ale Honal doskonale rozumiał, dlaczego wierzchowiec jest niespokojny. Cały statek drżał.

Ładowano na niego bardzo dużo towarów. Mrożone ryby coli z Przystani K'Vaerna, daktiwi i lendwab z Marshadu, jęczmyż z Diaspyry i Q'Nkok oraz flar-ta, atul i basiki – żywe okazy i mięso – z Ran Tai, Diaspyry i Voitan. A także artefakty – ozdoby i

przedmioty na handel – z Krathu oraz klejnoty i metalowe ozdoby Shinów. Wszystko to, z wyjątkiem towarów z Krathu, kupiono. W tym jednym wypadku Roger zrobił wyjątek od reguły, że nie należy wymuszać trybutu; wylądował po prostu promem i rozkazał go napęlić aż po sufit. Wciąż był zły za próbę potraktowania Despreaux jako jednej ze „Sług Bożych” – ofiar, które miały być żywcem zarżnięte i zjedzone – i wcale się z tym nie krył. Jeśli nawet wszystkie zbryzgane krwią świątynie-jatki Krathów zostaną odarte z ozdób i złocień, tym lepiej.

Tak więc Honal, który nie mógł zgodzić się ze swoim ludzkim księciem, że „daniny nie są dobrym pomysłem”, doskonale wiedział, dlaczego rumor towarzyszący załadunkowi, nie wspominając już o obcych zapachach uszkodzonego okrętu i dziwnym świetle lamp, denerwował civan, które i tak z reguły były niespokojne. A kiedy civan się denerwowały, całe ich otoczenie denerwowało się... i bało o swoje życie.

Civan były czterometrowymi dwunogimi wierzchowcami, przypominającymi wyglądem małe tyranozaurowy. Były wszystkożerne, najlepiej jednak służyła im dieta zawierająca mięso, dlatego często miały ochotę na rękę albo nogę swojego jeźdźca. Z tego samego powodu traktowały wroga jako źródło pożywienia, dlatego były doskonałymi wierzchowcami dla kawalerii... pod warunkiem, że udało się zmusić do odróżnienia wroga od przyjaciela.

Jeżdżący na nich Vasinowie byli aż do czasu nadejścia Boma-nów najgroźniejszą jazdą po diasprańskiej stronie głównego kontynentu Marduka.

Bomani już od pokoleń stwarzali problemy, ale dopiero w ciągu ostatnich kilku lat zorganizowali się i urosli w siłę na tyle, że zaczęli stanowić prawdziwe zagrożenie. Vasińscy władcy, potomkowie barbarzyńców, którzy nadeszli z północy zaledwie kilka pokoleń przed Bomanami, powstrzymywali napór nowych dzikusów z północnych równin, natomiast bardziej cywilizowane miasta-państwa, takie jak Sindi, Diaspra i Przystań K'Vaerna, płaciły daninę, żeby obronić południe przed barbarzyńcami.

Kiedy jednak Bomani połączyli swoje siły pod przywództwem wielkiego wodza Kny Camsana, udało im się przeważającymi liczebnie atakami piechoty zmiażdżyć vasińską jazdę. Ponadto systematyczne sabotowanie zaopatrzenia vasińskich miast w żywność przez władcę Sindi -jednego z miast, których mieli bronić – skutecznie zniweczyło ich tradycyjną strategię obrony. Głodujące garnizony nie były w stanie wytrzymać długotrwałych oblężeń; vasińskie zamki i ufortyfikowane miasta jedno po drugim padały, a ich obrońcy i mieszkańcy byli wyrzynani w pień. Potem Bomani zdobyli Sindi i skazali wyrachowanego władcę oraz jego sprzymierzeńców na powolną śmierć.

Bez wątplenia zniszczyliby także Przystań K'Vaerna i starożytną Diasprę, gdyby nie

nadejście sił Rogera. Ocalały sprzęt marines i tysiące lat wojskowego doświadczenia, a także „importowana” technologia – formacje pikinierów, karabiny, muszkiety, artyleria, a nawet czarnoprochowe rakiety – umożliwiły stworzenie sojuszu przeciwko Bomanom i pokonanie ich w niedawno przez nich zdobytej cytadeli w Sindi.

Cały okupowany przez barbarzyńców obszar został odzyskany, a ich samych zmuszono do osiedlenia się na terenach zarządzanych przez lokalną władzę albo wypędzono z powrotem poza północne granice. Odbito nawet zamki Vasinów, a właściwie to, co z nich zostało. Ostatnie niedobitki Bomanów przepędzono, kiedy tylko ludzie zdobyli port kosmiczny i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żadnych Świętych, mogli wykorzystać przeciwko nim promy bojowe i ciężką broń.

Honal i Rastar mogli już wracać do swoich domów, ale wystarczyło im jedno spojrzenie na zrujnowane fortyfikacje i domy, w których dorastali i w których zginęli ich rodzice, krewni i przyjaciele, aby wrócić do portu razem z Rogerem i zostawić przeszłość za sobą. Vasińscy wojownicy – nie tylko ci, których Honal i Rastar wyprowadzili z ruin Therdan, żeby osłonić ewakuację kobiet i dzieci, które przeżyły upadek miasta, ale również niedobitki z innych miast – zostali poddanymi księcia Rogera MacClintocka, następcy Tronu Ludzkości. Reszta ocalałych pozostała na Marduku; przeniesiono ich do nowych domów w pobliżu Voitan i wyposażono w imperialny sprzęt miejscowej produkcji, zapewniający im przetrwanie i bezpieczeństwo.

Honal musiał przyznać, że gdyby nie okoliczności jego wyjazdu -cała jego rodzina zginęła, tak samo jak bliscy Rastara – myśl o towarzyszeniu Rogerowi w podróży wywołałaby jedynie przyjemne podniecenie. Zawsze miał zamiłowanie do włóczęgi, prawdopodobnie dziedziczone po swoich przodkach-nomadach, nie wspominając o matce – bomańskiej brance, a poza tym bardzo niewielu Mardukan miało możliwość zobaczenia innych planet.

Ale podróż oznaczała także, że trzeba ulokować civan na pokładzie okrętu. Już te łupiny, na których przepływali Zachodni Ocean, były wystarczająco złe; statki kosmiczne okazały się jeszcze gorsze. Przede wszystkim w tle bezustannie słychać było jakieś buczenie. Honalowi powiedziano, że to zasilające okręt reaktory fuzyjne – cokolwiek by to było – ładowały przez ostatnie dwa dni „kondensatory napędu tunelowego” (znów te trudne słowa). Grawitacja była słabsza niż na Marduku, co pozwalało na pewne interesujące wariacje treningu bojowego. Podobnie jak większość Mardukan, Honal bardzo polubił ludzką grę zwaną „koszykówką”, ale kiedy tylko ludzie zobaczyli Mardukan frunących bez trudu w powietrzu i pakujących piłki do kosza, natychmiast zaczęli nalegać, żeby zawiesić kosze dwa i pół razy wyżej niż określały to przepisy. O ile jednak Mardukanom mniejsze ciężenie bardzo się podobało, o tyle civan go nie lubiły i wyładowywały swoje niezadowolenie na opiekunach i jeźdźcach.

Honal rozejrzał się po wielkiej ładowni. Inni kawalerzyści również uspokajali swoje wierzchowce zamknięte w zagrodach. Zagrody zostały wyprodukowane w zakładzie produkcyjnym klasy pierwszej, który wysłano z portu do Voitan. Były wystarczająco duże, by civan mogły w nich chodzić i kłaść się do snu; zbudowano je z wytrzymałego materiału nazywanego „włóknem kompozytowym”. W podłodze były zaczepy, do których rumaki można było porządnie przymocować.

Zagrody miały też zadaszenie, na którym upchnięto rząd wielkich pojemników z pokarmem dla civan – jęczmyżem i fasolą. W kilku miejscach były kurki z wodą, opracowano też metodę usuwania odchodów civan. Okazało się, że ludzkie statki przewoziły czasami żywy ładunek, dlatego ludzie jak zwykle opracowali wszystko z diabelną przemyślnością.

Po wewnętrznej stronie ładowni odgrodzono obszar, na którym Yasinowie mieli ćwiczyć ze swoimi zwierzętami. Mogło się tam zmieścić jednocześnie tylko kilka civan, ale i tak było lepiej niż wtedy, kiedy przeprawiali się na statkach i w celu zapewnienia zwierzętom ruchu pozwalano im jedynie przez chwilę płynąć obok statku. Mając ten niewielki plac ćwiczeń, opiekunowie i jeźdźcy zamierzali pracować przez całą dobę, żeby utrzymać zwierzęta w należytej formie.

Doba. To kolejna rzecz, do której trzeba było się przyzwyczaić. Ziemski dzień na statku był o jedną trzecią krótszy od mardukańskiego, więc w okolicach wczesnego popołudnia światła na okręcie przygasały, przełączając się na tryb „nocny”. Honal zauważył już, jak to wpływa na jego sen, i martwił się, jak zareagują civan.

No trudno, wytrzymają albo nie. Honal kochał civan, ale doszedł do wniosku, że z dala od wiecznej pokrywy chmur Marduka czekają na niego jeszcze bardziej cudowne środki transportu: ludzkie promy, do których czuł niemal fizyczny pociąg od chwili, kiedy zobaczył je w locie, oraz lekkoloty i żądła, o których mu opowiadano i pokazywano na zdjęciach. Zastanawiał się, ile mogą kosztować... i ile będzie zarabiał jako starszy adiutant księcia. Miał nadzieję, że dużo, bo postanowił, że jeśli przeżyje, sprawi sobie lekkolot.

–Jak idzie? – zapytał jakiś głos. Honal podniósł wzrok i ujrzał Ras tara.

–Nieźle – odparł, unosząc groźnie rękę na civan, kiedy tylko stwór zaczął szczyrzyć kły i składać grzebień. – Właściwie tak dobrze, jak można było się spodziewać.

–To dobrze. – Rastar kiwnął głową w podpatrzony u ludzi sposób. – To dobrze. Mówią, że skończą załadunek za kilka godzin. Potem się przekonamy, czy silniki rzeczywiście działają.

–Ale będzie ubaw – skomentował sucho Honal.

–Włączam napęd fazowy. – Amanda Beach wzięła głęboki oddech i wcisnęła przycisk. – Już.

W pierwszej chwili planeta widoczna na monitorach mostka wydawała się nie zmieniać. Była to wciąż ta sama, wolno obracająca się biało-niebieska kula. Potem jednak okręt zaczął przyspieszać i kula zaczęła się kurczyć.

–Wszystkie systemy w normie – powiedział jeden z nielicznych ocalałych techników. – Przyspieszenie około dwudziestu procent niższe od maksymalnego, ale to się zgadza, zważywszy na status naszego pola antygrawitacyjnego. Ciągi jeden, cztery i dziewięć wciąż wyłączone. Tempo ładowania kondensatorów tunelowych w normie. Dziewięć godzin do osiągnięcia pełnej mocy.

–I jedenaście do Granicy Tsukuyamy – westchnęła Beach. – Wygląda na to, że okręt się trzyma.

–Jedenaście godzin? – zapytał Roger. Stał obok niej w sterowni, ale nie dlatego, że miałby się na coś przydać, tylko dlatego, że uważał, iż właśnie tam jest jego miejsce.

–Tak – potwierdziła Beach. – Jeśli nic się nie rozleci.

–Nie rozleci. W takim razie wrócę za jedenaście godzin.

–W porządku. – Beach machnęła z roztargnieniem ręką, skupiając uwagę na panelu kontrolnym. – Do zobaczenia.

*** * ***

–Właśnie nabrałem pewnych podejrzeń – powiedział Roger do Juliana. Wezwał plutonowego do swojego gabinetu – gabinetu byłego kapitana – kiedy tylko napęd fazowy mimo wszystko okazał się sprawny.

–Jakich podejrzeń? – Julian uniósł brew.

–Skąd, u diabła, mamy wiedzieć, że Beach leci w przestrzeń alphańską, a nie do Świętych? Owszem, spaliła za sobą mosty, ale jeśli pojawi się w jakimś układzie Świętych razem z okrętem i ze mną, raczej pobłażliwie potraktują wszelkie drobne uchybienia z jej strony, zwłaszcza biorąc pod uwagę warunki na Starej Ziemi.

–Jasne. – Julian pokręcił głową. – Świetną porę pan sobie wybrał, żeby o tym pomyśleć, Mój Panie i Władco!

–Ja nie żartuję, Ju – powiedział Roger. – Czy mamy jeszcze kogoś, kto coś wie o astrogacji?

–Może doktor Dobrescu. Ale jeśli postawimy na mostku kogoś, kto będzie obserwował Beach, ona od razu się zorientuje, że ją podejrzewamy. A uważam, że wkurzyć ją to najgorsze, co moglibyśmy teraz zrobić.

–Zgoda. Już się nad tym zastanawiałem, ale poza tym niczego nie wymyśliłem. Masz jakiś pomysł?

Julian zamyślił się na chwilę, potem wzruszył ramionami.

–Jin – powiedział. – Temu Jin – wyjaśnił. Sierżant Jin, który przeszedł z nimi całą planetę, zginął podczas abordażu.

–Dlaczego Jin? – spytał Roger, a potem kiwnął głową. – Ma cały okręt na podsłuchu, prawda?

–Podpiął się pod komputery. Nie musi być na mostku, żeby wiedzieć, jak brzmią komendy i w którą stronę kierowany jest statek. Jeśli Dobrescu określi nasze położenie względem gwiazd i miejsce, w którym powinniśmy być, wtedy będziemy wszystko wiedzieli.

*** * ***

–Mam być kosmicznym pilotem?!

Starszy chorąży Mikę Dobrescu popatrzył na księcia ze złością i desperacją. Podobało mu się bycie pilotem promu. To była o całe niebo lepsza robota niż posada sanitariusza Raidersów, którym był, zanim dostał się do szkoły pilotażu. Poza tym był w tym cholernie dobry. Jako starszy chorąży z tysiącami bezwypadkowych godzin lotu na koncie – mimo że przeżył kilka sytuacji, które aż się prosiły o wypadek-został pilotem promu w małej flocie obsługującej Cesarski Pałac.

Niedługo potem załadowano go na pokład okrętu desantowego Charles DeGlopper i wysłano jako opiekuna pewnego nadaśanego książątka. W porządku, przyzwyczai się do powrotu na okręt desantowy, zwłaszcza jako oficer, a nie zwykły marinę, który musi gnieść się z trzema innymi w jednej kajucie. A po dotarciu do celu znów zacznie latać na promach, które kochał.

Ale ku wielkiemu zaskoczeniu i rozczarowaniu poleciał promem tylko jeden raz. Jeden cholernie ciężki raz, z wewnętrznymi zbiornikami wodoru i długim kursem balistycznym, a potem wylądował -prawie bez paliwa – na planecie niezrównanych rozkoszy, Marduku.

Ale co tam, potem było jeszcze gorzej! Ponieważ nie mieli już żadnych działających promów, a on był jedynym przeszkolonym medykiem, znów wrócił na starą posadę sanitariusza. W ciągu następnych ośmiu miesięcy kazano mu być lekarzem,

weterynarzem, oficerem naukowym, ksenobiologiem, zielarzem, farmaceutą i wszystkim tym, co wymagało odrobiny ruszenia głową. A potem na samym końcu okazało się, że jest ścigany listem gończym.

Ale przynajmniej wrócił do latania, i prędzej trafi go szlag niż da się zrobić w następną robotę, do której nie ma żadnego przygotowania, a jeszcze mniej chęci.

–Nie mogę być astrogatorem – powiedział cicho, ale bardzo, bardzo stanowczo. – Nie trzeba przy tym rozwiązywać równań, od tego są zrasane komputery. Ale trzeba je rozumieć, a ja ich nie rozumiem. Mówimy tu o obliczeniach na wysokim poziomie. Jedna pomyłka i człowiek kończy w jądrze gwiazdy.

–Nie każę panu pilotować – zauważył ostrożnie Roger. – Chcę tylko, żeby pan sprawdził, czy Beach nie kieruje okrętu w przestrzeń Alphan. Tylko tyle.

–Okręt ustala swoje położenie w odniesieniu do ciągów znanych gwiazd za każdym razem, kiedy wchodzi w normalną przestrzeń między skokami tunelowymi – powiedział Jin. – Mogę znaleźć odczyty, ale to polega na ocenie odległości od gwiazd na podstawie czegoś, co się nazywa widocznością- nie znam się na tej terminologii – która określa kąt i dystans. Jest to punkt wyjścia do ustalenia przez astrogatora, dokąd ma dalej lecieć. Do napędu tunelowego wprowadza się kierunek, ładuje się kondensatory i jazda. Ale bez dokładniejszego zrozumienia, jak określa się pozycję startową, nie mogę nawet zacząć ustalać, gdzie jesteśmy i dokąd lecimy. Skoro o tym mowa, w ogóle mam mgliste pojęcie, w którym kierunku leży Stara Ziemia i Sojusz Alphański czy przestrzeń Świętych.

–Pierwsza gwiazda na prawo i prosto aż do rana – mruknął Dobrescu i pokręcił głową. – Miałem z tego godzinny kurs w szkole pilotażu, całe wieki temu, i zapomniałem wszystko jeszcze szybciej niż się dowiedziałem. Na promach to do niczego nie jest potrzebne. Robiliśmy trochę takich wyliczeń przy lądowaniu na Marduku, ale astrogator DeGloppera podał mi koordynaty, zanim wystrzeliliśmy promy. Sam raczej nie dam rady. Przykro mi.

–Rozumiem. – Roger uśmiechnął się po swojemu, połową twarzy. – Wiem, że Julian i Kosutic nie znają się na tym ni w ząb, ale zapytajcie resztę marines, może któryś coś wie. Naprawdę musimy skontrolować nawigację Beach. Chcę jej zaufać, ale pytanie brzmi, do jakiego stopnia.

–No, przynajmniej dopóki nie dolecimy do Alphan – powiedział Julian.

–Tak? – Roger spojrzał na niego i uniósł brew. – A proszę mi powiedzieć, kto będzie pilotował okręt z Althara Cztery na Starą Ziemię?

–Wejść! – zawołał ksiązę, podnosząc z wyraźną ulgą wzrok znad hologramu ładowni okrętu.

Nienawidził papierkowej roboty, chociaż zdawał sobie sprawę, że powinien zacząć się do niej przyzwyczajać. Dowodził w tej chwili oddziałem wielkości małego pułku – a przynajmniej dużego batalionu – w tym załogą okrętu i cywilami, a to wiązało się ze sporą ilością pracy. Na szczęście część można było zwalić na komputery. Teraz, kiedy wszystkie systemy automatyczne działały, było o wiele łatwiej, ale Roger musiał cały czas trzymać rękę na pulsie i pilnować, żeby podwładni robili to, co on chciał, a nie to, co sami chcieli robić.

Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak wieloma rzeczami zajmował się kapitan Pahner, i był pewien, że w końcu część pracy będzie musiał rzucić na kogoś innego. Zanim jednak będzie mógł to zrobić, musi sam określić, co jest w tej chwili najważniejsze, a oprócz tego przypomnieć sobie wszystkie szczegóły dotyczące Cesarskiego Pałacu. Wiedział, jakie to ważne, ale wcale nie było mu przez to lżej, kiedy więc otworzyły się drzwi kajuty, ochoczo wyprostował się w fotelu.

Do środka weszli Julian i Jin, a za nimi Mark St. John, jeden z dwóch bliźniaków, który ocalał. Roger zauważył z bólem, że Mark wciąż goli lewą stronę głowy. Teraz był to głęboko zakorzeniony nawyk, ale zaczęło się od rozkazu sierżanta, który nie potrafił bliźniaków rozróżnić.

Bliźniacy byli bardzo charakterystycznymi postaciami. Podczas mardukańskiej wędrówki przez cały czas prowadzili spokojną, braterską sprzeczkę – o to, kogo mama bardziej lubiła, albo co ktoś dawno temu komuś zrobił – gdyż zawsze znajdowali powód do sporu. Osłaniali się też nawzajem i pilnowali, żeby wyjść cało z każdego starcia. To znaczy aż do samego abordażu.

Obaj mieli więcej doświadczenia w walce w nieważkości niż ktokolwiek inny w kompanii, więc wyznaczono ich do wyeliminowania zewnętrznych działek.

Mark St. John wrócił ranny, ale żywy, jego brat John zginął.

John był pracowitym, bystrym, zdolnym podoficerem, dlatego Mark zawsze bardzo chętnie zostawiał myślenie bratu. On sam zaś był dobrym żołnierzem, i to według niego wystarczało. Roger bez wahania poszedłby z każdym z ocalałych marines do boju na miecze, asagaje czy karabiny, ale nie był pewien, czy mógłby zaufać inteligencji Marka. Dlatego teraz jego widok go zaskoczył.

–Mam rozumieć, że znaleźliście astrogatora? – Ksiązę uniósł brew i machnięciem ręki wskazał fotele.

–Sir, nie jestem astrogatorem, ale znam się na gwiazdach – odparł St. John, pozostając w pozycji „spocznij”, kiedy Jin i Julian usiedli.

–Słucham. – Roger odchylił się w fotelu.

–Ja i John – zaczął St. John, przelękając nerwowo ślinę – wychowaliśmy się na platformie górniczej. Jak tylko nauczyliśmy się chodzić, zaczęliśmy latać. A później mieliśmy astrogację w szkole. Górnicy nie zawsze mają radiolatarnie, dlatego umiem pilotować i sterować według położenia gwiazd. Jak dostanę podstawowe dane, potrafię powiedzieć, gdzie jesteśmy i którędy przylecieliśmy. Znam podstawy nawigacji tunelowej i umiem odczytywać kąty.

–Zaczynamy pierwszy skok za... – Roger sprawdził godzinę w swoim komputerowym implanście i zmarszczył czoło. – Za jakieś trzydzieści minut. Czy Jin pokazał ci, co ma?

–Tak, Wasza Wysokość, ale zdążyłem tylko na to zerknąć. Nie mówię, że dam radę sprawdzić to od razu, ale kiedy będziemy się szykować do następnego skoku, będę wiedział, czy lecimy we właściwym kierunku.

–A jeśli nie będziemy lecieli we właściwym kierunku?

–Wtedy kilkoro z nas będzie musiało poważnie porozmawiać z komandor podporucznik Beach, sir – odpowiedział Julian. – Ale miejmy nadzieję, że ta rozmowa nie będzie konieczna.

*** * ***

–Przygotować się do uruchomienia napędu tunelowego – powiedziała Beach. Normalnie taką komendę wydałby astrogator, ale ponieważ nie miała takowego, wydawała polecenia ze stanowiska astrogatora, żeby móc jednocześnie kontrolować okręt.

–Teraz – powiedziała i wcisnęła przycisk.

Buczenie silników było coraz wyższe, a potem przez okręt przeszło głucho dudnienie. Roger wiedział, że to musi być jego wyobraźnia, biorąc pod uwagę metry plastali i włązy dzielące go od ładowni, ale był niemal pewien, że słyszy dobiegające z oddali trąbienie.

–Coś mi się wydaje, że Patty to się nie spodoba – powiedział

cicho, a Beach spojrzała na niego z nieco wymuszonym uśmiechem.

Silniki weszły w fazę trwających kilka chwil piskliwych wibracji. Potem wszystko ucichło.

–Jesteśmy w tunelu – powiedziała Beach. Ekrany zewnętrznych monitorów zgasły.

–Ale to nie brzmiało za dobrze – zauważył Roger.

–Nie, nie brzmiało. – Beach westchnęła. – Przekonamy się, czy wyskoczmy we właściwym miejscu. Jeśli nie, a nie będzie żadnych większych uszkodzeń, nadrobimy to w następnym skoku.

–Ile nas czeka skoków?

–Osiem do granicy przestrzeni Alphan, dwa na samym skraju terytorium Świętych.

Nie wyglądała na specjalnie uradowaną tym faktem, co zupełnie Rogera nie dziwiło. Każdy ze skoków trwających sześć godzin i przenoszących statek o osiemnaście lat świetlnych wzdłuż wprowadzonego kursu wymagał półtora standardowego dnia wyliczeń i kalibracji, nie wspominając już o ładowaniu nadprzewodnikowych kondensatorów. W przypadku Świtu samo ładowanie trwało czterdzieści osiem godzin, chociaż okręty z napędami nowszej generacji, takie jak olbrzymie nosiciele imperialnej marynarki, potrafiły naładować swoje kondensatory w zaledwie trzydzieści sześć godzin. Ale wszystkie musiały dokonać koniecznych obliczeń i kalibracji między skokami, a Beach była jedynym wykwalifikowanym oficerem, który mógł dopilnować, żeby zrobiono to jak należy.

–No, miejmy nadzieję, że napęd wytrzyma – Roger zaśmiał się kwaśno – zwłaszcza te skoki w pobliżu Świętych, i że będziemy w naprawdę głębokiej próżni.

Statki, zwłaszcza statki handlowe podczas samotnych podróży, starały się w miarę możliwości skakać od systemu do systemu. Nie mogły wyskoczyć w żadnym układzie gwiazdnym w zasięgu swojej Granicy Tsukuyamy, ale jeśli tylko pojawiły się w normalnej przestrzeni nie dalej niż kilka dni świetlnych od celu, ktoś wylatywał i brał je na hol, jeżeli nie mogły uruchomić napędu tunelowego.

Okręty wojenne, które najczęściej podróżowały eskadrami i flotami, poruszały się raczej między punktami w głębokiej próżni.

W przypadku Świtu decyzja, jak dokładnie wytyczyć kurs, była nieprzyjemną zonglerką. Za głęboko w kosmos – i awaria napędu, bardzo możliwa ze względu na prowizoryczność napraw, uwięzi ich, prawdopodobnie na wieki, w otchłaniach przestrzeni. Za blisko układu Świętych – i jest szansa, że jakiś ich krążownik wyleci, aby sprawdzić niezapowiedzianą i – przede wszystkim – nieautoryzowaną sygnaturę napędu tunelowego, która nagle pojawiła się na jego gwiazdnym progu.

–Jestem za głęboką przestrzenią- powiedziała Beach i skrzywiła się. – Miejmy nadzieję, że napęd wytrzyma.

W tym momencie na mostku pojawiła się Despreaux i przywołała Rogera. Jej uśmiech, jak zauważył, miał w sobie coś zdecydowanie złośliwego.

–Moi doradcy mówią, że pora wejść w cudzą skórę – zwrócił się do Beach – więc przez jakiś czas będziecie pozbawieni mojego towarzystwa.

–Spróbujemy jakoś dać sobie radę – odparła z uśmiechem.

*** * ***

Roger poruszył mięśniami szczęk i spojrzał w lustro. Twarz, którą tam zobaczył, była całkowicie obca.

Kapsuły modyfikujące Świętych były wypełnionymi płynem zbiornikami, do których wkładano pacjentów mających przejść proces rzeźbienia ciała. W dwóch z czterech zbiorników będących na wyposażeniu Świtu wciąż byli marines ranni podczas abordażu. Roger wsunął się do jednego z pozostałych dwóch i pozwolił się podłączyć do aparatu tlenowego. Potem zasnął. Despreaux obudziła go na sali pooperacyjnej. Była niezadowolona.

Przyczyną jej niezadowolenia nie była bynajmniej żadna awaria statku – kiedy księżę był nieprzytomny, wykonali dwa pierwsze skoki tunelowe i wszystko wciąż działało – tylko jego wygląd.

Osoba patrząca na niego z lustra miała bardzo szeroką twarz, wysokie kości policzkowe i wyraźne mongolskie fałdy nad oczami, których kolor zmienił się na ciemny brąz. Księżę miał też długie czarne włosy, a jego ręce jakby się skróciły. Całe ciało było cięższe niż poprzednio i Roger czuł się w nim źle, jak w niedopasowanym ubraniu.

–Dzień dobry, panie Chang – powiedział obcym głosem. – Widzę, że będzie nam też potrzebny nowy krawiec.

Augustuc Chang był obywatelem Zjednoczonych Planet Zewnętrznych. ZPZ były starsze niż Imperium Człowieka i przez pewien czas walczyły o dominację w galaktyce ze starą Unią Solarną. Wciąż pozostawały „właścicielem” Marsa, kilku zdalnych do zamieszkania księżyców Układu Słonecznego i kilku światów zewnętrznych poza układem, co pozwalało im zachować niezależność od Imperium i pozycję szóstego państwa międzygwiazdowego. Ich terytorium było jednak całkowicie otoczone układami imperialnymi.

ZPZ przetrwały głównie dzięki temu, że na ich obszarze można było przeprowadzać transakcje, które w myśl prawa Imperium nie' były całkiem legalne, gdyż obywatele Planet Zewnętrznych temu prawu nie podlegali. Co więcej, imperialnym trudno byłoby dowiedzieć się czegoś na temat Augustuca Changa, ponieważ dane osobowe obywateli ZPZ nie były udostępniane imperialnym śledczym. Żeby wydobyć z ZPZ jakiegokolwiek informacje, Chang musiałby zostać oficjalnie skazany przez imperialny sąd, a gdyby sprawy zaszły aż tak daleko, poufność danych i tak nie miałyby już

znaczenia.

Augustus Chang był biznesmenem – tak przynajmniej wynikało z jego dokumentów – założycielem, prezesem i szefem zarządu firmy „Chang, Międzygwiazdny Import/Eksport Towarów Egzotycznych, LLC”. Zanim zaczął działać w branży „importu/eksportu towarów egzotycznych”, był płatnikiem na różnych małych statkach handlowych. Jego jedynym adresem biznesowym była skrytka pocztowa na Marsie. Roger zastanawiał się, co w niej jest. Prawdopodobnie jest pełna reklam ziołowych środków wzmacniających.

Innymi słowy, Chang to była tożsamość tajnego agenta, jedna z wielu przygotowanych przez Świętych. Na statku było ponad sto takich tożsamości; ich przygotowanie musiało kosztować wiele pracy. Zważywszy na kwestie logistyczne, Chang przypuszczalnie był, rzeczywisty" w takim stopniu, by móc przetrwać niezbyt wnikliwą analizę... choć Imperialne Biuro Śledcze rozszyfrowałoby to natychmiast, jeśli tylko coś zwróciłoby jego uwagę.

–Krawiec? To wszystko, co masz do powiedzenia? – zdziwiła się Despreaux, patrząc na księcia.

–No... i jeszcze to, że nie mogę się doczekać, aż zobaczę, co doktor przygotował dla ciebie – odparł Roger i uśmiechnął się do niej w lustrze. Po chwili kobieta odpowiedziała uśmiechem i wzruszyła ramionami.

–Powiedział mi tylko, że będę blondynką.

–No to będzie z nas ładna para – powiedział książę i zaczął ostrożnie badać grunt pod nogami. Ciało Changa było bardzo muskularne, chyba nawet nieco potężniejsze niż jego dawne ciało. Miał szeroką klatkę piersiową, potężne bary, płaski brzuch. Roger wyglądał jak odchudzony zapaśnik sumo. – Mam nadzieję, że znajdę kogoś, kto dobrze szyje namioty – dodał.

–Wyglądasz... dobrze. – Despreaux znów wzruszyła ramionami. – To nie ty, ale... nie jest źle. Przyzwyczaję się. Nie jesteś już taki przystojny, ale odpychający też nie jesteś.

–Kochanie, z całym szacunkiem, ale to nie twoim zdaniem się martwię.

Roger uśmiechnął się szeroko. To dziwne, ale Chang dużo się uśmiechał.

–Co? – W głosie Despreaux słychać było zaskoczenie.

–Patty to się nie spodoba.

Pieszczurze też się nie spodobało.

Mardukański jaszczur bronił kajuty Rogera, sycząc i plując na intruza, który wszedł na teren jego pana.

–Pieszczura, to ja – powiedział Roger, starając się mówić głosem jak najbardziej zbliżonym do jego własnego.

–Nie, dla niej to nie pan. – Julian niejedną raz widział, jak w czasie bitwy Pieszczura rozrywała Mardukan na strzępy, dlatego nie był zadowolony, że Roger przyklęka przed samą paszczą jaszczura. – Nawet pan nie pachnie tak samo, szefie. Ma pan zupełnie inną genetyczną budowę skóry.

–To ja – powtórzył Roger, wyciągając rękę. – Spokojnie, doma fleel – dodał w mowie X'Intai. Oznaczało to coś w rodzaju „piesku” albo „szczeniaczku”. Wtedy, kiedy Roger przygarnął tę przybłądę z wioski Corda, jaszczur ważył niewiele ponad jedną czwartą swoich obecnych sześciuset kilogramów i był wyjątkowo cherlawy.

Księżę wciąż mówił cichym głosem, trochę po mardukańsku, trochę po ludzku, aż wreszcie położył dłoń na łbie zwierzęcia i zaczął je drapać za uszami. Pieszczura zaskamlała cicho, syknęła, a potem położyła paszczę na jego ręce.

–Przeżywa chwile egzystencjalnej niepewności – powiedział Cord, opierając się na swojej włóczni. – Zachowujesz się tak, jakbyś był jej bogiem, ale nie mówisz ani nie pachniesz jak jej bóg.

–Trudno, będzie musiała się do tego przyzwyczać – odparł Roger. Z Patty było jeszcze gorzej, ale kiedy mimo syczenia i plucia wspiął się na jej grzbiet i uderzył ją w kark płazem miecza, zrozumiała, o co chodzi.

–Dobrze, Pieszczuro, już wystarczy- dodał surowo, wskazując machnięciem ręki drzwi. – Idziemy. Mamy sporo do zrobienia.

Bestia popatrzyła na niego niepewnie, ale posłusznie ruszyła za nim. Przywykła już, że życie bywa zaskakujące. Nie zawsze jej się to podobało, ale za to za każdym razem, kiedy szła za swoim bogiem, udawało jej się coś zabić.

*** * ***

–Despreaux? – spytała Pedi Karuse.

–Tak. – Idąca korytarzem wysoka, jasnowłosa kobieta zatrzymała się z wyrazem zaskoczenia na twarzy. – Po czym poznałaś?

–Po tym, jak chodzisz – odparła shińska wojowniczką, doganiając ją. – Twój chód

trochę się zmienił, ale niewiele.

–To wspaniale. Myślałam, że wszyscy ludzie wyglądają dla ciebie tak samo.

–Przyjaciele nie – odparła Pedi i przyjrzała się plutonowemu z zakłopotaniem. – Wyglądasz, jakbyś była w czwartym miesiącu ciąży, ale w niewłaściwym miejscu.

–To nie są pęcherze ciążowe – powiedziała sztywno Despreaux. – To cycki.

–Miałaś je już przedtem, ale były... mniejsze.

–Wiem.

–I zmienił ci się kolor włosów. Są jeszcze jaśniejsze niż moje rogi.

–Wiem.

–I dłuższe.

–Wiem!

–To źle? – spytała Pedi. – Czy dla ludzi to jest brzydkie?

–Nie – odpowiedziała z roztargnieniem Despreaux. Właśnie przyglądała się jednemu z cywilnych ochotników... który na jej widok zrobił zmartwioną czy zakłopotaną minę i szybko odwrócił wzrok.

–A więc w czym problem? – W tym momencie cywil czmychnął jeszcze szybszym krokiem niż nadszedł.

Despreaux potrząsnęła gwałtownie głową i wskazała na swoje piersi.

–To jest jak małe basiki dla atul. Mężczyźni nigdy nie mają tego dość. Przedtem miałam rozmiar... średni i prawdopodobnie byłam trochę za ładna, ale jakoś mogłam z tym żyć. To zaś – znów dźgnęła się palcem w pierś – to już nie jest średni rozmiar, a moje problemy są teraz o wiele poważniejsze niż to, że jestem trochę za ładna. Trudno mi nawet zmusić faceta, żeby spojrzał mi w oczy. A ten kolor włosów! Wszyscy opowiadają dowcipy o dziewczynach z takimi włosami. O tym, jakie są głupie. Sama je wymyślałam, niech Bóg się nade mną zlituje. Dostałam szału, kiedy Dobrescu pokazał mi profil mojego ciała, ale przysięgał, że to najlepsza dostępna osobowość. Drań. Wyglądam jak... Boże, trudno to wyjaśnić.

Pedi rozważała przez chwilę jej słowa, a potem wzruszyła ramionami.

–Ale tak naprawdę liczy się tylko jedno – powiedziała.

-Co takiego?

-Co na to powie Roger.

–Och, dobry Boże.

Roger spojrział w dół – raz – a potem z determinacją utkwiał spojrzenie w jej twarzy.

–Co o tym sądzisz? – spytała ze złością Despreaux.

Wyglądała jak modelka z rozkładówki. Długie nogi, które miała już wcześniej; teraz trudno byłoby to zmienić. Wąskie biodra i talia przechodzące w... bardzo szeroką klatkę piersiową i ramiona. Smukła szyja, cudowna twarz – chyba jeszcze piękniejsza niż poprzednia- i niemal granatowe oczy. Włosy nawet ładniejsze niż dawniej. Kształtne uszy i...

–Chryste, ale wielkie – wybełkotał ksiązę.

–Już mnie od nich bolą plecy – poinformowała go Despreaux.

–Jest... tak dobrze jak przedtem, tylko zupełnie inaczej -powiedział ksiązę i zawahał się. – Chryste, ale wielkie.

–A ja cały czas myślałam, że kręcą cię moje nogi – rzuciła uszczypliwie Nimashet.

–Przepraszam, staram się nie gapić. – Pokręcił głową. – Całość wygląda fantastycznie.

–Ale nie chcesz, żeby tak zostało, prawda?

–Eeee... – Roger nie miał umiejętności porozumiewania się z kobietami, przez co nie raz bywało gorąco. Niezależnie od tego, co naprawdę myślał, zdawał sobie sprawę, że to jedna z tych chwil, kiedy musi bardzo uważać na to, co mówi.

–Nie – oznajmił w końcu stanowczo. – Nie, zdecydowanie nie. Ale wygląd nie ma znaczenia. Zakochałem się w tym, kim jesteś, a nie w tym, jak wyglądasz.

–Jasne. – Despreaux parsknęła sarkastycznym śmiechem. – Ale opakowanie nie zawadzało.

–Nie zawadzało. Rzeczywiście. Nie sądzę, żebyś mnie tak pociągała, gdybyś była gruba i niezdarna. Ale kocham cię za to, kim jesteś, nieważne, w jakim opakowaniu.

–A więc twierdzisz, że powinnam to zatrzymać?

Roger zaczął zaprzeczać, ale wtedy przyszło mu na myśl, że może powinien przytaknąć, więc zamilkł i tylko pokręcił głową.

–Czy to pytanie z rodzaju „czy w tej sukience wyglądam grubo”?

–Nie. To uczciwe, proste pytanie.

–W takim razie podobają mi się oba twoje wizerunki. Są zupełnie różne, ale oba mi się podobają. Zawsze lubiłem brunetki, zwłaszcza z ładnymi nogami, więc włosy można ufarbować. Jak każdemu normalnemu facetowi podobają mi się porządne piersi, ale te są, szczerze mówiąc, odrobinę za duże. Z drugiej strony niezależnie od tego, czy wyjdiesz za mnie, czy nie, to twoje ciało i nie będę ci mówił, co masz z nim zrobić. A ty które wolisz?

–A jak myślisz? – spytała z sarkazmem.

–To uczciwe, proste pytanie – odparł spokojnie.

–Oczywiście moje prawdziwe ciało. Tyle że... gdybym chciała cię zapędzić w kozi róg, pewnie zapytałabym: czy wyglądam w tym ciele grubo?

–Nie – powiedział Roger i zaśmiał się. – Ale znasz ten stary dowcip, prawda?

–Nie – odparła groźnie. – Nie znam tego starego dowcipu.

–Co zrobić, żeby facetowi spodobał się kilogram tłuszczu? – spytał księżę, ryzykując wybuch jej gniewu. Despreaux popatrzyła na niego ze złością, a on wyszczerzył zęby. – Przyczepić do niego sutek. Uwierz mi, nie wyglądasz grubo. Wyglądasz cholernie dobrze. Ja pewnie też, ale z przyjemnością odzyskam swoje dawne ciało. W tym czuję się tak, jakbym jeździł grawczołgiem.

–A ja się czuję tak, jakbym pchała przed sobą dwa sterówce – powiedziała Despreaux i w końcu ona też się uśmiechnęła. – Kiedy już będzie po wszystkim, wracamy do starych ciał.

–Zgoda. A ty za mnie wychodzisz.

–Nie – powiedziała, ale tym razem z uśmiechem.

*** * ***

–Panie Chang. – Beach skinęła głową, kiedy Roger wszedł na mostek.

–Kapitan Beach.

Księżę spojrział na odczyty. Znajdowali się w normalnej przestrzeni, ładowali kondensatory i kalibrowali napęd do następnego skoku, który miał ich zaprowadzić na skraj terytorium Świętych.

–Znalazł pan kogoś, żeby mnie sprawdził? – spytała bezceremonialnie.

–Tak – odparł równie bezceremonialnie Roger.

–To dobrze – zaśmiała się Beach. – Gdyby pan nie znalazł, zawróciłabym tę krypę i wyrzuciła was z powrotem na waszą nędzną, błotnistą planetkę.

–Cieszę się, że szczerze rozmawiamy. – Księżę nieznacznie się uśmiechnął.

–Nie wiem, czy szczerze. – Kobieta patrzyła na niego przez chwilę, a potem wskazała ruchem głowy włącz. – Chodźmy do mojego gabinetu.

Roger poszedł za nią do pomieszczenia położonego niedaleko mostka. Podczas szturmu powstało tutaj trochę uszkodzeń, ale większość z nich już naprawiono. Księżę przysunął sobie fotel i usiadł, zastanawiając się, dlaczego tak długo trwało, zanim doszło do tej „rozmowy”.

–Jesteśmy o czternaście lat świetlnych od skraju tego, co Święci uważają za swoją przestrzeń – zaczęła Beach, siadając i opierając stopy o wysuniętą szufladę. – Jesteśmy w głębokiej próżni. Na statku jest tylko jeden astrogator: ja. A więc ustalmy jedno: ja tu trzymam wszystkie karty.

–Rzeczywiście trzyma ich pani wiele – odparł spokojnie Roger. – Ale pozwoli pani, że ja też będę mówił otwarcie. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy stałem się człowiekiem nieco mniej cywilizowanym i kulturalnym niż przeciętny imperialny arystokrata. Jestem też bardzo zainteresowany powodzeniem tej misji. Zabrałem panią jako swojego sprzymierzeńca, a nie konkurenta, dlatego chciałbym negocjować z pozycji dobrej woli. Ale niepowodzenie tych negocjacji postawi panią w położeniu, w którym naprawdę nie chciałaby się pani znaleźć.

Beach uniosła brew, a potem szybko ją opuściła.

–Pan nie żartuje – stwierdziła.

–Jestem poważny jak atak serca. – Nowe piwne oczy Rogera wspaniale naśladowały spojrzenie bazyliuszka. – Ale jak powiedziałem – podjął po chwili – możemy negocjować z pozycji dobrej woli. Mam nadzieję, że jest pani naszym sprzymierzeńcem, ale to się jeszcze okaże. Czego pani chce, kapitan Beach?

–Tego, co chcę, pan nie może mi dać. Wychowywałam się w twardej szkole życia, i jeśli dojdzie do użycia siły, wam też się to nie spodoba.

–Zgoda. A więc czego pani chce, co mógłbym pani dać?

–Co dostaniecie od Alphan?

–Nie wiem. Może więzienne cele i szybki przerzut do imperialnego aresztu. Nie sądzę, żeby tak było, ale to jest możliwe. Chce pani pieniędzy? Możemy wynegocjować sprawiedliwą zapłatę za pani usługi, zakładając, że wszystko pójdzie dobrze. Jeśli odniesiemy sukces, a wierzę, że tak będzie, uwolnimy moją matkę, a ja będę Pierwszym Następcą Tronu, następnym Cesarzem Ludzkości. W takim wypadku, pani kapitan, będziemy mieli -ja będę miał – u pani dług do spłacenia. Chce pani planetę na własność? – dokończył z uśmiechem.

–Umie pan negocjować, prawda? – Beach również się uśmiechnęła.

–Powinienem był to zostawić Poertenie, ale to by się pani na pewno nie spodobało. Ale mówiąc poważnie, pani kapitan, mam u pani dług i zamierzam go spłacić, a ponieważ to dług otwarty, może pani z niego korzystać. W tej chwili nie mam niczego, co mogłaby pani chcieć. Nawet tego okrętu będziemy musieli się pozbyć, wie pani o tym?

–Oczywiście. Nie możemy nawet zbliżyć się nim do Układu Słonecznego. Możemy tylko kręcić się po obrzeżach, gdzie łatwo będzie przekupić celników.

–A więc nie możemy pani dać okrętu, gdyż będzie nam potrzebny na wymianę z Alphanami.

–Ale potem lecicie na Starą Ziemię?

–Tak.

–W takim razie... – Beach wyduła wargi, a potem wzruszyła ramionami. – Tego, co chcę, jak powiedziałam, nie może mi pan dać. W tej chwili, a może nigdy. – Skrzywiła się. – Kto będzie kapitanem w czasie podróży na Starą Ziemię?

–Nie wiem. Alphanie bez wątplenia będą mieli przynajmniej jednego... dyskretnego kapitana, z którego usług moglibyśmy skorzystać, ale to będzie ktoś od nich. Czy pani zgłasza się na ochotnika? A jeśli tak, to dlaczego?

–Będę chciała pieniędzy. Jeśli wam się powiedzie, dużo pieniędzy.

–Załatwione. – Roger wzruszył ramionami. – Miliard tu, miliard tam, a potem porozmawiamy o prawdziwych pieniądzach.

–Nie aż tyle. – Beach zbladła. – Ale... powiedzmy... pięć milionów kredytów.

–Zgoda.

–Na konto ZPZ.

–Zgoda.

–I... – Skrzywiła się i pokręciła głową. – Jeśli... Co pan zamierza zrobić z Cavazanami?

–Ze Świętymi? – Roger odchylił się do tyłu i uśmiechnął zaciśniętymi ustami. – Pani kapitan, w tej chwili zastanawiamy się, czy dotrzemy do terytorium Alphan w jednym kawałku! Potem czeka nas wyrzucenie kogoś z ufortyfikowanego pałacu i powstrzymanie marynarki przed zabiciem nas. W tych okolicznościach nie mogę rozmawiać na temat Świętych, oprócz tego, jak się obok nich prześlizgnąć.

–Ale na dłuższą metę-powiedziała Beach już trochę zdesperowanym tonem. – Jeśli zostanie pan Cesarzem.

–Nie zacznę jednostronnej wojny z Imperium Cavazańskim, jeśli o to pani chodzi – odparł po chwili. – Mam... wiele powodów, by za nim nie przepadać, ale są one niczym wobec zniszczeń, jakie taka wojna by spowodowała. – Księżę zmarszczył brew. – Co pani ma przeciwko Świętym? Przecież była pani jedną z nich.

–Właśnie to mam przeciwko nim – odparła z goryczą Beach. – Dlatego proszę pana o jedno. Jeśli będzie pan miał sposobność, jedno, o co proszę – pieprzyć pieniądze! – to żeby ich pan załatwił. Do końca. Podbił wszystkie ich tereny i zabił wszystkich przywódców.

–Nie wszystkich. Tak się nie robi.

Przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu, a ona odpowiedziała mu niewzruszonym, pewnym siebie spojrzeniem.

–A więc o to chodzi? – spytał w końcu. – Chce pani, żebym za dowodzenie okrętem i wyłączenie mechanizmu autodestrukcji najechał Imperium Cavazańskie?

–Kiedy nadejdzie pora, proszę, nie wahajcie się. Nie... decydujcie się na półśrodki. Weźcie wszystko. Tak trzeba. To szambo, gnojówka. Nikt nie powinien żyć pod rządami Świętych. Proszę.

Roger odchylił się do tyłu i przez chwilę kręcił palcami młynka. Potem kiwnął głową.

–Jeśli nam się uda i zostanę Cesarzem, i jeśli wybuchnie wojna ze Świętymi – ale uprzedzam, że nie będę jej prowokował – wtedy zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to była wojna do samego końca. Żeby ani jeden członek przywództwa Świętych nie został u władzy choćby na jednej planecie. Żeby całe ich imperium albo zmieniło ustrój, albo zostało wchłonięte przez Imperium Człowieka lub inną organizację polityczną. Postaram się do tego doprowadzić. Czy to panią zadowala, pani kapitan?

–W zupełności. – W oczach Beach zaśniły łzy. – A ja zrobię wszystko, co mi pan każe, żeby ten dzień nadszedł. Przysięgam.

–To dobrze. – Roger uśmiechnął się. – Cieszę się, że nie musieliśmy się uciekać do śrub na palce.

*** * ***

–Hej, Shara – powiedziała sierżant Kosutic, zaglądając do kajuty Despreaux. – Chodź, musimy porozmawiać.

Kosutic też była teraz blondynką, chociaż nie tak piękną jak Despreaux. Nie zmieniła wzrostu, włosy wciąż miała tak samo krótkie, a biust trochę skromniejszy. Była bardziej przysadzista niż poprzednio – wyglądała jak damski ciężarowiec – ale za to chodziła trochę bardziej... kobiecym krokiem. Pewnie ma to coś wspólnego z jej szerszymi biodrami, pomyślała Despreaux.

–Jak się podoba Julianowi pani nowy wygląd? – spytała.

–Chodzi ci o Toma? – odparła sierżant z lekką dezaprobatą. – Pewnie tak samo jak Rogerowi twój. Ale Tom nie dostał wielkich balonów. Wyczułam u niego nutkę zazdrości.

–Co ci mężczyźni mają z blond włosami i cyckami? – zapytała ze złością Nimashet.

–Na szatana, dziewczyno, naprawdę chcesz wiedzieć? – zaśmiała się Kosutic. – Poważnie mówiąc, teorie na ten temat są bardzo rozbieżne i zupełnie fantastyczne. Jedna z nich mówi o fiksacji na punkcie „mamy” – że niby mężczyźni tęsknią za karmieniem piersią. Ta teoria nie utrzymała się długo, ale w swoim czasie była popularna. Moja ulubiona dotyczy związków między szympansami a ludźmi.

–A co z tym mają wspólnego szympansy?

–Cóż, tak naprawdę ludzie są po prostu krewnymi szympansów; nasze DNA są bardzo zbliżone, chociaż po tych wszystkich drobnych mutacjach, które zaszły, odkąd wydostaliśmy się poza planetę, ludzie wciąż mniej elastycznie przystosowują się do środowiska niż szympansy.

–Skąd pani o tym wie?

–Bądźmy szczerzy, Kościół Armagh musi być na bieżąco. – Kosutic wzruszyła ramionami. – Musimy wiedzieć, jak ludzie funkcjonują. Weź takie cycki...

–Proszę!

–Zgoda. – Kosutic uśmiechnęła się. – Popatrz na krowę -jej imponujące wymiona są prawie w stu procentach funkcjonalne, produkują mleko. A kobiece cycki? Ich... nazwijmy to, aspekt wizualny nie ma nic wspólnego z produkcją mleka, a to oznacza, że jest jakaś inna przyczyna w historii ewolucji. Jedna z teorii głosi, że rozwinęły się tylko po to, żeby kobieta mogła zatrzymać przy sobie samca dotąd, aż jej dzieci osiągną dojrzałość – a u ludzi trwa to stosunkowo długo – gdyż to mężczyźni zdobywali pożywienie i bronili ich terytorium. W dodatku ludzkie kobiety są jednym z niewielu gatunków mających orgazm...

–Jeśli mają fart – zauważyła Despreaux.

–Chcesz wysłuchać do końca czy nie?

–Przepraszam, już słucham.

–Dlatego właśnie kobieta nie jest zła, kiedy mężczyzna się z nią zabawia, a dla mężczyzny jest to jeszcze jeden powód, żeby trzymać się w pobliżu kobiety. Cycki są wizualnym sygnałem mówią-cym: „Przerznij mnie i zostań ze mną, żeby bronić mojego terytorium”. Nie da się tego oczywiście udowodnić, ale ta teoria pasuje do reakcji wszystkich mężczyzn na widok kobiecych piersi.

–Tak – zgodziła się kwaśno Despreaux – ale bolą od nich plecy.

–Oczywiście w dzisiejszych czasach są potrzebne jak wyrostek robaczkowy-powiedziała sierżant.– Z drugiej strony jednak wciąż świetnie się nadają do ogłupiania facetów. I właśnie o tym będziemy rozmawiać.

–Tak? – W głosie Despreaux pojawiła się wyraźna podejrzliwość. Doszły do kajuty sierżant, gdzie – ku jej zaskoczeniu – czekała na nich Eleanora. Szefowa świty również została zmodyfikowana – teraz była rudowłosa i dość chuda.

–Tak. – Kosutic zamknęła drzwi i machnięciem ręki wskazała dziewczynie miejsce na łóżku obok Eleanory. Jej mina wyrażała determinację i coś, czego Despreaux chyba wolała nie widzieć.

–Nimashet, nie będę owijała w bawełnę – powiedziała po chwili szefowa świty. – Musisz wyjść za Rogera.

–Nie. – Plutonowy zerwała się z błyskiem w oku. – Jeśli to o tym chciałyście rozmawiać, możecie...

–Siadać, plutonowy – warknęła Kosutic.

–Proszę nie używać mojego stopnia w rozmowie o czymś takim, pani sierżant! – odszczeknęła ze złością Despreaux.

–Będę to robić, jeśli od tego będzie zależało bezpieczeństwo Imperium – odparła lodowatym tonem Kosutic. – Siadać, i to już.

Dziewczyna usiadła, patrząc na podoficer wilkiem.

–Wyłożę wszystko bardzo jasno – zaczęła Eleanora – a ty mnie wysłuchasz. Potem to przedyskutujemy, ale najpierw mnie wysłuchaj.

Despreaux przeniosła gniewne spojrzenie na szefową świty, skrzyżowała ramiona na piersi – ostrożnie, zważywszy na niedawne zmiany- i wyprostowała się.

–Część z tego, co powiem, będzie w ogóle miała jakieś znaczenie tylko wtedy, jeśli nam się uda – powiedziała O’Casey – a część wiąże się bezpośrednio z wykonaniem naszej misji. Pierwsza uwaga dotyczy wszystkiego, zarówno obecnego zadania, jak i bardziej dalekosiężnych planów. Chodzi o to, że w tej chwili Roger dźwiga na swoich barkach brzemień całego Imperium. Do tego cię kocha myślę, że ty jego też – i zżera go lęk, że może cię stracić, co stwarza cały szereg przerażających ewentualności.

Zaskoczenie Despreaux musiało być widoczne, bo szefowa świty skrzywiła się i machnęła ręką.

–Gdyby mu się nie udało – powiedziała – i zdecydowalibyśmy się na program „rządu na uchodźstwie”, Roger byłby tylko zwykłym facetem, który omal nie został Cesarzem. Czy wtedy wyszłabyś za niego?

Despreaux patrzyła na nią przez kilka chwil kamiennym wzrokiem, a potem westchnęła.

–Tak – przyznała. – Cholera, zrobiłabym to w sekundę, gdyby był „zwykłym facetem”. Myślisz, że ja go nakręcę, żeby mu się nie udało i żebym mogła za niego wyjść, prawda?

–Tak, nakręcasz go, żeby mu się nie udało – przytaknęła Eleanora. – Nie wspominając już o tym, że przyczyniasz się do mąk, które przechodzi. Oczywiście nie sądzę, że robisz to umyślnie. Nie masz skłonności do manipulowania ludźmi, nawet dla własnego dobra, ale skutek jest ten sam, zamierzony czy nie. W tej chwili Roger zastanawia się, czy warto zostać Cesarzem – a sam wie, że kiedyś to zniecierpliwi – skoro ceną jest utrata ciebie. Przedstawiłam plan rządu na uchodźstwie, bo uważałam, że to dobry pomysł, który należy przemyśleć jako alternatywę. Dopiero po fakcie Julian i pani sierżant wytknęli mi konsekwencje tego planu. Chcesz, żeby na Tronie zasiadł książę Jackson albo, co bardziej prawdopodobne, żeby wybuchła wojna?

–Nie – odparła cicho Despreaux. – Boże, co by się wtedy stało z Karalisem!

–No właśnie – powiedziała Kosutic. – I z wieloma innymi światami. Jeśli Adoula zdobędzie Tron, wszystkie zewnętrzne światy staną się jedynie źródłem surowców i ludzi – mięsa armatniego -i on wraz ze swoimi kolegami do cna je wykrwawią... o ile nie zostaną zbombardowane atomówkami w czasie wojny.

–Ale możemy temu zaradzić – rzekła Eleanora – gdyż oba rozwiązania oznaczają bardzo nieciekawą przyszłość Imperium. Musisz wiedzieć, że kiedy chodzi o kobiety, mężczyźni nie myślą specjalnie racjonalnie.

–To kolejna rzecz, którą muszę ci wyłożyć czarno na białym – powiedziała Kosutic. – Było dużo badań na ten temat. Kiedy mężczyźni myślą o kobietach, dalekosiężne racjonalne planowanie po prostu odpada. Tak już są skonstruowani. Oczywiście my też nie zawsze jesteśmy na ich punkcie do końca racjonalne.

–A teraz pomówmy o tym, co się stanie, jeśli nam się uda – podjęła łagodnie Eleanora. – Roger zostanie Cesarzem, przypuszczalnie szybciej niż się spodziewa. Nie wiem, jakie będą skutki działania narkotyków, które dostaje jego matka, ale wiem, że kiedy to, co się teraz dzieje, wyjdzie na jaw, wszyscy stracą wiarę w jej zdolność rządzenia. Nimashet, Roger ma duże szanse zasiąść na Tronie w ciągu niecałego roku, jeśli nasz plan się powiedzie.

–O Boże – szepnęła Despreaux. Opuściła ręce na kolana i zaczęła nerwowo splatać palce. – Boże, jak on będzie tego nienawidził.

–Tak, ale nie to jest najgorsze – odparła Eleanora. – Ludzie nie są w stu procentach produktami swoich genów i... traumatyczne przeżycia są w stanie... na różne sposoby modyfikować ich osobowość. Zwłaszcza kiedy są stosunkowo młodzi i ich charakter nie jest do końca ukształtowany. Roger jest dość młody i, szczerze mówiąc, kiedy wylądowaliśmy na Marduku, jego osobowość nie była jeszcze całkowicie określona. Nikt chyba nie jest taki głupi, żeby nie zauważyć, że to się zmieniło, ale kształt nadał mu nasz marsz przez pół Marduka. Roger MacClintock przeszedł prawie cały proces „dojrzewania” w ciągu ośmiu miesięcy nieustannych brutalnych operacji wojennych. Pomyśl o tym. Nie raz kończył poważne polityczne negocjacje, strzelając do ludzi, z którymi negocjował. Oczywiście robił to wtedy, gdy negocjowali w złej wierze i nie miał wyboru. Ale stało się to... swego rodzaju nawykiem, tak samo jak niszczenie każdej przeszkody, która stanęła mu na drodze. W tym wypadku też nie miał wyboru, bo były to przeszkody, z którymi nie można było inaczej sobie poradzić, a także dlatego, że bardzo wiele zależało od tego, czy zostaną pokonane skutecznie... i trwale. Ale to wszystko oznacza, że księżę ma... zwyczaj używać siły do rozstrzygania wszelkich pojawiających się problemów. Jeśli nam się uda i ten młody człowiek zostanie Cesarzem, prawdopodobnie wybuchnie wojna domowa. Właściwie jestem pewna, że do niej dojdzie. Kiedy opuszczaliśmy Starą Ziemię, wszystko zmierzało w tym kierunku, a od tamtej pory nic się nie zmieniło. Jeśli wybuchnie wojna, na Tronie Ludzkości będzie zasiadał człowiek, który

zabija, żeby osiągnąć to, co uważa za konieczne. Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła.

–Niedobrze – powiedziała Despreaux, oblizując nerwowo wargi.

–Bardzo niedobrze – zgodziła się Eleanora. – Jego doradcy -położyła dłoń na piersi – mogą do pewnego stopnia hamować jego skłonność do przemocy, ale tylko wtedy, kiedy zechce ich wysłuchać. Cesarz zazwyczaj robi to, co chce, i jeśli na przykład nie spodobają mu się nasze rady, może nas po prostu odsunąć.

–Roger... by tego nie zrobił – powiedziała z przekonaniem De-spreaux. – Nigdy nie odsunie tych, którzy brali udział w marszu, albo ich nie wysłucha, choć może nie skorzystać z ich rad.

–Siły zbrojne zaprzysięgają wierność konstytucji i Cesarzowi. On jest ich naczelnym wodzem. Nawet bez wypowiedzenia wojny może sporo zwojować, a jeśli nam się uda to... to...

–To, co mamy nadzieję zdziałać – podpowiedziała jej Kosutic.

–Tak. – Szefowa świty uśmiechnęła się blado. – Jeśli nam się uda to, co mamy nadzieję dokonać, wprowadzony zostanie stan wyjątkowy. Kiedy wybucha wojna domowa, konstytucja automatycznie ogranicza prawa obywateli i zwiększa uprawnienia głowy państwa. Może dojść do tego, że... Roger – w obecnym stanie umysłu -będzie skupiał w swoich rękach większą władzę niż jakikolwiek człowiek w historii ludzkości.

–Mówi pani tak, jakby to był jakiś morderca o zakrwawionych rękach! – Despreaux pokręciła głową. – On taki nie jest.

To dobry człowiek. Mówi pani tak, jakby on był jednym z Lordów Daggerów!

–Nie jest taki – odpowiedziała Kosutic – ale jest cholernie bliski reinkarnacji Mirandy MacClintock. Była politycznym filozofem z mocno rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności i obowiązku, które Roger także ma, ale jeśli pamiętasz coś z historii, to ona obaliła Lordów Daggerów, gdyż była co najmniej tak samo bezlitosną krwawą suką jak oni.

–W rezultacie – podjęła Eleanora tym samym łagodnym tonem – Roger jest neobarbarzyńskim tyranem. Być może „dobrym” i charyzmatycznym tyranem, może nawet tak charyzmatycznym jak Aleksander Wielki, ale jednak tyranem, i jeśli się nie zmieni, osadzenie go na Tronie będzie dla Imperium tak samo złe, jak jego rozpad.

–Do czego pani zmierza? – spytała ostro Despreaux.

–Do ciebie – odparła Kosutic. – Kiedy wstępowałaś do Pułku i rozmawiałam z tobą na wstępnym szkoleniu, niewiele brakowało, żebym cię odrzuciła.

–Nigdy mi pani tego nie mówiła. Dlaczego?

–Przeszłaś wszystkie testy psychologiczne – odparła Kosutic, wzruszając ramionami – i wstępne procedury, chociaż nie śpiewając. Wiedzieliśmy, że jesteś lojalna i że będziesz dobrym żołnierzem. Ale czegoś ci brakowało, czego nie umiałam wtedy dokładnie określić, więc nazwałam to „twardością”. Teraz wiem, że to nie jest to, że jesteś twarda jak cholera.

–Nie, nie jestem. Miała pani rację.

–Może, ale twardość to wciąż nieodpowiednie słowo. – Kosutic zmarszczyła czoło. – Nawet kiedy pękłaś i nie mogłaś już walczyć, nadal robiłaś swoje, pociłaś się i męczyłaś tak samo, jak wszyscy inni. Po prostu nie jesteś...

–Zajadła.

–Właśnie. I ja to wyczułam, dlatego chciałam cię odrzucić, ale ostatecznie tego nie zrobiłam.

–Może powinna pani była mnie odrzucić.

–Gówno prawda. Zrobiłaś wszystko, co do ciebie należało, a nawet więcej. Udało ci się przeżyć i jesteś kluczem do tego, co musimy teraz zrobić, więc przestań jęczeć, żołnierzu.

–Tak jest, pani sierżant. – Despreaux zmusiła się do uśmiechu, ale widać było, że nie wkłada w to serca. – Z drugiej strony gdyby mnie pani wtedy odrzuciła, ominąłby mnie nasz mały spacer.

–I nigdy nie zostałąbyś Cesarzową – dodała Eleanora. Nowe granatowe oczy Despreaux spojrzały na szefową świty ze złością. Eleanora położyła dłoń na jej kolanie.

–Posłuchaj mnie, Nimashet. Masz w sobie coś, co nazwałabym „opiekuńczością”, ale to też nie jest to. Jesteś bardziej uparta niż inni, nawet Roger. Czy w naszej wesolej gromadce jest ktoś oprócz ciebie, kto potrafi go zatrzymać, kiedy się rozpędzi?

Eleanora popatrzyła jej przeciągle w oczy. Wrodzona uczciwość Despreaux kazała jej pokręcić głową.

–Cała sprawa sprowadza się do tego – ciągnęła szefowa świty – że kiedy jesteś w

pobliżu Rogera, on jest spokojniejszy. Nie uderza bez namysłu i jest o wiele bardziej skłonny wszystko dokładnie przemyśleć. A to bardzo ważne dla Imperium.

–Nie chcę być Cesarzową – powiedziała z rozpaczą Despreaux.

–Na szatana, dziewczyno! – zaśmiała się Kosutic. – Rozumiem, ale posłuchaj, co do ciebie mówimy!

–Jestem wsiową dziewczuchą, wieśniaczką z Karalisa! Nie nadaję się i nigdy się nie nadawałam do takiego małostkowego podgryzania, jakie cały czas odbywa się na Dworze. – Pokręciła głową. – Nie mam takiego podejścia do życia.

–I co z tego? Ilu ludzi ma? – spytała Kosutic.

–Na Dworze jest wielu takich ludzi! – odpaliła Despreaux i znów pokręciła głową. – Nie umiem być arystokratką, a tym bardziej jebaną Cesarzową, a jeśli spróbuję, wszystko spierdolę. Nie rozumiecie? – Powiodła wzrokiem od jednej do drugiej; jej oczy jeszcze bardziej pociemniały. – Jeśli spróbuję, zawałę. To nie moja liga.

Zrobię coś nie tak, powiem coś nie tak, dam Rogerowi niewłaściwą radę, i całe Imperium szlag trafi! I to przeze mnie!

–Sądysz, że Roger nie myśli dokładnie tak samo? – powiedziała łagodniejszym tonem Kosutic. – Na szatana, Nimashet! On musi co dzień rano budzić się zlany potem ze strachu przed tym, co go czeka!

–Ale on przynajmniej jest do tego przygotowany, ma odpowiednie wychowanie i wykształcenie. A ja nie mam!

–Wykształcenie? – Eleanora prychnęła, machając lekceważąco ręką. – Żeby być Cesarzem? Dopóki Jin nam nie powiedział, co się dzieje na Starej Ziemi, Rogerowi nawet nie przeszło przez myśl, że kiedykolwiek może być Cesarzem! A szczerze mówiąc, nieufność jego matki spowodowała, że wszyscy, w tym również ja sama, bardzo uważaliśmy, żeby nie wspominać przy nim o takiej ewentualności. Dopiero niedawno uświadomiłam sobie, jak duży wpływ mogło to mieć na jego odmowę – albo nieumiejętność – pogodzenia się z faktem, że naprawdę pochodzi z panującej dynastii.

W jej oczach widać było smutek na myśl o tym, jak strasznie zmieniło się życie jej dawnego podopiecznego. Potem znów spój- I rżała na Despreaux.

–Owszem, wychowywał się na Dworze i być może ma lepsze wykształcenie niż ty, ale wierz mi, jego wiedza była bardzo skromna, zanim wyruszyliśmy w naszą podróż. Wiem, to ja miałam mu zapewnić wykształcenie, ale nie najlepiej mi to wyszło. Ostatnio jednak Roger znalazł o wiele silniejszą... motywację do nauki. Ty także

mogłabyś to zrobić. Sama widziałaś, jak dojrzał przez ostatnie pół roku, pewnie bardziej niż ktokolwiek inny, poza mną i Armandem Pahnerem. Ale nikt nie rodzi się z takim „podejściem” do wiedzy, trzeba się go nauczyć, tak jak to zrobił Roger. Udowodniłaś już, że potrafisz opanować techniki walki, więc potraktuj to po prostu jako jeszcze jeden zestaw umiejętności bojowych. I pamiętaj, że jeśli nam się uda, będziesz Cesarzową. Tylko bardzo głupi albo bardzo niebezpieczny człowiek będzie mógł ci się sprzeciwić.

–Nasze dzieci będą się wychowywać w klatce!

–Wszystkie dzieci tak się wychowują – odparowała Eleanora. – To dlatego żaden zdrowy na umyśle dorosły nie chciałby znów być dzieckiem. Ale klatka waszych dzieci będzie najlepiej chronioną klatką w całej galaktyce.

–Niech pani to powie dzieciom Johna! – wybuchła Despreaux. – Kiedy pomyślę o...

–O dzieciach, które co roku po prostu znikają – weszła jej w słowo Kosutic – albo kończą jako trup w rowie, albo są gwałcone przez wujka lub najlepszego kolegę taty. Pomyśl raczej o nich. Ty nigdy nie będziesz musiała się o to martwić, bo będziesz miała trzy tysiące twardych bydlaków, którzy będą jak rottweilery obserwować każdego, kto się do nich zbliży. Wasze dzieci będą miały trzy tysiące najbardziej niebezpiecznych nianiek w całej galaktyce. Jasne, dopadli Johna i jego dzieci, ale najpierw musieli wyciąć cały Osobisty Pułk Cesarzowej, co do jednego żołnierza. Jeśli tego nie zauważyłaś, to w całej zaszranej galaktyce zostało nas tylko dwanaścioro, bo jedynym sposobem, żeby dopaść dzieci Johna i jego samego albo Cesarzową, było przejście po naszych trupach! W ciągu pięciuset zaszranych lat był tylko jeden udany atak na Rodzinę Cesarską! Nie mów mi więc, że wasze dzieci nie będą bezpieczne!

Popatrzyła na nią ze złością i po chwili Despreaux spuściła wzrok.

–Nie chcę być Cesarzową – powtórzyła cicho, lecz z uporem. – Dałam mu słowo, że nie wyjdę za niego, jeśli zostanie Cesarzem. Kim będę, jeśli je cofnę?

–Kobietą – wyszczerzyła zęby Kosutic. – Nie wiesz, że nam wolno zmieniać zdanie? Dostajemy to w pakiecie razem z cyckami.

–Bardzo dziękuję- powiedziała ze złością Despreaux. Znów skrzyżowała ręce na piersi i zgarbiła się. – Nie chcę być Cesarzową.

–Może nie chcesz – powiedziała Eleanora – ale chcesz wyjść za Rogera i urodzić mu dzieci. Nie chcesz dopuścić, żeby na Tronie zasiadł krwawy tyran, a Roger będzie o wiele mniej krwawy, jeśli będzie liczył się z twoim zdaniem. Jedyna rzecz, jakiej nie chcesz, to być Cesarzową.

–To raczej ważna rzecz.

–To, czego chcesz czy nie chcesz, tak naprawdę nie ma znaczenia – powiedziała Kosutic. – Jedyne, co się liczy, to dobro Imperium. Nie obchodzi mnie, czy każdy kolejny dzień swojego życia będziesz uważać za składanie siebie żywcem w ofierze. Złożyłaś przysięgę i wzięłaś żołąd.

–O tym nigdy nie było mowy! – odpaliła ze złością Despreaux.

–Więc uznaj to za służbę w wyjątkowych okolicznościach, jeśli musisz! – powiedziała równie rozgniewana Kosutic.

–Uspokójcie się! – uciszyła je ostro Eleanora. Zmierzyła wzrokiem jedną i drugą, potem popatrzyła na Despreaux. – Nimashet, pomyśl tylko. Nie musisz już teraz się zgadzać, ale, na miłość boską, zastanów się, co będzie oznaczać twoja odmowa wyjścia za Rogera dla nas wszystkich, dla Imperium, dla twojej rodzinnej planety. Do diabła, dla wszystkich państw galaktyki.

–Każdy ma swoje sumienie – powiedziała z uporem Despreaux,

–Wielkie nieba, też mi coś – odparła zjadliwie Kosutic. – Przez większą część życia robimy to, co inni ludzie uważają za słuszne, zwłaszcza ci, na których nam zależy. Właśnie dlatego jesteśmy ludźmi. Jeśli on cię straci, będzie robił, co tylko będzie chciał, wiedząc, że nikt z nas nawet nie kiwnie palcem. Gdyby kazał nam zebrać wszystkich leworęcznych rudych i upiec ich żywcem, ja bym to zrobiła, bo tak powiedział Roger. Gdyby kazał Julianowi rzucić atomówki na jakąś planetę, Julian by to zrobił, bo tak powiedział Roger. A nawet gdybyśmy nie chcieli tego zrobić, znalazłby kogoś innego, kto by się zgodził – albo dla władzy, albo dlatego, że Roger ma prawo mu to nakazać, albo wreszcie dlatego, że ma ochotę coś takiego zrobić. Jediną osobą, która mogła nad nim zapanować, był Pahner, ale Pahner nie żyje, dziewczyno. Teraz Roger może szukać... sumienia już tylko w tobie. Ja nie mówię, że to zły człowiek, Nimashet, co do tego wszyscy się zgadzamy. Mówię tylko, w jakiej jest sytuacji: gdzie nie spojrzy, widzi kolejne kopniaki wymierzane ludziom, za których Cesarz jest odpowiedzialny. Tak samo jak był odpowiedzialny za nas na Marduku. Naprawdę myślisz, że nie zabiłby wszystkiego, co żywe na tej planecie, gdyby to nas miało uratować?

Spojrzała twardo w oczy Despreaux, zmuszając ją, by odwróciła wzrok. Po krótkiej, pełnej napięcia chwili młoda kobieta pokręciła wolno głową.

–Eleanora dobrze ci to wyjaśniła – ciągnęła Kosutic łagodniejszym tonem. – Roger nauczył się odpowiedzialności, i to na własnej skórze, dlatego zrobi wszystko, żeby się wywiązać ze swoich obowiązków, kierując się nawet zasadą „cel uświęca środki”, dopóki ktoś nie stanie mu na drodze. Ktoś, kto go powstrzyma przed zrobieniem

następnego kroku, gdyż chęć bycia takim człowiekiem, jakiego ta osoba chce w nim widzieć, jest dla niego równie potężną motywacją, jak odpowiedzialność wobec całej reszty wszechświata. A tą osobą jesteś ty, dziewczyno.

Despreaux ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głową.

–Ale ja naprawdę nie chcę być Cesarzową – powiedziała. – Poza tym co z małżeństwami dynastycznymi?

–W skali od jednego do dziesięciu – dziesięć oznacza twój pozytywny wpływ na Rogera – obawy o małżeństwa dynastyczne plasują się w okolicach minus sześćdziesięciu – powiedziała sucho Eleanora.

–Właściwie jest to czysto akademicka kwestia. Większość ludzkich państw nie ma naszego systemu politycznego albo są tak niewielkie, że i tak nie mogą wejść w koligacje z Cesarzem. Kilku członków Dworu może myśleć inaczej, ale większość z nich zostanie usunięta razem z Adoulą. Jestem pewna, że nikt nie będzie za nimi tęsknił.

–I tu dochodzimy do kolejnej rzeczy, nad którą dobrze byłoby się zastanowić – powiedziała Kosutic i uśmiechnęła się krzywo.

–Trzeba przyznać, że w tym szambie, które zaraz rozleje się po galaktyce, a przynajmniej po całym Imperium, wcale nie byłoby tak źle mieć na Tronie wilka. Kogoś, komu historycy nadaliby później przydomek „Groźny”. Wiemy przynajmniej, że zrobi wszystko, co trzeba, niezależnie od tego, jak byłoby to straszne. Ale któregoś dnia Tron odziedziczy jedno z jego dzieci. Kto wychowa to dziecko, plutonowy? Któraś z tych podstępnych, wrednych suk z Dworu, z którymi nie chcesz mieć nic do czynienia? Co się stanie z psychiką dziecka, którego tatuś niszczy wszystko, co mu stanie na drodze, a mamusię interesuje tylko władza i jej przywileje?

–Słuszna uwaga – zawtórowała Eleanora – choć nieco przedwczesna. – Teraz ona spojrzała przeciągle w oczy Despreaux, po czym wzruszyła ramionami. – Ale może lepiej to uwzględnić, kiedy zaczniesz się zastanawiać nad tą sprawą.

–W porządku. – Despreaux podniosła rękę, żeby nie dopuścić znów do głosu Kosutic. – Zastanowię się. Zastanowię się – powtórzyła.

–Świetnie – powiedziała Eleanora. – Dodam tylko jeszcze jedno.

–Co takiego? – spytała ze znużeniem Despreaux.

–Kochasz Rogera?

Młoda kobieta spojrzała na swoje dłonie, które w jakiś niewytłumaczalny sposób znów splotły się na podołku.

–Tak – odparła po długiej chwili. – Tak, kocham go.

–W takim razie pomyśl, jak wielkie brzemię musi dźwigać Cesarz. Już niejednego doprowadziło to do szaleństwa. Jeśli odejdziesz, zostawisz mężczyznę, którego kochasz, zupełnie samego z takim ciężarem. Jako żona możesz mu pomóc. Owszem, będzie miał doradców, ale to ty będziesz sprawiać każdego dnia wieczorem, że to brzemię nie stanie się nie do zniesienia.

–A co z ciężarem bycia Cesarzową?

–Roger będzie składał ofiarę z całego swojego życia – odparła cicho Kosutic. – A ty? Ty będziesz patrzeć, jak mężczyzna, którego kochasz, składa tę ofiarę... i trwać u jego boku. To będzie twoja ofiara, Nimashet Despreaux. Tak samo złożono by twoje ciało w ofierze na ołtarzu w Krathu, gdyby Roger temu nie przeszkodził.

*** * ***

–Trzeba się do tego przyzwyczaić.

Julian dotknął swojej twarzy. Miał teraz ciemnoblonde włosy i o wiele bardziej zaokrąglony podbródek. Poza tym lekko śródziemnomorskie rysy jego twarzy zmieniły się w środkowoeuropejskie.

–Właśnie – przytaknął Roger, patrząc na Temu Jina, jedyne go człowieka na pokładzie Świtu, który nie został zmodyfikowany.

Agent IBI miał całkowicie legalne dokumenty, z których wynikało, że został zwolniony z dobrymi referencjami z placówki na Marduku i teraz wraca nieco okrężną drogą na Starą Ziemię.

–Gdzie jesteśmy? – spytał ksiązę.

–Jeszcze jeden skok i będziemy w ToBeach – odpowiedział Jin. – To przystanek, z którego zwykle korzystają Święci; najwyraźniej doszli do porozumienia z tamtejszymi celnikami.

–U Alphan to dość niezwykle.

–Musimy im to wytknąć – odparł Julian. – To nie jest jedyne miejsce, w którym mają problemy z bezpieczeństwem granic. Może nie aż tak wielkie jak Imperium, ale będą zaskoczeni, że w ogóle je mają.

–Czy to jest „porozumienie” z ludźmi?

–Jest tam paru ludzi, ale dowódca placówki i inni, którzy muszą o tym wiedzieć, to Althari.

–Myślałem, że oni są nieprzekupni. – Roger zmarszczył brew.

–Althari najwyraźniej też tak myśleli – odparł Jin. – Ale nie są, tak samo jak Phaenurowie. Niech mi pan wierzy, widziałem tajne raporty. Sami mamy naszych agentów zarówno wśród Altharich, jak i Phaenurów. Ale postarajmy się ten temat omijać.

–Dobrze, będziemy go unikać. Co w takim razie robimy?

–Powiemy im, że jesteśmy wędrownym cyrkiem, co będzie tłumaczyć obecność wszystkich tych stworzeń w ładowniach – powiedział Julian. – Dotrzemy do Althara IV i nawiążemy z nimi kontakt. Dopiero później postanowimy, co dalej robić.

–Czy Phaenurowie nie... wyczują, że kłamiemy?

–Mogą wyczuć – powiedział Jin – ale to się okaże dopiero na miejscu. Nie mamy tam żadnych doświadczeń, będziemy więc musieli improwizować.

*** * ***

Alphanie wyglądali dokładnie tak, jak ich opisywano.

Oficer bezpieczeństwa na stacji transferowej, samiec Althari, nie dorównywał wzrostem Mardukanom, ale był od nich dwa razy szerszy, a jego ciało porastało długie futro, jedwabiste i pręgowane po bokach. Stojący obok niego Phaenur był tak mały, że wyglądał jak domowe zwierzątko, które mogłoby siedzieć na ramieniu Althariego, ale to właśnie on był starszy rangą.

Wlot do przestrzeni alphańskiej odbył się bez żadnych problemów. Przekupieni przez Świętych celnicy w ToBeach wzięli swoją zwyczajową działkę i po pobieżnej inspekcji, w czasie której nie zwrócono nawet uwagi na uszkodzenia po strzelaninie, statek poleciał dalej.

Ale dwa skoki później, kiedy znaleźli się w stołecznym układzie Sojuszu Alphańskiego, zaczęły się już trudności. Po zadokowaniu i okazaniu dokumentów kwarantanny oraz kart wjazdowych urzędnikowi-człowiekowi, którego przysłano na statek, zostali uwięzieni na pokładzie na dwie nerwowe godziny, po upływie których „pan Chang” został wezwany na rozmowę z „wyższymi rangą urzędnikami celnymi”.

Spotkanie odbyło się w ładowni stacji transferowej – stacji kosmicznej umieszczonej

w pobliżu Granicy Tsukuyamy Althara, gwiazdy klasy G. Ładownia wyglądała tak samo, jak wszystkie inne ładownie, które Roger widział: podrapana podłoga i ściany, znaki ostrzegawcze w różnych językach. Jedyną, i to dużą, różnicą był komitet powitalny, w którego skład-oprócz dwóch „starszych rangą urzędników celnych” – wchodziła grupa altharskich strażników w pancerzach bojowych.

–Panie Chang – powiedział Althari. – Nie wie pan zbyt wiele o Altharich, prawda?

–Wręcz przeciwnie, wiem całkiem sporo – odparł Roger.

–Jedną z rzeczy, o których najwyraźniej pan nie wie, jest to, że kwestię naszego bezpieczeństwa traktujemy bardzo poważnie – ciągnął Althari, ignorując jego odpowiedź. – Poza tym nie pozwalamy sobie okłamywać. Pan nie nazywa się Augustuc Chang.

–Nie, tak samo jak ten statek nie nazywa się Szmaragdowy Świt.

–Kim pan jest? – zapytał groźnie Althari.

–Nie mogę powiedzieć. – Roger podniósł rękę, by powstrzymać odpowiedź. – Nie musicie tego wiedzieć, ale musicie nam zorganizować spotkanie z przedstawicielem waszego rządu, i to z zachowaniem wszelkich środków bezpieczeństwa.

–Prawda – powiedział Phaenur syczącym głosem. – Całkowita prawda.

–Dlaczego? – spytał Althari.

–Tego też nie musicie wiedzieć – odparł książę. – Nie powinniśmy nawet prowadzić tej rozmowy w obecności waszych żołnierzy. Mogę wam tylko powiedzieć, że wasze systemy bezpieczeństwa zostały spenetrowane. Mamy bardzo niewiele czasu. Dla mnie to bardzo ważne, by spotkać się szybko z kimś z wyższego szczebla, ale dla Sojuszu Alphańskiego to też ma znaczenie, a jakie, to już zależy od kogoś, kto zarabia o wiele więcej niż wy. Przykro mi.

Althari spojrział na Phaenura, a ten dziwnie szarpnął głową.

–Znów prawda – powiedział jaszczurowaty obcy i spojrział na Rogera. – Musimy się skontaktować z naszymi przełożonymi. Proszę tymczasem wrócić na pokład waszego statku. Czy macie jakieś pilne potrzeby?

–Raczej nie – odparł Roger. – Nie licząc pewnych napraw, ale one raczej nie są pilne, gdyż nie zamierzamy odlatywać tym statkiem.

–Panie Chang. – Na środku hologramu Pałacu Cesarskiego, który Roger i Eleanora O’Casey pilnie studiowali, pojawiła się twarz Despreaux.

–Phaenur Srali pragnie z panem mówić.

Potem ukazała się twarz obcego. Roger nie był pewien, czy to ten sam, z którym już rozmawiał. Nie zostali sobie przedstawieni, a wszyscy obcy wyglądali dla niego tak samo.

–Panie Chang – powiedział Phaenur – wasz statek otrzymał zgodę na przelot do stacji pięć. Udacie się tam wyznaczoną trasą. Każde zboczenie z wyznaczonego kursu spowoduje, że wasza jednostka zostanie ostrzelana przez systemy obronne układu. Wspominał pan o naprawach; czy wasz statek jest w stanie dokonać bez nich przelotu?

–Tak – odpowiedział Roger z uśmiechem. – Mielibyśmy tylko problemy z wydostaniem się z układu.

–Jakakolwiek próba dotarcia do Granicy Tsukuyamy również spowoduje, że wasz statek zostanie ostrzelany – ostrzegł Phaenur. – Spotka się z wami wysokiej rangi przedstawiciel mojego rządu.

–Nie zawracają sobie głowy uprzejmościami, co? – powiedział Roger.

–Nie, jeśli kogoś nie lubią – odparła Eleanora – potrafią być bardzo mało subtelni.

–Cóż, zobaczymy, czy zdołamy ich do siebie przekonać.

*** * ***

Roger stał u szczytu stołu w sali odpraw. W skład alphańskiej delegacji wchodził Phaenur, znów jako przewodniczący, dwójka Altharich i jeden człowiek. Jedna z Altharich, strażniczka-potężny osiłek w bojowym pancerzu – zajęła pozycję pod tylną grodzią. Druga miała na sobie uprząż admirała floty z czterema skupiskami planet.

Kiedy trójka gości usiadła, książę kazał członkom swojego sztabu zająć miejsca. Tym razem nie było wśród nich Honala; jego wielki fotel zajęła altharska admirał.

–Nazywam się Sreeetoth – powiedział Phaenur – i jestem szefem służb celnych Sojuszu Alphańskiego. Jestem urzędnikiem najbliższym rangą władzy wykonawczej, z której przedstawicielem spotkacie się dopiero wtedy, gdy podacie nam więcej informacji. Moi towarzysze to admirał Tchock Rai, dowódca wewnętrznej floty Altharich, i pan Mordas Dren, naczelny inżynier układu Althar. A kim pan naprawdę jest?

–Jestem księżę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock – odparł oficjalnym tonem Roger. – Przez ostatnich dziesięć miesięcy przebywałem na planecie Marduk lub byłem w drodze do tego układu gwiazdowego, dlatego nie mam nic wspólnego z żadnym przewrotem. Moja matka została uwięziona, a ja przybyłem do was, aby prosić o pomoc.

Człowiek odchylił się w fotelu, wodząc po zebranych zdziwionym wzrokiem. Althari była... nieprzenikniona, Sreetoth zaś przekrzywił głowę dziwnym owadzym ruchem i rozejrzał się po pomieszczeniu.

–Prawda. To wszystko prawda – powiedział po chwili. – Obawa, strach tak gęsty, że można by go kroić nożem... oprócz Mardukan i księcia. I wielka potrzeba. Wielka potrzeba.

–A czemuż to uważacie, że mielibyśmy za was nadstawić karku? – zagrzmiała Althari głosem, który wydawał się dobiegać spod ziemi.

–Z kilku powodów – odpowiedział Roger. – Po pierwsze, posiadamy informacje, których wy potrzebujecie. Po drugie, jeśli uda nam się obalić uzurpatorów, którzy posługują się moją matką jak marionetką, mój ród będzie miał u waszego Sojuszu dług, z którego będziecie mogli korzystać niemal bez ograniczeń. Po trzecie wreszcie, Alphanie wymagają prawdy i my wam ją damy, a od ludzi związanych z Adoulą nie uzyskacie nawet grama prawdy.

–Znów prawda – powiedział Phaenur. – Jest drobna sprzeczność w sprawie długu, ale sądzę, że to po prostu bierze się ze świadomości, iż potrzeby Imperium muszą przeważać nad osobistymi pragnieniami księcia. Ale wciąż nie jestem pewien, czy postanowimy panu pomóc, księżę Rogerze. Chce pan obalić własny rząd?

–Nie, on już został obalony... w pewnym sensie. Adoula wciąż jest skrzepowany naszym prawem i konstytucją, ale nie na długo. Sądzę, że mamy czas na ocalenie mojej matki do chwili narodzin jej dziecka; potem Cesarzowa stanie się przeszkodą dla planów Ado-uli. Dlatego bez wątpienia matka mianuje go premierem, a potem on albo earl Nowego Madrytu – głos Rogera ani przez chwilę nie zadrżał, mimo zimnego spojrzenia oczu, kiedy wymawiał tytuł swojego ojca – zostanie ogłoszony regentem. Później matka zginie... i przewrót Adouli zakończy się zwycięstwem.

–To są tylko przypuszczenia -powiedział Sreetoth.

–Tak, ale oparte na solidnych przesłankach. Matka nigdy nie zgodziłaby się sprzymierzyć z Adoulą, a ja z całą pewnością nie byłem zamieszany w przewrót. Wręcz przeciwnie, kiedy do niego doszło, byłem całkowicie odcięty od świata. Matka nienawidzi mojego ojca i nim pogardza, a mimo to on bez przerwy jest przy niej jako biologiczny ojciec jej nienarodzonego dziecka. Wydaje mi się, że jedynym rozsądnym

wytłumaczeniem tego wszystkiego jest kontrolowanie jej umysłu, zgadzacie się?

–Zgadzam się, że to wewnętrznie spójny wywód – odparł Phaenur – ale...

–To prawda – zagrzmiała Tchock Rai. – Wiemy o tym.

–To wszystko mnie przerasta – powiedział Mordas Dren. – Wiem, że myśleliście, iż przyda wam się tutaj człowiek, ale to dla mnie za wysokie progi. – Przez chwilę się krzywił, potem mocno zacisnął oczy. – Adoula to żmija. Stoi za każdą z tych korporacji, które dobijają się do naszych drzwi. On jako Cesarz... Właśnie o tym jest mowa, prawda?

–Docelowo tak – odparł Roger – chociaż nie sądzimy, żeby to się udało. Bardziej prawdopodobne jest, że Imperium rozpadnie się na rywalizujące ze sobą frakcje. A bez Cesarzowej, która by je równoważyła...

–I co w tym złego? – spytała Althari i pokręciła głową ludzkim gestem. – Nie, zgadzam się, że byłoby niedobrze. Święci zaczęliby zajmować nowe terytoria, aby zwiększyć swoje i tak już olbrzymie zaplecze surowcowe. Gdyby udało im się przejąć część waszej marynarki, stanęlibyśmy w obliczu ciężkich walk na kolejnej granicy. Jako profesjonalista uważam, że Imperium rzeczywiście by się rozpadło, a w takim wypadku „chaos” byłby zbyt łagodnym słowem na opisanie tego, co by się działo.

–Skutki dla handlu byłyby...katastrofalne – dodał Sreetoth. – Ale jeśli spróbuje pan posadzić swoją matkę z powrotem na Tronie i to się panu nie uda, rezultaty będą takie same, a może nawet gorsze.

–Nie... niezupełnie. – Roger powiódł wzrokiem po trzech alphańskich delegatach. – Jeśli nam się nie uda i zostaniemy rozpoznani, Adoula będzie całkowicie kryty. Stanie się jasne, że to wszystko moja sprawa, od samego początku, a wtedy będzie mu o wiele łatwiej kontrolować sytuację. Reputacja Domu MacClintock zostanie poważnie nadwerężona, a to jest jedna z tych rzeczy, które stoją Adouli na przeszkodzie. Jeśli ja zostanę oficjalnie obciążony odpowiedzialnością za to wszystko, co się stało, Adoula będzie mógł legalnie przejąć władzę.

–Pod warunkiem, że nie wyjdzie na jaw, gdzie pan był w czasie przewrotu – zauważył Phaenur.

–Tak.

Tchock Rai nachyliła się do przodu i przez dłuższą chwilę przyglądała się księciu.

–Chce pan powiedzieć, że jeśli wam się nie uda, zamierzacie ukryć fakt, że nie jest pan odpowiedzialny za zamach stanu? – spytała. – Że zhańbi pan dobre imię swojego Domu, zamiast pozwolić, by prawda wyszła na jaw?

–Tak – powtórzył Roger. – Ujawnienie prawdy byłoby klęską Imperium, dlatego wolę, żeby mój Dom, słynący z tysiącletniej tradycji zaszczytnej służby dla ludzkości, kojarzył się z moją hańbą. Co więcej, wszyscy ci, którzy poznają prawdę, będą musieli dochować sekretu, jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo. W przeciwnym razie...

–Chaos na granicy – przerwał mu Dren. – Jezu Chryste, Wasza Wysokość.

–Dlatego prosiłem o spotkanie z waszymi najwyższymi władzami – powiedział Roger, wzruszając ramionami. – Witamy w dżungli.

–W jaki sposób ukryjecie prawdę – spytał Sreeetoth. – jeśli zostaniecie pojmani? Część z was na pewno zostanie schwytana, jeśli wam się nie uda.

–Przebiecie się z jakimikolwiek informacjami przez środki bezpieczeństwa, które zastosuje Adoula, jeśli nam się nie powiedzie, będzie wymagało wielkiego wysiłku – odparł Roger. – A my po prostu go nie podejmiemy.

–A pana ludzie? – spytała Althari, wskazując sztab księcia. – Pan naprawdę wierzy, że wykonają ten szalony rozkaz?

Roger zacisnął zęby i natychmiast dostał dwa kopniaki w kostki. Despreaux kopnęła go dużo mocniej niż O’Casey, ale obie trafiły go niemal równocześnie. Zamknął oczy i odetchnął, a potem sięgnął do tyłu i starannie wygładził swój kucyk.

–Admirał Tchock Rai – powiedział, spoglądając Althari w oczy.

–Jest pani wojowniczką, tak?

Despreaux i Julian skrzywili się; Eleanora była zbyt doświadczonego dyplomatą, żeby to zrobić.

–Uważaj, człowiecze – warknęła admirał. – Samo zadanie tego pytania to zniewaga.

–Pani admirał. – Roger odpowiedział jej równie rozgniewanym spojrzeniem – W porównaniu z najniższym stopniem marinę pod moimi rozkazami pani nawet nie zna znaczenia tego słowa.

Olbrzymia Althari zerwała się z fotela z rykiem przypominającym lawinę granitowych głazów, a strażniczka w kącie wyprostowała się, lecz Roger wycelował teraz palec w Sreeetotha.

–Powiedz jej! – warknął. Phaenur machnął ręką krótkim, rozkazującym gestem, który przeciął pełną furii reakcję Althari jak gilotyna.

–Prawda – zasyczał. – Prawda i wiara w tę prawdę tak mocna, jakby palił się tutaj ogień.

Jaszczuropodobny stwór odwrócił się do niedźwiedziowatej Althari i znów machnął ręką na swoją olbrzymią towarzyszkę.

–Proszę usiąść, Thock Rai, proszę usiąść. Księżę płonie prawdą. Jego żołnierze, nawet ta kobieta, która nie może znieść tego, kim on jest, płoną prawdą. – Spojrzał na Rogera. – Kroczysz niebezpieczną ścieżką, człowiecze. Altharim zdarzało się za taką zniewagę wpadać w coś, co wy nazywacie szalem.

–To nie była zniewaga. – Roger popatrzył spokojnie na trójkę gości. – Chcecie wiedzieć, dlaczego nie?

–Tak – odparł Phaenur. – A pragnienie poznania płonie w Tchock Rai chyba jeszcze mocniej niż we mnie.

–To chwilę potrwa.

*** * ***

Potrwało nieco ponad cztery godziny.

Roger jeszcze nigdy nie opowiedział nikomu całej tej historii, nawet sobie samemu, dlatego był mocno zaskoczony, gdy w czasie prezentacji po raz pierwszy zdał sobie w pełni sprawę z tego, czego dokonali.

A przez te cztery godziny przedstawił tylko najważniejsze aspekty wyprawy.

Opowiedział o ataku toombiego na DeGlopperze, zajadłej walce transportowca z krążownikami Świętych, a potem o jego samozniszczeniu po dokonaniu abordażu. Pokazał nagrania z kamer hełmów, które rejestrowały fale wrzeszczących barbarzyńców, mardukańskie drapieżniki, bagna i nieustanny ulewny deszcz, dopóki zgnilizna dżungli nie pokonała delikatnych systemów hełmów. Przedstawił też mapy bitew, opisy broni, analizy taktyczne, zgrane z systemów Świętych dane z bitwy o Świt, liczbę zabitych po stronie wroga... i ściskający za gardło wykaz własnych poległych.

To był raport z piekła.

A kiedy skończył, oprowadził alphańską delegację po statku. Admirał i jej strażniczka zwróciły uwagę na uszkodzenia okrętu, dotknęły blizn Party. Inżynier cmokał językiem, widząc zniszczenia, zaglądał do nie załatanych jeszcze dziur i dziwił się, że statek w ogóle jeszcze lata. Potem pokazano delegacji civan – jeden z nich omal nie odgryzł admirał ręki, co najwyraźniej uznała za rozkoszny żart – oraz atul i

basiki w klatkach. Rastar, z tak kamiennym wyrazem twarzy, jaki potrafi mieć tylko Mardukanin, pokazał im brudny i podziurawiony sztandar Osobistego Pułku Basik. Admirał i jej strażniczka uznały, że sztandar jest wspaniały, a ponieważ wcześniej widziały prawdziwego basika, natychmiast zrozumiały dowcip.

W końcu wrócili do sali odpraw. Została jeszcze do pokazania jedna, ostatnia sekwencja wizualna.

Admirał Althari odchyliła się w swoim wielkim fotelu, cmoknęła i wydobyła z siebie dziwny, atonalny zaśpiew, od którego wszystkim przeszły po grzbiecie ciarki, kiedy Roger wyświetlił nagranie z wewnętrznych kamer mostka, ukazujące ostatnie chwile życia Armanda Pahnera. Książę patrzył razem ze wszystkimi, a jego piwne oczy były tak ciemne, jak wówczas, gdy w leżącym w jego ramionach strzaskanym ciele gasły ostatnie ogniki życia.

A kiedy wszystko się skończyło, zapadła cisza, która zdawała się trwać długie godziny. Wreszcie Tchock Rai uniosła w górę twarz i dłonie.

–Powędrują za Kryształowe Góry – powiedziała cichym, niemal śpiewnym głosem. – Olbrzymi uniosą ich na swych barkach. Będą śpiewać pieśni i spoczywać w pokoju, a usługiwać im będą ci, którzy padli z ich ręki. Sama Tchrorr Kai będzie po wszech czasy stawać w bitwie u ich boku, bo zaprawdę odeszli do krainy Wojownika.

Spojrzała na Rogera i poruszyła głową dziwnym gestem, właściwym tylko Altharim.

–Zmazuję plamę zniewagi z naszej znajomości. Przypadł panu w udziale wielki zaszczyt dowodzenia takimi wojownikami. Są najlepsi. Byłabym szczęśliwa, mając ich za wrogów.

–Tak, to prawda – odparł Roger, patrząc na ostatnią zatrzymaną klatkę hologramu. Trzymał zwłoki swojego ojca i mentora w opancerzonych ramionach, które mimo ogromnej siły nie były w stanie utrzymać tego okaleczonego ciała przy życiu. – Ale oddałbym to wszystko, żeby tylko Stary jeszcze raz mnie objechał. Oddałbym to wszystko, żeby jeszcze raz zobaczyć Gronningena jako obiekt żartów. Żeby ujrzeć, jak Dokkum uśmiecha się w porannym świetle, żeby jeszcze raz usłyszeć dziwny śmiech lmy.

–Ima rzadko się śmiała- zauważył cicho Julian. Przypominanie tego wszystkiego sprawiło ludzi w ponury nastrój.

–Śmiała się, kiedy pierwszy raz spadłem z Party – przypomniał Roger.

–Tak, śmiała się – zgodził się Julian.

–Książę, nie wiem, jaką decyzję podejmie mój rząd – powiedziała Tchock Rai. – To,

o co pan prosi, naraża Sojusz Alphański na wielkie niebezpieczeństwo, a my musimy mieć na uwadze dobro naszego klanu. Ale pan i pana żołnierze możecie odpocząć w moich komnatach, dopóki nie zapadnie decyzja. Możemy was tam ukryć, nawet pod waszymi prawdziwymi nazwiskami, gdyż moim ludziom można zaufać. A jeśli decyzja będzie dla was niepomyślna, możecie tam pozostać na całą wieczność, jeśli zapragniecie. Udzielenie schronienia komuś, kto dokonał takich czynów, będzie dla mojego domu wielkim wyróżnieniem – zakończyła, kładąc obie łapy na piersi i nisko się kłaniając.

–Dziękuję – powiedział Roger – za zaszczyt, jakiego dostąpili moi polegli.

–Prawdopodobnie będziecie musieli jeszcze raz pokazać tę prezentację- powiedział Sreeetoth. – Potrzebuję kopii wszystkich waszych danych. Jeśli zatrzymacie się w domu Tchock Rai, będziecie musieli dzień i noc opowiadać te historie, więc się strzeżcie.

–Cokolwiek się stanie, nie polecicie tym statkiem do Układu Słonecznego – dodał Mordas Dren i pokręcił głową, – Nie przejdzie przez skany Imperium, to pewne, ale gdyby przeszedł, nie miałbym zaufania do napędu, nawet gdyby chodziło tylko o pojedynczy skok.

–To prawda – potwierdził Roger. – Żeby nasz plan się udał, będziemy potrzebowali innego frachtowca, liczniejszej załogi i sporo pieniędzy. No i dostępu do bieżących danych wywiadu – dodał.

Zafascynował go fakt, że admirał wiedziała, iż jego matka jest pod stałą kontrolą.

–Jeśli postanowimy pana poprzeć, wszystko to da się załatwić -zasyczał Phaenur. – Ale póki co, musimy o tym zameldować naszym przełożonym. To znaczy niektórym z naszych przełożonych -dodał, zerkając na inżyniera.

–Minister będzie chciała wiedzieć, o co chodzi – powiedział z zakłopotaniem Dren.

–Proszę jej tylko powiedzieć, że ze względów bezpieczeństwa to tajemnica – odparła admirał. – Nie chcę żadnych techników z zewnątrz na pokładzie, dopóki nie zostanie podjęta decyzja! Jeśli już jacyś zostaną tutaj wpuszczeni, to tylko z Biura Projektowego Marynarki.

–Nie – powiedział Phaenur. – Załatwimy to inaczej. Mordasie, czy przeniósłby się pan do marynarki?

–Odpowiadam za cały układ gwiazdny, Sreeetoth'cie – zauważył Dren – i jestem trochę za stary, żeby pracować kluczem. Lubię to robić, ale sam pan rozumie, że nie zgodzę się na obcięcie pensji.

–Wszystko załatwimy – powiedziała admirał, wstając. – Młody książę, panie Chang, mam nadzieję zobaczyć pana niedługo w moim domu. Przyślę zaproszenie do szefowej pana świty, kiedy tylko poczynię odpowiednie ustalenia.

–Czekam z niecierpliwością- odparł Roger, uświadamiając sobie, że to prawda.

–I niech pan nie zapomni przynieść swojego miecza – powiedziała Tchock Rai z cichym pomrukiem, który -jak Roger zdążył się już dowiedzieć – oznaczał u Altharich śmiech.

Mimo wyglądu niedźwiadków koala Althari nie mieli nic wspólnego z nadrzewnym trybem życia. Stało się to dla Rogera zupełnie jasne, kiedy tylko zobaczył „komnaty” admirał.

Domy Altharich znajdowały się niemal w całości pod ziemią, i jeśli warunki na to pozwalały, grupowano je na podstawie pokrewieństwa ich mieszkańców. „Komnaty” admirał były ciągiem niskich kopców, z których każdy mierzył około kilometra średnicy i był zwieńczony małym blokhauzem zbudowanym z wydobywanego lokalnie wapienia. Między nimi widać było utwardzone drogi dla naziemnych pojazdów oraz kilka lądowisk, w tym jedno blisko dwustumetrowej długości, dla wozów powietrznych i promów. Największa niespodzianka czekała ich jednak we wnętrzu pierwszego blokhauzu, gdzie strome rampy prowadziły w dół, do ułożonych piętrami wysoko sklepionych pomieszczeń. Wśród Altharich głębokość położenia osobistych kwater wyznaczała pozycja społeczna; Roger został więc wprowadzony do pomieszczenia o szerokości dwudziestu i wysokości sześciu metrów, pogrzebanego niemal trzysta metrów pod ziemią.

Cieszył się, że nie ma nawet śladu klaustrofobii.

Wszystkie domy, połączone systemem tuneli, tworzyły rozległe podziemne miasto. Magazyny, wyjścia awaryjne, broń-wszystko to wskazywało, że to olbrzymia forteca, której mieszkańcy tworzą świetnie wyszkoloną milicję. A była to zaledwie jedna z tysięcy podobnych fortec na całej planecie. Nic dziwnego, że Altharich uważano za niepokonanych.

Imperialni przybyli poprzedniego wieczoru i zostali niepostrzeżenie zaprowadzeni do swoich kwater. Łazienki dostosowano do potrzeb ludzi, ale łóżka były już althariańskich rozmiarów i Roger musiał podskoczyć, żeby wciągnąć się na swoje posłanie. Ogólnie jednak kwatery nie były złe, dopóki człowiek nie zaczynał myśleć o tonach skał, betonu i piachu nad jego głową.

Niebo nad Altharem IV było tak niebieskie, że niemal wpadało w fiolet. Powietrze było nieco bardziej rozrzedzone niż na ziemi, co przyprawiało o lekkie zawroty głowy, a wilgotność była bardzo niska. W tej chwili na niebie nie było chmur, co było miłą

odmianą po wiecznie deszczowym Marduku.

Komnaty Tchock Rai znajdowały się mniej więcej pośrodku olbrzymiej doliny. Na wschodzie, północy i południu wznosiły się ośnieżone szczyty gór, na zachodnim krańcu dolina była otwarta. Większą część powierzchni niecki zajmowały inne osiedla, farmy i małe miasto, zamieszkane głównie przez Altharich.

Około tysiąca Altharich, wszyscy marines i połowa Mardukan oglądali właśnie zawody, które admirał urządziła na cześć swoich gości, przygotowywali ucztę na dworze albo po prostu spacerowali i rozmawiali.

Dzień zaczął się od prostego śniadania, na które podano suszone ludzkie jedzenie. Potem przez parę godzin wszyscy oglądali sparingi Altharich – po to, jak podejrzewał Roger, żeby mogli poznać ich tradycyjne metody walki – a po ich zakończeniu nadeszła pora, żeby ludzie i Mardukanie sami pokazali, co umieją.

Trwała właśnie walka Rastara z młodą Althari. Zamiast broni każde z nich dostało odpowiednio wyważone stępione ostrza treningowe. Althari trzymała dwa ostrza, po jednym w każdej niedźwiedziej łapie, Rastar zaś cztery. Był jedynym znanym Rogerowi naprawdę czteroręcznym Mardukaninem. Podczas gdy większość z nich walczyła tylko dwiema rękami lub nawet jedną, Rastar potrafił walczyć czterema jednocześnie. W tej chwili w każdej ręce trzymał nóż, który dla człowieka byłby krótkim mieczem, i machał nimi tak szybko, że migotały niemal jak błyskawice.

Zawodnicy mieli na sobie uprząże rejestrujące trafienia i podliczające punkty. Oprócz tego Rastar był ubrany w skafander środowiskowy, który odślaniał tylko jego twarz. Zimnokrwieńcy Mardukanie, przyzwyczajeni do bardzo gorącego klimatu swojej planety, czuli się na Althar IV – gdzie temperatury były niskie nawet dla ludzi -jak na zlodowaciałej planecie, dlatego musieli nosić specjalne skafandry.

Widać było, że chłód najwyraźniej jednak nie wpływa na szybkość ruchów Rastara; wszystkie cztery ręce wprost śmigają w przód i w tył. Althari bez wątplenia była dobra, ale Rastar blokował jej ciosy górnymi rękami, podczas gdy dolne – o wiele silniejsze -raz za razem uderzały. Mardukanin bił przeciwniczkę na głowę zdobytymi punktami.

–Punkt! – zawołała Tchock Rai, kiedy ostrze w jego lewej ręce po raz kolejny otarło się o tors Althari. – Adain!

„Adain” było poleceniem odsunięcia się od siebie i przygotowania do następnej rundy, ale zamiast opuścić broń i cofnąć się, Althari wydobyła z siebie ochryply ryk i zaszarżowała. Roger widział, jak bez trudu wygrała dwie poprzednie walki, więc rozumiał jej rozgoryczenie, a ponadto, jak go uprzedzał Sreetoth, Althari nie słynęła z opanowania ani rozsądku.

Nagły atak tylko na chwilę wytrącił Rastara z równowagi. Mardukanin zawirował zręcznie w miejscu i przepuścił szarżę bokiem, po czym jego cztery noże zamigotały jak srebrne błyskawice, malując na bojowej uprzęży Althari purpurowe hologramy. Althari ryknęła z furią i znów zaatakowała. Rastar ponownie zszedł jej z drogi, a potem jego noże błysnęły i z bezlitosną precyzją wymalowały fioletowe plamy na jej bokach, plecach i karku.

–Adain! – krzyknęła znowu Rai i tym razem przeciwniczka Rastara wreszcie się zatrzymała.

–Przepraszam za to naruszenie protokołu, książę Rastarze – powiedziała admirał. – Toshok, idź na bok i zastanów się nad hańbą, którą właśnie ściągnęłaś na nasz dom!

–Może byłoby lepiej, żeby się zastanowiła, co by się stało, gdyby to były prawdziwe ostrza – zaproponował Rastar. Mardukanin mówił już doskonałym imperialnym, który Althari dobrze rozumieli dzięki ich odpowiednikom wszczepianych imperialnych tootsów.

–Jeśli chcesz mi stawić czoła z ostrą bronią... – warknęła Toshok w tym samym języku.

–Zostanie z ciebie krwawe ścierwo na ziemi – przerwała jej Rai. – Popatrz na markery, głupia!

Toshok spojrzała ze złością na holograficzną tablicę wyników umieszczoną obok areny zmagañ. Na widok liczb otworzyła szeroko oczy, a potem pokręciła z boku na bok swój ą niedźwiedzią głową, patrząc na purpurowe smugi na swojej uprzęży.

–To nic poważnego! – warknęła wreszcie ze złością. – Ledwie mnie dotkną!

–Bo w walce na noże chodzi o to, żeby przeciwnika wykrwawić, a nie żeby nóż utkwiał w jego ciele – powiedział Rastar. – Masz może ochotę na jeszcze jedną rundę z ochraniaczami, używając tego – zakręcił jednocześnie wszystkimi czterema ostrzami – jako mieczy?

–Nie sądzę – wtrąciła się Rai, zanim Toshok zdążyła odpowiedzieć. – Nie chcę tutaj mieć połamanych kości.

Admirał parsknęła śmiechem, a potem przywołała następną Althari.

–Tshar! Teraz ty.

Althari, która przybyła na wezwanie Rai, była – nawet jak na standardy Altarich – potężną górą mięśni i futra.

–To córka kuzynki mojej siostry przez małżeństwo, porucznik Tshar Krot. To nasza mistrzyni walki wręcz. Wybierz swojego zawodnika, książę.

Biorąc pod uwagę masę Althari, wybór mógł być tylko jeden.

–Plutonowy Pol – powiedział Roger.

Erkum wystąpił z szeregu. Widząc, że Althari jest naga, zdjął swoją uprząż oraz kilt, zostając w samym skafandrze.

–Jakie są zasady? – spytał Roger.

–To w walce wręcz są jakieś zasady? – odparła Rai, znów wybuchając gromkim śmiechem.

–Może chociaż bez wydłubywania oczu?

–Oczywiście, że bez.

–Chyba lepiej się upewnić, że Erkum o tym wie – stwierdził sucho Roger, patrząc na olbrzymi cień Krindi Faina. – Erkum – powiedział po diasprańsku – nie wolno wydłubywać oczu.

–Dobrze, Wasza Wysokość – odparł Diaspranin, uderzając się po bokach wszystkimi czterema pięściami i mierząc wzrokiem przeciwniczkę. Althari niemal dorównywała mu wzrostem i była jeszcze szersza w barach. – Postaram się też nie połamać jej kości – obiecał.

–Gatanl – warknęła admirał. Rozpoczęła się walka, której towarzyszył głośny doping wszystkich marines i Mardukan.

–Połam jej gnaty, Erkum! Połam gnaty!

–Zrób z niej niedźwiedzi kleik!

Dwójka walczących okrążyła się przez chwilę, a potem Tshar skoczyła do przodu, złapała Erkuma za jeden z górnych nadgarstków i obróciła się, by go przerzucić przez biodro. Ale Erkum przykucnął, złapał obiema dolnymi rękami Althari za uda i podniósł ją w górę. Był to duży wyczyn, nawet dla wielkiego Mardukanina, gdyż Althari musiała ważyć z pół tony, a poza tym jedną ręką trzymała go za skafander. Erkumowi udało się jednak obrócić ją głową w dół, a potem gwałtownie się wyprostował i wyrzucił ją w powietrze.

Tshar spadła na plecy, ale przetoczyła się zwinnie, uchylając się przed uniesioną w górę stopą Mardukanina, i szybko zerwała się na nogi. Znów zaatakowała; tym razem

udało jej się podnieść Erkuma i również rzucić nim o ziemię. On jednak spadając, zdołał złapać ją za kolano i szarpnięciem obalić na ziemię.

Oboje zerwali się, jakby byli z gumy, i rzucili na siebie. W tym samym momencie rozległ się bardzo nieprzyjemny dźwięk; to rogi Mardukanina napotkały czoło Althari. Już po chwili Tshar leżała na plecach, potrząsając słabo głową, a z nosa ciekła jej krew.

–Adain – powiedziała admirał, trochę już niepotrzebnie, a potem poruszyła głową gestem, który toots Rogera odczytał jako rozbawienie.

–Mamy tu ważną lekcję pogładową – zauważyła. – Nie wolno próbować bić Mardukanina z główki.

Tymczasem Erkum trzymał się dwiema rękami za rogi i powoli kręcił głową.

–Miała twarde łeb – mruknął wreszcie i usiadł z łomotem na ziemi.

–Proponuję rozstrzygnąć to jako remis – powiedział Roger, kiedy doktor Dobrescu i samiec Althari wbiegli na arenę.

Althari przesunął nad Tshar skanerem, dał jej jakiś zastrzyk i podszedł do admirał.

–Żadnych złamań, nie ma większych krwiaków – powiedział -ale doznała lekkiego wstrząsu mózgu. Nie może walczyć co najmniej przez dwa dni.

–A Mardukanin? – spytała Rai.

–Boli go głowa, to wszystko – powiedział Dobrescu i klepnął wciąż siedzącego Pola po górnym ramieniu. – Oni mają u podstawy rogów warstwę gąbczastej tkanki, która amortyzuje silne uderzenia. Boli go, ale nic mu nie będzie.

–W takim razie, Wasza Wysokość, nie sądzę, żebyśmy mogli to nazwać honorowym remisem – zauważyła admirał.

–Proszę ocenić walkę tak, jak pani chce – odparł Roger.

Admirał machnęła rękaw stroną Pola, przyznając mu oficjalnie

zwycięstwo, a potem odwróciła się do księcia.

–Pana towarzysze mówią, że świetnie posługuje się pan mieczem – stwierdziła.

–Radzę sobie. Kilka razy to mnie uratowało.

–Pana Mardukanie mierzyli się z członkami mojego klanu. Może by pan spróbował?

–Nie mam ćwiczebnego miecza.

–Pana miecz został zmierzony. – Rai skinęła na jednego ze stojących w pobliżu Altharich. Samiec podał jej miecz bardzo podobny do książęcego, z tą tylko różnicą, że jego ostrze, prawdopodobnie wykonane z włókna węglowego, było stępione.

Roger wstał i zważył broń w ręku. Wyważenie się zgadzało, kształt też – miecz miał około półtora metra długości, był lekko wygięty i miał wąskie, ale mocne ostrze. Wagowo też wydawał się zbliżony do oryginału, chociaż mógł być odrobinę cięższy.

Tymczasem pojawiła się ubrana w ochraniacze młoda samica Althari. Jej miecz byłby dla człowieka bronią dwuręczną, przypominającą konstrukcją claymore'a, ale z prostym ostrzem i szerokim jelcem. Althari była nieco starsza niż dwie poprzednie zawodniczki i miała szeroki czarny pas futra na plecach i barkach. Trzymała miecz ze swobodą i pewnością siebie, która nieco Rogera speszyła. Większość pojedynków stoczył w chaosie bitwy, a wtedy chodziło nie tyle o wykazanie się umiejętnościami szermierczymi, ile o jak najszybsze posłanie przeciwnika do piachu.

–To komandor Tomohlk Sharl, kuzynka męża siostry mojego męża – powiedziała admirał. W języku Altharich ten stopień powinowactwa określało tylko jedno słowo, ale toots Rogera jakoś sobie z tym poradził. – Zna tshoon, naszą tradycyjną sztukę walki mieczem.

–Postaram się najlepiej jak umiem – powiedział Roger i pokręcił głową, kiedy podsunęto mu ochraniacze. – To mi wiele nie pomoże – zauważył, spoglądając na olbrzymią przeciwniczkę. Widząc jednak mordercze spojrzenie Despreaux, przyjął hełm. Przypominał on trochę kask z włókna węglowego do piłki zero-G, był wytłumiony i miał zasłonę ze szczelinami na oczy. Potem książę założył uprząż do liczenia trafień, myśląc przy tym, że to oczywiste, iż potworna Althari zaliczy punkty.

Na arenie były w odległości czterech metrów od siebie dwie oznaczone pozycje. Roger stanął na jednej z nich, ujął miecz w obie dłonie i rozluźnił ramiona.

–Gatan – powiedziała admirał i usiadła na fotelu.

Roger i Althari ostrożnie zbliżyli się do siebie i zetknęli czubki swoich mieczy. Potem Althari rozpoczęła pojedynek, uderzając szybko z quarte w kierunku piersi Rogera.

Książę sparował cios i odskoczył w bok. Jego przeciwniczka szybko ruszyła za nim, naciskając, więc znów się odwrócił, zsuwając jej ostrze po swoim, i odskoczył w lewo.

Althari zakręciła się w miejscu i ustawiła ostrze do uderzenia na wprost. Tym razem jednak książę przyjął cios na swój miecz, elegancko go sparował i zanurkował pod bokiem przeciwniczki, tnąc z prędkością żmii jej odsłonięty brzuch. Potem wyskoczył

za jej plecami i ciął ją pod kolano. Oba uderzenia zostały zarejestrowane w odstępie niecałej sekundy.

–Adain – powiedziała admirał i Roger przyjął pozycję wyjściową. Komandor pocierała nogę i kręciła głową.

–W tshoon to niedozwolony cios – powiedziała.

–Przepraszam, nie wiedziałem – przyznał Roger. – W starciach, w których brałem udział, określenie „dozwolony cios” nie miało żadnego sensu.

–Myślę, że miał pan szczęście – powiedziała Althari. – Ja nigdy nie miałam sposobności walczyć mieczem ani, skoro już o tym mowa, żadną inną bronią i z kimkolwiek oprócz zabłąkanego pirata. Wojny w dzisiejszych czasach to rzadkość. – Wydała z siebie dźwięk, który toots Rogera przetłumaczył jako westchnienie zazdrości, a potem parsknęła althariańskim śmiechem. – Jest pan szybki. Bardzo szybki.

Roger wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Mardukanie są tak samo wielcy jak pani, więc musiałem być szybki.

Wrócili na swoje pozycje i admirał znowu dała znak do rozpoczęcia starcia. Tym razem Althari trzymała Rogera na dystans, równoważąc jego szybkość zasięgiem swoich ramion. Roger raz za razem próbował się przebić przez wirujące ostrze, ale nie potrafił. W końcu Althari trafiła go w ramię. Zablokował cios, ale przeciwniczka zbliżyła się i zwiększyła nacisk, przełamując jego gardę. Trafienie było stosunkowo lekkie, ale bolało jak diabli.

–Adain – powiedziała admirał. – Po punkcie. Potem gestem kazała im wrócić na pozycje startowe.

–Gatan.

Znów się starli. Tym razem Althari spychała Rogera do tyłu i musiał co chwila uskakiwać w bok, żeby nie wypaść z kręgu areny.

Wreszcie komandor zamarkowała cios i zatrzymała go w pół drogi, a potem skoczyła naprzód z niespodziewanym pchnięciem.

Finta kompletnie zaskoczyła Rogera. Zasłaniając się niezdarnie przed ciosem, poleciał w tył, odbił się z powrotem jak sprężyna, wykorzystując wagę swojego miecza do utrzymania równowagi, i ponownie opadł na kolano, tnąc mieczem w górę i na skos. Cios zostawił purpurową smugę na brzuchu komandor.

–Adain – powiedziała admirał. – Bardzo ładnie.

–Diabła tam ładnie – odparł Roger, masując plecy. – Na polu walki byłbym już martwy, gdybym nie miał kogoś za plecami.

–Rzeczywiście ma pan wiele szczęścia – powiedziała Rai, wskazując stojących wokół areny członków Osobistego Pułku Basik.

–Mam wielu przyjaciół, to prawda – przyznał ksiązę.

–To dlatego, że jest pan dobrym dowódcą – zauważyła admirał. – Proszę nie lekceważyć swoich osiągnięć.

–Sporo jednak zawdzięczam kapitanowi Pahnerowi – odparł ze smutkiem. W tym momencie zobaczył jadące w ich kierunku trzy naziemne samochody. Niedawno widział lądujący prom, ale ponieważ przez cały rano ruch był dość ożywiony, nie zwrócił na to uwagi. Ta karawana wydawała się jednak jechać prosto do nich.

–Chyba mamy towarzystwo – zauważył.

–Sreeetoth – przytaknęła admirał, wstając. – I inni.

Roger kiwnął głową i spojrzał na Eleanorę. Szefowa świty wzruszyła tylko ramionami.

*** * ***

Na górze wciąż trwało przyjęcie, więc spotkanie zorganizowano w jednej z podziemnych sal konferencyjnych, która wydawała się najbardziej bezpieczna. To fakt, że umieszczenie pluskwy w którymś z pomieszczeń Altharich byłoby trudne, ale tutaj ściany sprawiały wrażenie, jakby były otoczone klatką Faradaya, a drzwi zamykały się hermetycznie jak śluza.

Blat stołu można było ustawiać na trzech różnych poziomach, wysokość foteli również była elektronicznie regulowana; te meble zaprojektowano tak, by mogli z nich korzystać zarówno ludzie, jak i Althari i Phaenurowie. Jakaś nie znana im Althari zajęła fotel u szczytu stołu, na drugim końcu usiadł Phaenur, którego Roger również jeszcze nie widział. Obok niego posadzono Sreeetotha, a Tchock Rai siadła na lewo od nieznanym Althari.

–Jestem Sroonday, minister bezpieczeństwa zewnętrznego – powiedział Phaenur. – Sreeetotha, szefa służb celnych, już znacie.

Moim współprzywódcą jest Tsron Edock, minister wojny. Przepraszamy za... nieoficjalne powitanie, Wasza Wysokość, ale...

Roger podniósł rękę i pokręcił głową.

–Powitanie nie mogło być oficjalne, panie ministrze, zważywszy na okoliczności – powiedział. – Dziękuję za łaskawą zgodę na to spotkanie.

–Tu chodzi o coś więcej niż tylko o naszą życzliwość – odpowiedziała Tsron Edock, nachylając się do przodu. – Przez cały czas istnienia Sojuszu Alphańskiego Imperium Człowieka było naszym rywalem, ale rywalem przyjaznym. Nasza wspólna granica była jedyną granicą, na której nie musieliśmy rozmieszczać flot wojennych. Utrzymujemy z wami uczciwe stosunki handlowe. Ale wszystko to się skończy, jeśli Imperium pograży się w wewnętrzny konflikt albo Świętym uda się wtargnąć na wasze terytorium. Zawsze postrzegaliśmy was jako sprzymierzeńca przeciwko Świętym, ale w obecnych okolicznościach...

Spojrzała na Phaenura i poruszyła głową.

–Każdy ma swoje źródła informacji, tak? – zasyczał obcy.

–Tak – odparł Roger – chociaż Alphanie są znani z tego, że trudno ich szpiegować.

–Zgadza się – przyznał Sroonday. – Wewnętrzne bezpieczeństwo Imperium też jest całkiem niezłe, ale my mamy swoje źródła informacji... nawet we frakcji Adouli.

–I nie podoba wam się to, czego się dowiedzieliście – rzekła Eleanora.

–Właśnie – odparł minister bezpieczeństwa zewnętrznego. – Już na długo przed waszym przybyciem wiedzieliśmy, że przewrót był dziełem księcia Jacksona, a pańska matka jest sterowana, Wasza Wysokość, za pomocą kombinacji jej implantów i środków psychometrycznych.

Zakłopotany Sroonday umilkł. Roger siedział bez ruchu i milczał, więc po chwili Phaenur podjął przemowę.

–Zdania spiskowców co do dalszego losu Cesarzowej są podzielone. Większość chciałaby, żeby miała śmiertelny wypadek, kiedy tylko narodzi się Następca Tronu, ale Nowy Madryt wolałby zachować ją przy życiu; zdaniem naszych analityków dlatego, że tylko dzięki niej może mieć swój udział we władzy. Co więcej, nasze źródło informuje, że Adoula zamierza... zmienić charakter stosunków między Imperium i Sojuszem Alphańskim. Konkretnie myśli o zbrojnej napaści na Sojusz.

–Czy on zwariował? – wybełkotał Roger.

–Mamy bardzo dobrą flotę – powiedziała minister wojny, zerkając na admirał Rai – lecz Imperium ma sześć bardzo dobrych flot, z których najmniejsza jest wielkości całej naszej marynarki. Możemy walczyć do końca, ale prawdopodobnie zaproponują

nam jakiegoś rodzaju autonomię w ramach Imperium.

–Co na to Althari?

–Wcale nam się to nie podoba – odparła z gniewem Tchock Rai. – Mój klan nie podda się Imperium, dopóki choć jedna Tshrow pozostanie przy życiu.

–Nikt z nas do tego nie dopuści – dodała Edock. – Althari mogą zostać zniszczeni, ale nie podbici.

–Phaenurowie mają nieco bardziej filozoficzne podejście – zasyczał Sroonday. – Ale zważywszy na to, że większość naszych sił zbrojnych stanowią Althari i że nasze osiedla są wymieszane z ich osiedlami, nasze filozoficzne podejście nie na wiele się zda.

–Adoula musi zrozumieć – przerwała mu Eleanora – że -jak wskazują wyniki wszystkich analiz wywiadowczych – Sojusz można zniszczyć, ale nie da się go wchłonąć. Adoula przegra wojnę i poniesie wielkie straty; pozostanie mu tylko dwanaście zniszczonych planet.

–Księżę Jackson zna te oceny – powiedział Phaenur – ale się z nimi nie zgadza.

–To szaleństwo – ocenił krótko Roger.

–Być może – kontynuował Sroonday – jego postawa wynika z braku doświadczeń, jakie mają wszystkie trzy gatunki wchodzące w skład Sojuszu. My musieliśmy wzajemnie poznać i zaakceptować nasze zalety, słabości i fundamentalne różnice, sprawiające, że jesteśmy tym, kim jesteśmy. A księżę Jackson uważa, że kiedy zapanuje nad naszymi orbitami, będzie mógł „wejść z nami w układ”, dzięki któremu Imperium Cavazańskie znajdzie się pomiędzy dwoma wrogami, i zmusić je do odwrotu. Ale żeby do tego doszło, musi nas podbić, a to się stanie dopiero wtedy, gdy cały Sojusz Alphański zmieni się w dymiące zgliszcza. Kojarzy mi się to nieodparcie z jedną z waszych ludowych baśni, tą o złotym ptaku. Niestety, księżę Adoula wydaje się nie znać jej morału. Dlatego też, księżę Rogerze – zakończył Phaenur -jesteśmy żywotnie zainteresowani poparciem pana pomysłu, jeżeli nas pan przekona, że ma choćby minimalne szanse powodzenia.

–Potrzebujemy dostępu do najnowszych danych wywiadu – powiedział Roger. – Będziemy też potrzebowali statku i sporo gotówki. Musimy również mieć wstępne rozpoznanie... lojalności jednostek marynarki. Nasz plan opiera się, być może za bardzo, na... nieposłuszeństwie Szóstej Floty. Czy macie jakieś bieżące informacje na jej temat?

–Miesiąc temu wysłano zmiennika admirała Helmuta – powiedziała Edock, poruszając dziwnie ramionami – ale wiozący go transportowiec miał poważne

problemy techniczne i musiał zawinąć do doku w systemie Sirtus. Pozostaje tam do tej pory, gdyż dwukrotnie wykryto poważne usterki napędu tunelowego. W jednym przypadku można sądzić, że przyczyną było kilka kilogramów odpowiednio rozmieszczonych ładunków wybuchowych. Niestety, zmiennik Helmuta, admirał Garrity, nie martwi się już opóźnieniem. Według naszych doniesień prom admirała miał poważną awarię przy wchodzeniu w atmosferę Sirtusa III, niedługo po pojawieniu się drugiej usterki w napędzie tunelowym. Nikt nie przeżył.

–Nie należy drażnić Mrocznego Lorda Szóstej Floty – podsumował Julian.

–To się musi skończyć – zaprotestowała Despreaux. – Zabijanie legalnie mianowanych dowódców floty...

–O legalności tego mianowania można by dyskutować – przerwała jej Kosutic – ale z ogólnym przesłaniem muszę się zgodzić.

–Niestety, to jest wynik tego, do czego Imperium dąży już od długiego czasu – powiedziała Eleanora, wzruszając ramionami. – Fakt, że admirał Helmut bez zastanowienia sięga po takie środki, oraz to, że inne jednostki marynarki poparły przewrót Adouli, to tylko objawy trawiącej nas choroby. Choroby, która nazywa się frakcjonizmem i która może się przekształcić w otwartą wojnę domową. Pana matka próbowała to zatrzymać, księżę, ale bezskutecznie, jak się okazało.

–Nie jest aż tak źle – powiedziała Despreaux. – Owszem, toczy się dużo wewnętrznych walk politycznych, ale...

–Jest aż tak źle – odparła stanowczo Eleanora – i to głównie dzięki dziadkowi Rogera. Imperium przechodzi teraz bardzo trudny okres, Nimashet, ale niestety dla większości ludzi nie jest to wystarczająco widoczne, żeby zacząć coś w tej sprawie robić. Otrząsnęliśmy się już

z psychologicznych, gospodarczych i fizycznych skutków Wojen Daggerów. Minęło pięćset dziewięćdziesiąt lat, odkąd Miranda Wielka skopała im tyłki, i od tamtej pory nie prowadziliśmy z nikim prawdziwej wojny, oprócz okresowych... konfliktów ze Świętymi, ale one odbywały się na zewnętrznych światach. Na wewnętrznych planetach zaś nie ma już nikogo, kto pamiętałby czasy prawdziwego zagrożenia. Ostatni poważny kryzys gospodarczy mieliśmy ponad pokolenie temu, a polityka wewnętrznych światów od ponad siedemdziesięciu lat kręci się wokół sporu industrialistów z socjalistami. Industrialistom w głównej mierze chodzi o władzę. Adoulę także interesuje tylko władza i bogacenie się kosztem innych. Och, on ma jeszcze jedno zmartwienie: jego ojczysty sektor leży na samej granicy ze Świętymi, dlatego najważniejsze jest dla niego budowanie tego, co kiedyś nazywano „kompleksem wojskowo-przemysłowym”. Ale sposób, w jaki się za to zabiera, jest wręcz bezsensowny. Przykładem były nasze karabiny plazmowe, w których

wybuchają power packi. Wasza Wysokość, on i jego zbiry nie uświadamiają sobie, że zarabianie pieniędzy na obcinaniu kosztów tam, gdzie się da, zmniejsza ich własne bezpieczeństwo, a także bezpieczeństwo całego Imperium. Socjaliści próbują przeciwstawić się industrialistom, ale ich metody też są bezsensowne. Kupują głosy biedoty, obiecując coraz większe socjalne przywileje, mimo że doskonale wiedzą, że nigdy nie wystarczy środków na opłacenie socjalu dla wszystkich. Pieniądze, dzięki którym system do dziś działa, pochodzą z zewnętrznych światów, gdyż industrialisci mają wystarczającą kontrolę nad parlamentem i gospodarką światów wewnętrznych, żeby ustanowić ulgi podatkowe, dzięki którym sami mogą nie płacić tyle, ile by płacili, gdyby tym domem wariatów nie rządili sami wariaci. Z drugiej strony gdyby socjalistom udało się kiedyś nałożyć na wielkie korporacje wyższe podatki, żeby opłacić przywileje socjalne robotników, na przykład dłuższe płatne urlopy i krótszy tygodniowy czas pracy, zrujnowałoby to gospodarkę. Najbardziej wyzyskiwane są więc światy zewnętrzne. To właśnie stamtąd pochodzi większość wynalazków naukowych, innowacji gospodarczych i nowych prądów w sztuce. To zewnętrzne światy dostarczają najwięcej rekrutów do sił zbrojnych i miejsc na nowe bazy wojskowe i centra naukowe, a także udostępniają swoje środki produkcji. To trwa już od dziesięcioleci, ale światy zewnętrzne wciąż mają zbyt małą populację, by wystawić wystarczającą liczbę członków parlamentu i położyć kres tym gwałtom. Poza tym zbyt wolno się rozwijają i mają wiele innych problemów: to one są najbardziej zagrożone atakami Świętych i Raiden-Winterhowe. Członkowie parlamentu pochodzący z wewnętrznych światów są z bardzo bogatych rodzin, które od wieków zajmują się polityką. W tej chwili skład Izby Gmin jest niemal nie do odróżnienia od składu Izby Lordów. W miarę jak światy zewnętrzne coraz bardziej się rozwijają, politycy zaczynają się obawiać, że władza wymknie im się z rąk. Żeby nie dopuścić do utraty wpływów, uciekają się do takich działań, jak na przykład referendum w sprawie nadania Contine statusu planety członkowskiej. Polityka staje się coraz bardziej bezwzględna, a politykom coraz mniej chodzi o dobro Imperium. Tak naprawdę jedynie posłowie z zewnętrznych światów działają na rzecz Imperium. Adoula mówi o dobru Imperium, ale chodzi mu tylko o własne dobro. Gdyby któryś z polityków potrafił właściwie pojąć swój własny interes, uświadomiłby sobie, że światy wewnętrzne, światy zewnętrzne, socjaliści, industrialisci i tradycjonaliści potrzebują się nawzajem, ale oni są zbyt zajęci rzucaniem się sobie do gardeł, żeby to zauważyć. Wasza Wysokość, szczerze mówiąc, sytuacja dojrzała do wojny domowej.

–A co możemy na to poradzić? – spytał Roger.

–Jeśli uratujemy pana matkę i przeżyjemy? – Eleanora uśmiechnęła się. – Będziemy ciężko pracowali nad tym, żeby wszystkie strony sporu zobaczyły w sobie przede wszystkim członków Imperium, a dopiero potem politycznych wrogów. Pana dziadek uznał, że ludzie zamieszkujący światy wewnętrzne mają zbyt mało do zyskania, więc oprócz sprzymierzenia się z socjalistami i dotkliwego opodatkowania światów zewnętrznych próbował uruchomić programy kolonizacyjne. Ale to mu się niezbyt

udało, gdyż warunki życia na wewnętrznych światach były zbyt dobre nawet dla bardzo biednych, a biada politykowi, który spróbowałby cofnąć przyznane już przywileje. Pana dziadek miał romantyczne wyobrażenie o tym, że uda mu się obudzić w ludziach „duch osadnictwa”, jeśli tylko wpompuje dość pieniędzy w Urząd Kolonizacji i programy motywacyjne. Aby opłacić już istniejące programy socjalne i mieć fundusze na plany kolonizacyjne, obciął wszystkie pozostałe wydatki, na przykład na marynarkę, i przykręcił śrubę zewnętrznym światom. Żeby zaś zdobyć w parlamencie poparcie dla swoich kolonizacyjnych marzeń, dogadał się z industrialistami i arystokracją, co tylko zwiększyło ich wpływy i jeszcze bardziej pogorszyło sytuację. Chyba nigdy nie uświadomił sobie, że gdyby nawet udało mu się przekonać ludzi do przeprowadzenia się na dzikie pustkowia zewnętrznych światów, nie ma wystarczającej liczby statków, by ich tam przewieźć. Potem, kiedy przeżył chwile rozczarowania obietnicami „pokojowego współistnienia” ze Świętymi, zaczął odbudowywać marynarkę, ale to z kolei spowodowało, że sytuacja finansowa Tronu jeszcze bardziej się pogorszyła. To oczywiście wywołało dalsze napięcia i przejście wielu ludzi na stronę Adouli. Niektórzy z nich na pewno liczyli na osobiste korzyści, inni jednak szukali jakiegoś spokojnego portu, w którym mogliby przeczekać burzę. A część na pewno uważała, że nawet ktoś taki jak Adoula będzie lepszy niż stary Cesarz. Wszystko to działo się na oczach pana matki, Wasza Wysokość. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan te słowa, ale jednym z największych nieszczęść było to, że pana dziadek tak długo żył i wyrządził tak wiele szkód, że kiedy Tron objęła pana matka, sytuacja była już wprost tragiczna. Cesarzowa uznała, że jedynym wyjściem jest przerwanie zmagania industrialistów i populistów i doprowadzenie do sytuacji, w której najbardziej zaradni obywatele wewnętrznych światów zaczęliby emigrować. Można by też zmniejszyć obciążenia podatkowe światów zewnętrznych kosztem wewnętrznych firm, które już od dawna nie płaciły tego, co powinny. Kiedy zaś zewnętrzne populacje zaczęłyby się rozwijać, można by powołać więcej członków światów stowarzyszonych, co byłoby zastrzykiem świeżej krwi dla całego naszego systemu politycznego. Ale socjaliści i industrialisci są zdecydowani utrzymać istniejący system i walczą na śmierć i życie o to, kto ma nim kierować.

–Przestaną, kiedy postawię połowę z nich pod ścianą- warknął Roger.

–To mogłoby być... nierozsądne – powiedziała ostrożnie Eleanora.

–Każdego, kto jest powiązany z tym... przeklętym spiskiem -oznajmił spokojnie książę – czy to przez działanie, czy zaniechanie działania, osiągnie sprawiedliwość. Tak samo jak każdego, kto uznał, że najlepiej się dorobić na ograniczaniu kosztów produkcji sprzętu wojskowego. Każdego. Jestem to winien wielu Brązowym Barbarzyńcom i nigdy o tym nie zapomnę.

–Przedyskutujmy to – powiedziała Eleanora, zerkając na Phaenura.

–To wasze Imperium, ale zgadzam się z księciem – oznajmiła Tchock Rai. – W Sojuszu karą za takie rzeczy jest śmierć. Zgoda na jakąkolwiek lżejszą karę byłaby zdradą dusz naszych zmarłych.

–Ale rządy terroru mają niebezpieczne konsekwencje – zauważyła Eleanora. – Już w tej chwili wysokie kary za niepowodzenia na najwyższych szczeblach władzy powodują, że najlepsi i najbardziej inteligentni po prostu nie chcą podejmować odpowiedzialności. Wolą raczej zrezygnować z władzy niż narazić siebie i swoje rodziny na skutki chorej polityki imperialnej. O najwyższe urzędy zabiegają tylko ci, którzy nie mają skrupułów, a kiedy wprowadzi się rządy terroru, ten trend tylko się umocni.

Przerwała, zastanawiając się, jaki argument mógłby trafić do Rogera.

–Niech pan to sobie wyobrazi jako coś w rodzaju partyzantki -powiedziała.

–Myślę, że pani przesadza- odparł Roger. – Jeszcze do tego nie doszło.

–Jeszcze nie, ale jeśli spróbuje pan rozerwać polityczne przymierza, tnąc w najbardziej oczywistych miejscach, przegra pan, i to dotkliwie. Nie wystarczy rozbicie starych sojuszków; trzeba stworzyć nowe, a do tego potrzebne jest zaplecze polityczne i ludzie, z którymi będzie pan działał. Musi ich pan przekonać, że proponowane zmiany są konieczne, a nie nakłoni ich pan do współpracy, jeśli będą się bali, że każe ich pan rozstrzelać, jeśli nie zrobią dokładnie tego, co pan chce. Chyba że zamierza pan na całego wprowadzić terror, zamienić IBI w śledzącą wszystkich tajną policję i prześladować każdego, kto się z panem nie zgadza. Chyba że chce pan zamienić nas w Świątynię.

–IBI mogłoby być temu... przeciwne – wtrącił Temu Jin. – A przynajmniej większość, gdyż zawsze znajdzie się paru takich, co po cichu marzą o terrorze – dodał z wahaniem.

–A jeśli by pan narzucił rządy terroru, Imperium, o które pan walczył i za które oni ginęli – powiedziała Eleanora, wskazując marines – przestałoby istnieć. Jego miejsce zajęłoby coś o tej samej nazwie, ale to nie byłoby Imperium, któremu służył Armand Pahner.

–Widzę, do czego pani zmierza – powiedział Roger z ostentacyjną niechęcią- i będę to miał na uwadze. Ale powtarzam: każdy, kto ma coś wspólnego z tym spiskiem przez działanie lub zaniechanie działania, każdy zamieszany w produkcję albo popieranie produkcji wadliwego sprzętu wojskowego, każdy, kto o tym wiedział i czerpał z tego zyski, pójdzie pod mur. Zrozum, Eleanoro, nie chcę wprowadzać rządów terroru, ale chcę położyć kres tej... tej zgniliznie. Może będzie to przypominało jedzenie zupy nożem, ale mam zamiar zjeść cały talerz. Cały, Eleanoro.

Omiotł spojrzeniem wszystkich siedzących przy stole konferencyjnym jak radar celowniczy; przez kilka sekund panowała cisza.

–Zrobimy to, jeśli wygramy – powiedział Julian, przerywając milczenie.

–Kiedy wygramy – poprawił go beznamiętnie. – Nie po to tyle przeszedłem, żeby teraz przegrać.

–A co konkretnie zamierza pan zrobić, żeby nie przegrać? – spytał Sroonday.

* * *

Spotkanie przeciągnęło się do późnego popołudnia, z krótką przerwą na posiłek, który podali do stołu członkowie rodziny admirała. Minister bezpieczeństwa zewnętrznego był alphańskim odpowiednikiem szefa wywiadu, dzięki czemu miał mnóstwo informacji. Najważniejszą sprawą z punktu widzenia Rogera była sytuacja zreformowanego Osobistego Pułku Cesarzowej.

–Prywatna armia? – spytał przerażony.

–Cóż, przecież Osobisty Pułk Cesarzowej zawsze był prywatną armią – powiedziała Eleanora.

–Ale to są opłacone opryszki Adouli – zauważyła Kosutic. – Wziął ich ze swojej straży przemysłowej albo wręcz zatrudnił najemników.

–Pokręciła głową. – Po kimś takim jak Adoula spodziewałam się czegoś więcej. Większość z nich nie ma żadnego przeszkolenia wojskowego. To tylko dobrze wyszkoleni gliniarze do wynajęcia, którzy potrafią pilnować robotników, rozpędzać zamieszki i zapobiegać włamaniom. Osobisty Pułk Cesarzowej był stworzony z najlepszych żołnierzy, jakich mogliśmy znaleźć w całym korpusie marines. Żołnierzy wyszkolonych do staczania zaciętych bitew, których potem nauczono trochę kultury i ubrano w ładne mundury.

–Tak jest. – Admirał Rai kiwnęła po althariańsku głową.

–Albo przecenialiśmy jego wojskowe doświadczenie – powiedziała Eleanora – albo jego wpływy w wojsku są słabsze niż myśleliśmy.

–Dlaczego? – spytał Roger, a widząc spojrzenie Eleanory, wzruszył ramionami i dodał: – Nie mówię, że się nie zgadzam, chcę tylko sprawdzić, czy myślimy w podobny sposób.

Szefowa świty lekko odchyliła swoje krzesło do tyłu i powoli obróciła się w jedną i w drugą stronę.

–Jeśli Adoula naprawdę sądzi, że zebrane przez niego siły są choć w części tak skuteczne, jak prawdziwy Osobisty Pułk Cesarzowej, to jest po prostu niespełna rozumu – powiedziała dosadnie.

–Przyznaję, że sama nie dostrzegałam różnicy między żołnierzem a gliniarzem do wynajęcia, zanim nie wylądowaliśmy na Marduku, ale teraz już to wiem i ktoś z jego przeszłością też powinien wiedzieć. A jeśli wie i mimo to postanowił stworzyć taką jednostkę, moim zdaniem oznacza to, że nie wierzy, iż wśród jednostek regularnego wojska udałoby mu się znaleźć wystarczającą liczbę żołnierzy lojalnych wobec niego albo przymykających oczy na nieprawidłowości w Pałacu. To z kolei oznacza, że jego kontrola nad wojskiem jest, że tak powiem, słaba.

–Właśnie o tym myślałem – zgodził się Roger.

–Tak czy inaczej, to pierwsza dobra wiadomość – powiedziała Rai.

–To prawda, ale Pałac wciąż jest fortecą- zauważyła Eleanora.

–Same automatyczne systemy obrony mogłyby zatrzymać atak całego pułku.

–W takim razie nie możemy pozwolić, żeby automatyczne systemy obrony się włączyły – powiedział książę.

–A jak to zrobimy?

–Nie mam pojęcia. – Książę postukał w kasetkę hologramu z pakietu danych, który przyniosła minister. – Ale założę się, że on ma.

–Catrone? – spytała Kosutic, zaglądając mu przez ramię. – Tak, jeśli przeciągniemy go na naszą stronę. Trzeba pamiętać, że systemy obronne Pałacu są wielostopniowe. Są takie odcinki, o których nigdy się nie dowiedziałam, bo byłam w batalionie Brąz. Kiedy jest się starszym stopniem członkiem Brązu, poznaje się tylko niektóre systemy. Stal wiedziała więcej, a Srebro jeszcze więcej niż Stal. O samym rdzeniu umocnień wiedziało tylko Złoto, a Catrone był sierżantem w Złocie przez ponad dziesięć lat. Nie jest to najdłuższy staż w dziejach, ale najdłuższy w najnowszej historii. Jeśli ktoś wie, jak dostać się do Pałacu, to tylko Catrone.

–Pokładanie wiary tylko w jednym człowieku, z którym nie macie nawet żadnych kontaktów, jest nierozsądne – zauważył Sroonday. – Nie buduje się skutecznej strategii wokół planu, w którym wszystko musi pójść dobrze.

–Jeśli nie uzyskamy pomocy Catrone'a, wymyślimy coś innego – powiedział Roger.
– Musi być jakiś sposób, żeby się dostać do Pałacu, i my go znajdziemy.

–A wasza Wielka Flota? – spytała Edock.

–Jeśli uderzymy wystarczająco szybko, postawimy ich przed faktem dokonanym. Nie będą chcieli zaognić konfliktu, żebyśmy nie zbombardowali Pałacu z moją matką w środku, a zanim zdążą cokolwiek zrobić, będziemy mieli po naszej stronie media i stosunkowo uczciwych polityków. Wielka Flota nie bez powodu nie ma większego kontyngentu marines. Mogliby zbombardować Pałac bronią atomową, zakładając, że przebiliby się przez systemy obrony ziemia-orbita, ale chciałbym zobaczyć reakcję oficerów, którym wydano by taki rozkaz. Wynika z tego pośrednio, że my też nie możemy ich zaszachować.

–Od razu można skreślić Greenberga – powiedział Julian. – I Gianetta.

–Musimy także pamiętać – powiedziała Kosutic i uśmiechnęła się ponuro – że nie chodzi tylko o systemy zabezpieczeń Pałacu. Ochrona Rodziny Cesarskiej to nie tylko budynki, to cały niewiarygodnie rozbudowany system, który tak naprawdę zaprojektowała Miranda I.

–Z całym szacunkiem, pani sierżant – powiedziała minister wojny Edock – ale Miranda I nie żyje od pięciuset sześćdziesięciu waszych lat.

–Wiem o tym, pani minister – odparła Kosutic. – Wcale nie chodzi mi o to, że to, co osobiście zaprojektowała, wciąż tam jest, chociaż nie byłabym zaskoczona, gdyby tak było. Miranda MacClintock była cholernie niebezpieczną kobietą, kiedy ktoś ją wkurzył; być może określenia „niewiarygodnie przebiegły” i „dalekosiężne planowanie” zostały wynalezione właśnie po to, by opisać, jak działał jej umysł. Chodzi mi o to, że to ona stworzyła koncepcję Osobistego Pułku Cesarzowej i opracowała filozofię oraz podstawowe parametry planowania bezpieczeństwa Rodziny Cesarskiej. Dlatego to wszystko jest takie złożone.

–Co pani ma na myśli, pani sierżant? – spytała Edock.

–Istnieją placówki poza Pałacem, poza całym łańcuchem dowodzenia, których jedynym celem jest zapewnienie Rodzinie Cesarskiej bezpieczeństwa. Każdy batalion Osobistego Pułku Cesarzowej ma własne tajne kryjówki, przygotowane na wypadek nagłej potrzeby.

–Chce pani powiedzieć, że nikt w Stali, Srebrze ani Złocie nie wie o tych „placówkach”, Eva? – spytał Temu Jin. – Są aż tak tajne?

–Prawdopodobnie nie. Większość starszych stopniem członków batalionów zaczynała karierę od Brązu, więc najprawdopodobniej ktoś z nich zna lokalizację kryjówek Brązu. Ale nikt nie będzie o tym mówił, a gdyby nawet chciał, nasze tootsy są wyposażone w protokoły zabezpieczeń, co sprawia, że mogłoby to mieć bardzo... nieprzyjemne skutki, nawet po przejściu na emeryturę. Tak więc nikt z pracujących dla Adouli nie może znać tych informacji. Kiedy dostaniemy się już do Układu

Słonecznego, możemy wykorzystać jedną z kryjówek Brązu.

–Myślę wobec tego, że na dzisiaj to już wszystko – zasyczał Sroonday. – Omówienie szczegółów planu, który sobie przedstawiliśmy, najlepiej będzie zostawić sztabowcom. Będziemy potrzebowali trochę czasu, przynajmniej kilku dni, żeby załatwić potrzebne wam rzeczy. Frachtowiec i... dyskretną załogę. I kapitana.

–Kapitana już mamy – powiedział Roger. – Przygotuję listę naszych wymagań co do frachtowca. Niech to będzie stary okręt albo niech przynajmniej wygląda na stary.

–Załatwione – odparł Sroonday, wstając. – Nie będę dalej bezpośrednio brał w tym udziału. I tak trudno mi było zniknąć, nie wzbudzając zainteresowania. Moim pełnomocnikiem będzie Sreetoth, a panią minister wojny zastąpi admirał Rai.

–Dziękujemy za wasze wsparcie, panie Sroonday – powiedział Roger, również wstając i się kłaniając.

–Jak wspominałem, to leży w naszym wspólnym interesie – odparł minister. – Sojusze zawsze opierają się na wspólnych interesach.

–Sam się o tym przekonałem – powiedział książę, lekko się uśmiechając.

*** * ***

Kiedy zapiszczały drzwi, Despreaux podniosła wzrok znad oglądanej listy sklepów.

–Proszę – powiedziała i zmarszczyła brew, widząc Kosutic i Eleonorę O'Casey.

–Znów będą babskie rozmowy? – spytała zjadliwie, obracając w ich stronę fotel.

–Teraz widzisz, o co nam chodziło – powiedziała obcesowo Eleanora, siadając na lewitującym fotelu i przysuwając go bliżej do biurka. – Zauważyłam, że na spotkaniu byłaś bardzo cicha, Nimashet.

–Nie miałam nic do powiedzenia. I tak to wszystko już dawno mnie przerosło.

–Gówno prawda, że nie miałam nic do powiedzenia. – Kosutic była jeszcze bardziej brutalna niż O'Casey. – I dobrze wiesz, jaki będzie twój wkład w tę sprawę.

–Ale w tym wypadku ja się z nim zgadzam! – odparła ze złością Despreaux. – Uważam, że postawienie Adouli i jego kumpli oraz wszystkich innych zamieszanych w ten spisek pod podziurawioną śrutem ścianą to doskonały pomysł!

–A ich rodziny też? – spytała Eleanora. – Czy może zamierzasz pozwolić ich krewnym zachować stanowiska, które zajmowali przed przewrotem, i rozpocząć krwawą wojnę z Cesarzem? Jeśli Roger każe stracić Adoulę i jego kompanów,

wszyscy ci, którzy nie zgodzą się z jego decyzją, zapragną jego głowy. Nie próbuj nawet sobie wyobrazić, jak zachowałyby się media! Jeśli postawi ich wszystkich pod ścianą i każe kompanii Mardukan strzelać, będziemy mieli wojnę domową.

–Więc mamy im dać odejść wolno? – spytała z rozpaczą Despreaux. – Jak zwykle? A może powinni posiedzieć trochę w luksusowym więzieniu, a potem wyjść, żeby dalej psocić?

–Nie – odparła Kosutic. – Aresztujemy ich i oskarżymy o zdradę stanu. Potem IBI zbierze dowody, sądy zrobią swoje i winni zostaną po cichu skazani na śmierć. Spokojnie, skutecznie, legalnie i sprawiedliwie.

–I myśli pani, że oni nie wyjdą na wolność dzięki najdroższym prawnikom z Imperial City? Mając tyle pieniędzy?

–Roger... nie widział wszystkich informacji Sroondaya – powiedziała z zakłopotaniem Eleanora. – Po tym, co Cesarzowa będzie miała do powiedzenia na temat tego... co się dzieje w Pałacu, była bym bardzo zaskoczona, gdyby ktokolwiek chciał ich reprezentować, nawet za ogromne pieniądze. Co więcej, trzeba będzie bronić Adoulę i Nowy Madryt przed rozdarciem żywcem na strzepy.

–A czegoż to Roger nie widział?

–Myślę, że na razie zachowam to do wiadomości swojej i pani sierżant – powiedziała stanowczo Eleanora. – Ty skup się na tym, jak nie dopuścić, żeby Roger stał się kolejnym Lordem Daggerem. Kiedy się dowie, będziesz miała pełne ręce roboty, żeby go powstrzymać od wypatroszenia Nowego Madrytu.

*** * ***

–Witaj, Wasza Wysokość, w moim domu-powiedział Sreeetoth, kłaniając się Rogerowi, kiedy ten przestąpił próg.

–Jak tu pięknie – szepnęła Despreaux.

Dom był gigantycznym korzeniem drzewa. Jego szczyt sięgał niemal dwudziestu metrów, a owalna podstawa miała około trzydziestu metrów średnicy. Gałęzie z długimi purpurowymi liśćmi przypominającymi paprocie sterczały na boki i ku górze, a pokrywający korzeń brązowy mech tworzył zawiłe wzory przypominające celtycką broszę.

Dom stał w lesie, na zboczu niskiego wzgórza. Najwyraźniej wzniesiono go na miejscu dawnego wodospadu, gdyż między poskręcanyimi gałęziami spływały tysiące małych migoczących strumyczków.

Wnętrze było jednak suche i przytulne. Stało tam kilka ludzkich foteli, a na podłodze rozrzucone były poduszki z jakiegoś grubego i miękkiego materiału.

–Miałem szczęście kupić ten dom, kiedy byłem jeszcze młodym oficerem – powiedział Sreeetoth. – Ma prawie dwieście waszych lat. Korzeń po'al osiąga maksymalną wielkość zaledwie w dziesięć lat, ale z wiekiem staje się... coraz lepszy. Ten jest wyjątkowo dobrze umiejscowiony. Może coś do picia? Mam ludzką herbatę i kawę, piwo, wino i mocniejsze alkohole.

–Poproszę kieliszek wina – powiedział Roger, a Despreaux przytaknęła ruchem głowy.

–Dziękuję, że mnie państwo odwiedziliście. – Phaenur usadowił się na poduszce, a potem otworzył szeroko oczy, kiedy Roger i Despreaux zrobili to samo.

–Większość ludzi woli fotele-zauważył.

–Byliśmy tak długo na Marduku, że teraz fotele wydają nam się czymś dziwnym – powiedział Roger i skosztował wina. Było doskonałe. – Bardzo dobre – pochwalił.

–Mój przyjaciel ma małą winiarnię – wyjaśnił Sreeetoth. – Wino z owoców tool jest cennym towarem eksportowym Sojuszu Alphań-skiego. Większość jednak – dodał sucho -jest spożywana na miejscu. Wasze zdrowie.

–Dziękuję – powiedział Roger, unosząc kieliszek.

–Czuje się pan nieswojo, odwiedzając mnie w moim domu – powiedział Phaenur, również upijając łyk wina. – Zwłaszcza że poprosiłem, aby towarzyszyła panu tylko młoda pani plutonowy i nikt inny.

–Tak – przyznał po prostu Roger. – Normalnie nazwałbym to zgadywaniem czyichś myśli, ale w pana przypadku to tak, jakbym to powiedział na głos, prawda?

–Zgadza się – odparł obcy. – Przyczyna mojego zaproszenia jest bardzo prosta. Sukces waszej operacji w dużej mierze zależy od pana, od pańskiej siły i opanowania. Chciałem więc spotkać się z panem w sytuacji, której nie mąciłyby inne emocje.

–W takim razie dlaczego nie zaprosił mnie pan samego?

–Bo pana emocje są mniej skomplikowane, kiedy jest przy panu pani plutonowy – odparł wprost Phaenur. – Kiedy pana opuszcza, nawet na chwilę, robi się pan niespokojny, mniej... skoncentrowany. Gdyby był pan Phaenurem, powiedziałbym, że ona jest pańską tsrooto. Ten wyraz oznacza kotwicę, jedną część złączonej pary.

–Aha. – Roger spojrzął na Despreaux. – My nie... nie jesteśmy aż tak złączeni.

–Nie w formalny sposób – zgodził się Sreeetoth – ale jednak jesteście tak złączeni. Pani plutonowy również jest niespokojna, kiedy pana przy niej nie ma. Nie widać po niej tego niepokoju, ale on jest. Nie taki sam jak pański; pan staje się... szorstki, nerwowy, w pewnych sytuacjach nawet niebezpieczny, ona zaś jest... nieszczęśliwa, zmartwiona.

–Czy my jesteśmy w poradni małżeńskiej? – spytała sucho De-spreaux.

–Nie, jest pani tutaj, bo księżę jest szczęśliwszy, mając panią przy sobie – odparł obcy, znów upijając łyk wina. – Z drugiej strony gdyby to była poradnia, przypomniałbym państwu, że nie ma niczego zdrożnego w byciu tsrooto. Fakt, że księżę jest spokojniejszy i bardziej skoncentrowany w pani obecności, wcale nie oznacza, że bez pani jest słaby czy bezradny, pani plutonowy. Oznacza tylko, że oboje macie dużo siły, którą możecie sobie nawzajem przekazywać, że razem jesteście jeszcze potężniejsi. Wy, ludzie, ujmujecie to chyba tak: całość może być większa niż suma składowych, z zastrzeżeniem, że żadne z was nie jest słabsze ani gorsze pod nieobecność drugiego. Ale nie po to państwa tutaj zaprosiłem. Chciałem poznać księcia, dowiedzieć się, kogo mamy obdarzyć zaufaniem. Jest pan dziwnym człowiekiem, księżę. Wie pan o tym?

–Nie. Jestem szybki – to prawdopodobnie skutek jakichś ulepszeń układu nerwowego, o których nie wiedziałem – ale...

–Nie chodzi mi o pańskie cechy fizyczne – przerwał mu Sreeetoth. – Widziałem raporty, które powstały jeszcze przed pana rzekomą śmiercią, w których odnotowano pana zręczność i siłę fizyczną, tak samo jak pański... dziewiczy, ale potężny umysł. Z raportów athroo o pana uczuciach wynikało, że jest pan dziecinny, że interesuje pana tylko zabawa. A tymczasem mam przed sobą... zupełnie innego księcia. Kogoś, kto przypomina bardziej Althari niż człowieka. Nie ma w panu dwulicowości, pragnienia ukrycia prawdziwych dążeń, nie ma obawy przed ujawnieniem swoich wad – tego wszystkiego, co obserwujemy u wielu ludzi. Jest pan jasny i czysty jak miecz. To wspaniałe wrażenie, ale tak dziwne, że kazano mi pobrać od pana pełną próbkę i sporządzić raport. Przekrzywił głowę, jakby to właśnie robił.

–Nie ma sensu kłamać – powiedział Roger – zwłaszcza Phaenurowi. Przyznam, że to dla mnie przyjemne zaskoczenie.

–A Cesarski Dwór to nie jest miejsce dla naprawdę szczerego człowieka.

–Może uda mi się to zmienić. – Roger wzruszył ramionami. – A jeśli nie, mam kilku bardzo nieszczerych doradców.

Obcy przekrzywił głowę, a potem nią pokiwał.

–Wyczuwam, że to był żart – powiedział. – Niestety ludzkie i phaenurskie pojęcie humoru często się różni.

–Jedno, co by mnie interesowało – zauważył księżę – gdybym chciał wprowadzić na Dworze trochę więcej... szczerości, to phaenurscy doradcy. Nie od razu, ale niedługo po tym, jak przejmujemy Pałac.

–To dałoby się zrobić – powiedział Sreetoth – ale radziłbym skontaktować się z niezależnymi doradcami. Lubimy Imperium i mu ufamy, a wy lubicie nas i nam ufacie, ale wprowadzenie przedstawicieli naszego rządu do waszych najwyższych urzędów byłoby... niezręczne.

–Ja też tak myślę – westchnął Roger. – Dwór nie jest odpowiednim miejscem dla szczerego człowieka, ale trzeba to zmienić. Nigdy wcześniej nie rozumiałem, jaką rolę odgrywa nieszczerość w polityce i interesach.

–A ja tak – powiedziała Despreaux, wruszając ramionami. – Nie podoba mi się, ale to rozumiem.

–Tak? – spytał Phaenur. – Niezczerość ma jakiś sens?

–Oczywiście. Nawet Phaenurowie i Althari nie obnoszą się publicznie ze swoimi myślami. Na przykład: Roger jako przywódca Imperium byłby bardzo niespokojnym sąsiadem, i pan musi o tym wiedzieć. Na pewno są inni, których by pan wolał.

–No cóż, tak – przyznał Sreetoth.

–Ale pan tego nie mówi, czyli na swój sposób jest pan nieszczery, a może nawet dwulicowy. Nie mam też wątpliwości, że jest pan zdolny do omijania pewnych niewygodnych tematów, panie ministrze. – Spojrzała Phaenurowi prosto w oczy. – Są rzeczy, których nie ma pan zamiaru ujawniać, ponieważ spowodowałoby to reakcje przeciwne do tego, co chce pan osiągnąć.

–Bez wątpienia – przytaknął obcy, kiwając z szacunkiem głową. – Ma pani słuszność. Osobowość księcia Rogera wskazuje, że jego styl rządzenia nie będzie... spokojny.

Wydał cichy dźwięk, który tootsy przetłumaczyły jako śmiech.

–Ale to wcale nie musi być takie złe – ciągnął. – Jego dziadek na przykład był bardzo spokojny i uczciwy, ale otaczali go kłamcy, a on zupełnie nie był tego świadom. Jego brak predyspozycji do rządzenia sprawił, że nie czuliśmy zagrożenia ze strony Imperium, zarazem jednak był przyczyną powstania kryzysu, w obliczu którego dzisiaj stoimy. Matka Rogera, w przeciwieństwie do swojego ojca, jest bardzo podstępna osobą, ale również łagodną i spokojną. Zawsze pochłaniały ją

wewnętrzne sprawy Imperium i nas zostawiała w spokoju, ale z naszych raportów wynika, że raczej nie pozostanie już długo Cesarzową. Jedynym kandydatem na Cesarza jest... ten niespokojny młody człowiek. Wolelibyśmy kogoś mniej konfliktowego, ale w obecnej sytuacji to zdecydowanie najlepszy kandydat, jakiego mamy.

–Jak ciężko matka została ranna? – spytał ze złością Roger.

–Niestety dość ciężko – odparł Phaenur. – Proszę, niech się pan uspokoi. To ze względu na pana emocje nie poruszaliśmy dotąd tego tematu.

–Spróbuję – powiedział Roger najspokojniej jak umiał i głęboko odetchnął. – Jak ciężko?

–Najlepsza specjalistka Sojuszu od ludzkiej psychologii i fizjologii, która przejrzała otrzymane przez nas raporty na temat stanu zdrowia pana matki, uważa, że... zastosowane metody najprawdopodobniej spowodują nieodwracalne uszkodzenia organizmu. Nie zabiją jej, ale nie będzie już... w szczytowej formie. Chodzi chyba o jakąś postać zniedołężnienia.

Roger zamknął oczy i mocno zacisnął szczęki.

–Przepraszam za moje obecne... uczucia – powiedział po chwili głosem jak z kutej stali.

–Są dość krwiożercze – zauważył Sreeetoth.

–Załatwimy to. – Despreaux położyła dłoń na ramieniu księcia. – Załatwimy to, Roger.

–Tak. – Księżę wolno wypuścił powietrze. – Załatwimy to.

Dotknął lekko jej dłoni, a potem znów spojrzał na Sreeetotha.

–Pomówmy o czymś innym. Bardzo mi się podoba pana dom. Nie ma pan żadnych sąsiadów?

–Phaenurowie zwykle mieszkają w odosobnieniu, nie da się bowiem w pełni ukryć swoich myśli i uczuć. We wczesnej młodości uczymy się do pewnego stopnia kontrolować, ale przebywanie w tłumie często przypomina bełkot kilkudziesięciu osób naraz, jest jak nieustanny ryk morza.

–Praca w służbie celnej musi być interesująca – zauważyła Despreaux.

–Duża część pracy jest wykonywana przez ludzi i samców Althari. Niestety, okazało

się to nieco mniej skuteczne niż mieliśmy nadzieję. Wasze doniesienia o cavazańskich szpiegach wywołały ogromne poruszenie, spowodowały poważne polityczne i społeczne implikacjami.

–Dlaczego? – spytał Roger. – Jesteście uczciwym społeczeństwem, ale wszędzie trafiają się robaczywe jabłka.

–Ludzie należą do Sojuszu Alphańskiego od dnia jego powstania – wyjaśnił Sreeetoth – ale zasadniczo są... czymś w rodzaju niższej klasy. Niewielu z nich dochodzi do najwyższych szczebli alphańskich władz, co jest dla nich trudne do przyjęcia. Wiedzą, że Althari i Phaenurowie są po prostu bardziej godni zaufania, i choć niełatwo im się z tym pogodzić, pozostaje faktem, że nie cieszą się pełnią praw i możliwości przysługujących Altharim i Phaenurom. Samce Althari także są niższą klasą. Ich samice jeszcze do niedawna uważały ich za istoty bezrozumne, przydatne jedynie do rozmnażania i pełnienia służby.

–Ludzie domagali się większych praw dla samców Altharich i w ciągu kilku ostatnich pokoleń ci ostatni je uzyskali. Ale to właśnie ludzie i samce Althari oraz jeden Phaenur, który miał mieć na nich oko, zostali przekupieni przez Świętych.

–Dlatego obie te grupy są teraz podejrzane – powiedział Roger.

–Ta sytuacja podkopała efekty pracy całych pokoleń – ciągnął Sreeetoth. – To bardzo niepokojące. Admirał Rai na nowo nałożyła restrykcje na samców z jej własnego domu, ponieważ u niej mieszkacie. To wyraz braku zaufania; admirał po prostu straciła wiarę w honor samców.

–Zaczynam niemal żałować, że wam o tym powiedziałem -skrzywił się Roger.

–Cóż, ja nie żałuję. Musieliśmy zwiększyć liczbę inspektorów, żeby zapobiec korupcji. Już wcześniej o to zabiegałem, ale dopóki nie dostaliśmy od was informacji, nie było na to funduszy. Teraz bardzo szybko się znalazły.

–Przykro mi. – Roger zmarszczył brew.

–A mnie nie. Dzięki temu sprawy mojego departamentu będą się toczyły tak jak trzeba. Ale muszę przyznać, młody księżę, że wprowadza pan chaos wszędzie tam, gdzie się pan znajdzie. Trzeba się tego strzec.

–Ja wcale tego nie chcę – zaprotestował Roger, myśląc o tysiącach mardukańskich i ludzkich trupów, które kompania pozostawiła na Marduku.

–Pan po prostu reaguje na otoczenie i napotykanne zagrożenia, a nie dąży do tego, by stać się żywiołem zniszczenia. Ale niech pan będzie ostrożny. Jakkolwiek usprawiedliwione byłoby pana zachowanie, chaos panu służy. To nie jest zniewaga,

ja jestem taki sam. To konieczność, jeśli chce się pracować w służbie celnej.

–Myślę, że to był żart – powiedział Roger.

–Wy, ludzie, uznalibyście to za żart, a tymczasem to smutna rzeczywistość. Są tacy, którzy dobrze sobie radzą z chaosem, jak pan czyja. Tych, którzy mają z tym problem, jest o wiele więcej. Zadaniem władcy jest ograniczać zamęt w życiu, tak żeby ci, którzy pragną jedynie, aby jutro było mniej więcej takie samo jak dzisiaj, a może nawet trochę lepsze, mogli żyć w spokoju. Tym, którzy radzą sobie z chaosem, grozi jednak inne niebezpieczeństwo: jeśli nie mają go w swoim otoczeniu, mogą próbować go stworzyć. Sam taki jestem; wytknął mi to bardzo dawno temu jeden z moich przełożonych. Od tamtej pory staram się, wbrew swojej naturze, by w moim departamencie panował spokój, próbuję walczyć z różnymi zawirowaniami. Mam wielu podwładnych – ludzi, Altharich i Phaenurów – którzy również świetnie się czują w chaosie, ale jeśli nie potrafią z tego stworzyć jakiegoś porządku, usuwam ich, aby nie powodowali dodatkowego zamieszania. A więc co pan będzie robił, młody księżę: tworzył chaos czy go eliminował?

–Mam nadzieję, że będę eliminował.

–Tego byśmy pragnęli.

Potem zjedli posiłek złożony z licznych phaenurskich dań. Dalsza rozmowa dotyczyła podróży po Marduku, tego, co ludzie tam widzieli i co jedli. Roger nie potrafił całkowicie uniknąć tematu zabitych; za każdym razem, kiedy jadł coś dobrego, tak jak w tej chwili, przypominał mu się Kostas i wspaniałe dania, które umiał wyczarować z byle czego.

Kiedy posiłek dobiegł końca, księżę i Despreaux pożegnali się i udali na czekający na nich prom. Taki był phaenurski zwyczaj: przyjęcia kończyły się wraz z zakończeniem posiłku. Roger uznał, że jest to bardzo dobry zwyczaj, gdyż pozwala uniknąć domyślania się, kiedy wypada już wyjść.

Wsiedli w milczeniu na pokład promu. Dopiero w połowie drogi powrotnej do domu admirał księżę spytał:

–Myślisz, że on ma rację? Że tworzę wokół siebie chaos?

–Trudno powiedzieć – odparła Despreaux. – Rzeczywiście wszędzie tam, gdzie się pojawiaasz, powstaje chaos, ale potem zazwyczaj nastaje spokój.

–Spokój śmierci – zauważył ponuro Roger.

–To coś więcej niż tylko wir zniszczenia. Ty po prostu... burzysz stary porządek.

–Ale Sreeetoth ma rację – zauważył księżę. – Każde społeczeństwo, które pragnie być stabilne, toleruje tylko określony zakres burzenia porządku.

–Och, generalnie najlepiej nie ruszać tego, co dobrze działa, dlatego w Ran Tai niewiele zmieniłeś. Ale są takie miejsca, gdzie rozpaczliwie potrzeba zmian, jak na przykład w Przystani K'Vaerna, gdzie pokazałeś im, że muszą ruszyć tyłki, i powiedziałeś, jak to zrobić. Niełatwo jest być przy tobie, ale to interesujące.

–Wystarczająco interesujące, żebyś przy mnie została? – spytał cicho Roger i po raz pierwszy na nią spojrzał.

Despreaux przez długą chwilę milczała, potem kiwnęła głową.

–Tak – powiedziała. – Zostanę, jeśli trzeba. Jeśli nie będzie żadnych poważnych przeszkód, zostanę nawet jako twoja żona. Nawet jako... brrr... Cesarzowa. Kocham cię i chcę z tobą być. Sreeetoth miał rację, nie czuję się... pełna, kiedy ciebie nie ma w pobliżu. Oczywiście od czasu do czasu potrzebuję trochę przestrzeni dla siebie, ale...

–Wiem, co chcesz powiedzieć, i dziękuję. Ale co z twoim oświadczeniem, że absolutnie nigdy nie zostaniesz Cesarzową?

–Jestem kobietą i mam prawo zmienić zdanie. Zapisz to sobie na czole.

–W porządku, łapię.

–Ale nie zamierzam cicho siedzieć – ostrzegła go Despreaux. – Nie będę spokojną dziewczyną ze wsi, która siedzi w kącie. Jeśli zaczniesz ci odbijać, powiem ci to wprost.

–Dobrze.

–I nie będę myć okien.

–Od tego w Pałacu są ludzie.

–I nie będę jeździć na każdą zasraną ceremonię przecinania wstęgi.

–Zgoda.

–I będziesz trzymał prasę z dala ode mnie.

–Postaram się.

–A teraz chcę się pobzykać.

–Co?!

–Posłuchaj, Roger, to niepoważne – powiedziała ze złością Despreaux. – Nie byłam w łóżku z facetem ani z kobietą, skoro już o tym mowa, od prawie dziesięciu miesięcy, a ja też mam swoje potrzeby. Nie zamierzam czekać na jakąś przekłętą ceremonię zaślubin, która nie wiadomo, czy i kiedy się odbędzie. Dla ciebie to też niezdrowe.

–Nimashet...

–Już o tym rozmawialiśmy – powiedziała, podnosząc rękę. – Jeśli chcesz mieć wieśniaczkę za żonę, będziesz miał wieśniaczkę, która nie jest już dziewicą, choćby dlatego, że z tobą sypia. I nie jesteśmy już na Marduku. Tak, zasadniczo jestem członkiem twojej obstawy, ale oboje wiemy, że teraz została już tylko nazwa. Jestem członkiem twojego sztabu, ale jestem tam tylko po to, żeby pilnować spokoju. Nie ma żadnego powodu, kiedy się nad tym zastanowić, żebyśmy nie mogli mieć... stosunków. I będziemy je mieli, choćby po to, żebyś się odprężył. Cały czas jesteś naładowany jak kabel pod napięciem, a ja cię uziemię.

–Zawsze mnie uziemiałaś – powiedział Roger, klepiąc japo dłoni. – Porozmawiamy o tym.

–Właśnie porozmawialiśmy – odparła Despreaux, kładąc jego dłoń na swoim łonie. – Dalsza rozmowa odbędzie się w łóżku. Powiedz: „Tak, kochanie”.

–Tak, kochanie.

–Te cycki są nowe i jeszcze trochę bolą więc na nie uważaj.

–Tak, kochanie – powtórzył Roger i wyszczerzył wesoło zęby.

*** * ***

–O rany, Wasza Wysokość. – Julian podniósł wzrok, kiedy Roger pogwizdując wszedł do gabinetu. – Jest pan dziś wyjątkowo wesoły.

–Zamknij się, Julian – odparł księżę, bezskutecznie próbując zachować powagę.

–To na pana szyi to malinka?

–Prawdopodobnie, ale nie będziemy rozmawiać na temat wydarzeń zeszłego wieczoru, plutonowy. Co chciałeś mi powiedzieć?

–Przeglądałem informacje na temat sytuacji w naszej marynarce, które dostarczyli nam Alphanie. – Julian wciąż się uśmiechał, ale mówił rzeczowym i poważnym tonem.

–I...?

–Floty nie są w stanie działać w nieskończoność bez zaopatrzenia. Normalnie są zaopatrywane przez jednostki marynarki i statki zaopatrzenia ogólnego wysyłane z jej baz. Ponieważ Szósta Flota jest na skraju buntu, wszystkie bazy marynarki dostały rozkaz, aby nie zaopatrywać jej jednostek.

–Więc skąd biorą zaopatrzenie? – Roger oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

–W tej chwili z trzech planet i stacji w Skupisku Halliwell.

–To znaczy żywność i paliwo? Nie wyobrażam sobie, żeby uzupełniali tam zapas rakiet. Skąd biorą części zamienne?

–Paliwo nie jest problemem...jeszcze. Każda numerowana flota ma swoją własną eskadrę zaopatrzeniową w tym tankowce. Szósta Flota nie wykonywała zbyt wielu manewrów, odkąd bomba poszła w górę, więc nie spalili dużo masy reaktorów, a nawet gdyby spalili, naładowanie reaktora fuzyjnego jest tanie jak barszcz. Zresztą nie sądzę, żeby Helmut choć przez minutę się wahał, gdyby miał zarekwirować masę reaktorów jednostkom cywilnym. Z żywnością jednak prawdopodobnie są już problemy albo wkrótce będą. Uzupełnienia rakiet to pestka – do czasu przewrotu żadnych nie zużyli -ale o części zamienne Helmut na pewno się martwi. Obaj jednak wiemy, jaki potrafi być pomysłowy, kiedy musi.

–Pomysłowość nie wystarczy, kiedy siądzie kondensator – zauważył Roger. – No dobrze, więc zaopatrzenie biorą z zaprzyjaźnionych lokalnych planet. Co to dla nas oznacza?

–Według Alphan zaopatrzeniem dla Helmuta zajmują się trzy okręty z jego eskadry: Capodista, Ozaki i Adebayo. Przeglądałem dane, jakie mają na temat oficerów Szóstej Floty...

–Wywiad mają pierwszorzędny – przyznał sucho Roger.

–Nie da się ukryć. Wiedzą o naszych flotach chyba więcej niż sama marynarka. Okazało się, że kapitanem Capodisty jest niejaki Marciel Poertena.

–Jakiś krewny...

–Kuzyn jego ojca czy coś takiego. Najważniejsze, że się znają sprawdziłem to.

–A ty znasz Helmuta.

–Niezupełnie. Byłem kiedyś mariną na jego okręcie, ale było nas tam pięćdziesięciu,

więc pewnie mnie nie zapamiętał. Spotkaliśmy się twarzą w twarz tylko jeden raz, ale to była akcja dyscyplinarna.

–Świetnie.

–Tak naprawdę nie jest ważne, kto będzie posłańcem – zauważył Julian. – Musimy tylko przekazać mu wiadomość, że Cesarzowa jest w tarapatach, że pan nie jest powodem tych tarapatów, co możemy udowodnić, i że zamierza pan tę sprawę zakończyć.

–I że jeśli nam się nie uda, on musi zniknąć – dodał Roger. – Nie będziemy dążyli do rozłamu Imperium. Jeśli damy ciała, nie chcę, żeby Helmut zwał się po fakcie, plując ogniem ze wszystkich luf.

–Wojna domowa wybuchnie niezależnie od wszystkiego.

–Ale nie będziemy bałkanizować Imperium – powiedział z naciskiem Roger. – Musi to zrozumieć i pogodzić się z tym, w przeciwnym razie nic z tego. Z drugiej strony jeśli nas poprze i wygramy, będzie miał do wyboru: dowodzenie do późnej starości Szóstą Flotą albo Wielką Flotą lub stanowisko Szefa Operacji Marynarki.

–Jezu, Roger! Nie bez powodu to wszystko są dwuletnie kadencje!

–Wiem, ale to mnie nie obchodzi. Jest lojalny wobec Imperium, i tylko to się dla mnie liczy. Powiedz mu, że ja osobiście wolałbym SOM albo Wielką Flotę.

–Ja mam mu powiedzieć?

–Tak, ty. Przekaż zadanie zbierania informacji Nimashet i Eleanorze. Potem bierz Poertenę i lećcie następnym statkiem, który kieruje się w stronę Układu Halliwell. – Roger wyciągnął rękę. – Spisz się dobrze, Julian.

–Tak jest – powiedział plutonowy, wstając. – Tak jest.

–Powodzenia, kapitanie.

–Kapitanie?

–Do czasu formalnej nominacji to nieoficjalny stopień, ale od tej chwili dla mnie jesteś kapitanem. Czeka nas sporo awansów.

* * *

–Nie chcę być pułkownikiem.

–A Nimashet nie chce być Cesarzową – odparł Roger. – Spójrz prawdzie w oczy, Eva. Będę potrzebował ludzi, którym mogę zaufać, a oni muszą mieć stopnie, które budzą zaufanie. Skoro już o tym mowa, cholernie szybko czeka cię stopień generała; wiem, że przede wszystkim myślisz o Imperium.

–To... niezupełnie prawda – powiedziała Armaghanka. – A przynajmniej nie tak jak kiedyś. – Spojrzała mu w oczy. – Teraz jestem jednym z pana ludzi, Roger. Tak się składa, że zgadzam się z pana podejściem do spraw Imperium, ale jeśli nasze stanowiska będą się różnić, pana zdanie będzie najważniejsze. W tym sensie może mnie pan nazywać swoim towarzyszem podróży.

–Przyjąłem to do wiadomości, ale tak czy inaczej, wiesz, do czego zmierzam. Jeśli więc uważasz, że robię coś, co może zaszkodzić Imperium, powiedz mi.

–Dobrze – odparła Kosutic i parsknęła śmiechem. – Jeśli naprawdę chce pan tego, może zacznę od razu.

–Od razu?

–Tak. Zastanawiam się po prostu, czy na pewno przemyślał pan konsekwencje awansowania Poerteny na porucznika.

* * *

–Pojebało ich – mruknął Poertena, patrząc na leżące na łóżku dystynkcje. – Popierdoliło na amen.

Przez większą część swojego życia Poertena był niskim, ciemnoskórym, barczystym osobnikiem o rzadkich czarnych włosach. Teraz był niskim, jasnoskórym, barczystym osobnikiem z grzywą kędzierzawych rudych włosów. Nowy wygląd lepiej pasował do jego osobowości, jeśli nie do akcentu.

–Nie jest chyba aż tak źle? – spytał Denat.

Mardukanin był bratankiem D'Nal Corda. W przeciwieństwie do swojego wuja, nie był zmuszony do podróżowania z ludźmi przez wzgląd na swój honor, cierpiał jednak na poważną gorączkę podróżniczą. Towarzyszył im do pierwszego miasta Q'Nkok, żeby pomóc wujowi w negocjacjach z tamtejszymi władcami. Kiedy jednak Cord wyruszył wraz z Rogerem i jego drużyną na nawiedzane przez Kranolta pustkowia, Denat (z powodów, których nie umiał wtedy nawet wyjaśnić) poszedł razem z nimi, mimo że wszyscy zdawali sobie sprawę, że to samobójstwo.

Przez następną jedną trzecią mardukańskiego roku był na przemian zafascynowany i przerażony, za każdym razem we wprost niewiarygodnym stopniu. Bardzo rzadko za to się nudził. Odkrył w sobie talent do języków i zdolność „wtapiania się” w każdą populację – które to umiejętności były głęboko ukryte, gdy przebywał w plemienu dzikusów posługujących się kościanymi narzędziami – co okazało się dla ludzi bardzo przydatne.

W Marshadzie zdobył żonę równie wyjątkową jak Pedi Karuse. T'Leen Sena była tajną agentką, dorównującą najlepszym szpiegom galaktyki. Chociaż była niewielką jak na Mardukanę „wychuchaną miejską dziewczyną”, była bardzo, ale to bardzo niebezpieczną osobą. Fakt, że zgodziła się wyjść za wędrownego wojownika z plemienia barbarzyńców z epoki kamiennej, mógł być szokiem dla jej rodziny i przyjaciół, nie zaskoczył jednak nikogo, kto znał Denata.

Oprócz przygód, bogactwa, sławy i żony, poza którą świata nie widział, Denat zyskał też przyjaciela w osobie Poerteny. Między przedstawicielami dwóch zupełnie różnych gatunków, o całkowicie różnym pochodzeniu, coś zaskoczyło. Jedną z przyczyn było wspólne zamiłowanie do hazardu, na dodatek za odpowiednio wysokie stawki. Obaj pokazywali najróżniejsze gry karciane niczego nie podejrzewającym Mardukanom i całkiem nieźle na tym wychodzili. Dla Mardukanina oszustwo było nieodłączną częścią każdej gry.

–Pytają czy mu ufam – mruczał Poertena, pakując bagaż. – Przecież to Poertena! Musiałem powiedzieć, że tak, ale oni nie mają pojęcia, jaka to zniewaga. Oczywiście, że nie można mu ufać.

–A ja tobie ufam – powiedział Denat. – To znaczy nie w kartach, ale mógłbym powierzyć ci mój nóż, żebyś mnie krył.

–No pewnie, ale... Cholera, nie rób z tego takiej szopki. Poza tym to nie to samo. Jak Julian wyskoczy z tym „dla dobra Imperium”, Marciel zgłupieje.

–Przynajmniej wyrwiesz się z tej przeklętej planety – zmarkotniał Denat. – Gra w karty z tymi niedźwiedziami to nuda i cały czas widać niebo. Czy tutaj nigdy nie pada?

Na Marduku ciągle padał deszcz i niebo było zachmurzone; to między innymi z tego powodu mieszkańcy tej planety mieli warstwę śluzu na skórze.

–Jeśli chcesz ze mną jechać, to jedź – powiedział Poertena znad walizy.

–Nie kuś mnie – odparł smętnie Denat. – Sena by mnie zabiła, gdybym się bez niej urwał.

–Ona jest jednym z najlepszych tajniaków, jakich znam. Mogłaby się nam przydać.

–Naprawdę uważasz, że Roger pozwoliłby nam obojgu jechać?

Denat wyraźnie poweselał. Poertena parsknął śmiechem.

–Jakoś trzeba udowodnić, gdzieśmy, kurwa, byli przez ostatni

rok, no nie? Dwójka Mardukan to chyba najlepszy jebany dowód,

jaki możemy znaleźć. – Wzruszył ramionami. – Możemy kupić więcej biletów. Nie wiem, jak będzie z paszportami, ale coś wymyślimy. Te, co mamy, są całkiem niezłe jak na fałszywki.

–Spytaj, proszę – powiedział Denat. – Ja tutaj zwariuję.

*** * ***

–No, zaczęło się. – Roger założył kosmyk włosów za ucho. – Możemy zawrócić Juliana, jeśli tylko wiadomość dotrze do niego na czas, ale generalnie kości zostały rzucone.

–Żałujesz? – spytała Despreaux. Jedli obiad w pokoju Rogera, tylko we dwoje.

–Trochę – przyznał. – Nawet nie wiesz, jak mi się czasem podobał plan „rządu na uchodźstwie”.

–Och, chyba wiem, ale to nigdy nie wchodziło w grę, prawda?

–Prawda – westchnął Roger. – Po prostu nie mogę znieść myśli, że znów narażam wszystkich na niebezpieczeństwo. Kiedy to się skończy?

–Nie wiem. – Despreaux wzruszyła ramionami. – Kiedy wygramy?

–Kiedy uratujemy matkę i dorwiemy Nowy Madryt. – Nigdy nie nazywał Nowego Madrytu ojcem. – I Adoulę. Może wtedy wszystko się uspokoi. Aha, i replikator. I jeśli Helmut zaszachuje Wielką Flotę. I jeśli nikt ze spisku Adouli nie przejmie części marynarki i nie ucieknie z powrotem do Sektora Strzelca. Jeśli, jeśli, jeśli...

–Musisz przestać się tym przejmować. – Despreaux uśmiechnęła krzywo, widząc spojrzenie, jakim ją obrzucił. – Wiem, wiem! Łatwo powiedzieć, ale to nie zmienia faktu, że to dobra rada.

–Chyba nie – zgodził się Roger. – Z drugiej strony nie ma sensu dawać komuś rad, których ten ktoś nie może posłuchać.

–To prawda. A więc martwmy się tylko o rzeczy, na które mamy wpływ. Czy są jakieś wieści o frachtowcu?

–Sreeetoth powiedział, że to potrwa jeszcze ze dwa dni. Nie mieli odpowiedniego statku w układzie. Przylatuje z Seranos. Wszystko inne jest gotowe, więc możemy tylko czekać.

–Co będziemy robić, żeby się nie nudzić?

Despreaux znów się uśmiechnęła, ale tym razem w żadnym wypadku nie krzywo.

*** * ***

Załoga zwerbowana na frachtowiec nie знаła prawdziwej tożsamości jego pasażerów- skompletowano ją w kosmicznych barach wokół Układu Seranos, jednego z pogranicznych systemów Sojuszu Alphańskiego, leżącego przy granicy z Raiden-Winterhowe – ale wszyscy czuli, że coś jest nie tak. Nikt, niezależnie od tego, jak byłby bogaty i ekscentryczny, nie charterował frachtowca i nie ładował na niego barbarzyńców, żywych zwierząt o wyjątkowo podłym usposobieniu i żywności, która nie pokrywa kosztów podróży. Członkowie załogi, którzy mieli w swoich życiorysach różne niechlubne momenty, doszli do wniosku, że to na pewno jakieś zwykłe nielegalne przedsięwzięcie, prawdopodobnie przemyt, chociaż nie wiedzieli, co tak naprawdę jest przemycane. Wiedzieli za to, że dostaną przemytnicze stawki, a to wystarczyło. Od granicy przestrzeni Imperium dzieliło ich dwanaście dni podróży, a pierwszy przystanek był w Układzie Carsta, w regionie należącym do barona Sandhurta.

Zamierzali zatrzymać się tam na krótko, tylko po to, by przejść odprawę celną, ale i tak nerwy mieli napięte jak postronki. „Wejście” było najbardziej niebezpiecznym momentem każdej tajnej operacji; w każdej chwili coś mogło pójść nie tak. Wszystkich Mardukan nauczono, co mają mówić: zatrudnił ich ziemianin i lecą na Starą Ziemię, aby pracować w restauracjach. Tak, niektórzy z nich byli na ojczystej planecie żołnierzami, ale wojny były coraz radsze, przez co nie mogli znaleźć zajęcia. Tak, część z nich była kucharzami. Chce pan spróbować pieczystego z atul?

Roger czekał już przy śluzie, kiedy prom przybił do burty statku. Stał z rękami założonymi za plecami i szeroko rozstawionymi nogami. Nie był spokojny; całkowity spokój natychmiast by go zdradził, gdyż na cle każdy się denerwuje. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć – znajdą członka załogi z kontrabandą albo zajdą zmiany w jakimś mało znanym przepisie, które oznaczają konfiskatę części ładunku.

Beach była o wiele spokojniejsza; przecież jest tylko wynajętym kapitanem, prawda? A poza tym już wiele razy była na cle. Jeśli coś będzie nie tak, to trudno, w końcu to nie jej pieniądze. Najgorsze, co się może zdarzyć, to że ktoś jej to zapamięta, ale takie rzeczy w końcu już się zdarzały, prawda? I tak pozostanie kapitanem, jak nie na tym statku, to na innym. To przecież tylko cło.

Wewnętrzne wrota śluzy rozsunęły się, ukazując młodego, średniego wzrostu mężczyznę o ciemnych włosach i lekko skośnych oczach. Miał na sobie obcisły skafander środowiskowy, pod pachą trzymał hełm.

–Porucznik Weller? – Roger wyciągnął rękę. – Augustuc Chang. To ja czarteruję ten statek. To jest kapitan Beach, skipper.

Za Wellerem weszło czterech kolejnych celników, starszych od porucznika. Byli doświadczonymi inspektorami, ale z rodzaju tych, którzy nigdy nie zostaną awansowani. Podobnie jak Weller, zawiesili hełmy na grodzi, a potem stanęli w wyczekującej pozycji.

–Miło mi pana poznać, panie Chang – powiedział Weller.

–Oto dokumenty statku – Beach podała mu pad – oraz dokumenty tożsamości wszystkich pasażerów i załogi. Część pasażerów jest... Mardukanami. Mają dokumenty z biura gubernatora planetarnego, ale... nie mają na przykład aktów urodzenia.

–Rozumiem – odparł Weller, biorąc pad i przenosząc z niego dane do swojego urzędnika. – Przejrzę to, kiedy moja ekipa będzie oglądać statek.

–Wyznaczyłam ludzi, którzy panów oprowadzą – powiedziała Beach, wskazując grupę stojącą za jej plecami. W jej skład wchodzili Macek, Mark St. John, kapral Bebi i Despreaux.

–Proszę zaczynać – ciągnęła, patrząc na pomocników Wellera. – Będę w maszynowni, ale jeśli będziecie panowie czegoś potrzebowali, będę dostępna przez komunikatory. – Przeniosła spojrzenie na Rogera. – Dopilnuję, żeby te cholerne kondensatory napędu tym razem się nie przegrzały, panie Chang.

Skinęła głową celnikom i oddaliła się szybkim krokiem. Weller podniósł wzrok znad pada i spojrzał na Rogera, przekrzywiając głowę.

–Problemy ze statkiem, proszę pana?

–Po prostu jest stary – odparł Roger. – Wyczarowanie jakiegokolwiek statku z napędem tunelowym jest drogie jak cholera, przepraszam za wyrażenie. W tej branży w ogóle koszty są olbrzymie.

–Restauracje? – Weller znów spojrzał na dane wyświetlone na ekranie pada. – Mamy tutaj produkty żywnościowe i żywy ładunek.

–Wszystko zostało przebadane – zapewnił pospiesznie Roger. – Na Marduku jest niewiele chorób zakaźnych. Owszem, otwieram restaurację na Starej Ziemi,

autentyczne mardukańskie jedzenie. Powinno się nieźle rozkręcić, jeśli pomysł chwyci, gdyż to całkiem smaczna kuchnia. Ale wie pan, jak to jest. Żeby mieć szanse na sukces w tej branży, trzeba mieć kapitał na co najmniej osiemnaście miesięcy.

–Na pewno – pokiwał głową Weller. – Ma pan ciekawych pasażerów, panie Chang. Dość... różnorodnych.

–Pracuję w tej branży od wielu lat. Ludzie, których wybrałem do pomocy, to przyjaciele, których przez te lata poznałem. Może wyglądają trochę jak przypadkowa zbieranina, ale tak nie jest. To dobrzy ludzie. Najlepsi.

–Już widzę, co pańska kapitan miała na myśli, wspominając o Mardukanach.

Weller zmarszczył czoło, patrząc na ich dane.

–To wszystko są obywatele Imperium – zauważył Roger. – Między innymi o to mi chodziło: wolny przelot między planetami, nie muszą mieć wiz pracowniczych...

–Wszystko w porządku – powiedział Weller, chowając pada. – Pójdę do moich inspektorów.

–Jeśli to wszystko, zostawię pana. Muszę nadgonić papierkową robotę.

–Jeszcze tylko jedno. – Weller odpiął coś z lewej strony pasa. – Skan genetyczny. Muszę potwierdzić, że jest pan tym, za kogo się podaje – dodał, uśmiechając się zaciśniętymi ustami.

–Nie ma sprawy. – Książkę wyciągnął dłoń z pewnością siebie, której wcale nie czuł. Przetestowali zmodyfikowane ciała za pomocą alphańskich urządzeń, ale teraz nadeszła chwila prawdy. Gdyby skaner wykrył, kim Roger naprawdę jest...

Weller przesunął urządzeniem nad grzbietem jego dłoni i spojrział na wydruk.

–Dziękuję, panie Chang – powiedział. – A teraz zajmę się swoimi obowiązkami.

–Oczywiście.

* * *

–Odprawili nas – powiedziała Beach, wchodząc do gabinetu.

–To dobrze – westchnął Roger. – Wykończyli mnie nerwowo.

–To prawda – zgodziła się Beach z uśmiechem. – Tajne operacje wykańczają nerwowo jak cholera. Jeszcze jeden dzień na ładowanie i ruszamy do Układu Słonecznego.

–Trzy tygodnie?

–Mniej więcej, dwadzieścia i pół dnia.

–Czas, czas, czas... – mruknął książę. – Możecie mnie prosić o wszystko z wyjątkiem czasu.

*** * ***

–Cholerny inspektor! – poskarżyła się Despreaux.

–Jakieś problemy? – spytał Roger. O ile był w stanie się zorientować, inspektorzy stwierdzili tylko, że jeden z członków załogi przewoził nielegalnie narkotyki. Został zabrany z pokładu i trzeba było zapłacić niewielką grzywnę.

–Nie, po prostu cały czas próbował uszczypnąć mnie w tyłek. I prosił, żebym zdejmowała mu różne rzeczy z górnych półek.

–Och. – Roger uśmiechnął się.

–To wcale nie jest śmieszne. – Despreaux popatrzyła na niego ze złością. – Założę się, że wcale by ci nie było do śmiechu, gdyby to był twój tyłek! I cały czas czekałam, kiedy powie: „Aha! To ty jesteś tą sławną Nimashet Despreaux, współpracowniczką niebezpiecznego księcia Rogera MacClintocka!”.

–Wątpię, żeby akurat tak to ujął, ale rozumiem, o co ci chodzi. – I martwię się o Juliana.

–Ja też.

*** * ***

–Mam nadzieję, że już nigdy nie będę oglądał na oczy żadnego pieprzonego statku – mruknął Poertena, kiedy wysiadali z promu.

–Przykro mi, że tak mówisz, Poertena – odparł Julian – ponieważ jeśli tylko dopisze nam odrobina szczęścia, jeszcze kilka sobie obejrzymy. I postaraj się, do cholery, nic nie mówić, dobrze? Według paszportu pochodzisz z Armagh, a to wcale nie jest armaghański akcent!

–Jak znajdziemy tego faceta? – spytał Denat. – Nie widzę tu niczego, co by wyglądało jak prom marynarki.

Halliwell II była planetą o umiarkowanym, lecz suchym klimacie, położoną na samym skraju imperialnej przestrzeni, niedaleko granicy z Raiden-Winterhowe. Raiden dwa razy próbowało ją zaanektować, z czego raz już po tym, jak Układ Halliwell został

przyłączony do Imperium. Planeta miała status świata stowarzyszonego, była więc członkiem Imperium bez prawa głosu. Jej nieliczna populacja składała się głównie z górników i farmerów.

Sogotown, stolica Halliwell II i centrum administracyjne Skupiska Halliwell, miało dość mieszaną architekturę. Większość budynków, w tym magazyny wokół portu, to były niskie ziemianki, ale w pobliżu centrum wznosiło się parę kilkupiętrowych domów. Całe niewielkie miasteczko leżało na brzegu jednej z niewielu zdatnych do żeglugi rzek kontynentu.

Na płycie portu stało teraz kilka statków, głównie duże promy towarowe. Żaden z nich nie miał oznaczeń imperialnej marynarki.

–Mogą używać cywilnych promów – powiedział Julian – ale bardziej prawdopodobne, że w tej chwili nie ma ich tutaj. Chodźcie, przejdziemy się po barach i popytamy.

Odprawa graniczna była mało oficjalna. Zapytali o celnika, ale szopa, w której mieli go znaleźć, była pusta. Julian zostawił więc na biurku chip z informacjami i ruszyli do miasta.

Główna droga z twardo ubitej ziemi była spękana i zryta od ruchu kołowego. Widzieli tylko kilka samochodów z napędem elektrycznym, większość pojazdów to były wozy ciągnięte przez traktory, konie, a nawet woły. Było południe i panował upał-jak na ludzkie standardy, bo Denat i Sena podkręcili porządnie termostaty swoich skafandrów – dlatego większość mieszkańców schroniła się przed gorącem w domach.

Przeszli między otaczającymi port magazynami, minęli kilka komisów i zatrzymali się przed pierwszym napotkanym barem. Jaskrawy neon z kiepsko narysowanym łbem konia reklamował piwo Koun. Drzwi z pamiętającego plastiku rozsunęły się, kiedy tylko Julian do nich podszedł. W środku panował półmrok, ale widać było czterech czy pięciu mężczyzn siedzących przy barze; w powietrzu czuć było zapach dymu, zwiędzłego piwa i moczu. Stojąca w kącie szafa grająca grała rzewną piosenkę o whisky, kobietach i o tym, dlaczego jedno z drugim nie idzie w parze.

–Boże – szepnął Julian. – Jestem w domu.

Denat zdjął z twarzy maskę z membraną i rozejrzał się, pociągając nosem.

–Aha – powiedział. – Jak widać, pewne rzeczy są wszędzie takie same.

–Nie da się ukryć – zauważyła sucho Sena, wykonując górnymi rękami gest wyrażający rozbawienie, a zarazem odrazę. – Na przykład fakt, że mężczyźni są w duchu małymi chłopcami. Rozpuszczonymi, małymi chłopcami. Postaraj sienie spić

do nieprzytomności, Denat.

–Mówisz tak, bo mnie kochasz – parsknął śmiechem Denat i odwrócił się do Juliana.
– Ty stawiasz pierwszą kolejkę.

–Faktycznie, niektóre rzeczy są wszędzie takie same – mruknął Julian i ruszył do baru.

Wszyscy siedzący tutaj mężczyźni byli podstarzali, mieli ogorzałe twarze i dłonie ludzi, którzy większość życia przepracowali na powietrzu, a teraz nie mają nic lepszego do roboty niż pić whisky od samego rana. Barmanka była niewiele młodsza od nich, a jej spojrzenie zdradzało, że wiele przeszła, ale nie zamierza się poddawać. Miała blond włosy z siwymi i ciemnymi odrostami oraz twarz, która kiedyś musiała być ładna. Uśmiechnęła się przyjaźnie i spojrzała ze zdziwieniem na Mardukan.

–Co podać? – spytała, przerywając rozmowę z jednym z klientów.

–A co jest? – odpowiedział pytaniem Julian, rozglądając się za kartą. Pomieszczenie udekorowane było reklamami piwa i whisky i kilkoma rozkładówkami z dziurami po rzutkach.

–Mam Koun, Chikę, Alojza, Zedina i Jaintorna w baniakach – wyrecytowała kobieta.
– Ale jeśli wolicie wino, mam czerwone, białe i fioletowe. Whisky sami możecie sobie obejrzeć – dodała, wskazując poukładane na stojakach za jej plecami bańki i plastikowe butelki. Większość z nich zawierała podłą whisky, ale jedna przyciągnęła wzrok Juliana.

–Dwa podwójne macmanusy i duży highball – powiedział, a potem zerknął na Senę i uniósł pytająco brew. Sena machnęła potakująco ręką i Julian uśmiechnął się. – Niech będą dwa Highballe. A potem dwie szklanki Kouna i dzbanek.

–Znasz się na whisky, synu – powiedziała z aprobatą kobieta – ale te highballe będą cię słono kosztować.

–Przeżyję.

–Kim są twoi wielcy przyjaciele? – spytała barmanka, kiedy wróciła z drinkami.

–To Denat i Sena. Mardukanie.

–Szumowiniaki? – Kobieta otworzyła szeroko oczy. – Słyszałam o nich, ale nigdy żadnego nie widziałam. No, zawędrowali daleko od domu.

–Tak, to prawda – powiedział Denat łamanym imperialnym. Wziął jednego highballa, drugiego podał Senie. Potem oboje stuknęli się z Julianem i Poerteną.

–Śmierć Kranolta! – Wychylił szklanę. – Aaa – zagulgotał. – Dooobre.

Sena napiła się, a potem wygięła obie dolne ręce w skomplikowanym geście zadowolenia.

–Rzeczywiście – powiedziała po marshadzku, zerkając na Juliana. – Niesamowite. Nie spodziewałam się po tobie tak wyrobionego smaku, Julian.

–Nie bądź taka mądra – odparł marinę w tym samym języku i Sena kaszlnęła mardukańskim śmiechem.

–Co on powiedział? – spytała barmanka, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

–Zauważył tylko, że powinna pani być zadowolona, że Denat nie ma już rui, bo inaczej po ścianach już by spływała krew – parsknął śmiechem Julian, szczerząc zęby do obojga Mardukan. Spróbował swojego drinka; musiał przyznać, że rzeczywiście był dobry. – Boże, jak ja dawno nie piłem macmanusa.

–Co robicie w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze?

–Ja szukam ślicznej barmanki – uśmiechnął się Julian. – I proszę, poszczęściło mi się.

–Już to słyszałam – odparła kobieta, ale też się uśmiechnęła.

–Tak naprawdę podróżujemy. To tu, to tam. Denata i Senę poznałem na Marduku; miałem tam mały problem, a oni mi pomogli. Słyszałem, że ląduje tutaj marynarka i że mają trochę cywilnych załóg w pomocniczych eskadrach. Wyszedłem z wojska, tak samo jak Magee – wskazał na Poertenę – i rozglądamy się za jakimś zajęciem.

–Wątpię, czy znajdziecie. – Kobieta pokręciła głową. – Tutaj lądują tylko promy towarowe. Zabierają zaopatrzenie i znów startują. Czasami załogi przychodzą się napić, ale nie zostają długo. Tylko oni tutaj przylatują. Inni już pytali o pracę, ale oni nikogo nie zatrudniają. Wiecie, co robią, prawda?

–Nie – powiedział Julian.

–Czekają, kto wygra w Imperial City. Wygląda na to, że sporej części parlamentu przestało się podobać to, co się dzieje z Cesarzową.

–A co się dzieje? – spytał Poerteną prawie bez śladu akcentu.

–W wiadomościach mówią, że wszystko jest w najlepszym porządku – zauważył Julian.

–Jasne, a co mają powiedzieć? – Barmanka pokręciła głową.

–Cesarzową widuje teraz tylko ta żmija Adoula – powiedział jeden ze stałych bywalców baru, zsuwając się ze stołka. – Nie wpuszcza do niej nawet premiera. Mówią, że zrobił z niej toombiego, że ma nad nią całkowitą kontrolę.

–Cholera. – Julian pokręcił głową. – Dranie. Nazwanie Adouli żmiją to obraza dla żmij.

–Tak, ale to on ma władzę, nie? – odparł bywalec. – Ma po swojej stronie marynarkę, a przynajmniej większość, i ma przyjaciół w Izbie Lordów.

–Nie przysięgałem wierności księciu Jacksonowi i jego kumplom, kiedy byłem w woju – powiedział Julian. – Przysięgałem na konstytucję i Cesarzową. Może admirałowie będą o tym pamiętać.

–Jasne – zakpił drugi pijak. – Chyba śnisz! Wszyscy oficerowie przeszli na stronę Adouli, kupił ich. Słyszałem, że kiedyś nadepnął na sierdo, a ten go nie ugryzł, bo swoich się nie gryzie.

Wszyscy się zaśmiali, ale w ich śmiechu słychać było znużenie.

–To, że inni pytali o pracę, wcale nie znaczy, że nam nie wolno – powiedział Julian i westchnął. – Jeśli oni nikogo nie zatrudniają może ktoś inny będzie chętny. Można się tutaj gdzieś przespać?

–Hotel jest kilka przecznic stąd – powiedziała barmanka. – We wtorki, piątki i soboty mamy muzykę na żywo. W soboty striptiz. Wpadnijcie czasem.

–Wpadniemy. – Julian dopił piwo jednym haustem. – Chodźmy się rozejrzeć.

–Wróćcie – powiedział bywalec, który wcześniej do nich dołączył. – Nie ma tutaj co zwiedzać.

–Kolejka dla twoich kumpli – rzucił Julian, kładąc na pobrużdżonym kontuarze chip kredytowy. – Na razie.

* * *

–Co o nich myślicie? – spytała barmanka, kiedy cała czwórka wyszła.

–Nie latają – odparł bywalec, pociągając tanią whisky. – Inaczej się poruszają i mają za krótkie włosy. Jeśli ten facet rzeczywiście służył w wojsku, to w marines, a nie w marynarce. Pewnie to osiłki do wynajęcia. Myślisz, że chcą wykorzystać Julia?

–Wątpię. – Barmanka zmarszczyła brew. – Ale Julio szuka ludzi, więc będzie chciał o nich wiedzieć. Lepiej do niego zadzwonię.

–Jeśli chcecie zagrać, bar bierze działkę – powiedziała barmanka. – Muszę opłacać haracz.

Poertena podniósł wzrok znad kart i wzruszył ramionami. – Ile?

–Ćwierć kredytyki od ręki. Oto dlaczego – dodała, kiedy do baru wszedł niski, blady mężczyzna.

Nowo przybyły miał około trzydziestu standardowych lat, przylizane czarne włosy i cienki wąsik. Jego strój był ostatnim krzykiem lokalnej mody; był ubrany w czerwoną jedwabną koszulę, czarne spodnie, bolero i krawat. Doskonały krój bolera psuło małe wybrzuszenie, który mógł spowodować igłowiec albo mały pistolet śrutowy. Za mężczyzną weszło trzech innych, wyższych i bardziej potężnie zbudowanych. Ich krótkie marynarki wybrzuszały się na prawym biodrze.

–Cześć, Julio – powiedziała barmanka.

–Clarissa. – Mężczyzna odpowiedział jej skinieniem głowy. – Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

–Może być. To co zwykle?

–I kolejka dla chłopaków – odparł Julio, podchodząc do stolika, przy którym Poertena, Denat i jeden ze stałych bywalców grali w karty. Sena siedziała nieopodal z dużym piwem, czytając coś, co wyglądało na szmirowatą powieść, ale tak naprawdę było mardukańskim tłumaczeniem podręcznika dla imperialnych marines na temat taktyki infiltracji.

–Mogę się dosiąść?

–Proszę – odparł Poertena. – Sprawdzam.

–Dwa króle – powiedział miejscowy.

–Bije moją zasraną parę ósemek-odparł Poertena i miejscowy zgarnął pulę.

–Nowy rozdaje. – „Armaghanin" podał talię Julio.

–Stud na siedem – powiedział bladokóry, zręcznie tasując karty.

Już miał zacząć rozdawać, kiedy Denat wyciągnął jedną z potężnych rąk i przykrył nią karty.

–Na Marduku – powiedział poważnie – uważamy oszukiwanie za część gry.

–Zabierz tę rękę, jeśli nie chcesz jej zjeść – ostrzegł groźnie Julio.

–Chciałbym wiedzieć, czy tutaj też tak jest – ciągnął Denat, nie zabierając ręki. – Powiedziano mi, że nie, więc nie chowałem żadnych kart, zwłaszcza że to trudne w skafandrze. Chcę po prostu wiedzieć, czy tutaj jest zwyczaj oszukiwania?

–Twierdzisz, że oszukuję? – spytał Julio. Najpotężniejszy z jego goryli podszedł bliżej. W ten sposób Sena, która podniosła na chwilę wzrok znad lektury, a potem wróciła do czytania, znalazła się za jego plecami.

–Ja się tylko głośno zastanawiam – odparł Denat, ignorując ochroniarza. – Jeśli nie ma takiego zwyczaju, może wyjąłbyś tę kartę, którą schowałeś do rękawa, i przetasował jeszcze raz.

Julio powstrzymał ochroniarza podniesieniem ręki, a potem wyciągnął z rękawa asa karo.

–Ja tylko sprawdzałem – powiedział, wsuwając kartę z powrotem do talii. – Jestem Julio Montego.

–Denat Cord – przedstawił się Denat. Stały bywalec baru odsunął się od stolika.

–Ja tylko... – powiedział.

–Tak, to dobry pomysł – mruknął Julio, nie odrywając wzroku od Mardukanina.

–Jak już mówiłem, mamy na Marduku takie powiedzenie: jak nie oszukujesz, to znaczy, że ci nie zależy – wyjaśnił Denat. – Ja osobiście nie mam do tego żadnych zastrzeżeń, ale ludzie są w tej kwestii strasznie... drażliwi. To miło, że ty taki nie jesteś.

–Chcesz spróbować? – spytał Julio, przesuwając karty w jego stronę. – Przyjacielskie rozdanie? To znaczy bez pieniędzy.

–To chyba nie ma większego sensu – mruknął Denat – ale skoro prosisz...

Ściągnął rękawice skafandra i rozprostował dłonie, a potem przetasował talię, przerzucając karty tak szybko, że rozmywały się w locie. Potem podsunął je Juliowi do przełożenia, a następnie rozdał.

–Stud, bez dobierania.

Julio podniósł swoje karty i pokręcił głową.

–Poker przy rozdaniu? – spytał. – Chyba mam szczęście.

–Tak, wielkie – powiedział Denat. – Twój poker karo bije nawet mojego pik.

–Może lepiej nie grajmy w karty – powiedział Poertena. – W takich chwilach żałuję, że nauczyłem tego skurwiela pokera.

–A może zamiast grać wyłożymy po prostu karty na stół – powiedział Julian, wślizgując się na krzesło opuszczone przez stałego bywalca. – Co możemy dla pana zrobić, panie Montego?

–Nie wiem – odparł Julio. – A co chcecie?

–Nie pakujemy się na pana teren – powiedział delikatnie Julian.

–Szukamy tylko pracy w marynarce. Jeśli się nie uda, znikniemy.

Bez hałasu, bez kłopotów.

–Nie latacie.

–Mam chip, który twierdzi co innego.

–Mogę kupić takie chipy za kredytkę od sztuki – prychnął Julio.

–Muszę tutaj utrzymywać porządek.

–Nie będziemy prowokować żadnych awantur z miejscowymi – zapewnił go Julian. – Może nas pan nazywać niewidzialną czwórką.

–Macie dwójkę szumowiniaków i faceta, który twierdzi, że jest z Armagh, ale pewnie nigdy w życiu nie widział tej planety na oczy. Nie jesteście znów tacy niewidzialni. Co wy kombinujecie?

–Nic, co by pana dotyczyło, panie Montego. Jak mówiłem, byłoby najlepiej dla wszystkich, gdyby pan udawał, że nas tutaj nigdy nie było. Proszę mi wierzyć, lepiej niech pan nie wtyka w to nosa.

–To mój teren – powiedział spokojnie Julio – i wszystko, co się tutaj dzieje, to moja sprawa.

–Ale to nie ma nic wspólnego z Halliwell ani pana terenem.

–W takim razie co wy kombinujecie? Szmuglujecie prochy dla marynarki? Porno? Dziewczynki?

–Nie zostawi pan nas w spokoju, prawda? – spytał Julian, kręcąc głową.

–Nie.

–Panie Montego, czy ma pan kogoś, z kim pan... współpracuje? Nie szefa, nie o to chodzi. Kogoś, komu pan być może przekazuje część dochodów za różne usługi.

–Może – odparł ostrożnie Montego.

–Cóż, ten dżentelmen pewnie też ma kogoś, z kim współpracuje. I tak dalej, i tak dalej. Na pewnym poziomie, panie Montego, znajduje się dżentelmen, który powinien był wspomnieć, że kilku jego współpracowników odwiedzi przejazdem pana teren. Nie jesteśmy dilerami, nie jesteśmy kurierami. Jesteśmy... współpracownikami. Przekazujemy informacje. Ale pan, panie Montego, nie dowie się, co to za informacje. Jeśli zacznie pan tym się interesować, panie Montego, sprawy bardzo szybko przybiorą paskudny obrót. Nie tylko w tym barze, ale na poziomie, na którym ludzie nie wynajmują już bramkarzy z portu, tylko dżentelmenów zawodowców, którym nieobce jest korzystanie ze wspomaganych panczerzy i działek plazmowych, panie Montego.

Wszystko to Julian powiedział z uprzejmym uśmiechem, nie spuszczając wzroku z Julia.

–On nie żartuje, kurwa – powiedział Poertena i podwinął rękaw, ukazując cienką bliznę w miejscu, w którym odrosła mu ręka. Technologia regeneracji była bardzo droga, dlatego stosowano ją tylko w wojsku. – Możesz mi pan, kurwa, wierzyć.

–Ja bym na pana miejscu uwierzyła – powiedziała doskonałym imperialnym Sena.

Po raz pierwszy mówiła w innym języku niż mardukański. Gangster gwałtownie odwrócił się w jej stronę, a ona odwzajemniła jego spojrzenie grymasem, który miał być uśmiechem, i poprawiła leżący na jej kolanach ciężki wojskowy pistolet śrutowy. Potem spokojnie wróciła do czytania książki.

–To właśnie jeden z tych dżentelmenów zawodowców – zauważył sucho Julian, nie patrząc nawet w stronę Seny.

–Ma pan rację – powiedział Julio. – Ktoś powinien był przekazać mi wiadomość, ale nie przekazał. Robienie interesów na moim terenie kosztuje. Dwa tysiące kredytek... i tego spotkania nigdy nie było.

–Tokurewsko...

–Zapłać mu – powiedział Julian. – Miło robi się z panem interesy, panie Montego.

Wyciągnął rękę.

–Tak – odparł Montego – ale nie dosłyszałem pana nazwiska...

–Zapłać mu – powiedział tylko Julian i podszedł do baru.

Poertena wyjął dwa chipy kredytek o dużych nominałach i przesunął je po stole.

–Pewnie nie skusi się pan na partyjkę pokera?

–Raczej nie – odparł Montego, wstając. – I byłoby lepiej, gdyby trzymał pan gębę zamkniętą na kłódkę.

–Oto historia mojego życia – mruknął Poertena.

*** * ***

Striptizerka okazała się dość zmęczoną, sądząc po wyglądzie, czterdziestoparolatką, a zespół grał głośniejsz niż umiał. Sena i Denat uznali całe to przedstawienie za, delikatnie mówiąc, dziwaczne, ale za to sami bardzo przypadli do gustu stałym bywalcom baru. Osiem mardukańskich dłoni wystukiwało rytm, którego nawet ten zespół nie był w stanie zgubić. Poza tym hałas i tłum sprawiały, że było to świetne miejsce do potajemnych rozmów.

Julian usiadł na wolnym miejscu obok chorążego marynarki.

–Postawić ci drinka? – spytał. – Naszym chłopakom w przestrzeni się należy.

–Jasne – odparł pilot. Był młody, prawdopodobnie niedawno skończył akademię. – Przed startem wezmę alkodotum. Chryste, trzeba się czasem trochę wyluzować.

–Widziałem tutaj tylko załogi promów – powiedział Julian, przekrzykując jazgot zespołu i rytmiczne klaskanie Mardukan. Nikt w barze nie wiedział, że to, co robili Denat i Sena, było w mowie ciała ich gatunku zaśmiewaniem się do rozpuku.

–To rozkaz floty! – odkrzyknął pilot, kiedy muzycy zaczęli niewprawnie grać nowy kawałek. – Żadnych kontaktów z planetą. Cholera, nawet to jest lepsze – dodał, wskazując znużoną striptizerkę. – Skończyły nam się pornosy na okręcie, a prawa ręka trochę mi się już zmęczyła.

–Aż tak źle? – zaśmiał się Julian.

–Aż tak źle.

–Jesteś z okrętu kapitana Poerteny, prawda? – Julian nachylił się bliżej.

–A kto pyta? – Chorąży upił łyk drinka.

–Tak czy nie?

–No dobra, tak. Człowieku, wiedziałem, że za dużo wypilem. Ona mi się zaczyna podobać.

–W takim razie musisz przekazać swojemu kapitanowi wiadomość.

–Co? – Chorąży po raz pierwszy przyjrzał się dokładniej Julianowi.

–Musisz przekazać wiadomość swojemu kapitanowi – powtórzył Julian. – Zrób to osobiście i na osobności. Wiadomość brzmi: chłopiec, który ukradł rybkę, przeprasza. A wszystko, co ostatnio słyszał, to kłamstwo. Rozumiesz?

–O co tu chodzi?

–Jeśli twój kapitan będzie chciał, żebyś wiedział, to ci powie – odparł Julian. – Osobiście i na osobności, jasne? Powtórzyć, chorąży.

Ostatnie słowa były wyraźnym rozkazem.

–Chłopiec, który ukradł rybkę, przeprasza – powtórzył pilot.

–Przekaż to, na swój honor – powiedział Julian i znikł w tłumie.

*** * ***

–Jak się udał lot? – spytał kapitan Poertena. Patrzył na wyświetlacz holograficzny i jadł banana. Świeże owoce były w obecnej sytuacji rzadkością w Szóstej Flocie, nawet na jednostkach zaopatrzeniowych takich jak Capodista, więc kapitan jadł po małym kawałeczku, żeby należycie się nim nacieszyć.

–Dobrze, sir- odparł chorąży Sims. – Tym razem zabraliśmy pełen ładunek. Rozmawiałem z jednym z przedstawicieli gubernatora. Próbowali zebrać części z naszej listy, ale na razie bez powodzenia.

–Nic dziwnego. No, może w przyszłym tygodniu będzie lepiej. Prędzej czy później admirał Helmut będzie musiał się zdecydować w jedną albo drugą stronę. Czy są jakieś nowe wieści ze stolicy?

–Nie, sir, ale na planecie miałem bardzo dziwną rozmowę. Podszedł do mnie jakiś facet i kazał przekazać panu wiadomość. Osobiście i na osobności.

–Tak? – Poertena podniósł wzrok znad wyświetlacza i uniósł do ust następny kawałek banana.

–Chłopiec, który ukradł rybkę, przeprasza – powiedział Sims. Ręka z bananem

opadła, a ogorzała twarz kapitana poszarzała.

–Co powiedziałaś? – warknął.

–Chłopiec, który ukradł rybkę, przeprasza – powtórzył Sims. Kapitan zmiażdżył w palcach kawałek banana i cisnął go na biurko.

–Jak on wyglądał? Miał jakiś akcent?

–Nie, sir – odpowiedział chorąży, stając na baczność.

–Powiedział coś jeszcze?

–Tylko tyle, że to wszystko kłamstwo. Sir, o co tu chodzi?

–Nie musicie tego wiedzieć, Sims – odparł Poertena, przelkując banana i kręcąc głową. – Skurwysyn. Ja też nie muszę, kurwa, tego wiedzieć. – Kapitan bardzo się starał walczyć ze swoim akcentem, ale w chwilach stresu takich jak ta wyraźnie się ujawniał. – Na chuj mi to było potrzebne. Gdzie ten facet był?

–No... – Sims zawahał się. – W barze, panie kapitanie. Wiem, że to niedopuszczalne...

–Zapomnijcie o tym – przerwał mu Poertena. – Skurwysyn. Muszę się zastanowić. Sims, nie mówcie o tym nikomu, rozumiano?

–Zrozumiano, sir.

Tym razem to Sims z trudem przełknął ślinę.

–Prawdopodobnie będziecie mi niedługo potrzebni. Zjedzcie coś i odpocznijcie, jeśli chcecie. Chyba wracamy na Halliwell.

–Sir, przepisy mówią...

–Jasne. Mam wrażenie, że zasrane przepisy właśnie poszły się jebać.

* * *

Julian podniósł wzrok, kiedy nad jego stolikiem zamajaczył olbrzymi cień.

–Do baru właśnie wszedł facet bardzo podobny do Poerteny – powiedział Denat. – Jest z nim tamten pilot. Sena ma na nich oko.

Julian poszedł do jednej z miejscowych restauracji, w której podawano naprawdę dobry bitok. Brakowało mu tego na Marduku, a tutaj przyrządzali go tak jak trzeba –

był gęsty, lekko zaróżowiony na środku i z bardzo dobrym sosem – i był bez porównania lepszy od „przekąsek” podawanych w barze. Denat i Sena zostali tam, żeby mieć na wszystko oko.

Odłożył sztućce i napił się coli.

–Dobrze, zaczynamy – powiedział. – Gdzie Magee?

–Nie wiem – odparł Mardukanin.

–Znajdź go – powiedział Julian, starając się nie zirytować nieobecnością małego Pinopańczyka. W końcu nie spodziewał się, że kapitan Poertena pojawi się tak szybko, poza tym według lokalnego czasu było bardzo późno. Skipper Capodisty musiał przylecieć pierwszym wolnym promem zaraz po otrzymaniu wiadomości.

Julian rzucił na stół garść kredytek, by wystarczyło za bitok i napiwek, i wyszedł. Na ulicy rozejrzał się dookoła. Nocą panował tutaj nieco większy ruch – grupy ludzi przemieszczały się z baru do baru -i Julian poczuł się trochę nieswojo, nie mając żadnego wsparcia.

Wszedł do baru i rozejrzał się. Mimo późnej pory impreza wciąż w najlepsze trwała. Zespół grał jeszcze gorzej niż przedtem, ale przynajmniej striptizerka zniknęła.

Wreszcie wypatrzył Senę przy kontuarze; opierając się nonszalancko dolnym łokciem i trzymając w górnej ręce piwo, dyskretnie obserwowała dwóch oficerów marynarki, którzy siedzieli przy stoliku w głębi sali. Kiepsko wybrali. Równie dobrze mogliby postawić szyld z napisem: „Patrz! Prowadzimy tajne rozmowy!”.

Julian stanął przy barze; z tego miejsca ich nie widział, ale Sena mogła dać mu znać, gdyby próbowali wyjść. Jakies dziesięć minut później w drzwiach pojawił się Denat, a za nim Poertena.

–Gdzie byłeś?

–Załatwiałem, kurwa mać, osobiste sprawy.

–Znasz tę ludzką kobietę, która zdejmowała ubrania? – spytał Denat.

–Cholera jasna, Por... Magee!

–No co, ma się swoje potrzeby!

–Jeśli jeszcze raz tak znikniesz, stracisz sprzęt do załatwiania takich potrzeb. – Julian westchnął i pokręcił głową, widząc harde spojrzenie Poerteny.

–Chodź – powiedział i ruszył w stronę stolika oficerów.

–Kapitanie Poertena – przywitał się, siadając i przesuając krzesło tak, aby mieć oko na bar.

–No, to nie jest Julio – odparł kapitan, wskazując Mardukanina. – Ani to – dodał sucho, kiedy podeszła do nich Sena. – A pan jest za wysoki – dodał, patrząc na Juliana.

–Cześć, wujku Marciel – powiedział z niejakim trudem Poertena. – Kopę, kurwa, lat.

–Cholera jasna, Julio. – Kapitan pokręcił głową. – W coś ty się wpakował? Powinienem być tu ściągnąć cały pluton marines, wiesz o tym? Nadstawiam za ciebie jaja.

–Nie za niego – powiedział Julian – tylko za Imperium.

–A pan to kto? – warknął kapitan. – Adib Julian.

–Nie znam. – Poertena przyjrzał mu się uważnie.

–Nic dziwnego, byłem zwykłym plutonowym w jednej z kompanii liniowych. Wyjaśnijmy sobie jedno: przez ostatnich dziesięć miesięcy – Julian wskazał kciukiem Denata i Senę – byliśmy na Marduku. Możemy udowodnić na tuzin różnych sposobów, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

–Tu chodzi o przewrót! – wykrztusił pilot. – Jasna cholera.

–Plutonowy... no, tak jakby kapitan Adib Julian – powiedział Julian, skinąwszy głową. – Batalion Brąz Osobistego Pułku Cesarzowej, obecnie oficer wywiadu przy księciu Rogerze Ramiusie Sergeiu Alexandrze Chiangu MacClintocku, Pierwszym Następcy Tronu Ludzkości.

Mimo panującego dookoła jazgotu stół zdawał się przez chwilę otoczony bańką całkowitej ciszy.

–A więc – powiedział po chwili kapitan Poertena – jaki jest plan?

–Muszę porozmawiać z Helmutem – odparł Julian. – Mam zakodowane chipy, które udowadniają ponad wszelką wątpliwość, że kiedy doszło do przewrotu, byliśmy na Marduku, a nie na Starej Ziemi.

To spisek Adouli, a nie księcia Rogera. Helmut musi o tym wiedzieć.

–I co zrobi? – spytał Sims.

–Chorąży, to już sprawa między mną i admirałem – powiedział Julian. – Zdajecie sobie oczywiście sprawę, że następnych kilka tygodni spędzicie samotnie pod

kluczem, prawda?

–Cholera, tak się kończą rozmowy z nieznajomymi w barach – jęknął chorąży. – Ustalmy jedno: księżę był na Marduku. To znaczy, że historia o tym, iż stał za całym przewrotem, to bujda, tak?

–Tak – zgrzytnął zębami Julian. – Możecie mi wierzyć, byłem z nim przez cały czas. Poertena i ja jesteśmy dwoma z dwunastu ocalałych z całej kompanii marines, która wylądowała tam z księciem. Musieliśmy przejść tę upalną, nędzną, deszczową kulę dżungli i bagien na piechotę, ale to długa historia. A o tym, że był jakiś przewrót, dowiedzieliśmy się dopiero miesiąc, półtora miesiąca temu. Teraz Imperium rządzi Adoula, a nie Cesarzowa.

–Sami do tego doszliśmy – powiedział sucho kapitan – dlatego zaszyliśmy się na tym zadupiu. Jesteście naszymi zbawcami albo naszą cholerną zgubą, już sam nie wiem czym. – Westchnął i wruszył ramionami. – Będziecie musieli spotkać się z admirałem. Sims, pan i ta czwórka zostanieie zamknięci, kiedy wrócimy na okręt. Potem prześlę ich pana promem na Zetiana. A właściwie dlaczego przysłali akurat was czworo?

–Julia po to, żeby pana przekonać – odparł Julian. – Mnie dlatego, że znam admirała Helmuta, a Denat i Sena są dowodem, że byliśmy na Marduku. Poza tym Denat to kumpel Julia.

–To on nauczył mnie wszystkiego co wiem – powiedział Denat, wruszając wszystkimi czterema ramionami.

–W takim razie przypomnij mi, żeby nie grał z tobą w pokera.

*** * ***

Admirał Angus Helmut, trzeci baron Flechelle, był niski, niemal wzrostu karła – kiedy siadał na standardowych fotelach pokładowych, nie sięgał stopami do podłogi – dlatego teraz siedział na specjalnym niższym fotelu. Miał szarą, pomarszczoną twarz, wysokie kości policzkowe, rzędzące siwe włosy i szare oczy. Jego czarny mundur był mocno wyświechtany, co wskazywało, że być może jest to ten sam uniform, który nosił jeszcze jako podporucznik. Po jednej stronie kołnierza miał admirałskie gwiazdki, po drugiej płaszcz i skrzyżowane sztylety z czasów pracy w wywiadzie marynarki. Patrzył na Juliana przekrwionymi z braku snu oczami tak, jakby marine był czymś, co kot zostawił w nocy pod drzwiami.

–Adib Julian – powiedział. – Powinienem być się domyślić. Widziałem wasze nazwisko na liście gończym i od razu pomyślałem, że zdrada stanu pasuje do was.

–Nigdy nie popełniłem zdrady stanu – odpalił Julian. – Nie bardziej niż pan, izolując

swoją flotę. Zdrajcami są Adoula, Gianetto i Greenberg.

–Być może, ale mam przed sobą nadętego plutonowego, którego widziałem ostatni raz, kiedy był oskarżony o sfałszowanie raportu.

–Od tej pory zaszły pewne zmiany.

–Podobno. – Admirał mierzył go przez kilka sekund wzrokiem bazyliuszka, potem nieznacznie odchylił się w tył. – A więc marnotrawny księżę powrócił jako pretendent do Tronu i chce, żebym mu pomógł?

–Nazwanie Rogera marnotrawnym księciem jest w obecnej chwili... niewłaściwe. On nie jest pretendentem do Tronu; chce tylko, żeby jego matka wróciła na Tron i żeby spadła głowa tego drania Adouli. Właściwie na upartego wystarczyłyby mu jego jaja.

–A więc jaki plan ma księżę?

–Muszę otrzymać zapewnienie, że pan nas poprze, a nie tylko wykorzysta te informacje, żeby zasłużyć się Adouli, panie admirale.

Admirał zacisnął ze złością zęby i wzruszył ramionami.

–To właśnie największy problem z tymi wszystkimi pałacowymi spiskami – powiedział. – Zaufanie. Mogę wam dać wszystkie zapewnienia, jakie mi tylko przyjdą do głowy, przygotować flotę do bitwy i ruszyć do Układu Słonecznego. A potem, kiedy będziemy na miejscu, mogę was zakuć w kajdany i posłać Adouli jako trofeum, razem z wszystkimi waszymi planami. Na tej samej zasadzie pod drzwiami mojej kajuty mogą stać marines, którzy tylko czekają, aż okażą brak lojalności wobec Tronu. Ja powiem: „O tak, plutonowy Julian, pomożemy wam w waszym spisku”, a oni wpadną tutaj i mnie aresztują.

–Na pewno nie, jeśli wciąż dowodzi tu sierżant Steinberg – powiedział Julian, lekko się uśmiechając.

–To fakt – przyznał Helmut. On i sierżant byli sobie bardzo bliscy, dlatego Steinberg był starszym sierżantem sztabowym Szóstej Floty tak długo, jak długo dowodził nią Helmut.

–Księżę zamierza uwolnić swoją matkę i odbić Pałac, a potem sprowadzić niezależnych ekspertów, którzy wykażą, że była przetrzymywana wbrew swojej woli i że on sam nie miał z tym nic wspólnego.

–No, to akurat jest oczywiste – warknął Helmut.

–Poprze nas pan?

Admirał jeszcze bardziej odchylił się w tył i splótł palce na brzuchu.

–Sfałszowanie raportu o stanie zbrojowni – powiedział, zmieniając temat – to nie była wasza robota, prawda?

–Wzięłem na siebie winę, gdyż byłem za to odpowiedzialny.

–Ale to nie wy spapraliście robotę, prawda?

–Nie – przyznał Julian. – Uwierzyłem w czyjeś zapewnienia, że wszystko zostało zrobione, i podpisałem raport. To był ostatni raz, kiedy popełniłem taki błąd.

–A co zrobiliście człowiekowi, który był odpowiedzialny za to, że straciliście paski?

–Sprąłem go tak, że aż się posrał, sir – odparł Julian po krótkiej chwili milczenia.

–Tak, widziałem raport lekarza – powiedział Helmut ze śladem zadowolenia w głosie.

– Co się stało z Pahnerem?

–Poległ, sir – Julian przełknął ślinę – podczas zdobywania statku, którym opuściliśmy tamtą kulę błota.

–Niełatwo było go zabić – zamyślił się admirał.

–To był okręt operacji specjalnych Świętych. Odkryliśmy to dopiero wtedy, gdy zabrnęliśmy już za daleko, żeby się wycofać. Zginął, żeby ratować księcia.

–Taki miał obowiązek. A co on sądził o tym... kontrprzewrocie?

–Zarys planu opracowaliśmy jeszcze przed szturmem na statek, sir. Miał jego pełne poparcie.

–To do niego podobne – powiedział admirał. – Brał wszystko albo nic. Bardzo dobrze, Julian, macie moje poparcie. Ale żadnych marines w ostatniej chwili, żadnych podwójnych układów.

–Nie zapytał pan, co pan za to dostanie – zauważył Julian. – Księżę będzie panu winien raczej sporą przysługę.

–Zapłatą będzie bezpieczeństwo Imperium – warknął Helmut. – Czy zaufalibyście mi, gdybym poprosił o coś innego?

–Nie – przyznał Julian. – Ale księżę upoważnił mnie, bym panu przekazał, że jeśli o niego chodzi, może pan zachować Szóstą Flotę albo Wielką Flotę lub stanowisko Szefa Operacji Marynarki „aż pan umrze albo zniedołężnieje”. To ostatnie to dosłowny cytat.

–A co wy dostaniecie, plutonowy? – spytał admirał, ignorując propozycję.

–Nic. Do diabła, sir, przez ponad dziesięć miesięcy nie dostawałem nawet żołdu. Przed odlotem książę powiedział mi, że jestem kapitanem, ale ja wcale o to nie prosiłem.

Julian przerwał na chwilę i wzruszył ramionami.

–Panie admirale, przysięgłem służyć Imperium – obaj przysięgaliśmy – ale służę księciu Rogerowi. Wszyscy mu służymy. Musiałby pan tam z nami być, żeby to zrozumieć. Jesteśmy Osobistym Pułkiem Księcia Rogera. Koniec, kropka. Adiutantów zwykle nazywają „okradającymi psy”, gdyż zabiorą psu kość, jeśli ich admirał tego zażąda. My jesteśmy... okradającymi świnie; wyczyścimy im koryta, jeśli Roger będzie tego chciał. Albo podbijemy Imperium Cavazańskie. Albo zrobimy z niego pirackiego króla. Może Pahner nie był taki, on do ostatka walczył dla Imperium, ale my jesteśmy psami Rogera, i jeśli on chce uratować Imperium, ocalimy Imperium. A gdyby kazał mi tutaj przylecieć i pana zabić... już by pan nie żył, panie admirale.

–Prywatna armia – powiedział z niesmakiem Helmut.

–Tak, sir, to właśnie my. Najbardziej wredna zbieranina żołnierzy, jaką pan kiedykolwiek spotkał, wliczając w to Mardukan. Niech pana nie zmyli zachowanie Denata – on tylko trzyma się z nami, żeby zobaczyć, w co się znowu wpakujemy – ale Rastar, Fain czy Honal bez mrugnięcia okiem zbombardowałyby planetę bronią atomową, gdyby Roger im rozkazał.

–To interesujące, że potrafił wzbudzić taką lojalność – zamyślił się Helmut. – To nie... pasuje do jego postaci sprzed zniknięcia. Właściwie to był jeden z powodów moich wątpliwości, czy książę miał cokolwiek wspólnego z przewrotem.

–Ludzie się zmieniają, a na Marduku zmieniają się bardzo szybko. Panie admirale, mam ze sobą prezentację tego, przez co przeszliśmy i jakie mamy plany. Czy zechciałby pan na nią rzucić okiem?

–Zechciałbym. Jestem ciekaw, co mogło zmienić dandysa w...

–Powiedzmy po prostu, że w MacClintocka.

*** * ***

–Proszę, proszę, Harvard Mansul. – Etienne Thorwell, redaktor naczelny Międzygwiazdnej Astrografii, pokręcił głową i skrzywił się; miało to być groźne zmarszczenie brwi, ale wyszło bardziej jak szeroki uśmiech. – Jak zwykle spóźniony, grubo po terminie! Nawet mi nie wspominaj, że chciałbyś dniówki za ten ekstra czas, ty krętaczu!

–Ciebie też miło znów widzieć, Etienne – powiedział Mansul i także się uśmiechnął. Thorwell wstał, żeby podać mu rękę, potem jednak wzruszył ramionami i zamknął niewielkiego mężczyznę w niedźwiedzim uścisku.

–Tym razem byłem pewien, że straciliśmy cię na dobre, Hazardzie – powiedział po chwili, odsuwając reportera na długość ramion. – Miałeś wrócić ładnych parę miesięcy temu!

–Wiem. – Mansul wzruszył ramionami i znowu się uśmiechnął.

–Wygląda na to, że nasze informacje o tamtejszym ustroju społecznym są trochę, jak by to ująć, nieaktualne. Krathowie bardzo się zmienili; niewiele brakowało, żeby mnie zjedli.

–Zjedli? – Thorwell zamrugał i spojrzał na Mansula z niedowierzaniem. – Rytualny kanibalizm „wielkich białych myśliwych” w rozwiniętej miejskiej kulturze to pomysł rodem z kiepskich powieści, Harvardzie.

–Zazwyczaj tak, ale tym razem... – Reporter wzruszył ramionami.

–Mam nagranie, które to potwierdzi. Co jednak ważniejsze, trafiłem w sam środek wojny między „cywilizowanymi” kanibalami a gromadą „barbarzyńców”, którzy nie zgodzili się być zjadanymi... i jakoś sobie z tym poradzili. To cholernie spektakularny materiał, Etienne.

To była stuprocentowa prawda, choć oczywiście musiał usunąć z nagrania ludzi i ich broń. Dodał za to kilka odpowiednio napisanych wywiadów z ojcem Pedi Karuse, z których niezbitnie wynikało, że cała wojna – i rozpaczliwa końcowa bitwa – dokonała się siłami tylko i wyłącznie samych Mardukan. Fakt, że Gatan wyszedł w ten sposób na geniusza wojskowości, przemówił do poczucia humoru króla, ale doskonale zamaskował udział ludzi.

–Zdjęcia z walk? – Thorwell poruszył nosem, jakby węszył. Mansul ukrył uśmiech; powiedział Rogerowi i O'Casey, że jego szef właśnie tak zareaguje. Oficjalnym celem statutowym Międzygwiazdnej Astrografii było informowanie o obcych światach i kulturach na podstawie poważnych analiz i badań, a nie schlebianie stereotypowym wyobrażeniom o „barbarzyństwie”, ale mimo to redakcja nie mogła sobie pozwolić na ignorowanie rzeczywistych statystyk liczby czytelników.

–Tak, zdjęcia z walk – potwierdził Mansul. – Piki, topory, czarny proch i zdecydowana klęska „cywilizowanych” kanibali z rąk barbarzyńców, którzy nie zjadają innych., i którzy przy okazji uratowali mój własny tyłek.

–Jasny gwint. „Nieustraszony reporter uratowany przez szlachetnego barbarzyńskiego władcę”?

–Tak właśnie chciałbym to rozegrać, oczywiście z odpowiednio skromnym komentarzem od siebie.

Popatrzyli po sobie i niemal jednocześnie parsknęli śmiechem. Harvard Mansul już dwa razy dostał prestiżowy Medal Stowarzyszenia Międzygwiazdnych Korespondentów Stimsona-Yamaguchiego, i Thorwell był pewien, że jeśli ten materiał jest tak dobry, jak podejrzewał, może go dostać po raz trzeci.

Mansul zaś parsknął śmiechem, bo wiedział, że gdyby udało mu się rozpowszechnić materiał dokumentalny o przygodach Rogera na Marduku, zwłaszcza mając obiecaną wyłączność na reportaż z kontrprzewrotu, dostałby na pewno jeszcze trzeci medal.

–Mam też dużo innych rzeczy – powiedział po chwili. – Dogłębną analizę społeczną obu stron, trochę niezłego materiału o ich możliwościach technicznych i aktualizację pierwotnych badań geologicznych. Nie doceniamy wulkanicznego charakteru tej planety, Etienne, a myślę, że odegrała ona dużą rolę w rozwoju niektórych tamtejszych kultur. Mam też sporo o ich sztuce, rzemiośle i kuchni. – Pokręcił głową i przewrócił oczami. – Muszę ci powiedzieć, że chociaż nie mam zbyt dobrego mniemania o diecie Krathów, trzeba przyznać, że reszta naprawdę umie gotować.

–Jedzenie, Harvardzie? Dotąd się tym nie interesowałeś.

–No cóż, tak – przytaknął Mansul z uśmiechem – ale to było wtedy, kiedy mi nie groziło, że trafię do czyjegoś menu. Myślałem o czymś takim: kiedy będziemy opowiadać o Krathach, dla porównania opiszemy kuchnię pozostałych ludów, które nie są kanibalami.

–Hmmm... – Thorwell zmarszczył w zamyśleniu czoło, podrapał się podbródek i pokiwał głową. Najpierw powoli, potem z coraz większym entuzjazmem. – To mi się podoba!

–Byłem pewien, że ci się spodoba. – Rzeczywiście Mansul bardzo na to liczył, zwłaszcza że pomysł był zgodny z tradycyjną metodą narracji MA: wsadzić przyprawiającą o dreszcze koncepcję kanibalizmu w sam środek naukowej analizy porównawczej kuchni reszty planety.

–W porządku – powiedział, ustawiając na stoliku Thorwella mały przenośny holoplayer. – Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć od tego...

* * *

–Helmut się rusza – powiedział generał Gianetto, kiedy sekretarz księcia Jacksona zamknął za nim drzwi gabinetu.

Gabinet znajdował się na najwyższym piętrze Wieży Imperialnej, sięgającego blisko

kilometr w górę megawieżowca. Za oknem rozciągał się widok na wschód; w ten sposób Adoula miał oko na to, co coraz bardziej uważał za swoje osobiste włości.

Jackson Adoula był mężczyzną w starszym wieku – niedawno obchodził sto dwunaste urodziny – o czarnych, siwiejących na skroniach włosach. Miał smukłą, ascetyczną twarz i był ubrany zgodnie z najnowszymi trendami dworskiej mody. Perłowszary brokatowy jedwab jego tuniki stanowił eleganckie tło dla skrzących się purpurą, zielenią i karmazynem haftów. Okrągła stójka była może odrobinę niższa niż życzyłby sobie prawdziwy dworski elegant, było to jednak jedyne ustępstwo na rzecz wygody. Na lewej piersi księcia lśniły wysadzone klejnotami orderzy szlachectwa, a wysokie buty ze skóry błyszcząły jak czarne lustra pod modnymi granatowymi spodniami.

Książę spojrział na generała i uniósł w górę arystokratyczną brew.

–Dokąd się rusza? – spytał.

–Nie mam pojęcia – przyznał Gianetto, siadając na fotelu. Generał był wyższy od księcia, dobrze zbudowany i szczupły, miał gęste siwe włosy, tak krótko przycięte, że przeświecała przez nie skóra głowy. Był pierwszym Szefem Operacji Marynarki – w praktyce głównodowodzącym sił zbrojnych Imperium – w stopniu generała, a nie admirała. – Nosiciel, który go śledził, doniósł, że cała Szósta Flota zniknęła w przestrzeni tunelowej. Pchnąłem za nimi statki – sensory. Jeśli wyskoczą w odległości mniejszej niż cztery dni świetlne od Układu Słonecznego, będziemy o tym wiedzieli.

–Mogą wyskoczyć osiemnaście lat świetlnych od nas i przeskoczyć tu tunelem w sześć godzin – zauważył Adoula.

–Niech mi pan powie coś, o czym ja nie wiem.

–Dobrze. Jeden z promów Helmuta zabrał przed odlotem z Halliwell II cztery osoby: dwóch ludzi i dwoje Mardukan.

–Mardukan? – Generał zmarszczył czoło. – Nie widuje się ich za często.

–Nasi informatorzy twierdzą, że ci ludzie to cyngle z półświatka. Jeden z nich miał paszport Zjednoczonych Planet Zewnętrznych, drugi był z Imperium. To oczywiście fałszywki, ale ten imperialny mamy w bazie danych. Jego właściciel rzekomo pochodzi z Armagh, ale akcent miał pinopański.

–Przestępcy? – Gianetto potarł prawy palec wskazujący o kciuk, przez chwilę rozważając tę informację. – To by nawet miało jakiś sens. Helmut rozpaczliwie potrzebuje części zamiennych, więc próbuje wyposażyć swoje okręty na czarnym rynku.

–Być może, ale wolę tego nie zakładać.

–Racja – zgodził się generał, ale widać było, że myśli już o czymś innym. – A co z uchwałą o poddaniu Cesarzowej niezależnemu badaniu? – spytał.

–Och, popieram ją... Oczywiście, że ją popieram.

–Oszalał pan? – prychnął Gianetto. – Jeśli lekarz tylko rzuci na nią okiem...

–Do tego nie dojdzie. Ja ją popieram, ale inni, których mogę ubłagać, kupić albo zaszantażować, będą przeciwni. Sprawa nie wyjdzie nawet poza komitet.

–Miejmy nadzieję. – Generał zmarszczył brew. – Nie jestem zachwycony... pańskimi metodami. – Skrzywił się z niesmakiem. – Wystarczy, że trzymamy Cesarzową na sznurku, ale...

–Ponieważ Cesarzowa nie wykazała chęci współpracy – powiedział stanowczo Adoula – konieczne były nadzwyczajne środki. Musimy wytrzymać jeszcze tylko pięć miesięcy. Pozwoli pan, że ja się tym zajmę, a pan niech ma tylko na oku marynarkę.

–Mam ją pod kontrolą, z wyjątkiem tego drania Helmuta. Nie możemy dopuścić do „niezależnej oceny” stanu zdrowia Jej Wysokości. Jeśli to, co pan robi Cesarzowej, wyjdzie na jaw, nie zabiją nas tak po prostu; potną nas na kawałki i rzucają na pożarcie psom.

*** * ***

–A teraz mam być pośrednikiem sprzedaży nieruchomości – narzekał Dobrescu.

–Brokerem – powiedział Macek. – Przedstawicielem. Kimś.

Znajdowali się w dzielnicy przemysłowej na zboczu czegoś, co kiedyś nazywano Blue Ridge, Niebieskim Wzgórzem. W pogodny dzień można było stąd zobaczyć Pałac, a raczej byłoby można, gdyby nie zasłaniające go drapacze chmur i megawieżowce.

Dawniej była to dość przyjemna okolica, ale czas i zmiany koniunktury dały się jej we znaki. Stare budynki już dawno zostałyby wyburzone, by zrobić miejsce pod nowe, większe i bardziej użyteczne, gdyby nie wiązało się to ze zbyt wielkimi komplikacjami. Większość budynków stała opustoszała w wyniku krachu na rynku nieruchomości. Na szczęście ten dom, którego szukali, był właśnie jednym z nich. Mieli się tutaj spotkać z przedstawicielką właściciela, ale ta się spóźniała.

Oczywiście pogoda była podła. Generatory pogodowe musiały co jakiś czas przepuszczać chłodny front, i akurat dzisiaj był ten dzień. Siedzieli więc w lataczu,

patrząc, jak deszcz spływa po szybie, i obserwowali pusty budynek z wielkim szyldem „Do wynajęcia”.

W końcu zobaczyli lądującą obok dziewięcioosobową bagażówkę. Wysiadła z niej dość atrakcyjna, trzydziestoparoletnia blondynka, włączyła osłonę przeciwdeszczową i pośpiesznie schroniła się pod zadaszeniem nad wejściem do budynku.

Nie zważając na deszcz i zimno, Dobrescu i Macek wysiedli i podeszli do niej.

–Pan Ritchey? – Kobieta wyciągnęła rękę. – Angie Beringer. Miło mi panów poznać. Przepraszam za spóźnienie.

–Nic się nie stało – powiedział Dobrescu, potrząsając podaną mu dłonią.

–Już otwieram. – Kobieta przyłożyła do drzwi swój pad.

Minęli niewielką recepcję i weszli do samego magazynu.

–Trochę ponad trzy tysiące metrów kwadratowych – powiedziała pośredniczka. – Ostatnią firmą, która to wynajmowała, była drukarnia. – Wskazała tylną ścianę magazynu i rząd ciężkich plastalowych wrót. – Powiedziano mi, że to były zabezpieczone pomieszczenia na tusze. Najwyraźniej to dość niebezpieczna substancja, ale budynek został zatwierdzony przez komisję sanitarną.

–No chyba – powiedział Macek, wyjmując z pudła – jednego z wielu – zakurzoną ulotkę. – Reklamówki agencji towarzyskich. Popatrz, ta wygląda zupełnie jak Shara!

–Odpuść sobie – warknął Dobrescu i spojrzał na Beringer. – Wygląda nieźle. Nada się.

–Pierwszy i ostatni miesiąc płatne z góry, minimalny okres wynajmu dwa lata – powiedziała nieśmiało kobieta. – Pan Chang ma odpowiednią zdolność kredytową, ale właściciele nalegają.

–Nie ma sprawy. Co mamy podpisać?

–Poproszę odcisk kciuka. – Pośredniczka wyciągnęła pada. – I proszę nam przysłać przelew.

–Czy mogę już teraz dostać klucze? – spytał Dobrescu, zostawiając na padzie fałszywy odcisk kciuka.

–Tak, ale jeśli nie dostaniemy przelewu, zamki zostaną zmienione, a państwo zostaniecie obciążeni kosztami.

–Dostaniecie państwo pieniądze – obiecał Dobrescu, przystawiając swojego pada do jej urządzenia. Sprawdził, czy szyfry wejściowe się przegrały, i zanotował sobie w pamięci, żeby je potem zmienić. – Rozejrzemy się tutaj trochę.

–Proszę bardzo – powiedziała kobieta. – Jeśli mnie już panowie nie potrzebujecie...

–Dziękujemy, że spotkała się pani z nami w tak paskudną pogodę – powiedział Macek.

–A do czego to panom potrzebne? – spytała zaciekawiona.

–Mój szef chce otworzyć sieć restauracji – odparł Dobrescu. – Autentyczne jedzenie z innej planety. Musimy gdzieś je trzymać, kiedy przyleci statkiem.

–No, może będę miała okazję spróbować.

–Dopilnuję, żeby dostała pani zaproszenie.

*** * ***

Kiedy kobieta zniknęła, obaj marines wrócili do samochodu, aby zabrać power pack, trochę narzędzi i pas antygravitacyjny.

–Mam nadzieję, że w czasie przeprowadzania tych cholernych modyfikacji niczego nie zabudowali – powiedział Macek.

–Aha. – Dobrescu wyjął laserową miarkę, sprawdził odczyt i wskazał środkowe plastalowe wrota. – Tam.

Pomieszczenie za wrotami było słabo oświetlone, ale sterczące z jednej ze ścian pod sufitem kable zasilające były wyraźnie widoczne.

–Nikogo to nie zainteresowało?

–W takich budynkach tak często coś się przebudowuje i zmienia właścicieli – powiedział Dobrescu, zakładając pas – że co chwila zmienia się instalacje. Jeśli coś nie jest aktualnie pod napięciem, nikogo nie obchodzi, co tym poprzednio zasilano.

Dotknął przycisku na pasie i uniósł się w górę, aby przyłożyć do kabli woltomierz. Obok kabli zasilających wystawały mniejsze przewody sterujące, do których Dobrescu podłączył urządzenie

odczytujące.

–Tak, coś tam jest – powiedział. – Rzuć mi zasilanie.

Złapał zwój kabłai podłączył go do przewodów zasilających, a następnie podpiął odpowiednio kable sterujące i opuścił się na ziemię.

–Teraz się przekonamy, czy nas nie wysłali bez sensu – mruknął, po czym nacisnął w odpowiedniej sekwencji przyciski w skrzynce kontrolnej.

Rozległ się głośny zgrzyt. Wkopane w zbocze wzgórza ściany magazynu były zrobione z wielkich prefabrykowanych płyt blasbetonu, między którymi pozostawiono cienkie szczeliny na wypadek kurczenia się i rozszerzania materiału. Teraz środkowa płyta zaczęła się cofać z metalicznym szcękaniem. Kiedy schowała się już za dwie sąsiednie, ich oczom ukazał się prowadzący w ciemność tunel.

–Potrzebna nam lampa – powiedział Dobrescu.

Macek wrócił do latacza po latarkę, a potem weszli do środka tunelu. Powietrze wewnątrz było zastale i cuchnęło pleśnią, więc obaj założyli maski.

Ściany korytarza – zbudowane z prawdziwego staromodnego betonu – były popękane i ociekały wodą. Drzwi zamykające drugi koniec tunelu, zrobione z grubej stali, były zamknięte potężną sztabą pokrytą ochronnym uszczelniaczem. Po usunięciu go drzwi otworzyły się od jednego dotknięcia.

Pomieszczenie za drzwiami było olbrzymie, a wypełniające je powietrze, w przeciwieństwie do powietrza w tunelu, było suche jak pieprz. Na podłodze stał niewielki generator fuzyjny. Był to bardzo stary model, również zabezpieczony przed działaniem żywiolów. Dobrescu i Macek zdarli uszczelniacz, a potem, po przestudiowaniu instrukcji, uruchomili urządzenie.

W pomieszczeniu zapaliły się światła. Ruszyły skrzydła wentylatorów, a w oddali rozległo się gulgotanie pomp.

–Chyba działa – powiedział Dobrescu.

–Jak się nazywa to miejsce?

–Kiedyś mówili na nie Greenbriar.

*** * ***

–Ta nie jest taka ładna jak tamta – powiedział Macek.

–Bierz, co dają- odparł Dobrescu i wysiadł z samochodu. Od kilku minut miał oko na grupę młodych mężczyzn stojących na rogu ulicy. Kiedy pośredniczka wylądowała i wysiadła, jeden z nich na jej widok zagwizdał.

Młoda kobieta – tym razem niewysoka dwudziestoparolatka o nieco afrykańskich rysach – zignorowała gwizd i podeszła do dwóch czekających na nią „biznesmenów”.

–Pan Ritchey? – spytała.

–To ja – powiedział Dobrescu.

–Miło mi panów poznać. – Pośredniczka uścisnęła mu dłoń, a potem wskazała budynek. – Oto i on.

Niegdyś było tu niewielkie miasteczko, ale potem wchłonęło je rozrastające się Imperial City. Z przyczyn historycznych w miasteczku pozostały jednak stare budynki. Interesujący ich dom pochodził z czasów sprzed starożytnych Stanów Zjednoczonych... a te z kolei były starsze od Imperium o ponad tysiąc lat. Należał do jednego z pierwszych polityków Stanów. Z jego okien był przyjemny widok na płynącą przez miasteczko małą rzeczkę.

Obecnie budynek był mocno zrujnowany. Gipsowe ściany popękały i oblażyły z farby, dach się zapadł, okna powypadały. Potężne dęby ocieniające kiedyś piękny dom już dawno zniknęły, padając ofiarą małej ilości słońca w mieście otoczonym przez drapacze chmur. Miasteczko było teraz w szponach handlarzy narkotyków i przestępców.

Ale pojawiały się jednak pewne oznaki poprawy. Bliskość centrum Imperial City spowodowała stopniowy wzrost zainteresowania tutejszymi nieruchomościami. Wiele starożytnych budynków pokryły rusztowania, przy wąskich uliczkach zaczęły powstawać małe sklepiki i kawiarenki. Stare domy stały się przystanią dla bohemy, która przetrwała w miejskiej dżungli.

I która właśnie miała dostać nową restaurację.

Dobrescu zajrzał do wnętrza domu, kręcąc głową na widok dziur w drewnianej podłodze i zwisających z sufitu płatów gipsu.

–Trzeba będzie włożyć w niego od cholery roboty – powiedział.

–Mogę panom pokazać inne budynki – zaproponowała pośredniczka.

–Żaden z nich nie spełnia naszych wymagań. W tej okolicy tylko ten jeden się nadaje. Będziemy go musieli po prostu odnowić, i to szybko. – Sprawdził coś w swoim tootsie i zmarszczył brew. – W... czternaście dni.

–To będzie... niełatwe – zauważyła kobieta.

–Dlatego szef właśnie mnie przysłał – westchnął Dobrescu.

Roger przewrócił się ostrożnie na drugi bok, starając się nie obudzić Despreaux, i wcisnął przycisk na migającym interkomie.

–Panie Chang – powiedziała Beach. – Wyszliśmy z przestrzeni tunelowej w Układzie Słonecznym i znajdujemy się na kursie do punktu kontrolnego Mars Trzy. Ściągnęliśmy aktualne dane, w tym wiadomości od naszej ekipy zwiadowczej na Starej Ziemi.

–Świetnie – powiedział cicho Roger. – Ile mamy do orbity?

–Trasą, którą nam wyznaczyli, około trzynastu godzin – odparła Beach, marszcząc brew. – Dostaliśmy trzeciorzędną orbitę parkingową, niedaleko pozycji L-3. To najlepsze, co udało mi się załatwić.

–To nie ma znaczenia – skłamał Roger, myśląc o czekającym ich długim locie promem z Party na pokładzie. – Pójdę sprawdzić wiadomości.

–Tak jest, sir – powiedziała Beach i rozłączyła się.

–Dolecieliśmy? – Despreaux przewróciła się na drugi bok.

–Jesteśmy w układzie. Mamy dziesięć godzin do orbity parkingowej. Pójdę sprawdzić, co Ritchey i...

–Peterka – odpowiedziała mu Despreaux.

–...Peterka mają do powiedzenia.

Wstał i zarzucił na ramiona szlafrok.

–A ja idę spać. – Despreaux znów się odwróciła. – Chyba oszalałam, skoro chcę wyjść za faceta chorego na bezsenność.

–Może i chorego, ale za to jakiego przystojnego – powiedział Roger, włączając konsolę.

–I coraz lepszego w łóżku – oznajmiła sennym głosem Nimashet. Roger spojrzął na wiadomości i pokiwał z zadowoleniem głową.

–Mamy oba budynki – powiedział.

–Mmm...

–I to za dobrą cenę.

–Mmm...

–Magazyn jest chyba w całkiem niezłym stanie. – Mmm!

–Przy restauracji trzeba będzie ostro popracować, ale według nich wyrobiją się na czas.

–MMM!

–Przepraszam. Jesteś śpiąca?

–Tak!

Roger uśmiechnął się i zaczął czytać resztę wiadomości po cichu. Skanując szyfry, pokiwał z zadowoleniem głową. Wszystko idzie dobrze. Nawet za dobrze, ale gra dopiero się rozpoczyna.

Sprawdził też inne źródła informacji, w tym listę ogłoszeń towarzyskich na witrynach poświęconych tej części populacji, która woli mężczyzn. Na widok jednego z nich zaświeciły mu się oczy, ale potem przeczytał podpis i adres mailowy i pokręcił głową. Właściwa wiadomość, niewłaściwa osoba.

Jeszcze raz wywołał plan Pałacu, który sporządzili wspólnie wszyscy ocalali marines, Eleanora i on sam. Książę nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, że żołnierze znają, zapewne celowo, zaledwie niewielką część olbrzymiego kompleksu. On sam wiedział przynajmniej o trzech sekretnych przejściach w labiryncie budynków – marines znali parę innych – ale podejrzewał, że w Pałacu jest ich o wiele więcej.

Budowę rezydencji rozpoczęła Miranda MacClintock, która była osobą cierpiącą na straszną paranoję. Kolejni projektanci próbowali ją przebić i efektem ich starań było coś na wzór starożytnego mykeńskiego labiryntu. Książę wątpił, by ktokolwiek znał wszystkie tajemne przejścia, składy, zbrojownie, magazyny i kanały. Gmach zajmował obszar, na którym kiedyś były budynki rządowe i administracyjne stolicy, duży park, dwa wielkie pomniki oraz najróżniejsze muzea. Cały ten teren – blisko sześć kilometrów kwadratowych – łącznie z otaczającym go parkiem i otwartymi polami ostrzału nazywano teraz po prostu Pałacem. Ostatnio mówiono nawet o jego rozbudowaniu. Czy to by nie było urocze?

W końcu uświadomiwszy sobie, że zaczyna się niepotrzebnie zamartwiać, książę wrócił do łóżka. Po kilku minutach wpatrywania się w sufit szturchnął Despreaux.

–Co miałaś na myśli mówiąc, że jestem coraz lepszy?

–Budzisz mnie tylko po to, żeby o to spytać, i spodziewasz się, że ci odpowiem?

–Tak. Jestem twoim księciem, więc musisz odpowiadać na takie pytania.

–Cały plan weźmie w łeb za jakieś trzydzieści sekund – powiedziała Despreaux, nie otwierając oczu – kiedy uduszę cię gołymi rękami.

–Co to miało znaczyć „coraz lepszy”?

–Słuchaj, seks wymaga praktyki – powiedziała Despreaux, wciąż się nie odwracając.

– Ty jej nie miałeś za wiele, ale się uczysz, a to wymaga czasu.

–A więc potrzebuję więcej ćwiczeń? – Roger wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Może zacznijmy od razu.

–Roger, idź spać.

–Powiedziałaś, że muszę ćwiczyć...

–Roger, jeśli chcesz jeszcze kiedyś móc ćwiczyć, idź teraz spać. – Na pewno?

–Bardzo na pewno.

–W porządku.

–Jeśli jeszcze raz mnie obudzisz, zabiję cię, rozumiesz?

–Rozumiem.

–Ja nie żartuję.

–Wierzę.

–To dobrze.

–A więc nie ma szans, żebym... -Raz...

–Już jestem grzeczny. – Roger podłożył ręce pod głowę i uśmiechnął się do sufitu.

– Idę spać.

–Dwa... -Chrrr.

–Roger!

–Co? Czy to moja wina, że nie umiem spać bez chrapania? Przecież nie robię tego naumyślnie.

–Boże, dlaczego ja?

–Sama tego chciałaś.

–Wcale nie! – Despreaux gwałtownie usiadła i uderzyła go poduszką.– Kłamca!

–Boże, ale ty jesteś piękna, kiedy się złościś. Może byśmy tak...

–Dobrze, jeśli bez tego nie mogę się wyspać – powiedziała zrozpaczonym głosem Despreaux.

–Przepraszam. Przepraszam, dam ci spokój.

–Roger, jeśli mówisz poważnie...

–Dam ci spokój – obiecał. – Śpij. Będę grzeczny. Poza tym muszę pomyśleć, a nie mogę się skupić, kiedy ten cudowny sutek gapi się na mnie.

–To dobrze – powiedziała Despreaux i odwróciła się.

Roger wpatrzył się w sufit i zaczął w myślach odliczać.

–Nie mogę spać – oznajmiła Despreaux i gwałtownie usiadła, zanim doszedł do siedemdziesięciu jeden.

–Powiedziałem, że przepraszam – powiedział.

–Wiem, ale będziesz tak leżał i nie zaśniesz, prawda?

–Tak, aleja nie potrzebuję dużo snu. Wstanę i gdzieś pójdę, jeśli chcesz.

–Nie. Może to rzeczywiście pora na kolejną porcję ćwiczeń. Jeśli się czegoś nauczysz, może chociaż ja się wyśpię.

–Jeśli jesteś pewna...

–Roger, Wasza Wysokość, mój książę, moje kochanie! – Tak?

–Zamknij się.

*** * ***

–Stara Ziemia – westchnął Roger.

Okręt znajdował się akurat po ciemnej – to znaczy stosunkowo ciemnej – stronie planety. Wszystkie kontynenty były niemal od brzegu do brzegu rozświetlone, a roziskrzone naszyjniki światła pokrywały nawet środek oceanu, gdzie pływały miasta-statki Oceanii.

–Był pan kiedyś tutaj, panie Chang? – spytał pilot.

–Mieszkałem tu przez kilka lat – odparł sucho Roger. – Zacząłem działalność brokerską właśnie tutaj, w Układzie Słonecznym. Urodziłem się na Marsie, ale Stara Ziemia wciąż jest dla mnie domem. Ile mamy czasu do wejścia na orbitę?

–Właśnie wchodzimy na orbitę parkingową – odpowiedziała Beach.

–W takim razie pora brać się do roboty.

*** * ***

–Wyglądasz, jakbyś się nie wyspała, Shara – zauważył wesoło Dobrescu.

–Och, zamknij się!

–Co z budynkami? – spytał Roger. Dobrescu przyleciał na statek wynajętym promem, aby osobiście złożyć raport i spokojnie porozmawiać.

–Z magazynem w porządku; trzeba tylko trochę posprzątać, ale chyba wystarczy nam rąk do pracy – powiedział Dobrescu poważniejszym tonem. – Restauracja wymaga jeszcze kilku dni remontu i przeprowadzenia inspekcji. Dowiedziałem się, komu w tej drugiej sprawie dać w łapę, i załatwię to, kiedy tylko skończymy. Ale jest jeszcze jeden problem, z którym nie mogłem sobie poradzić.

–Tak? – Roger uniósł brew.

–To parszywa okolica. Wciąż jest tam spora przestępczość i jeden z miejscowych gangów próbował zastraszyć ekipę remontową. Pogadałem z nimi, ale nie są skłonni do rozsądnego myślenia. Cały czas powtarzają, że budynek jest wściekle łatwopalny.

–A więc opłacamy ich czy gadamy z nimi? – spytała Despreaux.

–Nie jestem przekonany, czy zagwarantują nam bezpieczeństwo, nawet jeśli im zapłacimy. Oni aż tak bardzo nie panują nad swoim terytorium. Ale obawiam się, że jeśli się nimi zajmiemy, padną trupy, a to już mógłby być problem. Gliniarze będą patrzyli pobłażliwie na drobne przepychanki, ale zrobią się dociekliwi, jeśli zaczną się pojawiać trupy.

–A więc wypróbujemy na nich osławiony gen dyplomacji MacClintocków i przekonamy się, czy okażą się odporni na zdrowy rozsądek.

*** * ***

–To będzie naprawdę bardzo przyjemna restauracja – powiedział Roger patrząc, jak Erhum podnosi jedną dolną ręką trzymetrową dębową krokiew i rzucają dwóm

Diaspranom stojącym na dachu.

W tym czasie inni diasprańscy piechurzy uprzętałi dziedziniec przed budynkiem. Przywódca miejscowego gangu, który właśnie rozmawiał z Rogerem, przyglądał im się uważnie. Miał tak jasne włosy jak prawdziwe włosy księcia, rzadkie i opadające na ramiona; był średniego wzrostu, a jego ręce i twarz pokrywały holograficzne tatuaże.

–W takim razie nie rozumiem, dlaczego nie stać was na rozsądną...- zaczął.

–Bo nie wiem, co możecie mi zaoferować – warknął Roger. – Może pan sobie mówić do woli, jak łatwopalny jest ten budynek, mam to gdzieś. Ale jeśli wybuchnie tutaj podejrzany pożar, moi chłopcy stracą pracę i nie będą z tego powodu specjalnie zadowoleni. Byłbym wdzięczny za „polisę ubezpieczeniową”, ale taka polisa musiałaby zapewniać bezpieczeństwo także moim klientom. Nie chcę tutaj widzieć ani jednego ćpuna, ani jednej dziwki, ani jednego zasranego dilerka. Żadnych napadów. Jeśli mi to zagwarantujecie, umowa stoi. W przeciwnym razie będziemy musieli... Jak to się mówi na ulicy? Ach tak, będziemy musieli się wami „zająć”. A pan naprawdę nie chciałby, żebym się wami zajął. Naprawdę, bardzo by pan nie chciał.

–Nie lubię dymać ludzi – powiedział przywódca gangu, choć jego oczy zadawały kłam temu twierdzeniu – ale muszę dbać o swoją reputację.

–Dobrze, zapłacę panu. Ale niech pan zrozumie jedno: płacę za ochronę i lepiej, żebym ją dostał.

–O to mi właśnie chodzi. Nie jestem biurem obsługi klienta, a moi chłopcy to nie gliniarze do wynajęcia.

–Cord – powiedział Roger. – Miecz.

Mardukanin, który jak zwykle nie odstępował księcia nawet na krok, zdjął z pleców futerał i go otworzył.

Roger wyjął długie, zakrzywione ostrze z falistymi śladami kucia.

–Pedi – powiedział – Pokaz.

Żona Corda, która jak zwykle nie odstępowała męża, podniosła metalowy pręt używany do zbrojenia fundamentów i wyciągnęła go przed siebie. Roger wziął miecz w lewą rękę i nie patrząc, jednym uderzeniem odrąbał metrowy kawałek pręta.

–Miejscowi gliniarze bardzo uważają na broń palną – powiedział, oddając miecz Cordowi. – Wszędzie jest pełno wykrywaczy. Używa pan broni palnej, panie Tenku?

–Wystarczy samo Tenku. – Przywódca gangu nie odpowiedział napytanie, ale nie musiał. Odpowiedź widać było w spójrzeniu, jakie rzucił odzianemu w skafander środowiskowy Cordowi, który tymczasem zamknął futerał i znowu oparł się na długiej tyce, którą w pewnych kręgach można by nazwać trzymetrowym kijem do walki.

–Czy pan ich widzi? – Roger wskazał sprzątających teren Diaspran. – To diasprańska piechota. Urodzili się z pikami w rękach. Pika to taka długa włócznia. Vasińscy kawalerzyści, którzy niedługo do nas dołączą, urodzili się z mieczami we wszystkich czterech rękach. Gliniarze nie lubią włóczni i mieczy, ale my będziemy je trzymać jako „artefakty kulturowe”, pasujące do wystroju i klimatu restauracji. Panie Tenku, jeśli zostaniemy „wydymani”, jak to pan ujął, zostanie pan dosłownie posiekany na kawałki. Nie będę do tego potrzebował nawet Mardukan; już niejedyn raz robiłem takie rzeczy. Zamiast tego pan i pana koledzy możecie przysłużyć się lokalnej społeczności i jeszcze na tym zarobić. Niemało, pozwolę sobie dodać.

–Myślałem, że to restauracja – powiedział podejrzliwym tonem przywódca gangu.

–A ja myślałem, że jesteście biurem obsługi klienta – prychnął zniecierpliwiony Roger. – Otwórz oczy, Tenku. Nie wpycham się siłą na twój teren, więc i ty nie próbuj wpychać się na mój. Bo ja jestem silniejszy.

I mądrzejszy, pomyślał.

–Jak niemało? – spytał wciąż podejrzliwie Tenku.

–Pięćset kredytek tygodniowo.

–Nie ma mowy! Pięć tysięcy.

–To niemożliwe – warknął Roger. – Muszę mieć jakieś zyski. Maksimum siedemset.

–Cztery i pół tysiąca.

W końcu ustalili tysiąc osiemset kredytek tygodniowo.

–Jeśli zobaczę tutaj choćby jednego żebraka...

–Zajmę się tym – przerwał mu Tenku. – A jeśli pan się spóźni...

–Wtedy wpadnij na obiad i wszystko sobie wyjaśnimy. Tylko nie zapomnij o krawacie.

*** * ***

Emerytowany starszy sierżant sztabowy Thomas Catrone z imperialnego korpusu

marines, prezes i jedyny pracownik „Tomcat, sp. z.o.o.”, przeglądał właśnie pocztę – innymi słowy, kasował śmieci – kiedy jego komunikator zapiszczał.

Catrone był wysokim mężczyzną o siwych, krótko obciętych włosach i niebieskich oczach; ważył zaledwie kilka kilogramów więcej niż wtedy, kiedy zaciągał się do imperialnych marines, a było to całe wieki temu. Skończył właśnie sto dwadzieścia lat, ale wciąż był w całkiem niezłej formie.

Włączył hologram łączności i skinął głową osobie, która się pojawiła. Ładna blondynka. Miła twarz. Widać też, że ma niezłe bufory.

–Pan Thomas Catrone?

–Słucham.

–Panie Catrone, czy sprawdzał pan pocztę?

–Tak.

–A więc wie pan, że wraz z żoną wygrali państwo darmową wycieczkę do Imperial City?

–Nie lubię stolicy – odparł Catrone, sięgając do przycisku rozłączania.

–Panie Catrone – powiedziała szybko blondynka. – Macie państwo zarezerwowany apartament w hotelu Lloyd-Pope. To najlepszy hotel w mieście. W pakiecie są również trzy sztuki teatralne, opera w Imperial Civic Center i codzienna kolacja w Marduk House! Zamierza pan odrzucić taką propozycję?

–Tak.

–A spytał pan żonę, czy powinien pan z tego zrezygnować?

Dłoń Tomcata zatrzymała się tuż nad przyciskiem, potem zwinęła się w pięść i cofnęła. Catrone zabębnił palcami o blat biurka i zmarszczył brwi, patrząc na hologram.

–Dlaczego ja? – spytał podejrzliwie.

–Wziął pan udział w losowaniu podczas ostatniego spotkania Stowarzyszenia Operacji Specjalnych. Nie pamięta pan?

–Nie. Oni urządzą różne losowania... ale to jest do nich niepodobne.

–Stowarzyszenie dokonuje wszystkich rezerwacji za pośrednictwem biura podróży Ching-Wrongly – powiedziała blondynka. – W ofercie była loteria, w której główną

wygraną była ta właśnie wycieczka.

–I ja wygrałem? – Catrone uniósł brew i znów popatrzył na nią podejrzliwie. – Tak.

–To nie jest żaden podstęp?

–Nie, proszę pana – odpowiedziała z przekonaniem kobieta. – Niczego nie sprzedajemy.

–W takim razie... – Catrone podrapał się w brodę. – Chyba muszę ustalić...

–Jest jeszcze jedna drobna... sprawa. – Blondynka była wyraźnie zakłopotana. – Termin wycieczki jest... z góry ustalony. Na przyszły tydzień.

–Przyszły tydzień? – Catrone spojrzął na nią z niedowierzaniem. – A kto się zajmie końmi?

–Słucham? – Blondynka zmarszczyła ładnie czoło. – Przyznam, że nie rozumiem.

–Konie – powtórzył wolno i wyraźnie. – Czworonożne ssaki. Grzywy. Kopyta. Jeździ się na nich albo, tak jak w moim przypadku, hoduje.

–Och.

–Mam to wszystko rzucić i lecieć do stolicy?

–Tak, chyba że chce pan zaprzepaścić jedyną szansę na niepowtarzalną przygodę – powiedziała wesoło blondynka.

–A jeśli tak zrobię, Ching-Wrongly nie będzie musiało wydawać pieniędzy?

–Eee... – Kobieta się zawahała.

–Aha! Już wiem, co kombinujecie! – Tomcat wycelował palec w ekran. – Tak łatwo mnie nie załatwicie! Co z przelotem? Moim lataczem leciałbym co najmniej dwa dni.

–W ofercie jest podorbitalny lot z portu kosmicznego Ułan Bator.

–Dobrze, w takim razie ustalmy szczegóły. – Catrone odchylił się w fotelu. – Moja żona uwielbia operę, a ja jej nie znoszę, ale nie takie rzeczy można znieść, jeśli trzeba, więc co mi tam...

* * *

–Jaki to strasznie podejrzliwy facet – powiedziała Despreaux, kończąc połączenie.

–Ma powody – zauważył Roger. – Na pewno jest w jakiś sposób obserwowany. Skontaktowanie się z nim bezpośrednio było trochę ryzykowne, ale nie bardziej niż wszystkie inne rozwiązania.

Bunkier ukryty za magazynem mógł oszukiwać planetarną sieć łączności; każdy, kto próbowałby prześledzić połączenie, dotarłby do biura Ching-Wrongly, gdzie dobrze opłacona osoba chętnie potwierdziłaby całą tę historię.

–Naprawdę uważasz, że to się uda? – spytała Despreaux.

–O, wy małej wiary – odparł Roger, uśmiechając się wesoło. – Ciekaw tylko jestem, co knuje nasz przeciwnik.

* * *

–Co z Cesarzową? – spytał Adoula.

–Spokojna – odparł Nowy Madryt, siadając i krzyżując swoje długie nogi w kostkach. – Tak jak powinna.

To po Lazarze Fillipo, earlu Nowego Madrytu, Roger odziedziczył urodę. Mierzący blisko dwa metry wzrostu, smukły i atletycznie zbudowany arystokrata, miał klasyczne rysy i jasne włosy do ramion, niedawno zmodyfikowane, by uniknąć siwienia. Nosił również cienki wąsik; Adoula uważał, że wygląda on jak żółta gąsienica pożerająca jego górną wargę.

–Szkoda, że nie udało nam się dowiedzieć, co trafił szlag w jej tootsie – powiedział Adoula.

–I w tootsie Johna. Skasowało się, zanim zdążyliśmy temu zapobiec. Szkoda. Mówiłem ci, że najpierw powinniśmy spróbować... fizycznych metod przekonywania, a dopiero potem narkotyków. Wciąż uważam, że powiedziałyby nam wszystko, co chcieliśmy wiedzieć, gdyby ją odpowiednio zmotywować.

–I gdyby nie postanowiła aktywować protokołów samobójczych – zauważył kwaśno Adoula.

–To prawda. – Nowy Madryt wydał wargi, potem wzruszył ramionami. – Sądzę jednak, że to było nieuniknione. W końcu protokoły zabezpieczeń w ich tootsach były dość niezwykłe.

Earl, pomyślał Adoula, ma niesamowity talent do wygłaszania i powtarzania oczywistych twierdzeń.

–Chciałeś się ze mną widzieć? – spytał.

–Thomas Catrone przylatuje do stolicy.

–Doprawdy? – Adoula odchylił się w tył na swoim lewitującym fotelu.

–Doprawdy. Podobno wygrał wycieczkę z pokryciem wszystkich kosztów. Sprawdziłem i okazało się, że Stowarzyszenie Operacji Specjalnych rzeczywiście urządzało taką loterię. Uważam, że warto byłoby przyjrzeć się każdemu, kto by ją wygrał, ale Catrone martwi mnie podwójnie. Powinieneś być mi pozwolić zająć się nim.

–Po pierwsze – powiedział Adoula – zajęcie się Catronem wcale nie byłoby takie łatwe. On prawie nie wychodzi z tego swojego bunkra. Po drugie, gdyby członkowie Osobistego Pułku Cesarzowej nagle zaczęli ginąć, wszyscy ocalali nabraliby podejrzeń, i to jeszcze większych niż obecnie mają. A przecież nie chcemy, żeby ci emerytowani ochroniarze wymknęli się nam spod kontroli.

–Może i tak, ale przydzielę mu jednego ze swoich ludzi – powiedział Nowy Madryt. – A jeśli zaczniesz stwarzać problemy...

–Wtedy ja się tym zajmę – przerwał mu Adoula. – Ty skoncentruj się na tym, żeby Cesarzowa robiła to, co jej każemy.

–Z przyjemnością – odparł earl i uśmiechnął się pod wąsem.

*** * ***

–Co za dziki kraj – powiedział Catrone, rozglądając się po okolicy.

–Nie najlepsze miejsce na elegancką restaurację – odparła zdenerwowana Sheila.

–Nie jest aż tak źle – wtrącił się kierowca powietrznej taksówki, przypominający wydrę Seglur. – Wozilem już tutaj klientów. Nikt nie chce zadzierać z Mardukanami, którzy tutaj pracują, dlatego nic się państwu nie stanie. Weźcie moją wizytówkę i zadzwońcie, kiedy będziecie chcieli, żeby was zabrać.

–Dzięki – powiedział Catrone, biorąc dane taksówkarza i płacąc za kurs z niedużym napiwkiem.

Przy wejściu do restauracji stało dwóch wielkich Mardukan trzymających w rękach piki; ubrani byli w niebieskie uprząże założone na skafandry środowiskowe. Drzwi otworzyła młoda ludzka kobieta, jasnowłosa i przysadzista, o nieco zapaśniczej budowie.

–Witamy w Marduk House – powiedziała. – Macie państwo rezerwację?

–Catrone, Thomas.

–Ach, państwo Catrone. Państwa stolik czeka. Proszę tędy.

Poprowadziła ich korytarzem do przedsionka – Catrone zauważył tam kilka osób ubranych o wiele lepiej niż on i Sheila, prawdopodobnie miejscowych imperialnych oficjeli, którzy najwyraźniej czekali na stoliki – a stamtąd do sali jadalnej.

W recepcji siedziała chuda rudowłosa kobieta, ale większość personelu stanowili Mardukanie. Wzdłuż ściany sali ciągnął się długi kontuar, na którym wyłożono kawały jakiegoś mięsa. Kiedy tamtędy przechodzili, jeden z Mardukan wziął dwa tasaki – dla człowieka byłyby to miecze – i zaczął tak szybko rąbać duży kawał mięsa, że aż trudno było nadążyć za ruchami jego rąk. Odgłos wbijania ostrzy w ciało i drewno obudził w Thomasie Catrone nieprzyjemne wspomnienia, ale w sali rozległ się głośny aplauz, kiedy Mardukanin skłonił się i zaczął równie szybkimi ruchami rzucać kawałki mięsa na wielką kopulastą kratownicę. Mięso ułożyło się w gwiazdę i zaczęło skwierczeć, wypełniając pomieszczenie dziwnym zapachem, niepodobnym ani do zapachu wieprzowiny, ani wołowiny czy kurczaka, ani nawet zapachu człowieka.

Przy stoliku, do którego ich prowadzono, siedział potężny mężczyzna o nieco eurazjatyckich rysach twarzy i blondynka, która ich tutaj zaprosiła. Na jej widok Tomcat stanął jak wryty, ale błyskawicznie nad sobą zapanował.

–Ktoś siedzi przy naszym stoliku – powiedział do hostessy.

–To pan Chang – odparła cicho. – Właściciel. Chciał państwa osobiście przywitać jako specjalnych gości.

Jaaasne, pomyślał Tomcat, a potem kiwnął głową tamtej dwójce, jakby nigdy nie widział blondynki na oczy.

–Państwo Catrone – powiedział mężczyzna. – Jestem Augustuc Chang, właściciel tego lokalu, a to moja przyjaciółka, panna Shara Stewart. Witamy w Marduk House.

–Pięknie tutaj – powiedziała Sheila, kiedy Chang odsunął dla niej krzesło.

–Kiedy kupiliśmy tę restaurację, było tu... trochę mniej pięknie – odparł. – Podobnie jak cała ta urocza okolica, budynek popadł w ruinę. Udało nam się całkiem tanio go kupić, co mnie ucieszyło, gdyż ten dom ma bardzo długą historię.

–Waszyngton – powiedział Catrone. – To stary Kenmore House, prawda?

–Zgadza się, panie Catrone. Nie należał jednak do Jerzego Waszyngtona, lecz do kogoś z jego rodziny, ale on sam spędzał tutaj dużo czasu.

–To był dobry generał. Prawdopodobnie jeden z najlepszych partyzantów swoich czasów.

–I człowiek honoru – dodał Chang. – Patriota.

–Niewielu ich już zostało – rzucił pozornie obojętnym tonem Catrone.

–Jednak jest jeszcze kilku. Pozwoliłem sobie zamówić wino. To dobry rocznik z Marduka, mam nadzieję, że będzie państwu smakował.

–Osobiście wolę piwo.

–Nie smakowałyby panu to, co Mardukanie nazywają piwem – powiedział zdecydowanie Chang. – Są takie chwile, kiedy trzeba komuś po prostu zaufać, i to jest właśnie jedna z nich. Mogę dla pana zamówić Koun?

–Nie, niech będzie wino. Procenty to procenty. – Catrone spojrział na kobietę siedzącą obok właściciela. – Panno Stewart, nie powiedziałem jeszcze, że ślicznie pani dziś wygląda.

–Proszę mi mówić Shara – odparła blondynka, uśmiechając się z wdziękiem.

–W takim razie my jesteśmy Sheila i Tomcat.

–Uważaj na niego – dodała Sheila z uśmiechem. – Nie dostał tej ksywy bez powodu'.

–Och, będę uważała – zaśmiała się Shara. – Sheila, muszę przypudrować nos. Pójdiesz ze mną?

–Oczywiście. – Sheila wstała. – Możemy wymienić się własnymi wojennymi opowieściami, podczas gdy oni będą się wymieniać swoimi.

–Ładna dziewczyna – rzucił Tomcat, kiedy obie kobiety ruszyły w stronę toalet.

–Tak, ładna – odparł Chang, a potem spojrział Catrone'owi w oczy. – I dobry żołnierz. Chciałbym powiedzieć, że kapitan Pahner przesyła panu pozdrowienia, ale kapitan Pahner, czego bardzo żałuję, nie żyje.

–To pan.

–Tak.

–A ona to kto?

–Nimashet Despreaux. Moja adiutantka i narzeczona.

–Po prostu świetnie.

–Niech pan posłucha, sierżancie – powiedział Roger, właściwie interpretując reakcję Tomcata. [Tomcat (ang.) – kocur.]

–Przez osiem miesięcy byliśmy na Marduku, kompletnie odcięci od świata. Nie da się przez tyle czasu przestrzegać garnizonowych zasad. Kosutic, ta hostessa, która was tutaj przyprowadziła, prawie przez cały czas zadawała się z Julianem, który teraz jest moim oficerem wywiadowczym. O tym, co robił sierżant Jin, nie będę nawet mówił. Nimashet i ja przynajmniej zaczekaliśmy, aż znajdziemy się poza planetą. Poza tym zamierzam się z nią ożenić.

–Wie pan, jak łatwo można monitorować restaurację? – spytał Catrone, zmieniając temat.

–Tak, dlatego wszyscy wchodzący tutaj i wychodzący są skanowani w poszukiwaniu jakichkolwiek urządzeń szpiegowskich. A ten stolik nie bez powodu stoi przy samym grillu. Takie skwierczenie powoduje bardzo duże zakłócenia dźwięku.

–Dlaczego, do diabła, musiał pan w to wciągać moją żonę?

–Zaproszenie pana samego byłoby zbyt ostentacyjne.

–Niezależnie od tego, co pan powie, nie zamierzam dopuścić się zdrady stanu. Wy idźcie swoją drogą, a ja pójdę swoją.

–To nie jest zdrada stanu. Mnie tam nie było. Byłem na Marduku, rozumie pan? Mam wszelkie dowody, jakich mógłby pan zażądać, że byłem na Marduku. To wszystko robota Adouli. On trzyma moją matkę w niewoli, a ja zamierzam ją uwolnić.

–Świetnie, proszę bardzo. – Catrone upił duży łyk wina; jego gospodarz miał rację, rzeczywiście było dobre. – Niech pan posłucha. Ja swoje zrobiłem, i to z nawiązką. Teraz hoduję konie, trochę zajmuję się doradztwem i patrzę, jak rośnie trawa, chociaż na Gobi nie ma jej za wiele. Wypadłem już z branży ratowania Imperium. Bywałem w różnych miejscach, robiłem różne rzeczy i naprawdę mam już tego dość. Pan się myli; nie ma już patriotów, są tylko mniej lub bardziej podłe wieprze.

–Moja matka też? – spytał ze złością Roger.

–Niech pan nie podnosi głosu – odparł Catrone. – Nie, pana matka nie, ale tu nie o nią chodzi, prawda? Tu chodzi o Tron dla Rogera. Oczywiście wierzę, że nie brał pan udziału w przewrocie, ale jest pan synalkiem Nowego Madrytu, jego złym nasieniem. Myśli pan, że nie rozmawiamy o tym w Stowarzyszeniu? Znam cię, ty gówniarzu. Nie jesteś wart nawet pryszczka na dupie swojego brata. Myślisz, że nawet gdyby to było

możliwe, oddałbym ci Tron?

–Tak, ma pan rację, byłem gówniarzem – zgrzytnął zębami Roger. – Ale tu nie chodzi o mnie, tylko o moją matkę. Mam informacje wywiadu, z których wynika, że to, co oni jej robią, zabije ją.

–Może tak, może nie – powiedział Catrone i podniósł wzrok. – Moje panie, wyglądacie jeszcze piękniej niż wtedy, kiedy nas opuszczaliście, o ile to w ogóle możliwe.

–Wstrętny lizus, co? – uśmiechnęła się Sheila.

–Uważam, że jest słodki – odparła Despreaux.

–Wcale nie. – Catrone puścił oko. – Jestem bardzo niegrzeczny. Ty pewnie też potrafisz nieźle zaszaleć.

–Czasami – powiedziała ostrożnie Despreaux.

–Podobno jesteś bardzo niebezpieczna, kiedy cię zagnają do kąta – ciągnął Tomcat.
– Jesteś jak kocica.

–Już nie. – Despreaux spojrzała na Rogera. – Odpuściłam sobie.

–Naprawdę? – Ton głosu Catrone'a był teraz bardziej miękki.

–Zmęczyłam się. Zbyt wiele rozrywki w końcu daje człowiekowi w kość, a przynajmniej mnie dało. Za to Ro... Augustuc nigdy nie odmawia zabawy. Rzadko sam urządza bale, ale to zawsze on zostaje ostatni na nogach.

–Naprawdę? – powtórzył Catrone już zupełnie innym tonem.

–Naprawdę. – Despreaux wzięła Rogera za rękę i spojrzała na niego smutno. – Widywałam go na... zbyt wielu przyjęciach. Czasami myślę, że za bardzo je lubi.

–Rastar będzie teraz siekał następną porcję – przerwał jej Roger. – Musicie to zobaczyć. To mistrz miecza.

–Widzieliśmy go, kiedy tutaj wchodziliśmy – powiedziała Sheila. – Jest niewiarygodnie szybki.

–Augustuc – spytała Despreaux – może pokażesz Sheili prawdziwego mistrza?

–Tak myślisz?

–Spróbuj – powiedziała, podchwytyjąc spojrzenie Rastara.

Roger skinął głową, a potem wstał i wszedł za bar. Mardukanin skłonił się i cofnął, a książę sięgnął pod kontuar i wyjął dwa nieco mniejsze tasaki. Potem założył na swoje drogie ubranie długi fartuch i wszedł na podest. Błat zaprojektowany dla Mardukanina był o wiele za wysoki nawet dla tak potężnego mężczyzny.

Tasaki wyglądały jak zakrzywione miecze, każdy z nich miał długość ludzkiego przedramienia. Roger wsunął je do pochew u pasa, a następnie skłonił się publiczności, która z zainteresowaniem przyglądała się pokazowi.

Odetchnął głęboko i skrzyżował ręce, kładąc dłonie na rękojeściach mieczy. Potem je wyciągnął.

Dwa ostrza rozmazały się w świetle płomieni, wirując tak blisko jego ciała, że od czasu do czasu ich podmuch poruszał włosy księcia. Niespodziewanie miecze zostały wyrzucone w górę, a potem Roger złapał za czubki ostrzy i przytrzymał je chwilę w wyciągniętych rękach. Potem znów się rozmazały i rozległ się odgłos cięcia ciała. Idealnie posiekane kawałki mięsa śmignęły w powietrzu, by wylądować na żelaznej kopule, ułożone w dwunastościan.

Roger skłonił się, oczyścił ostrza i odłożył je na miejsce, a potem wrócił do swojego stolika i jeszcze raz się uklonił.

–Robi wrażenie – powiedział sucho Catrone.

–Nauczyłem się tego w twardej szkole życia.

–Na pewno.

–Chciałbyś zobaczyć tę szkołę? – spytał Roger. – To... specjalny pokaz. Widzisz, sami zarzynamy zwierzęta na mięso, gdyż w ten sposób wszystko jest świeże. Było trochę kłopotów z miejscowymi obrońcami praw zwierząt, dopóki nie pokazaliśmy im, o jakie zwierzęta chodzi.

–Chyba nie chcesz tego oglądać, Sheila – powiedziała Despreaux.

–Jestem dziewczyną ze wsi i nieraz już widywałam ubój zwierząt.

–Ale nie taki. Nie mów potem, że cię nie ostrzegałam.

–Jeśli chcesz mi zaimponować, Augustuc... – zaczął Catrone.

–Po prostu uważam, że powinieneś poznać moją szkołę – przerwał mu Roger. – Zobaczyc część... kadry nauczycielskiej, która tam wykładała. To nie potrwa długo. Jeśli pani Catrone wolałaby zaczekać...

–Za nic nie chciałabym tego przegapić – oznajmiła Sheila, wstając. – Idziemy?

–Oczywiście. – Roger również wstał i podał jej ramię.

Catrone poszedł za nimi, zastanawiając się, dlaczego ten młody dureń uważa, że zaszlachtowanie jakiejś mardukańskiej krowy robi na nim wrażenie. Kilku innych gości, którzy usłyszeli o pokazie, również ruszyło za „panem Changiem” na zaplecze restauracji. Stał tam rząd klatek z grubej plastalowej siatki, z których dobiegało chóralne syczenie. Przy jednej z nich, połączonej z okrągłym wybiegiem, widać było trzech Mardukan w ciężkich skórzanych zbrojach i z włóczniami, dwóch z długimi, jeden z krótką.

–Na Marduku jest kilka gatunków zwierząt jadalnych – Roger podszedł do najstarszego Mardukanina i wziął od niego długi futerał – ale tutaj podajemy tylko mięso jednego z nich, zwanego atul.

Ludzie na Marduku nazywają chrystebestiami.

Książę otworzył futerał i wyjął z niego piękny miecz, przypominający nieco katanę o szerszym ostrzu.

–Przepisy zabraniają używania broni palnej – powiedział – więc używamy włóczni, i to dość długich, albo mieczy – dla tych, którzy wolą... mocniejsze wrażenia. Zwierzęta te nie bez powodu bowiem nazywa się chrystebestiami.

Jeden z Mardukan otworzył bramkę i na wybieg wypadło najbardziej wredne stworzenie, jakie Catrone w życiu widział: trzy metry czarno-zielonych pasów z kłami i pazurami. Stwór był ogromny, sześcionożny, miał opancerzony łeb i barki. Spojrzał na ludzi stojących po drugiej stronie siatki i Catrone zobaczył w oczach zwierzęcia błysk świadczący o jego inteligencji.

Mardukanin wymierzył w niego swoją długą włócznię, ale stwór uchylił się jak kobra i natychmiast rzucił się na drugiego obcego. Jego szczęki zatrasnęły się z głośnym kłapnięciem na nodze Mardukanina. Potem cisnął trzymetrowego obcego na bok, jakby ważył nie więcej niż piórko, spojrzał tak samo inteligentnym wzrokiem na dwóch pozostałych włóczników i jednym skokiem rzucił się na siatkę.

Plastal opierała się tylko przez chwilę; potem ponadpółtonowa bestia wspięła się na nadwerżone ogrodzenie dokładnie na wprost grupy gości, jakby teraz oni sami mieli się stać głównym daniem.

–Dobra – powiedział Roger – trzeba będzie zamówić wyższe ogrodzenia.

I skoczył naprzód, a Catrone zaczął się zastanawiać, co, do diabła, ten młody dureń chce zrobić. Były marinę był rozdarty między poczuciem obowiązku, które kazało mu

ustawić się pomiędzy księciem a zagrażającą mu bestią, a zwykłą logiką, która podpowiadała, że to i tak nic by nie dało. Nie wspominając już o tym, że ludzie natychmiast zaczęliby się zastanawiać, czemu naraża swoje życie dla jakiegoś biznesmena. Zamiast tego zasłonił więc własnym ciałem Sheilę; kątem oka zauważył, że Despreaux przyjęła pozycję bojową, ale ona również nie stanęła w obronie księcia.

Bestia wspięła się jeszcze wyżej po zgniecionej siatce i już po chwili była poza wybiegiem.

To, co się potem wydarzyło, działo się tak szybko, że nawet wprawne oko Tomcata z trudem mogło wszystko zobaczyć. Księżę ciął mieczem szarżującego na ludzi stwora; trafienie w czubek nosa nieznacznie zmieniło kierunek jego ataku, a błysk stali oślepił bestię, ale mimo to dalej biegła. Dopiero ostatnie cięcie, z pełnego zamachu, skierowane na kark, gdzie była częściowo nieosłonięta, rozrąbało jej szyję. Stwór runął na ziemię, tuż obok księżęcej nogi. Roger nawet nie ruszył się z miejsca. Jasna cholera.

Tłum zaczął uprzejmie bić brawo – prawdopodobnie uważali, że to była część pokazu – a Roger strząsnął krew z miecza. Catrone zauważył, że księżę zrobił to zupełnie odruchowo; to było dla niego tak naturalne, jak oddychanie. Potem zaczął automatycznie chować miecz do pochwy, ale szybko zreflektował się i podszedł do starego Mardukanina, który podał mu szmatkę do oczyszczenia ostrza. Podczas gdy księżę wsuwał czyste ostrze do futerału, bezgłowy potwór wciąż tłukł ogonem, wił się i drapał ziemię pazurami. Catrone szczerze wątpił, by Roger nauczył się tej techniki walki na wybiegu dla zwierząt. Jasna cholera.

–Czy właśnie to jemy na kolację? – spytał ktoś z publiczności, kiedy dwóch Mardukan odciągnęło stwora na bok. Ranny obcy już wstał i wyrzucał z siebie po mardukańsku stek przekleństw.

–Podajemy nie tylko atul – wyjaśnił Roger – chociaż ich wątroba jest bardzo dobra z fasolą kolo, czymś w rodzaju fasoli fava, i dobrym lekkim chianti. Mamy też rybę coli. Jest to mniejsza odmiana przybrzeżna; na otwartych wodach te ryby osiągają długość pięćdziesięciu metrów.

–To olbrzymy – zauważył jakiś mężczyzna.

–Tak, raczej tak. Mamy także basiki. Mardukanie nazywają tak również ludzi, bo są to małe, różowawe dwunożne stworzenia, przypominające trochę ludzi. Można powiedzieć, że to mardukańskie króliki. Moi Mardukanie nazywają siebie Osobistym Pułkiem Basik, ale to tylko taki żart. Mamy jeszcze pieczone młode chrystebestie. Przyznaję, to najdroższa pozycja w menu, ale za to bardzo dobra.

–Dlaczego są takie drogie? – spytała Sheila.

–To z powodu sposobu ich pozyskiwania – odparł Roger, uśmiechając się do niej uprzejmie. – Widzisz, chrystebestie – wskazał kciukiem wciąż leżący na ziemi łeb – zamieszkują w skalistych rejonach dżungli. Kopia jamy, do których prowadzą długie tunele, takiej wysokości i szerokości jak one same. Kopia je dlatego, że same są obiektem ataków atul-gracków.

–Co to takiego?

–Atul-grack wyglądają mniej więcej tak samo jak atul, ale są rozmiarów słonia.

–Ojej – szepnęła jakaś kobieta.

–Oczywiście atul-grack są także niebezpieczne dla polujących na nich myśliwych. Ale wróćmy do chrystebestii. Jedno z rodziców, zazwyczaj samica, która jest większa, zawsze siedzi w jamie. Żeby więc dostać się do młodych, ktoś musi do tej jamy wpełznąć. W tunelu jest bardzo ciemno, a przed samym leżem zawsze jest zagłębienie, w którym zbiera się woda. Kiedy więc człowiek przeczołga się już przez wodę, wstrzymując oddech, okazuje się, że mamuśka – znów wskazał zagrody-już na niego czeka. Ma wtedy... bo ja wiem, jakieś pół sekundy, żeby coś z tym zrobić. Jeden z moich myśliwych proponuje długie serie z bardzo ciężkiego pistoletu śrutowego, jako że to jedyna broń, jaką można zabrać ze sobą do jamy. Być może jednak zauważyliście państwo, że atul są z przodu opancerzone i czasami pistolet śrutowy nie może przebić pancerza. Ale jeśli nawet uda się zabić mamuśkę, to jeszcze nie koniec problemów. Jak już wspominałem, atul kopiają tak wysokie i szerokie tunele jak one same, trzeba więc jakoś się przedostać przez ciało broniącej gniazda samicy. Zazwyczaj używa się do tego wibronoża. Ale to jeszcze nie koniec. Młode atul osiągają wielkość od domowego kota po żbika. Jest ich zazwyczaj sześć do ośmiu, są zawsze głodne i uważają myśliwego po prostu za jedzenie. Do tego dochodzi ostatni, najmniejszy problem: trzeba je wydostać z leża żywe. Roger uśmiechnął się do słuchających i pokręcił głową.

–Dlatego, drodzy państwo, kiedy patrzycie na cenę pieczonej młodej chrystebestii, miejcie to wszystko, proszę, na uwadze. I tak za mało płacę moim myśliwym.

–Czy sam tak polowałeś? – spytała cicho Sheila, kiedy wracali do stolika.

–Nie – przyznał Roger. – Nigdy nie polowałem na młode atul. Jestem za duży i nie mieszczę się w tunelu.

–Och.

–Tylko raz polowałem na młode, ale to były młode atul-grack.

Po kolacji Shara zabrała Sheilę, by pokazać jej kilka interesujących eksponatów przywiezionych z Marduka, a Roger i Catron zostali przy kawie.

–Tego mi brakowało – powiedział ksiązę.

–Wciąż twierdzę, że to kiepskie miejsce na dyskretną rozmowę – odparował Tomcat.

–Tak, ale to najlepsze miejsce, jakie mam. Co muszę zrobić, by pana przekonać, żeby stanął pan po naszej stronie?

–Nie może pan. – Catrone westchnął. – Pokazy brawury nic tu nie pomogą. Tak, ma pan ludzi, porządnych ludzi, którzy wierzą, że pan się zmienił, i może rzeczywiście tak jest. Bardzo chętnie narażał pan swoje życie, zbyt chętnie. Gdyby to coś pana dopadło, wszystkie wasze plany wzięłyby w łeb.

–To był... odruch. – Roger zrobił niemal smutną minę. – Odruch – powtórzył – wyuczony w twardej szkole życia, jak wspominałem. Muszę kroczyć po cienkiej linii. Wiem, że jestem niezastąpiony, ale czasem muszę podejmować ryzyko, na przykład spotykając się z panem. Co do atul... Byłem jedyną osobą, która miała broń i wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Nawet gdyby mnie dopadł, prawdopodobnie bym przeżył. Poza tym... nie pierwszy raz stawałem przeciwko atul z samym tylko mieczem. To była bardzo twarda szkoła życia, sierżancie. Nauczyła mnie też, że nie wszystko da się zrobić samemu. Potrzebuję pana, sierżancie. Imperium pana potrzebuje, i to rozpaczliwie.

–Powiedziałem już raz i powtarzam: skończyłem z ratowaniem Imperium.

–Ot tak? Tylko tyle? – Mimo opanowania Rogerowi nie udało się ukryć zdumienia.

–Tylko tyle. I niech pan nie próbuje werbować moich chłopców i dziewczyn. Rozmawialiśmy o tym w o wiele bardziej bezpiecznych miejscach niż pańska restauracja. Nie zamierzamy się mieszać do żadnej dynastycznej sprzeczki.

–To się skończy gorzej niż tylko jako dynastyczna sprzeczka – zgrzytnął zębami Roger.

–Dowód – prychnął Catrone.

–Nie będzie dowodu, jeśli nie stanie pan po naszej stronie. – Roger otarł usta i wstał. – Bardzo miło było pana poznać, panie Catrone.

–Spotkanie z panem było... interesujące, panie Chang. – Catrone również wstał i wyciągnął rękę. – Powodzenia w nowej branży. Mam nadzieję, że interes będzie kwitł.

Książę uściskał jego dłoń i opuścił stolik.

*** * ***

–Gdzie jest pan Chang? – spytała Sheila, kiedy wróciła z Despreaux do stolika.

–Musiał się zająć swoimi sprawami – odparł Tomcat, patrząc na Sharę. – Powiedziałem, że mam nadzieję, iż mu dobrze pójdą.

–Tak po prostu? – spytała z niedowierzaniem Despreaux.

–Tak po prostu. Pora na nas, Sheila.

–Tak, chyba już czas – powiedziała Despreaux i odwróciła się do żony Catrone'a. – Było mi przyjemnie. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

–Przyjdziemy jutro na kolację – powiedziała Sheila.

–Być może – uściślił Catrone.

–Basik był świetny – powiedziała Sheila, zerkając na męża – ale mamy za sobą długi dzień. Już pójdziemy.

Przy wyjściu Catrone skinął głową blondwłosej hostessie.

–Diabli nadali, proszę pani – powiedział.

–Bóg z panem, panie Catrone – odparła hostessa.

–O co tu chodzi? – spytała Sheila, kiedy czekali na taksówkę.

–Nie pytaj. Jesteśmy w dzikim kraju, dopóki nie wrócimy do domu.

*** * ***

Tej nocy Catrone nic nie robił, pofiglował tylko trochę z żoną, zachęcony butelką szampana zafundowaną przez dyrekcję hotelu. W ramach „wygranej” wycieczki zamieszkali w bardzo ładnym dwupoziomowym apartamencie na najwyższym piętrze hotelu, z którego widać było Imperialny Park i róg Pałacu. Kiedy Sheila zasnęła, Catrone podszedł do okna, aby popatrzeć na miejsce, w którym mieszkał prawie trzydzieści lat. Przy nocnych wejściach do Pałacu widać było nielicznych strażników. To opryszki Adouli, pomyślał, a nie prawdziwy Osobisty Pułk Cesarzowej, i z całą pewnością nie pilnują Cesarzowej, chyba że przed jej przyjaciółmi.

Następnego dnia – trzeciego dnia ich pobytu w mieście – poszli do Imperialnych Muzeów. Było to nudne jak cholera, ale Tomcat zrobił to dla Sheili, kobiety, która

została jego trzecią żoną niedługo po opuszczeniu przez niego służby. Wychowywał się na farmie na centralnych równinach; zamierzał tam potem wrócić, ale stać go było jedynie na ziemię w Środkowej Azji. Zgromadził więc niewielkie stado i założył tam farmę, a w tym czasie znalazł sobie żonę. Tę kobietę warto było przy sobie zatrzymać. Nie była jakąś piękną, zwłaszcza w porównaniu z jego pierwszą żoną, ale bardzo mu na niej zależało. Kiedy szli przez Muzeum Sztuki i Sheila gapiała się na starożytne obrazy i rzeźby, po raz pierwszy pomyślał, co by dla niej oznaczała porażka. On zbyt wiele razy balansował na krawędzi, czasami z bardzo błahych powodów, żeby martwić się o siebie, ale gdyby wszystko się posypało, nie tylko jego wzięliby na cel. Tego wieczoru zjedli kolację w małej restauracji w hotelu. Catrone posłużył się wymówką, że nie mają czasu lecieć do Marduk House, jeśli chcą zdążyć do opery.

Sheila założyła klasyczny czarny kostium, Tomcat zaś wdział brokatowe dworskie przebranie i zawiesił u pasa stylową wieczorową sakwę, przeklinając w duchu niewygodny wysoki kołnierz i purpurowe gieźło.

Pod koniec drugiego antraktu, kiedy wracali do swojej łoży, wziął Sheilę pod ramię.

–Kochanie, już nie mogę – powiedział. – Ty zostań, ty to lubisz, ja się przejdę.

–Dobrze. – Zmarszczyła brew. – Uważaj na siebie.

–Zawsze uważam – uśmiechnął się.

Wyszedł z gmachu opery i ruszył w stronę pobliskiego wielopoziomowego centrum handlowego. Wciąż było otwarte i był spory ruch. Catrone zajrzał do kilku sklepów z odzieżą i do jednego z akcesoriami turystycznymi. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Ruszył za wybranym dżentelmenem do toalety.

W środku na szczęście nie było nikogo poza nimi. Kiedy facet stanął przy pisuarze, Tomcat wyjął iniektor, podszedł do niego i przytknął urządzenie do jego karku.

Mężczyzna bez słowa osunął się na ziemię. Catrone złapał go pod rękę i mrużąc coś pod nosem na temat jego wagi, zawłókł go do jednej z kabin. Tam szybko zdjął swój wieczorowy strój i wyciągnął z sakwy lekki, cienki kombinezon. Zaprogramował jego kolor na ten sam odcień, jaki miało ubranie mężczyzny. Założył też jego oklapły beret i marynarkę oraz zabrał jego pada i znalezione w kieszeni luźne kredytki. Potem spryskał koszulę mężczyzny alkoholem i założył wyjętą z sakwy protezę twarzy. Teraz nikt szukający Thomasa Catrone'a nie będzie mógł go rozpoznać. Na koniec wciągnął na rękę cienkie rękawiczki, które zlewały się z ciałem, maskując odciski palców, i wyrzucił sakwę na lewą stronę, tak że wyglądała teraz jak zwykły chlebak. Jeszcze raz przeczesał kabinę, żeby się upewnić, że jest czysta, i zadowolony z siebie wyszedł z łazienki. Po drodze wyrzucił garnitur do zsypu spalarni. Z jednej

strony było mu cholernie żal – strój nie mała kosztował – ale z drugiej strony cieszył się, że się go pozbył.

Wypatrzył swój ogon, kiedy tylko wyszedł z korytarza prowadzącego do toalet. Był to młody mężczyzna typu kaukaskiego, w holokurtce i z kolczykiem w nosie. Nie zwracając uwagi na wychodzącego z łazienki blondyna w marynarce i modnie naciągniętym na jedno oko berecie, popijał kawę i czytał pada, opierając nogę o witrynę sklepu.

Catrone ruszył powoli przez galerię, rozglądając się na wszystkie strony, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, niedaleko sklepu z elegancką bielizną. Większość kobiet unika kontaktu wzrokowego z nieznanymi mężczyznami; ta młoda dama uśmiechała się lekko do mijających ją mężczyzn, zerkając od czasu do czasu na wyświetlacz trzymanego na kolanach pada.

–Cześć – powiedział Catrone, siadając obok niej. – Wyglądasz na dziewczynę, która lubi się zabawić. Co robisz w nudnym centrum handlowym?

–Czekam na ciebie – powiedziała, uśmiechając się i wyłączając pada.

–Cóż, ja jestem w tej chwili trochę zajęty, ale byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mi pomogła zrobić komuś dowcip.

–Jak bardzo byłbyś wdzięczny?

–Jak dwieście kredytek.

–No, w takim razie...

–Mój przyjaciel czeka na mnie, ale... dostałem inną propozycję. Nie chcę, żeby poczuł się porzucony czy coś w tym rodzaju, więc... może byś mnie zastąpiła?

–Rozumiem, że on tak na obie strony?

–Jeszcze jak – odparł Tomcat. – Ciemne włosy, jasna cera, stoi pod Timson Emporium, czyta pada i pije kawę. Pokaż mu, co to znaczy naprawdę się rozerwać – dokończył, dając dziewczynie dwieście kredytek.

–Spora forsa jak za dowcip – powiedziała dziwka, biorąc pieniądze.

–Powiedzmy, że to sposób uniknięcia zakończenia cudownego związku – odparł Tomcat. – On nie może się dowiedzieć, że to ode mnie, jasne?

–Nie ma sprawy. Wiesz, gdybyś kiedyś miał ochotę na towarzystwo...

–Nie jesteś w moim typie. – Tomcat westchnął. – Cudna z ciebie dziewczyna, ale...

–Rozumiem. – Wstała. – Jasna karnacja, ciemne włosy, stoi przed Emporium.

–Ma na sobie holo-kurtkę i pije kawę z bańki Blue Galaxy.

–Jasne.

*** * ***

Obserwowany mężczyzna cholernie długo siedział w toalecie. Za długo i Gao Ikpeme zaczynał się już martwić. Ale Catrone miał na sobie wieczorowy strój, więc nie ma mowy, żeby przegapił coś takiego.

Opuścił nogę i podniósł drugą, żeby oprzeć ją o mur... i omal nie umarł ze strachu.

–Cześć, przystojniaku – usłyszał zduszony szept.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z ładną, hojnie obdarzoną przez naturę rudowłosą dziewczyną. Zgodnie z ostatnią modą miała na sobie jedynie wąski top i minispódniczkę, tak nisko opuszczoną i tak krótką, że bardziej przypominała pasek materiału zasłaniający łono i pośladki.

–Posłuchaj – powiedziała, opierając się o niego i drżąc. – Właśnie wzięłam działkę i jestem, jak by to powiedzieć, cholernie napalona. A ty jesteś idealnie w moim typie. Nieważne, czy w łazience, czy w przebieralni, czy tutaj, na podłodze, po prostu cię pragnę.

–Słuchaj, przykro mi – powiedział Gao, bezskutecznie starając się nie odrywać wzroku od drzwi toalety – ale czekam na kogoś, rozumiesz?

–Cholera – wydyszała kobieta – skończymy, zanim ona – albo on – się tutaj zjawi. Weź mnie już teraz!

–Powiedziałem...

–Pragnę cię, pragnę cię, pragnę cię – zanuciła kobieta, ocierając się o niego i przyciskając brzuch do jego potężnego wzvodu. – A ty mnie pragniesz.

–Kurde, koleś, wynajmij sobie pokój – powiedział ktoś z przechodzących. – Tutaj są dzieci, wiesz?

–Przestań! – syknął Gao. – Nie mogę teraz z tobą iść!

–Dobrze! – Kobieta uniosła zgiętą nogę, objęła go nią w pasie i zakołysała się w górę i w dół. – Ja tylko... Ja po prostu...

–O, Chryste! – krzyknęła nagle ochrypłym głosem.

Gao złapał ją za ramię i wpadł do sklepu. Tam w pustym przejściu między półkami zrobili coś, co potrwało zaledwie jakieś sześć sekund.

–No, to było niezłe – powiedziała dziewczyna, wciągając majteczki i oblizując wargi. Przesunęła dłońmi po kurtce Gao i uśmiechnęła się. – Musimy jeszcze kiedyś się spotkać i spędzić razem trochę więcej czasu.

–Aha – wysapał Gao, poprawiając ubranie. – Chryste! Muszę wracać!

–Na razie – powiedziała dziwka, machając mu na pożegnanie, kiedy wybiegał ze sklepu. Już po wszystkim; zarobiła dwieście kredytek za swój najszybszy jak dotąd numerek.

Gao rozejrzał się po korytarzach, ale Catrone'a nigdzie nie było widać. Mógł wyjść, kiedy on zszedł z posterunku. Cholera.

Zajrzał do toalety. W środku nikogo nie było. Nagle w jednej z kabin zobaczył czyjeś nogi.

Pchnął drzwi. To nie Catrone, to jakiś pijak leżał na podłodze, oparty o sedes.

Niech to szlag.

Gao zmarszczył brwi, potem wzruszył ramionami i wyciągnął pada. Wstukał odpowiednią kombinację i pokręcił głową na widok twarzy, która pojawiła się na wyświetlaczu.

–Zgubiłem go.

*** * ***

Catrone postukał w pada, jakby coś przewijał, i zaczął nasłuchiwać przez wciśniętą w ucho słuchawkę.

–Nie wiem, poszedł do kibla. Cały czas patrzyłem... Nie, nie sądzę, żeby rozmyślnie mi uciekł, po prostu go zgubiłem... Aha, jasne. Postaram się go złapać w hotelu.

Catrone sprawdził spis numerów, ale ten, na który dzwonił jego ogon, był zastrzeżony. Mógłby zacząć go śledzić, ale prawdopodobnie nic by to nie dało. Mężczyzna miał przynajmniej dwóch łączników, a poza tym on sam miał co robić.

Poszedł na lądowisko i złapał powietrzną taksówkę. Kierował nią jakiś wariat, który najwyraźniej czegoś się naćpał. Chichocząc przez cały czas, prześlizgiwał się pod i nad wolniejszymi lataczkami. W końcu taksówka dotarła do celu – losowo wybranego skrzyżowania. Catrone zapłacił chipami należącymi do pechowca z toalety i po

przejściu dwóch przecznic dotarł do publicznego terminala.

Tam włączył serwis ogłoszeń towarzyskich i dodał własne zawiadomienie.

**„WGM szuka SBrGM do poważnej imprezki. Thermi.
ThermiteBomb@toosweetfortreats.im”.**

Potem szybko sprawdził, czy w serwisie nie ma takich samych ogłoszeń.

–Proszę zapłacić trzy kredytki – zażądał terminal i Catrone wsunął trzy chipy po kredytce.

**–Twoje ogłoszenie zostało umieszczone w serwisie Imperial Daily Singles.
Dziękujemy za skorzystanie z Terminali Informacyjnych Adouli.**

–Aha – mruknął Catrone. – Nie ma sprawy.

*** * ***

Wsiadł w publiczną rurę grawitacyjną, aby wrócić do hotelu, i zajął miejsce przy oknie. Nawet o tej porze powietrzne trasy były zatłoczone; idioci tacy jak tamten taksówkarz przemykali między lataczami, wyskakując ze swoich pasów. Między nimi na wysokości trzystu metrów nad ziemią przesuwwały się przezroczystymi tubami ze szklastali wagoniki zasilane prądem indukcyjnym. Przez niespolaryzowane i niczym nie zasłonięte okna domów widać było, jak ludzie siadają do późnej kolacji albo oglądają holowizję. Jakaś para się kłóciła. Miliony ludzi w pudełkach ciągnących się aż po sam horyzont. Ciekawe, co oni wszyscy by pomyśleli, gdyby wiedzieli to, co on wie? Czy obchodzi ich to, że Adoula ma kontrolę nad Tronem? Czy chcą, żeby Cesarzowa wróciła do władzy? A może są tak zagubieni, że sami już nie wiedzą, kim jest Cesarzowa?

Przypomniał sobie, co mu ktoś kiedyś powiedział: większość ludzi nadaje się tylko do przerabiania żarcia w gówno. Ale Imperium to nie Cesarzowa, tylko właśnie ci wszyscy ludzie, którzy przerabiają żarcie w gówno. To oni się liczą, niezależnie od tego, czy o tym wiedzą. A więc co oni by pomyśleli? Każdy, kto próbowałby uratować Alexandrę, musiałby mieć świadomość, że rozruchy, które nastąpią po udanym kontr-przewrocie, zamienią życie tych milionów ludzi w piekło. Zakorkowane trasy powietrzne, zapchane metro, niesprawna kontrola ruchu...

Wysiadł z rury na stacji kilka przecznic od hotelu i wszedł do budynku tylnym wejściem, gdzie wrzucił wszystkie pozostałe kredytki mężczyzny razem z jego marynarką i beretem do publicznego zsypu spalacza.

Kiedy wszedł do apartamentu, Sheila siedziała na łóżku i oglądała holofilm. Na widok jego stroju uniosła brwi, ale on tylko pokręcił głową i zaczął się rozbierać.

Kombinezon również trafił do prywatnego spalacza pokojowego. Trudno byłoby znaleźć bezpieczniejsze miejsce – to był elegancki hotel, w którym zatrzymywały się różne ważne osoby – i na ubraniu raczej nie było niczego obciążającego, ale lepiej przesadzić z ostrożnością niż później żałować.

Potem Tomcat wczuł się do łóżka i objął żonę ramieniem.

–Jak opera?

–Wspaniała.

–Nie rozumiem, jak może być wspaniałe coś, co jest całe w obcym języku.

–Bo jesteś barbarzyńcą.

–Kto raz został barbarzyńcą, już zawsze nim będzie – odparł Tomcat Catrone. – Zawsze.

*** * ***

–Catrone powiedział najjaśniej jak potrafił, że nam nie pomoże – powiedział Roger. – I starsi członkowie Stowarzyszenia też nie. Zamierzają wszystko przeczekać.

–Cholera – mruknęła ze złością Kosutic.

Przyjechali do magazynu, aby „sprawdzić zaopatrzenie”. Restauracja prosperowała lepiej niż Roger się spodziewał, i to go zaczynało martwić, gdyż zużywali o blisko dwadzieścia pięć procent więcej żywności niż planowali, a nawet międzygwiazdny frachtowiec mógł przewieźć tylko ograniczoną ilość mardukańskich towarów. Gdyby teraz wysłali statek po następny transport, prawdopodobnie nie zdążyłby wrócić na czas. Mardukanie i ich zwierzęta musieli od kilku dni jeść ziemską żywność, a nie było w niej wszystkich substancji odżywczych, których potrzebowali. Obcy znaleźli się w takiej samej sytuacji, w jakiej byli marines na Marduku, tylko że nie mieli nanitów, które mogłyby przetwarzać niektóre substancje w niezbędne witaminy.

W tej sytuacji przynajmniej mieli pretekst, aby skorzystać z bezpiecznych pomieszczeń podziemnego bunkra.

–Mam dobre wiadomości: przyszła pierwsza partia „narzędzi” od naszych przyjaciół – powiedział Rastar. Zajmował się magazynem i restauracją, podczas gdy Honal pracował nad innym projektem.

–To dobrze – rzekł Roger. – Gdzie one są? – Rastar poprowadził ich ciągiem korytarzy do magazynu zastawionego wielkimi – i bardzo wielkimi plastalowymi skrzyniami. Wstukał odpowiedni kod w padzie jednej z nich i pudło otworzyło się,

ukazując wspomagany pancerz z chromramu.

–Teraz przydaliby się nam Julian i Poertena – zauważyła niewesoło Despreaux.

–To alphańskie pancerze – przypomniał Roger, podchodząc bliżej, by przyjrzeć się dokładniej zbroi – i dla Juliana byłyby taką samą tajemnicą, jak dla nas. Ale będziemy musieli jakoś je dopasować.

–Wywiązali się ze wszystkich obietnic – zauważył Rastar z mardukańskim gestem wyrażającym rozbawienie. Otworzył jedną z większych skrzyń i aż machnął z wrażenia obiema lewymi rękami.

–O cholera.

Pancerz był o wiele większy niż ten z pierwszej skrzyni; miał cztery ramiona i wysoki hełm na mardukańskie rogi. Nawet jego zwieńczenie przypominało kształtem rogi.

–I to. – Rastar otworzył podłużną, wąską skrzynię.

–Co to jest, do cholery? – spytał Krindi Fain, patrząc na leżącą w środku broń.

–To czołgowe działko plazmowe – odparła z przejęciem Despreaux. – Montują takie na krążownikach jako broń przeciw myśliwcom.

–To główna broń mardukańskiego pancerza wspomaganego – powiedział z dumą Rastar. – Większy rozmiar pancerza oznacza większą moc.

–Oby. – Fain chrząknął z wysiłku, podnosząc broń wszystkimi czterema rękami. – Ledwie mogę to unieść!

–Wreszcie zrozumiecie, wy przepakowane prostaki, co znaczy dla człowieka działko plazmowe – powiedział sucho Roger i powiódł spojrzeniem po otaczających go ludziach i Mardukanach.

–Święto Imperium zaczyna się za cztery tygodnie. To najlepsza okazja, jaka nam się trafia. Jeśli Catrone i jego kunktatorzy nie zamierzają nawet kiwnąć palcem, nie ma powodu marnować czasu na jakąś tam wydumaną koordynację działań. Wyślijcie Julianowi kod z dniem Święta. Nie powiemy Alphanom, że nie potrzebujemy dodatkowych pancerzy; lepiej, żebyśmy mieli ich za dużo niż za mało. Zaczniemy dopasowywać zbroje dla wszystkich marines i tylu Mardukan, dla ilu ich wystarczy. Nasz plan jest prosty. To musi być natarcie z zewnątrz, nie mamy innej możliwości dostania się do środka. Strażnicy noszą mundury galowe, żeby ładnie wyglądać; wiem, że to są mundury kinetyczno-reaktywne, które są skuteczne przeciwko broni śrutowej, ale to jednak nie są pancerze. Powinniśmy wejść do środka razem z drzwiami, jeśli uda nam się wykorzystać element zaskoczenia. Rozpoczną

Vasinowie...

* * *

Catrone siedział za biurkiem i stukając rytmicznie opuszkami palców, patrzył przez okno na brązową trawę, na której pasły się trzy konie. Ale tak naprawdę wcale tego nie widział; widział jedynie obrazy z przeszłości, w tym wiele bardzo krwawych.

Kiedy zapiszczał komunikator, sprawdził godzinę w swoim tootsie. Idealnie.

–Cześć, Tom – powiedział Bob Rosenberg.

–Cześć, Bob – odparł Tomcat, udając zaskoczenie. – Kopę lat.

Sygnal był minimalnie opóźniony; odbijał się od kolejnych satelitów, z których każdy – bądź wszystkie – mogły przekazywać rozmowę do Adouli.

–Będę przez jakiś czas w układzie. Pomyślałem, że może pisałybyś się na małą imprezkę.

Po odejściu z korpusu Rosenberg został pilotem promu na frachtowcu.

–Oczywiście – odparł Tomcat. – Zadzwońię do paru chłopaków i dziewczyn. Urządzimy wszystko tak jak trzeba, upieczemy utuczone cielę.

–Dla mnie bomba. – Odpowiedź Rosenberga szła odrobinę dłuższej niż wynikałoby to z samego opóźnienia sygnału. – Środa?

–Wpadnij, kiedy chcesz. Piwo zawsze jest zimne i za darmo.

–Za darmowe piwo zrobię wszystko – roześmiał się Rosenberg. – Do zobaczenia.

* * *

–Catrone urządza przyjęcie – powiedział Nowy Madryt, marszcząc brew.

–Robił to już wcześniej. – Adoula westchnął. – Dwa razy, odkąd zajęliśmy należne nam stanowiska.

Jak zwykle tkwił po szyję w papierkowej robocie – dlaczego ludzie nie potrafią podejmować decyzji na własną rękę? – i nie miał nastroju do znoszenia paranoi Nowego Madrytu.

–Ale nie tuż po wycieczce do Imperial City – zauważył Nowy Madryt. – Zaprosił dziesięć osób: osiem ze Stowarzyszenia Osobistego Pułku Cesarzowej i dwie ze Stowarzyszenia Raidersów, do którego również należy. Wszyscy oni są starszymi

podoficerami, z wyjątkiem Roberta Rosenberga, który był dowódcą eskadry żudeł batalionu Złoto.

–Do czego zmierzasz?

–Oni coś planują – powiedział ze złością Nowy Madryt. – Najpierw Helmut się rusza...

–Skąd o tym wiesz?

–Rozmawiałem z Gianettem. Robię to od czasu do czasu, skoro ty mnie ignorujesz.

–Nie ignoruję cię, Lazar. – Adoula zaczynał wpadać w gniew. – Rozważyłem zagrożenie ze strony Osobistego Pułku Cesarzowej i postanowiłem je zlekceważyć.

–Ale...

–Ale co? Współpracują z Wielką Flotą? Nic na to nie wskazuje. Mają ciężką broń? Z całą pewnością nie. Najwyżej mają trochę karabinów śrutowych, może kilka sztuk broni załogowej, które gdzieś zachomikowali, bo to paranoidalne czubki. I co z tym zrobią? Za atakują Pałac?

Książę odchylił się do tyłu i spojrzał ze złością na wysokiego, złotowłosego współspiskowca.

–Dodajesz dwa do dwóch i wychodzi ci siedem-powiedział. – Jeśli chodzi o Helmuta, nie mógł wysłać wiadomości do Catrone'a, chyba że zrobił to telepatycznie. Cały czas mieliśmy go na oku. Jasne, że nie wiemy, gdzie jest w tej chwili, ale nie komunikował się z nikim w Układzie Słonecznym. Nie nawiązał nawet łączności z radiolatarnią. Skontaktowanie się i skoordynowanie jakichkolwiek działań Szóstej Floty i Catrone'a wymagałoby bardzo złożonego łańcucha łączności, którego nie moglibyśmy przeoczyć. Dlatego te dwa wydarzenia nie są ze sobą powiązane. Wszystko, co wymyśli Catrone i jego przyjaciele, jest skazane na niepowodzenie bez Szóstej Floty i Wielkiej Floty. Nie mają żadnego punktu zaczepienia: następcy tronu nie żyją Jej Wysokości też niewiele brakuje. Umrze, kiedy tylko urodzi się nowy dziedzic.

–To nie jest konieczne – powiedział z rozdrażnieniem Nowy Madryt.

–Już o tym rozmawialiśmy – odparł Adoula lodowatym tonem. – Kiedy tylko urodzi się Następca Tronu, co nastąpi w chwili, gdy osiągnie wiek gwarantujący mu przeżycie na oddziale neonatologii, ona znika. Koniec, kropka. A teraz jestem bardzo zajęty. Przestań zawracać mi głowę duchami, rozumiano?

–Tak – zgrzytnął zębami Nowy Madryt. Wstał i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu.

Adoula poczekał, aż wyjdzie, a potem westchnął i dotknął ikony na swoim padzie.

Młody mężczyzna, który wszedł, miał sympatyczną twarz, był dobrze ubrany i wyglądał zupełnie pospolicie. Jego geny mogły być wynikiem dowolnej mieszanki ras; miał lekko opaloną skórę, ciemne włosy i piwne oczy.

–Tak, Wasza Wysokość?

–Dopilnuj, kiedy wszystko pomyślnie się zakończy, żeby earl został usunięty; już nie będzie nam potrzebny.

–Tak jest, Wasza Wysokość.

Adoula kiwnął głową i młody mężczyzna się wycofał. Książę powrócił do papierów.

Wszędzie niedokończone sprawy. Można od tego oszaleć.

*** * ***

–Cześć, Bob – powiedział Tomcat na widok kolejnego gościa. – Lufrano, jak noga? Marinau, Jo, fajnie, że wpadliście. Bierzcie piwo, a potem chodźmy do sali rekreacyjnej, trochę się sponiewieramy.

Otworzył ciężkie stalowe drzwi i poprowadził ich korytarzem do piwnicy. Ziemię do założenia farmy kupił w Środkowej Azji, gdzie ceny nie poszły jeszcze tak w górę, jak na równinach Ameryki Północnej. Za swoje tereny, kupione bezpośrednio od biura Interioru, Catrone zapłacił grosze, zważywszy że już były na nich „zabudowania”.

Dom stał na szczycie bunkra dowodzenia i kierowania starym systemem rakiet antybalistycznych. „Stary” oznaczał w tym wypadku pochodzący jeszcze sprzed czasów Imperium, ale dzięki suchemu pustynnemu powietrzu bunkier wciąż był w doskonałym stanie. Były tu: centrum dowodzenia, sypialnie, pomieszczenia dla oficerów, kuchnia, składy i magazyny.

Kiedy Catrone to kupił, wszystkie pomieszczenia były puste, nie licząc grubej warstwy drobnego piasku, z którego ten region słynął. Oczyszczenie ich i przebudowanie zajęło mu dwa lata. Centrum dowodzenia zamieniło się w salę rekreacyjną z lewitującymi fotelami i – co najważniejsze – barkiem, z sypialni powstała zamknięta strzelnica. Kuchnia pozostała bez zmian, z pomieszczeń dla oficerów Tomcat zrobił dwa pokoje gościnne, a magazyny – niespodzianka – zapełnił dużą ilością zapasów.

Ludzie żartowali, że mógłby się tam bronić przed całą armią, ale prawda była taka, że Catrone ledwie poradziłby sobie z plutonem.

Regularnie raz w tygodniu Tom przeczesywał wszystkie pomieszczenia w poszukiwaniu pluskiew – to był po prostu stary nawyk – ale nigdy żadnej nie znalazł.

–Cześć, Lufrano – powiedział Rosenberg; trzymał w ręku długą metalową różdżkę i przesuwał nią nad gośćmi, nie przestając mówić. – Kopę lat.

–Aha – przytaknął Lufrano Toutain, niegdysiejszy starszy sierżant sztabowy batalionu Stal. – Jak tam w branży transportowej?

**–Wszystko po staremu – odparł Rosenberg. Sprawdził już całą grupę i kiwnął głową.
– Czysto.**

–Utuczone cielę- powiedział Toutain zupełnie innym głosem, otwierając piwo – to syn...

–Cesarzowej – dokończył za niego Tomcat. – Robi wrażenie. Chłopak wyhodował sobie nieliczne kiełki.

–Musiał się sporo napracować – powiedział Youngwen Marinau, łapiąc piwo, które mu rzucił Catrone. Marinau przez osiemnaście ponurych miesięcy był sierżantem w batalionie Brąz. Otworzył bańkę i napił się, przepłukując usta, jakby chciał się pozbyć nieprzyjemnego smaku. – Kiedy go znałem, był z niego kawał gnoja.

–Nie bez powodu to Pahner dostał kompanię Bravo – zauważył Rosenberg. – Nikt się lepiej nie nadawał do opieki nad tym smarkaczem. Ale gdzie oni byli, do diabła? Okręt nie dotarł do Leviathana; zniknęli bez śladu.

–Na Marduku – odparł Catrone. – Nie usłyszałem całej historii, ale byli tam długo, jestem tego pewien. Pahner już tam został. Przejrzałem wszystko, co było na temat tej planety w bazie danych. – Pokręcił głową. – Kupa drapieżników, kupa dzikusów. Nie wiem dokładnie, co tam się stało, ale za księciem chodzi kompania właśnie takich dzikusów. Udają kelnerów, ale to żołnierze, od razu widać. Mieli problem z jednym z drapieżników, które jedzą, i Roger...

Znów pokręcił głową.

–Opowiadaj – powiedział Marinau. – Z przyjemnością dowiem się, że w tej ładnej główce jest coś jeszcze oprócz fatalaszków i mody.

Catrone opowiedział całą historię, kończąc na zabiciu atul.

–Słuchajcie, ja nie jestem bojaźliwy, ale tego draństwa naprawdę się wystraszyłem. To była po prostu masa kłów i pazurów, a Roger nawet nie mrugnął, tylko ją załatwił. Ciach, ciach i koniec. Każdy ruch miał tak wyćwiczony, jakby to robił ze dwa, trzy tysiące razy. Takie umiejętności mógł zdobyć tylko w jeden sposób. Ponadto jest

bardzo szybki. To najszybszy człowiek, jakiego widziałem.

–A więc umie walczyć. – Marinau wzruszył ramionami. – Dobrze, że jest w nim coś z MacClintocka.

–To coś więcej – powiedział Catrone. – Mógł uciec i zostawić nas na pastwę tego stwora, który pewnie rozszarpałby kogoś i zżarł, a tymczasem księżę tego nie zrobił. Nie cofnął się.

–To nie było jego zadanie – zauważył Rosenberg.

–Nie, ale pewnie tylko on miał broń i umiał się nią posługiwać – powiedział Toutain, kiwając głową. – Tak?

–Tak – odparł Catrone.

–Czy to mogło być ukartowane? – spytał Marinau.

–Może. – Catrone wzruszył ramionami. – Ale jeśli tak, co nam to mówi o Mardukanach?

–Co masz na myśli? – spytał Rosenberg.

–Jeden z nich ostro oberwał. Drapieżnik nie zabił go, ale założę się, że niewiele brakowało. Pomyśl. Czy ty byś to zrobił, gdyby Alexandra ci kazała, wiedząc, że ten stwór może cię zabić?

–Która Alexandra? – spytał Marinau głosem nagle ochryplym od bólu starych wspomnień. Opuścił batalion Stal księżniczki Alexandry na niecałe dwa lata przed jej zamordowaniem.

–Wszystko jedno – powiedział Catrone. – Wynik jest ten sam. Nie sądzę, że to było ukartowane. Despreaux też dziwnie się zachowała.

–Jak zwykle – parsknął śmiechem Rosenberg. – Pamiętam, jak wstępowała do Pułku. Cholera, niezła z niej była babka. Nie dziwię się, że księżę na nią poleciał.

–Tak, ale ona jest nauczona tego samego co my: chronić Rodzinę. A tymczasem ona tylko przygotowała się, żeby go wesprzeć. Co ci to mówi?

–Że straciła formę – powiedział Marinau.

–Nie, ona nie uciekła, tylko stała i czekała, jakby wiedziała, że najlepiej będzie, jeśli to Roger stawi czoła temu stworowi. Ufała mu. Nie uciekła, ale i nie próbowała go chronić. Pozwoliła, aby sam to załatwił.

–To, że jest odważny i umie machać mieczem, który jest cholernie archaiczną bronią, to jeszcze nie znaczy, że nadaje się na Cesarza. Wybieranie Cesarza to nie nasze zadanie, ale gdybym miał kogoś wybrać, nie byłby to Roger.

–Wolisz Adoulę? – spytał ze złością Catrone.

–Nie – przyznał ponuro Marinau.

–Sęk w tym, że to nie on stoi za przewrotem. Wiedzieliśmy o tym już wcześniej – powiedział Catrone. – I to on jest prawowitym Następcą Tronu, a nie to dziecko, które tam pichcą. A jeśli czegoś nie zrobimy, Alexandra zginie tak samo jak John i Alex. – Zacisnął zęby i pokręcił głową. – Zamierzasz puścić to Adouli płazem?

–Widzę, że zrobił na tobie wrażenie – zauważył Rosenberg.

–Tak, zrobił. Nie wiedziałem, że to będzie on, czułem tylko, że coś tam śmierdzi. A kiedy go spotkałem, wcale mi nie zaimponował. Ale... on ma w sobie to coś MacClintocków, wiecie? Przedtem nie miał...

–Ani trochę – mruknął Marinau.

–A teraz ma od cholery.

–Czy on chce objąć Tron? – spytała Joceline Raoux. Była emerytowanym starszym sierżantem sztabowym Raidersów, elitarnych komandosów, którzy ścierali się na granicach Imperium z korpusem Greenpeace Świętych.

–Do tego nie doszliśmy, Jo – przyznał Catrone – gdyż ich spławiłem. Nie chciałem się na nic zgadzać bez konsultacji z wami. Ale wydał mi się skoncentrowany przede wszystkim na zapewnieniu bezpieczeństwa Cesarzowej. To mógł być jakiś chwyt – on przecież musi wiedzieć, wobec kogo jesteśmy lojalni – ale właśnie o tym rozmawialiśmy. Naturalnie jeśli odbijemy Tron, on jest Następcą.

–Według naszych raportów niemal natychmiast zostanie Cesarzem – przypomniał ponuro Rosenberg.

–Być może, ale nie uwierzę w to, dopóki nie zobaczę Alexan-dry. Jest silna, na pewno z tego wyjdzie.

–Chcę, żeby była bezpieczna – powiedział nagle twardym tonem Toutain – i chcę, żeby głowa tego bydlaka Adouli spadła za to, co zrobił Johnowi i dzieciom. – Potrząsnął gwałtownie głową. – Chcę jego śmierci. Chcę go załatwić nożem, powoli.

–Nie bardziej niż ja Nowy Madryt – zauważył Catrone. – Dopadnę drania, choćby to była ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Ale Roger może nam dać coś więcej niż tylko

zemstę, może nam zwrócić Imperium. A to jest bardzo ważne.

Rosenberg rozejrzał się po grupie podoficerów, licząc coś w myślach.

–Catrone, Marinau i... Raoux – powiedział po chwili. – Zorganizujcie spotkanie. Powiedzcie mu, że go poprzemy, jeśli ma porządny plan. I dowiedzcie się, o co mu chodzi.

–W jego planie nie będzie tego, co my wiemy – powiedział Catrone. – Nie będzie nawet Protokołów Mirandy.

–Jak się z nim spotkamy? – spytał Marinau.

–Trudniej będzie wymknąć się naszym ogonom niż go znaleźć. – Catrone wzruszył ramionami. – Wiem, że jesteśmy monitorowani, ale łatwo go odszukamy; może być tylko w paru miejscach.

–Spotkaj się z nim jeszcze raz i go sprawdź – powiedział Rosenberg. – Jeśli wszyscy się zgadzacie, zainicjujemy Protokoły Mirandy i zbierzemy klany.

*** * ***

–Honal – Roger uśmiechnął się zaciśniętymi ustami, całą siłą woli powstrzymując się od wymiotowania – w lataniu lekkolotem chodzi o to, żeby przeżyć.

Kanciasty latacz Mainly Fantom był jedynym na tyle dużym modelem sportowym, by Mardukanin mógł wcisnąć się do środka. Był też najszybszym i podobno najbardziej zwrotnym lekkolotem na rynku.

W tej chwili Honal udowadniał, że oba te twierdzenia są usprawiedliwione, mknąc zakosami przez Western Rangę z niebezpieczną prędkością. Dolne, mniej zręczne, ręce położył na sterach, a górne nonszalancko skrzyżował na piersi. Nagle niespodziewanie przecięli prądy powietrzne; jeden z nich porwał latacz i pchnął go w stronę wystającego skalnego szpikulca. Pojazd przechylił się na bok, na stronę pasażera, i Roger z przerażeniem ujrzał skalną ścianę przesuwającą się niecały metr od końcówki skrzydła.

Potem latacz gwałtownie przechylił się na drugi bok i stanął na ogonie. Księżę poczuł skurcz żołądka i zaczęło mu się robić ciemno przed oczami.

–Kocham to! – zaryczał Honal, przewracając latacz na grzbiet. – Popatrz tylko, co można tym zrobić!

–Honal, jeśli zginę, cały plan szlag trafi. Czy moglibyśmy już wylądować?

–Och, oczywiście, ale chciałeś się upewnić, że wiemy, co robimy, tak?

–Udowodniłeś już, że potrafisz pilotować latacz – powiedział ostrożnie Roger. – Dziękuję. Pozostaje pytanie, czy umiesz pilotować żądło, bo to nie jest to samo.

–Ćwiczyliśmy na symulatorach. – Honał wzruszył wszystkimi czterema ramionami. – Są szybsze, ale trochę mniej zwrotne. Mogę pilotować żądło, Roger.

–Celowanie...

–Układ celowniczy jest zautomatyzowany. – Honał ominął kolejną górę, tym razem wolniej i dalej od skał, a potem wylądował obok bardziej pospolitego latacza, którym przyleciał tutaj Roger. – To tylko kwestia wyboru celów. Ludzcy piloci używają tego swoich tootsów, a kontrolę ręczną traktują jako awaryjną, ale my oczywiście tak nie możemy. Z drugiej strony ludzie mają tylko jedną parę rąk. My uczyliśmy się pilotować dolnymi, a celować górnymi rękami. Walczyłem już w sieci z ludźmi, w tym z wojskowymi pilotami żądał; są dobrzy, przyznaję, ale w walce jeden na jednego mogę załatwić każdego z nich, a paru innych z mojej grupy jest prawie tak samo dobrych. Biją nas za to na głowę w taktyce grupowej. Dopiero się tego uczyliśmy; to nie to samo, co szarża civan na Bomanów. Przy ataku skrzydło w skrzydło zestrzeliliby nas jednego po drugim, ale na szczęście eskadra w Pałacu też nie jest wyszkolona w taktyce grupowej. Za to mają niezłą naziemną obronę przeciwlotniczą, a wyeliminowanie jej to następna rzecz, której jeszcze nie umiemy.

–Co można na to poradzić?

–Czytałem wszystko na temat taktyki walki żądlami, co udało mi się zdobyć w tłumaczeniu, ale przed nami jeszcze dużo nauki, a ja sam nie wiem, co jest ważne, a co nie. Nie zrobiliśmy jeszcze takich postępów, na jakie miałem nadzieję. Przykro mi.

–Ćwiczcie dalej – powiedział Roger. – To na razie wszystko, co możemy zrobić.

*** * ***

–Korzystają z Greenbriar – powiedziała Raoux. Sierżant wyglądała już zupełnie inaczej – podobnie jak komandosi Świętych, Raidersi często musieli modyfikować swoją powierzchowność – a po przewrocie przeszła szybki kurs odświeżający jej dawne umiejętności. – Właśnie tam leci.

–Dlaczego Greenbriar? – spytał Marinau. – Przecież to chyba najmniejsza z placówek.

–Pewnie Kosutic tylko o tej wiedziała – powiedział Catrone. – Pahner znalazłby więcej, ale... – Wzruszył ramionami. – Przeniesiemy szybko bazę do Cheyenne, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

–Jesteście gotowi? – spytała Raoux.

–Zaczynamy.

*** * ***

–W porządku – powiedział Roger, patrząc na hologram Pałacu.

–Działka plazmowe tutaj, tutaj i tutaj. Opancerzone i obudowane. Chromfram.

–Nie wyjmie się ich jednostrzałówkami – zauważyła Kosutic – ale można je uaktywnić tylko zdalnym sterowaniem z bunkra ochrony.

–Działka automatyczne tutaj i tutaj – kontynuował Roger.

–Tak samo – odparła Kosutic. – Oba mają na tyle dużą siłę ognia, że mogą załatwić pancerze, których i tak nie możemy wypuścić w pierwszym uderzeniu, bo czujniki w całym mieście zaczęłyby wyc i Pałac zaraz by się zamknął.

–Obrona przeciwlotnicza.

–W chwili kiedy żądła zbliżą się do stolicy, obrona się zaktywizuje. Cywilny ruch powietrzny zostanie uziemiony i powietrze stanie się strefą wolnego ognia. Policja ma systemy odróżniania swój-wróg; być może uda nam się oszukać część obrony, ale i tak będzie niewesoło. Nie wspominając już o fakcie, że nie mamy wystarczającej liczby żadeł. Być może będziemy musieli zamontować uzbrojenie na lataczach, na których trenuje Honal.

–Cudownie – skrzywił się Roger. – Formacja Mainly Fantomów nadlatująca w czasie parady...

–Jeśli przeprowadzimy szturm w samym środku defilady, spowodujemy olbrzymie straty w ludności cywilnej – przypomniała ponuro Despreaux.

–Ale to nasza jedyna szansa dostania się w pobliże Pałacu – odparł Roger.

–We wszystkich scenariuszach, które sprawdziliśmy, ponieśliśmy klęskę – zauważyła Kosutic.

–W takim razie potrzebny wam jest nowy plan – powiedział Catrone, stając w drzwiach. Wszyscy obejrzel się gwałtownie, a on skrzywił się w sardonycznym uśmiechu i ściągnął z twarzy maskę. Dwoje ludzi stojących za nim zrobiło to samo.

–Jak pan się tutaj dostał? – spytał spokojnie Roger i zerknął na Kosutic. – Jasna cholera, Kosutic!

–Ja też chciałabym to wiedzieć – odpowiedziała sztywno sierżant.

–Dostaliśmy się tutaj dobrze ukrytym sekretnym przejściem... tak samo jak dostaniemy się do Pałacu – powiedział Catrone. – O ile przekonacie nas, że powinniśmy was wesprzeć.

–Starszy sierżant sztabowy Marinau – rzekł Roger z zimnym uśmiechem. – Co za miła niespodzianka.

–Cześć, palancie. – Sierżant machnął mu na przywitanie ręką.

–Dla pana, sierżancie, jestem Waszą Wysokością Palantem.

–Miło słyszeć, że dorobił się pan poczucia humoru. – Sierżant usiadł przy stole. – Co się stało z Pahnerem? – spytał, przechodząc od razu do rzeczy.

–Został zabity przez komandosów Świętych – odparła Kosutic. Roger zazgrzytał jedynie zębami.

–Nie wiedzieliśmy o tym – powiedziała Raoux. – Greenpeace?

–Tak – wyjaśnił Roger. – Frachtowiec, który zajmowaliśmy, okazał się jednym z ich zasranych okrętów operacji specjalnych... a my byliśmy już osłabieni. Mieliśmy tylko trzydziestu marines. W ciągu kilku minut wszyscy zostali przygwożdżeni; my nie wiedzieliśmy, kim są tamci, oni nie wiedzieli, kim my jesteśmy. Zrobił się jeden wielki burdel.

–Pan tam był? – Marinau zmrużył oczy.

–Nie – odparł sucho Roger. – Czekałem z Mardukanami na promach desantowych. Arm... kapitan Pahner uznał, że jeśli ja oberwę, cały plan weźmie w łeb. Siedziałem więc z odwodami, ale kiedy się okazało, że to komandosi, musiałem interweniować. Tak, ostatecznie byłem tam.

–Poprowadził pan Mardukan przeciwko Greenpeace'owi? – spytała Raoux. – Ilu pan stracił?

–Czternastu czy piętnastu. Było nam o tyle łatwiej, że wszyscy mieli działka śrutowe i plazmowe.

–Potrafią się nimi posługiwać? – Marinau pokręcił głową. – Ja spodziewałbym się po nich raczej dzid i kamieni.

–Niech pan nie lekceważy moich towarzyszy. – Roger mówił wolno, akcentując wyraźnie każde słowo. – Wszyscy jesteście weteranami, ale prawda jest taka, że

Imperium nie prowadziło żadnej większej wojny od ponad stu lat. A pani nie znam. – Książę wycelował palec w Raoux.

–Joceline Raoux – podpowiedziała mu Kosutic. – Raidersi.

–A ty jesteś Eva? – spytała Raoux. – Kopę lat, plutonowy.

–Sierżant, starszy sierżant sztabowy – poprawiła ją z uśmiechem Kosutic. – Według Jego Wysokości pułkownik, ale na razie to zostawmy.

–Chodzi o to... – zaczął Roger, po czym przerwał i spojrzał na Kosutic.

–Eva, w ilu akcjach brałaś udział przed Mardukiem?

–W piętnastu.

–Sierżancie Catrone?

–W dwudziestu paru – odparł Tomcat.

–A jakieś zacięte bitwy? Chodzi mi o ciągłą walkę trwającą ponad jeden dzień.

–Nie, nie licząc jednej akcji uwalniania zakładników, ale to w żadnym razie nie była bitwa. Do czego pan zmierza?

–Zmierzam do tego – odparł Roger – że podczas pobytu na Marduku stoczyliśmy, lekko licząc, dziewięćdziesiąt siedem potyczek i siedem dużych bitew, z których jedna trwała aż trzy dni. Przeżyliśmy także ponad dwieście ataków atul, atul-grack, krokodyli i innych agresywnych zwierząt, które dostały się na teren naszych obozowisk.

Przerwał i przez dłuższą chwilę przyglądał się trójce podoficerów. Potem wyszczerzył zęby.

–Może wam się wydawać, że jesteście Bóg wie czym, państwo sierżanci, ale w porównaniu z moimi żołnierzami nie jesteście warci nawet jednej śruciny. Czy to jasne?

–Spokojnie, Roger – powiedziała Eleanora.

–Nie, nie będę spokojny, to musi być od samego początku jasne. Eleanora brała udział w większej liczbie bitew niż cała wasza trójka razem wzięta. Ze względu na czas trwania walki biję na głowę wszystkich w tym pomieszczeniu, z wyjątkiem Ewy. Zaatakowaliśmy kompanię komandosów Świętych na pokładzie ich okrętu i daliśmy im w dupę. Nie zostało ich nawet tylu, żeby pogrzebać zabitych. A w porównaniu do kilku innych rzeczy, których dokonaliśmy na Marduku, to był zwykły zasrany piknik.

Dlatego nie próbujcie nas traktować z góry, państwo sierżanci. Nawet nie próbujcie.

–Pan już wcześniej używał tego miecza na chrystebestie – powiedział spokojnie Catrone.

–Musieliśmy przejść pieszo całą planetę – powiedziała ze złością Despreaux. – Nie dało się zabrać wystarczającej ilości amunicji. Karabiny plazmowe wybuchały, a cholerne atul wciąż nas atakowały! – Pokręciła głową. – I Kranolta, i Bomani. Krath, Marshad...

–Sindi, Ran Tai i flar-ke – dokończył Roger. – Przeklęta ryba coli. Mamy ze sobą małą prezentację, państwo sierżanci. To tylko streszczenie tego, co się wydarzyło; można to nazwać raportem z akcji. Trwa około czterech godzin, ponieważ obejmuje wydarzenia z ośmiu miesięcy. Czy mielibyście ochotę ją zobaczyć?

–Tak – powiedział po chwili Marinau. – Chyba powinniśmy zobaczyć, co takiego się wydarzyło, że zajęty tylko ciuchami dupek... stał się zupełnie innym człowiekiem.

*** * ***

Roger wyszedł z sali po pierwszych trzydziestu minutach. Widział to wszystko na własne oczy, a prezentację też już oglądał. Przygody są pociągające tylko wtedy, kiedy przydarzają się komuś innemu, daleko od nas. Któregoś dnia być może będzie w stanie rozsiać się w fotelu i powspominać, ale na razie jeszcze nie.

Despreaux wyszła za nim.

–Jak nam się to udało, Roger? – spytała cicho. – Jak myśmy to przeżyli?

–Nie przeżyliśmy. – Książę objął ją ramieniem. – Ludzie, którzy weszli do tego kotła, już z niego nie wyszli. Wyszły tylko ciała, ale dusze tam pozostały.

Pocałował ją w czubek głowy, wdychając słodki zapach jej włosów.

–Wiesz, cały czas sobie powtarzam, że musimy to zrobić dla Imperium. I za każdym razem kłamię.

–Roger...

–Nie, posłuchaj. Nie robię tego dlatego, że chcę Tronu. Robię to, bo mam dług wobec ciebie, Kostasa, Armanda, Nassiny Bosum.

Zmarszczył czoło, próbując znaleźć właściwe słowa.

–Wiem, że muszę na siebie uważać, że wszystko spoczywa na moich barkach, ale czuję, że przede wszystkim powinienem chronić ciebie. – Przycisnął ją do siebie

mocniej. – Nie tylko ciebie, ale i Evę, Juliana, Poertenę. Wszystkich, którzy ocalili. Którzy widzieli to, co widzieli, i zrobili to, co zrobili. Wszyscy jesteście dla mnie... kimś wyjątkowym. Dlatego właśnie muszę uratować matkę i... Tak, chcę, żeby matka wyszła z tego cała i zdrowa, ale muszę to zrobić przede wszystkim po to, żebyście wy byli bezpieczni. Żebyście nie budzili się każdego ranka z myślą, że dzisiaj po was przyjdą. A żeby tak było, muszę bronić Imperium. Nie fragmentu, nie kawałka, ale całego Imperium. Dlatego muszę przeżyć. Ale zawsze w pierwszej kolejności myślę o... o nas, o naszej garstce.

–To... szaleństwo – powiedziała Despreaux ze łzami w oczach.

–A więc jestem szaleńcem. – Roger wzruszył ramionami. – Jak powiedziałem, nikt z nas nie przeżył.

–Wystarczy tego dobrego – powiedziała Raoux, wychodząc na korytarz. – O, przepraszam. – Zatrzymała się na ich widok.

–Rozmawialiśmy tylko o motywach naszych działań – powiedział Roger.

–To musiała być bardzo poważna rozmowa. – Raoux popatrzyła na Despreaux.

–Bo i motywy są bardzo poważne.

–Już rozumiem dlaczego. Wyszłam, kiedy to... coś rozpuściło jednego z waszych żołnierzy.

–Talberta. To gąsienica-morderca. Nauczyliśmy się ich unikać, a jad gąsienic okazał się bardzo użyteczny. – Książę wzruszył ramionami. – Trzeba było zostać. Nie dotrwała pani nawet do Mohinga.

–Mohinga? – Raoux uniosła brwi. – To baza szkoleniowa w prowincji Centralia. Jedno wielkie paskudne bagno.

–My mieliśmy własne. – Roger spojrzał na Despreaux. – Przed Voitan, pamiętasz?

–Tak. Myślałam, że tam było ciężko, ale dopiero Voitan nadało słowu „ciężko” zupełnie nowego znaczenia.

–Udało ci się tam uratować mi życie. Cały czas pamiętam widok twojego tyłka. Już przedtem mi się wydawało, że mi się podobasz, i zastanawiałem się, jak wygląda twój tyłek.

–Świetna pora na takie myśli! – powiedziała ze złością Despreaux.

–No, to był bardzo ładny tyłek. – Roger uśmiechnął się. – Nadal jest ładny, nawet

jeśli zrobił się trochę... bardziej okrągły.

–Tłusty.

–Nie, nie tłusty, jest bardzo ładny.

–Przepraszam. – Raoux skrzyżowała ręce na piersi. – Może znajdziecie sobie jakiś pokój, co?

–A więc mamy wasze poparcie? – spytał ostro Roger i spojrzał sierżant w oczy, teraz już bez uśmiechu. – Jako Stowarzyszenia?

–Stowarzyszeń w liczbie mnogiej.

Wyraz twarzy księcia i sposób, w jaki na nią patrzył, kojarzył jej się nieprzyjemnie z drapieżnym ptakiem. Nie z orłem, który ma w sobie pewien majestat, raczej z sokołem – szybkim i dzikim ptakiem, który ma naturę piły łańcuchowej.

–Nazywamy siebie klanami – wyjaśniła Raoux. – Stowarzyszenie Raidersów, Stowarzyszenie Operacji Specjalnych, Stowarzyszenie Osobistego Pułku Cesarzowej. Mamy sporo punktów wspólnych, czyli ludzi takich jak Tomcat.

–Wszystkie? – spytał Roger.

–Jak pan sądzi, po co tutaj jestem? Nigdy nie należałam do Klubu Ładnych Twarzyczek.

–Dostaniemy wasze poparcie? – nie ustępował Roger.

–Prawdopodobnie. Marinau się wstrzymywał, pewnie dlatego, że pana wcześniej znał, ale jeśli przesiedzi do końca tego... raportu z piekła, nie sądzę, żeby jeszcze się wahał. Ludzie się zmieniają.

–Właśnie o tym rozmawialiśmy – powiedział cicho Roger. – Wyjaśniałem Nimashet, że tak naprawdę nikt z nas nie uszedł z Marduka żywy. Wszyscy ludzie, którzy tam wylądowali, zmienili się.

–Niektórzy na gorsze – dodała Despreaux.

–Nie – zaprzeczył surowo Roger. – Jesteś moim sumieniem i moją kotwicą. Nie możesz być jednocześnie moim sumieniem i mieczem. Ja mam ludzi do noszenia broni i pociągania za spust, a jak będzie trzeba, znajdę ich więcej. A ty jesteś tylko jedna, Nimashet Despreaux.

–On ma rację – powiedziała Raoux. – Nie przejmuj się zmęczeniem walką. Po tym, co właśnie obejrzałam, wiem, że jeśli ktoś kiedyś dostał porządny łomot, to właśnie

wy. Zasłużyłaś sobie na przeniesienie do lżejszych obowiązków, a i tutaj masz swoją rolę do odegrania.

–Chyba tak – przyznała niechętnie Despreaux.

–No więc co konkretnie możecie nam zaproponować? – spytał Roger.

–Zaczekajmy na resztę – odparła Raoux.

Nie trzeba było długo czekać, żeby pojawił się Marinau, a zaraz po nim Catrone. Z całej trójki tylko Tomcat się uśmiechał.

–Chryste – powiedział – jak ja żałuję, że mnie tam nie było!

–No pewnie. – Raoux pokręciła głową. – Lubisz koszmary.

–No więc dobrze, jestem przekonany – powiedział Marinau. – Cały czas wypatrywałem jakichś efektów specjalnych, ale ich nie było; to wszystko prawda.

–Najprawdziwsza – dodał Roger z zaciętą twarzą.

Marinau odchrząknął, pokręcił głową, w końcu spojrzał na księcia.

–Wchodzę w to – powiedział. – Ale dlaczego nie mógł pan pokazać chociaż odrobiny tego wszystkiego, kiedy ja dowodziłem? – spytał żałośnie. – Moja praca byłaby wtedy... no, może nie łatwiejsza, ale chyba bardziej satysfakcjonująca.

–Może niepotrzebnie zostawiałem swoją eskortę, kiedy szedłem polować – Roger wzruszył ramionami – ale wszyscy hałasowaliście w lesie jak flar-ta.

–Zdradzę panu pewien sekret – powiedział Marinau z zawstydzoną miną. – Wszyscy myśleliśmy, że to pana przewodnicy polują, a pan tylko się przechwala i przynosi trofea. Proszę, jak człowiek może się pomylić. Ale ja jestem na tyle mężczyzną, że potrafię się do tego przyznać. Wchodzę w to.

–A więc Raidersi wchodzą – powiedziała Raoux.

–Operacje Specjalne też wchodzą – powiedział Catrone – ale pod warunkiem, że będziemy mogli działać razem z Mardukanami. Poza tym chcę dostać Nowy Madryt. Zamierzam przez resztę życia zamęczać go na śmierć. Jest taka sztuczka z kamizelką ze stalowego drutu i kamieniem...

–Porozmawiamy o tym – przerwał mu Roger. – A teraz wracajmy do sali konferencyjnej.

–Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział Catrone, kiedy ściszone fonię. Roger nie

wyłączył filmu, pozostawiając go jako dość wymowny argument w dyskusji. – Wie pan, kim byli Strielcy, Wasza Wysokość?

–Nie.

–Tak – odparły jednocześnie Despreaux, Kosutic i Eleanora.

–Dlaczego ja nie wiem? – spytał księżę.

–Mieliśmy to na wykładach przy wstępowaniu do Pułku. – Despreaux zmarszczyła czoło, wyężając pamięć. – To byli rosyjscy żołnierze.

–Dobrze, a słyszał pan o pretorianach? – spytał Catrone.

–Tak jakby. To Rzymianie.

–Jedni i drudzy to jest to samo.

–Niezupełnie – wtrąciła się Eleanora. – Pretorianie byli początkowo dziesiątym legionem Cezara, a...

–Z mojego punktu widzenia jedni i drudzy to jest to samo – przerwał jej z irytacją Catrone. – Byli gwardzistami swoich cesarzy, odpowiednikiem Osobistego Pułku Cesarzowej, tak?

–Tak – powiedział Roger.

–I jedni, i drudzy uznali w końcu, że to oni będą decydować, kto zostanie następnym Cesarzem.

–Zaczynam rozumieć.

–Osobisty Pułk Cesarzowej jest naprawdę bardzo wybredny – rzucił Marinau. – Nie wystarczy coś umieć, trzeba jeszcze... kimś być.

–To ładni chłopcy – uśmiechnęła się Raoux.

–To też – zgodził się Marinau ze wzruszeniem ramion – ale ci ładni chłopcy nigdy dotąd nie decydowali o Tronie. Narzucono nam wiele różnych... ograniczeń, na przykład w zakresie naszej liczebności...

–Dlatego nigdy nie jesteśmy w pełnym składzie osobowym – wtrącił Catrone.

–Mamy też ograniczoną siłę ognia – kontynuował Marinau. – Wielka Flota w każdej chwili może nas załatwić.

–Jeśli chce zabić Cesarzową- zauważył Roger.

–To prawda, ale zmierzam do tego, że można nas pokonać. Mogłyby tego dokonać oddziały garnizonowe stacjonujące poza Ameryką Północną, gdyby były gotowe ponieść odpowiednio duże straty.

–Część tych ograniczeń wprowadziła Miranda MacClintock – powiedział Catrone.

–Która była wyjątkową paranoiczką – dodał Marinau.

–I uczoną – przypomniała Eleanora – która rozumiała niebezpieczeństwo posiadania gwardii pretoriańskiej. To prawda, że można was pokonać, ale jesteście też jedyną znaczącą imperialną jednostką lądową, której wolno stacjonować na tym kontynencie. Ta brygada, która zaatakowała Pałac, wyraźnie naruszyła imperialne prawo.

–Ale Miranda wymyśliła też inne rzeczy – powiedział Catrone, machnąwszy ręką na to, co powiedziała Eleanora. – Na przykład to. – Wskazał otaczający ich kompleks. – Zauważyliście, że jesteśmy otoczeni przez same drapacze chmur?

–Ja zauważyłem – powiedział Roger.

–To rozmyślnie i bardzo sprytne zagospodarowanie przestrzeni, którego celem jest niedopuszczenie do odkrycia tego kompleksu. Poza tym o niektórych rzeczach można się dowiedzieć dopiero po odejściu z Pułku.

–Tak, to sprytne – przyznała Kosutic.

–Niektóre rzeczy – hasła, tajemnice – były przekazywane przez byłych dowódców i sierżantów innym byłym dowódcom i sierżantom. Część tej wiedzy prawdopodobnie w ten sposób przepadła, ale wszystkich sekretów strzeżono... bardzo pilnie. Wyleciałeś, masz na pieńku z obecnym Cesarzem, ale mają do ciebie bezgraniczne zaufanie, a ty dochowujesz tajemnicy. I już nie możesz się bawić w obsadzanie Tronu.

–Aż do teraz – powiedziała Eleanora. – Prawda?

–Jak widać – odparł Catrone, patrząc uważnie na księcia. – Czy jesteś księciem Rogerem Ramiusem Sergeiem Alexandrem Chiangiem MacClintockiem, synem Alexandry Harriet Katryn Griseldy Tian MacClintock?

Roger otarł czoło i zmarszczył w zdumieniu brwi.

–Co pan robi? – spytał podejrzliwie.

–Proszę odpowiedzieć: tak lub nie. Czy jesteś księciem Rogerem Ramiusem Sergeiem Alexandrem Chiangiem MacClintockiem, synem Alexandry Harriet Katryn Griseldy Tian MacClintock?

–Tak – odparł stanowczo książę.

–Czy na Tronie zasiada obecnie uzurpator? – Tak.

–Czy próbujesz zająć należne ci miejsce dla dobra Imperium?

–Tak – odparł po chwili. Naprawdę działał dla dobra Imperium.

–Czy będziesz dbał o jego bezpieczeństwo, czy będziesz chronił nasz lud jak własne dzieci i czy zapewnisz ciągłość naszej dynastii?

Głos Catrone'a nabrał dziwnego brzmienia.

–Tak – szepnął Roger.

–A więc wręczamy ci nasz miecz – powiedział sierżant już wyraźnie kobiecym głosem. – Nieś go w imię boże, by bronić prawa, by chronić nasz lud przed nieprzyjaciółmi, by strzec jego wolności i zachować nasz Dom.

Roger opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

–Roger? – Despreaux położyła dłoń na jego ramieniu.

–Wszystko w porządku – szepnął książę. – O cholera.

–Nie wyglądasz tak, jakby wszystko było w porządku – powiedziała z troską.

–Boże – jęknął Roger. – O Boże. Wszystko tutaj jest...

–Co wszystko? – Despreaux odwróciła się z wściekłością do Catrone. – Co pan mu zrobił?

–Ja nic – odparł Catrone już normalnym głosem. – To Miranda MacClintock.

*** * ***

–Tajne przejścia są tutaj, tutaj i tutaj. – Roger aktualizował mapę Pałacu przez swojego tootsa. – To jest stara linia metra. Bunkier kontrolny znajduje się w podziemiach starego dworca!

–Wszystko to miał pan w głowie? – spytała z podziwem Eleanora, patrząc na hologram.

–Tak. Ale to każe mi się zastanawiać, chociaż boję się o tym myśleć, czy tamci mogli wydobyć z mojej matki te same informacje.

–Nie powiem, że to niemożliwe – powiedział Catrone – ale dane są tak zaprogramowane, że automatycznie się kasują, jeśli ich posiadacz jest przesłuchiwany. Wystarczy nawet ostro postawione pytanie. Przypadkiem wiem, że po pańskich rozmowach z matką dwa razy aktualizowano pana dane.

–To by się zgadzało. Matka często potrafiła... ostro postawić pytanie. „Dlaczego nie zetniesz tych włosów?”, „Co ty robisz całymi dniami na tych polowaniach?” – dodał fałsetem.

–Wszystko to jest paranoicznie pomyślane – ciągnął Catrone. – Lekarze, którzy przeprowadzają aktualizacje tootsów, nawet o tym nie wiedzą. Całą operacją zawiaduje Pułk, a Pułk z kolei wie tylko tyle, że to stary moduł. Cholera, nawet operacja, dzięki której ja mam kody aktywacyjne, jest w ten sam sposób przeprowadzana. Nasze tootsy – uśmiechnął się krzywo – nie kasują danych, ale za to cały czas mają uaktywnione obwody samobójcze, na wypadek, gdyby ktoś próbował z nas wyciągnąć, co wiemy o Protokołach. Co do Rodziny Cesarskiej i pakietu, to po prostu jedna z tradycji Pułku. Tylko my wiemy coś na ten temat; noszący pakiety nie mają o tym pojęcia.

–Możecie nam wszystko wcisnąć – powiedział ze złością Roger.

–A więc może jednak jesteśmy w stanie decydować o Tronie – przyznał Catrone. – Nie wiem. Nie wiemy nawet, co tam jest. To po prostu pakiet danych, który dostajemy z IBI. To chyba oni dbają o to, żeby wprowadzać najświeższe informacje wywiadu, ale nawet oni nie wiedzą, do czego to ma służyć.

–To coś więcej niż tylko pakiet danych – powiedział Roger. – To tak jakby mieć w głowie starą Mirandę. Boże, ale to dziwne uczucie. Sposób, w jaki są zamieszczone dane...

Umilkł.

–Jaki? – spytała w końcu Despreaux.

–Przede wszystkim dane są nieusuwalne. – Roger patrzył na stół, ale najwyraźniej go nie widział; poruszał oczami, jakby coś czytał. – To znaczy, że nie mogę ich po prostu skasować. Znajdują się w podzielnym segmencie pamięci i jest ich tam o wiele więcej niż tylko dane o Pałacu. Techniki zabójstw, włamywanie się do tootsów, przygotowywanie i podawanie trucizn, analizy wyników i raporty, programy hackerskie, dostęp do sieci danych Imperium i IBI. Ten, kto się tym zajmuje ze strony IBI, dodaje najnowsze technologie i hasła. Tego jest więcej niż myślałem, że toots może pomieścić.

–Czy jest jakieś wejście do Pałacu? – spytała Kosutic.

**–Widzę kilka. Wszystkie stwarzają jakieś problemy, ale... – Podniósł rękę. –
Zaczekajcie.**

Zamknął oczy i odchylił się w tył, kołysząc się z boku na bok. Grupa patrzyła na niego w milczeniu, zastanawiając się, co takiego widzi. Nagle księżę wyprostował się, otworzył oczy, skrzyżował ręce na piersi i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Despreaux poczuła lekkie mdłości. Ten uśmiech był... obłąkany, zły. Potem uśmiech zniknął i księżę popatrzył po zebranych.

–Teraz już wiem, jak się czuł Aladyn – powiedział.

–O czym pan mówi? – Sądząc po głosie, Kosutic była tak samo zaniepokojona jak Despreaux.

–Przejdźmy się – odparł Roger. Wyprowadził ich z pomieszczenia i ruszyli korytarzami na południowy skraj kompleksu. Tam stanęli przed gołą ścianą.

–Sprawdzaliśmy ją – powiedziała Kosutic.

–I znaleźlibyście te drzwi, gdyby były normalne. – Roger wyjął z kieszeni nóż i postukał nim w twardy beton. – Protokół Miranda MacClintock Jeden-Trzy-Dziewięć-Beta. Sezamie, otwórz się!

Uderzył otwartą dłonią w mur.

–Paranoiczka, ale z poczuciem humoru – powiedział sucho Catrone, kiedy ściana zaczęła się cofać. Okazało się, że „ściana” jest półmetrową betonową płytą, wpuszczoną w macierzystą skałę wzniesienia. Ich oczom ukazał się prawie czterometrowy korytarz, który prowadził do wielkiego kopulastego pomieszczenia; jego ściany i sklepienie lśniły srebrem chromframowego opancerzenia.

Pod ścianą po lewej stało w rzędzie pięć żądał – model, którego Roger nie rozpoznawał, o krótkich, tępych skrzydłach i szerokim kadłubie – oraz dwa promy. Naprzeciw nich stały trzy lekkie czołgi antygravitacyjne. Wszystkie maszyny były owinięte materiałami ochronnymi.

–Chwila. – Roger wyciągnął rękę, kiedy Catrone spróbował go wyminąć. – Azot – wyjaśnił, kiedy w pomieszczeniu zapaliły się światła, a w oddali zaczęły pracować wentylatory. – Jeśli pan tam teraz wejdzie, zemdleje pan w sekundę.

–To też tam było? – spytał Tomcat, wskazując podbródkiem na głowę księcia.

–Aha.

–Czy w każdym ukrytym kompleksie jest coś takiego?

–Aha. Większy zestaw jest w Cheyenne. Był pan sierżantem Złota, więc o tamtym pan wiedział, prawda?

–Tak. Ile jest takich kompleksów?

–Pięć. Greenbriar, Cheyenne, Weather Mountain, Cold Mountain i Wasatch.

–Trzydzieści żądał? – spytał Rosenberg.

–Pięćdziesiąt pięć – odparł książę. – Po dziesięć w Weather Mountain i Wasatch i po piętnaście w Cheyenne.

–Wiedziałem, że to wygląda podejrzanie! – warknął Catrone. – To kompleks przeznaczony dla Cesarzowej. Kiedyś go obejrzałem i wydawało mi się, że kopuła jest zbyt płaska!

–To dlatego, że nie ma całej dolnej części – wyjaśnił Roger. – Wszystko jest ukryte pod znanymi pomieszczeniami i nie wchodzi w skład pierwotnego kompleksu; to późniejsza dobudówka. – Zerknął na wyświetlacz w ścianie tunelu i kiwnął głową. – Wystarczy.

–Nie znam ich. – Despreaux wskazała żądła. – Czołgów też nie, skoro już o tym mowa.

–Bo to antyki – powiedział Rosenberg, przesuwając czule dłonią po ostrym jak igła dziobie najbliższego myśliwca. – Widziałem je tylko na pokazach. Mają ponad sto lat. Densoni Shadow Wolf: czterdziestomegawatowy reaktor, dziewięć tysięcy kilo ciągu, trzy koma pięć macha czy coś koło tego. – Dotknął krawędzi natarcia jednego skrzydła i westchnął. – Cholernie trudne w pilotażu. Wykorzystywały więcej powierzchni nośnej niż współczesne statki; jak tylko straciło się nad nimi panowanie, leciały gdzie chciały, a potem spadały. Nazywali je Grabarzami.

–A więc nie przydadzą nam się przeciwko Raptowni – westchnął Roger. – Już myślałem, że trafiliśmy w dziesiątkę.

–Och, nie wiem. – Rosenberg wyduł wargi. – Potrzeba by dobrych pilotów, a ja nie mam pięćdziesięciu pięciu takich, których mógłbym do tego zaprząć i mieć pewność, że nie będzie żadnych przecieków. Przydałoby się też, żeby byli wariatami. Ale podstawowy projekt żądał nie zmienił się tak bardzo przez ostatnie sto lat. Shaow Wolfy tak naprawdę są szybsze od Raptorów i być może nawet odrobinę bardziej zwrotne. Na pewno są bardziej sterowne przy dużych prędkościach; wyciągają około

trzydziestu G w skrócie bez kompensatorów, ale kosztem siły nośnej i kontroli grawitacyjnej. Ograniczniki zmniejszają zwrotność do maksymalnie szesnastu G. Nowoczesne reaktory fuzyjne dają większe przyspieszenie i większy udźwig broni. Poza tym, jak mówiłem, cholernie trudno nad nimi zapanować.

Spojrzał na Rogera i uniósł brew.

–A amunicja?

–Magazyn. – Roger wskazał wylot innego tunelu. – I zbrojownia. Nie ma pancerzy wspomaganych, są tylko skafandry i egzozkielety.

–Sto lat temu nie mieli jeszcze takiej technologii wspomagania, jaką mamy teraz – powiedział Catrone, ruszając tunelem. – Zasilanie chromframowego pancerza zużywało za dużo energii. A broń?

–Stare, naprawdę bardzo stare karabiny plazmowe – odparł Roger. – Czterdzieści kilowatów.

–Nie dadzą rady pancerzom wspomaganym – powiedziała Kosutic.

–Mnie się w ogóle nie podoba pomysł starej broni plazmowej – stwierdziła Despreaux – zwłaszcza po tym, co się działo na Marduku.

–Trzeba będzie wszystko sprawdzić – powiedział książę. – Większość powinna być w dobrym stanie, gdyż nie było tutaj tlenu. Poza tym broń może być stara, Nimashet, jeśli nie produkował jej Adoula i jego dupki. Część sprzętu umieściła tutaj sama Miranda – ma prawie sześćset lat – a resztę dodano później.

–A więc ktoś to tutaj zbierał – powiedział Catrone. – Stowarzyszenie?

–Czasami, ale zazwyczaj zajmowała się tym bezpośrednio Rodzina. Jak powiedziałem, część sprzętu zgromadziła moja praprababcia, korzystając z IBI, a potem niektórzy członkowie Rodziny uzupełniali go coraz nowocześniejszym sprzętem, jak na przykład... bombami z opóźnionym zapłonem albo Shadow Wolfami. Sądzęjednak...

Zmarszczył brwi i spojrzał na sufit, jakby coś liczył.

–Tak – powiedział po chwili. – Matka powinna była wprowadzić tutaj jakieś ulepszenia. Zastanawiam się, dlaczego... – Przerwał. – O Boże, ależ ona miała paranoję.

–Co? – spytała Despreaux.

–Suka! – warknął Roger.

–Co!?

–Och, nie ty – zapewnił pośpiesznie ksiązę. – Miranda. I matka. Są tutaj... rodzinne protokoły zabezpieczeń, chyba można to tak nazwać. – Znów zamknął oczy i pokręcił głową. – Wyobraźcie sobie...

–O Chryste – przerwał mu Catrone. – Czy ty ufasz swojej rodzinie? Czy naprawdę jej ufasz?

–Bingo. – Roger otworzył oczy i rozejrzał się. – Protokoły otwierały się tylko wtedy, kiedy Cesarz albo Cesarzowa w pełni ufali ludziom, których zamierzali wykorzystać do unowocześnienia kompleksów i dla których chcieli je unowocześnić. Jeśli im nie ufali, od czasu do czasu byli... sondowani. Na przykład moja matka prawdopodobnie co miesiąc była pytana, czy naprawdę ufa... no cóż, mnie. – I nie ufała – powiedział Catrone.

–Najwyraźniej nie – odparł sztywno Roger. – Jakbym tego nie wiedział wcześniej.

–Jeśli nam się uda, zaczniesz panu ufać – powiedział Marinau. – Niech pan o tym pamięta.

–Tak, zresztą to nie tylko moja matka czy Miranda. Dziadek nie chciał myśleć o tego rodzaju bzdurach, dlatego te żądła pochodzą z czasów sprzed jego wstąpienia na Tron, chociaż te w Cheyenne są nowocześniejsze. – Skrzywił się. – Pewnie dlatego, że najprawdopodobniej wykorzystałbym te tutaj, gdyby się okazało, że mama słusznie mi nie ufała.

–Ale przynajmniej są – zauważyła Despreaux.

–A ponieważ są, mamy jakieś szanse – wtrącił Rosenberg. – Może nawet spore.

–Nie możemy użyć żądał z Cheyenne – powiedział Roger – gdyż są za daleko.

–A ja mam tylko jednego pilota, którego mógłbym w to wciągnąć – powiedział Rosenberg.

–Piloci to nie problem – odparł spokojnie ksiązę. – Ale będziemy musieli sprowadzić tutaj techników, żeby przejrzeni sprzęt. Maszyny powinny być w dobrym stanie, a na pewno będą jakieś problemy. Są tu także części zamienne.

–Będziemy potrzebowali więcej panczerzy – powiedział Catrone.

–To też nie jest problem. Nowoczesne uzbrojenie też nie. Te karabiny plazmowe to

antyki, ale nadają się do działań przeciwpiechotnych, a ciężką bronią mogą się posługiwać Mardukanie. Mamy też z innego źródła zaopatrzenia ponad dwadzieścia ciężkich działek plazmowych i śrutowych i trochę panczerzy.

–Tak? – Catrone spojrział na niego ze zdziwieniem.

–Tak. Największym problemem jest to, że będziemy musieli wszystko przećwiczyć, a potrzebujemy do tego o wiele więcej miejsca niż mamy tutaj, w Greenbriar. Musimy zebrać wszystkich w jednym miejscu, a jak, u diabła, mamy to zrobić, nie uruchamiając wszystkich alarmów Adouli?

–Powiem panu coś – odparł Catrone. – Pan się zajmie swoimi dostawcami, a my wymyślimy, jak to przećwiczyć i skąd wziąć techników.

* * *

–Musimy rozwiązać jeszcze jeden problem – powiedział Catrone, kiedy wrócił razem z Rogerem do sali narad. Despreaux, Kosutic i Marinau przeglądali zbrojownię, a Rosenberg przeprowadzał wstępne oględziny żądań i promów.

–Jaki?

–Niezależnie od tego, co się stanie, nie zdradzimy pana ani nie wydamy, ale wciąż są pewne grupy ludzi, którzy nie mają zbyt wysokiego mniemania o księciu Rogerze MacClintocku.

–Wcale mnie to nie dziwi – odparł spokojnie Roger. – Ja sam byłem swoim najgorszym wrogiem.

–Ci ludzie popierają Alexandrę, a kiedy zajmiemy Pałac, to pan dojdzie do władzy.

–Nie, jeśli Stowarzyszenie będzie przeciwko mnie.

–Nie chcemy walki stronnictw w samym Pałacu – odparł sztywno Catrone. – To by była najgorsza z możliwych ewentualności. Ale powiedzmy sobie wprost: nie walczymy za księcia Rogera, walczymy za Cesarzową Alexandrę.

–Rozumiem. Jest tylko jeden kłopot.

–Pana matka może nie być w pełni sprawna umysłowo.

–Zgadza się. – Roger zastanowił się nad następnymi słowami. – Posiadamy... raporty, które wskazują na to, że może być w poważnym stopniu niepełnosprawna. Niech pan posłucha, Tom. Ja nie chcę Tronu. Jaki wariat chciałby go w takiej sytuacji? Ale według wszystkich raportów moja matka nie będzie w stanie rządzić

dalej jako Cesarzowa.

–Tego nie wiemy. Mamy tylko plotki i informacje z piątej ręki. Pana matka to bardzo silna kobieta.

Roger odchylił się do tyłu i popatrzył na starego żołnierza, jakby go po raz pierwszy widział.

–Pan ją kocha – powiedział.

–Co?! – warknął Catrone i spojrzał na niego spode łba. – To moja Cesarzowa. Przysiągłem jej bronić, zanim jeszcze pan w ogóle przyszedł do głowy Nowemu Madrytowi. Byłem starszym sierżantem sztabowym batalionu Srebro, kiedy była jeszcze Pierwszą Następczynią. Oczywiście, że ją kocham! To moja Cesarzowa, ty młody durniu!

–Nie. – Roger nachylił się do przodu i spojrzał Catrone'owi prosto w oczy. – Czas spędzony w tamtym szybkowarze nauczył mnie czegoś więcej niż tylko machania mieczem, Tomcat. Nauczył mnie oceniać ludzką naturę. Twierdzę, że pan ją kocha. Nie jako przełożonego, nie jako Cesarzową, ale jako kobietę. Niech pan powie, że kłamię.

Catrone odchylił się do tyłu i skrzyżował ręce na piersi. Odwrócił wzrok od zmodyfikowanych oczu Rogera, potem znów w nie spojrzał.

–A jeśli to prawda? To nie pana sprawa.

–Moja. Co pan kocha bardziej: ją czy Imperium?

Przez chwilę patrzył sierżantowi w twarz, potem pokiwał głową.

–To dopiero zagwozodka, co? Jeśli będzie pan musiał wybrać między Alexandrą MacClintock i Imperium, czy będzie pan umiał wybrać?

–To sytuacja hipotetyczna. Nie da się ocenić...

–To bardzo ważna sytuacja hipotetyczna – przerwał mu Roger. – Spójrzmy prawdzie w oczy: jeśli nam się uda, to my będziemy decydowali o Tronie. A wszyscy ludzie na Starej Ziemi, w marynarce, korpusie, Izbie Lordów, Izbie Gmin, wszyscy od razu będą chcieli wiedzieć, kto rządzi. – Machnął ręką, podkreślając swoje słowa. – Od razu. Kto wydaje rozkazy, kto trzyma wodze, nie wspominając o kodach obrony planetarnej. Według moich informacji matka nie jest w stanie wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Co mówią wasze źródła?

–Że jest... niepełnosprawna. – Wyraz twarzy Catrone'a był twardy jak obsydian. – Że

używają psychotropów, że kontrolują ją poprzez tootsa i... że znęcają się nad nią seksualnie.

–Co? – spytał bardzo cicho Roger.

–Używają psychotropów...

–Nie, to ostatnie.

–Dlatego właśnie earl bierze we wszystkim udział. – Catrone przerwał, spoglądając uważnie na księcia. – Pan nie wiedział – stwierdził cicho po chwili.

–Nie. – Roger zacisnął pięści, a jego twarz zastygła w zaciętym grymasie. Po raz pierwszy Thomas Catrone poczuł ukłucie strachu, patrząc na siedzącego naprzeciw niego młodego człowieka.

–Nie wiedziałem – powiedział księżę Roger MacClintock.

–To ich... wyrafinowane metody. – Catrone zgrzytnął zębami. – Najwyraźniej trudno im było utrzymać Alex pod kontrolą. Nowy Madryt wymyślił, jak to zrobić. – Przerwał i głęboko odetchnął, żeby nad sobą zapanować. – To w jego... stylu.

Księżę siedział przez chwilę z pochyloną głową, dotykając ustami koniuszków palców, jakby się modlił. Wciąż drżał.

–Jeśli pan tam teraz wpadnie, siejąc ogniem, księżę – powiedział cicho Catrone – wszyscy zginiemy. A pana matce to nie pomoże.

Roger niemal niedostrzegalnie kiwnął głową.

–Ja miałem trochę czasu, żeby to przetrwać – ciągnął sierżant nieobecny, monotonnym głosem. – Powiedział mi o tym Marinau. Przyjechał osobiście, z dwoma innymi chłopakami.

–Musieli pana przytrzymać, co? – spytał cicho Roger. Wciąż siedział ze spuszczoną głową, ale przestał już dygotać.

–Niewiele brakowało, a złamałbym mu rękę. – Catrone oblizał nerwowo usta i pokręcił głową. – Łamałem sobie głowę, co zrobić, zamiast po prostu dać się zabić. To nie byłby dla mnie problem, ale nie pomógłbym w ten sposób Alex. Dlatego właściwie się nie wahałem, kiedy pan się pojawił. Chcę dopaść tych drani, Wasza Wysokość, chcę ich dopaść. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciałem zabić, jak teraz. Chcę, żeby Nowy Madryt poznał, co to znaczy ból.

–Do tej chwili – powiedział cicho i spokojnie Roger – miałem do tego zupełnie inne

podejście, sierżancie.

–Niech pan to wyjaśni. – Catrone otrząsnął się jak pies z zimnej nienawiści wspomnień i skupił uwagę na księciu.

–Wiedziałem, że uratowanie matki to konieczność. – Roger podniósł w końcu wzrok i emerytowany sierżant zobaczył spływające po jego policzkach łzy. – Ale szczerze mówiąc, gdyby trzeba było matkę poświęcić, byłbym skłonny to zrobić.

–Co?! – spytał ze złością Catrone.

–Niech się pan nie unosi, sierżancie – warknął Roger. – Przede wszystkim mam na uwadze bezpieczeństwo Imperium. Jeśli niedopuszczenie do rozpadu Imperium oznaczałoby wykorzystanie mojej matki jako pionka, to tak trzeba zrobić. Sama matka upierałaby się, że tak trzeba, prawda?

Catrone zaciskał usta tak mocno, że aż pobiełały, ale kiwnął głową.

–Zgoda – powiedział sztywno.

–Teraz spójrzmy na aspekt osobisty – ciągnął książę. – Moja matka spędzała ze mną bardzo mało czasu. Tak, była Cesarzową, a to ciężka praca, wiem. Ale wiem też, że wychowywały mnie tylko nianie, nauczyciele i mój cholerny służący. Matka, szczerze mówiąc, pojawiała się w moim życiu tylko po to, by mi uświadomić, że jestem nic niewartym gnojkiem, a to, przyznaję, nie motywowało mnie do bycia kimkolwiek innym, sierżancie. A potem, kiedy wszystko zaczęło się sypać, nie zaufała mi na tyle, żeby zatrzymać mnie u swego boku. Wysłała mnie na Leviathana, a ja zamiast wylądować na Leviathanie, który jest pełnym zadupiem, trafiłem na Marduka, który jest jeszcze gorszy. To niezupełnie jej wina, ale ona i jej brak zaufania odegrały dużą rolę w tym, że zginęło blisko dwustu mężczyzn i kobiet, którzy byli mi bardzo bliscy.

–Nie przepada pan za Alexandrą, prawda? – spytał zjadliwie Catrone.

–Właśnie się przekonałem, że krew jest o wiele, wiele gęstsza od wody – odparł Roger, zaciskając zęby. – Gdyby mnie pan zapytał pięć minut temu, czy obchodzi mnie, czy matka żyje, czy nie, szczerą odpowiedź brzmiałaby: nie. – Przerwał i wbił wzrok w sierżanta, a potem potrząsnął głową. – Oczywiście kłamałbym przed samym sobą, starając się odpowiedzieć szczerze na pana pytanie.

Splótł dłonie i jego ramiona zadrżały.

–Naprawdę muszę kogoś zabić.

–Zawsze ma pan atul – zauważył Catrone, patrząc, jak książę próbuje się opanować.

Szczerze mówiąc, Roger radził sobie lepiej niż kiedyś on sam. Może nie przejął się aż tak bardzo, a może była to po prostu umiejętność panowania nad sobą. Jako starszy sierżant sztabowy batalionu Złoto Tomcat umiał stwierdzić, kiedy ktoś panuje nad swoimi emocjami, by nie dopuścić do natychmiastowej eksplozji. Zaczął się zastanawiać – tak naprawdę po raz pierwszy, mimo iż widział prezentację z Marduka – jak strasznym gniewem potrafiłby Roger wybuchnąć, gdyby go za mocno nacisnąć. Podejrzywał, że odpowiedź brzmi: niemal wulkanicznym.

–Stanięcie teraz przed atul byłoby głupotą – odparł Roger. – Jeśli ja zginę, cały plan pójdzie w diabły. Zginie mama i... Cholera!

–Znów pokręcił głową. – Poza tym już ich tyle zabiłem, że teraz nie dałoby mi to żadnej satysfakcji, wie pan?

–O tak, wiem, co to znaczy.

–Boże, ależ mnie to trafiło. – Roger znowu zaniknął oczy. – Chryste, ja nie chcę, żeby ona umarła. Chcę ją osobiście udusić!

–Niech pan tak nie żartuje – powiedział ostro Catrone.

–Przepraszam.

Księżę siedział przez chwilę bez ruchu, potem otworzył oczy.

–Musimy ją stamtąd wydostać, sierżancie.

–Wydostaniemy, sir.

–Nauczyłem się dawno temu – Roger uśmiechnął się słabo, z policzkami wciąż mokrymi od łez – jakieś jedenaście miesięcy temu, jaka jest różnica między nazywaniem mnie „Waszą Wysokością” a „sir”. Cieszę się, że jest pan z nami.

–Pan nie wiedział, ale czy pana... źródła też nie wiedziały?

–Myślę, że wiedziały. To tłumaczyłoby porozumiewawcze spojrzenia członków mojego sztabu.

–To nie pierwszy raz sztabowcy nie chcą, żeby ich szef o czymś się dowiedział. Niech się pan cieszy, że to nie było coś ważniejszego.

–To akurat było raczej ważne, ale rozumiem, o co panu chodzi. Chyba jednak muszę im wyjaśnić, na czym polega różnica między „osobistym” a „ważnym”. – Spojrzał na sierżanta z zaciętą twarzą.

–Przy okazji, niech mi pan nie ma za złe, że postrzegalem matkę jako pionka, ale

widziałem śmierć zbyt wielu przyjaciół...

–Oglądałem to – przerwał mu Catrone, wskazując ruchem głowy hologram.

–Tak, ale nawet człowiek, który sam był w ogniu walki, nie może tego zrozumieć. Nie może pan wiedzieć, jak to jest dzień w dzień maszerować przed siebie i patrzeć, jak twoi żołnierze jeden po drugim giną, tracić mężczyzn i kobiety, których... kochasz, kiedy pró-bującę bronić, i nie móc nic zrobić, co by im pomogło, nie pogarszając przy tym sytuacji. A ja właśnie wszystko psułem; rzucałem się w ogień, a oni ginęli, żeby mnie ratować. Aż wreszcie to ja zacząłem ich bronić. Mogli już pilnować moich pleców, nie musieli stawać między mną a wrogiem, gdyż wiedzieli, że jestem, na Boga, najbardziej wrednym, najbardziej bezlitosnym morderczym bydlakiem na całej tej pierdolonej planecie. Nie walczyłem dla matki, sierżancie, walczyłem dla nich. Żeby mieć pewność, że nie będą ścigani listami gończymi, że będą mogli położyć się wieczorem do łóżek i rano się obudzić, że polegli będą czczeni, a ich ciała zostaną sprowadzone do domu i złożone obok ciał bohaterów Imperium, że nie zostaną zapamiętani jako przegrani sprawcy nieudanego zamachu stanu, jako nieudolni zdrajcy. Armand Pahner nie mógł być tak zapamiętany. Wykorzystałbym każdego – pana, Stowarzyszenie, matkę – żeby tylko oni nie...

Wzruszył ze złością ramionami i głęboko odetchnął.

–Ale teraz odkryłem, że krew jest gęstsza niż woda. Przedtem chciałem tylko, żeby Adoula... został odsunięty od władzy. Był po prostu przeszkodą do pokonania, to wszystko. A teraz...

–Nowy Madryt to prawdziwy bydlak – zgrzytnął zębami Catrone. – To on...

–Tak, to on, zgadzam się. Ale powiem panu coś jeszcze, sierżancie. Nie będzie pan miał okazji wypróbować swojej kamizelki z drutu.

–Chyba nie puści go pan wolno?

–Oczywiście że nie. W sprzyjających okolicznościach będzie pan mógł tego drania zastrzelić, chociaż to mój ojciec, przynajmniej z genetycznego punktu widzenia, albo dam panu swój miecz i będzie pan mógł ściąć jego śliczną główkę. Ale jeśli nie zostanie usunięty podczas operacji albo zajdą okoliczności, w których szybkie wyeliminowanie go nie będzie wskazane, postawimy go przed sądem i po sprawiedliwym procesie wstrzykniemy mu w żyły truciznę.

–Akurat! – powtórzył Catrone, tym razem ze złością.

–Tak będzie – powiedział surowo Roger – bo jedną z rzeczy, których nauczyłem się podczas naszego spaceru, jest odróżnianie ludzi dobrych od złych. Dobrzy nie torturują wrogów tylko dlatego, że chcą się zemścić, sierżancie, niezależnie od tego,

jaki mieliby powód. Nie torturowałem tego przeklętego Świętego, który zabił Armanda Pahnera, kiedy się „poddał”. Rozstrzelałem go przed opuszczeniem Marduka, a biorąc pod uwagę naruszenie przez Świętych terytorium Imperium i operacje, które komandosi Greenpeace przeprowadzali na jego rozkaz, nie wspominając już o zabiciu tylu imperialnych marines na samej orbicie Marduka, było to całkowicie usprawiedliwione z punktu widzenia prawa. Nie zamierzam udawać, że nie sprawiło mi to dzikiej satysfakcji -jak kiedyś powiedział Armand, jestem w pewnym sensie dzikusiem, barbarzyńcą – ale nie torturowałem sukinsynów, którzy go zabili i próbowali mnie zabić, tak samo jak nie torturowałem krokodyla za zabicie Kostasa. Jeśli będzie powód, by usunąć Nowy Madryt podczas tej operacji, zostanie usunięty czysto i szybko, ale jeśli nie, stanie przed imperialnym wymiarem sprawiedliwości, tak samo jak Adoula, bo my jesteśmy tymi dobrymi, niezależnie od tego, co ci źli mogliby zrobić.

–Chryste, pan rzeczywiście dorósł, bękarcie – mruknął Catrone.

–Tak, jestem bękartem. Pochodzę z nieprawego łoża, ale jestem synem swojej matki i nawet mój ojciec nie może sprawić, że będę taki sam jak on. Czy to jasne?

–Jasne – mruknął Catrone.

–Nie słyszę, sierżancie – powiedział Roger bez cienia wesołości w głosie.

–Jasne – powtórzył głośniejszym głosem Tomcat. – Niech to szlag.

–Dobrze. A teraz, skoro mamy już za sobą tę drobną NIEPRZYJEMNOŚĆ, powiem panu coś jeszcze, sierżancie.

–Tak?

–Polubiłem pana. Z początku sam nie wiedziałem dlaczego, ale teraz wiem, że kogoś mi pan przypomina. Nie jest pan chyba tak sprytny ani tak mądry, ale jednak jest pan podobny.

–Do kogo?

–Do Armanda Pahnera. – Roger przełknął ślinę. – Jak już mówiłem, nic by z tej wyprawy nie wyszło, gdyby nie Armand. Nie był doskonały, czasem niepotrzebnie bezgranicznie ufał własnej ocenie sytuacji, przez co parę razy omal wszyscy nie zginęliśmy, ale... był dla mnie niemal jak ojciec. Nauczyłem się ufać mu bardziej niż chromframowi. Rozumie pan, sierżancie?

–Pahner był niesamowitym człowiekiem – powiedział Catrone. – Był gówniarzem, kiedy go poznałem. Nie, nie gówniarzem; on nigdy nie był gówniarzem. Już wtedy był dobry i rzeczywiście cholernie pewny siebie. Przez jakiś czas obserwowałem go, jak

dorastał, i zgadzam się, że był pewniejszy niż zbroja. Ale do czego pan zmierza?

–Zmierzam do tego, Tom, że zacząłem panu ufać. Może bardziej niż powinienem, ale... Nauczyłem się oceniać ludzki charakter i wiem, że nie chce pan decydować o Tronie... dlatego właśnie pan to robi.

–Niech pan to wyjaśni.

–Kiedy zajmiemy Pałac... – zaczął Roger, po czym wruszył ramionami. – Dobrze, jeśli zajmiemy Pałac i uratujemy matkę, to pan zadecyduje...

–Kto obejmie władzę?

–Tak, kto obejmie władzę. Jeśli matka będzie choć trochę sprawna, ja się wycofam. Dam jej czas na pozbieranie się, czas, żeby sprawdzić, jak bardzo ucierpiała. Ale to pan, Thomas Catrone, będzie musiał to ocenić.

–O cholera.

*** * ***

–Myślisz, że Adoula to wie?

Buseh Subianto pracowała w IBI ponad czterdzieści lat. Zaczęła jako agentka zajmująca się przestępczością zorganizowaną, i robiła to dobrze. W jej jasnej twarzy i ciemnozielonych oczach było coś, co sprawiało, że mężczyźni, nawet małomówni, zaczynali się jej zwierzać. Takie rozmowy często kończyły się ich uwięzieniem, dzięki czemu szybko awansowała, a potem została przeniesiona do kontrwywiadu.

Tam przez ponad dwadzieścia pięć lat wolno pięła się w górę po biurokratycznej drabinie. Jej twarz nie była już tak gładka; pojawiły się drobne zmarszczki i bruzda na czole od marszczenia w skupieniu brwi. Ale jej zielone oczy wciąż pozostawały

hipnotyzujące.

Fritz Tebic pracował ze swoją szefową wystarczająco długo, by wiedzieć, kiedy unikać jej zniewalającego spojrzenia. Przełknął więc ślinę, a potem wruszył ramionami i odwrócił wzrok.

–Może wiedzieć – odparł. – Widział raport o Mardukanach, którzy spotkali się z kurierem Helmuta. A Nowy Madryt z całą pewnością kazał śledzić Catrone'a. Catrone był w mardukańskiej restauracji w Imperial City, a tydzień później spotkał się z najważniejszymi członkami Stowarzyszeń. Ale... jest tu tyle wątków, że ludzie Adouli mogli ich ze sobą nie powiązać.

–Gdyby powiązali, mielibyśmy już nakaz aresztowania Catrone’a i... – Buseh spojrzała na dane i zmarszczyła brwi, przez co bruzda na jej czole pogłębiła się – i tego całego Augustuca Changa. Najbardziej zastanawia mnie to, że zestaw graczy jest zupełnie pozbawiony sensu. I skąd pochodzą transporty, które dostaje Chang?

–Nie wiem – powiedział Tebic. – Wydział przestępczości zorganizowanej przygląda się już dokładnie temu Marduk House; uważają, że Chang pierze brudne pieniądze, ale nie mają żadnych informacji o dostawach. Poza tym... po galaktyce kręci się trochę Mardukan, którzy nic nie potrafią, więc prędzej czy później zostają osilkami do wynajęcia i zaczynają pracować dla organizacji przestępczych. Wiązanie ich z Szóstą Flotą jest bez sensu, chyba że ma pani jakieś informacje o sprzęcie, który dostaje Chang. Co zrobimy, proszę pani?

Niełatwo było się ukryć przed Imperialnym Biurem Śledczym. Większość pieniędzy, tak samo jak większość wiadomości, przekazywano drogą elektroniczną, a wszystko co elektroniczne prędzej czy później trafiało do IBI. Mając do dyspozycji olbrzymie moce obliczeniowe, Biuro przesiewało te niewiarygodne ilości informacji w poszukiwaniu pozornie niepowiązanych ze sobą fragmentów. Z biegiem lat programy stawały się coraz bardziej wyrafinowane i dokładniejsze. Mimo drakońskich ograniczeń związanych z ochroną prywatności, których prawie zawsze przestrzegano, IBI wszędzie miało oczy.

Także w Cesarskim Pałacu, co oznaczało, że Tebic i Subianto bardzo dobrze zdawali sobie sprawę z obecnego stanu Cesarzowej.

Tebic przypomniał sobie zajęcia, które miał na początku nauki w Akademii. Omawiano historię kryptografii i zabezpieczeń informacji, a jednym z przykładów udanego złamania kodu była Verona: program z czasów pierwszych lat komputeryzacji, jeszcze sprzed tranzystorów. Jego operatorzy spenetrowali wrogą siatkę szpiegowską, tylko po to, by odkryć, że druga strona ma swoich agentów tak wysoko w ich własnych władzach, że zgłoszenie zdobytych informacji równałoby się popełnieniu samobójstwa. Współczucie, jakie miał dla nich wtedy, było czysto intelektualne; teraz o wiele lepiej ich rozumiał.

Kilka kluczowych osób w IBI wiedziało, że Cesarzowa jest pod całkowitą kontrolą Adouli i earla Nowego Madrytu; wiedziano nawet, w jaki sposób. Problem polegał na tym, że nie było komu o tym powiedzieć. Dyrektora IBI zwolniono, oskarżając go o współudział w „przewrocie”. Kyoko Pędza, dyrektor kontrwywiadu, zniknął następnego dnia, tuż przed wydaniem nakazu aresztowania go pod tym samym zarzutem. W wydziale stawiano pięć do jednego, że został na rozkaz Adouli zabity, gdyż Pędza był poważnym zagrożeniem dla jego pozycji.

Problem polegał również na tym, że IBI to nie był Osobisty Pułk Cesarzowej czy marynarka, zaprzysiężone do obrony konstytucji i Cesarzowej. Pierwszym i jedynym

zadaniem IBI było dbanie o bezpieczeństwo Imperium. Owszem, Adoula zdobył Tron, popełniając tyle przestępstw, że ich lista miałaby z kilometr długości (składanie fałszywych zeznań, morderstwa, porwania, tortury cielesne i psychiczne), i zasadniczo IBI mogłoby wydrukować taką listę, a potem założyć mu kajdanki i zaprowadzić go w miejsce odosobnienia.

Ale on był zbyt potężny. Miał duże poparcie w Izbach Lordów i Gmin i kontrolował Cesarzową oraz większą część marynarki, a premier Yang najwyraźniej uznał, że jeszcze nie pora otwarcie mu się sprzeciwić. Czy dlatego, że obawiał się chaosu, w jakim pograżyłyby się Imperium, czy dlatego, że bardziej martwił się o swoją własną pozycję niż o Cesarzową i konstytucję – trudno powiedzieć, chociaż Subianto miała w tej sprawie własne podejrzenia.

Cokolwiekjednak myślał premier, księżę Jackson jako minister marynarki kontrolował wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne organy bezpieczeństwa Imperium, zwłaszcza po tym, jak zastąpił przełożonych Tebica i Subianto własnymi ludźmi. Gdyby chcieli aresztować Adoulę, musieliby przedstawić listę zarzutów sędziemu, a gdyby nawet znaleźli jakiegoś na tyle głupiego, że podpisałby nakaz aresztowania, na pewno nie dożyliby jego wykonania. Poza tym Adouli udało się zniszczyć całą Rodzinę Cesarską, i Subianto i Tebic dobrze wiedzieli, w przeciwieństwie do wielu obywateli Imperium, że bez rodziny MacClintock tylko Adoula, jakkolwiek byłby zły, jest w stanie zapanować nad rozpadem państwa. Ciężki stan Cesarzowej oraz brak Następcy Tronu oznaczał, że bez niego Imperium czeka prawdopodobnie wojna domowa.

A teraz jeszcze na dodatek przemyt nielegalnego i wysoce niebezpiecznego sprzętu oraz zmowa z obcym państwem (choć widać wciąż nie było jasne, o które państwo chodzi), spisek mający na celu zamach stanu – o ile można w drodze zamachu stanu obalić kogoś, kto sam objął władzę w wyniku przewrotu – oraz nielegalne przelewy pieniężne.

Ponadto fałszowanie tożsamości, napaść, kradzież...

–Czy nie można by wprowadzić naszych oczu i uszu do budynku restauracji? – spytała Subianto.

–Nie – odparł bez wahania Tebic. – Ochrona nie rzuca się w oczy, ale jest bardzo skuteczna. Mają bardzo dobrą, profesjonalną elektronikę, a ci Mardukanie dosłownie śpią w magazynie i restauracji. Sama restauracja jest wyposażona w urządzenia przeciwpodśluchowe. Wyproszono dwóch agentów, kiedy próbowali wnieść do środka pływaki i mikrofony kierunkowe, ale mnóstwo restauracji w Imperial City zrobiłoby to samo.

–Kim oni są? – szepnęła Subianto. – To nie są Stowarzyszenia. To nie są ludzie

Adouli. To nie są ci durnie z Partii Supremacji.

–Zachowują się tak, jakby zamierzali przeciwstawić się Adouli. Ale przecież Stowarzyszenia muszą wiedzieć, że Cesarzowa nie jest w najlepszym stanie, a nie ma żadnego kandydata na regenta, nie wspominając już o Następcy, oprócz tego płodu, który hodoją Adoula i Nowy Madryt. – Przerwał i wzruszył ramionami. – Mamy trzy wyjścia.

–Wiem. – Wyraz twarzy Subianto był zacięty i zimny. – Możemy przekazać te dane Adouli, a wtedy oni znikną albo staną przed sądem. Możemy nic nie robić i zobaczyć, co się stanie, albo możemy nawiązać z nimi kontakt.

–Tak, proszę pani – powiedział wyczekująco Tebic.

Twarz jego przełożonej mogłaby teraz należeć do posągu któregoś z dawnych perskich cesarzy, wszechmocnych półbogów, często bardziej niż trochę szalonych, którzy obdarzyli ludzkość tak trwałymi powiedzeniami, jak „zabić posłańca”, „może koń zaśpiewa” i „miecz Damoklesa”. Taki właśnie miecz Damoklesa zawisł teraz nad ich głowami.

–Myślę – powiedziała Subianto – że chętnie spróbowałabym jakiejś nowej kuchni.

*** * ***

–Kiedy zamierzaliście to zrobić? – spytał Catrone, znów skupiony na zadaniu.

–Podczas Święta Imperium – odparł Roger. – Zamierzaliśmy wziąć udział w paradzie, która będzie przechodzić przez Imperialny Park – Mardukanie na galowo, civan, flar-ta, fajerwerki – i wtedy przeprowadzić frontalny szturm. Wiedzieliśmy, że przy pomocy Mardukan uda nam się załatwić zewnętrzne posterunki, ale dalej byśmy się nie przedarli.

–Adoula rzadko bywa w Pałacu. Jest albo w Izbie Lordów, albo w swoich gabinetach w Imperial Tower.

–Będę szczery – powiedział Roger. – Jestem cięty na Adoulę, teraz nawet bardziej niż przedtem, i wiem, że nie możemy mu pozwolić uciec, ale przede wszystkim koncentrowałem się na dotarciu do matki i replikatora. Jeśli uratujemy Cesarzową i sprowadzimy niezależnych świadków, Adoula straci władzę i może ucieknie poza planetę. Nadal będzie kontrolował Wielką Flotę, ale nie będzie już władał Imperium.

–To prawda, ale jego też musimy wyeliminować. Nie możemy pozwolić, aby zachował swój własny sektor. Adoula ma w kieszeni wielu dowódców marynarki, w tym samego Greenberga, i zdobycie Pałacu niewiele nam da, jeśli Wielka Flota rzuci nam na głowy broń kinetyczną albo wszystkich swoich marines. My możemy w

najlepszym razie wystawić mocno niekompletny batalion żołnierzy, którzy już w większości stracili formę.

–W porządku. – Roger westchnął. – Pora wyłożyć karty na stół. Jesteśmy w kontakcie z Alphanami; ich wywiad ma bardzo solidne informacje, że Adoula zamierza wcielić ich do Imperium, kiedy tylko usunie z drogi moją matkę.

–Czy on oszalał? – spytał Catrone. – Nie, czy pan oszalał? Jest pan pewien?

–Alphanie są na tyle pewni, że jeśli nam się nie uda, zaatakują Trzecią Flotę. Adoula nie zdążył jeszcze obsadzić całego dowództwa i sztabu swoimi kolesiami, ale według Alphan zamierza wykorzystać przeciwko nim Trzecią i Czwartą Flotę. Czwarta już jest jego, ale ona musi pilnować Świętych, żeby ich nie zaskoczyli od tyłu, więc potrzebna jest mu też Trzecia Flota. Wszystko wskazuje na to, że kiedy tylko będzie miał pewność, iż ma nad nią kontrolę, ruszy na Alphan. On wierzy, że uda mu się ich podbić, bo chociaż mają dużą flotę, jak zauważyła admirał Rai, Imperium ma takich sześć.

–Oczywiście że tak, ale oni się nie poddadzą, nawet jeśli Adoula zajmie orbity. Niedźwiedzie są szurnięte na punkcie honoru i będą walczyć do końca, do ostatniego szczytniaka.

–Wiem o tym. Pan o tym wie i doradcy Adouli też wiedzą, ale on w to nie wierzy. Kiedy więc dowództwo i sztab Trzeciej Floty się zmienią, Alphanie zaczną działać. Musimy to mieć na uwadze.

–To oni są waszym źródłem zaopatrzenia?

–Tak, to od nich mamy pancerze i broń – nawet pancerze dla Mardukan, które musi pan zobaczyć, żeby uwierzyć – ale nic cięższego, gdyż nawet to trudno było ukryć.

–W to akurat wierzę. Ale prędzej czy później ktoś na pewno to zauważy. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

–Mamy nadzieję, że to będzie później niż prędzej. – Roger wzruszył ramionami. – Jeśli IBI zacznie węszyć wokół Marduk House, odkryje, że to pralnia brudnych pieniędzy.

–Pokażecie im to, co spodziewają się zobaczyć?

–Tak. Jedyny problem w tym, że więcej pieniędzy wychodzi z restauracji niż przychodzi. Ale te przychodzące są czyste, więc nie będą mieli punktu zaczepienia. Tak naprawdę one nie są do końca czyste – pochodzą od Alphan – ale nikt nie będzie w stanie powiązać ich z jakimś nielegalnym interesem.

–W porządku – powiedział Catrone. Nie dlatego, że był zadowolony, ale po prostu rozumiał, że zrobiono wszystko, co tylko było możliwe.

–A Wielka Flota? – kontynuował metodyczną inspekcję planów Rogera. – Macie jakieś pomysły?

–Co pan powie na całkowitą wymianę dowództwa i sztabu? – odparł książę lekkim tonem. Zaraz potem spoważniał. – Nasz plan zakłada wyeliminowanie Greenberga jednocześnie z atakiem.

–Zabójstwo? – spytał spokojnie Catrone.

–Tak – odparł Roger bez mrugnięcia okiem. – Nie ma stuprocentowo pewnego sposobu porwania go i wyłączenia z obiegu. Poza tym część oficerów będzie go słuchać tylko dlatego, że jest mianowanym dowódcą Wielkiej Floty. Jeśli go wyeliminujemy, będą musieli podjąć decyzję, kogo poprzeć. Szczerze mówiąc, jeśli tylko nie będą do nas strzelać, nie obchodzi mnie, czy postanowią całą tę sprawę przeczekać. Ale nie chcę, żeby dowodził nimi Greenberg, a jedynym sposobem, żeby mieć co do tego pewność, jest jego zabicie. Mamy już na miejscu swój oddział.

Catrone przez chwilę się zastanawiał, potem wzruszył ze złością ramionami.

–Ma pan rację, ale mnie się to nie podoba.

–Ma pan lepsze rozwiązanie?

–Nie. Zgadzam się, że to konieczne, ale to mi się wciąż nie podoba.

–Robimy wiele rzeczy, które nam się nie podobają, bo są konieczne. Taki już urok naszego fachu, nieprawdaż, sierżancie?

–Tak. A więc... na czym stanęliśmy?

–Po wyeliminowaniu Greenberga dowódcą powinien zostać Wallenstein, jego oficer wykonawczy, ale nasz wywiad twierdzi, że ta cała sprawa wcale nie jest taka prosta. Kapitan Wallenstein... nie ma w marynarce dobrej opinii. Ma to jakiś związek z przebiegiem jego kariery i faktem, że nigdy nie dowodził niczym większym od pojedynczego krążownika. Skoro więc Greenberga nie będzie, a Wallenstein ma opinię gryziopórka siedzącego w kieszeni Adouli, pozostaje Kjerulf, który ma cholernie duże szanse na dowodzenie... jeśli będzie miał wystarczająco dobry powód, aby spróbować. Myślę, że spróbuje, jeśli go odrobinę zachęcimy, a to powinno spowodować zamęt w strukturze dowodzenia Wielkiej Floty. Inni sztabowcy i dowódcy lojalni wobec Adouli będą chcieli interweniować, ale spodziewam się, że bez Greenberga będzie to reakcja mocno nieskoordynowana.

– Nawet taka reakcja będzie dla nas niebezpieczna – zauważył Catrone. – Desperaci często podejmują desperackie kroki.

– Cóż, my też mamy swoją flotę.

– Kogo? Mrocznego Helmuta, tak?

– Tak. Wysłaliśmy zespół, który miał się z nim skontaktować. Zameldowali, że nawiązali kontakt z jednym z jego oficerów, który zorganizował transport na spotkanie z admirałem, a potem Szósta Flota się ruszyła. Może leci, aby ostrzec Adoulę, ale jeśli tak, ostrzeżenie powinno już było tutaj dotrzeć. Gdyby Helmut był po stronie Adouli, w co szczerze wątpię, już bylibyśmy aresztowani.

– A więc jak zamierzacie porozumieć się z Szóstą Flotą, żeby skoordynować działania?

– Jeśli nie mają opóźnień, odbiorą standardowy pakiet danych z Gromady Wilka za...
– Roger przeliczył coś w swoim tootsie i wzruszył ramionami – jakieś trzy dni. Dostaną wiadomość, że jesteśmy na miejscu i przygotowujemy szturm, a oni wyślą nam informację, czy Helmut jest po naszej stronie, czy nie. Ale z powodu opóźnienia nie będziemy tego wiedzieli aż do samego ataku.

– Jasne. – Catrone nie wyglądał na zadowolonego. – Zastanawiał się pan kiedyś, jak to było dobrze być generałem albo admirałem za starych, dobrych czasów, kiedy wszyscy siedzieli na jednej planecie i nie trzeba było się martwić o wiadomości, które potrzebowały kilku dni czy tygodni, żeby dotrzeć do celu?

– Jestem pewien, że wtedy mieli inne problemy – odparł sucho Roger.

– Pewnie, ale można pomarzyć, prawda?

– Będziemy musieli podać im czas ataku, zanim będzie wiadomo, czy Szósta Flota nas poprze – podjął książkę. – Nie sposób tego uniknąć.

– A zabezpieczenia? – spytał sierżant, teraz już poważnie.

– Ogłoszenia towarzyskie. – Roger wzruszył ramionami. – A cóż by innego?

– Zastanawiał się pan kiedyś, ile z tych ogłoszeń to tajne wiadomości? – spytał Catrone z uśmiechem.

– Dopiero ostatnio. Sporo, jak sędzę.

– Zaczynam podejrzewać, że większość. – Mężczyzna zamyślił się. – Zabezpieczenia tajnych operacji przyprawiają mnie o wrzody żołądka. To przez to tak szybko

osiwiałem.

–No więc zanim pojawiliście się wy i prababka Miranda – Roger reaktywował przez tootsa zaktualizowany hologram – studiowaliśmy najlepszy plan Pałacu, jaki udało nam się stworzyć, i próbowaliśmy opracować plan działania, który nie byłby samobójstwem.

Księżę załadował symulację planu i obejrzeli w przyspieszonym tempie, jak niebieskie ikonki oznaczające atakujących znikają. Żadna z nich nie dotarła nawet do Pałacu.

–Jak dotąd to nam się nie udało – zauważył sucho Roger.

–Jak widać. – Catrone rozparł się w fotelu, podrapał w nos i w zamyśleniu zmarszczył czoło.

–Trzeba zdobyć Pałac w odpowiedniej kolejności – powiedział po chwili. – Umundurowani strażnicy są tutaj. – Podświetlił zaznaczone pozycje i dodał jeszcze kilka w sektorach „Złotym” i „Srebrnym”, o których Kosutic nie wiedziała. – Największym problemem jest jednak pancerny oddział szybkiego reagowania, który mamy tutaj – podświetlił kolejną pozycję – automatyczne systemy obronne i reszta gwardii tutaj, w koszarach.

Rozjaśnił na krótko oba pozostałe miejsca.

–Bardzo długo byłem dowódcą ochrony Pałacu – powiedział kwaśno – i wiem, że dzięki pewnym rozwiązaniom, które sam zaproponowałem, zdobycie tego miejsca będzie trudne jak diabli. Ale wiem również, że cokolwiek bym zrobił, zawsze pozostanie jakiś słaby punkt. Kluczem jest brama numer trzy i północny dziedziniec. – Podświetlił oba te punkty.

–Czemu?

–Północny dziedziniec ma dwa obsadzone gniazda obrony -wskazał Catrone – ale można się do niego dostać przez bramę numer trzy. Zakładając, że automatyczne systemy obronne są wyłączone, rozumie pan?

–Tak.

–Dziedziniec jest placem defilad Osobistego Pułku Cesarzowej. Oddziela koszary i zewnętrzne skrzydło służby od właściwego Pałacu. Łączące je korytarze są ukryte pod dziedzińcem. Jeśli się go zdobędzie, można go wykorzystać jako lądowisko dla sił wsparcia, tym bardziej że gniazda obronne są zazwyczaj słabo obsadzone. Nawet podwyższony poziom bezpieczeństwa nie powoduje zwiększenia liczebności gwardzistów, gdyż oni nie chronią bezpośrednio Rodziny, rozumie pan?

–Tak. – Roger przyglądał się uważnie planowi. – Zdobyć bramę, przygwoździć większą część garnizonu w koszarach i zająć dziedziniec na lądowisko. Potem ściągnąć żołnierzy, wykorzystać wsparcie do zredukowania liczebności gwardii w koszarach i pchnąć grupę do Pałacu. A co z powietrznym wsparciem gwardii?

–Eskadra żądał. – Catrone podświetlił hangar wchodzący w skład kompleksu pałacowego. – Według moich informacji ma zaledwie połowę swojego stanu liczebnego; dostała w pierwszym zamachu, a zwerbowanie odpowiednich ludzi jest trudniejsze niż znalezienie opryszków, którymi zadowala się Adoula. Eskadra potrzebuje co najmniej piętnastu minut, żeby wystartować. Oddział szybkiego reagowania – jeśli jest w pełni wyszkolony – może się opancerzyć w trzy minuty i uderzyć w dowolnym punkcie Pałacu w dziesięć minut. Gwardia osiąga pełną gotowość w niecałą godzinę. Kiedy ja dowodziłem, mimo całkowitego braku przygotowania i zaskoczenia wszyscy byli w pancerzach i odpierali atak w czterdzieści minut, ale standard to godzina.

–Będą mieli problemy z łącznością- zauważył Roger. – Mogę ją wyłączyć albo zakłócić ich wewnętrzną łączność za pomocą Protokołów. Zostawię w tym celu na miejscu Temu Jina.

–To oznacza, że w pierwszej kolejności trzeba zająć stanowisko dowodzenia. – Catrone podświetlił jedną z nowych, bezpiecznych – jak mieli nadzieję – tras. – To pan będzie musiał to zrobić. Zna pan kody i większość z nich będzie reagować tylko na pana.

–Zgoda.

–Pierwsza fala Mardukan zajmie bramę – ciągnął Catrone.

–Jeśli trzeba będzie, mogą przejść przez mur. Już to robili. Poza tym mam też kody do bramy.

–Jakkolwiek to zrobią, dostaną się do środka i odbiją dziedziniec z rąk dyżurnej kompanii, zanim reszta zdoła się zorganizować.

–Z mieczami i pikami przeciw śrutowcom. – Roger skrzywił się. – Ale dadzą radę.

–Kiedy już zajmą dziedziniec, przylecą promy – ciągnął Catrone. – Czy potrafią używać ludzkiej broni? Będzie jej tam trochę leżało.

–Używali już pistoletów.

–To im zajmie, powiedzmy, pięć minut. Potem będą musieli przejść przez Park, żeby dotrzeć do samej bramy.

–Tysiąc metrów. – Roger wydał wargi. – Dwie minuty dla biegnącego civan, niewiele więcej dla Diaspran. Powiedzmy, siedem minut na zajęcie dziedzińca.

–To oznacza, że oddział reagowania jest już gotowy.

–Tak, ale jest zajęty jednostką pancerną, która wdarła się już do Pałacu – odparował Roger, podświetlając trasę z centrum dowodzenia do pokoi swojej matki.

–Rozumiem – powiedział ostrożnie Catrone – że jest pan w centrum dowodzenia, tak?

–Nie, bo muszę otworzyć drzwi tutaj, tutaj i tutaj... – odparł księżę, podświetlając odpowiednie miejsca. – Dlatego będzie tam piętnastu żołnierzy w pancerzach, żeby mnie chronić.

–W porządku, dobrze. – Catrone'owi to się najwyraźniej nie podobało, ale rozumiał, co to znaczy konieczność, i umiał rozpoznać, kiedy nie warto się z kimś spierać. – A więc prawdopodobnie oddział reagowania gania pana, a tymczasem nasze siły lądują i atakują najemników Adouli. Jedna grupa oddziela się, żeby zająć właściwy Pałac.

–Automatyczne systemy obronne przejdą na miejscowe sterowanie, kiedy padnie punkt dowodzenia – powiedział Roger. – Mogę nie dopuścić do włączenia awaryjnych procesorów, ale na lokalne sterowanie nie mam wpływu.

–Poradzimy sobie z tym. – Przez kilka chwil przyglądali się hologramowi w milczeniu.

–A więc chyba mamy plan – powiedział wreszcie Roger.

–Tak. – Catrone wciąż patrzył na hologram. – Naprawdę aż tak ufa pan tym Mardukanom? Jeśli nie zajmą dziedzińca, zaleje nas ponad tysiąc ciężko uzbrojonych najemników.

–Zawierzyłbym im własne życie. Więcej, zawierzyłbym im całe Imperium. Oni zdobędą tę bramę.

*** * ***

–Wiedziałaś, że doroczny zjazd Stowarzyszenia Osobistego Pułku Cesarzowej ma się odbyć podczas Święta Imperium? – spytał Nowy Madryt, wchodząc szybkim krokiem do gabinetu Jacksona Adouli.

–Tak. – Adoula nawet nie podniósł wzroku znad hologramu na swoim biurku.

–Tak samo zjazd Stowarzyszenia Raidersów... i Stowarzyszenia Operacji

Specjalnych – ciągnął ze złością Nowy Madryt.

–Tak – odparł spokojnie Adoula.

–Czy nie sądzisz, że mogą z tego wyniknąć jakieś komplikacje?

–Mój drogi earlu – powiedział Adoula, wciąż patrząc na hologram – Święci kręcą się przy naszej granicy w sile pełnej floty. Alphanie szykują się do czegoś, co wygląda na atak. W parlamencie powstaje kolejna ustawa o ocenie stanu zdrowia Cesarzowej, tym razem forsowana przez moich przeciwników; nawet ten pozbawiony jaj mięczak Yang stwierdził, że jego ostatnie spotkanie z Cesarzową nie było satysfakcjonujące. Najwyraźniej nasz kochany premier uważa, że to dziwne, iż przez cały czas patrzyła na ciebie cielecym wzrokiem i wszelkie pytania oddawała pod twoją ocenę.

–Ta suka ma umysł ze stali – powiedział sztywno Nowy Madryt – a jej odporność na narkotyki jest bardzo duża, dlatego musimy stosować... inne środki, aby utrzymać ją na poziomie kretyнки, żeby mieć pewność, że nie powie czegoś, czego nie moglibyśmy potem odkręcić. Ona nie pamięta nawet, ile mamy planet, a co dopiero gdzie jest jakaś infrastruktura i w czyich okręgach.

–Ty najwyraźniej też nie – powiedział ze złością Adoula, odrywając w końcu wzrok od hologramu. – Wydałem bardzo wyraźne instrukcje na temat tego, co miała powiedzieć podczas negocjacji. Obaj wiemy, dlaczego ona nie mogła się do nich zastosować, ale pozostaje pytanie, dlaczego ty też nie mogłeś.

–Twoje „instrukcje” obejmowały sześćdziesiąt odrębnych układów gwiazdnych! – warknął Nowy Madryt.

–Więc trzeba było wziąć notatki!

–Powiedziałaś „nic na piśmie”! – krzyknął earl.

–W takim razie – zimny, spokojny głos Adouli przeciął wściekłość earla jak skalpel – musimy zrobić wyjątek. Poza tym najwyraźniej nie zwróciłeś uwagi na to, że masz nie zapisywać tego, co by miało jakikolwiek związek ze mną. Dopilnuję więc, żebyś na następne spotkanie dostał precyzyjne pisemne instrukcje dotyczące tego, co i gdzie wykorzystać. Dopilnuję nawet, żeby zapisano je prostym językiem. A co do twoich obaw o to durne Stowarzyszenie, wiedz, że postawię gwardię w stan najwyższej gotowości na wypadek, gdyby przyszli pod Pałac, aby nam pokazać języki. Pod Pałac z murami, chromframowymi bramami, automatycznymi systemami obronnymi, eskadrą żadeł i setkami uzbrojonych gwardzistów. Czy coś jeszcze cię trapi?

–Nie. – Nowy Madryt zerwał się z gniewem na równe nogi.

–W takim razie mam dużo pracy. – Adoula wskazał mu drzwi. – Miłego dnia.

Nie zawracał sobie głowy patrzeniem, jak Nowy Madryt wypada – tylko tym słowem można było określić jego wyjście – z gabinetu. Szkoda, pomyślał, że automatycznymi drzwiami nie można należycie trzasnąć.

Wywołał następną listę i pokręcił głową. W IBI jest zdecydowanie zbyt wielu ludzi oddanych MacClintockom, ale obsadzenie wszystkich najważniejszych stanowisk zaufanymi osobami musi trochę potrwać. Kto to powiedział: „Proście mnie o wszystko z wyjątkiem czasu”? Adoula nie potrafił sobie tego przypomnieć, ale czuł, że właśnie prosi o to samego siebie. O odrobinę czasu.

* * *

–Sprawiasz wrażenie spiętego – powiedziała Despreaux, przytulając się do Rogera i opierając mu głowę na ramieniu.

–Aha.

–Wszystko idzie dobrze. Stowarzyszenia, zaopatrzenie. Dawno już nic nie wyglądało tak dobrze.

–Aha.

–To dlaczego, do cholery, odpowiadasz mi monosylabami? Czy jest coś, o czym nie wiem?

–Raczej coś, o czymś wiedziałaś i mi nie powiedziałaś – odparł Roger, zaciskając zęby. – O czymś na temat mojej matki.

–Cholera. – Despreaux usiadła i popatrzyła na niego czujnie. – Stowarzyszenie wiedziało?

–Przynajmniej Catrone. Uważał, że moje zaradne źródła już mnie o tym poinformowały. Chyba zastanawiał się, dlaczego jestem taki... spokojny.

–A dlaczego jesteś taki spokojny?

–Nie jestem – odparł książę. – Można powiedzieć, że gotuję się na samą myśl o tym, co się działo z moją matką. I prawie tak samo gotuję się na myśl o tym, że nikt mi tego nie powiedział. W końcu i tak bym się dowiedział. A gdybym się dowiedział w chwili, kiedy Nowy Madryt albo Adoula byłiby w moim zasięgu... – Pokręcił głową. – Nie chcę nawet myśleć o tym, co bym zrobił.

–Wiem – powiedziała smutno Despreaux. – Rozmawialiśmy o tym.

–Tak? W takim razie rozmawiałaś z niewłaściwą osobą. – W końcu książę spojrział

na nią twardym wzrokiem. – Powinnaś była porozmawiać o tym ze mną. Pamiętasz mnie jeszcze? Jestem księciem. Szefem. Następcą Tronu. Facetem, który zabijał ludzi za o wiele drobniejsze przewinienia niż torturowanie i gwałcenie własnej matki przez kilka miesięcy. Facetem, który nie może zacząć rządów od ścięcia najważniejszych politycznych graczy. Pamiętasz mnie jeszcze, Nimashet!? To ja, Roger!

–Dobrze, spieprzyliśmy sprawę! – Despreaux załamała rękę. – Jesteśmy silni fizycznie, ale może nie jesteśmy tak samo silni moralnie! Phaenurowie powiedzieli wprost, że nie chcą być w pobliżu, kiedy się o tym dowiesz. Ja też nie chciałam, w porządku?

–Nie, nie w porządku. Sztab ma zdobywać informacje, których potrzebuje jego szef, a ja potrzebowałam tej informacji, i to nie wtedy, gdy w końcu uwolnimy moją matkę, czy podczas negocjacji z niezbyt godnym zaufania sprzymierzeńcem!

–Nie ufasz Stowarzyszeniu?!

–Nie ufam nikomu oprócz nas i Mardukan. A teraz zaczynam się zastanawiać, czy powinienem tobie ufać.

–To niesprawiedliwe! – powiedziała Despreaux ze złością.

–Dlaczego? Przecież nie powiedziałaś mi czegoś bardzo ważnego. Dlaczego to niesprawiedliwe?

Despreaux zaciskała zęby i widać było, że walczy ze łzami.

–Cholera, Roger – powiedziała cicho. – Nie rób tego, nie wyzywaj się na mnie. Dobrze, spieprzyliśmy sprawę. Powinniśmy byli ci powiedzieć, ale nie wyzywaj się na mnie.

–Szlag. – Roger osunął się na łóżko i przykrył głowę poduszką. – Przepraszam – rozległ się po chwili jego stłumiony głos.

–Ja też – wyszeptała Despreaux, już otwarcie płacząc.

–Masz rację – powiedział książę, wciąż z twarzą w poduszce. – Musiałem poruszyć ten temat, ale to nieodpowiednie miejsce i pora. Przepraszam. Jak ty ze mną, do diabła, wytrzymujesz?

–No – odparła wesołym tonem, chociaż cały czas w jej głosie słychać było łzy - jesteś przystojny, bogaty...

–O Boże.

–Dlaczego nie poruszyłeś tego tematu wcześniej? – spytała po chwili.

–Nie było sposobności. – Roger wzruszył ramionami. – Za dużo się działo. Niepotrzebna nam była kłótnia w obecności ludzi ze Stowarzyszenia. Ale nie mogłem tego dłużej tłumić w sobie, kiedy się położyliśmy. Cały czas jestem wściekły, chociaż teraz także na siebie. Chryste.

–Roger – powiedziała cicho Despreaux – to się nazywa wieczorna kłótnia i obowiązują pewne zasady.

–A jedna z nich brzmi: „Nie wykorzystuj spraw zawodowych, żeby się wyżywać na swojej dziewczynie”? – Książę w końcu wyjrzał spod poduszki.

–Nie, zasady są inne. Nie dotyczą tego, o co się kłócimy, tylko tego, jak to robimy. Zapamiętaj sobie najważniejszą z nich: albo się pogodzimy, zanim pójdziemy spać, albo ty śpisz na kanapie.

–Dlaczego ja mam spać na kanapie? Jestem księciem i to jest mój pokój.

–Śpisz na kanapie, bo jesteś facetem – powiedziała Despreaux, trzepocząc rzęsami. – Takie są zasady. Nie ma znaczenia, czy to mój, czy twój pokój; łóżko jest moje. A ty nie możesz iść do innej sypialni. Musisz spać na kanapie, pod kocem.

–Dostanę chociaż poduszkę? – spytał żalonym tonem książę.

–Tylko jeśli będziesz grzeczny. Inaczej ja wszystkie zabieram.

–Nie podobają mi się te zasady.

–Trudno, zasady to zasady.

–Kiedy zostanę Cesarzem, będę musiał je zmienić. O Boże, znowu do tego wracamy.

–I tak dalej, i tak dalej, aż jedno z nas zmęczy się na tyle, że pójdiesz na kanapę.

–Nie ukrywaj przede mną ważnych rzeczy – powiedział cicho Roger – a ja postaram się nie wykorzystywać spraw zawodowych, żeby się na tobie wyżywać, dobrze?

–Może być. – Despreaux położyła się i znów oparła mu głowę na ramieniu. – Inne techniki kłótni przedyskutujemy następnym razem. Co wolno, czego nie, co działa, a co tylko pogarsza sprawę.

Ziewnęła i przytuliła się mocniej.

–Mogę tutaj spać?

–A już skończyliśmy?

–Chyba tak – powiedział książę. – Wyżyję się do końca na Adouli.

–Zrób tak.

–Słuchaj, właśnie skończyliśmy kłótnię zakochanych, tak?

–Nie zaczynaj... – mruknęła Despreaux i znów ziewnęła. – A poza tym wszystko gra?

–Jest za wcześnie, żeby o tym mówić. Zbyt wiele rzeczy może się nie udać. – Teraz to on ziewnął i przyciągnął Nimashet bliżej. – Na razie możemy tylko trzymać się planu i mieć nadzieję, że nikt niczego nie zauważy.

*** * ***

–Panno Subianto – powiedział Roger, zatrzymując się przy stoliku kobiety. – To przyjemność gościć panią w Marduk House. Mam nadzieję, że basik pani smakuje.

–Jest wyśmienity – odparła Subianto, ocierając usta serwetką. – To naprawdę zupełnie nowe doznanie smakowe. W dzisiejszych czasach to rzadkość.

–Atul też jest wspaniały – powiedział Tebic, odkrawając następny kawałek. – Aż trudno uwierzyć, że mięso może być tak kruche.

–Używamy specjalnej zalewy z bardzo rzadkich składników -wyjaśnił Roger z lekkim uśmiechem. – Marynujemy je przez trzydzieści sześć godzin.

Rzeczonymi składnikami były enzymy rozpuszczające gąsienicy-mordercy, rozcieńczone w wodzie w proporcji sto do jednego. Było to jedno z odkryć Kostasa z czasów marszu; książę wolał jednak nie rozwijać tego tematu.

–Udało się panu bardzo szybko rozkręcić tę restaurację – powiedziała Subianto. – Do tego w takim... pierwszorzędnym miejscu.

–W żadnym razie to miejsce nie jest pierwszorzędne, ale okolica chyba się poprawia. Pewnie idą za naszym przykładem.

–No właśnie – powiedziała sucho agentka. – Lekarze w Generalnym widzieli kilka tych... przykładów.

–Mam nadzieję, że to nie była oficjalna skarga? – Roger uniósł brew. – Samotny obywatel pozaziemski ma prawo do samoobrony.

–To w ogóle nie była skarga. Wydział do spraw gangów miejscowej komendy

uważa, że lepszy od was jest tylko... pieczony basik – uśmiechnęła się – zaś wielu członków parlamentu ceni sobie fakt, że w restauracji są takie... zaawansowane, a na dodatek dyskretne, zabezpieczenia elektroniczne.

–Prywatność moich gości jest dla mnie bardzo ważna. – Roger odwzajemnił jej uśmiech. – Można powiedzieć, że na liście usług zajmuje miejsce wcale nie pośledniejsze niż dowolna pozycja menu. W końcu to miasto kryje wiele tajemnic, a waszym zadaniem jest ich strzec, nieprawdaż?

–Oczywiście – odparła bez zająknięcia Subianto. – Jedne strzec, a inne rozwiązywać. Na przykład kim naprawdę jest Augustuc Chang? Dlaczego jego znajomi spotykają się z admirałem, który wykazuje... niedbałość w wykonywaniu rozkazów dowództwa? Dlaczego niejaki Augustuc Chang odbiera ciężką broń i opancerzenie z pozaplanetarnych źródeł? Po co Mardukanie ćwiczą pilotaż żądał? Po co pan Chang spotykał się z przedstawicielami Stowarzyszenia Osobistego Pułku Cesarzowej? Dlaczego, skoro o tym mowa, rzeczeni przedstawiciele, znani ze swojej lojalności wobec Cesarzowej, w ogóle się z nim spotykają?

–Mógłbym pewnie powiedzieć, że nie mam pojęcia, o czym pani mówi – odparł Roger, wciąż lekko się uśmiechając – ale to by było dość bezczelne kłamstwo. Myślę, że jedyną odpowiedzią może być inne pytanie. Dlaczego nie zameldowała pani o tym księciu Jacksonowi albo swoim przełożonym, co jak oboje wiemy, na jedno by wyszło?

–Ponieważ niezależnie od obecnej niecodziennej sytuacji IBI służy Imperium, a nie księciu Jacksonowi i jego kolegom. Wszystkie dowody, jakie mamy, wskazują na pana, panie Chang. Dlatego właśnie tutaj jestem, jem waszego doskonałego basika i zastanawiam się, co też, u diabła, pan sobie wyobraża. I kim pan naprawdę jest. Zdobycie Pałacu w niczym nie pomoże Imperium, a jeśli pana celem jest jedynie wydostanie Jej Wysokości z obecnego – przyznaję, straszego – położenia, to... trzeba będzie poczynić pewne kroki., dla dobra Imperium.

Subianto uśmiechnęła się promiennie.

–IBI jest organem władzy wykonawczej, zgadza się? – spytał ostrożnie Roger.

–Tak. – Kobieta popatrzyła czujnie na gospodarza. Zauważyła już, że jej urok nie robi na nim wrażenia. Widział w niej kobietę i na pewno nie był gejem, ale mimo to był całkowicie odporny na jej wdzięki.

–A Cesarzowa jest głową władzy wykonawczej, pani najwyższą przełożoną, tak? – Tak.

–Możemy więc przestać udawać, że Cesarzowa nie jest sterowana przemocą. To oznacza, że zwierzchnictwo władzy wykonawczej przypada... komu?

–Następcy Tronu – powiedział Tebic, marszcząc brew – tylko że John, Alexandra i dzieci Johna nie żyją, a Roger podobno odegrał wiodącą rolę w przewrocie. Ale tak nie jest. Adoula kazał go zabić, dlatego na jego okręcie miał miejsce sabotaż i księżę zginął w głębokiej przestrzeni.

–Mam cholerną nadzieję, że dowiedzieliście się tego po fakcie – powiedział Chang, po raz pierwszy okazując jakieś emocje.

–Oczywiście. – Subianto zmarszczyła brwi, zaskoczona jego reakcją. – Dowiedzieliśmy się o tym dzięki informacjom zdobytym już po przejęciu przez Adoulę władzy, a potem mieliśmy potwierdzenie z trzech niezależnych źródeł.

–A teraz, panno Subianto, opuść państwa – powiedział Roger, znów się uśmiechając, choć cokolwiek sztywno – ale na odchodnym chciałbym zaproponować, żeby wraz z panem Tebicem spróbowała pani atul. Jest tak delikatny jak... utuczone cielę. Proszę się nad tym zastanowić. W milczeniu. – Znów się uśmiechnął. – Smacznego.

Kiedy odszedł, Tebic spojrzał na szefową i zmarszczył brew.

–Utucz... – zaczął. Zawsze potrafił rozpoznać każdy tajny kod, ale ten nic mu nie mówił.

–Nie – przerwała mu Subianto, dziobiąc widelcem resztki basika na talerzu. – Nie mów tego.

–Co...

–Nie tutaj. Boję się, że nasze bezpieczne pomieszczenia są nie tylko przez nas monitorowane. Jesteś chrześcijaninem, Tebic, prawda?

Mężczyzna wzruszył ramionami na tę całkowitą zmianę tematu.

–W pewnym sensie. Zostałem wychowany w ormiańskim kościele apostoelskim. Tata był reformowanym muzułmaninem, ale nigdy nie chodził do meczetu, a ja nie byłem w kościele, odkąd przestałem być dzieckiem.

–Nie wiem, czy to się tak samo tłumaczy na ormiański – powiedziała Subianto – a ja jestem zoroastranką. Ale poznaję, to są słowa z Biblii, chyba z wersji cesarza Talbota. To wciąż najpopularniejsze tłumaczenie w Imperium.

–Mogę przeszukać sieć... – zaczął Tebic, próbując uaktywnić tootsa.

–Nie! – Subianto zareagowała ostrzej niż zamierzała. Chyba można powiedzieć, że była „spanikowana”. – Nawet o tym nie myśl. Nie zapisuj, nie sprawdzaj w sieci, nie

mów o tym publicznie. Nic, rozumiesz?

–Nie – powiedział Tebic, błędąc – ale skoro pani tak mówi...

–Tak mówię. Poproś o rachunek.

*** * ***

Następnego dnia rano Subianto przyszła do gabinetu Tebica z prawdziwą papierową książką w ręku – Tebic widział ich w całym swoim życiu nie więcej niż kilka – i położyła ją na biurku, po czym otworzyła na założonej stronie i wskazała linijkę tekstu.

„Przyprowadźcie utuczone cielę i zabijcie: będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten mój syn był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się”.

Na górze strony widniał tytuł: „Syn marnotrawny”.

–Święta... – Tebic umilkł i zrobił wielkie oczy.

–Tak. – Subianto wyjęła zakładkę i zamknęła książkę. – To wszystko jest święte i miejmy nadzieję, że pozostanie święte. I że nikt o tym nie usłyszy.

*** * ***

–Powiedział jej pan?! – wrzasnął Catrone.

–I tak prawie wszystko wiedziała. – Roger wzruszył ramionami. – Gdyby nas chcieli załatwić, już by nas aresztowali albo ostrzelali.

–Biuro nie będzie w tych okolicznościach jednomyślne – powiedział Temu Jin, marszcząc brew. Agent IBI zajmował się elektroniką i zabezpieczeniami, nie wychodząc z bunkra w Greenbriar.

Tylko on jeden nie przeszedł modyfikacji ciała. Nikt nie mógłby odkryć jego powiązań z Rogerem bez złożenia wizyty na Marduku, a wiadomo, że każda taka próba spotkałaby się z gwałtownym oporem tamtejszych stronników księcia... a z jego wrogami już nie można było porozmawiać.

W razie gdyby IBI użyło odpowiednich protokołów i przypadkiem znalazło Jina, okazałoby się, że figuruje na liście pracowników restauracji jako technik łączności i że w ten sposób IBI ma już na miejscu swojego agenta. W takiej sytuacji złożyłby całkowicie zmyślony raport o drobnej operacji prania pieniędzy, zaznaczając, że nie ma pojęcia, skąd te pieniądze pochodzą.

Z drugiej strony był agentem kontrwywiadu i Imperialnej Służby Bezpieczeństwa, a

szef tego wydziału zniknął w tajemniczych okolicznościach. Przedtem jednak wysłał do swoich agentów zakodowane informacje, że muszą sobie sami radzić, co najprawdopodobniej oznaczało, że akta niejakiego Temu Jina zostały elektronicznie wyczyszczone. Dlatego tak długo, jak długo nikt go nie rozpozna, był czysty. Jedynie Buseh Subianto – która pracowała w tym samym departamencie, jeśli nie w jego łańcuchu dowodzenia – mogłaby go zidentyfikować. Jin w każdym razie poznał ją i Tebica na nagraniu, które właśnie oglądał.

–Subianto jest w porządku – dodał. – Jest wyjątkowo apolityczna jak na kontrwywiad. To dlatego tak długo zajmuje swoje stanowisko; wyżej trzeba się już bawić w politykę.

–Ale teraz ona też bawi się w politykę – mruknął Catrone. – Gdyby złożyła raport, mielibyśmy już na głowie marines albo taktyczne oddziały IBI. Ale to nie znaczy, że jest po naszej stronie.

–Będzie nas dalej sondować – powiedział spokojnie książę. – To agentka IBI, nawet jeśli nie pracuje już na ulicy, a oni są natury ciekawi. Ale moim zdaniem – sądząc po jej pytaniach i sposobie, w jaki je zadawała – kiedy się dowie, kim jestem, nie będzie się wychylać. Musiałem się tym zająć; musiałem podjąć decyzję od razu, na miejscu, i zadecydowałem tak, a nie inaczej.

–Trzeba się zastanowić nad jeszcze jedną sprawą – powiedziała Eleanora. – Jednym z naszych najsłabszych punktów jest wywiad. Dobrze byłoby mieć aktualne informacje, zwłaszcza o posunięciach Adouli. Gdybyśmy mieli wtyczkę w IBI...

–Za duże ryzyko. – Catrone pokręcił głową. – Może Subianto rzeczywiście zamierza nie wychylać się i nas zignorować – myślę, że książę ma co do tego rację – ale nie możemy jej wtajemniczać ani wyduszać z niej jakichś informacji.

–Dobra – powiedział Roger. – A skoro to już ustalone, jedźmy dalej. Czy jesteśmy zgodni co do planu?

–Wielka Flota to wciąż wielki znak zapytania – zauważył Catrone, marszcząc brew.

–Wiem – odparł książę. – Macek i Bebi są już na pozycjach, ale musimy rozszyfrować Kjerulfa.

–Kontaktując się z nim, moglibyśmy się zdradzić.

–To zależy od Kjerulfa. A na razie znajdujemy sprzymierzeńców w różnych najdziwniejszych miejscach.

–Ja go znam – wtrącił się niespodziewanie Marinau. – Był moim dowódcą na Tetri. – Wzruszył ramionami. – Sądzę, że raczej będzie naszym przyjacielem niż wrogiem.

–Ale ty też nie możesz się z nim skontaktować – zaprotestował Catrone. – Jesteś tutaj potrzebny, żeby przeprowadzać próby. Poza tym możemy być pewni, że Adoula ma na ciebie oko.

–Eleanora mogłaby to zrobić – wtrącił Roger. – Kjerulf stacjonuje w Bazie Księżycowej, a to zaledwie sześciogodzinny skok.

–Uprzedzenie go o spotkaniu będzie... trudne – zauważył Marinau.

–Czy macie jakiś kod, który mógłby rozpoznać? Coś zupełnie niewinnego dla niewtajemniczonych?

–Może. – Marinau skubnął się w ucho. – Przychodzi mi do głowy parę rzeczy.

–Nie sądziłem, że niżę się do czegoś takiego – powiedział Roger – ale wyślemy mu spam z pana kodem w nagłówku. Mam nadzieję, że go rozpozna.

–Mogę to załatwić. – Catrone skrzywił się. – Mamy oprogramowanie, ale na samą myśl o tym chce mi się rzygać.

–Robiliśmy już gorsze rzeczy i jeszcze niejedno zrobimy – powiedział sucho książę. – Wiem, że trudno uwierzyć, iż rozmawiamy o spamie, ale tak jest. Czy poza tym wszyscy się zgadzają?

–Tak – odparł Marinau. – To wygląda na najlepszy plan, jaki jesteśmy w stanie wykombinować. Ale wciąż nie jestem uradowany faktem, że nie mamy żadnych sensownych rezerw. Rezerwa to coś więcej niż tylko siły, do których można się wycofać.

–Zgoda, i gdybym tylko mógł je zapewnić, na pewno bym to zrobił – powiedział książę. – Mamy za to przynajmniej żądla i promy z Cheyenne, o ile zdążą tutaj na czas. A jeśli sprawa się przeciągnie, prawdopodobnie będziemy mogli wezwać marines Szóstej Floty.

–Jak idzie szkolenie Mardukan? – spytał Catrone.

–Z tego, co słyszałem – książę wyszczerzył zęby – największe problemy stwarza wtłoczenie ich do kokpitów.

*** * ***

–Cholernie tu ciasno – poskarżył się Honal.

Hala pod głównym kompleksem Cheyenne była o wiele większa niż ta w Greenbriar... i jeszcze bardziej zapchana sprzętem. Stało tu piętnaście

nowocześniejszych i zdecydowanie bardziej groźnych żądał Bearkiller, cztery promy szturmowe Valociraptor, dziesięć lekkich czołgów grawitacyjnych i zestaw symulatorów. Honal siedział właśnie wciśnięty w jeden z symulatorów i wypróbowywał nowy fotel.

–To nie moja wina, że jesteście tacy wielcy – powiedział Paul McMahon.

Mechanik żądał stracił właśnie jedną posadę i jeszcze nie znalazł drugiej, kiedy Rosenberg wynajął go przez sieć do „pracy w odosobnionym miejscu bez możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym”. Stawka wynosiła dwukrotność normalnych zarobków McMahona, ale kiedy dowiedział się, kto go wynajął, niewiele brakowało, aby zrezygnował, mimo że Rosenberg był jego dowódcą, zanim odszedł z imperialnych marines. Zgodził się pomóc dopiero po otrzymaniu zaświadczenia, że nie robi tego dobrowolnie. Nagrane i prawnie potwierdzone oświadczenie Rosenberga przypuszczalnie nie uratowałoby mechanika przed więzieniem, ale pomogłoby mu przynajmniej ocalić głowę, chociaż sam McMahon nie cieszył się na myśl o żadnej z tych ewentualności.

Oczywiście jego entuzjazm byłby jeszcze mniejszy, gdyby wiedział, dla kogo naprawdę pracuje. Na razie powiedziano mu tylko, że Rosenberg bierze udział w akcji Stowarzyszenia mającej na celu uratowanie Cesarzowej; nie miał pojęcia, że w rzeczywistości uczestniczy w machinacjach złowrogiego księcia-zdrajcy. Rosenberg wolał nie myśleć, jak mechanik zareagowałby na ten przemilczany drobiazg.

W tym momencie jednak uwagę McMahona pochłaniała w całości praca. Zmarszczył brew, kiedy Honal otworzył właz i wyszedł z symulatora stękając, jęcząc i chrząkając.

–Wiesz, niełatwo było wymienić te fotele – powiedział. – Przeprojektowanie paneli i powiększenie miejsca na nogi było jeszcze trudniejsze. Ten model i tak był już ciasny jak kombinezon, nawet dla ludzi. I zapomnij o katapultowaniu; motywator nie jest zaprojektowany do waszej wagi, a nie mamy czasu, żeby go przerabiać. Nie wspominając o tym, że pourywałoby wam nogi; trzymacie je tam, gdzie przedtem był przedni zestaw czujników.

–Do cholery z nogami, ledwie ruszam rękami – powiedział Honal.

–Ale możesz pilotować? – spytał Rosenberg. – Tylko to się liczy. Nie możemy wynająć pilotów, a ja mam tylko kilku, którym mógłbym zaufać. Stawiamy wszystko na jedną kartę. Możesz to pilotować?

–Może. – Honal skrzywił się, po czym wcisnął się z powrotem do symulatora i zaczął procedury startowe. – Weszło nie będzie – zauważył.

–Co ty powiesz? – westchnął Rosenberg.

–A jak idzie reszta ćwiczeń? – spytał Mardukanin.

–Zgodnie z planem.

*** * ***

Oddział posuwał się powoli korytarzem, wytężając wszystkie zmysły i stawiając uważnie każdy krok.

Ściany korytarza były z niebieskiej plastali pokrytej co kilka metrów czymś, co wyglądało na abstrakcyjne malowidła; kiedy przyjrzeni się jednemu z nich, zobaczyli wśród bezgłośnie krzyczących rozwartych ust wykrzywione twarze demonów. W oddali słyhać było odgłos kapania wody, a co jakiś czas rozlegały się nieludzkie wycia. Kiedy dotarli do skrzyżowania korytarzy, Raoux zatrzymała ich podniesioną dłonią i dała sygnał dwóm idącym przodem żołnierzom, żeby je sprawdzili. Pierwszy żołnierz potoczył w stronę skrzyżowania kulę z sensorami, a potem skoczył do przodu, aby kryć wylot korytarza w tym czasie, kiedy reszta oddziału będzie przebiegała za jego plecami. Drugi zwiadowca ruszył za nimi, ale nagle stanął jak wryty, kiedy niespodziewanie ze ściany wyszedł wrzaskun.

Stwór niemal dorównywał wzrostem Mardukaninowi i miał podobne rogi, ale jego ciało pokryte było czerwoną skórą i łuskami, częściowo odpornymi na ogień karabinów śrutowych. Zwiadowca wystrzelił w jego kierunku serię pocisków, która z cichym trzaskiem trafiła stwora w pierś.

Wrzaskun zachował się zgodnie ze swoją nazwą i zaczął krzyczeć. W tle rozległo się wycie syren alarmowych.

–Złatwili nas – warknął Marinau. – Plan Delta!

Ruszyli szybciej do przodu, ale kiedy mijali następny korytarz, buchnęła z niego fala plazmy i pochłonęła osłaniającego oddział żołnierza. Zaraz potem pojawiły się płomieniaki – większa wersja wrza-skuna, z grubszym opancerzeniem, częściowo odpornym na ciężką broń – a ze ścian zaczęły wyskakiwać przepalające pancerze ogniste kwiaty.

–No, nie poszło nam za dobrze – zauważył Yatkin, kiedy kolejni członkowie oddziału zaczęli wyskakiwać z symulacji VR.

–Nie poszło – zgodziła się sucho Raoux.

–Powinien być jakiś sposób, żebyśmy mogli udawać płomieniaki, Jo – powiedział Kaaper.

–Pomalować się na czerwono? – spytała zgryźliwie.

–Wiesz, o co mi chodzi.

Pojawiły się dwie kolejne postacie.

Jedna z nich była człekokształtnym pasiastym kocurem, mierzącym nieco poniżej dwóch metrów wzrostu, który trzymał w łapach karabin śrutowy. Druga była niskim młodym grubasem o przetłuszczonych włosach i w pogniecionym ubraniu. Był to standardowy mod Geek 1, awatar nowicjusza z matrycy Surreal Battle. Miał w rękach dwa pistolety śrutowe o kolbach wykładanych macicą perłową.

–Cześć, Tomcat – powiedziała Raoux i spojrzała na drugą postać. – A to kto?

–Jestem Sabre – odparł chłopak. – Mogę z wami zagrać?

–Po prostu świetnie – mruknął Yatkin. – Właśnie tego nam trzeba: mięsa armatniego.

–Mogę zagrać? Co? Mogę? – Sabre zaczął podskakiwać w miejscu.

–Jasne. – Kaaper machnął ręką i w tym momencie w pustce zmaterializował się wrzaskun, który ruszył na podskakującą postać.

Sabre już trzymał w obu dłoniach pistolet. Nie przestając podskakiwać z podniecenia, otworzył ogień. Wrzaskun aż zakręcił się w miejscu, kiedy śruciny oderwały mu oba ramiona, a zaraz potem głowę. Broń strzelała jeszcze długo potem, chociaż magazynek powinien był już się skończyć, a z głowy potwora pozostała tylko miazga.

–Dostałem go, dostałem! – zapiszczał Sabre.

–Kody nic nam nie pomogą! – warknął Yatkin.

–Nie było żadnych kodów – powiedział kocur.

–Akurat.

–Żadnych kodów – potwierdził Sabre i zmienił się w kolejny seryjny mod: piękną kobietę przypominającą księżniczkę Alexan-drę, a zaraz potem w cholernie przystojnego faceta, który nie przypominał jednak księcia Rogera. Miał długie jasnobrązowe włosy i był ubrany w poszarpany maskujący kombinezon bojowy, połatany o wiele bardziej prymitywnymi materiałami. Oprócz pistoletów, które zmieniły się w standardowe wojskowe modele korpusu mari-nes, mężczyzna miał przewieszane przez plecy miecz i olbrzymi karabin na amunicję chemiczną.

–To nie kody, tylko doświadczenie zdobyte w twardej szkole życia – dodał Sabre

zimnym tonem; nie było w nim już ani śladu podekscytowanego dzieciaka.

–Musiała być cholernie twarda – zakpił Kaaper.

–Planeta śmierci – poleciał Roger systemowi VR i znaleźli się na zrujnowanym zwieńczeniu muru. W dół wzgórze aż po skraj dżungli ciągnęły się niskie kopce – porośnięte pnączami ruiny dużego miasta. Z lasu zaczęły się wyłaniać szeregi wrzaskunów, a w tle rozległ się głos:

–Przepraszam... – Potem nastąpiły zakłócenia. – Zapomnijcie o pięciu tysiącach, to raczej piętnaście tysięcy...

Gorący, wilgotny wiatr niósł od strony dżungli zapach zgnilizny. Nie kończące się szeregi wrzaskunów uniosły broń i przy wtórze głośniego zaśpiewu puściły się pędem w górę zbocza. Nie zważając na ogień obrońców, stwory wspinały się po prymitywnych drabinach na mury i dobijały się do bramy. Przebijały żołnierzy włóczniami, ściągały ich z murów na nadstawione w dole dzidy i topory.

Miecz Sabre'a błyskał, raz za razem trafiając napastników w gardła, piersi i brzuchy. Odrąbywał ramiona, obcinał głowy, dziesiątkował nacierających wrzaskunów, ale wciąż nadchodziły nowe szeregi. Wreszcie Sabre został niemal sam przeciwko hordzie potworów, ale mimo to jego miecz wciąż błyskał, kąsał i zabijał...

Sceneria znów się zmieniła. Było ciemno, ale systemy wzmocnienia światła ukazywały szeregi uzbrojonych w topory wrzaskunów, w liczbie przynajmniej tysiąca, szarżujących na małą grupkę żołnierzy ukrytych w okopie. Sabre trzymał w jednym ręku duży chemiczny pistolet, w drugim miecz. Kule trafiały wrzaskuny zazwyczaj w gardło, czasem w głowę, a miecz odrąbywał wyciągnięte ramiona, ostrza toporów, głowy. Okop wypełnił się krwią, większość obrońców już poległa, ale Sabre wciąż wirował w morderczym tańcu.

Wreszcie pojawiła się sala tronowa. Król wrzaskunów mówił coś do Sabre'a dziwnie grobowym głosem, a mężczyzna kiwał głową i gładził włosy spięte w kucyk. Potem znów kiwnął głową, trzymając ręce ostentacyjnie daleko do pistoletów śrutowych na biodrach i nie patrząc na gwardzistów za plecami ani na króla.

–Ty i jaka armia? – spytał wreszcie i jego ręce opadły szybciej niż atakująca żmija. Pomieszczenie znikło w rozbryzgującej się krwi.

–Ubaw po pachy – powiedział po dłuższej chwili Yatkin.

–Jak na weselu – dodał Sabre.

–Tak, ale tutaj musiał być jakiś kod – zauważył Kaaper. – Za dużo pocisków i...

–Daj spokój – przerwał mu Sabre. – Patrz.

Wezwał cel i wyszarpnął pistolet z kabury na prawym biodrze – nie starał się nikomu zaimponować, ale broń po prostu pojawiła się w jego ręku – a potem zaczął bardzo szybko strzelać, choć nie tak szybko jak poprzednio.

–To nie jest specjalnie trudne – powiedział, unosząc na chwilę lewą rękę do kolby.

–Właśnie pan przeładował – powiedział z podziwem Yatkin. – Miał pan w dłoni magazynek i przeładował pan w locie. Tym razem zauważyłem. Sukinsyn z pana.

–Nie wolno tak mówić o mojej matce – powiedział poważnie Sabre. Potem otworzył pięść i upuścił na ziemię garść magazynków.

–Przepraszam, sir – powiedział Yatkin – ale pan naprawdę umie...

–Naprawdę.

–A więc bierzemy go? – spytał kocur.

–Sama nie wiem. – Raoux potarła kark. – Umiesz się obchodzić z pancerzem?

–Zrobimy deathmatch? – spytał z szerokim uśmiechem Sabre.

–Nie – odparła Raoux po dłuższej chwili. – Nie, chyba nie zrobimy.

–Trening reszty drużyn w wirtualnej rzeczywistości idzie nieźle – powiedział Tomcat do Sabre'a. – Pana dużych kolegów nie da się tutaj ściągnąć, gdyż zestawy nie są przystosowane, a poza tym nie mają tootsów, ale ich zadanie jest raczej proste i będą ich prowadzić przeszkolone zespoły. Myślę, że nasi przeciwnicy będą bardzo zaskoczeni, kiedy nas zobaczą.

–To granie po sieci to coś wspaniałego – powiedziała Raoux z wrednym uśmiechem.

– Zawsze uważałam, że Surreal Battle jest najlepsza. Jak tam z naszym wsparciem?

–Trudno powiedzieć – odparł Tomcat, marszcząc czoło. – Trudno powiedzieć.

*** * ***

–Wybornie – powiedział Helmut, kręcąc głową. – Podczas Święta Imperium? Może od razu wystawią szyld z napisem: „Przewrót w toku"! Podczas Święta zawsze jest najwyższy poziom bezpieczeństwa.

Siedział za biurkiem w swojej kajucie. Chociaż ufał swoim sztabowcom, akurat tej wiadomości nie chciał przeglądać poza osobistą kwaterą. Spojrzał na Juliana w sposób, który można było określić jedynie jako „wilkiem".

–Roger ma powody – powiedział Julian. – Nie wiem jakie, ale jestem tego pewien. Tak czy inaczej, tak brzmi wiadomość.

–Doskonale. Ponieważ plutonowy Julian jest pewien, że Jego Wysokość ma powody ustalenia takiego a nie innego terminu, przygotuję się do zmiany miejsca postoju mojej floty. – Helmut przekazał rozkazy przez tootsa, a potem kiwnął głową. – A więc ruszyliśmy do punktu spotkania.

Julian zamrugał oczami. Biorąc pod uwagę wiadomość od Rogera, nie było potrzeby aż takiego pośpiechu – według jego obliczeń mieli co najmniej dziesięć dni zapasu – szybko jednak upomniał samego siebie, że międzygwiazdna astrogacja nie jest jego mocną stroną.

–Co teraz, sir? – spytał po chwili.

–Teraz będziemy się zastanawiać, co zastaniemy po wejściu do układu.

Helmut zeskoczył z fotela i przeszedł przez kajutę do miejsca, w którym uprzątnięto spory kawałek pokładu. Architekt odpowiedzialny za projekt okrętu flagowego admirała prawdopodobnie zaplanował w tym miejscu fotel i kanapę, a tymczasem leżał tu tylko wytarty dywan, którego zadanie stało się oczywiste, kiedy Helmut założył ręce za plecami i zaczął chodzić w tę i z powrotem, kiwając głową w rytm kroków, i analizować założenia planu oraz dołączone do wiadomości aktualizacje wywiadowcze o Układzie Słonecznym.

–Muszę przyznać – powiedział po kilku chwilach, nie wiadomo, czy do siebie, czy do Juliana – że Roger czy ktoś, kto to wszystko organizuje, nie jest zupełnym idiotą. Przynajmniej pojął znaczenie zasady „nie mnoż bytów nad potrzebę” i zastosował ją w takim stopniu, w jakim jest to możliwe w operacji z gruntu straceńczej. Myślę jednak, że moglibyśmy wprowadzić drobne poprawki.

–Sir? – Julian spytał tak ostrożnie, że Helmut aż się uśmiechnął.

–Nie przejmujcie się, plutonowy, zrobimy dokładnie to, czego chce Jego Wysokość. Myślę po prostu, że da się to zrobić trochę lepiej. Czy myślicie, że książę byłby przeciwny drobnej własnej inicjatywie?

–Zasadniczo książę jest zdania, że inicjatywa to dobra rzecz, choć w pewnych granicach.

–Ależ oczywiście, plutonowy, oczywiście. – Uśmiech admirała zrobił się zdecydowanie wredny. – Kluczem do jego obecnego planu jest nasze przybycie na cztery godziny przed rozpoczęciem ataku na Pałac, zgadza się? Będziemy wtedy oddaleni o prawie dziesięć godzin lotu od planety. Kiedy układowe platformy rozpoznawcze nas wykryją, Wielka Flota ruszy nam na spotkanie. Biorąc pod uwagę

założenia pakietu, jej siły będą zgromadzone zbyt daleko od Starej Ziemi, żeby przeszkodzić w szturmie na Pałac, tak?

–Tak, jeśli dobrze zrozumiałem, sir. – Julian obserwował zafascynowany, jak drobny admirał zaczyna coraz szybciej chodzić.

–Cóż, to rozsądny plan, zważywszy, ile niewiadomych wasz księżę albo jego doradcy musieli wziąć pod uwagę, żeby go opracować. Będziemy zagrożeniem, na które druga strona będzie musiała zareagować. Ale założmy, że udałoby nam się stać zagrożeniem i że jednocześnie oni nie będą wiedzieli, że muszą zareagować.

–Sir? – Julian niczego nie rozumiał i było to po nim widać.

–Roger zamierza zabić Greenberga – powiedział Helmut. – To dobry początek. Jego zastępcą jest Wallenstein, ale wszyscy wiedzą, że tylko dlatego, iż siedzi w kieszeni Adouli, tak samo jak Greenberg. Ale w przeciwieństwie do Greenberga, jest gryziórką, który w całym swoim bezużytecznym życiu nie objął ani jednego poważnego polowego dowództwa. Kiedy więc zabraknie Greenberga, Wallenstein nie będzie miał wystarczającego poparcia, a to znaczy, że tymczasowym dowódcą zostanie Kjerulf, przynajmniej dopóty, dopóki jakiś inny dowódca eskadry nie dotrze do Bazy Księżycowej. Ale nawet wtedy są spore szanse, że Kjerulf nie odda dowództwa. Ile jest eskadr w Wielkiej Flocie, plutonowy Julian? – rzucił, obracając się na pięcie i spoglądając groźnie na żołnierza.

–Sześć, sir! – odparł Julian.

–Bardzo dobrze. – Helmut znowu zaczął chodzić. – Pamiętajcie zawsze, że floty i eskadry to nie tylko maszyny, plutonowy, to ludzie! Pułk jest tak dobry, jak dobrzy są jego oficerowie. Kto to powiedział, plutonowy Julian? – spytał, znów odwracając się i patrząc na podoficera.

–Nie... – Julian zmarszczył brwi. – Napoleon?

–Widzę, że czegoś się nauczyliście, plutonowy – powiedział Helmut, kiwnął głową i znów zaczął chodzić.

–Chyba księżę mi to powiedział.

–W takim razie miał dobrych nauczycieli. – Admirał zmarszczył w zamyśleniu czoło. – A więc sześć eskadr nosicieli pozbawionych dowódcy. W takiej sytuacji zaczną słuchać rozkazów swoich własnych dowódców, cokolwiek mówi na ten temat regulamin. A to oznacza, że musimy odczytać myśli tych dowódców, jeśli chcemy przewidzieć ich działania i reakcje. Iść za Adoulą? Za Rogerem? Przeczekać? Pozostać neutralnym?

Kolejne pytania padały jak strzały z karabinu maszynowego, mimo iż było jasne, że są tylko retoryczne, że admirał jest już myślami o wiele dalej.

–Nie umiem nawet wymienić z pamięci nazwisk tych dowódców, sir – powiedział Julian – a co dopiero przewidzieć ich zachowanie.

–Jedenasta eskadra nosicieli, admirał Brettle – powiedział Helmut. – Niedawno awansował dzięki Adouli. Jest porywczy, ale niezbyt bystry; zajmował dwieście piętnaste miejsce na dwieście czterdzieści osób jego rocznika w Akademii. Oczywiście uczelniana błyskotliwość niekoniecznie przekłada się na błyskotliwość w działaniu, ale od tamtej pory nie zrobił żadnych postępów. Nie awansowałby tak wysoko, zarówno z powodu swojej osobowości, jak i umiejętności, gdyby ktoś mu nie pomógł. Już dawno temu zaprzysiął wierność Adouli. Jednemu z banków księcia jest winien sumę równą pięcioletnim poborom admirała i prawdopodobnie zalega ze spłatami, gdyż wydaje bardzo dużo pieniędzy.

–Dwunasta eskadra nosicieli, admirał Prokurow. To dobry, podstępny taktyk. Był średniakiem w Akademii, ale o wiele lepsze wyniki miał w college'u sztabu. Dowodził w jednym krótkim starciu ze Świętymi i Święci ponieśli sromotną klęskę. Znam go, i to bardzo dobrze. Trudno powiedzieć na pewno, wobec kogo jest lojalny albo czy miał jakieś kontakty z Adoulą przed przewrotem. Myślałem, że jest wierny Imperium, ale wciąż dowodzi, więc może myliłem się co do niego, tak samo jak co do Gianetta. Z operacyjnego punktu widzenia zaczynał jako pilot myśliwców i wciąż lubi myśliwce. Trzeba uważać, bo jego samoloty zawsze pojawiają się tam, gdzie nie powinny.

–Sir, czy pan posiłkuje się tootsem? – spytał cicho Julian.

–Jeśli ktoś musi w takich sprawach podpierać się tootsem, to nie zasługuje na dowództwo – warknął Helmut i zmrużył ze złością oczy, przyspieszając kroku.

–Larry Gianetto, Larry Gianetto, Larry Gianetto – niemal zaśpiewał i leciutko podskoczył, nie przerywając marszu. – Dowódca sił naziemnych. Nigdy za nim nie przepadałem, ale to nie ma znaczenia. To dobry dowódca, lubiany przez marines, uważany za uczciwego człowieka. Najwyraźniej wiele osób bardzo się co do niego pomyliło. Dowodzenie Wielką Flotą zostawia głównie Greenbergowi, a sam wciąż coś tam dłubie. Prawdopodobnie przekazuje bezpośrednio rozkazy eskadrom Adouli, co bez wątplenia wkurwia Greenberga. Według ostatniego raportu najwierniejsza Adouli jest czternasta eskadra, więc...

Przez chwilę nucił jakąś melodię, potem kiwnął głową.

–Czternasta eskadra, którą dowodzi admirał Gajelis, została wzmocniona trzecim dywizjonem nosicieli, dzięki czemu jest o pięćdziesiąt procent silniejsza niż każda z pozostałych eskadr, a cztery z jego sześciu nosicieli od chwili przewrotu zmieniły

dowódców. Admirał ma bardzo ciężką rękę w walce. Lubi krążowniki i używa ich jako swojej głównej broni. Uważa, że myśliwce nadają się tylko do obrony.

–Gianetto – znów zaśpiewał – umieści czternastą gdzieś w okolicy orbity Merkurego. Uzna, że stamtąd będzie mogła uderzyć we wszystkich kierunkach. Będzie „centralną rezerwą”, która będzie pilnować wnętrza układu, podczas gdy on rozmieści resztę swoich sił tak, że będą mogły zamknąć drogę odwrotu każdemu napastnikowi. Ale naziemne szczury nie myślą w kategoriach opóźnień prędkości światła, dlatego Gianetto przeoczył fakt, że jego jednostki manewrowe nie będą wiedziały, iż mają zacząć manewry, dopóki on im tego nie powie. A jeśli dane wywiadu są prawdziwe, umieścił dwunastą eskadrę w celu osłonięcia Starej Ziemi od zewnątrz w takiej samej odległości od krawędzi układu, jak czternastą od słońca.

A to świadczy w sposób niekoniecznie dla nas korzystny o lojalności Prokurowa.

Admirał znów zaczął nucić, zapatrzony gdzieś w dal, potem wzruszył ramionami.

–Z drugiej strony prawdopodobnie oznacza to, że Gianetto nie ufa Prokurowowi, tak samo jak Brettlemu czy La Pazowi z trzynastej eskadry. Owszem, trzyma go w pobliżu, żeby osłaniał Starą Ziemię, ale jednocześnie ma wystarczająco blisko czternastą, żeby ona z kolei jego osłaniała. W ten sposób ma swoją „centralną rezerwę” po obu stronach planety, wykorzystując Gajelisa do pilnowania Prokurowa. Potem rozproszy resztę Wielkiej Floty, by pilnowała wszystkich podejść do układu. Greenberg wie o mnie, ale nie wie o księciu, spodziewa się więc, że ja niczego nie zrobię, dopóki Adoula ma Pałac i Cesarzową. Nie ostrzelam Imperial City bronią kinetyczną, a nie mam dość marines, by zdobyć Pałac, zanim cała Wielka Flota wsiądzie mi na grzbiet. A więc prawdopodobnie pozwoli Gianetto ustawić Gajelisa i Prokurowa tam, gdzie się jemu i Adouli spodoba, podczas gdy on będzie krył zewnętrzny łuk układu z jedenastą i trzynastą, co do których może mieć pewność, że staną po stronie Adouli, kiedy będzie trzeba.

–A co z piętnastą i szesnastą eskadrą, sir? – spytał Julian.

–Są na peryferiach układu z jedenastą i trzynastą – odpowiedział bez wahania Helmut. – Nie mam pewności co do admirała Mahmuta z piętnastej eskadry. On sam będzie lojalny wobec Adouli, ale skipperzy jego nosiciele mogą mieć inne zdanie. Trudno powiedzieć, choć sądzę, że admirał Wu nie będzie silnym poplecznikiem Adouli.

Julian spojrział na niego pytająco, a admirał wzruszył ramionami.

–Posłuchajcie, plutonowy, wielu oficerów w tej chwili nie sprzeciwia się czynnie Adouli tylko dlatego, że nie widzą innego wyjścia. Wiedzą, że księżę nie żyje, a gdyby nawet wiedzieli, że tak nie jest, nie obdarzyliby go zaufaniem ze względu na jego

reputację. Mogą więc nienawidzić Adouli z całego serca, a mimo to widzieć w nim jedyną alternatywę dla chaosu, na który Imperium po prostu nie może sobie pozwolić. Całymi latami z wielkim trudem – pozwolę sobie dodać, że z entuzjastycznym poparciem Cesarzowej – tworzyłem kadrę dowódców okrętów i starszych oficerów w Szóstej Flocie, która jest gotowa roznieść w pył Adoulę i jego sługusów. Dlatego właśnie Szósta Flota „przypadkiem” stacjonowała daleko na pograniczu, kiedy w Układzie Słonecznym bomba poszła w górę. Jest to też powód, dla którego kolesie Adouli w kwaterze głównej obrony całymi latami kombinowali, jak to zrobić, żeby Szósta miała najmniej nosicieli ze wszystkich numerowanych flot. Zmierzam do tego, że Wu jest tak apolityczna, jak tylko oficer w dzisiejszych czasach może być. Jest na tyle pozbawiona skrupułów, że przedkłada dobro Imperium nad dobro Cesarzowej, ale jest też zbyt dobra i zbyt popularna wśród swoich oficerów i załóg, z których większość pójdzie za nią, jeśli zrobi się gorąco, by strzelać bez naprawdę ważnego powodu. Gianetto i Greenberg liczą na to, że Wu odeprze zewnętrzne ataki na układ, ale niekoniecznie nie będzie się wtrącać, jeśli na planecie zaczną się jakieś problemy, dlatego wypchną razem z jedenastą trzynastą powierzą mniej ważny odcinek Granicy Tsukuyamy.

–Wydaje się, że to dobry pomysł.

–Celem jest Stara Ziemia, plutonowy – warknął Helmut. – Tak, nasza flota może wyskoczyć w dowolnym miejscu Granicy, ale jeśli pojawimy się po drugiej stronie układu albo niezgodnie z osią ekliptyki, będziemy mieli do pokonania długą drogę. Gianetto będzie miał dość czasu, żeby nas wymanewrować, jeśli jego eskadry będą w pobliżu Starej Ziemi. Ale jeśli nadal będą rozmieszczone tak jak wtedy, gdy dostaliśmy ostatni pakiet informacji, to wszystkie eskadry oprócz czternastej i dwunastej będą za bardzo rozproszone po całym układzie, żeby bronić planety, kiedy się pojawimy. To dla czternastej i dwunastej jakieś cztery godziny lotu do orbity Starej Ziemi, ale dla najdalszych eskadr ponad dwanaście godzin. My będziemy na Starej Ziemi w niecałe dziesięć godzin, a oni nie będą nawet wiedzieli, że mająnas przechwycić, dopóki nie dostaną potwierdzenia naszego przybycia. Będziemy więc mieli sporo czasu, żeby nabrać prędkości, zanim oni się ruszą. To jest właśnie ten słaby punkt, na którym książkę oparł cały plan. Będą musieli zacząć zmieniać rozstawienie sił, kiedy tylko się pojawimy. Gianetto powinien martwić się o osłonięcie planety – do diabła z zewnętrzną stroną układu – i ściągnąć w pobliże tylko te siły, co do których może mieć pełne zaufanie. Ale Gianetto robi inaczej, a Greenberg mu na to pozwoli. Zamiast zaparkować czternastą eskadrę wprost na orbicie Starej Ziemi, gdzie byłaby od razu na pozycji, umieścił ją cholernie daleko w głębi układu. Do tego zamiast trzymać tam tylko te siły, którym może ufać, kazał czternastej uważać na dwunastą. Pewnie sądzi, że przyjaciół trzeba mieć blisko, ale wrogów jeszcze bliżej, żeby mieć na nich oko, a tymczasem powinien się skupić na fakcie, że cała reszta jest tak rozrzucona, że będzie im cholernie trudno się zebrać, zanim my dolecimy do Starej Ziemi.

–A co z Bazą Księżycową? – spytał Julian.

–Słuszna uwaga. Żeby im oddać sprawiedliwość, chociaż wcale nie mam na to ochoty, to pewnie prawdziwy powód, dla którego Greenberg nie narzekał, kiedy Gianetto zaczął rozstawiać Wielką Flotę cholera wie gdzie. Baza Księżycowa ma w samej broni prze-ciwokrętowej siłę ognia co najmniej dwóch eskadr nosicieli, można więc powiedzieć, że Greenberg ma swoją grupę uderzeniową- bez krążowników, ma się rozumieć – która przez cały czas kryje planetę. Ale jeśli Kjerulf przejmie dowodzenie, kiedy Greenberg zginie, to on będzie kontrolował wyrzutnie i gniazda Bazy Księżycowej, zakładając, że będzie miał do nich aktualne kody dostępu. Najlepiej by było, gdyby przeszedł na naszą stronę i miał wszystkie kody, ale przeżyjemy, jeśli tylko nie dopuści do nich ludzi Adouli.

–To broń stacjonarna, sir, a co z myśliwcami Bazy Księżycowej?

–To może być problem. Ale w Bazie są dwie kompanie marines, a ja dopilnowałem, żeby najgorsze plotki o stanie Cesarzowej, jakie do mnie doszły, rozpuszczono tam, gdzie marines najbardziej narzekają. Nie muszę nawet zgadywać, jaka była ich reakcja, a wy?

–Nie, sir – przyznał Julian.

–Dużo myślałem o skrzydle myśliwców Bazy – powiedział Helmut z nikłym uśmiechem. – Jestem pewien, że marines też. Wiem także, iż Kjerulf ma dostęp do tych samych danych wywiadu.

–Tak, sir.

–W takim razie... – Helmut splótł ręce za plecami, zmarszczył brew i znów zaczął się przechadzać. – Zmierzam do tego, plutonowy, że kiedy przylecimy, Wielka Flota niemal na pewno będzie skoncentrowana między nami a Starą Ziemią, ale sytuacja zmieni się dość drastycznie, kiedy planeta za ich plecami stanie w ogniu. Co wtedy zrobią?

–Zawrócą i mimo wszystko ruszą na planetę?

–Nie – powiedział stanowczo admirał. – Dlatego właśnie księżę nakazał, żebyśmy tak wcześnie przylecieli. Gajelis stacjonuje nieco ponad cztery godziny od Starej Ziemi w profilu przechwytywania zero/zero. To oznacza, że jeśli chciałby się zatrzymać i wejść na orbitę okołoplanetarną, musiałby ostro hamować już dwie godziny po tym, jak zacznie przyspieszać w kierunku planety. Ale on będzie przyspieszał już od trzech i pół godziny – systemy bezpieczeństwa wychwycą nasz ślad wyjścia z tunelu i przekażą mu tę informację dopiero po jakichś trzydziestu pięciu minutach – zanim na Starej Ziemi zacznie się cokolwiek dziać, dlatego nie będzie w stanie wyhamować i wejść na orbitę. Zanim minie planetę i wyhamuje do relatywnego zera, a potem

zacznie rozwijać wektor powrotny, my zdążymy już dobrać mu się do dupy.

–A więc będą mieli przejebane, sir, tak?

–Jeśli założymy – tak, jak ja to robię – że lojalność Wielkiej Floty wobec Adouli zostanie szybko zweryfikowana, kiedy Greenberg dostanie w czapę i oficerowie floty zrozumieją, że ktoś próbuje uratować Cesarzową, wtedy rzeczywiście, plutonowy, będą mieli przejebane. Ale jeśli zareagują wystarczająco szybko, będą w stanie ograniczyć straty i prysnąć do dowolnego punktu w sferze Tsu-uyamy, a wtedy odległość wciąż będzie tak duża, że bez większych trudności będą mogli nam uciec. A jeśli sam Adoula też zwieje, z czym należy się liczyć, bo to typ człowieka, który zawsze ma przygotowaną jakąś norę, w której może się ukryć, będziemy mieli wojnę domową, niezależnie od tego, czego by sobie wasz książę życzył. W takim wypadku byłoby miło, gdyby Adoula nie miał po swojej stronie więcej statków niż my mu pozwolimy, prawda?

–Tak, sir – odparł z zapalem Julian.

–Cieszę się, że się zgadzacie, plutonowy – powiedział Helmut głosem suchym jak pustynny piach, a potem obrócił się na pięcie i jeszcze raz uśmiechnął się drapieżnie do Juliana. – Dlatego właśnie wyruszymy trochę wcześniej, plutonowy Julian. Musimy polecieć nieco okrężną drogą.

* * *

–Kto to jest?

–Nie wiem, panie Siminow – powiedział dowódca gangu, stając niemal na baczność.

Alexi Siminow lubił nazywać siebie „biznesmenem” i miał sporą liczbę całkowicie legalnych przedsiębiorstw – chociaż na papierze był właścicielem tylko jednej restauracji, w rzeczywistości miał ich więcej jako cichy i ważny wspólnik – ale pod względem znaczenia jego legalne interesy ustępowały interesom nielegalnym. Alexi kierował prawie całą zorganizowaną przestępczością w południowej części Imperial City; oszustwa, „ochrona”, nielegalny hazard, kradzież danych, fałszywe tożsamości, narkotyki – to wszystko było w rękach Siminowa.

–Myślałem, że to tylko restauracja – ciągnął szef gangu – ale potem doszedłem do wniosku, że coś tam śmierdzi. Później pomyślałem, że to pewnie pana ludzie, więc byłem dla nich miły. Poza tym są tak silni, że nie chciałem ich brać na siebie.

–Gdyby to była moja operacja, dałbym ci znać – powiedział ze złością Siminow. – Oni piorąpieniądze, ale to nie są moje pieniądze i ja nic z tego nie mam. Bardzo mnie to irytuje.

–Przepraszam, panie Siminow. – Wódz gangu przełknął nerwowo ślinę. – Nie wiedziałem.

–Nie, nie wiedziałeś – zgodził się Alexi. – Rozumiem, że ściągnęliście z nich forszę?

–Musieliśmy się dogadać – powiedział gangster, lekko się zakrztusiwszy. – Bardzo im się... nie podobało... że muszą dojść z nami do porozumienia.

–A gdyby to było moje przedsięwzięcie, myślisz, że by się z tobą dogadywali? – Oczy Siminowa niebezpiecznie zabłyśły.

–Eee...

–Widzę, że logiczne myślenie nie jest twoją mocną stroną. – Alexi zacisnął usta. – Ale w końcu nie dochrapałeś się swojej pozycji głową.

–Nie, sir – powiedział gangster, krzywiąc się.

–Ale dogadaliście się, tak? – spytał cicho Siminow. – Nie chciałbym się dowiedzieć, że tracisz formę.

–Tak, proszę pana. I dostał pan swoją działkę, proszę pana.

–Na pewno, ale nie z tego, co oni tam naprawdę robią. Dobrze, możesz iść, ja zajmę się resztą.

–Dziękuję panu. – Gangster wycofywał się z gabinetu, dygając w pospiesznych ukłonach. – Dziękuję.

Po jego wyjściu Siminow potarł w zamyśleniu brodę. Dureń ma słuszość; ta grupa rzeczywiście jest bardzo silna. Mardukanie, których bardzo niewielu żyło poza macierzystą planetą, pracowali zwykle jako „mięśnie” w tej czy innej organizacji, ale zawsze byli rozproszeni (Siminow nigdy nie miał żadnych Mardukan i nigdy nie widział ich więcej niż jednego na raz), a tymczasem ten facet ma ich pięćdziesięciu, a może nawet więcej, i wszyscy oni roztaczają wokół siebie nieuchwytną aurę osobników, którzy potrafią być bardzo nieprzyjemni.

A to oznacza, że bezpośrednie podejście nie wchodzi w grę. Trzeba będzie uciec się do subtelniejszych metod, ale Siminow nie miał z tym żadnego problemu; w końcu miał na drugie imię „Subtelność”.

–Panie kapitanie Kjerulf – powiedziała Eleanora O'Casey, potrząsając jego dłonią. – Dziękuję, że pan się ze mną spotkał.

Siedzieli w barze szybkiej obsługi w niskograwitacyjnym sektorze Bazy Księżycowej. Eleanora zauważyła, że kapitan porusza się w tych warunkach bez żadnych trudności.

Kjerulf bardzo przypomina Gronningena, pomyślała. Ten sam wzrost – trochę ponad dwa metry – ta sama potężna budowa, tak samo krótko przycięte jasne włosy, niebieskie oczy i kwadratowa szczęka. Kapitan był jednak starszy i, sądząc po jego oczach, mądrzejszy. Pewnie właśnie taki byłby Gronningen, gdyby miał szansę się zestarzeć.

–Dostawami żywności zajmują się u nas odpowiedni ludzie, panno Nejad – odparł kapitan, siadając przy stoliku naprzeciwko niej. – Obawiam się, że w tej sprawie nic pani nie pomogę.

Jego oficjalny przepaszający ton był doskonały; kapitan wiedział, że wcale nie chodzi o dostawy żywności, skoro tytuł wiadomości brzmiał: „róże są czerwone, a kiszona kapusta żółta”.

–Zdaję sobie sprawę, że to nie jest pański zakres odpowiedzialności, panie kapitanie – powiedziała Eleanora – ale jest pan bardzo wpływową osobą w Wielkiej Flocie, a mardukańskie produkty żywnościowe, które możemy dostarczyć, byłyby przyjemną odmianą dla waszych ludzi.

–Nie zajmuję się zaopatrzeniem, panno Nejad – powiedział Kjerulf nieco chłodniejszym tonem i zmarszczył brew.

–Być może, ale jestem pewna, że ma pan... jeszcze pewne wpływy.

Kjerulf otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, zanim jeszcze skończyła mówić, teraz jednak zamknął je i zmrużył oczy. Miała słuszość – Adoula wymieniał wszystkich, których nie mógł kupić – ale czegoś takiego nie mógłby powiedzieć zwykły dostawca żywności. Takie słowa mógł powiedzieć... tylko ktoś inny, kogo reprezentowała. Z drugiej strony wiedział, że Marinau zakończył służbę jako starszy sierżant sztabowy w Osobistym Pułku Cesarzowej, więc...

–Być może – powiedział – kilku kapitanów byłoby skłonnych wysłuchać jakichś sugestii, ale to by zależało wyłącznie od jakości... dostaw.

Eleanora dokładnie przestudiowała przeszłość kapitana i miała cholerną nadzieję, że został wychowany podobnie jak Gronningen.

–Nasze atul – powiedziała cicho – bywają tak soczyste, jak dobrze utuczone cielę, panie kapitanie.

Kjerulf siedział przez chwilę bez ruchu, nie zmieniając – może aż za bardzo – wyrazu twarzy.

–To niemożliwe – powiedział w końcu.

–To prawda. Chociaż to drapieżniki, są tak smaczne, że poręczyłaby za nie nawet armaghańska satanistka. Myślę, że smakowałyby panu. Są śmiertelnie niebezpieczne dla swoich wrogów, to prawda, ale można z nich zrobić świetne... główne danie.

Kjerulf wyciągnął rękę i wziął z jej talerza kilka frytek. Włożył je do ust i zaczął wolno i z namysłem przeżuwać.

–Nigdy nie jadłem... atul – powiedział – ale szczerze mówiąc, słyszałem, że nie są za dobre. I że są bardzo rzadkie, na granicy wyginięcia.

Otrzeptał palce z soli i spojrzał na nie z obrzydzeniem. W końcu wytarł tłuszcz serwetką.

–Pana informacje są nieaktualne – odparła Eleanora. – Atul wciąż są żywe, proszę mi wierzyć.

–A macie ich tyle w układzie, żeby je niezwłocznie dostarczyć? – Kjerulf wciąż wycierał dłonie.

–Tak. Inne floty umieściły je na swoich listach zaopatrzenia, gdyż ich smak bardzo przypadł załogom do gustu. O wiele bardziej niż się spodziewano po różnych doniesieniach.

Eleanora wzięła frytkę i polala ją keczupem, a następnie wypisała nią na talerzu słowo „O'Casey". Potem szybko starła je drugą frytką.

–Domyślam się, że jest pani w zarządzie tego przedsiębiorstwa? – spytał Kjerulf.

–Kieruję marketingiem i sprzedażą. – Eleanora skończyła jeść frytkę, którą starła swoje nazwisko. – I doradztwem.

–A więc inne floty uznały wasze dostawy za zadowalające?

–Oczywiście. Musi pan zrozumieć, panie kapitanie, że ludzie, których pan przekona do spróbowania tego nowego smaku, bardzo na tym skorzystają. Zamierzamy niedługo zostać głośną marką w Układzie Słonecznym.

–Nie wątpię – odparł sucho Kjerulf – jednak w każdej branży jest duża konkurencja.

Wzruszył ramionami i zmarszczył brew.

–Zdajemy sobie sprawę ze zmonopolizowania rynku – powiedziała O'Casey. Bardzo długo zastanawiała się, jak uniknąć w rozmowie słów „Cesarzowa” i „Pałac”. – Nie jest łatwo zacząć, kiedy ktoś inny kontroluje najważniejsze rynki, ale zamierzamy przełamać monopol,

panie kapitanie, i uwolnić te rynki. To najważniejszy punkt naszego biznesplanu. W zależności od jakości firm, które korzystają z obecnego monopolu, możemy być zainteresowani ich wykupem. Słyszeliśmy, że mogą mieć pewne wewnętrzne problemy.

–A konkurencja? – spytał Kjerulf, rozgryzając ten dość skomplikowany ciąg metafor.

–Nasza konkurencja przekona się, że możliwość dostarczania przez nas autentycznego atul może być zabójcza dla ich perspektyw marketingowych.

–A jak wyglądają państwa perspektywy?

–Przyznaję, że współpraca z Wielką Flotą to ważna część naszych planów rozwoju, ale nie najważniejsza, zwłaszcza odkąd mamy wśród odbiorców naszych produktów inne floty. Nie chciałabym jednak, żeby doszło do jakichś tarć między oficerami zaopatrzeniowymi różnych flot, a współpraca z Wielką Flotą bardzo by nam w tym pomogła. Gdyby do niej doszło, nasze rokowania byłyby doskonałe, bez niej natomiast byłyby... niezłe.

–Nie mogę zagwarantować współpracy całej floty. Mogę coś zasugerować niektórym kapitanom, ale mój szef...

Wzruszył ramionami.

–Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie – powiedziała chłodno Eleanora – pana szef nie będzie już stwarzał żadnych problemów.

–To dobrze – odparł Kjerulf i po raz pierwszy się uśmiechnął. Nikłym i zimnym uśmiechem, ale jednak był to uśmiech. Eleanora tyle razy widywała taki uśmiech u Gronningena, że aż ją to zabolalo, ale z drugiej strony poczuła też zadowolenie. Wszystko zmierzało ku lepszemu.

*** * ***

Od powrotu Eleanory z Bazy Księżycowej minęły trzy dni. Sprawy toczyły się coraz szybciej, co tłumaczyło, dlaczego nie było żadnego z ludzkich towarzyszy Rogera, kiedy do Marduk House przyszli goście.

Idący na przodzie człowiek był niepozorny; dwóch idących za nim było całkiem potężnych jak na ludzi, ale Rastar i tak górował nad nimi jak wieża, a z tylnego wejścia obserwowali ich jeszcze Fain i Erkum Pol. Jeden z Diaspran zazwyczaj ostentacyjnie podsuwał pod pysk atul żywego basika; to zwykle wystarczyło, żeby zniechęcić akwizytorów, ale ci się nie cofnęli. Jeden z osiłków zrobił się trochę zielony – obejrzał się przez ramię, kiedy wielka samica atul rzuciła się z łoskotem na ścianę klatki, ignorując piszczącego basika i próbując dosięgnąć Diaspranina – ale jego szef nawet nie mrugnął okiem.

–To bardzo ważne, żebym porozmawiał z panem Changiem – powiedział. – To znaczy ważne dla niego.

–Nie być – odparł Rastar. Mówił imperialnym całkiem płynnie, ale udawanie „wielkiego, głupiego barbarzyńcy” wydało mu się teraz najlepszym pomysłem.

–Może go wezwiesz? Powinno mu zależeć, żeby ze mną porozmawiać.

–Daleko – odparł Rastar, splatając na piersi wszystkie cztery ręce. – Przyjść później.

–Może jednak zaczekam?

Rastar gapił się na niego przez chwilą, potem obejrzał się przez ramię.

–Dajcie znać panu Changowi – powiedział, przechodząc na Wysoki Krath. – Spytajcie, co mam zrobić. Ja bym na jego miejscu powiedział, żeby im skopać dupę i rzucić na pożarcie atul.

Zobaczył, że mężczyzna lekko się skrzywił. A więc zaktualizowali mardukańskie pakiety językowe. Interesujące. Miał nadzieję, że Fain też to zauważył.

* * *

–Roger – powiedziała Despreaux, zaglądając do jego gabinetu.

–Zgłasza się Krindi. Mamy jakichś cyngli, którzy chcą się widzieć z „panem Changiem”. Są bardzo uparci.

–Cholera. – Roger zerknął na Catrone'a. – Ma pan jakieś sugestie?

Dopracowywali właśnie w szczegółach plan szturmu na Pałac

i przeglądali raporty ze szkolenia w wirtualnej rzeczywistości. Jak dotąd wszystko wyglądało nieźle. Straty w modelach, zwłaszcza wśród nieopancerzonych Vasinów i Diaspran, którzy mieli poprowadzić pierwszy atak, wciąż były wysokie, ale mimo to

plan powinien się powieść.

–Niech pan gra na zwłokę – doradził Catrone. – Wygląda na to, że znów chcą z pana ściągnąć haracz.

–W takich chwilach żałuję, że nie ma tutaj Poerteny – powiedział Roger. – Nimashet, ściągnij Kosutic. Chodźmy, zobaczymy, czego chcą. I powiedz Rastarowi, żeby zaczekali w środku.

*** * ***

Gość był ubrany w drogi garnitur ze sztucznego jedwabiu w kolorze stłumionego brązu, a nie w krzykliwy strój uliczny, którego Roger się spodziewał. Dwaj towarzyszący mu mafijni żołnierze, obaj niżsi od Rogera i zupełnie karłowaci w porównaniu z Mardukanami, jedli jakąś mardukańską potrawę przy pobliskim stoliku. Ich kulinarne doświadczenia nie przeszkadzały im w czujnym obserwowaniu otoczenia; ich samych z kolei mieli na oku Erkum Pol i inny Diaspranin, zupełnie się z tym nie kryjąc.

–Augustuc Chang. – Roger wyciągnął rękę. Znalazł krawca, który potrafił obsługiwać klientów pokaźnego wzrostu, i teraz był ubrany mniej oficjalnie, chociaż prawdopodobnie jeszcze kosztowniej niż jego gość.

–Ezeąuiel Chubais – odparł tamten, wstając i odwzajemniając uścisk. – Miło mi pana poznać, panie Chang.

–Co mogę dla pana zrobić, panie Chubais? – Roger usiadł, wskazując Despreaux i Kosutic krzesła po obu stronach swojego.

–Ma pan tutaj bardzo przyjemny lokal – powiedział Chubais, również siadając. – Bardzo elegancki. Obaj jednak jesteście ludźmi interesu i wiemy, że restauracja to nie jedyne pana przedsięwzięcie.

–Do czego pan zmierza, panie Chubais?

–Zmierzam – a właściwie mój szef zmierza – do tego, że takie rzeczy załatwia się według określonych zasad. Nie wolno ot tak sobie otworzyć pralni na cudzym terenie, panie Chang. Tak się nie robi.

–Płacimy wam już haracz, panie Chubais – powiedział chłodno Roger. – Więcej nie dostaniecie.

–Płaciecie czynsz za prowadzenie restauracji, panie Chang, a nie za pranie. Od tego płaci się procent, o którym pan zapomniał. Słyszał pan określenie „kara umowna”, prawda?

–A jeśli nie będziemy skłonni przychylić się do waszej... prośby?

–Wtedy z największą niechęcią będziemy musieli podjąć stosowne kroki. – Chubais wzruszył ramionami. – Ma pan silną grupę, panie Chang, tak silną, że zaczynamy się zastanawiać, czy tylko pierze pan tutaj pieniądze, czy może robi pan coś nieco bardziej... niebezpiecznego. Mój szef nie lubi, kiedy ktoś rozpycha się na jego terenie. Potrafi być w tych sprawach bardzo nieuprzejmy.

–Nie rozpychamy się na jego terenie. Prowadzimy tutaj cichą, małą działalność, która ma niewiele wspólnego z pana szefem.

–Mimo wszystko naszym zdaniem przerobił pan już około dwóch milionów kredytek. Procent od tego wynosiłby dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Kara za niedopuszczenie nas do współpracy i zaniedbanie pierwszej płatności wynosi pięćset tysięcy.

–Nie ma mowy – warknął Roger. – Zapłacimy procent, ale kara nie wchodzi w grę.

–Kary nie można negocjować. – Chubais wstał i skinął głową strażnikom. – Spodziewamy się całej sumy w ciągu trzech dni.

–Chubais, niech pan powie swojemu szefowi, że naprawdę nie powinien się przy tym upierać – powiedział bardzo cicho Roger, również wstając. – To bardzo niedobry pomysł, być może jego ostatni. Nie ma pojęcia, do kogo się przyjebał.

–Przyjebał? – powtórzył Chubais i wykrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu. – Cóż, panie Chang, nie wiem, skąd pan się wziął, ale teraz jest pan na naszym terenie i najwyraźniej nie ma pan pojęcia, do kogo pan się... przyjebał. Jeśli jednak pan nie zapłaci, dowie się pan.

Kiwnął głową i wyszedł, eskortowany przez swoich żołnierzy.

–Roger – powiedziała cicho Despreaux – następny przelew od naszych... przyjaciół przyjdzie dopiero w przyszłym tygodniu. Nie mamy wolnych siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy.

–Wiem. – Roger zmarszczył czoło. – Kosutic, wiem, że wszyscy są czujni, ale daj znać ludziom. Prawdopodobnie będą próbowali uderzyć w magazyn albo zrobić scenę w restauracji, w godzinach otwarcia. Trzeba zwiększyć liczbę straży.

–Zrobi się, ale to nam rozpieprzy cały harmonogram szkolenia.

–Trudno. – Roger wzruszył ramionami. – Gdyby to było łatwe, mógłby się tym zająć ktoś inny, prawda?

–Był wyjątkowo... nieporuszony – powiedział Chubais.

–Nic dziwnego. – Siminow otarł usta serwetką. Jadł kolację (bardzo dobrą wieprzowinę w winie) w swoim jedynym legalnym przedsiębiorstwie. – Ma tylu ludzi, że musielibyśmy sprowadzić wszystkie nasze gangi, a i tak pewnie tylko byśmy się od nich odbili.

–Ale miałyby sporo problemów – zauważył Chubais. – Gliniarze od razu by go prześwietlili.

–I znaleźliby całkowicie legalną restaurację, która ma kłopot z gangami. – Siminow zmarszczył czoło. – Może by go trochę nękali, ale nie na tyle, żeby zamknął interes. Nie, chcę dostać to, co mi się należy, i to nam się uda.

*** * ***

–Sierżancie – powiedział kapitan Kjerulf i skinął głową, kiedy podoficer wszedł do bezpiecznego pomieszczenia.

–Panie kapitanie – odparł starszy sierżant sztabowy Brailowsky, odwzajemniając powitanie.

–Niech pan siada. – Kjerulf popatrzył na zebranych kapitanów okrętów. – Moi ludzie przeczesali ten pokój. Tematem naszego spotkania miała być gotowość szkoleniowa i następny cykl inspekcji, jednak ten temat jest trochę nieścisły.

Trzeba przyznać, że ostatnie zdanie nikogo nie zdziwiło. Kapitan odwrócił się do sierżanta Brailowsky'ego.

–Sierżancie, czy zna pan starszą sierżant sztabową Evę Kosutic? – spytał chłodno.

–Tak, sir – odparł sierżant z niewzruszoną miną. – Była w mojej drużynie, kiedy oboje byliśmy szeregowcami. Służyłem z nią... kilka razy.

–I co pan sądzi o tym, że podobno była zaangażowana w spisek przeciwko Imperium?

–Prędzej sama poderżnęłaby sobie gardło – odparł Brailowsky bez śladu wahania. – Tak samo Armand Pahner. Jego też znałem jako jednego z moich starszych podoficerów i dowódcę kompanii. Byłem sierżantem kompanii Alpha trzysta czterdziestego drugiego pułku, kiedy on dowodził kompanią Bravo. Sir, nie można być bardziej lojalnym.

–Ja powiedziałbym to samo o komodorze Chanie, a wy? – Kjerulf powiódł spojrzeniem po pozostałych kapitanach. Jeden z nich... wyglądał na nieco

roztrzęsionego, pozostała trójka miała kamienne twarze.

–Sir, proszę o pozwolenie zabrania głosu – powiedział Brailowsky.

–Nie jest pan rekrutem, Brailowsky – odparł Kjerulf, lekko się uśmiechając.

–Myślę, że jestem. Właśnie odbywa się tutaj rekrutacja, prawda?

–Tak.

–W takim razie, sir, znałem połowę podoficerów z Bravo – powiedział Brailowsky – i wiem, co sądzili o księciu i Cesarzowej. Nie ma mowy, żeby pomogli mu przejąć Tron.

–A gdybym panu powiedział, że zmienili zdanie? – spytał Kjerulf. – Że ma pan rację, iż nie brali udziału w przewrocie, ale że teraz myślą o Rogerze lepiej niż pan? Że tak naprawdę nie zginęli... i że on też żyje?

–Skąd o tym wiesz? – spytał kapitan Julius Fenrec. Był dowódcą krążownika Gloria i słuchał całej tej rozmowy ze skupionym, nie zdradzającym niczego wyrazem twarzy.

–Spotkałem się z kobietą, która przedstawiła się jako Eleanora O'Casey. – Kjerulf wzruszył ramionami. – To mógł być podstęp, żebym się podłożył, ale nie sądzę. Nie mogę tego oczywiście udowodnić... na razie, ale ona twierdzi, że Roger żyje; użyła metafory syna marnotrawnego, co, jak sądzę, ma więcej niż jedno znaczenie. Zdradziła mi również, że Eva Kosutic też żyje i bierze udział w całym planie. Nie wiem, co się stało z Pahnerem.

–Nie bardzo wiadomo, co o tym sądzić – powiedział zdenerwowany kapitan Atilius z Minotaura.

–To fakt – zgodził się Kjerulf z zaciętym wyrazem twarzy – ale widziałem tajne raporty na temat tego, co się dzieje w Pałacu, i to mi się ani trochę nie podoba.

–Mnie też nie – dodał Fenrec. – Dobrze wiem, że według Adouli jestem zbyt wiemy dynastii, żeby zachować dowództwo. Trafię gdzieś za biurko, podczas gdy jakiś zasmarkany gówniarz, który zaprzedał Adouli duszę, przejmie mój okręt. To też mi się nie podoba.

–Wszyscy trafimy za biurko. – Kapitan Chantal Soheile była dowódcą HMS Lancelota. Nachyliła się do przodu i odgarnęła ciemne włosy. – Zakładając, że będziemy mieli szczęście i nie spotka nas jakiś „wypadek”. A co do plotek krążących we flocie o tym, co się dzieje z Cesarzową... to jeszcze nigdy nie widziałam, żeby kosmiczni byli tacy wściekli.

–Marines też – wtrącił Brailowsky. – Sir, jeśli zamierza pan uprowadzić Cesarzową...

marines Wielkiej Floty sąż panem.

–A pułkownik Ricci? – spytał Atilius.

–No właśnie, co z nim, sir? – Brailowsky popatrzył twardo na kapitana. – To cipa z kwatery głównej obrony, którą nam wcisnęli na siłę ci dranie, którzy mają Cesarzową. Nigdy nie dowodził niczym więcej niż kompanią, a i to było do dupy. Uważa pan, że staniemy po jego stronie, kiedy dojdzie do walk dynastycznych, sir?

Pokręcił głową i z poważnym wyrazem twarzy spojrział na Kjerulfa.

–Sir, pan naprawdę sądzi, że ten palant Roger żyje?

–Tak. – Kjerulf wzruszył ramionami. – O'Casey miała coś takiego w oczach... Miałem też wrażenie, sierżancie, że nie była tą samą kobietą, która opuściła Starą Ziemię. Jeśli księżę zmienił się tak bardzo jak ona... to cóż, byłbym zainteresowany spotkaniem z nim.

–Zrobimy to? – spytała Soheile. – Spotkamy się z nim?

–Wątpię, a przynajmniej nie teraz. Myślę, że do czegoś się przygotowują, a ponieważ zamierzają to przeprowadzić niedługo, sądzę, że wszystko się wyjaśni w okolicach Święta Imperium.

–A co my zrobimy? – spytał Fenrec, pochylając się do przodu.

–Nic. Nic nie zrobimy, oczywiście oprócz dopilnowania, żeby reszta Wielkiej Floty też nic nie zrobiła, a to będzie wymagało sporo zachodu.

–O tak – powiedział Atilius, załamując ręce. – Mamy cztery nosiciele z trzech różnych eskadr przeciwko sześciu pełnym eskadrom!

–Będziemy mieli pomoc – zauważył Kjerulf.

–Helmuta – powiedział kapitan Pavel z Holbeina. Do tej pory siedział w milczeniu i tylko obserwował rozwój sytuacji.

–Prawdopodobnie. Wiesz, jaki on jest.

–Ma świra na punkcie Alexandry.

–Tak samo jak ty, dlatego tu jesteś.

–Swoją zawsze pozna swego – odparł Pavel wciąż z kamienną twarzą.

–Wchodzisz w to?

–Oczywiście. – Nawet mimo najszczerzych chęci nie można by nazwać grymasu, który w końcu pojawił się na twarzy Paveła, uśmiechem. – Domyślam się, że ktoś inny urznie Adouli jaja, zanim ja się tam zjawię. Ale mimo to wchodzę.

–Ja też – powiedział Fenrec – a moi oficerowie pójdą za mną. Kosmiczni szeregowi również.

–Ja także wchodzę – rzekła Soheile. – Jeśli Roger nic nie zrobi – a szczerze mówiąc, byłabym zdumiona, gdyby nagle wyhodował sobie jaja – zrobmy to sami. Lepiej, żeby Cesarzowa zginęła, niż żeby działo się z nią to, co się teraz dzieje, jeśli plotki są prawdziwe.

–Są – powiedział ponuro Kjerulf, patrząc na Atiliusa. – Comi?

–Do emerytury brakuje mi tylko dwóch lat – odparł nieszczęśliwym głosem Atilius. – W moim wieku biurko zaczyna wyglądać kusząco.

Przez chwilę siedział zgarbiony, potem się wyprostował.

–Ale tak, wchodzę. Jak to było z tym świętym honorem?

–„Nasze życie, nasze mienie i nasz święty honor” – powiedział Paveł. – Rzucimy to wszystko na szalę, ale lepiej, żeby chodziło o przywrócenie władzy Cesarzowej niż o posadzenie tego gówniarza Rogera na Tronie.

–Przekonamy się, jeśli ktokolwiek z nas przeżyje – powiedział Fen-rec. – Ale jak zasygnalizujemy naszą gotowość? Zakładam, że chodzi o to, żeby flota nie wsparła sił Adouli bronią kinetyczną i marines.

–Ani jeden cholerny marinę nie wejdzie na pokład promu, sir – powiedział Brailowsky. – Chyba że po to, aby zabić Adoulę.

–Marines będą mieli inne zadanie, sierżancie – powiedział Kjerulf. – Oni zduszą na własnych okrętach próbę buntu przeciwko Tronowi.

–Cholera – zaklął sierżant. – Obawiałem się, że to będzie coś w tym rodzaju.

–Będą też mieli pewne obowiązki na Księżycu – dodał Kjerulf i spojrzał na pozostałych z ponurą miną. – Nie wiem, co knuli Greenberg i ten szcur Wallenstein. Chociaż jestem szefem sztabu floty, wypadłem z obiegu w wielu sprawach, zwłaszcza tutaj, w Bazie Księżycowej. Mam paskudne przeczucie, że Greenberg zmienił kody aktywacji wyrzutni, ale nie mogę tego sprawdzić tak, żeby on się o tym nie dowiedział. Jeśli zmienił, będę miał związane ręce przez co najmniej dziesięć do dwunastu godzin, dopóki nie złamiemy kodu. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko dobrze pójdzie. Dlatego też potrzebuję was i waszych okrętów blisko

planety.

–Skoro mowa o Greenbergu... – zaczęła Soheile.

–Mam powody przypuszczać, że już nigdy nie odegra żadnej roli – powiedział Kjerulf i uśmiechnął się ponuro.

–Och, to dobrze. – Kapitan również się uśmiechnęła.

–Ale w tej chwili trzeba go brać pod uwagę. Z drugiej strony mogę sobie na wiele pozwolić, nie wspominając mu o tym. Właśnie w ten sposób zostaliście odłączeni od waszych eskadr. Wybrałem was, ponieważ oczywiście wiedziałem, jak się zachowacie, a poza tym wyciągnięcie ciebie, Chantal, i Juliusa z trzynastki stworzy dziurę w jednej z eskadr, na które Greenberg bardzo liczy.

–Aha. – Soheile zamyśliła się, po czym kiwnęła głową. – Prawdopodobnie masz słuszność. Byłam zdania, że pozostawienie naszej dwójki w jego eskadrze być może da La Pazowi coś do myślenia w sprawie przeskoczenia na stronę Adouli, ale tutaj będziemy bardziej potrzebni, zwłaszcza teraz, gdy Gianetto wzmocnił czternastą.

–No i gdy nie wiemy, jak się zachowa dwunasta – dorzucił z kwaśną miną Fenrec i spojrzął na Kjerulfa. – Masz na ten temat jakieś informacje?

–Nie więcej niż ty. Jednego tylko jestem pewien: kapitanowie Prokurowa poprą go, cokolwiek zadecyduje. A Gianetto na tyle mu zaufał, że powierzył mu obronę zewnętrznej strony Starej Ziemi.

–Tak, ale dyspozycje Gianetta dowodzą jedynie, że jako admirał jest cholernym szczurem naziemnym – zauważył Laj Pavel.

–To prawda, to jeden z nielicznych jasnych punktów – zgodził się Kjerulf. – Ale i tak dostaniemy ostro po dupie, nawet jeśli Prokurow postanowi przeczekać wszystko z dwunastą eskadrą. Jeśli uda mi się uruchomić wyrzutnie, Baza Księżycowa pokryje zewnętrzny łuk, a wy w tym czasie odpędzicie Gajelisa, ale ostatecznie i tak przejadą się po nas, chyba że Helmut dotrze tu zgodnie z rozkładem.

–Dotrze. – Fenrec parsknął śmiechem. – Do diabła! Czy ktoś z nas widział, żeby Helmut się spóźnił, niezależnie od tego, jak skomplikowany byłby plan operacyjny?

–Zawsze jest ten pierwszy raz – mruknął Atilius. – A Murphy zapewnia, że dochodzi do tego w najgorszym możliwym momencie.

–Zgoda – Kjerulf znów kiwnął głową – ale gdybym miał wybrać z całej marynarki jednego admirała, na którym mógłbym polegać, byłby to Helmut, co by o nim nie mówić. Nikt go nigdy nie nazwał sympatycznym, ale nikt też nie zakwestionował jego

kompetencji. Jeśli dotrze tutaj wtedy, kiedy się go spodziewam, a trzynasta będzie już zredukowana do pięćdziesięciu procent swojego stanu...

–Rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała Chantal Soheile i uśmiechnęła się blado. – Próbujesz upiec na jednym ogniu tyle pieczeni, ile tylko się da, prawda?

Znów się uśmiechnęła, a potem zmarszczyła brew.

–Jak na mój gust, to wszystko wciąż jest zbyt niepewne. Wiem, że w tych okolicznościach wiele spraw musi takimi pozostać, ale w ten sposób wracamy do pytania Juliusa na temat sygnału rozpoczęcia operacji. Czy O'Casey była w stanie powiedzieć, kiedy mamy zacząć działać?

–Nie, ale myślę, że kiedy wszystko się zacznie, otrzymamy ze Starej Ziemi wystarczająco wiele czytelnych sygnałów. Będziemy po prostu ignorować rozkazy, które nam się nie spodobają. Tymczasem kazałem przeprowadzić wszystkie wasze okręty do Bazy Gwiezdnej L-5 na przegląd generalny; w ten sposób wszyscy będziecie odłączeni od waszych eskadr przynajmniej do końca obchodów, nie wspominając o tym, że będziecie na pokładach okrętów, które akurat nie będą stały w dokach. A ja dopilnuję, żeby wszystkie okręty przebywające w dokach pozostały tam. Kiedy bomba pójdzie w górę, wasza czwórka zajmie pozycje na orbicie i odeprze Gajelisa razem z Prokurowem. Być może będziecie musieli poradzić sobie z myśliwcami z Bazy Księżycowej, jeżeli nie uda mi się ich zatrzymać. Bóg jeden wie, że będę się starał jak diabli, tak samo jak będę próbował uruchomić baterie raket i przemówić do rozsądku wszystkim kapitanom, których Adoula nie kupił. Musimy tylko utrzymać pozycje na orbicie na tyle daleko od powierzchni, żeby nie dali rady odpalić broni kinetycznej, dopóki nie zjawi się Helmut. Wtedy mając jego z jednej strony, a nas z drugiej, dranie Ado-uli będą musieli się poddać albo rozniesiemy ich na strzępy.

–O ile najpierw oni nas nie rozniosą- wtrącił Atilius.

–Nasze życie, nasze mienie... – przypomniał Pavel.

–Dotarło do mnie już za pierwszym razem.

–Nie będę w swojej najlepszej formie, sir, to pewne – powiedział wesoło Brailowsky.
– A kiedy przyjdzie pora, może pan być pewien, że porozmawiamy poważnie z załogami myśliwców z Bazy Księżycowej.

–Widzę, że dobrze się pan bawi, sierżancie – powiedziała Soheile.

–Ma'am, byłem cholernie wściekły na to, co się działo na Starej Ziemi – odparł poważnie Brailowsky – dlatego teraz jestem bardzo szczęśliwy, że mogę coś w tej sprawie zrobić.

–Vorica, Golden, Kalorifis i cała reszta czternastej eskadry są wierni Adouli – powiedziała Soheile, zbywając radość sierżanta wzruszeniem ramion. – Jedenasta się podzieli, i według mnie wyjdzie trzy do jednego dla Adouli. W trzynastej nie będzie rozłamu, kiedy ja i Julius będziemy tutaj, ale jest spora szansa, że piętnasta się podzieli. Co do szesnastej, nie wiem. Wu trzyma karty przy orderach, tak samo jak Prokurow. Ale Brettle, La Paz i Mahmut są po stronie Adouli, podobnie jak Gajelis i kapitanowie ich flagowców. Tak więc mamy sześć nosicieli Gajelisa, dwa La Paza, przynajmniej trzy Brettle'a i trzy Mahmuta z piętnastej. To daje czternaście przeciwko naszym czterem, a możemy być pewni, że wszystkie będą walczyć jak diabły. To przewaga prawie czterech do jednego, nawet jeśli reszta będzie cicho siedzieć. Jeśli Prokurow przestanie się wahać i też stanie po stronie Adouli, będziemy mieli zupełnie przesrane, o ile Helmut nie przyleci tutaj na czas. Przykro mi to mówić, sierżancie, ale tak się stanie niezależnie od tego, co zrobią marines. Na każdym z okrętów jest ich tylko drużyna czy dwie.

–Nie powiedziałem, że będzie łatwo – zauważył Kjerulf.

–A jak on nas odróżni? – spytał Fenrec. – To znaczy Helmut. Nawet jeśli jest szybki, będziemy już wtedy solidnie przemieszani.

–To proste – odparł Kjerulf. – Przystawimy nasze transpondery, żeby identyfikowały nas jako eskadrę „Utuczone Cielę”.

* * *

Nimashet Despreaux nigdy nie była elegantką, a zwłaszcza w porównaniu ze swoim narzeczoną. Wychowywała się na małej farmie na jednym ze światów pogranicza, gdzie na porządku dziennym było donoszenie ubrań po starszym rodzeństwie, nigdy więc nie czuła potrzeby strojenia się, nawet po tym, jak wstąpiła do marines i zaczęła mieć własne pieniądze. Na wszelkie oficjalne okazje miała mundur, a luźne spodnie i wyciągnięty sweter po służbie nigdy nie wychodziły z mody.

Ale w obecnych okolicznościach trzeba było zachować pozory. W restauracji miała tylko trzy „eleganckie” ubrania i regularnie przychodzący goście musieli już zauważyć, że nosiła je na zmianę, niezależnie więc od jej osobistych upodobań przyszła pora, aby coś więcej kupić.

Wysiadła z powietrznej taksówki na lądowisku piątego piętra i zatrzymała się przed wystawą centrum handlowego. Nigdy nie należała do tych dziwnych ludzi, którzy lubią robić zakupy, dlatego chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Jej zdaniem najlepiej by było, gdyby wszystko trwało trzydzieści siedem sekund, ale to był prawdziwy świat, więc postanowiła uwinąć się z zakupami w godzinę.

Kiedy ruszyła w stronę sklepów, w jej głowie nagle rozległ się dzwonek alarmowy.

Była świetnie wyszkolonym ochroniarzem i coś w zbyt swobodnym zachowaniu dwóch idących w jej stronę potężnych osiłków sprawiło, że w jej krwiobiegu pojawiła się adrenalina.

Obejrzała się za siebie – na lądowisku właśnie usiadła furgonetka – a potem zobaczyła, że mężczyźni przestali już udawać luz i ruszyli w jej stronę, jakby lądowanie furgonetki było sygnałem do ataku. Despreaux wykonała błyskawiczne pchnięcie nogą w praktycznym ciężkim bucie, trafiając tego z lewej w brzuch. Potem obróciła się na pięcie i uderzyła drugiego napastnika łokciem w twarz. Kiedy zablokował cios, walnęła go piętą w stopę, miażdżąc ją, a potem trafiła drugim łokciem w jego szczękę. Po chwili obaj mężczyźni leżeli na ziemi – drugi mógł mieć pęknięty kark, w najlepszym razie nadwerężony – więc postanowiła wiać.

Nawet nie usłyszała ogłuszacza.

* * *

–Czy ktoś widział Sharę? – spytał Roger, zaglądając do kuchni.

–Poszła na zakupy – odparł Dobrescu, podnosząc wzrok znad listy rezerwacji. – Jeszcze nie wróciła?

–Nie. – Roger wyjął pada i wybrał jej numer. Po trzech sygnałach na ekraniku pojawiła się nowa twarz Despreaux.

–Shara...- zaczął.

–Dzień dobry, tu Shara Stewart. W tej chwili nie mogę rozmawiać, więc jeśli zostawisz wiadomość, z przyjemnością do ciebie oddzwonię.

–Shara, mówi Augustuc. Zapomniałaś, że dziś wieczorem pracujemy? Do zobaczenia.

–Może pracujecie – powiedział, stając w drzwiach, Ezequiel Chubais – a może nie.

Roger wyłączył pada i wolno odwrócił się w stronę gościa.

–Tak? – powiedział łagodnie, czując, że ściska mu się żołądek.

* * *

–Dzień dobry, panno Stewart – powiedział jakiś głos.

Despreaux otworzyła oczy, a potem znów je zamknęła, kiedy ostre światło wbiło się igłami bólu w jej mózg.

–Nie znoszę migren po ogłuszaczu – mruknęła. Poruszyła ramionami i westchnęła. – W porządku. Zostałam porwana, a skoro sama nie przedstawiam żadnej wartości, to albo chcecie mnie zgwałcić, albo dostać... Augustuca. – Otworzyła oczy i zamrugowała, marszcząc z bólu czoło. – Tak?

–Niestety – przytaknął jej rozmówca. Siedział za biurkiem i uśmiechał się do niej. – Przypuszczam, że najpierw może być „b”, a potem „a”, jeśli sprawy nie pójdą po naszej myśli. A to ma swoje... zalety – dodał, uśmiechając się zimno.

–A więc o co wam chodzi? O karę umowną?

–Och, kara umowna wzrosła – powiedział mężczyzna – po dodaniu kosztów związanych z przekonywaniem pani przyjaciela. Mam nadzieję, że jest pani dla niego warta milion kredytek.

–Co najmniej – odparła beztrosko Despreaux. – Problem w tym, że nie sądzę, żeby miał tyle na zbyciu.

–Jestem pewien, że może... coś załatwić – powiedział Siminow.

–Ale nie tak szybko – odparła ze złością Despreaux. – Mówimy o międzygwiazdnych przelewach i...

* * *

–...i nie mogę dysponować tymi pieniędzmi według własnego widzimisię – powiedział gniewnie Roger.

–Szkoda. – Chubais wzruszył ramionami. – Albo będzie pan miał te pieniądze za dwa dni, albo będziemy musieli odesłać pana przyjaciółkę... po kawałeczku.

–Zabijałem ludzi za mniejsze przewinienia niż powiedzenie mi czegoś takiego w twarz – powiedział cicho Roger. – Więcej niż jednego człowieka. O wiele więcej niż jednego.

–Jeśli ja skończę jako karma dla pana ulubieńców – odparł Chubais z zaciętą twarzą-pierwszym kawałkiem będzie jej serce.

–Wątpię. – Śmiechem Rogera można by zmrozić hel. – Podejrzewam, że ona jest dla mnie warta więcej niż pan dla swojego szefa.

* * *

–Śmiało, tnijcie – powiedziała Despreaux, przebierając palcami.

–Wolałabym ze znieczuleniem, ale jeśli przystawicie mi ogłuszasz i podacie nóż,

pierwszy palec sama sobie obetnę. Mogę to zrobić, bo w tej chwili nie mamy miliona kredytek!

*** * ***

–Cóż, panie Chubais. – Roger wstał i przywołał Corda. – Proszę mi powiedzieć, dokąd mam wysłać pana szczątki, o ile w ogóle jakieś zostaną.

–Nie ośmielicie się.

Przerażony Chubais zerknął na swoich ochroniarzy. Ci wstali i sięgnęli pod płaszcze, po czym runęli na ziemię, gdy dębowy stół mieszczący wygodnie sześć osób spadł na ich głowy. Erkum spojrział na Rogera i machnął jedną z dolnych rąk.

–Dobrze zrobiłem? – spytał.

–Bardzo dobrze. – Nie patrząc nawet na Chubaisa, Roger otworzył futerał, który podał mu Cord, i wyjął z niego miecz. Przeciągnął palcem po ostrzu i obejrzał je pod światło. – Narobimy tutaj zbyt dużego bałaganu. Weź go na zaplecze.

Erkum podniósł pozbawionego już pewności siebie gangstera za kołnierz jego wartej tysiąc kredytek marynarki i przeniósł go przez restaurację, nie zważając na coraz bardziej gorączkowe protesty mężczyzny.

–Roger – powiedział Cord w dialekcie X'Intai, którego Chubais nie mógł mieć w swoim tootsie – to chyba nierozsądne.

–Trudno – zgrzytnął zębami książę i ruszył za Erkumem do rzeźni. Tam Mardukanin podszedł do klatki atul i przycisnął gangstera do siatki. Zwierzę prychnęło i natychmiast rzuciło się na coś, co bardzo przypominało mu kolację.

–Powie mi pan, gdzie trzymacie mojąprzyjaciółkę? – spytał Roger tonem swobodnej konwersacji.

–Nie ośmielicie się! – powtórzył Chubais rozpaczliwym falsetem, kiedy atul precyzyjnie przecisnął pazur przez siatkę i rozdarł mu marynarkę. – Siminow ją zabije!

–W takim razie nie mam powodu się powstrzymywać. – Roger wciąż mówił tym samym śmiertelnie spokojnym głosem. – Zakneblować go. I niech ktoś przygotuje opaskę uciskową.

Kiedy Chubais był już zakneblowany i Rastar wyciągnął skądś kawałek gumy, książę złapał gangstera za lewy nadgarstek i rozprostował jego rękę. Mężczyzna z całych sił próbował ją wyrwać, ale książę unieruchomił ją bez żadnego wysiłku. Potem uniósł miecz w górę... I w tym momencie Cord położył dłoń na mieczu.

–Roger – powiedział, znów w dialekcie Ludu – nie zrobisz tego.

–Oczywiście, że zrobię – warknął Roger.

–Nie. Twoja pani by na to nie pozwoliła. Kapitan też by nie pozwolił. Nie zrobisz tego.

–Jeśli nie on, ja to zrobię – oznajmiła beznamiętnie Pedi Karu-se. – Des... Shara to moja przyjaciółka.

–Milcz, asi – powiedział grobowym głosem Cord. – Znajdziemy jakieś inne rozwiązanie.

–Ro... Panie Chang! – Kosutic wypadła pędem z kuchni; za nią dreptał Krindi Fain. – Co tu się dzieje, do cholery!?

Roger wciąż trzymał uniesiony w górę miecz i trząsał się ze złości. Ciszę mącił tylko warkot głodnego atul i nierówny, chrapliwy oddech gangstera. W końcu księżę obrócił miecz w dłoni i przyłożył jego ostrą jak brzytwa klingę do gardła mężczyzny.

–Nie masz pojęcia, z kim zadarliście – powiedział, znów ze śmiertelnym spokojem. – Żadnego zasranego pojęcia. Ty i twój szef jesteście dla mnie gorsi od pcheł i zabicie ciebie nie sprawiłoby mi żadnych trudności, ale mardukański barbarzyńca właśnie uratował ci dupę, przynajmniej na razie. Miał więcej opanowania i więcej skrupułów przed poszatkowaniem takiego gnoja na kawałki niż ja kiedykolwiek będę miał. Powiesz mi, gdzie trzymacie moją przyjaciółkę, póki jeszcze mam ochotę z tobą rozmawiać?

Gangster zezował na miecz, wyraźnie przerażony, ale uparcie kręcił głową.

–Świetnie – powiedział Roger. – Spróbuję inaczej, jeśli jednak nie uda mi się w ten sposób wydobyć z ciebie informacji, oddam cię w ręce tej młodej damy. – Wskazał Pedi. – Czytałeś kiedyś coś Kiplinga?

Mimo strachu gangster otworzył szeroko oczy i znów pokręcił głową.

–Kipling napisał coś, co uznasz za odpowiednie do tej sytuacji, jeśli bardzo szybko nie zdobędę potrzebnych informacji. – Niemal pieśczośliwy ton głosu Rogera krył w sobie złowrobną obietnicę.

–Zaczyna się tak: „Kiedy jesteś ranny i porzucony na afgańskiej równinie, a kobiety wychodzą, by dokończyć dzieła...”. – Pokazał zęby w uśmiechu przypominającym uśmiech rekina. – Jeśli moja metoda nie zadziała, zostawię cię, jak to kiedyś mówiono, kobietom. A ona nie zacznie od odcięcia ci ręki.

* * *

–Panno Bordeaux – powiedział Roger, kiedy trzech gangsterów – z których jeden dzięki stołowi Erkuma już nigdy nie będzie sprawiał nikomu żadnych kłopotów – odwieziono furgonetką do magazynu. – Musi pani z kimś się spotkać.

–Panie Chang... – zaczęła Kosutic.

–Nie jestem w nastroju do dyskusji, panno Bordeaux – przerwał jej beznamiętnym tonem – więc proszę się, do cholery, zamknąć i wysłuchać moich poleceń. Musi pani zorganizować spotkanie z Buseh Subianto, i to natychmiast.

–Jest pan pewien, że to dobry pomysł? – spytała, blednąc.

–Nie, ale to jedyny pomysł, jaki przychodzi mi do głowy, oprócz porąbania tego gnoja na kawałki. Wolałaby pani, żebym właśnie to zrobił, panno Bordeaux? Proszę się zdecydować, bo ja bym wolał!

–Nie. – Kosutic pokręciła głową. – Naprawdę wolałabym, żeby pan tego uniknął.

–W takim razie proszę zabrać Jina i ją znaleźć – warknął Roger. – Jeśli wie, gdzie jest Ni... panna Stewart, zaczniemy od tego. Jeśli nie, ten facet będzie chodził na kikutach i jadł kikutami.

* * *

–Zdawało mi się, że pan mówił, iż ci dobrzy nie torturują ludzi? – powiedział spokojnie Catrone.

–Jednak tego nie zrobiłem – odparł zimno Roger. – Poza tym można się spierać o różnicę między torturowaniem kogoś z zemsty a torturowaniem, żeby wydostać z niego informacje.

Jego twarz była całkowicie bez wyrazu.

–Powinien pan być słuchać uważniej, Tomcat, zwłaszcza tego fragmentu o Nimashet, która jest moją „protezą sumienia”, bo powiem panu prawdę: wolałby pan mieć na Tronie któregoś z moich Mardukan niż mnie bez niej.

Oczy Rogera były zimne i czarne jak agaty.

* * *

–Chubais jest człowiekiem grubej ryby o nazwisku Alexi Siminow – powiedział Fritz Tebic głosem łamiącym się z napięcia, po czym wyświetlił hologram twarzy gangstera. – Mamy wobec niego długą listę zarzutów, ale w tej chwili nie mamy

niczego, z czym moglibyśmy się pojawić w sądzie.

–Służbowo znam Siminowa od lat – dodała Subianto.

Obojgu niełatwo było zniknąć z Biura, zwłaszcza bez uprzedzenia, ale Buseh wiele lat pracowała jako tajniak i jeszcze nie straciła formy. Dotarli do magazynu, zanim pojawił się tam Roger.

–Zaczynał, kiedy byłem jeszcze w wydziale przestępczości zorganizowanej. Jest bardzo sprytny. Piął się w górę w bardzo trudnej branży. Pracował trochę jako cyngiel, żeby wyrobić sobie reputację, i szedł po trupach konkurencji. Z wierzchu gładki, pod spodem wściekły pies. Jego specjalność to porwania, tak samo jak... – zerknęła z ukosa na księcia. – „znikanie” porwanych osób, żeby uniknąć aresztowania albo ukarać przeciwnika.

–Teoretycznie może być niemal wszędzie – dodał Tebic – ale często wykorzystuje na miejsce spotkań swoje budynki.

Pojawił się kolejny hologram: trzypiętrowy budynek, przed którym kręciło się kilku potężnych mężczyzn.

–Zasadniczo to budynek Samorządu Sąsiedzkiego. To właśnie tutaj Siminow spotyka się z grupami przestępczymi, które kontroluje. Kilka razy próbowaliśmy im podrzucić pluskwy, ale ochrona jest bardzo czujna i dobrze uzbrojona.

–Fritz chce powiedzieć – wyjaśniła Subianto – że z powodu naszego zainteresowania Siminowem ten budynek jest bezustannie pod elektroniczną kontrolą. Widziano wnoszoną do środka kobietę, której wzrost i sylwetka pasują do waszej Shary Stewart. Ponieważ nikt nie zgłosił zaginięcia, uznano, że to uliczna prostytutka, która podpadła jakoś Siminowowi. Potem policja chciała tam wkroczyć, traktując to jako porwanie, ale pomysł utracono. Gdybyśmy faktycznie tam weszli i rzekoma prostytutka „zniknęłaby” albo odmówiła wniesienia oskarżenia, co jest bardziej prawdopodobne, wyszlibyśmy na idiotów. A w ogóle kto to jest?

–Nimashet Despreaux – warknął Roger. – Plutonowy Nimashet Despreaux. To także moja narzeczona, a więc raczej ważna osoba.

–Ale nie możemy tej tożsamości ujawnić – zauważyła kwaśno Subianto. – Wydaje mi się, że nie chciałby pan, żebym doniosła sędziemu, iż Siminow porwał kobietę ściganą imperialnym listem gończym za zdradę stanu. A to oznacza, że nie możemy użyć do jej odbicia oddziałów taktycznych policji.

–Tutejszemu SWATowi nie dałbym nawet wyprowadzić na spacer psa – powiedział z pogardą Catrone – a co dopiero odbić zakładnika.

–Są bardzo dobrzy – zaprotestował Tebic.

–Nie, nie są – powiedział stanowczo Catrone. – To mój zawód i proszę mi wierzyć, że wcale nie są dobrzy, panie Tebic.

–Wiemy, gdzie ona jest – powiedział Roger – i nie mamy pieniędzy na okup, więc najlepiej sam po nią pójść.

–Akurat – prychnął Catrone. – Proszę to zostawić zawodowcom.

–Sierżancie – warknął książę – niech pan sobie wyczyści uszy. Ja jestem zawodowcem!

–I jest pan niezastąpiony! – odwarknęła Eleanora. – Nie pójdzie pan udawać Galahada, Roger. Tak, jest pan prawdopodobnie najlepszy do tego zadania, ale nie stanie pan na linii ognia. Niech pan to sobie wreszcie wbije do głowy.

–Spróbujcie mnie zatrzymać – powiedział zimno Roger.

–Mamy napięty plan działania – zauważył Tomcat – i nie mamy ani ludzi, ani czasu, żeby ratować pana dziewczynę.

–Nie zostawimy jej, żeby ją pocięli na kawałki! – Roger zerwał się na równe nogi.

–Nie, nie zostawimy jej, ale pan jest nam potrzebny do uzyskania dostępu do Pałacu, a nie może pan być w dwóch miejscach naraz. Jeśli pan teraz wyjdzie z tego pomieszczenia, ja wycofam się z całej operacji, a razem ze mną wszyscy, których tutaj przyprowadziłem. Ja się zajmę pańską narzeczoną, pan nie musi się w to angażować. Wie pan, jak zarabiam na życie?

–Hodowlą koni i odbieraniem emerytury.

–I szkoleniem oddziałów taktycznych – dodał ze złością Catrone. – Pan nie zbliży się z bronią do biur Siminowa, a ja dam radę. Poza tym on ma legalnie uzbrojonych ochroniarzy i miecz na nic się panu nie przyda!

–Zdziwiłby się pan – powiedział cicho książę.

–Może. – Catrone wzruszył ramionami. – Widziałem, jak pan nim włada, ale, jak mówiłem, niech pan to zostawi zawodowcom.

–Panno Subianto – powiedział Roger. – Jak sądzę, jest już zupełnie jasne, co się tutaj dzieje.

–Było jasne jeszcze przed naszym pierwszym spotkaniem – odparła Subianto – chociaż nie zdawałam sobie sprawy, że to zaszło aż tak daleko.

–Przydałaby się wasza pomoc, zwłaszcza bieżące dane o ruchach i szczegółach zabezpieczeń policji Imperial City.

–Nie znoszę polityki. – Subianto pokręciła ze złością głową. – Dlaczego wy wszyscy, cholerni politycy, nie możecie rozstrzygać swoich problemów na jakiejś radzie?

–Ja też bym chciał, żeby tak było, ale nie jest. Ja także nie znoszę polityki, chyba jeszcze bardziej niż pani. Staralem się jej unikać jak mogłem, ale... niektórzy się do niej rodzą, inni dostają się do niej siłą, a jeszcze inni są do niej zmuszani. W pani przypadku chodzi o to ostatnie, w moim – o ostatnie i pierwsze. Wie pani, co oni robią mojej matce? – dokończył z gniewem.

–Tak – powiedziała ponuro – dlatego właśnie postanowiłam nie zwracać uwagi na to, co się tutaj dzieje, kiedy podsunął mi pan hasło o „utuczonym cielaku”. Ale to jeszcze nie oznacza, że chcę panu pomóc. Czy pan wie, jaki to spowoduje koszmar w Imperial City i w całym Imperium?

–Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Wiem również o pewnych zamierzeniach Adouli, o których pani nie wie. I wiem także, iż jest pani uczciwym człowiekiem i będzie pani wiedziała, po której stronie stanąć!

–Nie, nie wiem, gdyż nie jestem pewna, czy to, co robicie, jest lepsze dla Imperium.

–Znów się zaczyna -jęknęła Kosutic. – Proszę posłuchać, niech pani zapomni o wszystkim, co pani wie o księciu, chyba że chce pani przez jakieś cztery godziny wyrzygiwać żołądek.

–Co to znaczy? – spytał Tebic.

–Ona ma rację – wtrącił się Catrone. – Panno Subianto, czy pani coś wie o mnie?

–Wiem o panu całkiem sporo, sierżancie. Kontrwywiad uważa, że należy mieć oko na Osobisty Pułk Cesarzowej. Znacze zbyt wiele sekretów, żeby nie uważać was za potencjalne zagrożenie.

–W takim razie proszę zaufać mojemu osądowi i opinii sierżant Kosutic. Roger już nie jest niewiele wartym gnojkiem, którym był, kiedy opuszczał Starą Ziemię.

–Bardzo dziękuję, sierżancie. – Roger parsknął śmiechem. – Ładnie pan to... ujął.

–Zaczynam mieć takie samo wrażenie – powiedziała sucho Subianto – chociaż nie wiem, czy księżę nie poszedł za daleko w drugą stronę. Nie jestem uradowana tym, że niemal odrąbał rękę podejrzanemu, żeby go zmusić do mówienia.

–W takim razie musi pani znaleźć cztery godziny wolnego czasu – powiedział Roger.

– Potem będzie pani rozumiała, co uważam za „stosowne” i dlaczego. W ten sposób wracamy do Nimashet. Nie odrąbałem temu bydlakowi ręki chyba tylko dzięki bardzo trafnej uwadze Corda, że Nimashet by tego nie pochwałała. Nawet gdyby ją to miało uratować – dodał ponuro.

–Muszę porozmawiać z tym agentem IBI, którego ma pan ze sobą – powiedziała Subianto. – Nie rozpoznaję go po nazwisku.

–I nie ma o nim niczego w aktach – dodał Tebic. – Jeśli o nas chodzi, on nie istnieje.

–W tej chwili jest w restauracji, ale każę mu natychmiast tutaj przyjechać. Musimy opracować plan odbicia Despreaux.

–Ja skontaktuję się z moimi ludźmi – powiedział Catrone. – Dobrze, że mamy tutaj podpiętą sieć.

–To nie będzie legalna operacja – przypomniała mu Eleanora.

–Wiem. Nie mówię, że będą zadowoleni, ale to zrobią. Poza tym to nie są żołnierze, tylko ludzie z oddziałów taktycznych. Różnica jest bardzo subtelna, ale jednak jest. Doskonale się nadają do tego zadania.

* * *

–Jin – powiedział Roger, kiedy agent IBI wszedł do sali narad w magazynie. – Pannę Subianto już znasz, a to jest pan Tebic.

–Proszę pani. – Jin stanął niemal na baczność.

–Panie Jin. – Subianto odpowiedziała skinieniem głowy.

–Mamy kilka pytań na temat twojej tożsamości, Temu – powiedział Roger, unosząc brew. – Nie ma cię w aktach pana Tebica. Czy chcesz mi coś powiedzieć?

–Na Marduku działałem w głębokiej konspiracji – odpowiedział nieswoim głosem Jin.
– Wydział Kyoko Pędzy. Kiedy doszło do przewrotu, dostałem zaszyfowaną wiadomość, że mam zniknąć. Wysłałem dwie wiadomości zwrotne, prosząc o kontakt, ale nie dostałem odpowiedzi. Albo dyrektor Pędza się ukrywa, albo nie żyje. Obawiam się, że chodzi o to drugie.

–Ja też – westchnęła Subianto – a to mnie bardzo złości. Kyoko i ja przyjaźniliśmy się od wielu lat. Był jednym z moich pierwszych polowych kontrolerów.

–Dyrektor Pędza zdołał skasować dużo danych, zanim zniknął – przypomniał Tebic.
– Może dane Jina były wśród nich.

–A Jin był... wyjątkowo lojalnym agentem – powiedział Roger. – Zaczął nas kryć na długo przedtem, zanim się spotkaliśmy, odegrał też kluczową rolę w dostarczeniu nam broni potrzebnej do zdobycia portu kosmicznego na Marduku. Jest także bardzo zdolny; w wyjątkowo krótkim czasie włamał się do sieci na okręcie Świętych.

–Na okręcie Świętych?

–Wyjaśnienie choćby fragmentu tej historii za długo by trwało, panno Subianto. Zmierzam do tego, że Jin jest bardzo lojalny, i to w pierwszym rzędzie wobec Imperium. Pomaga mi tylko dlatego, że uważa to za swój obowiązek wobec Imperium.

–Zgadza się – potwierdził Jin. – Nie jestem jednym z pana towarzyszy, Wasza Wysokość, tylko agentem, który bierze udział w legalnej – w myśl imperialnego prawa – operacji przeciwko zdrajcom.

–Ale – Subianto wciąż marszczyła czoło – chociaż znam bardzo wielu naszych agentów, przynajmniej z nazwiska, z przykrością muszę stwierdzić, że pana nie znam nawet ze słyszenia.

–Przykro mi to słyszeć, proszę pani – powiedział uprzejmie Jin.

–Jakie miał pan zadanie?

–Monitorowanie bezpieczeństwa wewnętrznego na Marduku. Miałem oko na poczynania tamtejszego gubernatora. Przygotowałem raport, na podstawie którego bez wątpienia trafiłby do więzienia, ale teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

–Nie, już nie ma – potwierdził Roger. – Na podstawie świadczących przeciwko niemu dowodów postawiłem go przed sądem polowym i rozstrzelałem.

–To już trochę przesada. – Subianto uniosła brwi. – Nie sądzę, żeby nawet Pierwszy Następca miał prawo arbitralnie zlecać egzekucję, nawet usprawiedliwioną.

–Nie zrobiłem tego „arbitralnie” – odparł Roger odrobinę chłodniejszym tonem.- Słyszała pani, że mówiłem o „sądzie polowym”, prawda? Jestem również pułkownikiem marines, który przypadkiem znalazł się na bardzo odległej placówce. Odkryłem dowody zdrady stanu, a działając w warunkach polowych, miałem utrudniony kontakt z kwaterą główną. Jestem kryty, panno Subianto. Wszystko się zgadza.

Przez chwilę trwającą może dwa uderzenia serca patrzył jej prosto w oczy. Wreszcie agentka IBI spuściła wzrok. Nie poddała się, a raczej przyjęła to do wiadomości... a może postanowiła nie krzyżować szpad w wyraźnie drugorzędnej sprawie.

–Panie Jin – zwróciła się do agenta. – Przykro mi to mówić, ale Marduk jest mało

znaczącą planetą, dlatego to nie było zadanie o wysokim priorytecie, niezależnie od tego, co wyczyniał gubernator. Muszę więc zapytać, jaki ma pan poziom dostępu do tajnych danych.

Jin odchrząknął i wzruszył ramionami.

–Dwanaście – powiedział.

–DWANAŚCIE? – Roger wytrzeszczył oczy. – Dwanaście?

–Tak, Wasza Wysokość. – Dwanaście to był najniższy poziom dostępu, jaki mógł mieć polowy agent IBI.

–Agencie Jin – spytała łagodnie Subianto – ile miał pan przydziałów polowych?

Przez chwilę panowała cisza, potem Jin przełknął nerwowo ślinę.

–Marduk był moim pierwszym samodzielnym zadaniem, proszę pani – powiedział, patrząc w ścianę sześć centymetrów nad jej głową.

–Jezu Chryste – rzekł Roger. – W takim razie, panno Subianto, muszę powiedzieć, że agent Jin przynosi waszej Akademii cholerną chlubę!

–To także wyjaśnia, dlaczego nie znam pana nazwiska. – Subianto lekko się uśmiechnęła. – Muszę się zgodzić z księciem, agencie Jin. Dobrze się pan spisał, bardzo dobrze.

–Dziękuję, proszę pani. – Jin westchnął. – Pani rozumie...

–Tak. – Subianto uśmiechnęła się już otwarcie. – Przykro mi, ale na razie jest pan zdany tylko na siebie, dopóki nie wymyślimy, jak pana znów oficjalnie wciągnąć na pokład.

–Och, myślę, że z bożą pomocą za jakieś dwa dni zrobimy coś w tej sprawie – powiedział Roger. – Jeśli nie stanie się nic wyjątkowego.

* * *

–Jezu, spójrzcie na sygnaturę tego vana! – powiedział technik przy monitorze. – Hej, sierżancie Gunnar, niech pani na to spojrzy!

–Imperialny system identyfikacji swój-wróg – odparła kontrolerka.

–Wiem, ale... O rany, to poważna siła ognia.

Kontrolerka zmarszczyła czoło i skontaktowała się przez tootsa z furgonetką.

–Pojazd Mike-Lima-Echo-Trzy-Pięć-Dziewięć-Sześć, zbliżający się do Imperial City z północnego wschodu. Tutaj straż graniczna departamentu policji Imperial City. Podaj rodzaj swojej misji i cel lotu.

Trey włączył komunikator furgonetki i uśmiechnął się do kobiety w policyjnym mundurze, która pojawiła się na HUDzie.

–Cześć, tak myślałem, że zaraz zadzwonicie – powiedział. – „Firecat sp. z o.o.”, Trey Jacobi. Robimy pokaz w czasie Święta Imperium. Sprawdźcie w swoich danych.

Kontrolerka zmarszczyła czoło jak ktoś, kto komunikuje się ze swoim tootsem, a potem kiwnęła głową.

–Mam – powiedziała. – Rozumiecie chyba, dlaczego się zdziwiliśmy. Tak świecicie, że chyba was wyłapują aż w Bazie Księżycowej.

–Nie ma sprawy. – Trey zachichotał. – To się nam bez przerwy zdarza.

–Mogę przyjść popatrzeć na pokaz? – spytała Gunnar.

–Jasne. W poniedziałek o dziewiątej rano, strzelnica wojskowa Imperial City. Podobno ma być sporo ludzi, więc niech pani lepiej przyjdzie wcześniej.

–Mogę się na pana powołać, żeby dostać lepsze miejsce?

–Pewnie – odparł Trey. – Na razie – dodał, przerywając połączenie.

–Jutro będzie jeszcze lepszy pokaz – powiedział Bill z fotela pasażera. – I nie na strzelnicy.

–Na to nie mogliśmy jej zaprosić – odparł siedzący z tyłu Dave.

–Dzisiaj, panie i panowie, zademonstrujemy, jak rozwalić grupę ciężko uzbrojonych gangsterów i wycofać się przed przybyciem policji – powiedział dziwnie wysokim głosem. – Niewłaściwe zaplanowanie i przeprowadzenie akcji zostanie surowo ukarane – dodał niskim, ponurym barytonem. – Jeśli któryś z członków waszej organizacji zostanie pojmany albo zabity, departament zaprzeczy, jakoby wiedział o waszym istnieniu, a furgonetka ulegnie samozniszczeniu w ciągu pięciu sekund.

–Czy ktoś mógłby go uciszyć? – spytał Clovis siedzący obok Dave'a – zanim będziemy mieli o jednego człowieka za mało?

–O nie! – powiedział Dave piskliwym głosem nastolatki. – To nie było chyba zbyt grzeczne! Naprawdę, randki, na które się zgadzam...

–Zabiję go – mruknął Clovis. – Przysięgam. Tym razem dostanie za swoje.

–A...a...ale Clooovis! – zaskomlał Dave. – Myślałem, że jesteś moim przyjacielem!

Furgonetka zatrzymała się przed pospiesznie wynajętym magazynem kilka przecznic od kompleksu Greenbriar, a potem, kiedy drzwi się otworzyły, wpłynęła do środka i zatrzymała się pośrodku pustej hali. Zaczęli z niej wysiadać przyjaciele Catrone'a.

Kierowca bardzo przypominał samego księcia sprzed modyfikacji. Był niższy – mierzył pewnie jakieś metr siedemdziesiąt – miał lekko kręcone jasne włosy sięgające do połowy pleców i przystojną twarz o regularnych rysach. Poruszał się lekkim krokiem człowieka wyszkolonego w walce wręcz i miał potężnie umięśnione przedramiona.

–Trey Jacobi – przedstawił się, podchodząc do Rogera stojącego w towarzystwie Catrone'a.

–Trey jest bardzo dobry w ogólnych zadaniach – dodał Catrone.

–Jest też byłym tutejszym sędzią pokoju, a także naszym adwokatem, więc niech pan uważa.

–Kim jest mój najnowszy klient? – spytał Trey, wyciągając dłoń do Rogera.

–To pan Chang – odparł Catrone. – To... dobry przyjaciel i bardzo ważna dla mnie osoba. Prawdopodobnie sam dałby sobie z tym radę, ale jutro ma bardzo ważne spotkanie biznesowe.

Osobnik, który wysiadł tylnymi drzwiami po stronie kierowcy, był olbrzymem o krótko przyciętych włosach. Zbliżył się żołnierskim krokiem i stanął w pozycji „spocznij”.

–Dave Watson – przedstawił go Catrone. – Oficer rezerwy w departamencie policji San-Angeles.

–Miło mi pana poznać. – Dave wyciągnął rękę, uścisnął dłoń Rogera, a potem znów stanął w pozycji „spocznij” z poważnym wyrazem twarzy.

–To Bill Copectra – wyjaśnił Catrone, wskazując niskiego, krępego mężczyznę okrążającego przód furgonetki. – Zajmuje się elektroniką.

–Cześć, Tomcat – powiedział Bill. – Będziesz musiał nieźle nam się odwdzięczyć. Gdybyś miał córkę, to by była dobra zaliczka.

–Wiem.

–Byłem umówiony na ten weekend z niezłą laską.

–Ty zawsze masz jakąś laskę – powiedział ostatni mężczyzna. Był trochę wyższy od Billa i potężniejszy, miał krótkie czarne włosy i szeroką, płaską twarz. Chodził kołyszącym krokiem, który kojarzył się Rogerowi z marynarzem albo z kimś, kto dużo jeździł wierzchem.

–To Clovis Oyler – przedstawił go Catrone. – Zastępca szeryfa w departamencie Ogala. Szpica.

–To zazwyczaj moje miejsce. – Roger uściśnił dłoń Oylera. – Jaka broń?

–Zwykle zmodyfikowany karabin śrutowy. Nie można tracić za wiele czasu na drzwi, a rzadko które wytrzymają trafienie dwunastomilimetrowym śrutem.

–Przy dwunastu milimetrach niewiele zostaje w magazynku – zauważył Roger.

–Jeśli potrzeba więcej niż trzy czy cztery pociski, to znaczy, że trafiło się do niewłaściwego pomieszczenia – odparł Oyler, jakby tłumaczył coś dziecku.

–Oddziały taktyczne. – Roger spojrzał na Catrone'a i kiwnął głową. – Dla pana informacji, panie Oyler, ja zazwyczaj wykonuję takie wejścia w pancerzu wspomaganym i przechodzę na wylot. Kiedyś sprawdzimy, kto jest szybszy – dodał z szerokim uśmiechem.

–Ale dzięki metodzie Clovisa – wtrącił Catrone – po drugiej stronie drzwi z reguły pozostaje więcej żywych i nieuszkodzonych ludzi.

Wzruszył ramionami i odwrócił się do Copectry.

–Bill, mamy już adres. Musimy zainstalować podsłuch i podgląd. Dave rozmieści czujniki i zewnętrzne okablowanie. Potrzebujemy planu budynku i dokładnej liczby przeciwników. Clovis, podczas kiedy Bill i Dave będą się tym zajmować, ty przygotuj broń. Trey, sporządzisz wstępny plan działania.

–A co ty będziesz robił? – spytał Trey, marszcząc brew. Zazwyczaj to Catrone brał na siebie planowanie.

–Jestem zajęty przy innej operacji. Przyjadę na odprawę i będę brał udział w samej akcji.

–Co to za inna operacja? Pytam jako twój prawnik, rozumiesz.

–To jedna z takich akcji, w której prawnik niewiele by nam pomógł – odparł Roger.

–Książę – powiedział generał Gianetto na bezpiecznej linii – mamy problem.

–Co? – odparł Adoula. – A raczej co znowu?

–W Wielkiej Flocie rozchodzą się plotki na temat tego, co się dzieje w Pałacu, niektóre o wiele bliższe prawdy niż bym sobie życzył. Myślę, że pana środki bezpieczeństwa nie są najlepsze, książę.

–Są najlepsze, jakie mogę zorganizować – odparł Adoula. – A plotki to nie problem.

–To jest problem, kiedy marynarka zaczyna się burzyć. Ale to coś więcej niż tylko plotki. CID podchwyciło pogłoski o buncie szykowanym przez marines. Coś planują w okolicach Święta Imperium. A jeszcze mniej podoba mi się ich hasło „utuczone ciele”.

Adoula pokręcił głową.

–Słowa z Biblii? – spytał z niedowierzaniem. – Mam się martwić o bunt marines na podstawie tekstu z Biblii?

–To z przypowieści o synu marnotrawnym, Wasza Wysokość -powiedział ze złością Gianetto. – Piecze się utuczone ciele, kiedy syn marnotrawny wraca.

–Roger nie żyje – powiedział beznamiętnie Adoula. – Sam pan zaaranżował jego śmierć, generale.

–Wiem, a gdyby przeżył, powinien był się pojawić w ciągu kilku tygodni po „wypadku”. Ale wygląda na to, że ktoś wierzy, iż on żyje.

–Książę Roger nie żyje – powtórzył Adoula. – A nawet gdyby żył, co z tego? Myśli pan, że ten matoł mógłby zorganizować kontr-przewrót? Że ktokolwiek by za nim poszedł? Na litość boską, generale, to syn Nowego Madrytu! Nic dziwnego, że to idiota. Co pan kiedyś powiedział o jednym z oficerów, których zaproponowałem? „Nie umiałby poprowadzić plutonu marines nawet do burdelu”.

–Ale nie można tego samego powiedzieć o Armandzie Pahnerze. A Pahner walczyłby dla Cesarzowej, a nie dla Rogera. Mówię panu, coś się szykuje. Stowarzyszenia się ruszyły, marines mówią o buncie, Helmut gdzieś się przemieszcza. Sytuacja jest poważna.

–Co pan zamierza w tej sprawie zrobić?

–Czego mamy pilnować w pierwszej kolejności?

–Cesarzowej i mnie.

–W porządku – odparł generał. – Zwiększę poziom bezpieczeństwa wokół Imperial

City. Ciekawe tylko, skąd wezmę ludzi, skoro nie mamy zbyt wielu lojalnych wobec nas sił naziemnych. Ale coś wymyślę. Zwiększę też poziom bezpieczeństwa wokół Pałacu. Co do pana, w dzień Święta musi pan być w ruchu.

–Miałem brać udział w uroczystościach – powiedział Adoula, marszcząc brew – ale pošlę wyrazy żalu i przeprosiny.

–Proszę tak zrobić – powiedział sucho Gianetto. – W ostatniej chwili, jeśli chce pan rady profesjonalisty.

–A co z marines?

–Zastąpię kimś Brailowsky'ego i utnę sobie z nim pogawędkę.

*** * ***

–Mamy prawdziwy problem – powiedziała Eleanora, przerywając jedną z ostatnich sesji planowania.

–Co się stało? – spytał Roger.

–Starszy sierżant sztabowy Brailowsky został właśnie aresztowany, a na wszystkich serwisach sieciowych marines rozmawia się o „utuczonym cielaku”. Chyba Kjerulf trochę zbyt swobodnie rozpusza informacje.

–Cholera. – Roger spojrzął na zegarek. – Jeszcze dwanaście godzin.

–Proście mnie o wszystko z wyjątkiem czasu – odparł Catrone.

–Będą go przesłuchiwać – powiedział Marinau. – Jest silny, ale w końcu z każdego można wszystko wyciągnąć.

–Będzie w areszcie Bazy Księżycowej – rzekł Rosenberg. – To kiepsko, nie będziemy go mogli po cichu wydostać.

–Greenberg wciąż jest na stanowisku – zauważył Roger. – Jeśli się dowie, że Kjerulf jest po naszej stronie, a Brailowsky musi o tym wiedzieć, skoro rozmawiają o „utuczonym cielaku”, wtedy stracimy też Kjerulfa. A oni obaj wiedzą, że wszystko ma się odbyć w okolicach Święta.

–Kjerulf wie też, że biorą w tym udział Mardukanie – skrzywiła się Eleanora.

–W sieci IBI pojawiło się ostrzeżenie – wtrącił Tebic ze swojego stanowiska – że w okolicach Święta Imperium planowany jest przewrót.

–Wiedzą wszystko co najważniejsze – oznajmił Catrone, kręcąc głową. –

Powinniśmy przerwać operację.

Wszyscy spojrzeli na Rogera; ten wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ścianę.

–Nie – powiedział po długiej chwili. – Wiedzą o Helmucie, ale to było oczywiste. Podejrzewają, że mogą być żywy, ale nic nie wiedzą o Mirandzie.

Przerwał i sprawdził coś w swoim tootsie.

–Przyspieszymy akcję. Zanim cokolwiek zrobią, muszą wydać rozkazy, opracować plany, przesunąć eskadry, odpowiedzieć na pytania. Temu – spojrzął na Jina – zajmowałeś się paradą. Czy możemy przeskoczyć kolejkę? Skłonić marszałka parady, żeby przesunął nas na rano?

–Możemy, jeśli jest pan gotów podsunąć komuś trochę gotówki – powiedział po chwili Jin – i chyba nawet wiem komu. Ale istnieje ryzyko, że ten ktoś nabierze podejrzeń i podniesie alarm.

–Oceń ryzyko. – Wyjątkowo niedoświadczony agent IBI zamknął oczy i przez piętnaście sekund intensywnie się zastanawiał.

–Może jeden do pięciu, że coś wywęszy, ale nie więcej niż jeden do dziesięciu, że jeśli tak się stanie, zrobi coś więcej niż tylko zażąda dodatkowych pieniędzy – powiedział w końcu. Roger zmarszczył czoło, a potem wzruszył ramionami.

–Niedobrze, ale w obecnej sytuacji to lepsze niż czekać, aż przemaglują Brailowsky'ego – uznał i odwrócił się do pozostałych agentów IBI.

–A więc najwyraźniej hasło brzmi „utuczone cielę”. Tebic, czy możesz umieścić coś po cichu na stronach, które czytają marines?

–Z łatwością.

–Hasło „utuczone cielę”. Zrób tak, żeby pojawiło się punktualnie o siódmej. To za siedem godzin. Wtedy zaczynamy.

–A co z Helmutem? – spytał Catrone.

–Nic na to nie poradzimy – odparł Roger. – Miał się pojawić o dziesiątej i mam nadzieję, że tak będzie.

Catrone kiwnął głową. Niestety wciąż nie mieli żadnego potwierdzenia od Helmuta, że odebrał polecenia księcia, a tym bardziej że da radę zastosować się do nich.

–W tej chwili nie wiemy nic pewnego o Helmucie – ciągnął Roger – ale wiemy, że potrzebujemy Kjerulfa. On sam i Baza Księżycowa są tuż nad naszymi głowami. Jeśli

nie uda mu się zrobić zamieszania, żebyśmy w tym czasie zdążyli zdobyć Pałac, to już po nas. A jeśli będziemy czekać na Helmuta, stracimy i Kjerulfa.

Wzruszył ramionami, a Catrone przytaknął. Nie tyle zgadzał się z jego tokiem rozumowania, ile go akceptował. Roger odwzajemnił skinienie, a potem odwrócił się do Tebica.

–Dodaj w sieci Bazy: „wydostać Brailowsky'ego”.

–Jasne.

–Jest pan pewien? – spytał Catrone. – Ochrona będzie monitorować sieć.

–Niech się dowiedzą, że nigdy nie zostawiamy swoich ludzi. Nigdy.

*** * ***

–Potrzeba nam jeszcze jednej rzeczy – powiedział Roger. Była pogodna październikowa sobota, pierwszy dzień Święta Imperium.

Dzień, w którym komputery zostały bardzo wyraźnie poinstruowane, że pogoda w Imperial City ma być doskonała. Bezchmurne niebo, rześkie powietrze, słońce tuż pod horyzontem. Roger patrzył niewidzącym wzrokiem na schemat Pałacu, gładząc obcisły czarny kombinezon.

–Wsparcia – powiedział Catrone, patrząc po raz kolejny na plan. Zapowiadało się nieciekawie, zwłaszcza że źli spodziewali się ataku. Poza tym wszyscy byli zmęczeni. Zamierzali przespać się trochę przed rozpoczęciem operacji, ale musieli dopracować ostatnie szczegóły, a potem przesunięto godzinę zero...

–Nie, mówiłem o Nimashet – powiedział Roger i przełknął głośno ślinę. – Zabijają w tej samej chwili, kiedy pana oddział uderzy.

–Nie, jeśli będą myśleli, że to gliny. Nie będą chcieli mieć na sumieniu jeszcze trupa. Bardziej za to się martwię, że Adoula zabije pana matkę, Roger. Pan też powinien się martwić.

–Nie możemy na to liczyć. – Roger zignorował przytyk. – Niech pan sobie przypomni, co Subianto mówiła o Siminowie: to wściekły pies. A chociaż twierdzi pan, że pana ludzie to najlepsi z najlepszych, nie są moimi najlepszymi ludźmi. A moi najlepsi ludzie, panie Catrone, są naprawdę cholernie dobrzy. Ale znam jedną osobę, na którą mogę liczyć.

–Nie potrzeba nam kolejnej komplikacji.

–Ta się panu spodoba – odparł Roger i wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

*** * ***

Pedi Karuse lubiła się stroić – podobała jej się zwłaszcza różnorodność materiałów dostępnych na Starej Ziemi – i uznała, że złota sukienka będzie ładnie pasować do koloru jej rogów. Sukienka została uszyta przez bardzo doświadczoną krawcową – musiała być bardzo doświadczona, żeby zaprojektować strój dla ciężarnej Mardukanki, który nie wyglądałby bardzo dziwnie. Potem założyła pasujące do sukienki sandały. Mardukanie nie mieli na stopach paznokci, tylko szpony. Jej szpony zostały pomalowane na różowo, żeby pasowały do paznokci dłoni. Rogi zostały zaledwie kilka godzin wcześniej dokładnie wypolerowane przez bardzo miłą Pinopankę nazwiskiem Mae Su, która normalnie zajmowała się manicurem. Ludzie mieli barwniki w najróżniejszych kolorach, ale tym razem Pedi trzymała się koloru jasny blond. Rozważała ufarbowanie rogów na czerwono, ponieważ ludzie mówili, że ma usposobienie rudej, cokolwiek to znaczyło, ale póki co była blondynką.

Pozostał jeszcze problem regulowania temperatury ciała. Doktor Dobrescu, który został chyba najlepszym (choć szerzej zupełnie nieznanym) ekspertem od mardukańskiej fizjologii, określił ich jako „prawie tak samo zimnokrwistych, jak cholerne ropuchy”. Ropuchy zasadniczo nie czują się najlepiej w zimne październikowe poranki w Imperial City, dlatego większość Mardukan nosiła skafandry środowiskowe, ale dla Pedi były one zbyt... użytkowe i postanowiła w jakiś inny sposób poradzić sobie z chłodem.

Odkąd poznała Corda, uczyła się od niego ćwiczeń dinshon – pewnego rodzaju homeopatii, za pomocą której pobratymcy Corda kontrolowali temperaturę ciała, połączonej z rygiorem umysłowym. Przydało się to w Górach Mardukańskich, gdzie temperatury często spadały do poziomu, który ludzie nazywali „przyjemnym”, a Mardukanie „mroźnym”. Dzisiejszy poranek był „mroźny” nawet dla ludzi, Mardukanie nie mieli więc na niego żadnego odpowiedniego określenia, może poza, jakimś rodzajem lodowatego piekła”.

Ćwiczenia dinshon pomagały Pedi wytrzymać nawet taki ziąb, ale tylko przez kilka minut, dlatego zaopatrzyła się w sprzęt pomocniczy.

Wokół wszystkich czterech nadgarstków i kostek miała zaciśnięte skórzane opaski, na szyi zaś obrozę. Wyglądała trochę jak Sługa Ognia Krathów, co nie było przyjemnym skojarzeniem, ale najważniejsze, że opaski ukrywały pasy grzewcze, tak rozgrzane, że prawie parzyły. Takie same pasy miała na brzuchu oraz na plecach, wokół rozwijających się płodów.

Dzięki pasom i ćwiczeniom dinshon powinna wytrzymać kilka godzin, i to bez ohydneho niemodnego skafandra.

Ogólnie wyglądała szalowo, pomijając lekko połyskujący polisacharydowy śluz pokrywający jej skórę, kiedy wysiadła z powietrznej taksówki i podeszła lekkim krokiem do frontowego wejścia do Ośrodka Samorządu Sąsiedzkiego.

–Nazywam się Pedi Karuse – powiedziała swoim najlepszym imperialnym, skinąwszy głową dwóm mężczyznom. Jeden z nich był wielki jak na człowieka, niemal dorównywał jej wzrostem, ale gdyby miała pantofle na obcasach, górowałaby nawet nad nim. – Przyszłam do pana Siminowa. Wiem, że tutaj jest.

–SzeF nie rozmawia z pierwszym lepszym szumowiniakiem z ulicy – odparł niższy mężczyzna. – Zjeżdżaj.

–Powiedzcie mu, że jestem wysłanniczką pana Changa – powiedziała Pedi, starając się uśmiechnąć, ale ze względu na ograniczoną liczbą mięśni twarzy uśmiech Mardukan przypominał raczej dziwny grymas. – Powinien ze mną porozmawiać. To dla niego bardzo ważne.

Strażnik powiedział coś do mikrofonu umieszczonego na gardle, poczekał, a potem kiwnął głową.

–Ktoś tutaj idzie – powiedział. – Zaczekaj.

–Oczywiście – zachichotała Pedi. – Chyba nie pójdziemy za budynek, co?

–Nie z szumowiniakiem – skrzywił się większy ze strażników.

–Nigdy nic nie wiadomo, dopóki się nie sprawdzi – powiedziała Pedi i zakołysała biodrami. Był to dla niej kolejny nienaturalny gest, ale wystarczająco często widziała go u ludzkich kobiet, żeby wiedzieć, o co w nim chodzi.

Człowiek, który podszedł do drzwi, miał na sobie garnitur. Garnitur wyglądał na źle skrojony, ale prawdopodobnie przyczyną była sylwetka właściciela. Pedi widziała kiedyś zdjęcia ziemskiej istoty zwanej „gorylem”; ten facet wyglądał tak, jakby przed chwilą spadł z drzewa... i to na głowę.

–Chodź – powiedział, otwierając drzwi i wpuszczając Pedi. – SzeF jest na górze. Nawet nie zdążył napić się kawy. Nie znosi, gdy każe mu się czekać jeszcze przed wypiciem kawy.

Kiedy weszli w korytarz, rozległo się głośnie brzęczenie. Goryl skrzywił się z wściekłością.

–Stój! – krzyknął. – Masz broń.

–Oczywiście, że mam broń. – Pedi znów zachichotała.

–Musisz ją oddać – powiedział goryl z miną człowieka, który nie rozumie żadnych dowcipów.

–Co? Całą?

–Całą- warknął goryl.

–No dobrze. – Pedi westchnęła. – Ale w takim razie szef będzie musiał trochę poczekać.

Sięgnęła w górne rozcięcie sukienki i wydobyła stamtąd dwa miecze. Dla Mardukanina były krótkie, ale tak naprawdę dorównywały długością kawaleryjskiej szabli i były podobnie wygięte.

Potem zaczęła wyciągać całą resztę: dwa zakrzywione sztylety rozmiarów ludzkich kordów, dwa proste sztylety umieszczone po wewnętrznej stronie ud, dwa sztylety ukryte na karku i jeszcze dwa schowane w miejscach, do których trochę trudniej było się dostać. Na końcu oddała cztery mosiężne kastety, pałkę i cztery rolki imperialnych ćwierćkredytek.

–To wszystko? – spytał goryl z pełnymi rękami.

–No... – Pedi sięgnęła pod sukienkę i wydobyła długi prosty szpikulec. – Teraz to już wszystko. Ojciec by mnie zabił za to, że je tak grzecznie oddałam.

Goryl oddał całą broń innemu strażnikowi i przesunął nad Pedi różdżką. Znalazł jeszcze dwie rzeczy, które mu się nie podobały: jeszcze jedną rolkę monet i pilnik do paznokci. Pilnik miał około dwudziestu centymetrów długości i ostry jak igła czubek.

–Muszę mieć coś do rogów! – powiedziała z oburzeniem, kiedy goryl zabrał jej pilnik.

–Nie tutaj – odparł. – Dobrze, teraz możesz iść do szefa.

–Lepiej, żebym to wszystko dostała z powrotem – zwróciła się do strażnika z naręczem żelastwa.

–Z przyjemnością popatrzę, jak to wszystko chowasz na miejsce – odparł z uśmiechem, po czym zaniósł broń do jednego z bocznych pomieszczeń i rzucił z głośnym szczękiem na stół.

–A więc jak to jest pracować dla pana Siminowa? – spytała Pedi, kiedy szli do windy.

–Robota jak każda inna.

–Znalazłoby się w takiej organizacji miejsce dla kobiety?

–A umiesz się posługiwać tym wszystkim, co tam miałaś? – spytał, wciskając guzik trzeciego piętra.

–Całkiem nieźle – odparła zgodnie z prawdą. – Całkiem nieźle. Wiesz, jak to jest, człowiek się uczy przez całe życie.

–W takim razie tak, chyba tak – powiedział goryl, kiedy drzwi się zamknęły.

*** * ***

–Jest w środku – powiedział Bill.

–Jeszcze jeden cel, którego nie można zabić. – Clovis pokręcił głową. – Nie znoszę takich utrudnień.

„Idź żółtą brukowaną drogą!” – zaśpiewał Davis głosem munchkina. – „Idź żółtą brukowaną drogą! Idź, idź, idź, idź, idź żółtą brukowaną drogą! Idź...”.

–Mam odbezpieczoną broń – powiedział Clovis. – Nie denerwuj mnie.

–Dajcie spokój. – Tomcat opuścił zasłonę hełmu. – Czterdzieści pięć sekund.

*** * ***

Honal kręcił się, próbując usadowić się wygodniej w fotelu. Nie udało mu się, więc prychnął tylko i zaczął wciskać przyciski.

–Przeklęte karły – mruknął.

–Powtórz, Czerwony Sześć – zabuczał komunikator.

–Nic takiego, kapitanie – odparł.

–Otwierają się zewnętrzne wrota – zameldował Rosenberg. – Przejdź na pozycje do wewnętrznych wrót.

–Przeklęte karły – powtórzył Honal, upewniwszy się najpierw, że ma wyłączony nadajnik, i wcisnął antygravitację. – Karłowata rasa.

Ale przynajmniej robią fajne zabawki, pomyślał i włączył nadawanie.

–Czerwony Sześć lekki – powiedział, a potem przesunął dźwignię chowania płóz i wyprowadził żądło z lądowiska, nakierowując dziób na wrota magazynu. Wciąż znajdowali się w podziemnym kompleksie, ale kiedy tylko wydostaną się spod osłony

bunkrów, mają włączyć wszystkie alarmy w Imperial City.

Przyszła pora, aby się zabawić.

*** * ***

–Trzy, cztery, pięć – odliczał Roger, truchtając wilgotnym korytarzem. Woda sięgała do samego parapetu, a śliski beton pokryty był szlamem.

Znawali się w starożytnym metrze; był to środek masowego transportu poprzedzający rury grawitacyjne. Pałac – czy to przez przypadek, czy w myśl planu Mirandy MacClintock – znajdował się tuż nad stacją nazywaną kiedyś „Union Station”.

Roger zatrzymał się przy siódmym bocznym korytarzu.

–Zabawa się zaczyna – powiedział, patrząc na swój oddział Mardukan i emerytów z Osobistego Pułku Cesarzowej. Ci ostatni wyglądali na nieco zziębniętych po trzykilometrowej przebieżce, ale sprawdzali sprzęt i odbezpieczali działka plazmowe i śrutowe ze sprawnością świadczącą o wielu latach praktyki.

Roger po raz ostatni sprawdził tootsa, a potem otworzył coś, co wyglądało jak starożytna skrzynka z bezpiecznikami. W środku znajdowała się niewiele nowocześniejsza klawiatura. Mając cholerną nadzieję, że elektronika wytrzymała wilgoć, wziął głęboki oddech i wstukał długi kod.

Rozległ się zgrzyt metalu i fragment ściany zaczął się odsuwać w bok.

Książę wstąpił w mrok, za nim zaś dwunastu Mardukan w bojowym opancerzeniu, sześciu podobnie uzbrojonych byłych marines i jeden nieco skołowany pies-jaszczur.

*** * ***

–Za dwadzieścia trzy minuty ma pan spotkanie z panem Van der Vondelem – powiedziała asystentka Adouli, kiedy książę wsiadł do limuzyny. – Potem...

–Odwołaj – powiedział Adoula. – Duauf, lecimy do Richen.

–Tak jest, proszę pana – potwierdził szofer, unosząc limuzynę z platformy i włączając się płynnie do ruchu.

–Ależ... ależ, Wasza Wysokość – zakrzuszyła się dziewczyna, czerwieniejąc. – Jest pan umówiony z wieloma osobami, a Święto Imperium...

–W tym roku obejrzymy paradę w domu – stwierdził Adoula, wyglądając przez okno.

Właśnie wstawał świt.

*** * ***

Święto Imperium ustanowiono na cześć obalenia Lordów Daggerów i powstania Tronu Imperium, co miało miejsce pięćset dziewięćdziesiąt lat wcześniej. Siły Lordów Daggerów zostały „oficjalnie” rozbite piątego października; daty usunięcia ich pomniejszych lokalnych stronników – większość z nich zatłuczono kamieniami – nie wzięto pod uwagę. Z powodów znanych tylko niewielu historykom Miranda MacClintock zakazała jednak używania określenia „Rewolucja Październikowa”, zapoczątkowała za to Święto Imperium – doroczne obchody ciągłości dynastii MacClintocków oraz Imperium Człowieka.

W tym roku były jednak problemy ze stworzeniem świątecznej atmosfery. Podczas nocnych pokazów fajerwerków tłum wymknął się spod kontroli; duża grupa ludzi wdarła się do Imperialnego Parku, wzywając Cesarzową. Rozpędzono ich, ale policja podejrzewała, że dzisiaj wydarzy się coś jeszcze, być może znacznie gorszego.

Mardukanie wysiadający z wielkich naczep sprowadzali po rampach załadowczych bestie, które wyglądały jak żywcem przeniesione z okresu jury; podobno obcy – co potwierdzały uprzęże i siodła – mieli na nich jechać. Jeźdźcy byli potężni nawet jak na Mardukan; mieli na sobie lśniące pancerze i stalowe hełmy. Widząc ich miecze – przywiązane sznurami artefakty kulturowe, które pasowały do obchodów Święta – policja miała nadzieję, że nie będzie z nimi żadnych problemów.

To samo dotyczyło piechurów. Nieśli długie piki, a na plecach antyczne karabiny na ładunki chemiczne. Jeden z sierżantów policji podszedł, aby sprawdzić, czy nie mają amunicji. Skanery nie były wprawdzie nastrojone do starodawnego czarnego prochu, ale okazało się, że Mardukanie nie mają przy sobie nabojów. Jeden z nich zademonstrował za to, jak się ładuje te skomplikowane karabiny odtylcowe. Swoboda, z jaką posługiwał się karabinem, była niepokojąca, ponieważ oficjalnie Mardukanie byli kelnerami z miejscowej restauracji.

Kiedy wreszcie wyładowali ostatnie zwierzę, niewiele brakowało, a sierżant wezwałby wsparcie. Bestia była rozmiarów słonia i najwyraźniej nie podobało jej się, że tutaj jest, gdyż ryczała i darła pazurami ziemię, a jeździec na jej grzbiecie wydawał się mieć znikomy wpływ na jej zachowanie. Stwór sprawiał wrażenie, jakby czegoś szukał; nagle ożył i truchtem, od którego aż zadrżała ziemia, podbiegł do funkcjonariusza Jorgensena.

Mężczyzna zbladł, kiedy potwór zaczął obwąchiwać jego włosy. Bestia mogłaby jednym kłapnięciem olbrzymiego dzioba odgryźć mu głowę, ale ona tylko poniuchala, a potem smutno zagulgotała, odwróciła się – o wiele lżej niż powinno coś tak wielkiego – i głośno zaryczała. Chyba nie była najszcześliwsza.

W końcu jeden w wielkich jeźdźców w pancerzach podsunął jej coś, co wyglądało jak kawałek materiału wyrwany z munduru polowego. Bestia powąchała, prychnęła i złagodniała; wciąż była czujna, ale już spokojniejsza.

Dobrze, że nie ma jeszcze dużego tłumu, pomyślał Jorgensen. Może właśnie dlatego marszałek przeniósł ich z końca parady na sam początek? Żeby mieć ich z głowy, zanim obecność większej liczby ludzi i hałas sprawi, że te kapryśne bestie staną się jeszcze bardziej krnąbrne?

No, ale przynajmniej Święto zapowiada się w tym roku interesująco.

* * *

–Idzie – powiedział Macek, zerkając znad otwartego panelu i chowając swoje multinarzędzie do kabury u pasa.

Macek i Bebi stacjonowali podczas poprzedniej tury w kontyngencji marines Bazy Księżycowej, dlatego właśnie to oni zostali wybrani do tego zadania. Niezbyt im się to podobało, ale byli zawodowcami, a poza tym przeszli z Rogerem zbyt wiele złanych krwią pól bitewnych, żeby przejmować się losem jednego sprzedajnego admirała.

–Co z adiutantką? – spytał Bebi.

–Zostaw ją. – Macek zerknął na atrakcyjną porucznik i założył gogle. – Ogłuszacz.

Bebi kiwnął głową i wyjął z panelu serwisowego pistolet śrutowy. Greenberg miał wystarczająco dużo czasu, by zidentyfikować broń w dłoniach zabójcy, zanim strumień hiperszybkich śrucin zamienił jego głowę w czerwoną miazgę. Jego adiutantką, zbryzgana krwią i mózgiem admirała, zdążyła tylko otworzyć usta, zanim Macek uniósł ogłuszacz.

–Przepraszam, ma'am- powiedział i wystrzelił.

Potem obaj marines rzucili broń i podnieśli ręce do góry, kiedy w korytarzu załomotały kroki i pojawili się rozwścieczeni strażnicy z pistoletami w rękach.

–Cześć – powiedział Macek.

–Wy skur...

–„Utuczone ciele” – przerwał mu Bebi tonem swobodnej konwersacji i opuścił ręce.
– Coś wam to mówi?

* * *

–Wewnętrzne wrota się otwierają – powiedział Rosenberg. – Zaczynamy.

Shadow Woljy wypadły z kryjówki w samym sercu Imperial City i pomknęły przed siebie. Kiedy tylko minęły wewnętrzne wrota i uzyskały pełną łączność, Honał włączył częstotliwość wszystkich szwadronów.

–Zbudźcie się, jeźdźcy Civan!– ryknął. – Srogi was czeka bój! Świt wstanie w krwawej łunie nad ostatnią klęską! [Wg J.R.R. Tolkien „Powrót króla” [tłum. Maria Skibniewska]].

Nauczył go tego Roger. Honał nie wiedział, skąd książkę to wziął – pewnie z jakiejś

starożytnej ludzkiej historii – ale to był świetny wers i zasługiwał na to, żeby go powtarzać.

* * *

–O cholera – powiedział Phelps.

–Co znowu? – spytała Gunnar, ziewając.

–Liczne odczyty! Klasa wojskowa. Trzy... cztery... pięć lokacji, dwie w Western Ranges! Trzy są w mieście!

–Co?! – Gunnar wyprostowała się gwałtownie w fotelu, włączając repeater na swojej konsolce. – O mój Boże! Znowu!

–Skąd oni się wzięli, do cholery!? – spytał Phelps.

–Nie mam pojęcia, ale dwa do jednego, że wiem, dokąd lecą!

Zaczęła wstukiwać polecenia, ale w tym momencie połączenie się przerwało. Ułamek sekundy później z podziemi budynku dobiegł głuchy grzmot.

–Główne połączenie wysiadło – powiedział lakonicznie kapral Ludjevit. – Awaryjne też. Pani sierżant, jesteśmy odcięci.

–Dowiedzcie się dlaczego! – rozkazała Gunnar. – Cholera, w ogóle nie mamy łączności?

–Chyba że użyjemy telefonu – powiedział Ludjevit.

–Więc, kurwa, użyjcie telefonu!

* * *

–Mów co chcesz o ludzkich urządzeniach – zauważył Krindi Fain, zapalając zapalną – ale w prochu jest coś ekscytującego.

Główny węzeł łącznościowy departamentu policji Imperial City właśnie przegrał z dwoma kilogramami wspomnianego prochu.

–Tego też nauczyli nas ludzie, prawda? – spytał Erkum, drapiąc się w podstawę rogów.

–Och, ty zawsze musisz zepsuć zabawę – odparł Krindi. – Pora się stąd wynosić.

–Tędy – powiedział Tebic. Wejść było łatwo dzięki dostarczonym przez IBI

przepustkom „techników”. – Musimy wyjść kanałami.

*** * ***

Imperial City było najlepiej chronionym miejscem w galaktyce i wszyscy o tym wiedzieli. Większość ludzi nie zdawała sobie jednak sprawy, że było chronione przede wszystkim przed atakiem kosmicznym. Miasto otaczały gniazda broni ziemia-powietrze – część z nich umieszczono nawet w samym centrum – ale zaprojektowano je do zwalczania celów na wysokości niemal orbitalnej. Bliżej ziemi zabezpieczeń było o wiele mniej. I żądła wykorzystywały właśnie tę szczelinę w pancerzu miasta. Latacze zostały automatycznie uziemione, kiedy tylko wysiadła policyjna sieć. Oznaczało to, że wszystkie samoloty, które normalnie stanęłyby myśliwcom na drodze, teraz znajdowały się na ziemi, a ich kierowcy przeklinali systemy, które odmawiały posłuszeństwa. Nie oznaczało to, że w powietrzu było pusto, lecz było ono znacznie mniej zaśmiecone latającym złomem.

Honal ominął jeden z niezliczonych drapaczy chmur i odpalił pocisk naprowadzany. Rakieta wystrzeliła w górę, zawróciła i trafiła w biura księcia Jacksona, a Mardukanin zanurkował pod rurą grawitacyjną i znów skręcił w czterdziestą siódmą ulicę.

Latacz policyjny na skrzyżowaniu czterdziestej siódmej i Troel-sen Avenue posłał w jego stronę strumień śrutu, ale pociski odbiły się od chromframowego pancerza żądła jak krople deszczu. Honal nawet nie odpowiedział. Policja była w tej bitwie stroną neutralną, dlatego oszczędzał amunicję na ważniejsze cele.

Na przykład na wyrzutnie rakiet na skraju Imperialnego Parku. Czujniki żądła zawyły, kiedy jedna z rakiet ząbkowała się na myśliwcu. Honal wystrzelił w stronę radaru dwie rakiet HARM, a sam skręcił bardzo ostro, żeby schować się za kolejnym drapaczem chmur. Rakiety pomknęły niczym po nitce radarowych wiązek prosto do celu i po chwili rozniosły wyrzutnię na strzępy.

Przedtem jednak wyrzutnia zdążyła jeszcze wystrzelić raketę ziemia-powietrze; pocisk zalokował się na żądle i pomknął za nim z wyciem w czterdziestą pierwszą ulicę.

Na wyświetlaczu Honala rozbłysło ostrzeżenie: systemy naprowadzające rakiet uaktywniły się. Mardukanin opadł myśliwcem na prawie sto metrów i włączył dopalacze na pełną moc. Turbiny Shadow Wolfa zawyły i żądło pomknęło szeroką aleją do samego serca stolicy Imperium Człowieka. Rakieta była jednak lżejsza, szybsza i o wiele nowocześniejsza i szybko zmniejszała dystans, zmierzając niczym strzała prosto do celu. Honal cierpliwie czekał, aż rakieta znajdzie się na tyle blisko, że nie zdąży...

Poderwał dziób myśliwca i wystrzelił w słupie ognia w górę. Brzuch jego żądła

prawie otarł się o ścianę wieżowca. Inteligentna rakietą pomknęła za nim po cięciwie trasy lotu Shadow Wolfa... i zniknęła w nagłym rozkwicie płomieni, kiedy zderzyła się z rurą grawitacyjną, pod którą Honal przeleciał.

–Tak! – Mardukanin rzucił myśliwiec na skrzydło i poleciał w stronę Montorsi Avenue i kolejnego celu na liście. – Jestem Honal CThon Radas, dziedzic baronii...

–Czerwony Sześć – przerwał mu Rosenberg. – Masz na ogonie następną raketę. Może łaskawie zwrócisz na to uwagę.

* * *

–Panie kapitanie Wallenstein – powiedziała dyżurna łącznościowiec spokojnym, rzeczowym tonem profesjonalisty. – Dostajemy meldunki o wojskowym ataku na Imperial City. Łączność IBI i policji Imperial City nie działa, jedynie kwatera główna obrony ma z nami połączenie. Stanowiska obrony wokół Pałacu meldują o ataku żądał.

–Połączcie się z czternastą eskadrą nosicieli – powiedział Gustav Wallenstein, spoglądając na swój repeater, na którym pojawiła się ta sama wiadomość. – Niech...

–Wstrzymać wykonanie rozkazu – rozległ się stanowczy głos.

Wallenstein obrócił gwałtownie głowę i skrzywił się z wściekłości na widok wchodzącego do sztabu Bazy Księżycowej kapitana Kjerulfa.

–Co?! – zawołał, zrywając się na równe nogi. – Coś ty powiedział?!

–Powiedziałem, żeby wstrzymać wykonanie rozkazu – powtórzył Kjerulf. – Nikt się nigdzie nie ruszy.

–Minotaur, Gloria, Lancelot i Holbein się ruszają – powiedział operator czujników. – Przewidywania kursu wskazują, że zamierzają przeciąć orbitę planety.

–Bardzo dobrze – odparł Kjerulf, nie odrywając wzroku od Wallensteina. – To, co się dzieje na Starej Ziemi, to nie nasza sprawa.

–Jak to nie?! – Wallenstein spojrzał na strażników. – Kapitan Kjerulf jest aresztowany!

–Z czyjego rozkazu? – spytał spokojnie Kjerulf. – Przewyższam cię stażem służby.

–Z rozkazu admirała Greenberga – prychnął Wallenstein. – Mieliśmy na ciebie oko, Kjerulf. Sierżancie, rozkazujecie aresztować tego zdrajcę!

–No cóż, Wallenstein – powiedział spokojnie Kjerulf – dobrze ci się wiodło przez

ostatnich kilka miesięcy, ale dziś to już koniec. Sierżancie?

–Sir?

–„Utuczone ciele”.

–Tak jest, sir. – Marinę dożyła broni. – Kapitanie Wallenstein, jest pan aresztowany za zdradę stanu. Wszystko, co pan powie... i tak dalej. Dajmy sobie spokój z resztą, dopóki nie zaprowadzimy pana do przytulnej sali przesłuchań, dobrze?

–Panie kapitanie – powiedziała łącznościowiec, kiedy zaskoczony Wallenstein został wyprowadzony z pomieszczenia – książe Jackson jest na bezpiecznej linii. Prosi o admirała Greenberga.

–Doprawdy? – Kjerulf uśmiechnął się zimno. – Akurat to połączenie trudno będzie zrealizować. Lepiej będzie, jeśli to ja odbiorę.

Usadowił się na fotelu opuszczonym przez Wallensteina i otworzył połączenie.

–Dzień dobry, książe – powiedział wesoło, kiedy na jego wyświetlaczu pojawiła się wykrzywiona twarz Jacksona. – Co mogę uczynić dla ministra marynarki Imperium w ten śliczny poranek?

–Nie pieprz, Kjerulf – prychnął Adoula. W dolnym rogu wyświetlacza pojawił się kod wskazujący, że połączenie pochodzi z latacza. – Daj mi Greenberga. I niech czternasta eskadra przesunie się bliżej Starej Ziemi. Książe Roger wrócił i próbuje dokonać kolejnego przewrotu. Osobisty Pułk Cesarzowej potrzebuje wsparcia marynarki.

–Przykro mi, książe, ale obawiam się, że jako cywilny członek rządu nie może mi pan rozkazywać. A admirał Greenberg jest w tej chwili nieosiągalny.

–Dlaczego jest nieosiągalny? – spytał Adoula; nagle stał się czujny.

–Myślę, że zatruł się śmiertelną dawką śrutu – odparł spokojnie kapitan. – A zanim pan wyskoczy z generałem Gianettem, który w przeciwieństwie do pana, panie ministrze marynarki, teoretycznie jest moim bezpośrednim przełożonym, może mu pan powiedzieć, że następna dawka jest przeznaczona dla niego.

–Zapłacisz mi za to głową, Kjerulf!

–Nie będzie panu łatwo. A jeśli przegramy, będzie pan musiał ustawić się w kolejce. Życzę miłego dnia, Wasza Wysokość.

Wcisnął guzik i przerwał połączenie.

–Dobra, słuchajcie wszyscy – powiedział, obracając fotel przodem do sztabowców i odchylając się w tył. – Czy ktoś z was naprawdę wierzy, że pierwszy zamach stanu był dziełem księcia Rogera?

Popatrzył po twarzach zebranych i kiwnął głową.

–To dobrze, bo prawda jest taka, że przewrotu dokonał Adoula, który od tamtej pory trzyma Cesarzową jako zakładniczkę.

–Tak jest, sir – powiedział jeden z techników z belkami dwudziestoletniej służby na mankietach. – Cieszę się, że wreszcie ktoś to głośno powiedział.

–Wszyscy możecie w tej chwili podjąć decyzję – powiedział Kjerulf. – Jeszcze do niedawna Adoula myślał, że Roger nie żyje. Ale to nieprawda, Roger wrócił i pała żądzą zemsty. Zapomnijcie o oglądanym kiedyś w wiadomościach „dobrze ubranym księciu”. Roger to MacClintock, co więcej, prawdziwy MacClintock. Musicie wiedzieć, że marines są z nami, tak samo kapitanowie Glorii, Minotaura, Lancelota i Holbeina. Admirał Helmut już jest w drodze, ale przypuszczalnie się spóźni, bo musieliśmy wcześniej zacząć. Każdy, kto nie zamierza wytrwać na posterunku, na który prawdopodobnie spadną rakiety, niech rusza do Luna City, i to szybko. Każdy, kto zechce zostać, jest bardzo mile widziany.

Rozejrzał się, unosząc brew.

–Ja zostaję – powiedziała łącznościowiec, odwracając się do swojego pulpitu. – Lepiej zginąć jak prawdziwy kosmiczny niż pracować dla tego bydlaka Adouli.

–Amen – skomentował któryś z podoficerów.

–Bardzo dobrze – rzekł Kjerulf, kiedy reszta kiwając głowami i pomrukując, wyraziła zgodę. – Wyślijcie wiadomość do wszystkich kontyngentów marines. Hasło: „utuczone ciele”.

*** * ***

–Uwielbiam Święto Imperium -powiedział Siminow, kiedy goryl wsunął do pokoju lewitujący fotel Despreaux. – Bukmacherzy pracują, kurwy pracują, a sprzedaż prochów skacze o piętnaście procent.

Despreaux popatrzyła na niego wilkiem znad knebla, a potem odwróciła się do Pedi.

–Jak pani widzi, panno Karuse – ciągnął gangster – panna Stewart jest cała i zdrowa.

–Pan Chang przysłał mnie na negocjacje – powiedziała Pedi, znów wykrzywając się

w próbie uśmiechu i pocierając rogi czubkami palców. – Widzi pan, on po prostu nie ma w tej chwili miliona kredytek. Jest skłonny zapłacić natychmiast jako „odsetki” sto tysięcy, a resztę za kilka dni, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Maksimum za dwa tygodnie.

–Cóż, przykro mi, że przejechała pani taki kawał drogi na darmo. Umowa nie podlega negocjacjom, zwłaszcza po tym, jak zaginął mój wysłannik – powiedział ostro Siminow. – Może pani też powinna zniknąć, panno Karuse. To by tylko... Co to?

Budynkiem zatrzęsała odległa eksplozja. Siminow i jego goryle popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

–Cholera – zaklęła cicho Pedi, zerkając na zegarek. – Już?

Szef gangu i jego ochroniarze wciąż jeszcze zastanawiali się, co to było, kiedy Pedi pchnęła fotel z Despreaux pod ścianę i padła na twarz. Zaparła się wszystkimi czterema rękami o podłogę i błyskawicznie wyrzuciła do tyłu obie nogi.

Obaj goryle polecili na ścianę, a wtedy Pedi odepchnęła się mocno dolnymi rękami i wykonała salto w tył. Wylądowała przed dwoma ochroniarzami, którzy właśnie sięgali pod marynarki po pistolety śrutowe. Górne ręce Pedi trafiły w ich twarze, a dolne zacisnęły się mocno na udach, i obaj mężczyźni wylądowali na podłodze.

Pedi zrobiła salto w przód, dziękując bogom Ognistych Gór za wysoki sufit, i wskoczyła na biurko. Zaparła się o nie wszystkimi czterema rękami, a nogami cisnęła Siminowa na ścianę, zanim zdążył podnieść pistolet śrutowy, który wyjął z szuflady. Uderzył w mur z tak ogromną siłą, że pistolet poleciał w drugi kąt pokoju.

Pedi znów wykonała salto, tym razem w tył, i ponownie wylądowała między ochroniarzami. Złapała jednego z nich za włosy, odchyliła jego głowę do tyłu i szarpnięciem głowy przeciągnęła rogami po jego odsłoniętym gardle. Ich wewnętrzne krawędzie były tak ostre, że przecięły gardło szybciej niż nóż. Pedi cisnęła krwawiące ciało na bok i rzuciła się na drugiego ochroniarza. Kopnęła go w brzuch, a kiedy upadł, złamała mu stopą kark. Potem spokojnie podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

–Roger miał rację, że nie doceni pan możliwości kobiety – powiedziała łagodnie, idąc powoli przez pokój.

Siminow gapił się na nią, oszołomiony nagłym spotkaniem ze ścianą, a jeszcze bardziej niespodziewaną rzezią. Pedi podeszła, podniosła go jedną dolną ręką i cisnęła przez cały pokój. Po brutalnym zapoznaniu się z kolejną ścianą osunął się na podłogę, jęcząc i ściskając wygiętą pod nienaturalnym kątem rękę..

–Był przekonany, że nie doceni pan możliwości kobiety w ciąży, nawet jeśli to Mardukanka – ciągnęła przyjaznym tonem Pedi. – Muszę przyznać, że gdyby miał pan do czynienia z którąś z tych niedołęg z Krathu, rozmowa mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej.

Podniosła Despreaux razem z fotelem, a potem przecięła ostrą stroną rogów taśmę, którą kobieta była unieruchomiona.

–Aleja nie jestem jedną z nich – ciągnęła, podchodząc do Siminowa. Gangster otworzył szeroko oczy i patrzył na stojącą nad nim zlaną krwią Mardukanekę. – Jestem Pedi Dorson Acos Lefan Karuse, córka króla Mudh Hemh, zwana Światłem Dolin – powiedziała cicho, nachylając się tak, że jej twarz znalazła się zaledwie dwa centymetry od jego twarzy – a to, mój przyjacielu, jest już zupełnie innej maści civan.

* * *

–Wyglądasz na porządnego faceta – rzekł Rastar, podnosząc górną ręką ciekawskiego sierżanta, a dolną wyjmując z kabury u jego pasa pistolet śrutowy. – Bardzo mi przykro, że muszę to zrobić.

Odwrócił się i trzymając policjanta przed sobą, wycelował pistolet w oddział policji, który obserwował Mardukan.

–Proszę tego nie robić – powiedział doskonałym imperialnym, kiedy ręce policjantów odruchowo sięgnęły do kabur. – Potrafię dość dobrze posługiwać się tymi zabawkami. Rzućcie je na ziemię.

–Jeszcze czego – warknął zastępca dowódcy i złapał za kolbę.

–Uprzedzałem – westchnął Rastar i nacisnął spust. Śrut wyrwał pistolet wraz z kaburą z ręki kaprała; policjant krzyknął z zaskoczenia – i przerażenia – i przycisnął piekące palce do napierśnika.

–Nie! – ryknął Rastar, kiedy dwóch innych zaczęło wyciągać broń. – On nie jest ranny, ale wszyscy macie bardzo mały kawałek pancerza, w który łatwo mogę was trafić, zanim wyciągniecie broń. Wierzcie mi.

–Zresztą i tak nie będziecie mieli szansy – rozległ się głos z tyłu. Policjanci odwrócili się i zobaczyli mur diasprańskich pik z ostrymi jak brzytwy grotami.

Dwaj Diaspranie podeszli i zebrali broń, a potem zaczęli wiązać policjantów.

–Ile sztuk broni w końcu potrzebujesz? – spytał Petersen.

–Zazwyczaj używam czterech – odparł Rastar – ale większego kalibru. – Wsiadł na

civan i spojrział na oddalony o kilometr Pałac.

–Dwoma na raz nie trafisz nawet w stodołę – powiedział ze złością jeden z policjantów.

–Dwoma na raz?

–Strzelając z dwóch pistoletów jednocześnie, durniu – powiedział sierżant. – Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę!

–Z dwóch pistoletów?

Rastar spojrział na policyjny latacz, a potem w jego dłoniach znalazły się cztery skonfiskowane pistolety śrutowe. W mgnieniu oka opróżnił magazynki. Kiedy skończył, w bocznych drzwiach latacza widniały cztery dziury, niewiele większe od średnicy pojedynczego śrutu.

–Dwa pistolety są dla ludzi – zadrwił Rastar, przeładowując broń śrutem ze skonfiskowanej ładownicy. Potem odwrócił się w stronę

Pałacu i dobył miecza, kiedy w tle rozbłysła pierwsza eksplozja.

–Naprzód!

* * *

Jakrit Kiyemet włączyła komunikator, kiedy w oddali zagrzmiał wybuch.

–Trzecia brama – powiedziała, patrząc ze zmarszczonym czołem na szereg ciężarówek przygotowujących się do Świąta.

–W przestrzeni powietrznej Imperial City wykryto wojskowe promy i żądła – podało centrum dowodzenia. – Przygotować się na atak.

–No, świetnie – mruknęła. Została odciągnięta od pilnowania magazynów firmy Adoula Industries i wcielona do Osobistego Pułku Cesarzowej. To nie była robota dla niej, ale Kiyemet miała dość rozumu, żeby nie zadawać pytań, kiedy kazano jej „zgłosić się na ochotnika”. Mimo że nie była marinę, wiedziała, że w obecnej sytuacji – stała przed bramą z karabinem śrutowym w garści – obrona Pałacu przed żądlami może się okazać niełatwa.

–Co mam zrobić? – spytała zjadliwie.

–Możesz się też spodziewać naziemnego ataku – odparł sierżant siedzący w odległym i ufortyfikowanym centrum dowodzenia. – Eskadra pałacowych żądeł już grzeje silniki, a oddział szybkiego reagowania zakłada pancerze. Macie tylko

pozostać na swoim posterunku, aż ktoś was zmieni.

–Świetnie – powtórzyła i spojrzała na Diema Merrilla. – Mamy stać na posterunku, aż nas zmienią.

–I tak zawsze to robimy – odparł żołnierz, parszcząc śmiechem. Potem przestał chichotać i wytrzeszczył oczy. – Co to, do...

Przez otwarty teren parku galopowali jeźdźcy na... dinozaurach? Wymachiwali chyba mieczami, za nimi zaś biegła piechota z największymi włóczyniami, jakie oboje gwardziści kiedykolwiek widzieli.

–Co to jest, do cholery?! – krzyknęła Kiyemet.

–Nie wiem – odparł Merrill – ale chyba powinniśmy się stąd ruszyć!

–Centrum dowodzenia, tu brama trzy!

* * *

–Teraz.

Bill wyskoczył ze strumienia pojazdów i opadł jak jastrząb przed tylnym wejściem do budynku Samorządu Sąsiedzkiego.

Dave otworzył drzwi i Trey wpakował w każdego ze strażników po dwa pociski, a tymczasem Clovis wyturlał się z pojazdu, zanim furgonetka dotknęła podłoża, i pobiegł do drugiego wejścia. Przyłożył lufę krótkiej wielkokalibrowej strzelby do zamka drzwi i nacisnął spust. Metalowa obudowa rozbryznęła się, kiedy dwunastomilimetrowa śrucina przeszła przez nią na wylot. Potem otworzył kopnięciem drzwi i wpadł do środka.

Z pomieszczenia tuż za wejściem wypadło na korytarz trzech strażników. Czas reakcji mieli doskonały, ale nie dość doskonały; Clovis opadł na kolano i zdjął wszystkich trzech.

–Korytarz jeden czysty – zameldował.

* * *

Roger wstukał kod w ostatnią już klawiaturę i podniósł działko plazmowe. On i jego oddział byli dziewięćdziesiąt sekund do tyłu.

–Zaczyna się – mruknął, kiedy drzwi przesunęły się w tył i w górę.

Opancerzony strażnik pod centrum dowodzenia Pałacu odwrócił się zaskoczony,

kiedy solidny mur podziemnego korytarza nagle zaczął się rozsuwać. Miał jednak świetny refleks, zaczął więc unosić działko śrutowe, kiedy Roger wystrzelił. Fala plazmy oderwała mu nogi i cisnęła trupem w powietrze, a kolejny strzał księcia zabił drugiego strażnika, zanim pierwszy spadł na ziemię.

Pozostały jeszcze drzwi centrum. Były grubo opancerzone chromframem, ale Roger wiedział, jak sobie z tym poradzić. Wyłączył protokoły zabezpieczeń działka i skierował w stronę drzwi ciągły strumień plazmy. W takich sytuacjach zawsze istniało niebezpieczeństwo przegrzania komory ogniowej i wysadzenia broni w powietrze, prawdopodobnie razem z użytkownikiem, ale tym razem działko wytrzymało, a w skompresowanym metalu drzwi pojawił się otwór wielkości człowieka. Sam korytarz przypominał deszczowy dzień w amazońskiej dżungli – albo normalne mardukańskie popołudnie – kiedy włączyły się przeciwpożarowe zraszacze.

Roger rzucił bezużyteczne już działko na ziemię i pozwolił Kaaperowi pójść przodem; sam wszedł jako czwarty. Czuł się dziwnie, idąc za kimś innym, ale Catrone miał rację: Roger był jedyną osobą, której nie mogli stracić, gdyby jakiś dureń nagle postanowił grać bohatera. Ale w centrum dowodzenia nie było wariatów. Nikt z tam obecnych nie miał pancerza, a chociaż mieli pistolety śrutowe, wiedzieli, że nie ma sensu wypróbować ich na zbrojach.

–Otoczyć ich – powiedział Roger i podszedł do stanowiska dowódcy.

–Wynocha – powiedział przez zewnętrzne głośniki pancerza.

–Idź do diabła – odparł najemnik.

Roger podniósł pistolet, a potem wzruszył ramionami.

–Chętnie bym cię zabił – powiedział – ale to nie jest konieczne.

Wyciągnął rękę i chwycił dowódcę za bluzę munduru – dla zbroi Rogera ten krzepki najemnik właściwie nic nie ważył – a potem cisnął go przez całe pomieszczenie. Mężczyzna wrzasnął, uderzając w pancerną ścianę bunkra, i osunął się na ziemię. Roger nawet na niego nie spojrział; był już zajęty wstukiwaniem kodu na konsolocie stanowiska dowodzenia.

–Identyfikacja: MacClintock, Roger – powiedział. – Przejmuję kontrolę.

–Odczyt głosu nie pasuje do autoryzowanej tożsamości – odparł komputer. – MacClintock, Roger, zaginiony, prawdopodobnie martwy. Wszystkie kody dla MacClintock, Roger, dezaktywowane. Autoryzacja: MacClintock, Alexandra, Cesarzowa.

–Dobrze, ty elektroniczny durniu – warknął Roger. – Identyfikacja: MacClintock,

Miranda, kod dostępu Alpha-Jeden-Cztery-Dzie-więć-Beta-Uniform-Trzy-Siedem-Uniform-Zulu-Pięć-Sześć-Papa-Mike-Jeden-Siedem-Victor-Delta-Pięć. Nasz miecz należy do was.

Przez trzy czy cztery sekundy panowała cisza. Potem...

–Kod przyjęty – oznajmił komputer.

–Dezaktywować wszystkie automatyczne systemy obronne – rozkazał Roger. – Wyłączyć wszystkie unieważnienia mojego głosu. Tymczasowa tożsamość: MacClintock, Roger... Pierwszy Następca Tronu.

*** * ***

Automatyczne działka śrutowe na murach Pałacu otworzyły ogień. Skosiły jedną serią tuzin civan jadących tuż za Rastarem i zaczęły przesuwac ogień na boki.

Potem umilkły.

–Dzięki, mój książę – mruknął pod nosem Mardukanin. – Dzięki, że po raz drugi darowałaś moim ludziom życie.

Civan biegly długim, wyciągniętym galopem, z opuszczonymi łbami, balansując wyprostowanymi ogonami. Leżąc na karku wierzchowca, Rastar wysforował się daleko przed pozostałych. Tylko Patty udało się dotrzymać mu kroku, chociaż działka, które skosiły jego żołnierzyjateż poraniły. Była jednak bardziej rozwścieczona niż cierpiąca, i Rastar słyszał za plecami jej grzmiące porykiwania. Kiedy zbliżyli się do bramy, wyciągnął wszystkie cztery pistolety, ale już po pojedynczej serii dwaj strażnicy otworzyli bramę i wpadli do środka.

I wtedy brama znowu zaczęła się zamykać. Rastar nie mógł na to pozwolić.

–Eson! – ryknął do poganiacza siedzącego na grzbiecie Patty.

*** * ***

Patty miała za sobą bardzo ciężki miesiąc.

Najpierw jedyny jeździec, z którym się rozumiała, zniknął i zastąpił go ktoś, kto zachowywał się tak samo, ale inaczej pachniał. Potem ładowano ją na statki – coś okropnego – popychano, oprowadzano, przewożono na inne planety, rozładowywano, znów ładowano i w ogóle traktowano inaczej niż była przyzwyczajona. Przez cały ten czas karma była po prostu paskudna. Co najgorsze, nie mogła nawet rozładować swojej frustracji; ostatni raz pozwolono jej coś zabić jeszcze przed ostatnią rują.

Ale teraz dostrzegła dla siebie szansę. Biegła wprost na dwa małe cele, które zaczęły uciekać. Owszem, coś ją pokłuło, ale flar-ta były bardzo grubo opancerzone od przodu i dość potężne. Krwawiące rany na lewym barku, z których każda byłaby śmiertelna dla człowieka, nie spowolniły nawet jej biegu, a gdy idiota jadący na jej grzbiecie dźgnął ją w miękkie miejsce na karku, Patty wpadła w niepowstrzymany morderczy galop i pochyliła łeb, by staranować bramę.

Skrzydła bramy zbudowano z marmurowych płyt osadzonych na chromframowym rdzeniu. Gdyby ich zamki były zamknięte, żadne zwierzę w galaktyce nie mogłoby ich ruszyć, ale potężne plastalowe zasuwki zostały rozsunięte, by przepuścić uciekających strażników, i w tej chwili skrzydła podtrzymywał jedynie system hydrauliczny, który normalnie poruszał. System ten był dość masywny – musiał być, skoro utrzymywał ciężkie chromframowe płyty – ale nie na tyle, by wytrzymać uderzenie tego czegoś, co się do niego zbliżało.

Odgłos uderzenia zabrzmiał jak krótki wybuch. Marmurowa płyta pękła, jeden z rogów Patty złamał się... a zamykające się skrzydła bramy poleciały w tył.

Poganiacz wyleciał z siodła, a sama Patty stanęła jak wryta. Potem zakolysała się ciężko, kiedy ugięły się pod nią tylne łapy, i usiadła, potrząsając łbem i porykując cicho z bólu.

*** * ***

Rastar dopadł bramy przed pozostałymi, ściągnął wodze swojego civan i zeskoczył z siodła, zanim zwierzę się zatrzymało.

Flar-ta nie dopuściła do zamknięcia wrót, ale jej potężne cielsko blokowało dojście do samej bramy. Obok było niewiele miejsca, zaledwie dla dwóch czy trzech jeźdźców civan naraz. Nagle hydraulika ożyła i pancerne płyty znów zaczęły się zamykać. Rastar skoczył do przodu, wyciągnął sztylet i wcisnął go w szparę pod lewym skrzydłem. Płyta jeszcze przez chwilę sunęła przed siebie, żłobiąc ostrzem głęboką bruzdę w betonie dziedzińca, a potem coś zazgrzytało i skrzydło unieruchomiło.

Rastar zrobił to samo z prawym skrzydłem i szybko wyciągnął pistolety, gdyż na dziedzińcu pojawili się wybiegający z koszar Osobistego Pułku Cesarzowej ludzie w bojowych skafandrach odpornych na pociski z pistoletu śrutowego. Unieruchomione flar-ta i samotny Mardukanin od razu stali się celem ich ataku.

Wokół Rastara zaczęły gwizdać pociski, całe dziesiątki pocisków, ale gdyby pozwolił ludziom odzyskać choćby na chwilę kontrolę nad bramą, odblokowałoby skrzydła i w końcu je zamknęli, a wtedy szturm na północny dziedziniec nie powiódłby się... i Roger wraz ze swymi towarzyszami musieliby zginąć.

Ludzka polityka nie miała dla Rastara znaczenia. Dla niego liczyła się wierność, przyjaźń, lojalność i miłość oraz dług u wodza, który ocalił niedobitki jego ludu i pokonał tych, którzy zamordowali jego miasto. Dlatego nie zważając na coraz gęstszy grad pocisków wyjących wokół jego głowy i niszczących marmurowe mury Pałacu, Rastar otworzył ogień ze wszystkich czterech pistoletów. Nie marnował pocisków na strzały w korpus, które mogłyby zostać zatrzymane przez skafandry jego przeciwników, celował w słabo chronione gardła, najsłabszy punkt pancerzy.

Najemnicy zwerbowani zamiast wyrżniętego Osobistego Pułku Cesarzowej nie byli żołnierzami, dlatego z niedowierzaniem patrzyli, jak pocisk za pociskiem trafia w cel, jedyne miejsce na ich skafandrach, które było zbyt cienkie, by zatrzymać ogień z pistoletu. Nikt nie zrobiłby tego, co robił ten wielki szumowiniak.

Ludzie padali po dwóch, po trzech, ale były ich całe dziesiątki. Wreszcie Rastar poczuł, jak jego lewa łydka eksploduje, trafiona śrutem z karabinu. Inny pocisk trafił go w dolną prawą rękę – pancerz spowalniał hiperszybkie śruciny, ale nie mógł ich zatrzymać -i ręka bezwładnie opadła. Kolejna kula przebiła napierśnik z lewej strony i Rastar runął plecami na flar-ta, ale mimo to wciąż strzelał z trzech pistoletów i wciąż zabijał. Tymczasem jego bracia galopowali na civan przez Park; słyszał już ich bojowe okrzyki i odgłos trąbek. Kolejny pocisk rozerwał jego górną lewą rękę.

Z trudem unosił pozostałe dwa pistolety – były ciężkie, bardzo ciężkie – a oczy zasnuwała mu dziwna mgła. Wiedział, że już nie trafia w cele – co nigdy dotąd mu się nie zdarzało – ale w magazynkach wciąż miał pociski, więc słał je w stronę wrogów.

Następna śrucina trafiła go gdzieś w tors, potem jeszcze jedna w dolną lewą rękę. Ludzi było już coraz mniej, a i jego bracia w końcu przybyli. Jeźdźcy Therdan przedarli się przez bramę, ponosząc przy tym ciężkie straty, i zwarli się z ludźmi w walce na miecze. Skafandry bojowe mogły wytrzymać ostrzał hiperszybkimi pociskami, ale nie zimną stal w rękach Jeźdźców Północy, i najemnicy księcia Jacksona zaczęli się wycofywać w panice, gdy olbrzymi Mardukanie i wrzeszczące civan przetaczali się po nich, zbierając krwawe żniwo.

Diaspranie też już tutaj byli; wspinali się po flar-ta i szarżowali z opuszczonymi pikami, podczas gdy inni zbierali broń zabitych ludzi. Udało się, zdobyli bramę.

Rastar opuścił ostatni pistolet, kiedyś lekki jak piórko, a teraz ciężki jak głaz, i oparł się o nogę flar-ta, która tak daleko zaniósła księcia, jego przyjaciela.

I tam, na obcej ziemi, w pałacowej bramie, którą tak długo utrzymał, Rastar Komasa Ta'Norton, ostatni z książąt upadłego Therdan, wydał ostatnie tchnienie.

* * *

–Co się dzieje?

–Wygląda na to, że w Imperial City trwa walka, sir – powiedział oficer wywiadowczy admirała Prokurowa. – Nie wiem jeszcze, kto z kim walczy. Mamy opóźnienie łączności, więc...

Na konsolce komunikacyjnej admirała rozblęła ikona priorytetowej wiadomości. Prokurow wcisnął przycisk odbioru.

–Prok – powiedział generał Lawrence Gianetto pięć minut po tym, jak wiadomość została nadana z jego gabinetu na Starej Ziemi. – Roger wrócił i próbuje zdobyć Pałac. Mamy na głowie żądła i pancerze wspomagane. Wejdz na orbitę i przygotuj się do otwarcia ognia wspierającego Osobisty Pułk Cesarzowej.

–Jasne. – Admirał kiwnął ponuro głową. – Pewnie nie dostanę tego rozkazu bezpośrednio od Cesarzowej, co?

*** * ***

Larry Gianetto skrzywił się, widząc tło pulpitu w dwóch kwadrantach wyświetlacza, w których do tej pory obserwował eskadry czternastą i dwunastą. Ten drań Kjerulf całkowicie odciął go od systemu łączności Bazy Księżycowej. Generał powziął mocne postanowienie, że kompletnie przeprojektuje system, kiedy opanuje już obecną sytuację, i osobiście powiesi Kjerulfa na fortepianowej strunie.

Mimo wściekłości doskonale wiedział, że tak naprawdę to nie jest wina systemu. Jego biuro znajdowało się w Centrum Obrony Ziemi, sercu administracyjnym imperialnych sił zbrojnych, ale centrum operacyjnym Układu Słonecznego była Baza Księżycowa. Przez ten stały, centralnie umiejscowiony okręt flagowy Wielkiej Floty przechodziły wszystkie platformy rozpoznania, wszystkie układy czujników i obwód dowodzenia. Baza była najgroźniejszą, najpotężniejszą fortecą, jaką ludzie kiedykolwiek zbudowali. Odebranie jej Kjerulfowi, nawet po odparciu ataku na Pałac, będzie cholernie trudne, chyba że Gianetto ma w garnizonie więcej lojalistów niż mu się zdawało.

W tej chwili jednak wszystko wskazywało na to, że Kjerulf oślepił go jednym ciosem. To on odbierał teraz dane ze wszystkich czujników w całym układzie; Gianetto i jego lojalni dowódcy eskadr wiedzieli tylko to, co przekazywały im ich własne sensory. Oznaczało to również, że Gianetto musi kontaktować się indywidualnie ze wszystkimi dowódcami eskadr na oddzielnych kanałach, a wcale nie było pewności, że mimo oprogramowania szyfrującego nie są one na nasłuchu Bazy.

Zabębnił nerwowo palcami w biurko. Potwierdzenie przyjęcia rozkazów przez Prokurowa i Gajelisa szło do niego pięć minut, a opóźnienie łączności z innymi eskadrami było co najmniej czterokrotnie dłuższe. Skrzywił się, przyznając słusność Greenbergowi, który kiedyś wypomniał mu problemy z łącznością. Gianetto

zignorował wtedy tę uwagę; ostatecznie wiedział o tym przez całą swoją zawodową karierę, ale okazało się, że to, co wiedziało wynikających z tego komplikacjach dla operacji marynarki, a to, co rozumiał, to były dwie różne rzeczy. Był marinę i kwestie koordynacji zawsze zostawiał sztabowcom z marynarki. Jego własne taktyczne obiegi łącznościowe były o wiele krótsze – opóźnienia mierzono w sekundach – i nie zdawał sobie sprawy ani nie był emocjonalnie przygotowany na to, że będzie siedział i czekał, aż wiadomości dotrą do celu i wrócą z iście lodowcową prędkością.

Spojrzał gniewnie na inne hologramy w jego doskonale wyposażonym gabinecie i prychnął. Prędkość komunikatów świetlnych nie była jedyną rzeczą, która nadwerężała jego pewność siebie. Brak kogoś, kto wiedziałby, co się w ogóle, do cholery, dzieje, miał podobny skutek. Mimo całego nowoczesnego sprzętu, który miał do dyspozycji, Gianetto wciąż nie miał pojęcia, co się dzieje w Pałacu. Wiedział tylko, że jest niedobrze.

Bardzo niedobrze.

* * *

–Karabiny plazmowe! – warknął Trey, uciekając z korytarza, w którym wybuchający ładunek plazmy przypiekł ścianę. – Nikt nie mówił, że oni mają broń plazmową!

–Plazma o poranku mnie raduje! – zaśpiewał Dave wysokim tenorem. – Plazma w oczach przyprawia mnie o łzyyy!

–Bill – powiedział Catrone.

–Dopiero teraz się pojawiły – odparł technik przez komunikator jego hełmu. – Siedem odczytów. Musieli je chować gdzieś w piwnicy. Trzy się zbliżają. Dwa są w kwadrancie Alfa, idą w prawo.

–W takim razie mają schody – powiedział Catrone. Dotarli na piętro, gdzie zostali przygwożdżeni i otoczeni przez przeważającą siłę ognia.

–Zostało mi tylko dwadzieścia pocisków – oznajmił Clovis, ładując kolejny magazynek. – Zaczynam rozumieć, co twój przyjaciel miał na myśli, mówiąc o żołnierzach. To jest jedyny powód, dla którego jeszcze nie zabiłem Dave'a!

–Tak, potrzebna nam jest konkretna siła ognia – przytaknął Catrone. – Ale...

–Tomcat – powiedział Bill. – Trzymajcie się, pomoc jest już w drodze.

* * *

–Wiedziałaś, że mają broń plazmową? – spytała Despreaux, śląc kolejną serię na

lewo od drzwi.

–Nie – odparła Pedi, celując w nogę, która pojawiła się po prawej. Znowu chybiła. –
A ty?

–Nie.

–Nie miałaś nam jak powiedzieć. – Pedi postanowiła po prostu siać serią i mieć nadzieję, że w coś trafi. Większość pocisków trafiła w ścianę, i jak się okazało, była to pancerna plasta. – Więc jeśli wiedziałaś, możesz się przyznać. Tylko mnie, tak między nami.

–Nie wiedziałam – odparła ze złością Despreaux. – W porządku?

–Dobrze już, dobrze – powiedziała pojednawczo Pedi. – Powiedz jeszcze raz, jak to się przeładowuje.

–Słuchaj, po prostu... nie wychylaj się i zostaw strzelanie mnie, dobrze?

–Dobrze. – Mardukanka wydęła wargi. – Szkoda, że nie mam swoich mieczy.

–Szkoda, że ja nie mam swojego Rogera.

* * *

–Słuchaj, Erkum – powiedział łagodnie Krindi, zerkając na broń, którą niósł jego przyjaciel. – Zostaw strzelanie mnie, dobrze? Ty po prostu pilnuj moich pleców.

Spojrzał po raz ostatni na olbrzymiego podoficera; cichy, uparty głos gdzieś z tyłu głowy wciąż go pytał, czy to aby na pewno był dobry pomysł. Erkum był jedyną osobą, nawet wśród Mardukan, która potrafiła unieść lekkie działo czołgowe dostarczone przez Alphan – razem z power packiem – bez pomocy pancerza wspomaganego. Sam widok czegoś takiego powinien wystarczyć, żeby oprychy Siminowa poddały się bez walki. Oczywiście miało to także złe strony.

–Pilnuj moich pleców – powtórzył stanowczo.

–Dobrze, Krindi – powiedział Erkum, a potem otworzył kopniakiem drzwi Samorządu i wszedł do środka, trzymając działo nieco poniżej wysokości ramienia. To nagłe wtargnięcie spowodowało, że grupa ochroniarzy na drugim końcu korytarza odwróciła się i zamarła, kiedy dotarło do nich, co widzą. I wtedy Erkum nacisnął spust.

Ładunek nawet nie poleciał w stronę ludzi. Rozorał całą lewą ścianę korytarza, a potem trafił w dźwigar konstrukcji i eksplodował kulą plazmy.

Erkum znów nacisnął spust i dwa kolejne ładunki, które opuściły z wyciem lufę działka, wywaliły trzydziestometrową dziurę w suficie i prawej ścianie. Budynek natychmiast stanął w ogniu, ale te dwa strzały przynajmniej wyeliminowały większość ochroniarzy, do których Mardukanin celował.

–Na przekłętą wodę, Erkum! – Krindi opadł na kolano i wykończył ostatniego z nich dwoma strzałami z karabinu. – Mówiłem, żebyś nie strzelał!

–Przepraszam, dopiero się do tego przyzwyczajam. Teraz będzie już lepiej.

–Nawet nie próbuj! – ryknął Krindi.

–Ooo, tam jest jeden! – Ochroniarz wyhamował w miejscu i patrzył na nich poprzez płomień wydobywające się z kilku wypatroszonych pomieszczeń po prawej stronie zdemolowanego korytarza. Potem podniósł broń, ale rozmyślił się i próbował uciec.

Erkum wycelował... i ładunek – idąc mniej więcej śladem zniszczeń na lewo od ich pozycji – trafił w piec w kuchni i wywalił dziurę w tylnej ścianie budynku, z której natychmiast buchnęły płomienie. Jeśli uciekający ochroniarz w ogóle zauważył ten strzał, nie dał tego po sobie poznać.

Erkum spróbował jeszcze raz... i zrobił kolejną dziurę w suficie. Następne naciśnięcie spustu nic już nie dało, bo wewnętrzne protokoły broni zablokowały ją na czas potrzebny do ostygnięcia.

–Skończyły mi się naboje – powiedział smutno. – Jak się to przeładowuje?

–Po prostu... używaj tego jako maczugi – poradził mu Krindi, biegnąc na drugi koniec korytarza. Mimo diabelskiego klimatu tej planety był przekonany, że nie będzie już potrzebował swojego skafandra. W budynku robiło się gorąco jak w piekle.

*** * ***

–Co to było, do cholery?! – krzyknął Clovis.

–Nie wiem – odparł Trey, sprawdzając prawą stronę – ale coś się tutaj pali!

Wystrzelił raz i drugi.

–Czysto.

–Roztapiam się! – krzyknął Dave łamiącym się falsetem. – Roztaaapiam sięęę! – powtórzył, zdejmując dwóch ochroniarzy, którzy wypadli biegiem zza rogu.

–Na górę – rozkazał Catrone. – Cokolwiek to było, mamy chwilę czasu, więc ją

wykorzystajmy.

Klepnął Dave'a w ramię i wskazał w prawo.

–Tato, nie dotykaj mnie, proszę – powiedział Dave głosem małego dziecka i popędził korytarzem. Rzucił się na podłogę i leżąc na brzuchu, wyrżał zza rogu. Wystrzelił trzykrotnie i pomachał ręką.

–Czysto – oznajmił beznamiętnym tonem.

* * *

–Gabinet premiera – powiedziała z roztargnieniem kobieta, nie patrząc nawet na ekran. Zza jej pleców dobiegały strzepy innych gorączkowych rozmów, dowodzące, że nikt w zatłoczonym centrum łącznościowym nie ma pojęcia, co się dzieje.

Eleanora przeklęła fakt, że jedynym aktualnym numerem, jaki posiadała, była standardowa linia publiczna.

–Muszę porozmawiać z premierem – powiedziała z naciskiem.

–Przykro mi, proszę pani – odparła recepcjonistka – ale premier jest zajęty, a my wszyscy mamy tutaj małe urwanie głowy. Proszę zadzwonić kiedy indziej.

Sięgnęła do przycisku rozłączania.

–Nazywam się Eleanora O'Casey – powiedziała ostro Eleonora – i jestem szefową świty księcia Rogera Ramiusa MacClintocka. Czy to pani coś mówi?

Kobieta w końcu spojrzała na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, a potem wzruszyła ramionami.

–Proszę to udowodnić – odparła równie ostrym tonem. – Dzwonią tutaj różni dowcipnisie, a ja widziałam zdjęcia panny O'Casey i pani w ogóle nie jest do niej podobna.

–Czy jest pani świadoma, że w mieście trwa bitwa?

–A kto nie jest?

–Cóż, jeśli premier Yang chce wiedzieć, co się tutaj dzieje, niech mnie pani lepiej z nim połączy.

* * *

–Niech to szlag! – warknął Adoula, patrząc na ekran komunikatora. – Szlag! To

naprawdę ten mały drań Roger, prawda?

–Na to wygląda – odparł Gianetto. – Nie złapaliśmy nikogo, kto by z nim rozmawiał, ale panuje powszechne przekonanie, że wrócił, i to bardziej jako syn swojej matki niż ojca, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. To mogą być prawdziwe pogłoski. Gdybym nie wiedział, gdzie jest Alexandra i w jakim jest stanie, powiedziałbym, że cały ten plan nosi znamiona jej udziału, zwłaszcza zabójstwo Greenberga. Gdyby nie to... – Wzruszył ramionami. – Zmierzam do tego, że jest bardzo duża szansa, iż opanują Pałac. Już zniszczyli pana biuro w centrum. Byłbym zaskoczony, gdyby nie przygotowali się do zniszczenia innych prawdopodobnych miejsc pana pobytu.

–Rozumiem. Zna pan plan.

Wyłączył komunikator i przez chwilę siedział bez ruchu, rozglądając się po swoim domu. Był to przyjemny dom i bolało go, że będzie musiał go na zawsze porzucić. Ale czasem trzeba coś poświęcić, a poza tym zawsze będzie mógł wybudować sobie następny.

Wstał i podszedł do drzwi gabinetu.

–Tak, proszę pana? – spytała jego asystentka, podnosząc na niego wzrok. – Ma pan dużo wiadomości, niektóre z nich dość pilne, i myślę...

–Tak, jestem pewien – przerwał jej Adoula, marszcząc w zamyśleniu brwi. – To bardzo niepokojące, bardzo niepokojące. Wyjdę na chwilę przewietrzyć się i zebrać myśli, a kiedy wrócę, zajmiemy się tymi wiadomościami.

–Tak, proszę pana – odparła kobieta, uśmiechając się z wyraźną ulgą.

Jest dość atrakcyjna, pomyślał książę, ale za dziesiątaka można mieć tuzin takich atrakcyjnych asystentek.

Wyszedł do ogrodu i szybko udał się na tyły domu, gdzie czekał już prom.

–Pora odwiedzić Hannah, Duauf – powiedział do swojego szofera/pilota po wejściu na pokład.

Potem usiadł w wygodnym fotelu i wcisnął przycisk na poręczy. Spory ładunek kataklizmitu umieszczony pod fundamentami jego posiadłości zdetonował w oślepiająco białej kuli ognia. Cały budynek po prostu wyparował, a wraz z nim wszystkie obciążające księcia dowody, cała domowa dokumentacja i służba.

Tragedia, pomyślał książę, ale to konieczne, i nie tylko po to, by zatrzeć za sobą ślady.

Admirał Prokurow czekał dziesięć minut na odpowiedź Gianetta. Przez ten czas wydawał swojej eskadrze rozkazy przygotowania się do wyruszenia. Kiedy nadeszła odpowiedź generała, była mniej więcej taka, jak się spodziewał.

–Dostałeś ten zaszary rozkaz ode mnie. – Czekaając na wiadomość, Gianetto też wydawał rozkazy, ale kiedy tylko usłyszał admirała, natychmiast odwrócił się do monitora.– Ale jeśli ci się wydaje, że sobie nie poradzisz, znajdę kogoś, kto da radę! Nie mamy czasu na pierdoły, Prok!

–To ponad cztery godziny od naszej obecnej pozycji. – Prokurow wzruszył ramionami. – Wystartujemy...

Admirał przerwał i wytrzeszczył oczy, kiedy drzwi do jego gabinetu rozsunęły się i wszedł sierżant marines z pistoletem w dłoni.

Mężczyzna podszedł, spojrzął na monitor i uśmiechnął się.

–Generał Gianetto – powiedział uprzejmie. – Co za miła niespodzianka! Być może zasmuci pana ta wiadomość, ale dwunasta eskadra nigdzie się nie rusza, ty zdradziecki sukinsynu!

Wyłączył komunikator, zanim generał usłyszał te słowa i mógł coś odpowiedzieć, a potem odwrócił się do Prokurowa.

–Dziękuję, sierżancie – powiedział admirał i wskazał na jego broń – ale to nie będzie konieczne.

–Tak? – spytał marinę i obejrzał się przez ramię. W drzwiach stał oficer wywiadu; reszta kontyngentu marines flagowca wykonywała swoje obowiązki na mostku i w maszynowni.

–Tak – odparł Prokurow. – Wie pan, co się dzieje, sierżancie?

–Nie, sir. – Marinę zaczął opuszczać broń, lecz zawahał się, patrząc podejrzliwie na admirała. – Wiem tylko, że mamy nie dopuścić, aby Wielka Flota ruszyła na pomoc Pałacowi, a zwłaszcza generałowi Gianetcie.

–A kto wami dowodzi? – spytał oficer wywiadu, marszcząc czoło.

–Nie wiem, sir. Mówi się, że książę wrócił i próbuje uratować swoją matkę. Wiem, że to gnojek, ale do cholery z tym, sir!

–Tak, sierżancie – powiedział admirał Prokurow. – W rzeczy samej, do cholery z

tym. Proszę opuścić broń, jesteśmy po waszej stronie. – Spojrzał na oficera i uniósł brew. – To znaczy ja jestem po waszej stronie. A ty, Tuzcu?

–Bardzo chciałbym wiedzieć, zanim się zdeklaruję, czy to, co się dzieje, ma jakąś szansą powodzenia, na litość boską!

–Sir- sierżant opuścił pistolet – cały kontyngent marines jest po stronie księcia, to znaczy Cesarzowej. Sierżant Brailowsky...

–A więc za to go aresztowali – powiedział Prokurow.

–Tak, sir. – Sierżant wzruszył ramionami i schował pistolet. – Mówił pan poważnie, że chce pan nam pomóc, sir? – spytał, na wszelki wypadek trzymając dłoń w pobliżu kolby.

–Przyznam, że nie bardzo wiem, w czym pomagam, sierżancie – odparł ostrożnie admirał. – W tej chwili mamy do czynienia z jednym wielkim burdelem i bardzo bym chciał, żeby coś się wreszcie wyjaśniło. Tak się natomiast składa, że skontaktowałem się już z Bazą Księżycową, żeby się przekonać, co oni mają do powiedzenia.

–Domyślam się reakcji Greenberga – warknął marinę.

–Zakładając, że Greenberg jeszcze dowodzi, w co wątpię, skoro rozkaz wyruszenia przyszedł bezpośrednio od Gianetta, a nie od dowódcy floty. Może Greenberg był po prostu zbyt zajęty czymś innym, żeby dać nam znać, ale sądzę, że do tej pory już go spotkało coś złego. A jeśli nie, może mnie pan zastrzelić, bo jeżeli ich planowanie, kimkolwiek są ci „oni”, jest aż tak kiepskie...

*** * ***

Połączenie z admirałem Prokurowem.

–Na mój ekran – powiedział Kjerulf i spojrzał na admirała, który pojawił się na jego głównym wyświetlaczu.

–Proszę mnie połączyć z admirałem Greenbergiem – powiedział Prokurow. – Muszę dostać potwierdzenie rozkazów otrzymanych z gabinetu ministra marynarki.

–Mówi Kjerulf – odparł kapitan. – Przykro mi, panie admirale, ale admirał Greenberg jest w tej chwili nieosiągalny.

Prokurow miał wyłączony odbiór i rozmawiał z kimś spoza ekranu, przeczekując opóźnienie transmisji. Nie wydawał się zdenerwowany, ale z drugiej strony rzadko taki bywał, więc Kjerulf wyłączył własny odbiór, widząc miganie na repeaterze.

–Czternasta eskadra się rusza – zameldował sensor trzy. – Duża sygnatura fazowa. Zmierzają poza układ z przyspieszeniem jeden przecinek sześć cztery km/h kwadrat.

–Zrozumiałem – powiedział Kjerulf i znowu spojrzął na ekran Prokurowa. Spodziewał się, że czternasta eskadra ruszy, kiedy tylko dostanie wiadomość, ale tak, jak się obawiał, to dwunasta eskadra Prokurowa stała się teraz jęczyciem u wagi, gdy Greenberg zmienił kody dezaktywujące wyrzutnie rakiet Bazy.

Było to jedno z wielu rozsądnych zabezpieczeń, które w obecnym chaosie okazały się jednak kamieniem u szyi. Nowoczesne rakiety miały zasięg dobrze ponad dwunastu milionów kilometrów i osiągały prędkość bliską dziesięciu procentom prędkości światła. Kilka tuzinów takich rakiet, nawet bez głowic, wystrzelonych w Starą Ziemię – czy przypadkiem, czy przez jakiegoś wariata – zmusiłoby ludzkość do poszukania sobie nowego domu, dlatego rozsądek nakazywał dopilnować, by ich użycie nie było zbyt proste. Niestety, w ten sposób Greenberg zadbał również o to, by nikt nie mógł ich odpalić w żaden inny cel – na przykład zdradzieckie okręty imperialnej marynarki, popierające uzurpatora Jacksona Adoulę – bez hasła, które znał tylko on sam. A on sam nie był już w stanie nikomu zdradzić hasła.

Na szczęście nie zrobił tego samego z wyrzutniami przeciwrakietowymi, dlatego Baza mogła przynajmniej bronić się przed ostrzałem. Nie była jednak w stanie trafić żadnego celu poza ograniczonym zasięgiem swojej broni energetycznej, co oznaczało, że cztery nosiciele eskadry „Utuczone Cielę” były zdane na własne siły. Perspektywa starcia z sześcioma nosicielami czternastej eskadry była niewesoła; gdyby do tego doszły jeszcze cztery samoloty dwunastej, byłoby całkiem ponuro.

Na razie pozostałe eskadry wciąż były za daleko na obrzeżach układu, by interweniować. Miały też większe opóźnienia łączności. Szósta eskadra Wu znajdowała się po drugiej stronie Słońca, ponad czterdzieści minut świetlnych od orbity Starej Ziemi. Trzynasta, jedenasta i piętnasta były bliżej, ale czas potrzebny na przesłanie do nich wiadomości i otrzymanie odpowiedzi wciąż wynosił ponad czterdzieści trzy minuty. Ich czujniki oczywiście miały takie samo opóźnienie, dlatego dowódcy nie wiedzieli jeszcze, co się dzieje na planecie, i nie mogli podjąć decyzji. A kiedy to zrobią, Kjerulf dowie się o tym dopiero wtedy, kiedy zameldują mu o tym jego własne czujniki.

Zamknął oczy, przez chwilę intensywnie się zastanawiając, a potem je otworzył i popatrzył na najstarszego stopniem łącznościowca.

–Czy mamy jeszcze połączenie z cywilną siecią na planecie?

–Tak, sir.

–Proszę więc znaleźć numer w Imperial City. Marduk... coś tam, może House. W

każdym razie to restauracja. Powiedzcie im, skąd dzwonicie, i poproście kogoś, kto ma pojęcie, co się dzieje! Poproście... poproście pannę Nejad.

–Tak jest, sir – odparł podoficer, zwalczając chęć wybuchnięcia histerycznym śmiechem.

* * *

–Marduk House – powiedział Mardukanin łamanym imperialnym.

–Muszę porozmawiać z panną Nejad – powiedział z naciskiem Kjerulf.

–Kjerulf- odezwał się z drugiego monitora Prokurow, odpowiadając w końcu na jego ostatnią transmisję. – Chciałbym usłyszeć jasną odpowiedź. Gdzie jest Greenberg i co pan wie o walkach na powierzchni?

–Być zajęta – powiedział Mardukanin. – Ona nie rozmawiać.

–Sir – zgłosił się łącznościowiec – dwunasta eskadra uruchomiła napęd fazowy. Zmierza w głąb układu z przyspieszeniem jeden-sześć-cztery.

Kjerulf zacisnął zęby i spojrzał ze złością na Mardukanina.

–Powiedz jej, że mówi kapitan Kjerulf- warknął. – Będzie chciała ze mną rozmawiać. Powiedz!

–Powiem – odparł Mardukanin i odszedł od aparatu, a Kjerulf odwrócił się do monitora z Prokurowem.

–Greenberg nie żyje. – Powiedział to ostrzej niż zamierzał, ale był nieco zestresowany. – A co do reszty, panie admirale, jeśli chce pan poprzeć Adoulę, niech pan próbuje!

* * *

–Panie premierze, proszę mnie zrozumieć. Roger nie jest już chłopcem, którego pan znał – powiedziała stanowczo Eleanora, starając się z całych sił trzymać nerwy na wodzy. Czekwała na połączenie z tym nadętym, samolubnym dupkiem prawie piętnaście minut, a teraz on przez następne pięć wykręca się od zajęcia jakiegokolwiek stanowiska. – Co ważniejsze, musi pan wiedzieć, co się działo w Pałacu.

–Wiedzieć i podejrzewać to dwie różne rzeczy, panno O'Casey – odparł Yang ze swoim arystokratycznym staroziemskim akcentem. – Spotkałem się kilka razy z Cesarzową od chwili przewrotu Rogera...

–To nie był Roger – przerwała mu Eleanora. – Byłam z nim wtedy na Marduku.

–To pani tak twierdzi, ale mimo wszystko dowody...

–Kiedy tylko zajmiemy Pałac, będę prosiła o zespół niezależnych ekspertów do oceny stanu zdrowia Jej Wysokości...

–Jakiś Kjerulf na drugiej linii – powiedział jeden z diasprańskich piechurów. Przenieśli się do biura w starym centrum handlowym, daleko od magazynu, który był spalony od chwili startu żądał. Wszystkie połączenia z magazynem i restauracją przekierowywano tajnymi łączami do biura. – Mówi, że chce rozmawiać z panną Nejad. To pani, prawda?

–Tak. – Eleanora podniosła rękę. – To wszystko, o co proszę – powiedziała do premiera.

–Wyrażenie zgody równałoby się poparciu was – odparł Yang. – Poczekamy, zobaczymy. Nie przepadam za księciem i nie chciałbym, żeby był moim Cesarzem. Nie widziałem też żadnych danych potwierdzających, że przebywał na Marduku.

–Niech mi pan da swój prywatny numer kontaktowy, to prześlę panu plik i prezentację. Chciałabym dodać, że naszymi niezależnymi współpracownikami są Harvard Mansul z MA oraz agent IBI. Dokumentacja jest bardzo bogata. Poza tym pan wie, że Cesarzowa jest pod kontrolą. Za długo ją pan zna, żeby uważać, iż zachowuje się normalnie.

–Jak już mówiłem, panno O'Casey, nie mogę jako premier...

*** * ***

–Roger, tu Marinau. Odbiera pan?

–Tak. – Roger biegł korytarzem, ciężko dysząc. Automatyczne systemy przeszły na sterowanie miejscowe; książkę wystrzelił do działka plazmowego, które wyskoczyło ze ściany, i działko – wraz z co najmniej sześcioma metrami sześciennymi pałacowej ściany – zniknęło, zanim zdążyło namierzyć jego grupę. Z góry lunęła prosto pod stopy pędzącego oddziału kolejna ściana wody.

–Mamy dziedziniec, ale promy się spóźniają- powiedział Marinau; w tle słychać było ciężki ostrzał.

–Otworzyłem wam drzwi – warknął Roger. – Czego jeszcze chcecie?

Przystanął i klęknął, aby kryć pozostałych, kiedy dotarli do następnego skrzyżowania korytarzy i oddział go wyminął. Z jednego z bocznych tuneli wystrzelił

ładunek plazmy, przecinając na pół przebiegającego tamtędy Mardukanina.

–Może pan kogoś podesłać? – spytał Marinau. – Masakrują nas!

–Nie – odparł Roger zimnym jak lód głosem, wyobrażając sobie piekło, przez jakie przechodzą nie opancerzeni Mardukanie. Walczył u ich boku na dwóch kontynentach, krwawił razem z nimi i wspólnie stawiali czoła śmierci, ale w tej chwili oni mieli swoje zadanie, a on swoje. – Skontaktujcie się z Rosenbergiem i dowiedzcie się, skąd to opóźnienie. Kontynuować misję. Bez odbioru.

Skrzyżowanie korytarzy zostało zdobyte za cenę jeszcze jednego opancerzonego Mardukanina i jednego marinę. Zostało ich już tylko piętnastu, a jeszcze nie dotarli nawet do połowy drogi do komnat matki.

Robiło się nieciekawie.

*** * ***

Catrone złapał się biurka, kiedy budynkiem wstrząsnęła kolejna tytaniczna eksplozja.

–Co to jest, do cholery? – spytał, kiedy opancerzone pomieszczenie zadrżało i przechyliło się na prawo.

–Chyba wiem – odparła sztywno Despreaux. Odsiecz dotarła do gabinetu Siminowa, ale znów ich tam przygwoździli ochroniarze ukryci po obu stronach korytarza.

–Ja też. I zabiję Krindiego za to, że dopuścił Erkuma do działka plazmowego – dodała Pedi, gładząc nerwowo rogi.

–Nie ma stąd wyjścia, szefie – powiedział Clovis, uchylając się przed rykoszetami od drzwi.

Trey był właśnie opatrywany za biurkiem, gdyż dostał śrutem w udo. Paskudne trafienie zmiądzżyło kość i przecięło arterię udową, ale Dave podłączył już kroplówkę i założył opaskę

uciskową.

*** * ***

–Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał Krindi, przekrzykując huk trzaskających płomieni. Na szczęście ich skafandry były ognioodporne – opuścili zasłony na twarze i uruchomili filtry – ale w powietrzu zaczynało już brakować tlenu i nawet w skafandrach było im cholernie gorąco.

–Na pierwszym piętrze? – odparł niepewnie Erkum. Wymachiwał działkiem na boki, zachwycony, że znów działa, i wypatrywał celów.

–Na drugim, na drugim – mruknął Krindi, patrząc w górę. – Erkum, posłuchaj mnie bardzo uważnie...

*** * ***

Kiedy rozległa się kolejna eksplozja i cały pokój uniósł się w górę i opadł, przechylając się na bok, Catrone złapał Despreaux.

Dave przykrył sobą Treya, próbując wbić palce w wykładzinę.

Pedi zaś przetoczyła się na brzuch, chwyciła zębami wykładzinę i szeroko rozrzuciła wszystkie cztery ręce. Dolną prawą ręką udało jej się złapać Catrone'a, górną lewą Dave'a i Treya, a Clovisa, kiedy zjeżdżał obok niej, górną prawą.

–Dobrze – mruknęła przez mocno zaciśnięte zęby. – So teuaz?

Podłoga, na której leżeli, robiła się coraz cieplejsza.

–„Slip sliding away” – zaśpiewał Dave wysokim tenorem, trzymając jedną ręką nieprzytomnego Treya, a drugą ściskając wykładzinę. – „Slip sliding away, hey!”.

–Nienawidzę muzyki klasycznej – powiedział Clovis, wyciągając nóż, i bardzo wolno uniósł go w stronę Dave'a.

Potem wbił nóż w wykładzinę, aby zrobić z niego tymczasowy uchwyt.

–Naprawdę, nienawidzę...

*** * ***

Honal odbił w lewo, niemal zahaczając ogonem żądła o budynek, potem skoczył w prawo i prosto, znów w lewo, i ostro przewrócił samolot na plecy. Kiedy zza rogu wyleciał myśliwiec Osobistego Pułku Cesarzowej, poczęstował go serią z przednich działek plazmowych, po czym przekręcił się z powrotem na brzuch.

–Droga wolna – powiedział. – Wysyłać promy!

–Gdzie jest Alpha Sześć? – spytał kontroler operacji powietrznych.

–Alpha Sześć nie dołączy do nas – odpowiedział Honal, przelatując nad szczątkami żądła wbitego w ścianę budynku; widać było tylko ogon z oznaczeniami dowódcy eskadry. – Wysyłać promy.

Pora dołączyć do Rastara, pomyślał. Pewnie ma ubaw po pachy pod tą bramą.

–Na szczęście marynarka wciąż się jeszcze nie włączyła – powiedział kontroler. – Wysyłam promy.

*** * ***

–Obywatele Imperium!

Twarz księcia Jacksona Adouli pojawiła się na wszystkich info-terminalach w Imperial City. Miał zatroskaną, a zarazem zdeterminowaną minę; za jego plecami krzżeli się mężczyźni i kobiety w mundurach. W tle widać było dym unoszący się nad charakterystyczną sylwetką Pałacu.

–Obywatele Imperium, mam bolesny obowiązek potwierdzić krążące po sieci wstępne meldunki. Zdrajca, Roger MacClintock, faktycznie wrócił, by jeszcze raz spróbować objąć Tron. Najpierw zamordował własnego brata, siostry, bratanków i siostrzenice, teraz usiłuje zdobyć Pałac i zawładnąć samą Cesarzową. Nalegam, byście powstrzymali się od paniki. Dzielni żołnierze Osobistego Pułku Cesarzowej walczą jak lwy, by ją obronić. Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób zdrajcom udało się przeniknąć do Pałacu, ale obawiam się, że część marynarki została nakłoniona podstępem do poparcia tego zdrazieckiego gwałtu. Wszyscy ministrowie i wszyscy członkowie parlamentu są przewożeni w bezpieczne miejsca, ponieważ stało się jasne, że tym razem celem zdrajców jest nie tylko sam Pałac. Moje własne biuro w Imperial Tower zostało zniszczone pociskiem kierowanym już w pierwszych chwilach ataku, a mój dom wraz z moimi podwładnymi, którzy, jak wiecie, byli ze mną od lat, został wysadzony w powietrze kilka minut po rozpoczęciu szturm na Pałac.

Jego twarz wykrzywiło cierpienie; księżę zapanował jednak nad sobą i spojrzał prosto w ekran.

–Przysięgam wam, że ten akt zdrady wobec nie tylko Imperium i Cesarzowej, ale i samej rodziny Rogera MacClintocka nie powiedzie się ani nie zostanie puszczony płazem. Jeszcze raz namawiam wszystkich lojalnych obywateli do zachowania spokoju, oglądania programów informacyjnych i pozostawania w gotowości do wypełnienia poleceń policji i wojska.

Jeszcze przez chwilę patrzył ze stanowczym wyrazem twarzy z niezliczonych tysięcy ekranów w całym Imperial City, a potem obraz rozmył się i zastąpiło go standardowe tło departamentu marynarki.

*** * ***

–Niech się pan uspokoi, Kjer – powiedział Prokurow dziesięć minut po otrzymaniu odpowiedzi Kjerulfa. – Prawdopodobnie jestem po waszej stronie. Wyeliminowanie

Greenberga było koniecznością, choć być może zbyt drastyczną. Chcę wiedzieć, co pan wie, co pan podejrzewa i co się dzieje.

**–Panna Nejad jeszcze zajęta – powiedział Mardukanin, pojawiając się na monitorze.
– Będzie długo zajęta.**

–Powiedz jej, że to pilne! – warknął Kjerulf. – W porządku, panie admirale. Proszę pana tylko o to, żeby się pan do tego nie mieszał. Moim największym zmartwieniem jest czternasta eskadra. Wyłączyliśmy skrzydło myśliwców Bazy, zresztą okazało się, że piloci też nie przepadali za Gianettem. Na orbicie jest teraz mała eskadra lojalnych okrętów. Potrzebujemy tylko, żeby pozostałe eskadry nie mieszały się do tego.

Wyłączył mikrofon i spojrzał na sekcję taktyczną.

–Jeszcze jakieś poruszenia?

–Nie, sir – odparł sensor pięć – ale łączność właśnie przechwyciła transmisję klirem z kwatery głównej obrony do wszystkich eskadr w układzie. Generał Gianetto ogłosił stan wyjątkowy i poinformował, że Baza Księżycowa się zbuntowała. Rozkazał jak najszybszą koncentrację na orbicie Starej Ziemi.

–Cholera – mruknął Kjerulf i włączył mikrofon. – Admirale Prokurow, cofam ostatnie słowa. Możemy potrzebować czynnego wsparcia.

–Kapitanie Kjerulf. – Eleanora O'Casey pojawiła się na innym monitorze. – Co się dzieje?

*** * ***

Drzwi wyglądały na dębowe. I takie w rzeczywistości były – chromstenowy rdzeń pokrywała warstwa dębu centymetrowej grubości. Większość drzwi bankowych sejfów była w porównaniu z nimi cienka jak papier. To była ostatnia przeszkoda w dotarciu do matki Rogera i, niestety, kontrolowana przez systemy wewnętrzne.

Roger uniósł działko plazmowe – trzecie, odkąd zaczął się szturm – i wycelował w drzwi.

–Moja kolej, Wasza Wysokość -powiedział jeden z Mardukan i ostrożnie, ale stanowczo odsunął księcia od drzwi.

Zostało ich zaledwie dziesięciu, wliczając w to jego samego, ale mieli do pokonania jeszcze tylko dwa korytarze, a jeśli informacje z komputerów centrum dowodzenia były prawdziwe, nie powinni już napotkać żadnych opancerzonych strażników ani automatycznych systemów obronnych.

Mardukanin wstukał uważnie kod wyłączający zabezpieczenia, a potem posłał w stronę drzwi strumień plazmy z czołowego działka. Drzwi miały jednak chronić Cesarzową Ludzkości, dlatego wytrzymały ostrzał. Wygięły się do środka, ale przetrwały siedem kolejnych strzałów.

Przy ósmym strzale przegrzana komora działka zdetonowała.

Roger poczuł, że coś go unosi w powietrze i ciska o ścianę korytarza. Zatrzymał się dwa pomieszczenia dalej, w pokoju, który rozpoznał jako komnatę służby.

–Nie śpiam z podwładnymi – mruknął niewyraźnie, wygrzebując się spod stosu tapiserii i resztek starożytnej statui.

–Wasza Wysokość? – spytał ktoś.

Roger próbował włożyć palec do ucha – w obu uszach mocno mu dzwoniło – ale hełm pancerza na to nie pozwalał, więc pokręcił tylko głową.

–Nie śpiam z podwładnymi – powtórzył, a potem uświadomił sobie, że pomieszczenie się pali. Przeciążony system zraszaczy zlewał pokój wodą, ale wybuchy plazmy zazwyczaj powodowały bardzo gorące pożary. Ogień huczał, a kłęby pary potęgowały wrażenie zstąpienia do piekieł.

–Co ja tu robię? – spytał księżę, rozglądając się i cofając przed płomieniami. – Dlaczego tutaj się pali?

–Wasza Wysokość! – powtórzył głos, a potem ktoś złapał Rogera za łokieć.

–Pieszczura – powiedział nagle księżę i skoczył z powrotem w płomienie. – Pieszczura! – krzyknął, używając zewnętrznych głośników pancerza.

Poparzona jaszczura wypełzła spod materaca dwa pomieszczenia dalej. Sądząc po stosunkowo niewielkich ranach, prawdopodobnie uciekła i schowała się przed wybuchem.

–Ilu? – spytał Roger, znów potrząsając głową i patrząc na człowieka, który do niego wołał. To była sierżant Penalosa, zastępczyni Raoux. – Gdzie Raoux?

–Mocno oberwała. Zostało pięcioro, sir.

–Oprócz mnie i pani? – Roger wyświetlił listę ofiar. – Nie, razem ze mną i z panią – odpowiedział sam sobie.

–Tak, sir.

–W porządku. – Roger zaklął, kiedy z niewielkiego otworu, który udało się zrobić

jego Mardukaninowi, ktoś wystrzelił ładunek plazmy. A przecież według informacji z komputera dalej miało już nie być żadnych strażników. – Co teraz? Plan Z? – spytał. – Nie, nie, spokojnie. Trzeba zachować spokój, prawda?.

–Tak, sir.

–W takim razie plan Z. Za mną.

* * *

–Sir, właśnie przerwało się połączenie z siecią rozpoznania układu – zameldowała kapitan Marjorie Erhardt.

–Doprawdy? – Admirał Henry Niedermayer zamyślił się i spojrzął na zegar. – Czy znamy przyczyny, pani kapitan?

–Nie, sir, połączenie po prostu się urwało.

–Hmmm... Najwyraźniej coś się dzieje w układzie, nieprawdaż?

–Tak, sir, a nie powinno – odparła ponuro Erhardt.

–Rzeczywiście, nie powinno – zauważył irytująco niewzruszony Niedermayer.

–Mamy ruszyć w głąb układu, sir?

–Nie, nie mamy – powiedział nieco chłodniej admirał. – Zna pani rozkazy tak samo jak ja, pani kapitan. Nie mamy pojęcia, co się w tej chwili dzieje na Starej Ziemi, a każde nieprzemyślane działanie z naszej strony mogłoby znacząco pogorszyć sytuację. Nie, zostaniemy tutaj, gdzie jesteśmy, ale proszę przygotować grupę uderzeniową do wyruszenia na małej mocy. Być może będziemy musieli nieco zmienić nasze położenie, a jeśli do tego dojdzie, chcę zachować ściśle ograniczenie emisji.

* * *

Larry Gianetto patrzył z ponurą miną na zmieniające się ikony i paski zadań na swoich wyświetlaczach. Niezależnie od preferencji politycznych był zawodowym oficerem marines, jednym z najlepszych w swojej specjalności, i orientowanie się w pozornie przytłaczającym strumieniu informacji miał we krwi.

Doskonale zdawał sobie sprawę, iż sytuacja bardzo źle wygląda.

Już po kilku minutach od rozpoczęcia ataku na Pałac Gianetto skierował do stolicy dodatkowe oddziały marines. Ponad pół godziny później okazało się, że ani jeden z tych oddziałów się nie ruszył. Ani jeden. Niektóre po prostu stały na swoich

pozycjach, odmawiając przyjęcia rozkazów albo grając na czas i bez końca domagając się „wyjaśnień”. Inne nie mogły się ruszyć, bo ich żołnierze byli zbyt zajęci strzelaniem do siebie nawzajem, żeby wykonać rozkazy. Najgorsze zaś było to, że nawet w jednostkach, które starały się słuchać poleceń, marines lojalni wobec Adouli byli w zdecydowanej mniejszości.

Jeśli obrońcom znajdującym się w Pałacu nie uda się powstrzymać tych wariatów, jest bardzo mało prawdopodobne, że ktokolwiek na całej planecie wykaże chęć odbicia go później.

Gianetto spojrział na boczny monitor wyświetlający najnowsze wystąpienie księcia Jacksona i obnażył zęby w cynicznym uśmiechu. Oglądający je ludzie nie mogli wiedzieć, że tętniące aktywnością centrum dowodzenia za plecami Adoulą to tylko jeden z najbardziej zaawansowanych technicznie pakietów wirtualnej rzeczywistości. Adoula był już w tej chwili na orbicie okołoplanetarnej na pokładzie Hannah P. McAllister, pozornie rozklekotanego frachtowca. Jego publiczne wystąpienie zostało nagrane na statku, przesłane do bezpiecznej stacji naziemnej i podłączone do oprogramowania VR, a potem rozpowszechnione publicznymi kanałami informacyjnymi ze wstawionymi przebitkami z tego, co się rzeczywiście działo w Pałacu. Złudzenie, że Adoula wciąż przebywa w mieście – a przynajmniej niedaleko – było doskonałe.

Jeśli sprawy w dalszym ciągu będą brały w łeb tak jak dotąd, uznał Gianetto, pora zacząć obmyślać własną drogę ucieczki.

* * *

–Chryste, wreszcie jest kawaleria – powiedział Marinau, kiedy pierwszy prom wylądował na dziedzińcu. On i niedobitki jego drużyny wraz z Mardukanami utrzymali północny dziedziniec ponad dwa razy dłużej niż zakładał plan. Ale drogo za to zapłacili. Dzięki Bogu, że pancerny oddział fałszywego Osobistego Pułku ruszył w pościg za Rogerem, a tak zwani żołnierze, których Adoula wcielił do pułku na miejsce zabitych, nie byli prawdziwymi marines, gdyż najprawdopodobniej nie miałby kto powitać nadlatującego promu.

Statek lądował pod silnym ostrzałem, na szczęście tylko z broni ręcznej i przenośnych działek, gdyż ciężkie gniazda obrony przeciwlotniczej zostały zniszczone. Prom odgryzał się nie na żarty; przykrył pozycje obrońców ścianą ognia plazmowego, przygważdżając ich do ziemi, a kiedy olbrzymi pancerni Mardukanie wysypali się z włazów, gęstniejący ostrzał z powietrza przeorał umocnienia wciąż broniących Pałacu najemników.

–Nie – powiedział Kuddusi, podnosząc się, by posłać w ich stronę serię śrutu – kawaleria była pierwsza.

–Naprzód.

*** * ***

–Dokąd idziemy? – spytała Penalosa.

Roger prowadził swoich ludzi jakimś opuszczonym korytarzem. Wreszcie zatrzymał się przed starożytnym obrazem przedstawiającym grupę ludzi polujących na lisy. Wyjął z naściennego świecznika ozdobną świecę i w ścianie ukazało się przejście.

–To skrót do pokoju matki – powiedział.

–Więc dlaczego, do cholery, nie użyliśmy go wcześniej?

–Ponieważ – Roger uruchomił kciukiem kulę sensoryczną i wrzucił ją do środka – jestem pewien, że Adoula o nim wie.

–Matko święta... – mruknęła Penalosa, blednąc za pancerną przyłbicą, gdy obraz z kuli wyświetlił się na jej HUDzie. W krótkim korytarzu było ponad dwanaście gniazd systemów obronnych; jedno z nich natychmiast zniszczyło kulę.

–No właśnie. Mają system swój-wróg ustawiony na Adoulę. – Roger włączył komunikator. – Jin, wskórałeś coś?

*** * ***

–Nie, Wasza Wysokość. Próbowałem włamać się do sieci obronnej Adouli, ale jest solidnie zaszyfrowana. Wykorzystuje dwutysięcznobitowe...

–Wiesz, że nie interesuje mnie ten techniczny bełkot – przerwał mu Roger. – Wystarczyłoby zwykłe „nie”. Czy widzisz to samo co ja?

–Tak, sir – odparł Jin, patrząc na przesłane odczyty.

–Masz jakieś sugestie?

–Może znaleźć inną trasę?

*** * ***

–Nie ma żadnej innej trasy – mruknął Roger i przełączył częstotliwość. – Do diabła z tym. – Zważył w dłoniach działko plazmowe i rzucił je Penalosie. – Jeśli mi się nie uda, spróbujcie jakoś dostać się do mojej matki. Byle jak – dodał, wyciągając oba pistolety.

–Nie! – Penalosa upuściła działko i skoczyła w stronę księcia, ten jednak już zdążył

zanurkować w korytarz.

* * *

–To koniec – powiedział Gianetto. – Nie powiem, że nie ma już żadnej nadziei, ale napastnicy są już głęboko w Pałacu, zajęli lądowisko i desantują kolejne oddziały. Czternasta eskadra się rusza, tak samo Prokurow i La Paz. Niestety, nie mam pojęcia, co Prokurow zrobi, kiedy tutaj dotrze, a będzie na długo przed trzynastą. Jednostki naziemne na powierzchni planety albo odmawiają wykonania rozkazów, albo walczą ze sobą o to, czyje rozkazy wykonywać, przy czym dowódcy lojalni wobec nas raczej nie wygrywają. To oznacza, że najbliższe posiłki sprowadzi Gajelis; będzie tu jakieś dwadzieścia minut przed dwunastą eskadrą, o ile Prokurow jest nam wierny. Ale to i tak nastąpi dopiero za ponad trzy godziny. Może jeszcze nam się uda wszystko odkręcić, a przynajmniej zniszczyć przeciwnika, jeśli zapanujemy nad orbitami, ale póki co na Starej Ziemi dostaliśmy potężnie po dupie. Pora się wycofać, Wasza Wysokość.

–Nie mogę uwierzyć, że ten gnojek coś takiego zorganizował! – prychnął Adoula.

–Nie ma znaczenia, czy to był on, czy ktoś inny, ani nawet to, czy on rzeczywiście wciąż żyje. Liczy się to, że sprawy przybrały fatalny obrót. Za dziesięć minut wydam oficjalny rozkaz rozproszenia sił.

–Zrozumiałem – odparł Adoula i spojrzał na swojego wiernego pilota/szofera. – Duauf, idź poinformować kapitana, że niedługo wyruszamy.

–Natychmiast, Wasza Wysokość – mruknął szofer, a książkę pokiwał głową. Jak to dobrze mieć chociaż jednego kompetentnego podwładnego, pomyślał. Potem wydał z irytacją wargi, kiedy przypomniał sobie, że musi się zająć jeszcze jedną rzeczą. Wszędzie te nie dokończone sprawy...

* * *

–Utrzymujemy wewnętrzne pozycje, Wasza Wysokość – powiedział „major” Khalid – ale straciliśmy eskadrę żądeł, a oni wciąż dostają promami posiłki. Odcięli nas od głównego budynku Pałacu i jak dotąd odpierają wszystkie nasze próby przebicia się. Potrzebujemy wsparcia, sir, i to szybko.

–Źle to wygląda – powiedział Adoula z poważną miną- ale kontrolowane przeze mnie jednostki marynarki są już w drodze. Mają wystarczającą siłę ognia, żeby was stamtąd wyciągnąć. Biorąc jednak pod uwagę, jak skomplikowana i zmienna jest sytuacja, obawiam się, że rebelianci mogą odbić Cesarzową i replikator, a nie możemy do tego dopuścić. Macie natychmiast zabić Cesarzową i opróżnić replikator.

–Tak jest, sir- odpowiedział Khalid, ale zaraz zmarszczył brew. – A co z nami?

–Kiedy tylko marynarka dotrze na orbitę, przyślę po was promy. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby was stracić, Khalid. Mamy za dużo do zrobienia. Zabijcie Cesarzową, a potem musicie się utrzymać tylko przez... – książę sprawdził w swoim tootsie – następnych czterdzieści minut. Dacie radę?

–Tak, Wasza Wysokość. – „Major” wyprostował się. – Cieszę się, że pan o nas nie zapomniał.

–Oczywiście, że nie – odparł Adoula i przerwał połączenie. Jeszcze przez chwilę patrzył w pusty ekran. – Z całą pewnością nie – dodał cicho.

*** * ***

Systemy obronne w tajnym przejściu – lekkie i ciężkie działka plazmowe oraz śrutowe – przez chwilę nie wiedziały, co mają robić. Według ostatniej aktualizacji postać została zidentyfikowana jako obrońca Pałacu. Tutaj, w tym korytarzu, nie miało to znaczenia, ale intruz zatrzymał się przed obszarem natychmiastowej reakcji systemów, gdzie sprawy wyglądały już trochę bardziej niejednoznacznie. Czy sama jego obecność w korytarzu oznacza nieautoryzowane wtargnięcie? Jeśli nie, to według identyfikacji nie jest celem, ale jeżeli to jednak jest wtargnięcie...

Komputery wciąż jeszcze się zastanawiały, kiedy rozległy się wystrzały i śruciny zniszczyły pierwsze dwa gniazda. Wtedy podjęły zbiorową elektroniczną decyzję i otworzyły ogień.

*** * ***

W ciągu ostatniego roku książę-playboy, który wbrew swojej woli wyruszył na Leviathana, dowiedział się, że życie rzuca człowiekowi pod nogi kłody, które albo można obejść, jeśli się da... albo trzeba przez nie przejść, jeżeli to konieczne. Obecna sytuacja podpadała pod kategorię „konieczne”, ale nie miał już żołnierzy, by rzucić ich do ataku, narażając ich życie, a poza tym książę już wiele razy udowodnił, że w szybkich bezpośrednich starciach jest lepszy niż reszta jego oddziału. Właśnie nadeszła jedna z tych chwil, kiedy musiał sam zaryzykować.

Zdążył zniszczyć trzy systemy obronne, zanim wszystkie go namierzyły. Kiedy rozwalił już czwarty, koncentrując się na ośmiu gniazdach broni ciężkiej, trafiła go pierwsza seria śrutu. Poleciał w tył, ale pociski nie były w stanie przebić jego chromframowej zbroi. Udało mu się jeszcze zniszczyć działko, a potem pod jego nogi strzelił strumień plazmy. Widział, jak broń celuje, więc podskoczył i trafił ją jeszcze w powietrzu. Kiedy spadł na ziemię i uskoczył przed kolejnym strumieniem plazmy, trafił w piąte gniazdo. I wtedy w korytarzu pojawił się pierwszy Raider.

To zabawne. Zawsze mu się wydawało, że w takich chwilach człowiekowi powinno być zimno, a tymczasem jemu było gorąco.

Okropnie gorąco.

*** * ***

–Nie jest dobrze – powiedziała Despreaux, zanosząc się kaszlem z powodu dymu.

Ściany i podłoga w biurze Siminowa były już tak gorące, że nie dało się ich dotknąć. Wspięli się więc na biurko, wlokąc za sobą Treya i półprzytomnego Siminowa. Dym wydobywał się też spod biurka, które zaczęło się już tlić. Kiedy biurko zajmie się ogniem, co w końcu musi nastąpić, wszyscy znajdą się w ciężkich opalach.

Despreaux patrzyła akurat na drzwi, kiedy pojawiła się ręka macająca w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu.

Dziewczyna podniosła pistolet... i dopiero wtedy spostrzegła, że ręka jest bardzo duża i schowana w rękawicy skafandra środowiskowego.

–Wstrzymać ogień! – krzyknęła, kiedy zza krawędzi futryny wychynął Krindi.

–A więc to tutaj jesteście – powiedział, pokazując zęby w mardukańskim pseudouśmiechu. – Wszędzie was szukaliśmy.

–Dlaczego tak długo? – spytała ze złością Pedi.

–Pomyślałem, że mamy czas – odparł Krindi, wpełzając do pomieszczenia. – Co ma wisieć, przecież nie utonie.

*** * ***

–Roger, niech pan się nie rusza! – zawołała Penalosa.

–Do diabła z tym. – Roger czuł, że lewa noga dziwnie mu zdrętwiała, podniósł się więc na prawe kolano, a potem odepchnął w górę.

I natychmiast znów się przewrócił.

Spojrzał na lewą nogę, która nie chciała utrzymać ciężaru jego ciała. Nic dziwnego, kończyła się tuż pod kolanem.

–No, to ci dopiero. Ale nanity to dobra rzecz, nic nie czuję.

–Niech pan nie wstaje! – krzyknęła ostro Penalosa.

Tym razem Rogerowi udało się wstać i zabrać działko śrutowe pancierzowi, który leżał obok z wielką dymiącą dziurą w napierśniku. – Idziemy.

–Do cholery, Wasza Wysokość!

–To tylko rzecz, pani sierżant, tylko rzecz. Czy mogę się na pani oprzeć?

–Opanowaliśmy korytarz – zameldowała Penalosa, kiedy dwa pokancerowane pancerze zaczęły wolno kuśtykać wąskim przejściem.

–Zauważyłem. – Dotarli do końca korytarza, który zamykały kolejne chromframowe drzwi.

–Ale trafiliśmy na tę przeszkodę. I nie dość, że nie mamy już prawie plazmy, to jeszcze jest tutaj za ciasno, żeby spróbować pańskiej sztuczki. Nie mówiąc o tym, że... nikomu się do tego nie pali.

Tym „nikim” była sama Penalosa i jeden Mardukanin, ponieważ dwa pozostałe pancerze oberwały, kiedy niszczyły dwa ostatnie gniazda.

–Tak, to zrozumiałe, ale w przeciwieństwie do poprzednich drzwi, pani sierżant, te tutaj są zainstalowane od samego początku.

Roger uśmiechnął się pod przyłbicą.

–Sezamie, otwórz się.

Drzwi podniosły się do góry.

*** * ***

–Uwaga wszystkie statki na orbicie planetarnej! Tu Centrum Obrony Ziemi! Do Ziemi zbliżają się wrogie okręty; przewidywany czas przybycia: jedenasta trzydzieści siedem czasu stołecznego. Wszystkie cywilne jednostki mają natychmiast opuścić orbitę planetarną. Powtarzam, wszystkie cywilne jednostki mają natychmiast opuścić orbitę planetarną. Ostrzegamy, spodziewamy się ciężkiej wymiany ognia; każda jednostka zagrażająca Imperial City zostanie potraktowana jak wróg. Powtarzam, z rozkazu Centrum Obrony Ziemi wszystkie cywilne jednostki mają natychmiast opuścić orbitę planetarną!

–No, nareszcie – mruknął kapitan Kjerulf, patrząc na ponurego kontradmirała widocznego na monitorze. Martwił się poważnie stratami w ludności cywilnej, które byłyby nie do uniknięcia, gdyby po otaczających Starą Ziemię tętniących handlem orbitach przetoczyła się duża kosmiczna bitwa. Przynajmniej o tym jednym mógł już nie myśleć.

*** * ***

–No, nareszcie – mruknął książę Jackson Adoula, kiedy Hannah P. McAllister zaczęła pospiesznie wykonywać rozkaz. Na orbicie Starej Ziemi przebywały dosłownie setki statków; teraz rozproszyły się jak ławica makreli zaatakowanych przez stado morświnów.

Statek Adouli był jednym z wielu punktów w tym chaosie, który absolutnie niczym się nie odróżniał od pozostałych...

Oprócz faktu – na razie raczej trudnego do stwierdzenia – że jego kurs miał go wynieść na spotkanie z czternastą eskadrą gdzieś w pobliżu planety.

*** * ***

Dotarcie do drzwi gabinetu Siminowa było najtrudniejsze; podłoga była tak gorąca, że przejście po niej groziło oparzeniami trzeciego stopnia. Na szczęście Krindi mógł po niej chodzić dzięki swojemu skafandrowi, więc przenosił wszystkich po kolei i podawał Erkumowi, który stał na wolnym od płomieni skrawku parteru. Jego wzrost bardzo się przydał, jako że obsuwający się w dół gabinet zatrzymał się na pierwszym piętrze.

Tuż po tym, jak Krindi wydostał ostatnią osobę, resztki dźwigarów poddały się i opancerzone pomieszczenie zważyło się do piwnic budynku.

–Boże, jak się cieszę, że się stamtąd wydostałam – powiedziała Despreaux. – Z drugiej strony nie chciałabym też się spalić.

–Nie ma problemu – odparł Krindi. – Erkum, dawaj.

Musiał wyężyć wszystkie siły, by dźwignąć broń swojego olbrzymiego towarzysza, ale w tym wypadku nie mógł zaufać snajperskim umiejętnościom Erkuma. Wycelował w najmniej spowitą płomieniami ścianę budynku i wystrzelił pojedynczy ładunek.

Plazma wywaliła w ścianie dziewięciometrową dziurę. Podpałaby również dom stojący z tyłu budynku Siminowa, gdyby nie to, że zajęto się tym już jakiś czas wcześniej.

Krindi wyciągnął z działka power pack i wrzucił broń do płonącej piwnicy.

–A teraz, na zatrute wody, wynośmy się stąd.

Po wygramoleniu się przez otwór w ścianie znaleźli się w zaułku między dwoma płonącymi budynkami. Erkum niósł Treya i porządnie związanego Siminowa. Ruszyli biegiem, zgarbieni, uchylając się przed spadającym gruzem, w kierunku wylotu zaułka.

A tam znaleźli się oko w oko z lufami pistoletów przynajmniej tuzina policjantów.

–Nie wiem, kim, do cholery, jesteście – powiedział dowodzący oddziałem sierżant, mierząc do nich zza swojego latacza – i nie wiem, co, do cholery, robiliście – popatrzył na ich pancerze i Mardukan w popalonych skafandrach – ale wszyscy jesteście aresztowani!

Despreaux chciała coś powiedzieć, ale zamilkła, widząc nadlatujący bezgłośnie opancerzony prom szturmowy. Wokół palących się budynków stał spory tłum gapiów, ponieważ straż pożarna roztropnie postanowiła pozwolić im płonąć, dopóki w środku ostrzeliwano się plazmą, dlatego prom musiał chwilę manewrować, zanim wreszcie znalazł wolny kawałek ulicy. Kiedy siadał, Despreaux zobaczyła za sterami znajomą twarz; doktor Dobrescu zasalutował jej i obrócił działko plazmowe w stronę trzymających ich na muszce policjantów.

Potem otworzył się tylny właz i ze środka wyskoczyło czterech Mardukan w pancerzach bojowych. Dwóch z nich skierowało swoje działka plazmowe i śrutowe w stronę policji.

Wreszcie z promu wysiadła niewysoka kobieta w niebieskiej sukience, z narzuconą na ramiona kurtką IBI SWAT-u.

Buseh Subianto precyzyjnie przemieściła się między Mardukanami i podeszła do sierżanta policji... który ostentacyjnie celował ze swojego pistoletu w niebo i zastanawiał się gorączkowo, czy nie byłoby lepiej położyć go na ziemi.

–Dobra robota, sierżancie – powiedziała Subianto, klepiąc go po ramieniu. – Dziękuję za pomoc w przeprowadzeniu operacji. Zabierzemy tylko naszych ludzi i znikamy.

–IBI? – wykrztusił sierżant.

–Tak – odparła bez troski Subianto.

–Mogliście nas uprzedzić!

–Oj, sierżancie, sierżancie. Przecież pan wie, że sieć Imperial City nie jest najbezpieczniejsza, prawda?

–Ale... – Gliniarz odwrócił się i spojrzał na grupę stojącą przed płonącym budynkiem. – Spaliliście ten dom! Do diabła, podpaliście cały kwartał!

–Błędy się zdarzają. – Subianto wzruszyła ramionami.

–Błędy?! – Sierżant załamał ręce. – Oni używali czołgowego działka! Czołgowego

działa plazmowego!

Erkum ostentacyjnie splótł przed sobą dłonie i zaczął kręcić młynki wszystkimi czterema kciukami. Próbował też gwizdać, ale mardukańskie wargi nie były jednak do tego stworzone.

Sierżant przyjrzał się Mardukanom i bardzo staromodnemu promowi.

–Co to jest, do cholery?!

–Sierżancie – powiedziała uprzejmie Subianto – słyszał pan kiedyś określenie „ponad pański poziom płac”?

Policjant wyglądał tak, jakby miał za chwilę eksplodować, więc Buseh znów poklepała go po ramieniu.

–Spokojnie – powiedziała łagodnie. – Jestem z IBI i przyleciałam, aby wam pomóc.

*** * ***

Roger kuśtykał wyłożonym boazerią korytarzem, podpierając się działkiem śrutowym. Za nim szli Penalosa i ostatni ocalały Mardukanin. Pieszczura, wciąż ciężko przerażona, wlokła się ostatnia. Od czasu do czasu ksiązę zatrzymywał się i albo sam wyważał drzwi, albo kazał to robić Mardukaninowi.

W pewnym momencie w korytarzu pojawił się strażnik w standardowym skafandrze bojowym i wystrzelił z karabinu śrutowego serię pocisków, które odbiły się z wizgiem od pancerza Rogera.

–Zejdź na ziemię, człowieku! – warknął ksiązę, przełączając się na zewnętrzne głośniki. Złapał żołnierza za kołnierz i podniósł go do góry. – Gdzie moja matka?!

Przyduszony strażnik upuścił broń i zaczął kopać w pancerz Rogera, charcząc i pokazując, że nie wie. Ksiązę cisnął go na bok i pokuśtykał dalej.

–Rozdzielić się! – rozkazał. – Znajdźcie moją matkę.

–Wasza Wysokość! – zaprotestowała Penalosa. – Nie możemy zostawić pana bez...

–Znajdźcie ją!

*** * ***

–Szkoda mi ciebie – powiedział Khalid, podrzucając nóż i podchodząc do półnagiej Cesarzowej leżącej na olbrzymim łożu. – Z drugiej jednak strony nieczęsto ma człowiek okazję posuwać cesarską dziwkę – dodał, rozpinając spodnie. – Chyba

mogę jeszcze raz skorzystać. Nie martw się, to nie potrwa długo.

–Miejmy to już z głowy – powiedziała gniewnie Alexandra, szarpiąc unieruchamiające jej ręce kajdanki. – Ale jeśli mnie zabijesz, będziesz ścigany w całej galaktyce!

–Nie, jeśli będę pod opieką księcia Jacksona – zaśmiał się Khalid.

Zanim jednak dotarł do łoża, drzwi rozleciały się z hukiem i do środka zajrzała opancerzona postać bez kawałka jednej nogi.

–Matko! – krzyknął książę, i pistolet, który miał w kaburze na biodrze, natychmiast pojawił się w jego dłoni. Khalid nigdy nie widział, żeby ktoś tak szybko dobył broni; zdążył tylko napiąć mięśnie brzucha, kiedy otwór lufy pistoletu został skierowany prosto w nasadę jego nosa. Zaczął otwierać usta i...

Pistolet zawył sygnałem „magazynek pusty”.

–Sukinsyn! – krzyknął Roger i cisnął nim w mężczyznę. Tamten uchylił się i broń uderzyła w ścianę, a książę, podpierając się swoją prowizoryczną laską, zaczął szybko kuśtykać w jego stronę.

Khalid dokonał błyskawicznej oceny, co jest więcej warte: wykonanie polecenia Adouli czy ocalenie własnego życia, po czym rzucił nóż i wyciągnął jednostrzałówkę.

Ta bezpośrednia broń przeciwpancerna miała rozmiary latarki z epoki przedkosmicznej i działała na zasadzie starożytnego przeciwczołgowego pocisku odkształcalnego. Nie była w stanie przebić chromframowego pancerza bojowego, atakowała więc mniej odporną plastalową wyściółkę podtrzymującą chromframową matrycę, przenosząc falę uderzeniową wybuchu stugramowego ładunku plastikowego kataklizmitu przez chromfram, która to fala odrywała kawałek wyściółki i przebijała nim ciało użytkownika pancerza. Strzelający z jednostrzałówki musiał jednak znaleźć się na wyciągnięcie ręki od swojego celu, a wtedy urządzenie mogło pokonać każdy rodzaj pancerza bojowego, jaki tylko wynaleziono.

Roger miał już do czynienia z jednostrzałówkami. Jedna w rękach Kratha – łupieżcy omal go nie zabiła, mimo że miał na sobie niemal identyczny jak teraz pancerz. Druga, w o wiele lepiej wyszkolonych rękach komandosa Świętych, zabiła jego mentora i przybranego ojca, Armanda Pahnera. Teraz, stojąc tylko na jednej nodze i pozbawiony amunicji, mógł jedynie przyjąć strzał i mieć cholerną nadzieję, że znów uda mu się przeżyć.

*** * ***

Pieszczura wciąż jeszcze była przybita, ale jej nastrój powoli się poprawiał. Jej bóg

zniknął, zastąpiony przez nieznanego, ale w otaczających ją pomieszczeniach było coś takiego, co mówiło, że bóg może powrócić. Pokoje nie pachniały tak samo jak on, ale wypełniające je wonie w jakiś sposób były jednak podobne.

Szła więc za nieznanym, który twierdził, że jest jej bogiem, i co jakiś czas przystawała, aby obwąchać trupy; smród palonego mięsa i płonących budynków zawsze jej się z nim kojarzył. Ponaglana, ruszała dalej, chociaż niechętnie; to nie w porządku marnować tyle doskonałego mięsa i słodkiej krwi, ale takie już jest życie psa-jaszczura.

Teraz była podekscytowana. Wyczuwała w pokoju kogoś, kto pachniał niezupełnie tak samo jak jej bóg, ale bardzo podobnie. Kogoś, kto mógł znać jej boga, a być może nawet ją do niego zaprowadzić.

Przepchnęła się obok stojącego w przejściu jednonogiego nieznanego. Zapach dochodził z łóżka; leżąca na nim kobieta pachniała gniewem, zupełnie tak samo, jak często pachniał jej bóg, i strachem. Pieszcza wiedziała, że strach jest spowodowany obecnością człowieka stojącego przy łóżku i trzymającego w ręku Złą Rzecz.

Niespodziewanie w życiu Pieszczyry pojawiły się ważniejsze sprawy niż uzurpatorzy twierdzący, że są jej bogiem.

* * *

Roger zatoczył się na ścianę, kiedy sześćset kilogramów rozwścieczonej Pieszczyry odepchnęło go na bok i z mrozącym krew w żyłach rykiem wpadło do pokoju. Udało mu się czegoś złapać, żeby nie upaść, i odwrócić głowę w samą porę, by zobaczyć, co się dzieje.

* * *

–Święty Allachu! – sapnął Khalid, kiedy czarno-czerwona bestia odepchnęła opancerzonego mężczyznę i zaszarżowała. Postanowił trafić ją z jednostrzałówki, ale za szybko się poruszała. Zanim zdążył przyłożyć broń do boku stwora, ten uderzył go barkiem w przedramię i broń wypadła mu z ręki. A potem nie było już na nic czasu.

* * *

Potężne szczęki Pieszczury dosłownie zdekapitowały mężczyznę. Potem jaszczura spojrzała na Rogera ze wstydem, złapała trupa i zawlokła go za kanapę, skąd po chwili zaczęły dochodzić odgłosy chrupania i darcia.

Książę pokuśtykał do łoża, podpierając się działkiem.

–Matko – powiedział przez łzy. – Matko.

Alexandra patrzyła na niego bez słowa, a jego serce na jej widok boleśnie się ścisnęło.

W jego wspomnieniach o matce bardzo niewiele było nieoficjalnych, osobistych chwil. Dla Rogera zawsze była odległą, niemal nadludzką postacią, władcym bóstwem, którego aprobaty pragnął ponad wszystko... i której nigdy nie dostał. Chłodna, zdystansowana, zawsze opanowana i nieskazitelnie ubrana. Tak Roger zapamiętał swoją matkę.

A tymczasem ta kobieta była zupełnie inna; w księciu wezbrała furia przesłaniająca oczy czerwoną mgłą, kiedy dostrzegł jej skąpą bieliznę, przymocowane do łoża łańcuchy i mnóstwo siniaków i oparzeń. Przypomniawszy sobie, jak Catrone opowiadał, co Adoula... i jego ojciec wyprawiali z Alexandrą.

Spojrzał w jej oczy i to, co tam zobaczył, wstrząsnęło nim jeszcze mocniej niż jej stan fizyczny. Był w nich gniew i niezłomność, ale także coś więcej: strach i zmieszanie. Wyglądało to tak, jakby Cesarzowa na przemian traciła i odzyskiwała świadomość. W jednej chwili widział wściekłość, świadomość tego, kim jest, i nienawiść do tych, którzy jej to zrobili, a w następnej chwili... dygotała z przerażenia, niepewna własnej tożsamości i przyczyn jej obecności tutaj. Te dwie osoby zamieniały się miejscami, ale gdzieś w głębi ducha ona wiedziała, że została złamana, że jest bezsilna, że nie jest już niedościgłą postacią, awatarem siły i władzy, matką, którą Roger wielbił, nawet wtedy, kiedy bezskutecznie próbował pozyskać jej miłość.

–Och, matko – szepnął książę z twarzą ściągniętą bólem. – Och, matko.

–Kim... kim ty jesteś? – zapytała Cesarzowa ochryplym, drżącym szeptem. Roger

zacisnął zęby. Oczywiście, nie może go rozpoznać w zmodyfikowanym ciele Augustuca Changa.

–To ja, matko – powiedział – Roger.

–Kto? – Zamrugła oczami, jakby usiłowała skupić wzrok na jego twarzy i oderwać się od chaosu wirującego w jej umyśle.

–Roger, matko – powiedział cicho, wyciągając dłoń, by dotknąć jej ramienia. – Wiem, że wyglądam inaczej, ale to ja, Roger.

–Roger? – Znow zamrugła. Przez jedną krótką chwilę jej spojrzenie nabrało wyrazu, jednak zaraz potem pojawiło się zmieszanie i nagły strach.

–Roger! – powtórzyła. – Roger?

Zaczęła w panice walczyć z całych sił z krępującymi ją łańcuchami.

–Nie! Nie! Zostaw mnie!

–Matko! – Roger cofnął się na widok obrzydzenia i przerażenia na twarzy matki.

–Widziałam cię! – krzyczała. – Widziałam, jak zabijasz Johna! Zabiłeś moje wnuki! Rzeźniku! Morderco!

–Matko, to nie byłem ja! – zaprotestował. – Wiesz, że to nie byłem ja! Nawet mnie tutaj nie było, matko!

–Nieprawda, byłeś! Teraz wyglądasz inaczej, aleja cię wtedy widziałam!

Roger znow wyciągnął do niej rękę, ale szybko ją cofnął, kiedy matka wrzasnęła i zaczęła się wyrywać, próbując uciec. Pieszczura wyjrzała zza kanapy i warknęła na niego.

–Matko – powiedział, próbując uspokoić wrzeszczącą kobietę.

–Matko, proszę!

Ale ona go nie słyszała. Potem nagle wrzask się urwał i Alexandra znieruchomiła. Wyraz jej twarzy niespodziewanie się zmienił; spojrzała na syna, przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się. To był straszny uśmiech: mroczny, pełen pożądania, zachęty i równocześnie czystego strachu.

–Przyszedłeś od Lazara? To on cię przysłał? – spytała cicho i przeciągnęła się. – Powiedzieli mi, że ktoś przyjdzie, ale... czasami zapominam twarze – ciągnęła, spuszczaając wzrok. – Dlaczego masz na sobie zbroję? Mam nadzieję, że nie będziesz

brutalny. Będę grzeczna, naprawdę, obiecuję! Powiedz Lazarowi, że nie musisz być brutalny. Proszę! Naprawdę nie musisz – powtarzała coraz żałośniej.

Potem znów podniosła wzrok i zaczęła wrzeszczeć.

–Penalosa! – ryknął Roger, zakładając z powrotem hełm. Jego matka wrzeszczała, a Pieszczura przyglądała mu się groźnie znad swojej ofiary. – Penalosa! Niech to szlag! Dajcie tu kogoś innego!

*** * ***

Kiedy policja zabezpieczyła już teren i strażacy mogli zabrać się do pracy – głównie pilnowania, żeby pożar się nie rozprzestrzenił, gdyż budynek Siminowa i dwa sąsiednie były już nie do uratowania – Subianto podeszła do Despreaux i Catrone'a, wdychających coś purpurowego w karetce straży pożarnej, i powiedziała cicho:

–Musicie się zbierać. Mamy poważny problem w Pałacu.

*** * ***

–Jak pan sądzi, co on zrobi, sir? – spytał komandor Talbert.

Siedział obok admirała Victora Gajelisa na mostku okrętu flagowego, imperialnego nosiciela HMS Trujillo, studiując raporty taktyczne. Czternasta eskadra leciała od trzydziestu jeden minut w kierunku Starej Ziemi z przyspieszeniem sto sześćdziesiąt razy większym niż przyspieszenie ziemskie; było to maksymalne przyspieszenie, jakie jej okręty były w stanie wyciągnąć. Ich prędkość wynosiła w tej chwili prawie pięć tysięcy kilometrów na sekundę; przebyły prawie siedem milionów kilometrów, ale od celu wciąż dzieliło je aż osiemdziesiąt pięć milionów – trzy godziny i trzydzieści osiem minut lotu. Cały ten dystans mogłyby pokonać w niecałe dwie godziny, gdyby nie to, że chciały wyhamować, by po dotarciu do planety wejść na jej orbitę. Przy maksymalnym skróceniu czasu przelotu przemknęłyby obok Starej Ziemi z prędkością siedemnastu tysięcy kilometrów na sekundę, a wtedy nie byłyby w stanie nic zrobić, by utrzymać ją w rękach zwierzchnika ich admirała.

W tej chwili jednak Talbert nie przejmował się zbytnio tym, co zrobią jednostki jego własnej eskadry, skupił się na otrzymanej od generała Gianetta informacji dotyczącej dwunastej eskadry.

–Co on sobie, do diabła, wyobraża? – warknął Gajelis. – Jeśli zamierza nam pomóc, nie ma powodu przerywać łączności z Gianettem, prawda?

–Może przerwa była tylko chwilowa, sir – powiedział bez przekonania Talbert. – Wie pan, że nawet niektóre nasze jednostki miały problemy ze swoimi kontyngentami marines, a przecież załogi eskadry Prokurowa nie były tak starannie dobierane, jak

nasze. Może jego marines próbowali go powstrzymać i chwilę potrwali, zanim odzyskał kontrolę...

–Byłoby dobrze, gdyby właśnie tak się stało – warknął Gajelis -ale wątpię. Nigdy nie miałem zaufania do Prokurowa, bez względu na to, co myślał o nim książę.

–Sądzi pan, że od początku maczał w tym palce, sir?

–Wątpię. Gdyby tak było, nie siedziałby z założonymi rękami przez prawie dwadzieścia minut, tylko wyruszyłby w stronę Starej Ziemi, kiedy tamci czterej zdrajcy zaczęli się ruszać.

Spojrzał spode łba na nieruchomy plan taktyczny, na którym sensory Centrum Obrony Ziemi pokazały cztery nosiciele na pozycjach wokół planety. Obecnie dzięki systemom obronnym, które zniszczyły wszystkie platformy nie połączone z Bazą Księżycową sensory niczego już nie pokazywały, ale wytrzymały jednak wystarczająco długo, by uprzedzić Gajelisa, kto na niego czeka.

Talbert zerknął z ukosa na swojego dowódcę. Komandorowi nie podobał się kierunek, w jakim rozwijała się sytuacja. Podobnie jak Gajelis, wiedział, kto tam dowodzi, i nie był z tego powodu najszczęśliwszy. Nie sądził też, że spodobają mu się rozkazy, które dostanie zaraz po tym, jak czternasta eskadra zajmie orbitę planety. Ale nie miał wyboru; zbyt dawno temu zaprzedał duszę Adouli, by się teraz rozmyślić.

Przynajmniej nie potrzebowali zniszczonych sensorów, żeby mieć oko na Prokurowa. Zasięg wykrywalności nosicieli lecących na napędzie fazowym wynosił blisko trzydzieści minut świetlnych, a dwunasta eskadra znajdowała się niecałe dziesięć minut świetlnych od Trujilla. Z tej odległości nie byli w stanie wykryć żadnych pasożytów Prokurowa – maksymalny zasięg wykrywalności krążownika wynosił zaledwie osiem minut świetlnych – ale dobrze widzieli, co robią jego nosiciele.

Mimo to Talbert czułby się o wiele pewniej, gdyby wiedział, co się dokładnie dzieje na orbicie Starej Ziemi. Corvu Atilius to stary, szczywany lis, a kapitan Gloria Demesne, dowódca krążowników Atiliusa, jest jeszcze gorsza. Mimo przewagi sześciu do czterech Talbert nie tęsknił do starcia z nimi, zwłaszcza jeśli Prokurow zamierza dobrać im się do dupy ze świeżą eskadrą nosicieli.

–Panie admirale – zameldował łącznościowiec – wiadomość do pana na prywatnym kanale.

Gajelis podniósł wzrok i chrząknął.

–Tylko na słuchawkę – powiedział, po czym odchylił się w fotelu i słuchał spokojnie przez blisko dwie minuty. W końcu skinął łącznościowcowi i spojrzał na Talberta.

–No cóż – powiedział ponuro – przynajmniej wiemy, co będziemy robić, kiedy już tam dolecimy.

*** * ***

Francesco Prokurow siedział w swoim fotelu dowódcy i obmyślał własną taktykę. Sytuacja zrobiła się... interesująca. Nie było dla niego wielkim zaskoczeniem, że pozostałe nosiciele jego eskadry i skipperzy pasożytów gotowi byli z wielką chęcią oddać się pod jego rozkazy. Kilku udawało, że robią to tylko ze strachu przed swoimi kontyngentami marines, co było dość głupią (i zwyczajnie ludzką) próbą zabezpieczenia się na wypadek, gdyby doszło do najgorszego. Chociaż Prokurow nie był może drugim Helmutem, zawsze wzbudzał zaufanie i mógł liczyć na lokalność swoich podwładnych. Teraz ci ludzie byli gotowi iść pod jego komendą w czający się przed nimi chaos, a on mógł jedynie mieć nadzieję, że poprowadzi ich do zwycięstwa, a nie do bezsensownego zniszczenia.

Tak czy inaczej, wykonywał swój obowiązek.

Ale zamierzał pogodzić obowiązek z przetrwaniem, a w przeciwieństwie do Gajelisa, miał dostęp do wszystkich informacji taktycznych Bazy Księżycowej, co dawało mu o wiele lepsze pojęcie o szczegółach niż mogli mieć lojaliści Adouli. Wiedział na przykład, że Gajelis jeszcze nie wystrzelił swoich krążowników (a przynajmniej nie zrobił tego jeszcze dziesięć minut temu), co było dość logiczne, i że trzynasta eskadra admirała La Paza – czy raczej to, co z niej zostało po odejściu dezertersów do „Utuczonego Cielaka” – leci tuż za nim. Jego dwa samotne nosiciele i tak nie odegrałyby żadnej roli, gdyby sześć nosicieli Gajelisa i osiem z „Utuczonego Cielaka” oraz dwunastej eskadry starło się ze sobą. Poza tym trzynasta leciała dobrych sześć godzin za dwunastą eskadrą.

Naprawdę interesujące było to, co się wydarzy, kiedy Gajelis wbije się już w „Utuczone Cielę”; to było oczywiste, że Gajelis – który nie grzeszył nadmiarem wyobraźni jako dowódca – szykuje się do standardowego podejścia taktycznego.

Każdy z jego nosicieli miał na pokładzie dwadzieścia cztery pod-światlne krążowniki-pasożyty i sto dwadzieścia pięć myśliwców, co dawało mu w sumie sto czterdzieści cztery krążowniki i siedemset pięćdziesiąt myśliwców, ale same nosiciele stanowiły trzydzieści osiem procent sił jego przeciwokrętowych wyrzutni rakiet, trzydzieści dwa procent broni energetycznej, czterdzieści procent gniazd laserów bliskiego zasięgu i czterdzieści osiem procent wyrzutni przeciwrakietowych. Na dodatek nosiciele były o wiele potężniej opancerzone, ich broń energetyczna sześciokrotnie przewyższała burtowe moce krążowników, a ich rakiety były większe, miały dłuższy zasięg i mocniejsze głowice, a także lepszą przebijalność i elektronikę. Wreszcie nosiciele – o objętości kadłuba dwieście razy przekraczającej objętość dowolnego krążownika-pasożyta – miały nieporównywalnie sprawniejsze systemy

kierowania ogniem i ogólne wsparcie komputerowe.

Krażowniki, które miały o trzy i pół razy lepszy niż nosiciele współczynnik przyspieszenia, były główną bronią ofensywną marynarki. Szybciej zbliżały się na odległość strzału i żaden ciężki okręt nie miał wystarczającego przyspieszenia, aby im uciec w obrębie Granicy Tsukuyamy. Były jednak o wiele delikatniejsze i miały mniejszą pojemność magazynów amunicji, a poza kloszem ochronnym wyrzutni przeciwrakietowych swoich nosiciele były też o wiele bardziej narażone na trafienia rakietami przeciwokrętowymi, nawet innych krążowników. Dlatego też Gajelis, chociaż w głębi serca był dowódcą krążownika, nie wypuszczał swoich pasożytów, dopóki nosiciele nie znalazły się na tyle blisko „Utuczonego Cielaka”, by je wesprzeć.

Tak właśnie nakazywał regulamin, a zważywszy na stan wiedzy Gajelisa, było to również posunięcie rozropne, choć ostrożne.

Ale Gajelis oczywiście nie wiedział wszystkiego.

*** * ***

–Znajdźcie Nowy Madryt – rozkazał Roger.

Zdjął już pancerz, ale wciąż miał na sobie obcisły kombinezon. Opaska uciskowa zatamowała krwawienie z kikuta nogi, a nanity stłumiły ból i wyciągnęły organizm z szoku, nie pomogły jednak nawet w najmniejszym stopniu na przepełniającą go furię.

–Znajdźcie go – powtórzył. – Natychmiast.

Popatrzył po ludziach i Mardukanach zebranych wokół niego w prywatnej sali audiencyjnej Cesarzowej. Ich okopcone, zakrwawione mundury i pożłobione, przypalone pancerze nie pasowały do eleganckiego otoczenia, tak samo jak śmierdzący potem i dymem kombinezon Rogera, ale w tej chwili to go nie interesowało. Wszystkie jego myśli zajmowała kobieta, która wrzeszczała bez opamiętania za każdym razem, kiedy zobaczyła jego twarz.

–Gdzie jest Rastar? – spytał.

–Nie żyje, Wasza Wysokość – odparł jeden z Yasinów, salutując. – Poległ, zdobywając bramę.

–Niech to szlag. – Roger zamknął oczy i poczuł, że mięśnie szczęk napinają mu się w nagłym spazmie bólu, którego nie odczuwał nawet wtedy, kiedy stracił nogę. Bólu, który – wiedział o tym -będzie się powtarzał tak długo, jak długo nie zostanie zamknięta lista poległych.

–A Catrone? Nimashet? – spytał głosem szorstkim i zdławionym ze strachu, do

którego nie potrafił się przyznać nawet przed samym sobą.

–Mają ich – powiedział starszy sierżant z prawdziwego Osobistego Pułku Cesarzowej. – Już tu jadą, tak samo panna O'Casey i sierżant Kosutic.

–Dobrze. To dobrze.

Stał chwilę bez ruchu, a potem otrząsnął się i znów popatrzył na swoich towarzyszy.

–Znajdźcie Nowy Madryt – powtórzył lodowatym tonem. – Ten oślizły drań gdzieś się tutaj czai. Szukajcie bogato ubranego służącego. I powiedzcie Kosutic, kiedy już tutaj dotrze, żeby poszła do Cesarzowej. Bezpieczeństwo mojej matki jest teraz w jej rękach.

–Tak jest, Wasza Wysokość – odparł sierżant i zaczął szeptać do swojego komunikatora.

* * *

–Wiecie – powiedział Kjerulf do załogi centrum dowodzenia – jednak się cieszę, że admirał Prokurow jest po naszej stronie.

–Amen, sir – skomentował oficer taktyczny, uśmiechając się czule do swoich odczytów. Prokurow wystrzelił krążowniki – i myśliwce – dwadzieścia minut po tym, jak ruszył swoją eskadrę. Jak na start bez uprzedzenia był to bardzo dobry czas, świadczący o gotowości ludzi do wykonywania jego rozkazów. Owe krążowniki i myśliwce pędziły teraz przed siebie z przyspieszeniem równym czterystu pięćdziesięciu przyspieszeniom ziemskim, ponad dwa i pół razy większym niż ich nosiciele. Przy zachowaniu ścisłej kontroli emisji ich wykrywalność przez urządzenia pokładowe przeciwnika spadała do zaledwie czterech minut świetlnych. Oznaczało to również, że osiągną orbitę Starej Ziemi za niecałe dwie godziny, podczas gdy czternasta eskadra, zachowując obecny profil lotu, miała do niej wciąż ponad trzy godziny. Krążowniki i myśliwce Prokurowa miały przylecieć na długo przed swoimi nosicielami, podwajając liczebność pasożytów „Utuczonego Cielaka”, co powinno w zupełności zrównoważyć przewagę liczebną Gajelisa, zwłaszcza przy wsparciu nosicieli „Utuczonego”.

Oczywiście było wysoce prawdopodobne, że Gajelis je dopadnie, zanim doleczą do Starej Ziemi, ale nie było żadnej możliwości przyspieszenia przelotu nosicieli, a znając Gajelisa...

* * *

–Mają Pałac -powiedział ponuro Larry Gianetto na monitorze admirała Gajelisa.

Jego głos był niesłyszalny na mostku Trujilla, ale admirał słyszał go wyraźnie w swojej słuchawce.

–Tak, sir-powiedział głośno Gajelis. Był świadom tego, że musi starannie dobierać słowa, żeby co słabsi z jego podwładnych nie nabrali wątpliwości, zwłaszcza mając trochę czasu na zastanowienie.

–Wciąż nie potwierdzili ani nie zaprzeczyli, że ten mały drań Roger powrócił, ale plotki i tak rozprzestrzeniają się jak pożar lasu. Wysłali lekkie pojazdy pancerne i promy szturmowe po premiera, ministrów i szefów większych partii z obu izb oraz przynajmniej tuzin dziennikarzy – ciągnął Gianetto. – Jeśli poddadzą Cesarzową niezależnym badaniom, mamy przejebane. Chyba że dopilnujemy, żeby wyniki tych badań nigdy nie zostały ujawnione.

–Zrozumiałem, sir.

–Oby, Victor. – Głos Gianetta zrobił się jeszcze bardziej ponury; generał patrzył w monitor jednostki łącznościowej na pokładzie nie rzucającego się w oczy statku, którym uciekał z planety. – Jedyne sposoby, żeby wszystko nie wzięło w łeb, to zniszczyć Pałac razem z tymi draniami z orbity, a to oznacza też zniszczenie sporego kawałka Imperial City. Wiadomo już, że Roger rozwalił dom i biuro księcia Jacksona, chcąc go zabić. Jeśli Pałac też szlag trafi – o ile uda nam się rozpowszechnić tę wersję – stanie się to tylko dlatego, że nasi dzielni obrońcy trzymali się aż do czasu przybycia marynarki. Wtedy Roger albo popełni samobójstwo, by uniknąć pojmania, albo, jeszcze lepiej, zbombarduje Pałac własną bronią kinetyczną i ucieknie w zamieszaniu. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Victor? Musisz wiedzieć, że mamy aprobatę księcia Adouli.

–Wiem, sir, rozmawiałem już z księciem Jacksonem; w pełni się z tym zgadza.

* * *

Roger nigdy dotąd nie spotkał się ze swoim ojcem. Teraz, kiedy złapano i przyprowadzono Nowy Madryt, musiał przyznać, że rzeczywiście był bardzo do niego podobny. Szkoda, że to spotkanie potrwa tak krótko, pomyślał chłodno.

–Daj mi miecz – powiedział do stojącego najbliżej Vasina, kiedy dwaj diasprańscy piechurzy rzucili ojca do jego stóp.

Earl Nowego Madrytu dygotał; jego przerażona twarz spływała potem i patrzył z bezgłośnym błaganiem, jak Mardukanin podaje Rogerowi broń. Kawaleryjska szabla była tak ciężka, jak ludzki dwuręczny miecz, ale nawet nie drgnęła, kiedy książę jedną ręką wsunął czubek ostrza pod brodę ojca.

–Ciekaw jestem, ojcze – powiedział – dlaczego matka krzyczy na mój widok?

Dlaczego przychodzą do jej sypialni mężczyźni, których potem nawet nie pamięta? Dlaczego jest cała posiniaczona i poparzona? Dlaczego uważa, że ktoś, kto wyglądał zupełnie jak ja, zabił na jej oczach mojego brata Johna? Znasz może odpowiedzi na te pytania, ojczu?

–Roger, proszę – zaskamlał Nowy Madryt, drżąc. – Proszę! Jestem... jestem twoim ojcem!

–Nazywali mnie „złym nasieniem”. Zazwyczaj za moimi plecami, ale czasami prosto w oczy. Zastanawiałem się, dlaczego tak mnie nienawidzą, co mogło sprawić, że moja własna matka tak mnie nienawidzi? Teraz już wiem, ojczu. No cóż, kiedy lekarz znajduje u pacjenta rakowatą narośl, po prostu ją wycina. – Roger podniósł obiema rękami miecz nad głowę, balansując na jednej nodze. – A ja zamierzam ciebie wyciąć!

–NIE! – wrzasnęła od drzwi Nimashet Despreaux.

–Mam prawo! – ryknął Roger, nie patrząc na nią. – Czy wiesz, co on zrobił?!

–Tak, Roger, wiem – powiedziała cicho Despreaux. Weszła do sali i stanęła między księciem i jego ojcem. – Ale nie możesz tego zrobić. Sam powiedziałeś, że uczciwie i bez rozgłosu osądzimy go i skazemy, a potem wstrzykniemy mu truciznę. Jeśli obetniesz mu teraz głowę, nikt ci już nigdy nie zaufa. Ja też ci nie zaufam.

–Nimashet, na miłość boską- szepnął Roger, drżąc. – Proszę, odsuń się.

–Nie – odparła głosem cichym, lecz twardym jak stal.

–Roger – powiedziała Eleanora, stając w drzwiach – premier będzie tu za jakieś... dziewięćdziesiąt sekund. – Zmarszczyła brwi. – Myślę, że byłoby lepiej, gdyby nie przyjmował go pan zalany krwią własnego ojca.

–Poza tym – wtrącił Catrone, stając obok niej – jeśli ktoś powinien go dostać w swoje ręce, to ja. A pan mi powiedział, że nie mogę go wykończyć.

–Powiedziałem tylko, że nie będzie pan mógł go torturować – odparł Roger, wciąż trzymając miecz w górze.

–Powiedział pan też, że zrobimy wszystko zgodnie z regulaminem. Zamierza pan złamać słowo?

W sali zapadła cisza, przerywana tylko przerażonym szlochem mężczyzny klęczącego u stóp Rogera. W końcu książę przemówił.

–Nie – powiedział. – Nie, Tomcat, nie zamierzam. Opuścił miecz i spojrzał na kawalerzystę, który mu go podał.

–Yasinie?

–Wasza Wysokość?

–Czy mogę zatrzymać ten miecz? To miecz z twojej ojczyzny, miecz, którym walczyłeś u boku poległego księcia, mojego przyjaciela, miecz, z którym przemierzyłeś więcej kilometrów niż ktokolwiek z twojego ludu. Wiem, co to znaczy, ale... czy mogę go zatrzymać?

Mardukanin machnął obiema górnymi rękami w geście przyzwolenia.

–To miecz moich ojców – powiedział – przekazywany z pokolenia na pokolenie. Przybył do Therdan, kiedy wznoszono pierwsze mury miasta, i był tam, kiedy mój książę torował drogę uciekającym kobietom i dzieciom, a miasto ginęło za naszymi plecami. Jest stary, Wasza Wysokość, to dziedzictwo moich przodków, ale myślę, że pana prośba uradowałaby mojego księcia. Będę zaszczycony, składając go w ręce tak wielkiego wodza.

–Dziękuję – powiedział cicho Roger, wciąż nie odrywając wzroku od ostrza. – Powieszę go tak, żeby stałe go widzieć. Będzie mi przypominał, że są takie chwile, kiedy najlepiej nie używać miecza.

*** * ***

Premier wszedł do sali i stanął jak wryty na widok mężczyzny z mieczem i klęczącego u jego stóp łkającego Nowego Madrytu, przytrzymywanego przez dwóch Mardukan.

–Szukam księcia – powiedział do kobiety twierdzącej, że jest Eleonorą O’Casey. – Rzekomego księcia.

*** * ***

Roger gwałtownie odwrócił głowę. Ruch ten przypominał obrót głowy sokoła, a spojrzenie jego zmodyfikowanych piwnych oczu było równie śmiercionośne, jak wzrok pierzastego drapieżcy.

–Jestem książę Roger Ramius Sergei Alexander Chiang MacClintock – powiedział stanowczo. – A pan, jak sądzę, jest premierem mojej matki?

–Może pan jakoś potwierdzić swoją tożsamość? – spytał z lekceważeniem premier, patrząc na mężczyznę w brudnym kombinezonie, trzymającego miecz i balansującego na jednej nodze. Nieznajomy wyglądał jak postać z tandetnych powieści „historycznych” albo z kabaretu.

–W takich sprawach się nie kłamie – warknął Roger. – Nie tutaj, nie w takiej chwili. – Jestem Roger, Pierwszy Następca Tronu, i proszę pogodzić się z tym faktem. Niezależnie od tego, czy moja matka wróci do zdrowia po cierpieniach, które przeszła, kiedy pan siedział na swojej tłustej, przyrośniętej do stołka, tchórzliwej dupie i nic nie robił, zostanę pewnego dnia Cesarzem. Czy to jasne?

–Tak sędzę – odparł sztywno premier, zaciskając usta.

–A jeśli dobrze pamiętam lekcje wychowania obywatelskiego – ciągnął Roger, patrząc gniewnie na starszego mężczyznę -premier musi uzyskać nie tylko większość w parlamencie, ale także akceptację Cesarza. Pełni pan swoją funkcję z jego woli, nieprawdaż?

–Tak – powiedział premier, wydymając nieznacznie wargi – ale precedensu usunięcia premiera przez Cesarza nie było w naszej tradycji konstytucyjnej od ponad...

Roger podrzucił miecz do góry, złapał go za głowicę, a potem rzucił przed siebie. Miecz przeleciał ze świstem nie więcej niż cztery centymetry od ucha premiera i wbił się w ścianę. Premierowi z wrażenia opadła szczęka.

–Nie interesują mnie precedensy – powiedział książę – a z pana jestem bardzo niezadowolony!

*** * ***

–Niech to szlag! – mruknął pod nosem Victor Gajelis, kiedy na jego ekranie taktycznym pojawiły się nagle nowe ikony. Bardzo dobrze wiedział, co oznaczają, i wcale nie poczuł się przez to lepiej.

–Mamy potwierdzenie, sir – powiedział komandor Talbert. – Wygląda to na krążowniki dwunastej eskadry. Prokurow musiał je wystrzelić dwadzieścia pięć minut temu, bo lecą już z prędkością blisko jedenastu tysięcy kilometrów na sekundę.

Gajelis zacisnął usta, rozważając sytuację taktyczną. Szczerze mówiąc, w jego opinii była do dupy.

Wysyłając swoje krążowniki ze zmniejszonym przyspieszeniem, Prokurowowi udało się je rozpędzić do prędkości większej o dwa tysiące kilometrów niż prędkość czternastej eskadry. Wciąż były oddalone o siedem – prawie osiem – milionów kilometrów od orbity Starej Ziemi, ale ich większa prędkość oznaczała, że przybędą tam na długo przed czternastą. Oczywiście były to tylko krążowniki, ale za to było ich dziewięćdziesiąt sześć.

Żadne sztuczki z krążownikami nie mogą jednak pomóc Prokurowowi, aby jego

nosiciele doleciały do planety przed Gajelisem; czternasta miała dwudziestominutową przewagę. Ale rakiety dwunastej miałyby zasięg na całą orbitę już na godzinę przed przylotem samej eskadry. Żeby wykonać swoje zadanie, Gajelis musiałby zbliżyć się do planety na odległość nie więcej niż trzystu czy czterystu tysięcy kilometrów. Z większej odległości nie mógłby zagwarantować wymaganej przez Gianetta i Adoulę celności, zakładając nawet, że jego rakiety przedostałyby się przez zaporę ogniową okrętów stacjonujących już na orbicie planety. Poza tym niełatwo byłoby stworzyć wrażenie, że za wszystkim stoi książę Roger, gdyby sensory Bazy Księżycowej pokazały wchodzące w atmosferę pociski czternastej eskadry. Nie, musiał zbliżyć się na tyle, by załatwić to bronią kinetyczną, a to oznaczało pojawienie się w zasięgu rakiet nosicieli Prokurowa.

Chyba że...

Zaczął gorączkowo myśleć. Od rozpoczęcia ataku na Pałac minęły prawie dwie godziny. Jego sekcje łączności monitorowały serwisy informacyjne i krążące w sieci spekulacje; było oczywiste, że coraz więcej ludzi jest przekonanych, iż rzeczywiście książę Roger wrócił. W tej chwili jednak większość komentarzy skłaniała się ku temu, że niesławny książę-zdrajca próbuje po raz drugi dokonać przewrotu. Pomysł, że może chodzić o uratowanie Cesarzowej, wciąż spotykał się ze sceptycznym przyjęciem, ale to się może zmienić, kiedy opinia publiczna pozna pierwszy niezależny raport o stanie jej zdrowia.

–Wystrzelić krążowniki – powiedział stanowczo admirał. – Maksymalne przyspieszenie.

Talbert przekazał rozkaz.

–A co z myśliwcami, sir? – spytał po chwili.

–Także wysłać. Skonfigurować je do KPB, jako osłonę krążowników.

–Tak jest, sir.

Chwila wahania komandora nie uszła uwagi Gajelisa, ale ją zignorował. Nie podobało mu się, że tak wcześnie wprowadza krążowniki do walki, ale jego własne okręty wciąż dzieliło od nosicieli Prokurowa osiem minut świetlnych, co oznaczało, że Prokurow dowie się dopiero za osiem minut, że sto czterdziesta flotyła krążowników wystartowała. Osiem minut, które krążowniki Gajelisa mogłyby bez przeszkód wykorzystać do osiągnięcia maksymalnej prędkości. Zakładając, że Prokurow każe swoim krążownikom przyspieszyć do maksimum w chwili, kiedy wykryje sto czterdziestą – co bez wątplenia zrobi – okręty Gajelisa przyspieszą wystarczająco, aby dotrzeć na orbitę cztery minuty przed sto dwudziestą flotyllą, a czternasta eskadra będzie wtedy o dwadzieścia minut bliżej planety.

Krażowniki Gajelisa byłyby poza skutecznym zasięgiem osłon przeciwrakietowych swoich nosicieli, ale pozostawałyby w zasięgu ich rakiet przeciwokrętowych. To samo dotyczyłoby nosicieli Prokurowa, ale Prokurow miałyby o wiele gorsze warunki do celowania. Nie było to na pewno idealne rozwiązanie, ale ten konkretny problem taktyczny po prostu nie miał idealnego rozwiązania. Gdyby krążowniki Gajelisa dostały się w zasięg broni energetycznej, cztery nosiciele eskadry zwanej „Utuczone Cielę”, które bronią planety, zniszczyłyby je, zwłaszcza mając wsparcie rakiet swoich nosicieli.

W ten sposób Gajelis oczywiście straci większość swoich krążowników, tym bardziej że krążowniki Prokurowa tak szybko się do nich zbliżały. Nie miał wątpliwości, że stąd właśnie wzięło się wahanie Talberta. Jemu samemu to też się nie podobało, ale jego skipperzy musieli to zrozumieć.

Musieli wiedzieć, że już są martwi, jeśli Adoula przegra.

* * *

–Wystrzelili krążowniki – powiedział Kjerulf z monitora.

–Tak, zauważyliśmy – odparł sucho kapitan Atilius. Jeśli starszy oficer miał na początku jakieś wątpliwości co do zaangażowania się w konflikt, teraz już nie było po nich śladu. Jest jak stary bojowy rumak, pomyślał Kjerulf, lekko rozbawiony. Corvu Atilius prawdopodobnie powinien być zostać admirałem wiele lat temu, ale zawsze zbyt wiele uwagi poświęcał manewrom i doktrynie taktycznej, przez co oczywiście zaniedbywał rozgrywki polityczne. Bardzo często określano go mianem „nieokrzesanego”, ale z całą pewnością był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu jako starszy oficer eskadry „Utuczone Cielę”.

–Zawsze wiedziałem, że Gajelis ma gówno zamiast mózgu – dodał i pokręcił głową. – Dostanie łomot.

–Może – powiedziała Chantal Soheile ze swojej ćwiartki ekranu – ale my też. Ma przewagę w ilości nosicieli i rakiet, ale tak naprawdę może tylko zwalić się nam na głowy i spróbować nas odepchnąć, zanim Prokurow tutaj dotrze.

–Jasne, ale założę się, że wyśle myśliwce skonfigurowane do kosmicznego patrolu bojowego. On po prostu nie widzi w nich zabójców, którymi są dla niego krążowniki. Poza tym – wyszczerzył zęby – jego ludzie będą musieli poradzić sobie z Glorią, prawda?

* * *

–Sto czterdziesta flotyła wystrzelona, sir – zameldował technik sensorów. – Maksymalne przyspieszenie.

–Doprawdy? – spytał kapitan Benjamin Weintraub, głównodowodzący sto dwudziestej flotylli krążowników. Jego okręty leciały osiemnaście sekund świetlnych przed nosicielami i nie widział powodu, aby marnować jeszcze pół minuty na czekanie na instrukcje od admirała Prokurowa.

–Proszę maksymalnie przyspieszyć.

*** * ***

Kapitan Gloria Demesne, dowódca HMS Bellingham, przyglądała się siatce taktycznej, popijając kawę. Kawa była gorąca, mocna i czarna, ze szczyptą soli. Taką lubiła, czego nie mogła powiedzieć o obecnej sytuacji taktycznej.

Sto pięćdziesiąta flotylla krążowników tak naprawdę składała się z okrętów z czterech różnych eskadr; największa była sto pięćdziesiąta trzecia, której dowódcą była Gloria. Nazwa „Utuczone Ciele” brzmiała kurewsko głupio, ale przecież musieli flotyllę jakoś nazwać. Mieli teraz przed sobą wroga o pięćdziesięcioprocentowej przewadze liczebnej. Niedobrze, ale co tam, pomoc jest już w drodze, a jeśli teraz mieliby się wycofać, trzeba było w ogóle się w to nie mieszać.

imperialne krążowniki wyposażone były w potężną broń energetyczną ale w pierwszej fazie bitwy polegały na zawartości swoich magazynów: rakietach hiperszybkich, kontaktowych fuzyjnych i rentgenowskich. Walczyły połączone w sieci, dzięki czemu każdy okręt był zdolny do lokalnej albo zewnętrznej kontroli swojej strefy działania. Mimo prędkości i siły ognia miały jednak cieńsze niż większość okrętów chromframowe opancerzenie i były pozbawione licznych systemów awaryjnych okrętów z napędem tunelowym. Tamte miały o wiele gorszą manewrowość, ale bez wątpienia były potężne, zwłaszcza w obronie. Chociaż przyspieszenie krążowników pozwalało im osaczać większych od siebie, zawsze wiązało się to ze sporym ryzykiem. Mimo dużej powierzchni do magazynowania rakiet krążowniki miały o wiele mniejszy udźwig niż ich statki-matki. Nie mogły się też z nimi równać pod względem obrony przeciwrakietowej, a to mogło być ważne, gdyż czternasta eskadra właśnie popełniła fatalny błąd.

Czy to przez zwykłą głupotę – Demesne nigdy nie miała dobrego mniemania o inteligencji admirała Gajelisa – czy przez pośpiech, sto czterdzieści cztery okręty sto czterdziestej flotylli krążowników mknęły prosto przed siebie z prędkością sześciu tysięcy dwustu kilometrów na sekundę.

Gajelis chciał, żeby weszły w zasięg umożliwiający zbombardowanie Pałacu bronią kinetyczną, a to oznaczało zmiecenie z drogi czterech nosicieli „Utuczonego Cielaka” i ich krążowników. Tymczasem jego wolniejsze nosiciele zostawały coraz bardziej w tyle za mknącymi krążownikami; kiedy te ostatnie zakręciły, nosiciele były już prawie osiem i pół miliona kilometrów za nimi. Kiedy sto czterdziesta znajdzie się w

odległości skutecznego ostrzału raketowego orbity Starej Ziemi, będzie ją dzielić od nosicieli dwadzieścia siedem i pół miliona kilometrów.

Oczywiście zasięg ognia raketowego był elastyczny. Rakiety były w stanie osiągać przyspieszenie przewyższające trzy tysiące razy ziemskie. Różnica między pociskami wystrzeliwanymi z okrętów klasy nosicieli a mniejszymi polegała na tym, że te pierwsze były w stanie utrzymać to przyspieszenie przez piętnaście minut, podczas gdy mniejsze tylko przez dziesięć. Dawało to większym rakietom skuteczny zasięg ponad dwunastu milionów kilometrów, zaś rakietom krążowników około dwóch milionów siedmiuset tysięcy. Duży wpływ na wielkość tych zasięgów miała prędkość platform wyrzutni, tak samo jak fakt, że napędy rakiet można było wyłączać i włączać, co pozwalało uzyskiwać długie, „balistyczne” tory lotu o praktycznie nieograniczonym zasięgu... ale tylko przeciwko nieruchomym celom. W przypadku celów mogących wykonywać uniki i wyposażonych w najnowocześniejsze systemy walki elektronicznej skuteczny zasięg był o wiele krótszy. Do tego dochodziła jeszcze kwestia aktywnych systemów obrony przeciwraketowej.

W tym konkretnym przypadku obrona przeciwraketowa nosicieli Gajelisa była jednak bez znaczenia. Rakiety nosicieli czternastej eskadry mogły dotrzeć do okrętów Demesne i nosicieli „Utuczonego Cielaka”, ale ich pociski przeciwraketowe nie były w stanie przechwycić ognia skierowanego przeciw krążownikom. Oznaczało to, że sto czterdziesta flotylla była bardziej odsłonięta niż sto pięćdziesiąta, która trzymała się stosunkowo blisko swoich nosicieli, ponieważ miały one na pokładzie dwadzieścia siedem razy więcej wyrzutni pocisków przeciwraketowych niż krążowniki. Nosiciele i krążowniki Gajelisa miały razem około pięciuset sześćdziesięciu wyrzutni rakiet przeciwko trzystu siedemdziesięciu wyrzutniom „Cielaka”, ale za to „Cielę” miało blisko dziewięć tysięcy wyrzutni przeciwraketowych przeciwko siedmiu tysiącom sto czterdziestej. Do tego, co jeszcze istotniejsze, żaden krążownik nie miał takiej kontroli ognia i namierzania jak nosiciel, co oznaczało, że ogień przeciwraketowy „Utuczonego Cielaka” będzie o wiele skuteczniejszy, nie wspominając już o fakcie, że każdy nosiciel miał blisko trzy i pół tysiąca gniazd laserów, niedostępnych dla sto czterdziestej flotylli krążowników.

Gajelis najwyraźniej postanowił poświęcić krążowniki, by okaleczyć „Utuczone Cielę”, zanim jego nosiciele znajdą się w zasięgu krążowników Demesne. Mógł wystrzeliwać rakiety swoich nosicieli falami, z zaprogramowanymi odcinkami lotu balistycznego, tak by dotarły w rejon działania sto czterdziestej w postaci pojedynczej salwy. Gdyby do tego doszło, byłoby niewesoło, ale rakiety sterowane przez systemy zwykłych krążowników były o wiele mniej celne. A gdyby przypadkiem coś złego stało się z platformami kontroli ognia Gajelisa, byłby to dla niego poważny cios.

Z drugiej strony admirał nie ma zbyt wielu możliwości działania, pomyślała Gloria. „Utuczone Cielę”, skoro o tym mowa, też nie, dlatego wiele będzie zależało od tego,

jak obie strony wykonają to, co zaplanowały.

Szczegóły. Zawsze wszystko zasada się na szczegółach.

*** * ***

–Wychodzimy – powiedział astrogator.

–Trochę potrwa, zanim dostaniemy jakieś wiadomości, co się dzieje w układzie – powiedział admirał Helmut, zerkając na Juliana. Obaj znajdowali się w centrum dowodzenia floty i patrzyli na siatki taktyczne, zastanawiając się, czy ich sztuczka zadziała.

–Sir, brak odpowiedzi na standardowe taktyczne sygnały z zewnętrznych platform – zameldował po kilku minutach starszy oficer taktyczny. – Wygląda na to, że trafiliśmy na blokadę.

–Wymierzoną konkretnie w nas? – spytał ostro Helmut.

–Trudno powiedzieć.

–W takim razie skontaktujcie się bezpośrednio z Bazą Księżycową. Powiedzcie im, kim jesteśmy, i poproście, żeby z powrotem włączyli dla nas światło.

*** * ***

–Sir – powiedział nieco nerwowo oficer wykonawczy Marciela Poerteny – jestem daleki od tego, żeby kwestionować rozkazy admirała, ale czy pan naprawdę myśli, że on wie, co robi?

–Nie bądź durniem – odparł Poertena. – Oczywiście, że wie. Tak mi się wydaje.

Spojrzał na swój wyświetlacz. HMS Capodista nigdy, nawet w najbardziej szalonym śnie, nie mógłby zostać uznany za okręt wojenny. Był frachtowcem i przewoził towary. Jediną rzeczą na jego pokładzie, która miała jakikolwiek związek z wojskiem, był napęd, ponieważ statek musiał dotrzymać kroku jednostkom floty, które miał obsługiwać. Na jego nieszczęście oznaczało to, że ma wystarczająco potężny napęd tunelowy i fazowy, by wykonać szalony pomysł Mrocznego Lorda Szóstej Floty.

Capodista, Ozaki i Adebayo nadawały w przestrzeń transponderami HMS Trenchanta, Kershawa i Hrolfa Kraki, znanych też jako sześćdziesiąta trzecia eskadra nosicieli. Nie były jedynymi statkami obsługi, które w jakiś niewytłumaczalny sposób weszły w posiadanie kodów transponderów swoich większych braci.

–Oczywiście, że wie – mruknął jeszcze raz kapitan Poertena, dotykając krucyfiksów pod bluzą munduru.

*** * ***

–Co to jest, do diabła? – spytał admirał Ernesto La Paz, kiedy na jego taktycznym wyświetlaczu pojawiła się nowa grupka ikon. Było to pytanie retoryczne, ponieważ mogła to być tylko jedna rzecz.

–Duża sygnatura napędu tunelowego za rufą! – zawołał w tej samej chwili oficer taktyczny. – Osiemnaście źródeł, na samej Granicy Tsukuyamy.

–Osiemnaście. – La Paz i jego szef sztabu popatrzyli po sobie.

–To musi być Helmut – powiedział szef sztabu.

–Po prostu świetnie – warknął admirał. Przez kilka sekund patrzył jeszcze na wyświetlacz.

–Łączność, nawiązać ciągle taktyczne połączenie ze wszystkimi innymi eskadrami.

–Tak jest, sir.

–Stery dwadzieścia stopni na sterburtę, bez zmiany płaszczyzny. Astrogacja, zacząć wyliczać pierwszy skok do Punktu Able.

*** * ***

–Sir – oznajmił nagle oficer taktyczny – mamy na wprost dwie sygnatury napędu tunelowego; odległość około czterech koma pięć minut świetlnych. Komputer odbiera je jako Courageous i Damoclesa. Lecą w głąb układu z przyspieszeniem jeden koma sześć cztery km/s kwadrat. Obecna prędkość: jeden trzy koma trzy tysiące km/s.

–Ach tak – mruknął Helmut. – To pewnie nasz przyjaciel Ernesto. Ale tylko dwa okręty i już ponad trzynaście tysięcy?

Postukał kciukiem o palec wskazujący, cicho pogwizdując, potem uśmiechnął się blado do Juliana.

–Wygląda na to, że bal zaczął się bez nas, plutonowy. To bardzo irytujące.

–Courageous i Damocles zmieniają kurs, sir – powiedział taktyczny. – Zwrot na sterburtę.

–Oczywiście – parsknął Helmut. – La Paz nie będzie walczył przy stosunku sił jeden

do dziewięciu! I dobrze wie, że nie możemy go złapać, jeśli będzie dalej uciekał, ale bez wątpienia chciałby, żebyśmy spróbowali.

Znów spojrział na Juliana i prychnął, widząc jego zdziwioną minę.

–Ciągłe zapominam, że nie macie pojęcia o manewrach w przestrzeni, plutonowy – powiedział sucho. – Przynajmniej część tego, co się tutaj dzieje, powinna być oczywista. Atak na Pałac musiał się rozpocząć przynajmniej sześć godzin wcześniej niż zaplanowano, bo my przybyliśmy niecałą minutę po wyznaczonej godzinie, mimo naszego małego skoku w bok, a żeby osiągnąć taką prędkość, trzynasta eskadra musiała się rozpędzać już od ponad dwóch i pół godziny. A ponieważ rozkazy wyruszenia szły ze Starej Ziemi do LaPaza ponad dwadzieścia minut, daje nam to dość konkretne pojęcie o tym, kiedy bomba poszła w górę. My niestety wciąż jesteśmy dziewięć koma osiem godziny od Starej Ziemi, dlatego wygląda na to, że nasz plan odciążenia eskadr Adouli od planety przed samym atakiem na Pałac raczej się nie powiedzie.

Julian zeszywniał, ale admirał pokręcił głową.

–To nie znaczy, że mu się nie udało, plutonowy – powiedział z rzadko u niego spotykaną łagodnością. – Właściwie wszystkie do wody wskazują na to, że atak na Pałac zakończył się powodzeniem.

–Jakie dowody?

–Fakt, że platformy rozpoznawcze układu zostały zablokowane, że La Paz leci w głąb układu najszybciej jak może, i że z jego eskadry zostały tylko dwa okręty. Blokada platform może pochodzić z Bazy; to jedyny węzeł łącznościowy w okolicy, który mógłby wyłączyć cały system. Gdyby to Adoula kontrolował sytuację, na pewno nie rozkazałby odciąć własnym jednostkom dostępu do systemu. A więc blokadę najpewniej zarządził ktoś popierający księcia Rogera... a to oznacza, że jego ludzie opanowali Bazę Księżycową. Fakt, że La Paz kieruje się w głąb układu, wskazuje, że Adoula i Gianetto wzywają swoje oddziały, a nie robiliby tego, gdyby nie potrzebowali większej siły ognia ze względu na sytuację na Starej Ziemi. Fakt, że La Pazowi zostały tylko dwa okręty i że połowa jego eskadry jest gdzie indziej, sugeruje, że ktoś dokonał przetasowania sił. Stawiałbym na Kjerulfa, co pasowałoby do zdezerterowania Bazy z obozu Adouli.

–Sir – wtrącił oficer taktyczny – odbieramy dodatkowe sygnatury napędu fazowego. Wygląda na to, że spoza układu nadlatują cztery nosiciele – jesteśmy za daleko, żeby je zidentyfikować – które są około pół minuty świetlnej od Starej Ziemi i hamują w kierunku orbity. Kolejne sześć sygnatur dochodzi z głębi układu; hamują w tym samym kierunku.

–Gajelis i... Prokurow – powiedział z namysłem Helmut i znów zerknął na Juliana. – Sześć nadlatujących od strony Słońca to musi być Gajelis i czternasta eskadra. Domyślam się, że tamte cztery to dwunasta, co prawdopodobnie oznacza, że Prokurow postanowił poprzeć waszego księcia. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego nawet Gianetto potrzebowałby dziesięciu nosicieli i ponad dwóch tysięcy krążowników, by poradzić sobie z atakiem na Pałac. Ale uwaga, mogę się mylić. On zawsze wierzył w zasadę większego młotka.

*** * ***

–Nadlatują. Nadlatuje dużo wampirów! – oznajmił taktyczny.

Gloria Demesne tylko kiwnęła głową. To, że nadlatują, było oczywiste już od trzydziestu minut. Sto czterdziesta flotyła wciąż była ponad piętnaście minut od celu – właśnie zaczynała mieć zasięg na „Utuczonego Cielaka” – ale nosiciele Gajelisa zaczęły odpalać ponad pół godziny temu. Teraz ich wielkie, paskudne rakiety zbierały się w strefie kontroli sto czterdziestej, a same krążowniki otworzyły ogień z maksymalną częstotliwością. Nic dziwnego, że nawet komputery miały problemy z podliczeniem wszystkich pocisków.

Demesne doskonale rozumiała, co planuje Gajelis. Próbuje zgnieść „Utuczonego Cielaka” siłą ognia, podczas gdy jego własne nosiciele pozostają bezpieczne. Nosiciele „Cielaka” mają zasięg na czternastą eskadrę, ale szanse trafienia z tej odległości, zwłaszcza bez własnych krążowników, które dokonałyby ostatecznych korekt kursu, są... kiepskie, delikatnie rzecz ujmując. A gdyby nawet któraś z rakiet trafiła, musiałaby się jeszcze przebić przez obronę przeciwrakietową czternastej. Dlatego właśnie w tej chwili Gajelis może koncentrować swój ogień na wybranych celach, samemu pozostając stosunkowo nietykalnym.

A przynajmniej dopóki nie zabraknie mu krążowników.

Ten plan mógł się udać, ale mógł się też nie udać, zwłaszcza biorąc pod uwagę odległość, z jakiej jego krążowniki otworzyłyby ogień. Ich rakiety lecące z bardzo dużą prędkością przeciążyłyby ich systemy kontroli ognia i miałyby dziesięciosekundowe opóźnienie sygnału w kontroli telemetrii, co zmniejszałoby celność. Imperialna marynarka miała niezłe możliwości walki elektronicznej, nawet z wrogiem wyposażonym w taki sam sprzęt. Odróżnienie prawdziwych celów od fałszywych wymagało bardzo dużej mocy obliczeniowej. Sensory i sztuczna inteligencja rakiet przeciwokrętowych były wysokiej jakości, ale nie miały takich możliwości jak krążownik czy nosiciel, który je wystrzeliwał, więc ostrzał z tak wielkiej odległości oznaczał, że Gajelis godzi się na gorsze naprowadzanie z powodu opóźnień korekt telemetrycznych.

Sam rozmiar wystrzeliwanych przez niego salw też będzie miał znaczenie. Liczba

rakiet nie przeciąży katastrofalnie systemów kontroli ognia jego krążowników, ale je przeładuje, a to oznacza, że komputery będą miały mniej czasu na wyznaczenie każdej rakiecie najlepszego celu. Na ile Demesne znała Gajelisa, zamierzał skoncentrować większą część ostrzału – zwłaszcza cięższe rakiety nosiciele – na nosicielach „Utuczonego Cielaka”, zamiast wytluc nimi lżejsze krążowniki. A tymczasem „Utuczony Cielak” nie zamierzał marnować ani jednej rakiety na nosiciele, zwłaszcza z takiej odległości. Demesne zamierzała wybić krążowniki, bezlitośnie zmiażdżyć mniejsze, słabsze okręty, póki będą poza osłoną swoich nosicieli. Kapitan Atilius, p/o dowódcy „Cielaka”, był przypadkiem skipperem Minotaura, a to oznaczało, że reszta nosicieli eskadry wraz z jej krążownikami przychyliła się do planu taktycznego Demesne.

Dlatego też żadna z jednostek „Cielaka” nie odpaliła jeszcze ani jednej rakiety. Z tej odległości pociski sto czterdziestej potrzebują prawie pięciu minut, by dolecieć do „Cielaka”, a przy maksymalnym tempie ostrzału za piętnaście minut skończy się jej amunicja. Przez te dwadzieścia minut wystrzelą w przestrzeń dużo rakiet, ale Gloria miała wystarczającą liczbę systemów obronnych, żeby sobie z nimi poradzić. Jeśli zaczeka z ogniem, aż odległość do krążowników Gajelisa spadnie do rozstrzygającego dystansu, Bellingham i jego towarzysze będą w stanie kontrolować swoje rakiety aż do momentu osiągnięcia celów, a to oznacza, że ich ostrzał będzie o co najmniej dwadzieścia pięć procent bardziej skuteczny. Oczywiście najpierw muszą przeżyć ostrzał Gajelisa, ale nie ma róży bez kolców.

–Otworzyć ogień, pani kapitan? – spytała porucznik Scargall. Miała ściśnięte gardło i mówiła głosem jeszcze wyższym niż zwykle, a na odczyty patrzyła z pobladłą twarzą, ale Gloria wcale nie miała do niej pretensji. W ich stronę leciało już dobrze ponad czterdzieści pięć tysięcy rakiet, a żaden z okrętów „Utuczonego” jeszcze nie otworzył ognia.

–Nie, pani porucznik – odparła ochryplym głosem. Wstuknęła polecenie i rozległ się pulsujący beat, po czym kapitan wyciągnęła laseczkę pseudonikotyny. Odgarnęła z oczu lok rudych włosów i przypaliła laskę.

–Wstrzymać ogień, aż podejda bliżej. Chodź do mnie, miłości moja – szepnęła. – „Fifteen thousand tears I've cried...”.

Miała cholernie dobry głos. Kiedyś, zanim zabił go dym pseudonikotyny. Ale nie ma róży bez kolców.

–„Screaming, deceiving and bleeding for you...”.

* * *

–Milczą, panie admirale – powiedział komandor Talbert.

–Niewiele więcej mogą zrobić. – Gajelis wzruszył ramionami. – Przylecieli tutaj po to, żeby nie dopuścić nas do planety. Właściwie dziwi mnie tylko to, że nie wysłali krążowników, żeby przechwyciły nasze jeszcze dalej od orbity.

–Mieli ponad trzy godziny na rozstawienie sił, więc powinni już być dalej. I gdzie są ich myśliwce?

–Prawdopodobnie nie wiedzieli dokładnie, kiedy się nas spodziewać – odparł Gajelis i skrzywił się. – To właśnie cały problem z przewrotami, komandorze: cholernie trudno jest dopilnować, żeby wszyscy byli gotowi zacząć w odpowiedniej chwili. Pewnie wiedzą, że jesteśmy dopiero pierwszą eskadrą, którą będą mieli na karku, dlatego rozgrywają to najostrożniej jak się da, ale wciąż nie mogą nas wpuścić w kinetyczny zasięg Imperial City. Co do myśliwców, to najwyraźniej trzymają je na pokładach nosicieli. Zważywszy na nierówny układ sił, będą chcieli je wysłać z maksymalnym ładunkiem leviathanów. Za minutę czy dwie wystrzelą je z północy albo południa układu.

–Atilius jest podstępny – zauważył Talbert – a Demesne jeszcze bardziej. To nie w ich stylu, sir.

–W takiej bitwie nie ma czegoś takiego, jak „styl”, komandorze -powiedział admirał, marszcząc brew. – Po prostu tak długo odpala się rakiety, aż jedna strona wycofa się albo zginie. Mamy większą siłę ognia, więc wygramy.

–Tak jest, sir – odparł Talbert, starając się wykrzesać z siebie trochę więcej entuzjazmu. Ale nie było łatwo, zwłaszcza że wiedział, iż krążowniki Prokurowa są tak blisko, że za jakieś dziesięć minut zaczną „wyrównywać” układ sił.

–Eskadra „Utuczone Cielę” właśnie wystrzeliła myśliwce – zameldował oficer taktyczny.

–Widzi pan? – powiedział admirał. – Rzućmy monetą, czy pójdą nad krążownikami, czy pod nimi.

*** * ***

–Lecą!

Nie był to profesjonalny meldunek, pomyślała Demesne, ale w tych okolicznościach można było przymknąć na to oko.

Przestrzeń między Słońcem i Starą Ziemią zamieniła się w huragan szalejącego zniszczenia. Pociski przeciwraketowe pomknęły na spotkanie litej ściany rakiet. Wybuchające główce zbliżeniowe błyskały jak flesze z epoki przedkosmicznej na jakiejś dużej sportowej imprezie. Stroboskopowe bańki nuklearnej furii wyglądały jak

siarka pryskająca przez otwarte bramy piekieł. Pociski zaczęły trafiać milion kilometrów przed orbitą, wyrывая olbrzymie dziury w fali rakiet mknących w stronę „Utuczonego Cielaka”, ale wir zniszczenia parł niepowstrzymanie do przodu. Wystrzelono osiemdziesiąt cztery tysiące rakiet do zaledwie stu celów, ale nic w całym wszechświecie nie mogło ich zatrzymać.

Kiedy odległość spadła do siedemdziesięciu tysięcy kilometrów i chaos zniszczenia jeszcze się podwoił, gniazda laserów otworzyły ogień. Rakiety sto czterdziestej nadlatywały z prędkością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na sekundę, co dawało laserom niecałe trzy sekundy na reakcję, ale przynajmniej systemy naprowadzania miały dużo czasu, żeby opracować plan ostrzału. Ogień krążowników Demesne był więc zabójczo skuteczny, a cztery nosiciele siały jeszcze większe zniszczenie.

Potem zaczęto detonować laserowe głowice. W przypadku okrętów z chromframowym pancerzem, nawet tak lekkich jak krążowniki, najpotężniejsze głowice laserowe miały maksymalny zasięg poniżej dziesięciu tysięcy kilometrów; w przypadku nosicieli wartość ta spadała o połowę. Krążowniki zaczęły obrywać, ale Demesne i Atilius mieli rację: ponad siedemdziesiąt procent nadlatujących rakiet było wymierzonych w nosiciele lecące sto tysięcy kilometrów za krążownikami.

Sto pięćdziesiąt flotyła obróciła się lepszymi burtowymi sensorami w stronę rakiet, które już ją minęły, chociaż jej własne okręty dostawały tęgie baty. Trzydzieści procent z osiemdziesięciu czterech tysięcy rakiet dawało „tylko” dwieście sześćdziesiąt rakiet na jeden krążownik, tak więc nawet przy marnym naprowadzaniu i wsparciu nosicieli bardzo wiele z nich docierało do celu.

* * *

Porucznik Alf Washington odchylił się w fotelu i ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami patrzył przez szklastalową pokrywę kabiny na gwiazdy. Myśliwce, zwłaszcza lecące minimalnym ciągiem, miały bardzo niewielką sygnaturę. Zauważenie ich z odległości większej niż sekunda świetlna wymagało wizualnego namierzenia, a kosmiczne myśliwce nie bez powodu malowano na czarny, pochłaniający światło mat. Ponadto były bardzo, bardzo szybkie; przy przyspieszeniu ośmiu km/s kwadrat mogły szybko nabierać prędkości, a w przestrzeniach międzyplanetarnych nawet sygnatury ich napędów fazowych były trudne do zauważenia.

Porucznik sprawdził swojego tootsa i w milczeniu pokiwał głową, czytając dane przesyłane do jego dywizjonu wiązką laserową.

–Chryste, Gajelis jest głupi jak but – mruknął, zamykając oczy.

–A ja się cieszę jak cholera, że nie jestem w krążowniku.

HMS Bellingham zakołysał się, kiedy kolejna skupiona wiązka promieniowania trafiła w jego opancerzoną burtę.

–Reaktory dziesięć i czternaście wysiadły – zameldował oficer taktyczny – ale wciąż mamy kontrolę nad raketami.

Przy całej swojej wytrzymałości krążowniki nie były nawet w przybliżeniu tak opancerzone jak nosiciele. Nawet graser okrętu najcięższej klasy – albo przednia broń krążownika takiego jak Bellingham – nie mogły przebić takiego pancerza z odległości większej niż czterdzieści tysięcy kilometrów. Klapy wyrzutni i gniazda broni były bardziej delikatne, więc otoczono je ciężkimi chromframowymi grodziami, by zminimalizować uszkodzenia. Z praktycznego punktu widzenia walka bronią energetyczną musiała się toczyć na odległość poniżej osiemdziesięciu tysięcy kilometrów, żeby wyrządzić przeciwnikowi jakieś szkody, a w połowie tej odległości, jeśli starcie miało być rozstrzygające. Rakiety musiały jeszcze bardziej się zbliżyć, ale z drugiej strony było im wszystko jedno, czy przeżyją to doświadczenie.

Krążowniki było nieco łatwiej zniszczyć. Bellingham znów się zakołysał.

–Ciężkie uszkodzenie, bakburta przód! – doniosła kontrola uszkodzeń. – Przebicie kadłuba, wręgi trzydzieści siedem do czterdzieści sześć. Magazyn trzeci otwarty.

–To nic, zdążyliśmy już wypuścić ptaszki z klatki – powiedziała Demesne, pocierając poręczę fotela. Miała już puste wyrzutnie i teraz starała się tylko przetrwać tak długo, by sprostać zakłóczaczom eskadry Adouli przez łącza zdalnego namierzania rakiet. – Niech jeszcze tylko przez chwilę nie zmadrzeją...

–Leci następ... – zaczął taktyczny, a potem Bellingham zakołysał się jak łajba podczas sztormu.

Centrum informacji bojowej wygięło się i jęknęło, jakby jakiś rozwścieczony olbrzym zgniótł je w dłoniach. Demesne poczuła, że jej fotel wyrывa się z mocowań, a zaraz potem zgasło światło. Kiedy się ocknęła, leżała na boku, wciąż przypięta do fotela, a jej ręka... wyglądała bardzo niedobrze.

–Kontrola uszkodzeń! – zaskrzeczała kapitan, uderzając zdrową ręką w przycisk szybkiego rozpinania pasów. Wtedy zauważyła, że na mostku nie ma ciążenia.

–Wykonawczy!

Nikt się nie ruszał. Porucznik Scargall wciąż siedziała wyprostowana na swoim miejscu, ale kończyła się tuż nad talią. To, co z niej zostało, utrzymywał w fotelu przeciągnięty przez uda pas. Innych załatwiła fala uderzeniowa i odłamki.

–Niezła rana, pani porucznik – powiedziała Demesne. Kręciło jej się w głowie i uświadomiła sobie, że chichocze.

–Pani kapitan? – spytał pierwszy oficer przestraszonym głosem. – Już myślałem, że po pani!

–Nic z tego, wykonawczy, nic z tego. Jest bardzo źle?

–Ciężkie uszkodzenia fuzyjnej trzeciej i piątej. Mostek dostał, to chyba oczywiste. Awaryjne centrum informacji bojowej jest gotowe. Ekipy naprawcze są już w drodze.

–Walczymy dalej? – spytała, łapiąc się kawałka złomu, który kiedyś był wartą milion kredytów stacją kontroli uzbrojenia. Trudno, były jeszcze inne. Przynajmniej miała taką nadzieję.

–Jeszcze się nie poddaliśmy – powiedział wykonawczy. – Mamy miejscowe zakłócenia grawitacji.

–Jasne. – Demesne odepchnęła się i przeleciała przez zdemolowane pomieszczenie do pancernego wjazdu. Był pocięty, a wyświetlacz na klawiaturze dostępu nie działał. Kapitan przez chwilę rozważała problem, a potem podciągnęła się wzdłuż grodzi do dużej dziury w pancierze, który miał chronić mostek. Już niemal do niej dotarła, kiedy wróciło ciśnienie; co prawda tylko w połowie mocy, ale lepsze to niż latanie.

Przyjrzała się przebitej grodzi. Dziura, choć bez wątpienia duża, miała nierówne krawędzie. Korytarz za mostkiem został porządnie przemielony, a w pokładzie ziała dziura o ponadmetrowej średnicy. Mrok korytarza rozświetlała niczym starodawna żarówka czerwien topiącego się metalu. Demesne nie była w formie, żeby przeskakiwać jakieś dziury, a tym bardziej z poszarpanymi, ostrymi jak noże krawędziami. Wolą nie myśleć, co by się stało z jej nie opancerzonym skafandrem, gdyby skoczyła i nie trafiła w sam środek dziury. Nie mogła sobie pozwolić na żadne uszkodzenia skafandra, tak samo jak nie mogła wylądować za blisko, na tej rozgrzanej patelni. W przedziale nie było atmosfery, ale nic dziwnego, skoro Gloria mogła zobaczyć przez półtorametrową dziurę w suficie korytarza gwiazdy. Ta cholerna dziura przechodziła przez pół jej okrętu! A podejrzewała, że to nie jest jedyna wyrwa. Pewnie by ją zirytowało, gdyby łatwo się denerwowała.

Ale teraz nie ma czasu na takie rozmyślenia. Trzeba zastanowić się, jak się wydostać ze zniszczonego mostka i przejść na awaryjny. A tymczasem – musiała to przyznać – nie myślała o jej najlepiej, pewnie przez ból złamanej ręki, a może po tym, jak przeleciała przez cały mostek.

Wciąż rozważała swój stan – i stan swojego okrętu, tak samo zły albo i gorszy- kiedy niespodziewanie jakiś opancerzony marinę zajrzał przez otwór do środka.

–Jasna cholera! – powiedział na lokalnej częstotliwości. – Pani kapitan Demesne? Pani żyje?

–A nie widać? – warknęła ostro. – Czy jeszcze ktoś inny nosi ten czerwony strój Mikołaja?

–Nie, ma'am. To znaczy tak, ma'am. To znaczy...

–Przestańcie się jąkać, tylko się kładźcie – powiedziała Demesne, pokazując żarzące się krawędzie dziury.

–Ma'am? – Marinę wyraźnie nie rozumiał.

–Połóżcie się na dziurze – powiedziała wolno i wyraźnie, jakby tłumaczyła dziecku.

–Tak jest, ma'am. – Żołnierz odłożył działko plazmowe i posłusznie rozciągnął się w poprzek otworu.

Kapitan Demesne przez chwilę mu się przyglądała, a potem położyła się ostrożnie na jego pancernych plecach i wyczołgała się ze zniszczonego mostka.

*** * ***

Komandor szarpnęła myśliwcem Bogdan w bok, kiedy rakieta z krążownika na planetarnej północy pomknęła w kierunku jej eskadry. Krążowniki nie walczyły już ze zwykłą zaciętością po razach, jakie zebrały od sto czterdziestej eskadry.

To dobrze, ale jej celem nie były krążowniki „Utuczonego Cielaka”. Jej zadaniem było przechwycenie myśliwców „Cielaka”, zanim zbliżą się na tyle, by odpalić rakiety przeciwokrętowe leviathan.

W kadłubach myśliwców floty mieścił się fazowy napęd grawitacyjny Protessa-Sheehan i pole antygravitacyjne Frederickson-Hsu, które łagodziło zabójcze dla ludzi skutki napędu fazowego. Obecne myśliwce marynarki, Eagle III, miały największe objętościowo kadłuby, jakie można było zamknąć w polu zdolnym do przyspieszenia rzędu pełnych ośmiuset przyspieszeń ziemskich.

Cała maszyna napędowa, w połączeniu z systemami podtrzymywania życia, koniecznymi komputerami nawigacyjnymi i inną elektroniką oraz lekkim, strzelającym na wprost uzbrojeniem laserowym, powodowała, że w środku nie było już ani trochę wolnego miejsca, a Eagle III był zdolny jedynie do bardzo ograniczonych manewrów w atmosferze. Napęd fazowy w atmosferze nie działał, a chociaż antygrav (po przeróbkach) zapewniał ciąg, również nie był do tego przeznaczony, tak samo jak awaryjne reakcyjne dopalacze myśliwca nie dawały nawet ułamka mocy na przykład promu szturmowego. Promy szturmowe z napędami reakcyjnymi miały w środku

mnóstwo miejsca na ładunek, podczas gdy wymogi objętościowe napędów myśliwca oznaczały, że cały ładunek musiał być podczepiany na zewnątrz.

W zależności od rodzaju ładunku Eagle III był w stanie zabrać do pięciu dużych, inteligentnych leviathanów. Rakiety te były słabsze od pocisków wyrzutni przeciwokrętowych. Przyspieszały o czterdzieści procent szybciej, ale maksymalna długość ich lotu z napędem wynosiła tylko trzy minuty. Poza tym w przeciwieństwie do ракет wystrzeliwanych z okrętów, ze względu na swój niewielki rozmiar miały napęd, którego nie można było dowolnie włączać i wyłączać, co oznaczało, że miały zasięg około 667000 kilometrów i maksymalną prędkość 7560 km/s. Były także wyposażone w bardzo sprawne układy zakłócające i naprowadzające. Krótko mówiąc, miały mniejszy zasięg i były mniej elastyczne, ale cholernie trudno było je zatrzymać bronią przeciwrakietową, dlatego trzeba je było trzymać z dala od nosicieli.

Myśliwce z jednostek „Utuczonego Cielaka” pędziły przed siebie z dużym przyspieszeniem, zamierzając skrócić odległość do sto czterdziestej jeszcze przed odpaleniem. Myśliwce Bogdan były uzbrojone właśnie do walki z myśliwcami, nie były więc obciążone nieporęcznymi raketami. W miejsce leviathanów mogły zabrać do czternastu raket przeciwmyśliwcowych/przeciwrakietowych astaroth albo osiem astarothów i dwie rakiety-wabiki foxhawk. Dawało im to zdecydowaną przewagę w bezpośredniej walce, do tego zostały wystrzelone w idealnie wyliczonym momencie. Myśliwce „Utuczonego Cielaka” miały przed sobą jeszcze czternaście tysięcy kilometrów, zanim będą mogły odpalić rakiety, a do tego czasu eskadra Bogdan zdąży rzucić się na nie jak tygrys na... na utuczone ciele.

–Przygotować się do otwarcia ognia – powiedziała komandor myśliwca Bogdan, uzbrajając astarothy.

–Pani komandor – powiedział nagle Peyravi z czwartego dywizjonu. – Pani komandor! Identyfikacja wizualna! To nie są myśliwce!

Komandor zbladła i przełączyła swoje systemy wizualne na automatyczne namierzanie, próbując wypatrzeć cele. W końcu kiedy coś zasłoniło gwiazdę i system załapał, zaklęła.

–Sukinsyny. – Przełączyła się na częstotliwość floty. – Sukinsyny,

sukinsyny, sukinsyny. Mickey, Mickey, Mickey! – krzyknęła, wymuszając priorytetowe połączenie z centrum dowodzenia eskadry nosicieli. – To bezzałogowe foxhawk-2! Powtarzam, to foxhawk dwójki!

*** * ***

–Czarna Owca, Czarna Owca – odezwał się niespodziewanie komunikator

Washingtona.

Eskadry myśliwców Adouli powinny już być wystarczająco blisko foxhawków, by je zidentyfikować wizualnie. Wystrzeliana z okrętów wersja standardowych makiet myśliwców była duża i potężna, ale nie aż tak duża, by w nieskończoność oszukiwać sensory, a to oznaczało, że przyszła pora się ruszyć. Washington ustawił fotel w konfiguracji bojowej i zaczął uruchamiać kolejne systemy.

–Tak jest, sir- powiedział niskim głosem. – Trzy pełne worki...

[Nawiązanie do angielskiej kołysanki: „Bee, bee, czarna owieczko, czy masz jakąś wełną? Tak, proszę pana, tak, proszę pana, trzy pełne worki”, (oryg.: „Baa, baa, black sheep, have you any wool? Yes sir, yes sir, three bags full”) [przyp. tłum.]].

*** * ***

Admirał Gajelis usłyszał właśnie hasło „Mickey”, kiedy komandor podporucznik pokiwał głową.

–Pojawiają się myśliwce Eagle – powiedział. – Musiały czekać w zaciemnieniu. Północ polarna trzy-jeden-pięć. Zbliżają się z prędkością cztery-trzy-siedem-pięć! Odległość dwa-pięć-trzy-dwa-pięć-zero!

–Mam odczyty systemów naprowadzających leviathanów! – powiedział technik sensorów. – Dwieście... pięćset... tysiąc pięćset jednostek! Wampir! Wampir, wampir, mamy separację rakiet! Siedem i pół tysiąca, powtarzam, siedem-pięć-zero-zero wampirów leci w naszą stronę! Uderzenie za sześć sekund!

Komandor Talbert poczuł skurcz mięśni brzucha. Tysiąc pięćset myśliwców? To niemożliwe! Chyba że...

–Odpalić wszystkie rakiety obronne, maksymalna szybkość! – warknął Gajelis. – I niech myśliwce wracają tutaj!

–Jakbyśmy jeszcze mieli czas – mruknął Talbert, przekazując rozkazy.

*** * ***

Gloria Demesne wpadła na zastępczy mostek w chwili, kiedy myśliwce uruchomiły pułapkę. Nie były to tylko myśliwce „Utuczonego Cielaka”; Prokurow posłał przodem własne, z maksymalnym przyspieszeniem, jeszcze przed krążownikami. A myśliwce z bazy Kjerulfa zameldowały się na pozycjach już ponad godzinę temu. Było mnóstwo czasu, by rozstawić zwrotne pasożyty i wygasić ich emisje. Teraz myśliwce opróżniały swoje ciężkie ładunki leviathanów w stronę niczego nie podejrzewających nosicieli z odległości, która była kosmicznym odpowiednikiem walki na noże.

W normalnych okolicznościach rakiety myśliwców miałyby bardzo niewielkie szanse na znaczące uszkodzenie potężnie opancerzonego nosiciela, z drugiej jednak strony dowódca takiego nosiciela nie byłby na tyle głupi, by dopuścić tysiąc pięćset myśliwców lecących z prędkością zbliżeniową ponad czterech tysięcy kilometrów na sekundę na odległość dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów.

*** * ***

–O nie – powiedziała cicho kapitan Demesne. – Nigdzie się nie wybieracie.

Myśliwce „Utuczonego Cielaka”, już bez rakiet, wracały z maksymalnym przyspieszeniem do swoich nosicieli i oddawały pole krążownikom przeciwnika. Ale sto czterdziesta flotylla... miała dokumentnie przejebane.

Demesne straciła pięćdziesiąt siedem ze swoich dziewięćdziesięciu sześciu okrętów, ale sto czterdziesta straciła osiemdziesiąt osiem okrętów i pozostało jej tylko pięćdziesiąt sześć. Wyczerpała także zapas rakiet, a jej nosiciele były w tej chwili zbyt zajęte walką o przeżycie z przycajonymi myśliwcami, by martwić się o swoje pasożyty. Jedynym wyjściem dla krążowników było więc rzucić się na sto pięćdziesiątą i zewrzeć się w walce na broń energetyczną, gdzie ich przewaga liczebna wciąż mogłaby być odczuwalna. Ale niestety, wszystkie traciły atmosferę, a co gorsza, wszystkie znajdowały się w zasięgu rakiet nosicieli „Utuczonego Cielaka”.

Nosiciele również nie wyszły bez szwanku z raketowego holokaustu. Gloria kapitana Juliusa Fenreca była rozwalona na kawałki – co być może nie było dobrą wróżbą dla niektórych dowódców krążowników – a jej ocalała załoga ewakuowała się, choć nie było nawet pewności, czy wszyscy zdołają uciec, zanim padnie uszkodzony reaktor dwunasty. Pozostałe trzy nosiciele zaimprovizowanej eskadry wciąż walczyły; w przeciwieństwie do Glorii, ich uszkodzenia były dość powierzchowne. Straciły niewiele wyrzutni, kiedy więc ich myśliwce tłukły nosiciele Gajelisa, one same mogły zaatakować ocalałe krążowniki wroga.

Oczywiście pozostały jeszcze te wszystkie rakiety, które myśliwce posłały prosto w zęby czternastej eskadry i które powinny już dotrzeć do celu...

–Detonacje na nosicielach – zameldował zastępca oficera taktycznego. – Liczne detonacje! Jasna cholera, Melshikov po prostu zniknął!

*** * ***

–Panie admirale – powiedziała komandor podporucznik Clinton z taktycznego dwa, kaszląc z powodu dymu, który zasnuł mostek. Centrum dowodzenia nie straciło atmosfery i komandor wciąż jeszcze nie założyła hełmu. – Melshikova nie ma, a Porter melduje krytyczne uszkodzenia. Pozostali są nietknięci... mniej więcej.

Victor Gajelis zgrzytnął z wściekłości zębami. Kto by uwierzył, że myśliwce mogą spowodować takie straty?

Spojrzał na schemat uszkodzeń Trujilla. Atak myśliwców skoncentrował się na Melshikovie i Porterze i praktycznie oba zostały zniszczone. Wprawdzie Porter był jeszcze w jednym kawałku, ale stracił dwie trzecie swoich możliwości bojowych, miał paskudnie uszkodzony napęd fazowy, a jego napęd tunelowy w ogóle nie działał. Nie mógł przetrwać bitwy ani nie mógł jej uniknąć, więc gdyby Gajelis nie rozkazał ewakuować załogi, równie dobrze mógłby ją osobiście rozstrzelać.

–Wygląda na to, że Gloria się ewakuuje – dodała Clinton, a admirał kiwnął głową. Dorwali przynajmniej jednego z tych drani, ale to nie zmniejszało ich własnych strat ani nie znaczyło, że pozostałe cztery nosiciele wyszły ze starcia bez szwanku. Trujillo prawdopodobnie był najmniej z nich wszystkich uszkodzony, a przecież mocno oberwał. Stracił jedną czwartą wyrzutni rakiet, prawie tyle samo graserów i jedną trzecią gniazd laserów, a do Starej Ziemi wciąż jeszcze miał półtorej godziny lotu.

–Sir- powiedział cicho komandor Talbert. – Proszę spojrzeć na taktyczny trzy.

Gajelis zerknął w bok i jeszcze mocniej zacisnął zęby; właśnie wybuchały jego ostatnie krążowniki.

–Trzy nosiciele z „Utuczonego Cielaka” wciąż są całe, sir – zauważył Talbert tym samym cichym głosem. – Krążowniki Prokurowa znajdują się za cztery minuty na orbicie planety z pełnymi magazynami, a jego nosiciele przylecą za niecałe dwie godziny.

Gajelis ze złością przytaknął. Czuł, że pora się wycofać, ale wciąż nie mógł tego zrobić. Tak, jego okręty są w kiepskim stanie, ale Gloria właśnie wyleciała w powietrze – eksplozja była tak jasna, że było ją widać z dwudziestu sześciu milionów kilometrów – a trzy nosiciele strzegące orbity są tak samo uszkodzone, jak jego cztery nosiciele. Do tego flotylla krążowników „Cielaka” została skutecznie wypatroszona, a jego myśliwce uciekają, ścigane przez myśliwce Gajelisa. Gdyby nie nosiciele Prokurowa, mógłby sobie poradzić z jego krążownikami i nosicielami Atiliusa. Jeśli znów da maksymalne przyspieszenie, przemknie obok Starej Ziemi i w przelocie zniszczy Pałac...

*** * ***

–Mamy dostęp do układowych platform rozpoznania, panie admirale! – zawołał oficer taktyczny.

–Przyszła zakodowana wiadomość z Bazy Księżycowej – zameldowała łączność.

–Panie admirale – kontynuował taktyczny – platformy układowe meldują o licznych

emisjach napędów fazowych zbliżających się do Starej Ziemi. Dużo elektroniki, sir; jest zakodowana i ciężko nam to odszyfrować. Wygląda na trzy eskadry. Odbieramy ich identyfikacje. Jedna to czternasta eskadra, ale pozostałe dwie podają się za „Utuczone Cielę Jeden” i „Utuczone Cielę Dwa”.

–„Utuczone Cielę”? – zdziwił się Julian.

–To z Biblii – powiedział podekscytowany Poertena. – Piecze się jebanego utuczonego cielaka, kiedy wraca syn marnotrawny.

–W rzeczy samej – zgodził się z uśmiechem Helmut. – Plutonowy Julian, naprawdę musicie uzupełnić braki w odczytaniu.

Spojrzał na ikony siatki swojego repeatera.

–Trzy okręty w jednej eskadrze zgłaszającej się jako „Utuczone Cielę”. I cała dwunasta eskadra, która zgłasza się jako „Utuczone Cielę Dwa”.

–Aktualizacja danych ukończona – powiedział oficer taktyczny.

* * *

–Admirał La Paz melduje o więcej niż jednej sygnaturze napędu tunelowego, sir. Wygląda to na kolejną flotę.

Przez kilka sekund panowała cisza, a potem komandor podporucznik Clinton odchrząknęła.

–Mam potwierdzenie, sir. Według obliczeń admirała La Paza to osiemnaście okrętów.

Gajelis spojrział na własny wyświetlacz zaktualizowany przez centralne komputery, a potem pokręcił głową.

–To nie są siły księcia Jacksona – mruknął. – Nie tak liczne i nie z tego kierunku.

–To Helmut – powiedział Talbert.

–Tak, to Helmut – przytaknął gorzko Gajelis. – Mroczny Lord Szóstej Floty. Szlag by trafił tego zdrajcę!

Komandor Talbert wolał roztropnie nie wspominać, że określenie „zdrajca” jest w tych okolicznościach bardzo niejednoznaczne.

–Będziemy musieli się wycofać.

–Dokąd? – Talbert nie potrafił ukryć gniewu w swoim głosie.

–Poczyniono już pewne ustalenia – odparł stanowczo Gajelis. – Proszę wydać eskadrze rozkaz oderwania się od przeciwnika i skierowania w stronę punktu skokowego. Plan lotu Leonidas. Muszę się z kimś porozumieć.

*** * ***

–To tyle w temacie czasu – westchnął Helmut i wstukał polecenie w swój repeater. Pojawił się o wiele większy hologram, pokryty ikonami, które Julianowi zupełnie nic nie mówiły.

–O, właśnie tego szukamy! – powiedział, pokazując palcem niektóre symbole. Skala hologramu była tak mała, że ikonki wydawały się w ogóle nie poruszać, ale towarzyszące im kody wektorów twierdziły co innego.

–Co to jest? – spytał Julian.

–Czternasta eskadra. No cóż...

Zmarszczył czoło, rozwinął jakąś listę i pobieżnie ją przejrzał.

–To była czternasta eskadra – podjął. – Teraz to czternasta bez dwóch nosicieli. Najwyraźniej trochę oberwała, ale wciąż są tam te okręty, na których nam zależy.

–Dlaczego akurat na nich?

–Ludzie, plutonowy, ludzie. – Helmut westchnął. – Nie chodzi o okręty, tylko o umysły ludzi na ich pokładach. Czternasta to najwierniejsza eskadra Adouli. Dokąd książę mógł umknąć? Do eskadry, która dała nogę natychmiast, kiedy pojawiła się moja flota. Dlatego właśnie kazałem admirałowi Niedermayerowi polecieć tam, dokąd poleciał.

–Uda się?

–Cóż, niedługo zobaczymy, nieprawdaż? – Admirał wzruszył ramionami. – Oni nie są dokładnie tam, gdzie mieli być, przez to, że wasz książę musiał wcześniej zacząć. Przypomnijcie mi, żebym omówił z nim znaczenie trzymania się planu operacji.

Wyszczrzył zęby w wąskim uśmiechu.

–Będziemy musieli poczekać na rozwój sytuacji. Tak czy inaczej, mamy trochę czasu.

Wyłączył siatkę operacyjną i wywołał zamiast niej trójwymiarową szachownicę.

–Gracie, plutonowy?

*** * ***

–Żałuję, że nie mogę powitać pana na pokładzie w lepszych okolicznościach, Wasza Wysokość – powiedział Victor Gajeis, kiedy do jego kajuty wprowadzono księcia Jacksona. Admirał skłonił głowę, a Adoula zmusił się, żeby go nie skłąć. Okazało się, że Gajeis wcale nie jest najzdolniejszym oficerem imperialnej marynarki, ale niestety wszyscy lepsi od niego pracowali dla drugiej strony, co oznaczało, że księżę będzie musiał zadowolić się tym, co ma.

–Nie mógł pan przewidzieć, że Prokurow okaże się zdrajcą -powiedział, kiedy Gajeis się wyprostował. – Ja i generał Gianetto też nie. Poza tym zupełnie nie pojmuję, jakim cudem tak dokładnie skoordynowali przybycie Helmuta. Wiem, że gdyby nie on, wciąż mógłby pan przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, Victor.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – odparł Gajeis. – Moi ludzie dali z siebie wszystko, ale kiedy Prokurow przeszedł na stronę wroga, a Helmut jeszcze bardziej powiększył jego siły...

–Obawiam się, że nie tylko Prokurow – przerwał mu z ponurą miną Adoula. – Admirał Wu też zmieniła strony. Kapitan Ramsey odmówiła przejścia na stronę wroga, ale pozostałe trzy nosiciele poparły admirał. Hippogriffzostał zniszczony, ale Ramsey poważnie poszczerbiła Chimere i Halketta, zanim zginęła. Teraz jako wsparcie pozostają nam tylko eskadry jedenasta, trzynasta i piętnasta; trzynaście naszych nosicieli przeciwko ich dwudziestu sześciu, licząc dezercje z Wielkiej Floty. Miał pan rację, admirał, odrywając się od przeciwnika. Pora wycofać się i przygotować do kontrataku. Generał Gianetto i ja już przekazaliśmy ten rozkaz pozostałym eskadrom. Admirał Mahmut dołączy do pana po drodze do Granicy Tsukuyamy. Admirał La Paz i admirał Brettle niezależnie od siebie udadzą się na umówione miejsce spotkania.

*** * ***

–Czternasta eskadra zmieniła kurs, sir – zameldował oficer taktyczny dwadzieścia siedem minut później. – Oderwała się.

–Doprawdy? – Helmut nawet nie oderwał wzroku od szachownicy, rozważając ostatni ruch Juliana. Przesunął jedną ze swoich wież, a potem zerknął na taktycznego. – Rusza na północ układu, tak?

–Tak, sir. – Jasnowidztwo Helmuta najwyraźniej nie zrobiło żadnego wrażenia na taktycznym.

–To dobrze. – Admirał skierował wzrok z powrotem na szachownicę. – Chyba wasz

ruch, plutonowy.

–Skąd pan wiedział, sir? – spytał cicho Julian. Helmut zerknął na niego, unosząc brew. – Skąd pan wiedział, że on poleci na północ?

–Gajeiis pochodzi ze Starej Ziemi, z prowincji Auroria. Jest pływakiem. Co robi pływak, kiedy za długo jest pod wodą?

–Wy pływa na powierzchnię.

–I on to właśnie robi, próbuje się przebić na powierzchnię. – Helmut wskazał ruchem głowy wyświetlacz taktyczny. – Kiedy musi pionowo dotrzeć do Granicy, cztery razy na pięć leci do góry.

Wzruszył ramionami.

–Nigdy o tym nie zapominajcie, plutonowy. Danie przeciwnikowi szansy na przewidywanie naszych działań to jeden z nielicznych rzeczywiście niewybaczalnych grzechów. Admirał Niedermayer zademonstruje to za jakieś osiem godzin.

* * *

–Proszę mi wybaczyć, panie admirale, ale mamy problem – powiedział komandor Talbert, wchodząc do sali, w której Adoula i Gajeiis rozmawiali drogą elektroniczną z admirałem Minerou Mahmutem. Trzy nosiciele piętnastej eskadry Mahmuta spotkały się niecałe dziesięć minut wcześniej z czternastą. Teraz obie eskadry leciały razem do Granicy Tsukuyamy, niecałe cztery minuty świetlne przed nimi.

–Jaki problem? – spytał z irytacją Gajeiis. Przy obecnej charakterystyce lotu od granicy dzieliło ich dwadzieścia pięć minut.

–Przed nami pojawiło się siedem sygnatur napędu fazowego, sir. Odległość dwie koma pięć minut świetlnych.

–Cholera! – warknął Adoula. – Kto to?

–W tej chwili nie wiadomo, sir, ale siła sygnatur wskazuje, że to nosiciele.

–Siedem – powiedział zaniepokojony Gajeiis. – Przypuszczalnie świeżych. – Spojrzał na księcia i skrzywił się. – Nie jesteśmy... w najlepszej formie.

–Wyminąć ich! – powiedział Adoula. – Po prostu dolećmy do najbliższego punktu na granicy i skaczymy.

–To nie takie proste, Wasza Wysokość – westchnął Talbert. – Możemy skoczyć z dowolnego punktu poza sferą Tsukuyamy, ale oni siedzą niemal dokładnie tam, skąd

zamierzaliśmy skoczyć, i widać, że na nas czekają. Dopiero co odpalili napędy; nawet najlepsza kontrola emisji w galaktyce nie ukryłaby sygnatur napędów fazowych z takiej odległości, gdyby działały. Zupełnie jakby czytali nam w myślach.

–Helmut – warknął Gajelis. – Sukinsyn musiał wyrzucić ich cztery czy pięć dni świetlnych stąd, poza zasięgiem naszych sensorów. Potem posłał ich tutaj z podświetlną, na tak małej mocy, że platformy graniczne niczego nie zauważyły! Ale skąd, do cholery, wiedział, gdzie ich ustawić?!

–Nie wiem, sir – odparł Talbert – ale jakkolwiek to zrobił, są w zasięgu każdej zmiany wektora, jaką możemy przeprowadzić. Lecimy prosto na nich z prędkością czterdziestu sześciu tysięcy kilometrów na sekundę. Możemy trochę zboczyć, spróbować ich ominąć, ale weszliśmy w zasięg ich rakiet na dziewięć milionów kilometrów. Geometria daje ich krążownikom nawet ponad trzydzieści milionów kilometrów zasięgu przy naszej prędkości zbliżeniowej, a dzieli nas od nich zaledwie czterdzieści pięć milionów. W tej chwili wystrzelili już krążowniki, myśliwce prawdopodobnie też, i czekają z otwarciem ognia tylko po to, żeby opracować lepsze plany ostrzału i żebyśmy weszli w zasięg rakiet ich krążowników. A przy naszej prędkości za szesnaście minut wejdziemy w zasięg ich broni energetycznej.

–Wystrzelić makiety – powiedział Gajelis. – Wystrzelić myśliwce i krążowniki, te, które są w stanie latać. Ty też, Minerou – powiedział do admirała na wyświetlaczu.

–Zgoda – odparł Mahmut. – Idę do centrum dowodzenia. Odezwę się, kiedy tam dojdę.

Wyświetlacz zgasł, a Gajelis spojrzał na Talberta.

–Proszę już iść – powiedział ostro. – Za chwilę dołączę do pana w centrum dowodzenia.

–Tak jest, sir. – Talbert kiwnął głową i szybko wyszedł.

–Zamierza pan walczyć? – spytał z niedowierzaniem Adoula.

–Musimy – odparł Gajelis. – Słyszał pan Talberta, Wasza Wysokość. Będziemy musieli ich zaatakować.

–Nie, wcale nie musicie. Niech reszta pana sił atakuje, ale pan musi mnie dowieźć na Kellerman. Ten okręt nie weźmie udziału w akcji i wydobędzie się z układu. Niech pozostali pana osłaniają.

–To trochę... – zaczął gniewnie Gajelis.

–To jest rozkaz, admirale – przerwał mu Adoula. – Ma go pan wykonać!

–Zapowiada się interesująco – zauważył admirał Niedermayer. – Proszę popatrzeć na Trujillo. Zgodnie z przewidywaniami odrywa się.

–Czasami admirał Helmut mnie przeraża, sir – powiedziała kapitan Erhardt. – Skąd on wiedział, że Gajelis ruszy właśnie tutaj?

–Czary, Marge, czary. Niestety, wygląda na to, że nie mylił się też co do Adouli.

Okręt flagowy Niedermayera był podłączony do sieci rozpoznania układu od chwili, kiedy kapitan Kjerulf przekonfigurował blokadę tak, by dać dostęp Szóstej Flocie. Wykorzystał tę przewagę, by lekko poprawić ustawienie swoich okrętów, ale tak naprawdę nie było to konieczne. Jak wskazywała ostatnia uwaga Erhardt, admirał Helmut niemal bezbłędnie przewidział reakcję Adouli i Gajelisa. Tylko czas się zmienił... ale Helmut ustawił ich dość wcześnie na pozycjach, aby czas nie był problemem.

–Nie mogę uwierzyć, że oni wszyscy zamierzają walczyć tylko po to, żeby go osłaniać. – Erhardt pokręciła głową, patrząc na siatkę, gdzie sześć z siedmiu nosicieli wroga skręciło tak, by ruszyć prosto na nich, podczas gdy siódmy przyspieszył dokładnie w przeciwnym kierunku. – Ten drań ich zostawia, a oni zamierzają nadstawić za niego karku?

–Jackson Adoula jest tchórzem, Marge – powiedział Niedermayer. – Och, na pewno znalazł jakiś sposób, żeby to wytłumaczyć, nawet samemu sobie. W końcu jest człowiekiem „niezastąpionym”, prawda? Bez jego twierdzy w Sektorze Strzelca, kiedy książę zajmie Pałac, byłoby już po wszystkim. Dlatego chociaż nim gardzę, uważam, że jego decyzja o ucieczce jest w jakimś stopniu logiczna.

–Logiczna, sir? – Erhardt popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Teraz to on pokręcił głową.

Marjorie Erhardt była bardzo dobra w swoim fachu. Była też stosunkowo młoda jak na swój stopień i wykazywała żarliwą lojalność wobec Cesarzowej i Imperium, co czyniło z niej wyjątkowo niebezpieczną osobę, której klapki na oczach utrudniają trzeźwe myślenie. Henry Niedermayer pamiętał młodego, zapalczywego kapitana, który cierpiał na podobną przypadłość. Ówczesny wiceadmirał Angus Helmut przyjął go na służbę i poszerzył jego horyzonty, nie naruszając przy tym jego godności; Niedermayer czuł się teraz w obowiązku spłacić ten dług, robiąc to samo dla Erhardt. Miał na to jeszcze kilka minut.

–To, że walczą za złą sprawę, jeszcze nie oznacza, że to tchórze, Marge – powiedział chłodno. Kobieta spojrzała na niego i skrzywiła się.

–Jedna z najgorszych rzeczy, jaką może zrobić dowódca, to dopuścić, by pogarda dla przeciwnika sprawiła, że zacznie się nie doceniać jego albo jego determinacji. Adoula nie zwerbował ich wszystkich tylko dlatego, że pomachał im przed oczami pieniędzmi. Część z nich przeszła na jego stronę, bo zgadzała się z nim, że Imperium jest w opałach, i nie rozumiała, jak Cesarzowa chce temu zaradzić. A niezależnie od tego, jak znaleźli się w jego obozie, wszyscy rozumieją, o jaką stawkę zgodzili się grać. Są winni zdrady stanu, Marge, a karą za to jest śmierć. Mogą doskonale zdawać sobie sprawę, co ich tak zwany „przywódca” zamierza zrobić, ale to niczego nie zmienia. Zresztą nawet bez Trujilla mają tylko o jednego nosiciela mniej niż my. Myśli pani, że po prostu się poddadzą i staną przed plutonem egzekucyjnym, kiedy przynajmniej część z nich ma szansę przedrzeć się przez naszą blokadę?

–Skoro tak pan to ujął, to nie, sir – odparła po chwili Erhardt. – Ale oni się nie przedrą, prawda?

–Nie, pani kapitan, nie przedrą się. Nadeszła pora, aby im pokazać dlaczego.

* * *

–Święta Mario, Matko Boska.

Admirałowi Minerou Mahmutowi zaparło dech w piersiach, kiedy jego siatka taktyczna nagle się zaktualizowała. Do ikon siedmiu czekających na nich nosicieli niespodziewanie dołączyła niewiarygodna masa mniejszych karmazynowych punkcików.

–Upiory – powiedział oficer taktyczny jego flagowca twardym głosem zawodowca, który zwalcza panikę wyszkoleniem i dyscypliną. – Liczne sygnatury napędów fazowych klasy krążownika. Komputer bojowy ocenia je na ponad trzysta.

Na siatce rozbłysły złowrogo kolejne światełka.

–Aktualizacja! Wykryto napędy fazowe myśliwców, przynajmniej siedemset pięćdziesiąt.

Mahmut z trudem przełknął ślinę. Helmut. Ten drań nie może mieć więcej niż jedną flotyllę krążowników, z którymi za dwadzieścia pięć minut wejdzie na orbitę Starej Ziemi. Resztę – całą resztę – wysłał z eskadrami nosicieli, które wydzielił do urządzenia tej przeklętej zasadzki!

Nawet teraz, kiedy miał przed oczami dowody, Mahmut z trudem mógł uwierzyć, że Helmut odważył się na coś tak szalonego. Gdyby jego plan się nie udał – gdyby został zmuszony do walki ze skoncentrowaną Wielką Flotą – brak jego krążowników, zwłaszcza przy braku wydzielonych nosicieli, byłby decydujący.

Nie zmieniało to jednak faktu, że sześć nosicieli, siedemdziesiąt dwa krążowniki i pięćset pozostałych myśliwców miało właśnie porządnie oberwać.

Spojrzał na drugą siatkę, na której Trujillo oddalał się kursem rozbieżnym z maksymalnym przyspieszeniem. Odległość między nim a resztą formacji wynosiła już prawie milion kilometrów, i żeby się do niego dostać, okręty Helmuta musiałyby się przedrzeć przez siły Mahmuta. Admirala w głębi ducha kusilo, by poddać okręty i pozwolić, by Szósta Flota otworzyła ogień do Trujilla, ale gdyby on sam dowodził po drugiej stronie, w tych okolicznościach nie przyjąłby żadnej kapitulacji. Jego własna grupa leciała z tak dużą prędkością, że nikt z drugiej strony nie dałby rady zrównać wektorów i dokonać abordażu, zanim okręty dotrą do Granicy Tsukuyamy i znikną w przestrzeni tunelowej.

Poza tym niektórym faktycznie mogło się to udać.

*** * ***

Komandor Roger „Cobalt” McBain był człowiekiem zadowolonym z życia. W swoim mniemaniu był u szczytu kariery; zawsze chciał być CAG-iem myśliwców marynarki.

Zasadniczo obecnie był dowódcą sześćset czterdziestej trzeciej grupy myśliwców, stu dwudziestu pięciu jednostek przydzielonych do HMS Centaura. CAG było określeniem z czasów sprzed reorganizacji marynarki, oznaczającym dowódcę grupy szturmowej – Com-mander Attack Group. Niektórzy twierdzili, że ten skrót oznacza dowódcę grupy powietrznej – Commander Air Group; ta nazwa pochodziła z czasów, kiedy okręty walczyły na oceanach, a myśliwce miały napędy odrzutowe. McBain nie miał co do tego pewności -jego zainteresowanie historią starożytną było minimalne – ale tak naprawdę wcale go to nie obchodziło. Jego stanowisko miało dużo różnych nazw, ale w szanującej tradycję marynarce żadna z nich nie przyjęła się tak jak CAG. Jeśli jeden pilot myśliwca powiedział do drugiego „Ten? To nasz CAG”, to nieważne, czy myśliwce były starymi odrzutowcami, żądłami czy myśliwcami kosmicznymi, wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

McBain mógłby awansować ze swojej obecnej pozycji na dowódcę całego skrzydła myśliwców nosiciela, co byłoby – na swój sposób – przyjemne, ale stanowisko to miało charakter bardziej administracyjny. Jako CAG skrzydła spędzałby o wiele mniej czasu w kokpicie, chociaż wyglądałoby to nieźle w jego CV. Mógłby następnie dochrapać się dowództwa nosiciela, eskadry, a może nawet floty. Ale w tej chwili z jego punktu widzenia CAG było najlepszym z możliwych stanowisk. Pragnął teraz być z resztą skrzydła myśliwców eskadry i szykować się do zaatakowania głównych sił Adouli.

Warto było także oglądać admirała Niedermayera przy pracy. Stary dużo się nauczył od admirała Helmuta... chociaż McBain nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, że

jasnowidztwa można się nauczyć. Ale jak widać, jest to możliwe, bo skąd Niedermayer mógł wiedzieć tak dokładnie, gdzie znajdzie się Trujillo, by ustawić tam sześćset czterdziestą trzecią na dziesięć godzin przed pojawieniem się Adouli i Gajelisa?

*** * ***

–Zacząć rozgrzewać przewody plazmowe – powiedział Mahmut. – Wszystkie krążowniki, które się przedrą, mają być zabierane przez pierwszego wolnego nosiciela.

–Tak jest, sir – odparł kapitan jego flagowca, chociaż obaj wiedzieli, jak mało prawdopodobne jest, że jakaś jednostka przetrwa następnych kilka minut.

*** * ***

–Ognia – powiedział spokojnie admirał Niedermayer, i w tym momencie prawie jedenaście tysięcy wyrzutni rakiet plunęło ogniem.

Czteryście myśliwców uzbrojonych w lekkie rakiety posłało swój ładunek w myśliwce Mahmuta, a pozostałe trzysta pięćdziesiąt wystrzeliło ponad tysiąc siedemset leviathanów w jego krążowniki. Nie zawracali sobie nawet głowy podświetlnymi pasożytami. Krążowniki i myśliwce nie miałyby jak uciec, gdyby okręty z napędem tunelowym zostały uszkodzone bądź zniszczone, dlatego kontrola ognia Niedermayera z bezlitosnym profesjonalizmem skupiła się na nosicielach. Admirał wyczekał, aż odległość spadła do nieco powyżej dziesięciu milionów kilometrów. Przy takim zasięgu i prędkości zbliżeniowej dawało mu to niecałe cztery minuty na atak rakietami, zanim weszliby w zasięg broni energetycznej. Przez te cztery minuty każdy z jego krążowników wystrzelił sto pięćdziesiąt rakiet, a każdy nosiciel ponad cztery tysiące. Blisko osiemdziesiąt tysięcy rakiet uderzyło w systemy obronne nosicieli Minerou Mahmuta.

Przy tak bliskim zasięgu pociski przeciwrakietowe były mniej skuteczne niż zwykle. Nie miały po prostu czasu na namierzenie, kiedy ogień przeciwnika przekroczył granicę ich zasięgu, zatrzymały więc może trzydzieści procent nadlatujących ptaszków. Wiele tysięcy gniazd laserów siało rozpaczliwym ogniem, ale one także miały tragicznie mało czasu. Zatrzymały następne czterdzieści procent... co oznaczało, że przedarły się „zaledwie” dwadzieścia cztery tysiące.

Maksymalny skuteczny zasięg laserowych głowic przeciwko okrętom wynosił nieco ponad siedem tysięcy kilometrów. Przy tym zasięgu przebijały one nawet chromframowe pancerze, i teraz właśnie to zrobiły. Nosiciele były wytrzymałe – były najbardziej odpornymi ruchomymi konstrukcjami zaprojektowanymi i zbudowanymi przez istoty ludzkie – ale wszystko ma swoje granice. Pod tak niewiarygodną

nawałnicą rakiet w końcu i one się poddały. Z porozdzieranych przedziałów buchała atmosfera, odpadały stanowiska uzbrojenia, obwody zasilające wyginały się i eksplodowały od nadmiaru energii. Nosiciele próbowali odpowiadać ogniem, ale sama przewaga liczebna stanowisk obrony Niedermayera znacznie zmniejszyła siłę o wiele lżejszych salw Mahmuta.

Kiedy piętnasta eskadra i to, co zostało z czternastej, weszły w zasięg broni energetycznej, trzy z ich siedmiu nosicieli i czterdzieści jeden z ich siedemdziesięciu dwóch krążowników od razu zostało zniszczonych.

A gdy wreszcie zdradzieckie eskadry przedarły się przez siły Niedermayera, w ich skład wchodziło tylko jedenaście ciężko uszkodzonych krążowników i jeden całkowicie okaleczony nosiciel.

* * *

–Panie admirale – powiedziała komandor podporucznik Clinton, przelękając nerwowo ślinę – właśnie omiół nas lidar! Źródło w kwadrancie Delta cztery-jeden-pięć.

–Co to znaczy? – spytał ostro Adoula. Siedział na pospiesznie zamontowanym fotelu dowódcy obok admirała.

–To znaczy, że ktoś tam jest – warknął Gajelis. Zostawił swoją garstkę krążowników i myśliwców Mahmutowi i jego flagowiec mógł teraz walczyć tylko przy użyciu broni pokładowej.

–Kapitan Devarnachan sprawdza – powiedział oficer taktyczny. – Emisje! Sto dwadzieścia pięć myśliwców, zbliżają się z Delta cztery-jeden-pięć.

–Niech szlag trafi Helmuta! – ryknął Gajelis. – Niech go szlag!

–Leviathany! Sześćset dwadzieścia pięć wampirów!

–Trzy minuty do Granicy Tsukuyamy – oznajmiła z napięciem astrogacja.

–Będą mieli tylko jeden strzał. – Gajelis ciężko dyszał. – Proszę się czegoś złapać, Wasza Wysokość...

* * *

–Jasna cholera – zaklął McBain, kiedy uformowała się przed nimi charakterystyczna sygnatura napędu tunelowego. Przy tak bliskim zasięgu i krótkim czasie przelotu wyrzutnie przeciwrakietowe Trujilla były bezużyteczne, dlatego ponad pięćdziesiąt leviathanów przedostało się przez desperacko ostrzeliwujące się gniazda laserów

nosiciela. McBain miał nadzieję, że go okaleczyły, mimo że nosiciele były cholernie twarde.

–Nieźle dostali, Cobalt – powiedziała oficer wykonawczy. – Całkiem porządnie. A admirał Niedermayer dokopał reszcie. Chyba żaden z nich nie uciekł.

–Wiem, Allison – odparł gniewnie McBain, chociaż jego gniew z całą pewnością nie był wymierzony w nią – ale nie dość porządnie. – Westchnął. – No trudno, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Poza tym masz rację, nieźle oberwali. Zawracamy do obory. Stawiam piwo.

–Jeszcze jak oberwali! – zaśmiała się komandor Stanley. Potem, kiedy ich myśliwce zatoczyły wdzięczny łuk z powrotem w stronę nosicieli i zaczęły hamować, jej głos spoważniał. – Ciekawe, jak poszło tym w Pałacu?

* * *

–Wasza Wysokość, pana matka przeszła... prawdziwą gehennę – powiedział psychiatra. Był specjalistą od urazów farmakologicznych. – Normalnie moglibyśmy ustabilizować jej stan odpowiednimi lekami, ale zważywszy na to, że podawano jej różne... paskudztwa, nie wspominając o uszkodzeniach jej implantu...

–Które są bardzo poważne – przerwał specjalista od implantów.

–Z powodu błędów systemowych implant bardzo często wyłącza się i resetuje, a także losowo kasuje dane. W jej głowie musi być prawdziwe piekło, Wasza Wysokość.

–I nic nie można na to poradzić? – spytał Roger.

–Ci cholerni paranoicy, których zatrudniacie, zaprojektowali je tak, że nie można ich usunąć, Wasza Wysokość – powiedział specjalista ze wzruszeniem ramion wyrażającym bezsilną frustrację. – Wiem dlaczego, ale kiedy się widzi, jak coś takiego się sypie...

–Nic się nie posypało – powiedział stanowczo Roger – tylko zostało umyślnie popsute. Kiedy dostanę w swoje ręce ludzi, którzy to zrobili, zamierzam... z nimi pogadać, ale póki co proszę odpowiedzieć na moje pytanie: czy możemy coś zrobić, aby wydostać to... to coś z głowy mojej matki?

–Nie – odparł z ciężkim sercem specjalista. – Jedyne, co można zrobić, to spróbować usunąć to operacyjnie, Wasza Wysokość, ale ja nie daję Jej Wysokości większych szans przeżycia operacji. Nie wspomnę już o możliwości wystąpienia dodatkowych poważnych urazów neurologicznych.

–Sam implant reaguje oczywiście na działanie mózgu, Wasza Wysokość – zauważył psychiatra – a ponieważ działanie mózgu jest wysoce niestabilne...

–Doktorze? – Roger spojrział ze zniecierpliwieniem na Dobrescu.

–Roger, ja nie mam medycznego wykształcenia. Jestem pilotem.

–Doktorze, do cholery, nie zaczynaj znowu tej śpiewki – warknął Roger.

–W porządku – odparł Dobrescu niemal ze złością. – Chce pan, żebym panu przetłumaczył, co oni mówią? Ona ma kompletnie na-srane w głowie, rozumie pan? To wariatka. Może prawdziwi mózgowcy, profesorowie i w ogóle, w końcu jakoś jej pomogą, ale póki co ona w jednej chwili jest z nami, a w drugiej chwili jej nie ma. Nie wiem nawet, kiedy będzie pan mógł się z nią zobaczyć, Roger. Cały czas pyta o Nowy Madryt, niezależnie od tego, czy kontaktuje, czy nie. Kiedy kontaktuje, chce dostać jego łeb. Wie, że jest Cesarzową i że jest w kiepskim stanie, wie, kto jej to zrobił, i chce jego śmierci. Próbowałem jej powiedzieć, że pan wrócił, ale ona ciągle myli pana z Nowym Madrytem. Po tych wszystkich prochach, męczarniach i zmasakrowaniu jej tootsa jest przekonana, że brał pan udział w spisku. A kiedy odlatuje...

–To już wiem. – Roger zacisnął zęby i spojrział na Catrone'a. – Tomcat?

–Chryste, Wasza Wysokość. Niech mi pan nie każe!

–Taka była umowa. Zapytam pana tak samo, jak pan zapytał mnie nie tak dawno temu: czy zamierza pan złamać słowo?

Catrone patrzył na niego przez kilka sekund, a potem wzruszył ramionami.

–Kiedy kontaktuje, wszystko rozumie – powiedział. – Wciąż ma pewne problemy – uniół rękę, żeby nie dopuścić Dobrescu do głosu – ale wie, że jest Cesarzową i nie chce ustąpić miejsca.

Spojrział na Rogera z zaciętą twarzą.

–Przykro mi, Roger. To nie dlatego, że panu nie ufam, ale to moja Cesarzowa i nie zwrócę się przeciwko niej, dopóki wie, kim jest. Jeszcze jest za wcześnie, by ocenić, czy dojdzie do siebie.

–Doskonale – powiedział zimno Roger. – Jeśli to ona tutaj rządzi, musi szybko się pozbierać. Sytuacja jest bardzo niedobra i potrzebujemy jej – ciągnął, patrząc na lekarzy. – Musi się spotkać z pewnymi ludźmi.

–To by było... nierozsądne – powiedział psychiatra. – Stres mógłby...

–Albo może rządzić, albo nie – przerwał mu stanowczo Roger. – Spytajcie ją, ja od tej chwili nie mam głosu.

–Jeszcze czego – zdenerwował się Catrone. – Zamierza pan się obrazić? Nie może pan zrzucić całego ciężaru rządzenia Imperium na jej barki, do cholery! Ona jest chora. Potrzebuje trochę czasu, żeby dojść do siebie, niech to szlag!

–Tomcat, nie mogę zatrzymać całej galaktyki i czekać, aż ona wyzdrowieje! – ryknął Roger. – To była pana decyzja – być może słuszna – i jeśli jest Cesarzową, powinna określić, co mam robić.

–Ale...

–Żadnych „ale”, do cholery! Wie pan tak samo jak ja, jak groźna jest w tej chwili sytuacja. Jasne, mamy na orbicie Helmuta, Prokurow i Kjerulf nas popierają, ale widział pan wiadomości. Część pismaków robi co może, żeby nie przekazywać nie potwierdzonych informacji, ale reszta plotek...

Przerwał ze sfrustrowanym prychnięciem.

–Adoula bardzo skutecznie zrobił mnie w oczach opinii publicznej w pierwszy przewrót – powiedział po chwili. – Cholera, słyszał pan doktora: nawet ją przekonali! Trzeba dużo czasu, aż wszyscy zaczną rozumieć, co się naprawdę stało. Ja wiem, że to cholernie dobry pomysł, żeby moja matka pozostała przy sterze. Jeśli ona siedzi na Tronie, to znaczy, że ja nie chcę go jej zabrać, prawda? Dlatego zgadzam się z panem, do cholery! I nie obchodzi mnie, czy matka robi mnie swoim pełnomocnikiem, którym jako Pierwszy Następca powinienem być, czy tylko powierzy mi jakieś gówniane szczególiki, żeby sobie ułatwić zadanie. Cholera, nie obchodzi mnie nawet, czy nie każe mi się wynosić z planety i wracać na Marduka!

Ale jeśli mam coś dla niej zrobić, pomóc jej, muszę przynajmniej być w stanie porozmawiać z nią, sierżancie, a w tej chwili nawet tego nie mogę!

–Dobrze, dobrze! – Catrone podniósł ręce, jakby się bał, że Roger rzuci się na niego. – Zrozumiałem, Wasza Wysokość!

Wziął głęboki oddech.

–Zorganizuję spotkanie. Nie prywatne – to by było źle widziane – lecz w grupie. Ma pan rację, są ludzie, z którymi musi się spotkać. Nowy minister marynarki, premier, Helmut. Zorganizuję spotkanie. Krótkie – dodał, patrząc na lekarzy.

–Krótkie spotkanie z ludźmi, których zna – powiedział psychiatra-może jej pomóc odzyskać równowagę. To jej środowisko. Ale spotkanie musi być krótkie i spokojne.

–Zgoda – odparł Roger.

–Pan też weźmie w nim udział – powiedział Catrone.

–Nie mogę się już doczekać.

*** * ***

–Twoje ubrania ocalały – powiedziała Despreaux.

–Straty rzędu sześćdziesięciu milionów kredytek – westchnął Roger, rzucając laskę na łóżko i opadając na nie z rozmachem. Oboje – w pewnym sensie – mieli już swoje stare ciała. Despreaux zdecydowała się na... niewielkie poprawki w górnych partiach tułowia, zachowała też kolor włosów, gdyż uznała, że podoba jej się bycie blondynką.

Roger z kolei znów miał dwa metry wzrostu, długie jasne włosy i zielone oczy. No i zaczynała mu już odrastać noga.

–Sześćdziesiąt milionów – powtórzył. – I to w samym Pałacu.

–Pojawiły się plotki, że są tutaj dziesiątki tajnych wejść. – Despreaux zadrżała. – Musimy je pozamykać i upewnić się, że wszyscy o tym wiedzą.

–Pracuję nad tym. – Roger znów westchnął. – Potrzebny jest nam nowy Osobisty Pułk Cesarzowej. Wymiana sprzętu, naprawienie sieci łączności, którą zniszczyliśmy... Chryste.

–Gdyby to było łatwe zadanie, nie wzięliby nas do tego – powiedziała Despreaux z krzywym uśmiechem.

–Potrzeba nam jeszcze czegoś. – Roger był tak poważny, że jej uśmiech zbladł.

–Czego?

–Następcy – powiedział cicho.

Udało się znaleźć replikator, ale był przewrócony, a płód wylano na podłogę i zmiądzono. Roger czuł się dziwnie, patrząc na żalosne ciało brata, którego już nigdy nie pozna. Winnym był jeden z ocalałych najemników – zdradziło go DNA na nogawce spodni -i czekał go proces o królobójstwo.

–Hola! Żeby wyskakiwać z czymś takim na biedną dziewczynę ze wsi! Miałam nadzieję, że kiedyś będę miała dzieci, nawet twoje, ale...

–Mówię poważnie – powiedział Roger, siadając na łóżku. – Potrzebny jest nam następca, ale nie z replikatora, uprawniony do przejęcia Tronu. Sytuacja nie jest

najciekawsza. Mam cholerną nadzieję, że...

–Rozumiem – powiedziała Despreaux, wyciągając rękę, żeby pogłodzić go po policzku. – Jutro wpadnę do kliniki. Jestem pewna, że przyjmą mnie bez umówionej wizyty.

–Wiesz – powiedział Roger, kładąc się i ją obejmując -jest jeszcze inny sposób, żeby się za to zabrać...

–Boże, myślałam, że jak już raz zaciągnę cię do łóżka, dalej będzie łatwo. – Uderzyła go poduszką. – Nie zdawałam sobie sprawy, jaki oszalały maniak seksualny kryje się pod tą powierzchownością zwykłego wariata!

–Mam wiele lat do nadrobienia – odparł ze śmiechem Roger. – A najlepiej zacząć od razu.

–Sierżant Catrone – westchnęła Alexandra VII, kiedy Toccat wszedł do sali audiencji.

Ubrana była w suknię z wysokim kołnierzem i miała prostą, ale doskonale ułożoną fryzurę. Wyglądała w każdym calu na Cesarzową, ale wokół nadgarstków wciąż jeszcze miała ciemne sińce. Coś ścisnęło go za serce, kiedy Cesarzowa wcisnęła przycisk unoszący oparcie jej fotela do pozycji siedzącej i wyciągnęła rękę.

–Tak się cieszę, że pana widzę – powiedziała.

–Wystarczy, że pani mnie wezwie, Wasza Wysokość. – Catrone opadł na jedno kolano, zamiast uścisnąć wyciągniętą dłoń. – Jestem i zawsze byłem pani sługą.

–Och, niech pan wstanie, Tomcat. – Cesarzowa zaśmiała się, widząc wyraz jego twarzy. – Co, myślał pan, że nie znam pana ksywy? Był pan przez wiele lat kawalerem, kiedy mi pan służył; dobrze wiem, skąd się wzięła.

Wyciągnęła stanowczo rękę.

–Niech mnie pan weźmie za rękę, Tomcat.

–Wasza Wysokość. – Ujął jej dłoń, a potem znów opadł na kolano przy jej fotelu.

–Nie byłam... wystarczająco zdrowa, by panu powiedzieć, jaka to była ulga zobaczyć twarz mojego jedyne prawdziwego paladyna. To było jak światło w ciemności... a ciemność była taka okropna – zakończyła z gniewem.

–Wasza Wysokość – odparł zawstydzony Catrone. – Przepraszam, że tak długo to trwało. Chcieliśmy, wszyscy chcieliśmy, zadziałać szybciej, ale dopóki Roger...

–Roger! – krzyknęła Cesarzowa, wyrwała mu dłoń i skrzyżowała ręce na piersi. – Wszyscy chcą rozmawiać o Rogerze! Syn marnotrawny powrócił! Ha! Utuczone ciele! Mam ochotę go upiec!

–Wasza Wysokość, proszę się opanować – powiedział Catrone łagodnie, lecz stanowczo. – Cokolwiek pani wiedziała albo myślała, że wie o Rogerze... Teraz to zupełnie nowy człowiek. Utuczone ciele byłoby bez niego niemożliwe, i to nie tylko ze względu na ukryte w jego głowie protokoły, ale również jego umiejętność planowania, dowodzenia i determinację. Książę panował równocześnie nad dziesięcioma różnymi akcjami, zupełnie jakby to była tylko jedna operacja. Ma świetny instynkt bojowy, najlepszy, jaki widziałem. A jedyne, o czym myślał od pierwszej chwili, kiedy mu powiedziałem, co z panią robią, była pani, Wasza Wysokość. Jego gniew...

Sierżant pokręcił głową.

–Tylko jedno powstrzymało go przed zabiciem Nowego Madrytu. Jestem przekonany, że tylko jedno mogło go od tego powstrzymać, i to nie było Imperium, Wasza Wysokość. On panią kocha, Wasza Wysokość. Kocha swoją matkę. Nie jest synem swojego ojca, jest pani synem.

Alexandra przez chwilę mu się przyglądała, a potem odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami.

–Wszystko to wiem, Tomcat. Może pan w to naprawdę wierzy, może to nawet prawda. Ale kiedy go widzę, widzę twarz jego ojca. Dlaczego ze wszystkich moich dzieci to właśnie on musiał jako jedyne przeżyć?

–Szczęście – odparł Catrone, również wzruszając ramionami. – Doskonała ochrona. A może najbardziej ze wszystkiego fakt, że – przepraszam za wyrażenie – jest jednym z najtwardszych, najbardziej bezlitosnych bękartów, jakich wydał Dom MacClintock.

–Bękartów na pewno – zgodziła się uszczypliwie Alexandra. – Ale tak bardzo bym chciała, żeby John żył! Wiedziała, że mogę zaufać jego ocenie sytuacji, jego rozsądkowi.

–Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość – Catrone przełknął ślinę – John był dobrym człowiekiem. Mądrym i uczciwym na tyle, na ile tylko się da, kiedy się żyje w jamie pełnej żmij. Był przyzwoitym żołnierzem i któregoś dnia z dumą służyłbym mu jako Cesarzowi. Ale... Adoula uciekł i wzywa do siebie wszystkie floty, które jeszcze kontroluje, rozgłasza, że to my torturujemy panią i szprycujemy narkotykami. Jesteśmy w samym środku wojny domowej, i jeśli jest jeszcze jakiś MacClintock, oprócz pani, któremu powierzyłbym prowadzenie spraw państwa, to jest nim Roger. On nadaje się do tego bardziej niż John i bardziej nawet niż Alex.

–To pan tak twierdzi – powiedziała Alexandra – ale ja nie... Ależ to sierżant Catrone!

Co za miła niespodzianka! – Na jej twarzy wykwit! szeroki uśmiech. – Przyszedł pan mnie odwiedzić?

–Tak, Wasza Wysokość – odparł spokojnie Catrone.

–Mam nadzieję, że przyjemnie się panu rozmawiało z moim przyjacielem, earlem Nowego Madrytu. Wreszcie do mnie wrócił, to moja jedyna prawdziwa miłość. To zaskakujące, że tak dobry człowiek może mieć tak podłego syna. Ale proszę mi powiedzieć, jak pana konie? Hoduje je pan teraz, nieprawdaż?

–Konie mają się świetnie, Wasza Wysokość – odparł i skrzywił się, wstając. Jego kolana nie były już takie jak kiedyś.

–Za kilka minut mam spotkanie z naszym lojalnym sługą, księciem Jacksonem – powiedziała Cesarzowa, wskazując mu fotel – ale na pewno znajdę chwilę czasu, żeby porozmawiać z moim ulubionym byłym żołnierzem. Niech mi pan powie...

*** * ***

–Co z nią? – spytała Eleanora, zanim weszli do pokoju.

–Kontaktuje – odparł Catrone. – Na razie wszystko w porządku.

–Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze – westchnęła. – Prośmy Boga, żeby tak było.

–Dla was czy dla niej?

–Jesteśmy po tej samej stronie, sierżancie! – warknęła O'Casey. – Proszę o tym pamiętać.

–Wiem. Staram się, ale... – Catrone wzruszył ramionami, a jego oczy pociemniały z bólu. – Ale czasami to trudne.

–Pan ją kocha – powiedziała łagodnie. – Chyba za mocno.

–To prawda – szepnął. Przez chwilę jego twarz wyrażała cierpienie, potem się otrząsnął. – Gdzie książkę? – spytał, zmuszając się do bardziej swobodnego tonu.

–Spóźnia się. – Eleanora z irytacją wydeła wargi.

Weszli do sali konferencyjnej i zajęli swoje miejsca. Ich spóźnienie zostało zauważone i skwitowane surowym spojrzeniem Cesarzowej, siedzącej u szczytu ogromnego polerowanego stołu. Długi rząd okien wychodził na południowy ogród; jasne słońce wypełniało salę ciepłym blaskiem. Na drugim końcu stołu siedział premier. Byli tu również nowy minister marynarki, admirał Helmut, który tymczasowo

pełnił funkcję Szefa Operacji Marynarki, minister finansów; Julian, którego pozycja wciąż pozostawała bliżej nieokreślona, i Despreaux, w podobnej sytuacji. Oczywiście było też jedno puste krzesło.

–Gdzie jest Roger? – spytała chłodno Alexandra.

Drzwi otworzyły się i książe wkuśtykał do środka. Miał na sobie szyty na miarę jasnożółty garnitur z zielonym fularem i słomkowy kapelusz. Regeneracja jego nogi wciąż była na wczesnym etapie, więc oparł się na lasce dopasowanej kolorem do stroju i złożył ukłon.

–Przepraszam za spóźnienie – powiedział, szarpiąc za smycz – ale Pieszczura musiała wyjść na spacer. Chodźże, głupi potworze. –

Wciągnął stworzenie do sali. Pieszczura syczała na większość ludzi siedzących przy stole, ale kiedy zobaczyła Cesarzową, wydała z siebie cichy pisk zadowolenia.

Eleanora spojrzała na twarz Alexandry i westchnęła, widząc błysk w jej oczach. Właściwie wolałaby, żeby Roger zachował ciało Augustuca Changa. To oczywiście było niemożliwe, ale za każdym razem, kiedy Cesarzowa go widziała, musiała przypominać sobie, że on nie jest swoim własnym ojcem, a potem radzić sobie z dwuznacznością uczuć do Rogera.

–Przepraszam – powiedział książe, kiedy w końcu udało mu się przywlec Pieszczurę do swojego krzesła. – Wystarczyło, że dałem jej zjeść jednego człowieka. Siad! – rozkazał. – Siad! Nie patrz tak na premiera, to nieładnie. Siad. Dobra Pieszczura.

Książe usiadł, zawiesił laskę na oparciu krzesła, rozejrzał się po zebranych i położył kapelusz na stole przed sobą.

–Na czym stanęliśmy?

–Chyba mieliśmy omówić sprawę reorganizacji marynarki – powiedziała Alexandra, unosząc brew. – Skoro już tu jesteś...

* * *

Spotkanie trwało już od godziny; dłużej niż Catrone się obawiał i o wiele krócej niż miał nadzieję.

–Jeśli mamy pilnować, żeby Święci nie odrywali nam pojedynczych układów, i jednocześnie odpierać ataki Adouli, mamy za mało okrętów – powiedział Andrew Shue, baron Talesian i nowy minister marynarki, załamując ręce.

–Więc będziemy blefować – odparł Roger, pochylając się, żeby poklepać

Pieszczurę. – Musimy ich przytrzymać tylko przez... Ile? Osiemnaście miesięcy? Na tyle długo, żeby stocznie zaczęły budować nowe nosiciele.

–To będzie ogromnie kosztowne – zauważył Jasper O'Higgins, minister finansów.

–Prowadzimy wojnę – odparł chłodno Roger – a wojna zawsze jest kosztowna. Zresztą większość tych drogich okrętów za dwa lata i tak będzie latającym po kosmosie złomem, panie O'Higgins. Chodzi o to, żeby je mieć, a potem wykorzystać najrozsądniej jak tylko się da. Ale najpierw trzeba je mieć, a więc musimy powstrzymać naszych wrogów tak długo, żeby mocje zbudować.

–Będą rozważnie używane – powiedział Helmut. – Znam Gajelisa; on wierzy w zasadę większego młotka. „Ilość to jakość sama w sobie”. Byłbym zaskoczony, gdybyśmy nie zadali mu strat w stosunku przynajmniej dwa do jednego. Przyznaję, to są straszliwe liczby. Wielu naszych chłopców i dziewczyn zginie, ale...

Drobny admirał wzruszył ramionami, a Cesarzowa skrzywiła się.

–Adoula ma własne stocznie – powiedziała ze złością. – Chętnie udusiłabym własnego ojca za to, że pozwolił je zbudować poza światami centralnymi, zwłaszcza na podwórku Adouli!

–Zawsze możemy... wysłać do Adouli poselstwo – zaproponował premier, ale przerwał mu syk Pieszczury.

–Leżeć! – rozkazał Roger, a potem spojrzał na Yanga. – Mam wrażenie, że mojemu ulubieńcowi nie spodobała się pańska sugestia, panie premierze. Mnie też nie.

–Sam pan przed chwilą powiedział, że musimy zyskać trochę czasu, Wasza Wysokość – powiedział chłodno premier. – Negocjacje, a zwłaszcza negocjacje, które do niczego nie prowadzą, mogłyby być jednym ze sposobów, by ten czas kupić. A gdyby się okazało, że faktycznie można dojść do jakiejś ugody, jakiegoś modus vivendi, dlaczego...

–Teraz już wiem, co mi się w tym nie podoba – powiedział Roger głosem o kilka stopni chłodniejszym niż głos premiera.

–Mnie też nie. – Głos Alexandry nie był aż tak zimny jak jej syna, ale bez wątpienia był lodowaty. – Adoula wywołał rebelię. Jeśli uda mu się na stałe oderwać albo choćby stworzyć wrażenie, że odniósł tymczasowy sukces, inni będą próbowali robić to samo. Nie minie dużo czasu, a Imperium zamieni się w grupę zwaśnionych światów, a nam zostanie najwyżej kilka układów. I to za olbrzymią cenę. Nie, Roger ma słuszość – zakończyła, patrząc na syna z niechęcią. – Możemy blefować, ale nie podejmiemy żadnego kroku, który mógłby choć sugerować, że traktujemy Adoulę jak głowę państwa. Zamiast tego wyślemy... Nie mogę się już doczekać Święta Imperium,

kochanie.

Jej głos nagle się zmienił i spojrzała na Rogera rozmarzonym wzrokiem.

–Ja też – odparł. Jego twarz stężała w stalową maskę, a oblicze Cesarzowej rozjaśniło uwielbienie. – Chyba już pora, prawda?

–O tak, kochanie – zamruczała Cesarzowa. – Co na siebie włożysz? Chcę mieć pewność, że będziemy najpiękniejszą parą...

–Jeszcze nie wiem – przerwał jej łagodnie Roger. – Myślę, Alexandro, że to spotkanie trwa już wystarczająco długo, nie sądzisz? – Machnął ręką do jednego ze strażników przy drzwiach.

–Wezwę twoje damy, będziesz mogła się odświeżyć – dodał, zerkając z ukosa na Catrone'a, który kiwnął lekko głową.

Kiedy wyprowadzono potulną Cesarzową z sali, Roger wstał i omiół wciąż siedzących przy stole ludzi lodowatym spojrzeniem swoich zielonych oczu.

–Ani słowa – powiedział. – Ani jednego, kurwa, słowa. Narada odroczonea.

*** * ***

–No i jak? – spytał Roger, podnosząc wzrok znad jednego z niekończących się raportów, które przesuwaly się na holograficznym wyświetlaczu nad jego biurkiem. Ktoś musiał podejmować decyzje, więc on je podejmował, mimo że matka jeszcze nie określiła zakresu jego uprawnień. Nikt jednak nie poruszał tego tematu.

–Jest źle – powiedział Catrone.

Twarz miał ściągniętą, wzrok zatroskany; na zaproszenie Rogera usiadł ciężko na jednym z lewitujących foteli.

–Bardzo źle. Ona się... zmienia. Nie pyta już tak często o Adoulę, odkąd oczyściliśmy jej organizm z najcięższych środków chemicznych i powiedzieliśmy jej, że na jakiś czas wrócił do swojego sektora. Chce się widzieć z Nowym Madrytem... – Catrone przełknął ślinę i poruszył mięśniami szczęk – ale też już nie tak często.

–Co się stało?

–Chryste, Wasza Wysokość – powiedział Catrone udręczonym głosem, kryjąc twarz w dłoniach. – Ona mnie podrywa!

–Kurwa. – Roger sięgnął za głowę i złapał za kucyk.

Przez kilka chwil patrzył na mężczyznę, potem wziął głęboki oddech.

–Tomcat, wiem, jakie to dla pana trudne, ale musi pan z nią zostać. Musi pan zostać z nami!

–Zostanę. – Catrone uniósł głowę; po jego twarzy spływały łzy.

–Kto wie, co ona wymyśli, jeśli odejdę? Ale, Roger, tak mi ciężko!

–Niech pan będzie jej paladynem, Tomcat – powiedział Roger z zaciętą miną. – Jeśli trzeba będzie, nawet kimś więcej niż jej paladynem.

–Roger!

–Sam pan przed chwilą powiedział, że jeśli nie pan, to będzie ktoś inny. Ktoś, kto nie jest tak dobrym człowiekiem jak pan. Ktoś, komu nie będę mógł zaufać tak jak panu. Ktoś, komu ona nie będzie mogła zaufać. Wytrwa pan na tym posterunku, dopóki pana nie zwolnię, sierżancie. Zrozumiano? I zrobicie wszystko, co trzeba, żeby go utrzymać, żołnierzu. Jasne?

–Jasne – zgrzytnął zębami Catrone. – Rozkaz przyjęty i zrozumiany. Wykonam go, ty bękarcie.

–Jestem bękartem. – Roger lekko się uśmiechnął. – Dosłownie i w przenośni. Ostatnim bękartem. Przenieśliśmy flagę Osobistego Pułku Basik przez dwa kontynenty i przynieśliśmy ją na Starą Ziemię, do tego przeklętego Pałacu. Zrobimy wszystko, by wykonać nasze zadanie do końca. Witamy w Pułku. Teraz już pan wie, co to znaczy być jednym z nas.

*** * ***

–Myślę, że powinnam poinformować panią Tompkins, że będę potrzebowała nowej sukni, nie sądzisz? – spytała cicho Alexandra.

–Tak, Wasza Wysokość – zgodziła się lady Russel.

Siedziały na balkonie, patrząc, jak zimny deszcz spływa po polu siłowym. Lady Russell wyszywała z wprawą tapiserię, podczas gdy Cesarzowa męczyła się nad wyszywanką przedstawiającą szczeniaka w koszyku.

–Nigdy nie zrozumiem, jakim cudem tak świetnie ci to wychodzi – powiedziała Alexandra, uśmiechając się uprzejmie.

–Lata praktyki, Wasza Wysokość.

–Będę miała wiele lat na praktykę... w układzie Marduka – powiedziała Cesarzowa z

surową miną. – Biorąc pod uwagę to, co Roger powiedział o...

Przerwała i rozejrzała się, marszcząc brwi.

–Gdzie ja jestem? – spytała głosem, który nagle zabrzmiał martwo.

–Na balkonie, Wasza Wysokość – odparła lady Russell i popatrzyła na nią z obawą.

– Dobrze się pani czuje?

–Byłam w sali konferencyjnej – powiedziała sztywno Alexandra. – Byłam na naradzie! Świeciło słońce! Gdzie jest narada? Gdzie są wszyscy? Dlaczego pada deszcz?

–To... – Lady Russell przełknęła ślinę. – Wasza Wysokość, to było dwa dni temu.

–O mój Boże – szepnęła Alexandra i spojrzała na wyszywaną na swoich kolanach.

– Co to jest?

–Wyszywanka. – Lady Russell niepostrzeżenie sięgnęła po komunikator.

–To jakieś cholerne paskudztwo! – Alexandra cisnęła bębenek za poręcz balkonu. – Daj mi tutaj sierżanta Catrone'a!

*** * ***

–Proszę siadać, sierżancie – powiedziała Alexandra, wskazując miejsce opuszczone przez lady Russell.

–Wasza Wysokość.

Na rozkaz Rogera Catrone jeszcze raz założył swój dawny niebiesko-czerwony mundur starszego sierżanta sztabowego Osobistego Pułku Cesarzowej. Złoty sznur zwisający z jego ramienia oznaczał batalion Złoto, jednostkę ochraniającą panującego, w tym wypadku Cesarzową Alexandrę VII.

–Co się stało podczas narady, sierżancie? – Cesarzowa potarła z wściekłością twarz. – Byłam na naradzie, a potem znalazłam się tutaj, na balkonie. Co się ze mną stało? Kto mi to robi?

–Nikt pani tego nie robi, Wasza Wysokość, to już zostało zrobione.

Cesarzowa znieruchomiła, nie odrywając dłoni od twarzy, a Catrone mówił dalej.

–Wasza Wysokość, jak już próbowaliśmy pani wytłumaczyć, ma pani dwa stany umysłu. Raz jest pani Alexandrą VII, Cesarzową Imperium Człowieka, w pełni sprawną umysłowo. Jest pani najlepszym suwerenem, jakiemu służyłem, dwa razy lepszym niż

pani ojciec.

–Dziękuję za wazelinę, Tomcat – powiedziała kpiąco Alexandra, wciąż zasłaniając oczy. – A mój drugi stan?

–No cóż, Wasza Wysokość, innym razem jest pani... uległa, wciąż pyta pani o swojego „dobrego przyjaciela” earla Nowego Madrytu, a księcia Jacksona nazywa „naszym lojalnym księciem Jacksonem”.

–O Boże.

–Naprawdę chce pani wszystko usłyszeć? – spytał Catrone. – Proszę spojrzeć faktom w oczy, Wasza Wysokość. Wciąż jest pani w bardzo złym stanie.

–Chcę wszystko usłyszeć. – Kobieta westchnęła i w końcu opuściła dłonie. Jej twarz przybrała wyraz zdecydowania i Cesarzowa spojrzała sierżantowi prosto w oczy. – Wszystko. Co się stało?

–Pani drugi stan...

–Jak wy go nazywacie? – przerwała. – Czy wtedy, kiedy jestem w pełni sprawna umysłowo, nazywa mnie pan Alexandrą, Tomcat?

–Tak, Wasza Wysokość – powiedział stanowczo. – Cesarzową Alexandrą. Kobieta, której dawno temu przysiągłem służyć.

–A ten drugi stan?

–No cóż... – Catrone skrzywił się. – Nazywamy go po prostu odlotem. Lekarze mają na niego długą, skomplikowaną nazwę...

–Wyobrażam sobie – powiedziała sucho. – Czy wtedy wiem, że jestem Cesarzową?

–Tak, Wasza Wysokość – Catrone przełknął ślinę – ale, szczerze mówiąc, ignorujemy wtedy wszystko, co nam pani każe robić, chociaż nie wydaje pani za często poleceń.

–A co wtedy robię?

–Wszystko, co się pani każe – odpowiedział z kamienną twarzą. – Często pyta pani, kiedy wróci pani najlepszy przyjaciel, a kiedy go nie ma, podrywa pani mnie, Wasza Wysokość.

–O Chryste, Thomas. – Cesarzowa zbladła i w jej oczach pojawiły się łzy. – O Chryste. Tak mi przykro!

–Mnie nie. – Catrone wzruszył ramionami. – Nie jestem zadowolony, że to panią spotkało, Wasza Wysokość, ale cieszę się, że padło na mnie. Nigdy nie widziałem, żeby się pani tak odnosiła do jakiegokolwiek innego mężczyzny... z wyjątkiem Rogera.

–Co?!

–Uważa go pani za Nowy Madryt. Powiedziała pani, że mam wszystko mówić.

–I tak ma być – zgrzytnęła zębami Alexandra. Odetchnęła i odchyliła się do tyłu w fotelu. – Powiedział pan, że odleciałam na dwa dni?

–Tak, Wasza Wysokość. Zostawiliśmy panią z pani damami, ale przez cały czas była pani... monitorowana przez strażników.

–To dobrze – powiedziała stanowczo Alexandra. Potem złagodniała i spojrzała dziwnie na Catrone'a. – Thomas?

–Tak, Wasza Wysokość?

Mówiła o wiele spokojniej, więc zaniepokoił się, czy znów nie odleciała.

–To ja – powiedziała i zaskoczyła go szerokim uśmiechem. – Widziałam pytanie w twoich oczach, ale sama też mam bardzo ważne pytanie, na które chciałabym usłyszeć uczciwą odpowiedź. Co mój syn kazał panu robić w sprawie moich zalotów?

Catrone zacisnął dłonie na poręczach fotela i przez kilka długich chwil patrzył na padający deszcz. Potem odwrócił się i spojrzał w szare oczy Cesarzowej.

–Kazał mi zrobić wszystko, aby nie znalazła pani sobie innego... męskiego towarzystwa – powiedział prosto z mostu. – Wszyscy lekarze zgodzili się, że taki... towarzysz mógłby zmusić panią do wydania nieodpowiedniego polecenia, korzystając z tego, że pani odleciała.

–Mój Boże, to bydlak, prawda? – W głosie Alexandry była jednak nutka zadowolenia. – Ciężko mi sformułować następne pytanie, Thomas. Czy on to zrobił, żeby...

–Zrobił to dla dobra Imperium – przerwał jej bezceremonialnie – wiedząc, na jaką próbę będę wystawiony. Powiedział, że moja służba będzie trwać dopóty, dopóki jedno z nas nie umrze.

–A pan przyjął ten rozkaz? – spytała spokojnie Alexandra.

–Zawsze pani służyłem, Wasza Wysokość. – Catrone nagle poczuł się bardzo stary i

zmęczony. – I zawsze będę. Przyjąłem rozkaz Rogera tak, jakby padł z ust mojego Cesarza.

–To dobrze. Jeśli był w stanie skłonić pana – mojego paladyna – do takiej lojalności i takiej wierności, to być może rzeczywiście źle go oceniałam.

Przerwała, starając się zachować powagę.

–Thomas? – Nie.

–Nie wie pan, o co chciałam zapytać.

–Owszem, wiem, i odpowiedź brzmi: nie. Nigdy.

–A kusilo pana?

Catrone rzucił jej niemal rozgniewane spojrzenie i zadrżał mu mięsień policzka. Alexandra uśmiechnęła się ciepło.

–Rozumiem, że to znaczy „tak” – powiedziała i oparła brodę na dłoni, stukając wskazującym palcem w policzek. – Ożenił się pan powtórnie, prawda, Tomcat?

–Tak – odparł ostrożnie Catrone.

–Szkoda.

* * *

–O co chodzi, Catrone? – spytał Roger, idąc korytarzem. – Cholera, jestem zawalony robotą po uszy. Wszyscy jesteśmy.

–W tej chwili Cesarzowa kontaktuje i chce coś powiedzieć, a kiedy ona wzywa, trzeba natychmiast do niej iść.

–Właśnie zacząłem się przyzwyczajać do bycia traktowanym jak dorosły – warknął Roger. – Nie podoba mi się, że znów jestem traktowany jak dziecko.

–Wcale pan nie jest – powiedziała Eleanora, wychodząc z bocznego korytarza. Była z nią Despreaux; z trudem dotrzymywała jej kroku z powodu niewygodnych dworskich pantofli.

–Wcale nie jesteś – powtórzyła jak echo, podskakując na jednej nodze. W końcu poddała się i zaczęła ściągać buciki. – Jesteś traktowany jak Następcą, a Cesarzowa ma coś ważnego do powiedzenia.

Wreszcie pantofle się poddały; Despreaux złapała je za paski i pobiegła za

pozostałymi.

–Nie wezwała tylko pana, Roger – powiedziała Eleanora, dziękując Despreaux skinieniem głowy. – Wezwała wszystkich pana towarzyszy, całą świtę, Catrone'a, premiera, cały gabinet i szefów większościowych partii obu izb.

–I to do sali tronowej – warknął Roger. – Do tej zasranej stodoły! Dlaczego do sali tronowej?

–Nie wiem – powiedział Julian, dołączając do nich – ale posłała po cesarskie insygnia.

Za Julianem pojawili się Krindi Fain, Honal i doktor Dobrescu. Roger spojrział na nich z kwaśną miną. – Wy też?

–My też – odparł Julian – a premier i kilka innych osób są tam już od ponad pół godziny.

–Cholera – zaklął Roger. – Tomcat, czy jest pan pewien, że ona nie odleciała? – spytał, podnosząc rękę, żeby powstrzymać odźwiernego, który zamierzał otworzyć drzwi.

–Nie odlatywała już od półtora dnia. Nie sądzę, żeby tak miało pozostać, ale...

–Ale lepiej miejmy to z głowy, póki jest dobrze, tak? – Roger opuścił rękę i kiwnął głową służącemu.

–Tak – zgodził się Catrone, kiedy drzwi do sali tronowej szeroko się otworzyły.

* * *

Sala tronowa Imperium Człowieka, która miała sto metrów długości i była żelaznym punktem programu wszystkich wycieczek po Pałacu, wyszła z walk niemal nietknięta. Sklepienie ozdobione wspaniałym freskiem ze scenami z powstania Imperium, zawieszona sześćdziesiąt metrów nad podłogą na dźwigarach, które na pierwszy rzut oka wydawały się zbyt cienkie, by utrzymać jego wagę, było nienaruszone.

Ściany również pokrywały malowidła wysadzone drogimi kamieniami. Loty kosmiczne, medycyna, chemia, rzemiosło, sztuka -wszystko, co stanowiło o byciu Człowiekiem, zostało uwiecznione na tych murach przez najdoskonalszych artystów, jakich ludzkość wydała na świat. Nie było tam żadnego abstrakcjonizmu, żadnego surrealizmu – tylko proste ukazanie dzieł, które uczyniły Człowieka tym, kim był.

Podłoga była z litej płyty z polerowanej szklastali, która była przejrzysta jak destylowana woda, mimo że przez ponad pół tysiąca lat istnienia Imperium chodziły

po niej miliony stóp. Miała dwa centymetry grubości i chroniła znajdującą się pod spodem dziwną mozaikę. Tworzące ją kamienie zostały ostrożnie wyjęte z największych wspaniałości Ziemi. Każda z tych nieregularnych różnokolorowych brył tworzących prawdziwą podłogę sali tronowej była podpisana. Partenon. Koloseum. Zakazane Miasto. Machu Picchu. Świątynie, teatry i katedry. Piramidy Cheopsa i Majów. Miasta Inków i wspaniałe budowle Afryki. Kamienie z Wielkiego Muru, w których być może zaklęte były udręczone dusze tych milionów ludzi, którzy zginęli, by go wznieść. Tysiące kamieni – a wszystkie one ożywiały duchy tych, którzy je czcili i którzy z nich budowali – w tym jednym miejscu, w samym środku wszystkiego.

Tron Ludzkości stał na podwyższeniu z chromframowej pancernej klapy wyrzutni rakiet. Pochodziła ona z Freedom s Fury, krążownika, z którego mostka Miranda I, pierwsza Cesarzowa Człowieka, poprowadziła swoje wojska do bitwy, by wygnać Lordów Daggerów ze Starej Ziemi i stworzyć na nowo prężnie rozwijającą się galaktyczną cywilizację. Do Tronu prowadziło czternaście stopni, każdy z drogocennych metali i klejnotów, ale szary, pobrużdżony chromfram okrętu lśnił mocniej niż każdy z nich.

Sam Tron był jeszcze bardziej pospolity; był to stary, poobijany fotel dowódcy z tego samego okrętu. Z biegiem lat nieraz trzeba było go naprawiać, ale każdy mistrz rzemiosła, którego wybierano do tego zadania, zadawał sobie wiele trudu, by odtworzyć dokładnie te same bruzdy, te same ślady przypaleń, na których siedziała Miranda I, Miranda Wielka, podczas tamtych strasznych bitew, włącznie z inicjałami AS, wyżłobionymi z boku fotela, zanim jeszcze Miranda MacClintock i jej żołnierze wdarli się na mostek okrętu Lordów Daggerów i zwrócili się przeciwko jego dotychczasowym właścicielom.

Alexandra VII, siedemnasty MacClintock pochodzący bezpośrednio od Mirandy I, teraz także siedziała na Tronie. Roger zobaczył ją już z daleka, kiedy tylko weszli do sali; ta majestatyczna postać była bardzo podobna do matki, którą pamiętał z dawnych czasów. Na jej czole lśniła korona Imperium. Cesarzowa miała na sobie długi płaszcz z białego jak śnieg i obszytego purpurą futra lodowego tygrysa, w dłoni trzymała berło. Były tu też dziesiątki innych ludzi, ale w tej ogromnej sali wydawali się zagubieni i samotni. Roger zwolnił kroku.

Po jego prawicy szła Despreaux; trzymała w dłoni znienawidzone pantofle i bawiła się nimi jakby nigdy nic. Obok szedł Julian, poprawiając gorączkowo cywilny garnitur, który właśnie uczył się nosić, i Honal w bojowym kombinezonie pilota żądła.

Po lewicy Rogera szła spokojnie i z godnością Eleanora O'Casey (była w tej sali więcej razy niż sam Roger), a obok niej doktor Dobrescu, nieswój w galowym stroju, i Krindi Fain, wciąż w swojej skórzanej uprzęży i kilcie. A tuż za Rogerem dreptali Denat Cord – jego niewolnik, mentor, strażnik, przyjaciel – i Pedi Karuse.

Za dwójką Mardukan szedł Thomas Catrone, ale Roger wyczuwał obecność także innych. D'Estrees i Gronningena, Dokkuma i Pentzikis. Kapitana Krasnitsky'ego z DeGloppera i Nassiny Bosum, a nawet porucznik Guhy, nieświadomej sabotażystki z DeGloppera. Kane i Sawato. Rastara wymachującego mieczem i prowadzącego swojego civan. Lista ciągnęła się bez końca, ale Roger przede wszystkim czuł na ramieniu przyjazną ojcowską dłoń Armanda Pahnera. Wrażenie było tak silne, że spojrzał w bok i przez ułamek chwili ujrzał jego twarz. Twarz spokojnego i poważnego dowódcy, gotowego stawić czoła każdemu wyzwaniu dla dobra swojego księcia i Imperium. A obok Pahnera szedł Kostas Matsugae; zastanawiał się, czy Roger jest wystarczająco elegancko ubrany na oficjalną audiencję, i kręcił z dezaprobatą głową nad pantoflami Despreaux.

Książę dotarł do pierwszej linii, na której poddani zatrzymywali się i klękali przed Cesarzową, ale mimo to szedł dalej, popychany przez swoje duchy. Minał drugą i trzecią linię, czwartą, a kiedy dotarł do piątej i ostatniej, gdzie jego świta rozproszyła się na boki, padł na kolana i złożył ukłon.

–Wasza Wysokość -powiedział. – Wzywałaś mnie i oto jestem.

Alexandra spojrzała na czubek jego pochylonej głowy, a potem na jego towarzyszy. Zatrzymała na chwilę wzrok na Despreaux i jej pantoflach i uśmiechnęła się przelomie, jakby ze zrozumieniem. Potem kiwnęła głową.

–Jesteśmy Alexandra Harriet Katryn Griselda Tian MacClintock, ósma Cesarzowa Człowieka, osiemnasta z naszego Domu, która nosi koronę. Ostatnimi czasy byliśmy niestety niezbyt zdrowi, co miało poważny wpływ na naszą ocenę sytuacji. Ale teraz, w tym miejscu,

jesteśmy – choć to może w każdej chwili się zmienić – w pełni władz umysłowych, co potwierdzili lekarze i udowodniła rozmowa z premierem i obecnymi tutaj ministrami.

Przerwała i rozejrzała się po sali tronowej, po czym kiwnęła lekko głową.

–Było nas osiemnaścioro Cesarzy i Cesarzowych, poczynając od Mirandy I. Niektórzy zginęli w boju, tak jak nasi synowie i córki – powiedziała ze smutkiem. – Niektórzy z nas umierali młodo, inni w późnej starości. Niektórzy z nas umarli we własnych łóżkach...

–A niektórzy w cudzych – mruknął pod nosem Julian.

–...a niektórzy na skutek wypadków. Ale wszyscy umieraliśmy w tym miejscu. – Poklepała poręcz starożytnego fotela. – Żaden Cesarz ani Cesarzowa z Domu MacClintock nigdy nie abdykowali.

Przerwała, zacisnęła ze złością zęby i znów spojrzała na pochyloną głowę Rogera.

–Aż do teraz.

Wyrwała ciężki płaszcz z rąk służących i wstała, zawijając go na lewej ręce, aby mieć możliwość samodzielnego poruszania się. Potem zeszła po czternastu stopniach na szklastalową podłogę.

–Roger – warknęła – rusz dupę.

Książę spojrzał na nią z zaciętą miną- na jego policzku nie drgnął ani jeden mięsień – i podszedł do podnóża schodów.

–Zorganizowanie koronacji trwałoby wiele tygodni – powiedziała Alexandra, patrząc mu w oczy z tak samo zaciętą miną. – A nie mamy tyle czasu, prawda?

–Tak – odparł zimno Roger. Chciał porozmawiać z matką, kiedy wróci do domu, ale to nie była ta rozmowa.

–Świetnie, w takim razie darujemy sobie ceremonię. Wyciągnij prawą rękę.

Roger zrobił to, wciąż patrząc w jej oczy, a ona wcisnęła mu mocno w dłoń berło.

–To berło – warknęła – to symbol sił zbrojnych Imperium. Od tej chwili jesteś naczelnym wodzem. Początkowo było to proste narzędzie do miażdżenia czaszek wrogów. Używaj go mądrze. Nigdy nie rozwalaj zbyt wielu czaszek, ale i nie rozwalaj ich za mało.

Potem Cesarzowa obeszła Rogera dookoła i z trudem zarzuciła mu na ramiona ciężkie futro. Była wysoka jak na kobietę, ale mimo to musiała stanąć na palcach. Potem zapięła mu płaszcz pod szyją.

–To cholernie ciężka peleryna – mruknęła. – Nie pamiętam, czego jest symbolem, ale na pewno jeszcze da ci się we znaki.

W końcu zdjęła koronę i wbiła mu ją mocno na głowę. Korona była dopasowana do obwodu jej własnej głowy i była o wiele za mała dla Rogera; utkwiała na czubku jego głowy jak za mały kapelusz.

–Korona – powiedziała gorzko Alexandra. – Dawniej symbol, który królowie nosili w czasie bitwy, żeby wróg wiedział, do kogo strzelać. Teraz służy mniej więcej do tego samego.

Odsunęła się i kiwnęła głową.

–Moje gratulacje. Jesteś Cesarzem, z całą władzą i straszliwą odpowiedzialnością,

jaka się z tym wiąże.

Roger wciąż patrzył twardo i gniewnie w jej oczy. Tyle ich dzieliło, tyle bólu i braku zaufania. A teraz odpowiedzialność, którą dźwigało osiemnaście pokoleń ich rodziny, spoczywała na jego barkach. Nie chciał jej, lękał się jej, a mimo to nie mógł jej odrzucić; w imię tej odpowiedzialności poświęcił wielu swoich przyjaciół i musiał wyrzec się nie tylko swojego życia, ale także życia Nimashet Despreaux i ich dzieci.

–Dziękuję, matko – powiedział zimno.

–Noś te symbole w dobrym zdrowiu – odparła ostro Alexandra.

Stała przez chwilę i patrzyła mu w oczy, a potem wolno – bardzo wolno – rysy jej twarzy zmiękły. Jej usta zadrżały i nagle rzuciła się w jego ramiona.

–O Boże, mój synu, mój jedyny synu – załkała. – Proszę, noś je w lepszym zdrowiu niż ja!

Roger spojrział na bezużyteczną pałkę w swojej dłoni i cisnął ją przez ramię Honalowi; ten złapał ją i odsunął od siebie, jakby była radioaktywna. Potem książkę usiadł na stopniach Tronu Ludzkości, objął matkę i z nieskończoną czułością przytulił do siebie, aby wypłakała cały swój żal i stratę – stratę władzy, dzieci i umysłu – na ramieniu swojego jedyne dziecko.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/